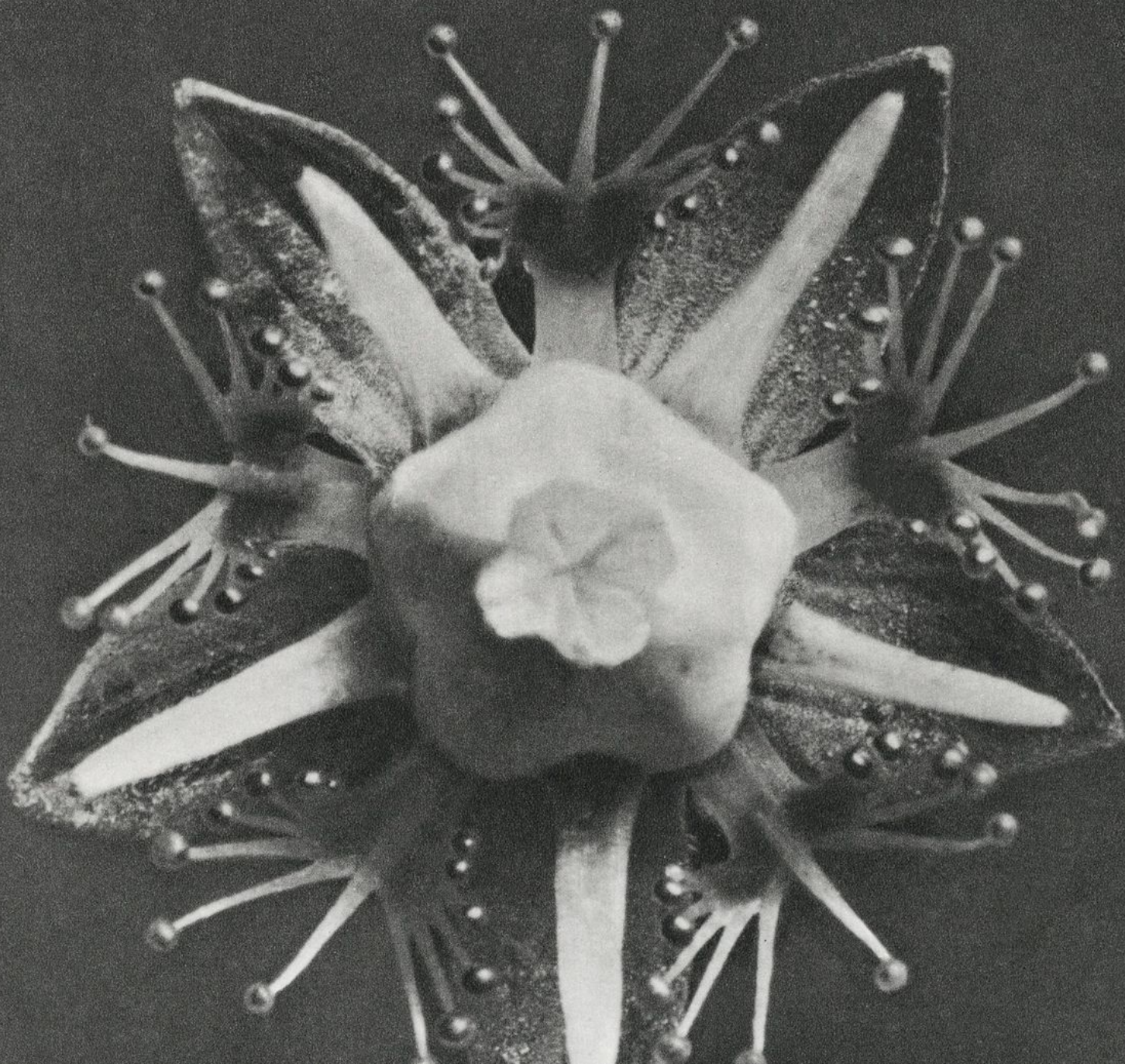


# Narcyssa i Wanda





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

NARCYZA ŻMICHOWSKA

# *Narcyssa i Wanda*

LISTY NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ DO WANDY GRABOWSKIEJ (ŻELEŃSKIEJ)

# PRZEDMOWA

Dzieckiem w domu rodziców, oglądając albumy z fotografiami, widziałem młode kobiety w szerokich krynolinach, przeważnie czarno ubrane, z wyrazem smutku na twarzy. Znałem od matki ich imiona, były to jej przyjaciółki lub krewne. Niektóre już nie żyły, niektóre zjawiały się czasem w Krakowie, w porze przejazdu do „wód”. Były to już poważne panie, co w owej epoce następowało bardzo wcześnie. Odwiedziny ich elektryzowały moją matkę; rozmowy biegly ku dawnym czasom, ku warszawskim wspomnieniom. Zwykle po takiej wizycie matka była podniecona, nerwowa, wydobywała jakieś papiery, pisała, kreśliła coś gorączkowo.

Matka moja, warszawianka, długo czuła się niezbyt dobrze w Krakowie, dokąd ojciec mój przeniósł się w r. 1880 z Warszawy. Zimno jej było. Bo między ówczesną Warszawą a Krakowem była różnica temperatury. W Warszawie ucisk, jaki nastąpił po roku 1863, wytwarzał atmosferę jakiegoś podskórnego życia. Ileż wspólnych wspomnień, strat... wszystko to łączyło ludzi. Życie, niezdrowe, ciasne pod wieloma względami, ale bogate we wzruszenia, górne. No i Warszawa była dużym miastem; czy kąpała się w smutku czy radości — nie spała.

Kraków ówczesny drzemał. Był mały, biedny, nic się w nim nie działo, nie było nawet owych „pogrzebów”, z których później tak zasłynął. Roku 1863-go nie przebył, ale wychował się w anatemach przeciw niemu. Dojrzewała historyczna szkoła „stańczykowska”, wykluwała się zasada lojalizmu, owo słynne „przy tobie stoimy i stać chcemy”, ciężły wpływ jezuickie. Ciężła też w Krakowie arystokracja i pseudo-arystokracja. Nic się jej nie przeciwstawiało, władza jej rozciągała się na sam Uniwersytet. Tzw. „miasto” (w przeciwstawieniu do „towarzystwa”) było zahukane, przygniecione. Nawet życie artystyczne skupiało się w paru arystokratycznych salonach, gdzie kwitła francuszczyzna, gdzie — jak raz wspominałem — układając na cel dobroczynny (och, te cele dobroczynne!) żywe obrazy z Matejkowskiego *Kościuszki*, dwie hrabiny przechwalały się: „*Nous avons le czarny chłop*” — „*Et nous avons le<sup>1</sup> kasztanowaty...*”. Bardzo zabawnie odtwarzała na gorąco tę scenkę moja matka, wróciwszy wprost z „sesji”. Później dopiero Kraków miał wytworzyć nowe źródła życia. Ale wówczas dla warszawianki, wychowawicy Narcyzy Żmichowskiej, przeniesionej na to pustkowie, z rzadka zaludnione galicyjskimi wielkościami, powietrze było ciężkie.

Rozumiem tedy, że z radością witała przyjaciółki zza kordonu<sup>2</sup>, z ukochanej Warszawy. Rozmowom, pytaniom, wspominkom nie było końca. A cóż dopiero, jeżeli która z odwiedzających należała, jak matka, do bliskich uwielbianej Narcyzy.

Matka moja była uczennicą, potem najbliższą, najbardziej oddaną przyjaciółką Żmichowskiej. Uczucia tego nie przerwała śmierć poetki (1876); przeciwnie, przerodziło się ono w fanatyczny kult. Ten kult kryła matka w sobie: w Krakowie nie znalazłaby oddźwięku. Nie wiedziano tam o Żmichowskiej — mimo wspomnień Felicji Boberskiej — prawie nic. Utwory jej nie wychodziły osobno: drukowane w czasopismach, ukazały się zebrane w *Dzielaach*, prawie nieznanych w Galicji. Wszak i w Królestwie była prawie że zapomniana! Już w roku 1877, kreśląc wspomnienie pośmiertne, matka moja pisała, że „kiedyś otworzą się drzwi od tajemniczego skarbcza i nieliczne karty, na które większość spogląda jak na hieroglificzne znaki, przemówią...”. Za życia pracę literacką Narcyzy wspomagał jej wpływ osobisty, działalność pedagogiczna, polityczna, miłość przyjaciół. Ale tutaj była obca. Ruch emancypacyjny, który tak żywo zaznaczył się w Królestwie, nie objawił się w połowie ubiegłego wieku w Galicji. Nie było zjawiska owego matriarchatu wytworzonego tam niejako wskutek ciągłego ubytku co najlepszych mężczyzn. Ten ruch emancypacyjny jaki był, raczej nosił piętno śmiesznośc.

Matka mogła tedy mówić o swojej Narcyzie jedynie z gośćmi zza kordonu. Na co dzień prawie z nikim. Udzieliła swego kultu mężowi: mam w rękę oprawne w brązową skórę tomiki *Pism Gabryelli* z tą dedykacją:

Mojemu narzeczonemu w dniu zaręczyn

<sup>1</sup>*Nous avons le (...) Et nous avons le* (fr.) — my mamy (...) a my mamy. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*kordon* — tu: granica między zaborami. [przypis edytorski]

dnia 24 grudnia 1871

Ojciec napisał muzykę do licznych poezji Żmichowskiej<sup>3</sup>, dość często — dzięki staraniom matki — śpiewanych na koncertach. Z synami poszło trudniej. Nic nie pomogło, że starszy mój brat miał na drugie imię Gabriel, a młodszy Narcyz: wątpię, czy który znał pisma swojej imienniczki. Co do mnie, który miałem największą do ksiązek ciekawość, fanatyzm matki działał na mnie wprost odwrotnie, usposabiał mnie niechętnie. Trudno o ostrzejszego krytyka, o większego sceptyka niż kilkunastoletni „myślący” chłopak, zwłaszcza wychowany w ówczesnej galicyjskiej atmosferze.

W ogóle z matką wówczas nie bardzo mogłem się porozumieć. Raził mnie ów „idealizm”, który zresztą w listach swoich tak tępi w niej Narcyza. Ja byłem cynik. Przechodziłem wiek, w którym chłopak — *carthésien sans le savoir*<sup>4</sup> — odrzuca wszystko, do czego sam nie dojdzie. Przekomarzałem się z matką na temat jej uwielbienia, musiałem jej sprawić wiele przykrości. Dziś widzę, że było ze mną to samo co z publicznością: pokazywanie pisarki od strony samych cnót obywatelskich pogrzebało ją. Ale matka nie mogła tego rozumieć: zamykała się w milczeniu. Przeczytałem zresztą cztery tomiki pism Gabrielli. Chłopakowi pogrążonemu wówczas w bogactwach Szekspira, wydały się one chude. Nie przeczuwałem, ile znajdę żalów w listach samej Narcyzy nad „chudością” tych tomików i ile przyczyn na to się złożyło! *Poganka* zawiodła mnie: spodziewałem się plastyczniejszych szalów. *Książka pamiątek* była dla mnie w istocie „hieroglificznym znakiem”. Najbardziej podobał mi się utwór pośmiertny *Czy to powieść?*; czytałem tę książkę wiele razy, szczególnie miała urok dla mnie.

Matka moja była zwichniętą literatką: żytkę pisarską zdławiło w niej najszcześliwsze zresztą, ale absorbujące małżeństwo, pomaganie ojcu w pracy i w rosnących kłopotach, trzech nie najłatwiejszych synów... wszystko przydane do wrodzonej nieśmiałości autorskiej. Ale jedno miała pragnienie: pokazać światu swoją ukochaną Narcyzę, wystawić jej pomnik, wskrzesić ją z martwych. Chciała napisać jej monografię: jak dalece było to potrzebne, dowodzi fakt, że takiej monografii — jeżeli pominąć zbyt bliskie perspektywę, na niedostatecznych materiałach oparte i pod uciskiem cenzury pisane, cenne zresztą studium Chmielowskiego<sup>5</sup> — dotąd nie ma. To zapomnienie, które coraz grubszym pyłem przykrywało pamięć Narcyzy, było osobistym dramatem mojej matki, było niemal jej wyrzutem sumienia. Nie chcę pomawiać matki o złe uczucia, ale zdaje mi się, że ilekroć była mowa o rosnących wówczas w sławę kobiecych gwiazdach literatury: Orzeszkowej, Konopnickiej, czułem w niej jakby cień urazy, że tamte przywłaszczyły sobie blask, który, wedle niej, należał się z prawa przede wszystkim owej królowej *in partibus infidelium*<sup>6</sup> — Gabrielli. Wciąż tedy matka robiła wypisy z jej listów, gromadziła materiały<sup>7</sup>, ale praca ta wciąż się rwała.

W wiele lat po śmierci matki (umarła w roku 1904), ojciec mój, już bardzo stary i bliski śmierci, przesłał mi paczkę papierów. Zajrzałem do nich, ujrzałem pliki listów Żmichowskiej do mojej matki, inne jeszcze jej listy, nieco listów matki do niej, korespondencje przyjaciółek z owej epoki; oprócz tego sporo brulionów matki zawierających materiały do biografii Żmichowskiej, próby powieściowe... Schowałem to wszystko do szafy, ale przez wiele lat, pochłonięty własnymi, dość wytężonymi w owym okresie pracami, nie miałem czasu do nich zajrzeć. Uczyniłem to dopiero dwa lata temu. Przeniknął

<sup>3</sup>Ojciec napisał muzykę do licznych poezji Żmichowskiej — *Łaskawa dziewczyna, Oczwistość, Tęsknota, Niepodobierstwo, Podarunek, Co ja bym ci chciała dać?, Dziwne dziewczę*. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup>*carthésien sans le savoir* (fr.) — kartezyjanin (filozof) nieposiadający (odpowiedniej) wiedzy. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>studium Chmielowskiego — *Autorki polskie XIX wieku*. [przypis redakcyjny]

<sup>6</sup>*in partibus infidelium* (łac.) — w prowincjach zamieszkałych przez niewiernych; tytuł nadawany biskupom, których diecezje wyznaczone były na terenach zamieszkałych przez niewiernych, iron. o urzędnikach bez funkcji. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>matka robiła wypisy z jej listów, gromadziła materiały — ogłosiła o Żmichowskiej następujące swoje prace: 1) Stefan (pseudonim), *Listy o pismach Gabryelli* („Bluszcz” 1871 i „Tygodnik Ilustrowany” 1871), 2) *Wspomnienie pośmiertne* („Kłosy”, 1877); *Żmichowska na wystawie paryskiej* („Ateneum” 1895); *Pogadanki pedagogiczne N. Żmichowskiej* („Bluszcz”, 1902); *Cwierć wieku po zgonie* („Bluszcz”, 1902). [przypis redakcyjny]

mnie jakiś fluid wydzielający się z tych listów: snadź<sup>8</sup> tyle serca, tyle uczucia, tyle smutku, jakie w nie włożono, nie zwietrzało przez pół wieku. Uczulem się zarazem jakby dłużnikiem wobec tych listów: stanęła mi w pamięci matka moja, gorączkowo przerzucająca te papiery, z wypiekami na twarzy, próżno siląca się znaleźć oddźwięk dla swego ukochania, uwielbienia; przypomniały mi się moje sceptyczne słówka, którymi nieraz studziłem jej egzaltację. Uczulem jakby ciążący na mnie obowiązek przywrócenia do życia tej puścizny. Ale jak myśleć o wydaniu listów pisarki tak solennie pogrzebanej? Trzeba ją było wprzód przypomnieć, przygotować grunt. Nim przystąpiłem do odcyfrowania tych listów, starałem się sam zapoznać ze Żmichowską. Odczytałem na nowo jej *Pisma*, przewertowałem zwłaszcza jej wydaną drukiem korespondencję. Oczy mi się otworzyły, zacząłem znać tę kobietę, rozumieć urok, jaki wywierała na tych, którzy się z nią zetknęli. Uderzył mnie przejmujący dramat jej życia, dramat jej twórczości, tak niepełno wyrażającej tę bogatą indywidualność. Udało mi się udzielić publiczności — i co ważniejsza księgarzom — mego zainteresowania: w ciągu roku utwory Żmichowskiej, od dawna nieobecne na półkach księgarskich, doczekały się świeżych wydań<sup>9</sup>. Pisarka odżyła nowym życiem. Czulem się szczęśliwy, że spłaciłem częściowo dług wobec matki: wówczas też, dzięki rozbudzonemu zainteresowaniu, mogłem przystąpić do wydania tych listów.

Jest ich sto osiemdziesiąt pięć, 185 listów zapełnionych równym, przeważnie bardzo drobnym pismem, listów, jakich dziś się nie pisuje! Wziąłem się do ich odcyfrowania, przepisania, przy pomocy żony mojej, której inteligentnej pracy zawdzięczam możliwość doprowadzenia tego wydania tak rychło do skutku. Zwłaszcza z ustaleniem chronologii niedatowanych, często pomieszanych kartek było wiele kłopotu.

Lektura tych listów była dla mnie rewelacją. Matka moja chętnie byłaby mówiła o samej Narcyzie, ale niewiele mówiła o swoim z nią stosunku. Z wyjątkiem jednego listu — a raczej jego ustępu o wystawie paryskiej<sup>10</sup> — nie ogłaszała z tych kartek nic. Może listy te były jej zbyt drogie, zbyt bliskie, może czuła skrupuł wobec zmarłej<sup>11</sup>? W zbiorowe wydanie listów Żmichowskiej (2 tomy w r. 1885, trzeci tom w 1906) nie weszły listy do mojej matki, mimo że same wypełniłyby cały tom. Widocznie jakaś wstydlivość nie pozwalała Wandzie wydawać obojętnej publiczności tych poufnych kart; może wahała się, czy godzi się zdradzić sekrety tej spowiedzi, w której ukochana jej mistrzyni odsłania tak szczerze swoje bóle i swoje niemoce. Może wstydziła się pochlebnego światła, w jakim listy Narcyzy ukazują Wandę? Mogły być jeszcze inne względy... Mam wrażenie, że gorące przyjaźnie, jakie budziła Narcyza, bywały niewolne od zazdrości o tę przyjaźń, zwłaszcza ze strony przyjaciółek wcześniejszych, mających dawniejsze prawa, wobec tych, które przybyły później, a które, w duchu *Pisma Św.*, tę samą, a czasem lepszą otrzymały zapłatę. Wanda należała do najmłodszych, może niechętnie widziano miejsce, jakie zajęła w sercu mistrzyni... Dość, że rola jej w życiu Narcyzy pozostała prawie że ukryta.

Korespondencja z Wandą Grabowską, tak zajmująca sama przez się, wypełnia zarazem lukę, jaka istniała w wiadomościach o wewnętrznym życiu poetki w pewnej epoce. Bo życie to jest ciągłą ewolucją. Zmieniają się w nim idee, zmieniają się i osoby; a źródłem tych zmian jest żywotność jej organizacji. Po drodze serce to, mimo iż tak wierne, gubiło swoich bliskich. Dla dawnych „entuzjastek” zachowała zawsze serdeczną pamięć, ale rozeszły się ich drogi. Gdy Narcyza wciąż idzie naprzód, kształci się, rozwija, pracuje nad sobą, gdy pochłania Taine’a, Buckle’a, Darwina i Renana, dawne jej najbliższe, kanoniczka „Wicunia” (Zabłocka) i Anna (Skimborowiczowa) znalazły przystań w dewocji. Z Bianką (Moraczewską) i Teklą (Dobrzyńską) rozeszła się z powodu odmiennych po-

<sup>8</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>utwory Żmichowskiej (...) doczekały się świeżych wydań — Boy-Żeleński, *Romans Gabryelli (Ludzie żywi, 1929)*; *Czy to powieść?*, *Biała Róża* (Dom książki polskiej, 1929) z przedmową Boya-Żeleńskiego; *Poganka* (Dom książki polskiej, 1929) i *Poganka* z przemową Boya-Żeleńskiego (Biblioteka Narodowa, 1929). [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup>listu (...) o wystawie paryskiej — „Ateneum”, 1895. [przypis redakcyjny]

<sup>11</sup>może czuła skrupuł wobec zmarłej — niechęć Narcyzy do ogłaszania listów odnosiła się wszakże tylko do zbyt rychłego ujawniania korespondencji. W jednym z listów do Wandy, mówiąc o puściznie po wspólnej przyjaciółce, młodo zmarłej Zofii Kaplińskiej, pisze: „(...) warto by przeczekać jakąś miarę czasu, aż pewna wibracja żywej osobistości, tak tej, co odeszła, jak tych, co pozostali, przemilknie. Kiedy mi wolno było dla samej siebie układać jakieś pośmiertne plany, wiem, że ten był najulubieńszy; ani jednego wiersza z listów moich nie byłabym oddała »publiczności« pogrzebowej; nieraz jednak pragnęłam, aby nawet myśli moje niedopowiedziane, »później«, och później, żyjących doszły...” (maj 1864). [przypis redakcyjny]

gładów w przełomowej chwili roku 1862. Tak że właśnie w latach, gdy Narcyza mniej pisze, a zwłaszcza mniej ogłasza drukiem, gdy twórczość jej — twórczość, nie talent — bez podniety, bez zachęty, wysycha — gdy myśli swoje, niekrępowane już cenzurą ani rosyjską, ani redakcyjną, przelewa na papier w listach do swoich drogich — z tej epoki właśnie listów było mniej. Nieznana korespondencja z Wandą wypełnia tę lukę, wyjaśnia tajemnicę tego braku. Snują się te listy równolegle ze ślicznymi listami do „Elli” (Izabelli Zbiegniewskiej) przez całą tę jałową epokę życia pisarki aż do końca.

Ciekawe byłoby zestawić te dwie równoczesne korespondencje. Z Ellą, „wysoką, urodną, z grubą koroną czarnych włosów nad czołem”, to niemal przyjaźń miłosna. Mam wrażenie, że gdyby Wanda знаła owe listy, byłaby o nie zazdrosna. Listy do Elli są bardziej romantyczne, bo między przyjaciółkami było tu mniej „realności”, cały stosunek był prawie tylko w korespondencji, gdy z Wandą łączyło Narcyzę więcej drobiazgów dnia codziennego, wspólni znajomi, częstsze widzenia, wymiana książek, planów, wiadomości warszawskie, których tak łaknęła Narcyza, a których dostarczała jej Wanda.

Przypomnijmy choć w kilku słowach warunki, które złożyły się na to, aby twórczość Narcyzy Żmichowskiej, która na owe czasy w naszym kraju była aż nazbyt egzotycznym zjawiskiem, przedwcześnie zamarła. Przypomnijmy tym bardziej, że schodzi się to z okolicznościami, w których zbliżyła się z Wandą.

Cofnijmy się tedy wstecz. Kiedy Narcyza opuściła w roku 1852 więzienie lubelskie, w którym spędziła blisko półtrzecia<sup>12</sup> roku w samotnej celi, naznaczono jej Lublin jako miejsce zamieszkania, a szwagra jej Dunina ustanowiono gwarantem jej „praworządności”. Autorka *Poganki*, nawykła oddychać żywą atmosferą Warszawy, znalazła się odcięta od ludzi, od książek, zmuszona biegać cały dzień po bruku lubelskim, nieraz o „kawałku cukru w kieszeni”, za lekcjami. A dotkliwszą jeszcze była dla niej świadomość przemiany, jaką reakcja — następstwo roku 1848 sprawiła w społeczeństwie, zwłaszcza na prowincji, kiedy to „niemoc i bierność sięgały tych granic, w których zanikać poczyna odporność i godność nawet”, jak pisze jeden z biografów poetki. Podejrzana władzom Narcyza, na którą nieufnym okiem spoglądają i sami rodacy, usycha bez pokarmu duchowego, bez wymiany myśli. Książek nie ma zupełnie, czyta, co dopadnie, dla zapomnienia o sobie: „zaczytuje się, jak pijak się upija”.

W tym smutnym stanie spędza Narcyza lat trzy, w ciągu których o pisaniu nie było mowy. Wreszcie w roku 1855 dostaje upragnione zezwolenie na pobyt w Warszawie. Niestety, nie może z niego korzystać w całej pełni dla przyczyn materialnej natury. Miesiące całe spędza u krewnych na wsi, przeważnie w Rzeczycy. Tworzenie prawie zarzuciła, zarabia — niedostatecznie — pisząc podręczniki naukowe; wraca po trosze do tej doli, z której wyszła — nauczycielki. Z biegiem lat stosunki te poprawiają się nieco, życie Narcyzy staje się lżejsze, miłsze, od czasu gdy osiadła na tak zwanym później „Miodogórze”. Jest to dom przy ulicy Miodowej 1/3, należący do Grabowskich. Tam mieszkała siostra Narcyzy, Lilia Zalewska, tam mieściła się też mała nieautoryzowana pensyjka Julii Bąkowskiej, później Ignacowej Baranowskiej; przy niej osiada Żmichowska i na tej pensji udziela lekcji.

Zarazem zawiązała serdeczne stosunki z mieszkańcami tego domu, który stanowił prawdziwą kolonię zacnych i drogich jej później ludzi. Tam mieszkał Jan Grabowski, wdowiec z czterema córkami: Zofią, tłumaczką popularnych angielskich powieści dla młodzieży (*Małe kobietki*, *Dobre żony* etc.), Julią, później Adolfową Tetmajerową, matką Kazimierza Tetmajera, Wandą, później Władysławową Żeleńską, żoną muzyka, moją matką, i Marią, później żoną matematyka Władysława Kwietniewskiego, docenta Szkoły Głównej. Mieszkali tam również mecenas Edward Grabowski, brat Jana, z rodziną; Edward Kapliński, młody architekt, brat Leona, malarza i poety, emigranta z roku 1848; Stanisław i Seweryn Markiewiczowie, słynny lekarz Ignacy Baranowski, adwokat Józef Brzeziński, muzyk Jan Kleczyński, filozofka Eleonora Ziemięcka, przyjaciel Jürgensa Ruprecht, wspomniana już siostra Narcyzy Zalewska, Rodysowie.

„Miodogórze” — tym mianem zwano mieszkanie Żmichowskiej — dwa skromne pokoiki na trzecim piętrze — dobrze było znane Warszawie w owej epoce przedpowsta-

<sup>12</sup>półtrzecia (daw.) — dwa i pół. [przypis edytorski]

niowej. Tam biło serce Warszawy, tam czuwała myśl, tam toczyły się nieraz ważne obrady. Stamtąd pisała Żmichowska znany swój list do Elżanowskiego.

Zanim przyszyły straszne chwile roku 1863, które znowu wyгнаły Narcyzę z Warszawy — prawie na resztę życia — spędziła ona na „Miodogórze” dni niemal szczęśliwe. Zaczęła pisać na nowo; staraniem grona przyjaciół, doczekała się w roku 1861 zbiorowego wydania swoich *Dzieł*, którego urzeczywistnienie połączyło się z serdeczną owacją, jaką zgotowali pisarze w jej mieszkaniu najbliżsi.

Żmichowska udzielała lekcji na pensyjce Bąkowskiej. Z czasem lekcje te wyrosły w rodzaj wolnego uniwersytetu. Ignacy Baranowski notuje w swoich pamiętnikach, że nauki pobierały tam dwie jego siostry, dwie panny Grabowskie, Sikorskie, Paprocka, dwie siostrzenice Żmichowskiej i inne. Z uczennic tych, drogą „powinowactwa z wyboru”, najbliższą jest jej Wanda. Mimo różnicy wieku (Narcyza była o 23 lata starsza), stosunek nauczycielki do uczennicy rychło w listach Narcyzy staje się stosunkiem przyjaciółki do przyjaciółki, mimo że wiele czasu będzie potrzeba, aby ośmielić pokorny i pełen uwielbienia kult Wandy dla ukochanej mistrzyni. Właśnie w epoce, gdy Wanda z dziewczęciami wyrasta w młodą pannę, Narcyza znowu opuszcza Warszawę. Przeciwna zbrojnemu ruchowi, nie mogąc powstrzymać wypadków, chce być jak najdalej, jedzie do brata do Mieni, zapada tam, aby nie myśleć, nie wiedzieć. Wraca do Warszawy w chwili wybuchu i pierwszych walk, po czym znów wyjeżdża i prawie całe życie już spędza na wsi, mimo ciągłej tęsknoty za Warszawą. Przebywa tedy kolejno u sióstr, ucząc w zamian za kawałek chleba ich dzieci. W odcięciu od ludzi, od zdarzeń, od wiadomości, korespondencja z Wandą staje się wielką potrzebą i pociechą Narcyzy. Chwila sprzyja zacieśnieniu się tych węzłów: wspólne wzruszenia, wspólne smutki, obawy. Na mieszkańców „Miodogórze” spadają ciosy. Rewizja wykryła w piwnicach skład broni; ojciec Wandy, Jan Grabowski dostaje się — jako gospodarz domu — do Cytadeli; sąsiaduje z nim w słynnym dziesiątym pawilonie Seweryn Markiewicz, później wywieziony na Sybir. Jurgens umiera, mówią, że zamęczony w Cytadeli. Wielu bliskich Narcyzy, jak Henryka Wohla, jak siostrzeńców jej, Redla, Lewińskiego, również wywieziono. Wszędzie żałoba, nieszczęście, pogrzebanie wszystkich nadziei tak rozkołysanych latami 1861–1862.

Dla Narcyzy, której serce, pozbawione jednej pełnej miłości, wciąż jest niesyte, Wanda staje się coraz bliższą, coraz więcej miejsca zajmuje w jej życiu. Wanda wciąż niejako ukochaną „Panią” w krąg swoich bliskich<sup>13</sup> Ta rodzina z wyboru staje się Narcyzie niemal bliższą od rodziny prawdziwej. Tam — troski dnia codziennego, tu — wspólność myśli i dążeń: Edward Kapliński, dwaj Markiewiczowie, Zofia Kaplińska — widać z listów, czym są dla niej.

Zarazem Wanda przedstawia dla Narcyzy bezcenny skarb: młodość! Dawna „Gabryella” pozbawiona prawie możności wypowiedzenia się piórem i podniet autorskich, grzeje się w miłości, w uwielbieniu młodej przyjaciółki, przelewa w nią wzajem swoje myśli, swoje doświadczenia. Niezachwiana wiara w nią Wandy, mimo że niby to ją gniewa, czuć, że jest jej miłą, potrzebna do życia; że te zasoby młodego entuzjazmu wlewają w nią jakby strumień świeżej krwi. Wanda „ma wielką nad nią władzę, jest najsilniejszym życio-wzbudzaczem, który jej zasnąć nie daje”, jak pisze o niej w liście do *Ellie*. Ona sama w coraz obszerniejszych listach przelewa w nią swoje myśli. Czując uwielbienie Wandy, otwiera przed nią serce, spowiada się, daje folgę tej *introspekcji* — jakby się powiedziało dzisiaj — która była jej pasją psychologiczną, a na którą w powieści było snadź<sup>14</sup> u nas za wcześnie. Dzieli się z nią każdą przeczytaną książką: uczy ją czuć i myśleć.

Ale niebanalna to nauka. Gdy zwykle starszy stara się kielznać zuchwalstwo młodości, tutaj, ta nauczycielka musi ośmielać Wandę, która wyrosła w pętach towarzyskich konwenansów, na której zaciężyła pewna wrodzona nieśmiałość, skłonność do „poczciwości”, do dydaktyzmu, do chowania głowy przed rzeczywistością. Narcyza, przeciwnie,

<sup>13</sup>Wanda wciąż niejako ukochaną „Panią” w krąg swoich bliskich — „Pokazuje się, że ja wszystkich prawie moich mam przez ciebie i to pod różnymi tytułami, w różnych odcieniach, z mnóstwem różnych przyimków: przez ciebie, dla ciebie, z tobą, koło ciebie, w tobie itp. itp. Istotnie, poza tobą, wyjąwszy jednej samodzielnie występującej Juloty [Ignacowej Baranowskiej], to wszystkich wspólnych zbliżyłaś mi zawsze, a niewspólnych to bez ciebie miałam tak mało, jak gdyby najdalej los ich usunął” (List do Wandy z 17. sierpnia 1868). [przypis redakcyjny]

<sup>14</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

lubi widzieć wszystko; patrząca w świat śmiałym okiem, zwykła zapuszczać zwłaszcza sondę we własne serce, owym — jak sama nazywa — „podkostnym, podwnętrznościowym, podsercowym samobadaniem”; stara się tedy niszczyć w Wandzie konwencjonalizm, pruderię, idealizm nawet, ów nieco zdawkowy idealizm, który mnie jeszcze jako małego chłopca raził w mojej matce i utrudniał z nią porozumienie. Dwukrotne załamanie najdroższych nadziei otrzeźwiło Narcyzę z bujania po obłokach fałszywej idealizacji; staje się poetką powszedniego dnia, apostołką pracy, nauki, codziennego wysiłku. Rzuca się w rozpoczynający się wówczas tak żywo ruch przyrodniczy; stara się weń wciągnąć młodą przyjaciółkę, sama czyta, kształci się gorączkowo, ciągly jej refren, to: „Ucz się Wando!”. Wita powstający nowoczesny świat równości, świat pracy, świat pieniądza: kto tego nie rozumie, ten, jej zdaniem, nie rozumie nic; wyswobodzenie się z zależności materialnej da kobiecie wszystko, a nie jałowa wojna o hasła i programy. „Choćbyś się jak po zażyciu chininy bez opłatka wzdrygnęła, moja Wando rozmarzona, to jednak tego nie przeprzesz, że pieniądze są wolnością. Pieniędźmi, *swoimi* pieniędźmi, *zarobionymi* pieniędźmi, zmusi kiedyś kobieta napoleońskich Francuzów do zmiany całych rozdziałów w sławnym cesarskim kodeksie. Pieniędźmi ugruntuje również równość małżeńską i władzę macierzyńską (...)”. Zabawne jest, że ta apoteoza pieniądza wychodzi z ust poetki, zwrócona do panienki z mieszczańskiego domu. I tak Narcyza wciąż, wciąż otwiera głowę tej, którą raz, gderząc żartobliwie, nazywa „rozpieszczoną dewotką ideału”.

Nasuwa się zrozumiałe pytanie, czemu Narcyza to wszystko, co uważała za potrzebne dla społeczeństwa, przelewała w jedną duszę, zamiast wołać to i głościć publicznie. Tu dotykamy cierpienia, które nurtowało pisarkę.

Twórczość Żmichowskiej biegnie bardzo łamaną linią. Witana od razu z zachwytem i nadzieją, dochodzi szczytu w epoce, gdy, dojrzała bólem i zawodem osobistym, pisze ową olśniewającą *Pogankę*, która była niezwykle zjawiskiem w ówczesnej atmosferze literackiej kraju. Po niej — subtelna *Książka pamiątek*. Ale atmosfera nie sprzyjała pisaniu, nabrzmiała pragnieniem czynu, nadziejami, które ożywiają przed „Wiosną Ludów” całą Europę. Narcyza rzuca się w działanie, co zaprowadziło ją do więzienia. Potem Lublin. Odcięta od ruchu umysłowego, skrępowana, skazana na zarobkową pracę — razem blisko dziesięć lat straconych. Ledwie trochę Narcyza przyszła do siebie, wybucha rok 1863, znów wypędza ją z Warszawy i skazuje na milczenie.

Na pozór można by w tym widzieć brak inicjatywy. Ale zważmy, iż stanowisko kobiety-pisarki nie było wówczas łatwe. Żmichowska była w owej epoce u nas unikatem, niemal monstrem. Była przy tym zbyt samodzielna, zbyt niezależna, nie umiała się wpręgnąć w służbę żadnego obozu. Dla białych czerwona, dla czerwonych biała; dla jednych zbyt poetka, dla drugich zbyt pozytywistka, męska głowa z kobiecym sercem, literacko wyprzedzająca epokę, dająca skoncentrowaną myśl w nowych formach, gdy u nas żądano od pisarki słodkawej gawędy. Dziś owa epoka wydaje się epoką „trzech wieszczów”; ale wieszczę byli daleko<sup>15</sup>, a w kraju była martwota. Weźmy przy tym nikłość ruchu wydawniczego, dzienników. Najpopularniejszy jej utwór, *Poganka*, nie ukazał się osobno w wydaniu książkowym!

Niezbyt łatwa do pióra, potrzebowałyby zachęty, atmosfery. Miała ją w epoce, gdy Dembowski zakładał „Przegląd Naukowy”, gdy skupiali się koło niej *entuzjaści* i *entuzjastki*. Teraz potrzebowałyby tego więcej niż kiedykolwiek, a nie ma; nici się porwały, nawiązać je trudno. Wytwarza się w Narcyzie istny kompleks zwątpienia, niewiary w siebie. Doświadczenia z redaktorami, którzy przetrzymują, okrawają, zmieniają jej utwory — pogłębiają ten kompleks. *Poganka* wyniosła ją w opinii tak wysoko, że utrudniła jej dalsze pisanie. Żądają od niej wlotów romansowej fantazji, gdy ona już dojrzała do innej drogi. Pamiętajmy zresztą o cenzurze, której wielcy nasi poeci szczęśliwie uniknęli, a która dla Żmichowskiej bardziej była paraliżująca niż dla kogokolwiek innego. No i o tej drugiej cenzurze „dobrze myślących panius”, co to — wedle jej wyrażenia — chrupiąc makaroniki, deklamują o nauce Chrystusa”. Ona sama gubi się w sobie, nie umie już

<sup>15</sup> *ale wieszczę byli daleko* — dość wymowny jest ustęp z listu Narcyzy, kreślony z powodu śmierci Moniuszki: „Przypomniałam sobie, kiedy w 54 r. doszła wiadomość o śmierci także narodowej, także ogólnie znanej i cenionej znakomitości — o śmierci Mickiewicza. Wtedy koło mnie opowiadano jako szczególność, memu niby usposobieniu właściwą tylko, że jak nad ubytkiem własnego szczęścia zabołałam. Pierwej jeszcze Słowacki znikł bezpowrotnie, a ledwo kto wspominał, mało kto zasłyszał o jego zgonie”. [przypis redakcyjny]



odnaleźć swojej drogi; a raczej obiera tę, aby wszystkie bogactwa swej duszy wypowiadać w listach do najbliższych.

Nieraz w pracach o Żmichowskiej zdarza się spotkać zdanie, że talent jej osłabł. Nie sądzę, aby to było prawdą. W listach tych dużo jest mowy o pewnej „powieści autobiograficznej”. Wówczas nie może się zdobyć na jej napisanie. Ale w wiele lat [później] wraca do niej. I pierwsza część tej powieści, którą na łożu śmierci dyktuje siostrzenicom<sup>16</sup> (*Czy to powieść?*), jest klejnotem naszej literatury. Nie był więc prawdą upadek talentu; okoliczności jedynie, warunki, które tyle możliwości musiały u nas wytracić, złożyły się na to, aby jej zamknąć usta. Martyrologia tych, co pozostali w kraju!

Nie wyszło w niej źródło myśli, jak sama mniema. Świadczy o tym obfitość jej listów, ich treść. Toż to co chwila rozprawka na jakiś temat, gotowe felietony. I tę korespondencję prowadzi z wieloma bliskimi, w niej wypowiada całą siebie, płyną spod jej pióra nieraz świetne improwizacje, z tą szczerością, która przez ogół byłaby może niezrozumiana, na którą było zbyt wcześnie.

Listy jej do Wandy są tym cenniejsze, że wprowadzają nas w warsztat jej twórczości. Bo Wanda, w trakcie tej korespondencji, bierze się — bardzo nieśmiało — do pióra. Narcyza daje jej rady, kieruje jej smakiem, polszczyzną, ostrzega ją przed moralizowaniem, do czego młoda jej przyjaciółka zdradza skłonności, w końcu zaś proponuje jej rzecz, która — można się domyślić — musiała przerazić nieśmiałą Wandę: współpracownictwo<sup>17</sup>. Współpracownictwo z tą, którą Wanda uważała za jeden ze szczytów literatury! Nic dziwnego, że wzdraga się przed tym honorem. Dość długo ciągnie się korespondencja w tym przedmiocie. Myśl tej współpracy ma oryginalny początek. Próby przesyłane przez Wandę posiadają tę właściwość, że podniecają Narcyzę; niby to poprawiając jej szkice, niby to dopełniając je, często haftuje na jej kanwie swoje myśli. Tak np. ową bardzo zajmującą, mimo niewdzięcznego tytułu, rozprawkę *Rzecz o służących*<sup>18</sup>, napisała Narcyza na pracy Wandy. Zdawałoby się, że za tym „parawanem” czuje się swobodniejsza, zwolniona od odpowiedzialności ciężącej na dawnej Galbrielli. Poddaje Wandzie plan zmystyfikowania redaktorki „Bluszczu” pseudonimem, i w istocie pod pseudonimem *Filipiny* ukazała się ta rzecz w „Bluszczu”. Ale Żmichowska chce współpracy na szersze rozmiary, plan jej jest w istocie oryginalny: chce pisać do spółki<sup>19</sup> powieść... autobiograficzną. Posyła szkic do wypełnienia Wandzie: treścią ma być „autobiografia zastanawiającej się kobiety”: wypełniony szkic ma wrócić do Narcyzy do ostatecznego retuszu. Biedna Wanda wzdraga się, broni — ale pisze przez posłuszeństwo: czego by nie zrobiła dla swej ukochanej Pani!

<sup>16</sup>*powieści, którą na łożu śmierci dyktuje siostrzenicom* — od zamieszkałej w Płocku rodzonej siostrzenicy Żmichowskiej otrzymałam następujące informacje: „(...) Rada jestem, że mogę pana dokładnie poinformować, gdzie i w jakich okolicznościach pisała Narcyza Żmichowska ostatni swój utwór. W lipcu 1876 r. ciotka moja, czując się już niezdrową, wynajęła letnie mieszkanie w ogrodzie zw. Frascati przy ul. Wiejskiej i tam zaczęła pisać *Czy to powieść?*. Już wówczas ukazywały się pierwsze objawy choroby, która ją wpędziła do grobu. Zmęczona pisaniem, przywoływała więc mnie na pomoc i dyktowała pierwsze rozdziały powieści. Po dwóch miesiącach pobytu na Frascati, wróciła ciotka do miasta, ale choroba robiła szybkie postępy. Chora nie mogła już utrzymać pióra, ani cokolwiek robić rękami. Widząc, jak pragnęła dokończyć swą pracę, my, cztery siostrzenice mieszkające wówczas w Warszawie, ustanowiłyśmy dyżury i kolejno pisałyśmy, podczas gdy ciotka dyktowała swą powieść... Ciotka mówiła wolno, abym z pisaniem nadążyć mogła, ale nader płynnie i zatrzymywała się tylko, gdy bóle rąk stawały się silniejsze. Wtedy rozpaczliwym ruchem załamywała ręce i zarzucała je na głowę, jednakże ani jeden jęk, ani jedna skarga nie wychodziła z jej ust. Gdy atak minął, wracała do dalszego dyktowania, tak pracowałyśmy czasem dwie i trzy godziny. Odczytywałam następnie głośno napisane arkusze, aby sprawdzić, czy nie należy czego poprawić, co się rzadko kiedy zdarzało, po czym odsyłała rękopis do redakcji »Wieku«. W pierwszych dniach grudnia trzeba było poniechać wszelkiej pracy, a w samą wigilię Bożego Narodzenia nastąpiła śmierć. Oto co chciałam panu powiedzieć po przeczytaniu artykułu o Narcyzie i Wandzie, który z innego jeszcze względu zajął mnie i wzruszył, przenosząc myśl w odległe lata wczesnej mojej młodości; — i dla Wandy bowiem najwyższą cześć chowam w głębi serca. Matkę pana poznałam na Miodogórze, gdzie w r. 1866 umieszczono mnie w zakładzie naukowym p. Bąkowskiej, późniejszej doktorowej Baranowskiej. Przez przyjaźń dla „cioci Narcy”, panna Wanda Grabowska zaproponowała, abym poza wspólną nauką z innymi panienkami brała od niej lekcje literatury i historii. Dwa razy więc tygodniowo zbiegałam na dół na te mile lekcje, które się odbywały w pokoju panny Wandy, i bardzo długo jako drogocenną pamiątkę przechowywałam kajet z wypracowaniami poprawianymi jej ręką. Do tych uczuć łączyć się będzie głęboka wdzięczność dla Matki pana, gdyż rozumiem dobrze, iż przez Nią i dla Niej odgrzebuje pan z niepamięci wielką postać Narcyzy, za co i panu też w imieniu rodziny poetki dziękuję... Stefania Paprocka, córka Lilii ze Żmichowskich Zalewskiej”. [przypis redakcyjny]

<sup>17</sup>*współpracownictwo* — dziś popr.: współpraca. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Rzecz o służących* — zamieszczona w 5. tomie *Pism Żmichowskiej* (Warszawa 1885). [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*do spółki* — dziś: do spółki. [przypis edytorski]

Pisze — pod tym właśnie tytułem — powieść, której rękopis znalazłem w papierach matki, i posyła ją Narcyzie. Powieść ta zaczyna się posłusznie od pierwszego zdania planu podanego przez Żmichowską.

Współpracownictwo rozchwiało się. Jakaż mogła być współpraca między młodą osobą próbującą pióra a tym dojrzałym talentem, drążącym w głąb, bogatym w doświadczenia i myśli! Widząc opór Wandy, Żmichowska zrezygnowała, mimo że jeszcze w parę lat później próbuje ją namawiać. Sama na tej kanwie pisze na schyłku życia *Czy to powieść?*

W czasie owej korespondencji Narcyza uświadamia sobie cechy charakteru Wandy. Zdaje sobie sprawę z tego, co nazywa jej „innością”.

„Inną jesteś Wando; kiedyś, kiedyś, jako żona i matka znów przemianę odbędziesz, i może wtedy lepiej zrozumiesz, jakie władze ci przybędą, a lepiej ocenisz zbywające”.

Kiedy Narcyza pisała te słowa, zdawały się one utopią. Wanda miała wówczas lat 26. W owych czasach było to bardzo dużo, zaczynała być dosłownie starą panną. Nie umiała — nie byłaby inaczej wychowanką Narcyzy! — wchodzić w kompromis z sercem, czekała na swego marzonego królewicza. „Staropanieństwo” było udziałem wielu przyjaciółek Narcyzy, tych, z którymi czuła się najbliższej. Były wśród jej bliskich panny wybitnej urody, bogate, jak Bibiana Moraczewska, jak Paulina Zbyszewska, piękne jak Izabella Zbiegniewska. O źródle niechęci do małżeństwa w owych czasach, o wyższym poziomie kobiet od mężczyzn, pisałem gdzie indziej.

Charakter Wandy? Można powiedzieć, że rysem jego była melancholia. Straciła wczesnie matkę, dorastała w gorączkowej, żalobnej atmosferze ówczesnej Warszawy z roku 1863, wczesnie dostała się pod wpływ Żmichowskiej, który pogłębił ją, ale zarazem kazał sobie stawiać wysokie wymagania i tym samym wciąż ocierać się o zwątpienie. W szlaki myśli, w których Narcyza bujała swobodnie, Wanda nieśmiało dała się pociągać. Kto wie, jak zaciężała na jej rozwoju ta supremacja? Kiedy się nad tym zastanawiam, sądzę, że dla młodej dziewczyny nie była to najlepsza szkoła, ta kąpiel w smutku, rozczarowaniu, to nazbyt absorbujące uwielbienie. Może i na inne przeżycia, nie tylko literackie, owo uwielbienie dla swej mistrzyni działało paraliżująco.

Wiąże ono wszystkie siły jej serca. Wobec takiego stanu egzaltacji, czyż nie musiał się wydać płaskim każdy „porządny człowiek” zalecany jako „dobra partia”, uderzający w konkury? Oto parę urywków z listów Wandy, które znalazłem (zapewne jako część puścizny po Narcyzie) w jej papierach:

„O, ja się nigdy nie pytam, czy kiedyś, czy zawsze tak panią kochać będę mogła jak dzisiaj, bo mogę się sobie pomyśleć — wystawić — we wszystkich fazach nicości, apatii, oschłości, bezmyśli — ale mojego serca, mojej istności bez Pani imienia wyobrazić sobie nie umiem, bo ono jest tym *najwięcej*, jakie mi danym było ukochać w tym życiu. Jedyna jest porównawczą skalą, którą miłość mierzę, bo gdy zapytam, to wszystkie tętna odpowiadają: tak! Więc poznawszy takie ukochanie, czy mogę uznawać połowiczne? Wszak prawda, że miłość jest tym nieomylnym uczuciem, które się wypowiada, wykrzykuje, zanim do auskultacji<sup>20</sup> się zabiorą... Jest? jest...”

Ludzie utrzymują, że miłość rodzi z siebie tylko chwilki — iskierki — niezabudki — potem następują całkiem odmienne uczuć fazy; ale ja z dziecinnym uporem i z dziecinną nieświadomością wołam, że ideał uczucia przetrwa czasy i epoki. Kto raz ukochał, kocha do końca; szal znika, ogień w mniej tęczowe może tli się blaski, ale miłość zostaje. Czy ja mogłabym przestać kochać moją Wybraną? Ja jedną tylko taką miłość pojmuję — tę, o której tyle cudnych wiecznych słów powiedziała Poezja — nazwaną egzaltowaną — nieprawdziwą, tak jak gdyby piękno, ideał, harmonia, nie były prawdą; jak gdyby Bóg nie był tchnął duchem w człowieka...”

(1865)

<sup>20</sup>auskultacja (med.) — osłuchiwanie narządów wewnętrznych. [przypis edytorski]

Jeszcze jeden urywek, który da miarę tonu tego stosunku. Egzaltacja, oczywiście; ale to pewna, że w tej korespondencji dwóch kobiet na przestrzeni kilkunastu lat nie znalazłoby się ani jednej małości:

„O, gdybym miała w duszy i umiała oddać w słowie jedną pieśń Gabrielli — jedną pieśń Poganki — jedną *definicję* katechizmową najświętszych uczuć i myśli, to — zdaje mi się, nie, jestem tego pewna, nic by mnie nie wstrzymało od pisania i drukowania. Życie byłoby mi wypełnione i niedola nawet łatwiejsza do zniesienia, bo miałabym z czego *wyżyć* i często żywić ludzi. Może się to pani wyda zbyt płytkim sądem? Może pani znów na karb »nieświadomości« mi te słowa zaliczy? A przecież ja w przeczuciu, jeśli nie w pojęciu — mam wszystkie Faustowskie, Byronowskie bóle i zwątpienia — i wszystkie cierpienia Jobowe<sup>21</sup>, i gorsze jeszcze może cierpienia geniuszy. Atom dzieli się na atomy, zatem i ja czuć mogę, czym musi być dusza życiem i istnieniem tysięcy żyjąca — zawierająca w sobie taką mnogość charakterów, namiętności, żądz, marzeń i pojęć. To wielkość potworna, apokalipsy — a ludzie nie pytają o części składowe, o wpływy i okoliczności, zwołują o światło słoneczne — jasne, gorące, jednostajnie świecące — niezachodzące nigdy, nigdy niedopuszczające zaćmienia. Prawda, pani moja? Chciano by geniuszowi wydrzeć jego własne, jednostkowe serce, a dać w zamian serce ludzkości — i dopiero wtedy zarzucono by ci brak uczucia...”

(30 kwietnia 1865)

Pisze to Wanda dwudziestoczteroletnia. Mija lat kilka i nic się nie zmienia w jej życiu, jej uczuciach. Oto jak pisze do Narcyzy Wanda trzydziestoletnia:

„Niech mi Najdroższa coś o sobie i otoczeniu napisze, tak mi tęskno za Jej dobrym słowem jak nigdy, albo raczej zgodniejsza będę z prawdą, gdy powiem *jak zawsze!* Tylko że przy rozstaniu tak mi było ciężko i smutno, że byłabym chciała koniecznie choć chwileczkę popatrzeć na panią jeszcze — i choć nie mogłam mieć nadziei, na kolei czekałam — czekałam. Ach! kiedy zobaczymy się znowu! Może za jakie sześć tygodni? Ukochana już będzie w Dębowej. Wszak tak? Ja nigdy sobie nie rościłam praw do żadnych zwierzeń, ale trudno mi wyrazić, jak mnie boli, gdy czegoś, co Najdroższą, a więc mnie bezpośrednio dotyczy, nie wiem, a przeczuwam lub posłyszę. Uczucie moje takie gwałtowne i niecierpliwe, takie niespokojne. Niech Jedyna pomyśli, jakby jej było, gdyby — gdyby kochała jak ja kocham, a tak małeńko mogła Ukochaną w posiadanie swoje zyskać — tak mało zaufania zdobyć, po tylu, tylu latach. Ach, to smutno, ale musi być zasłużone pewnie...”

To już zaczyna być bardzo niebezpieczne... I oto, kiedy zdawałoby się, że Wanda na całe życie pozostanie cieniem swej Ukochanej, że położyła już krzyżyk na swym życiu osobistym, na swym powołaniu kobiety, naraz zjawia się królewicz z bajki, człowiek, który spełnia i przewyższa najśmielsze jej marzenia.

Był nim głośny już muzyk, Władysław Żeleński.

Ale pozwólmy mówić samej Wandzie. W parę miesięcy po owym ostatnim urywku, Narcyza odebrała od niej następujące zwierzenie. Jakiż inny jest ton tej najautentyczniejszej miłości — pozytywny, jasny, prosty:

„Dnia 9 grudnia 1871 r.

Wystawiam sobie, że atmosfera spokoju, rozlana w ostatniej mojej korespondencji, zdziwiła panią, a może nawet zaniepokoiła. Spieszę z wyjaśnieniem tej zagadki, zaczynając od przeproszenia, że wyjaśniam ją tak późno.

<sup>21</sup>*Jobowy* — Hiobowy; właściwy wystawionemu na próbę przez Boga biblijnemu Hiobowi. [przypis edytor-ski]

Tyle razy zajmowałam Ukochaną opisem moich trosk i smutków, iż z prawa należy Jej się szybszy podział wiadomości, że szczęśliwą jestem. Fotografia wypowiedziała wszystko, zanim ja zdążyłam — słowa moje dostarczą więc tylko jakichś dopełniających szczegółów. Już od dwóch tygodni Władysława Żeleńskiego za narzeczonego uważam; a jednak, oprócz sióstr i ojca, nikt jeszcze nie wie o tym. Zrazu czekaliśmy odpowiedzi jego matki, którą w sam dzień św. Cecylii, po koncercie wspólnie wysłuchanym, o zamiarach swoich uwiadomił. Mnie nie zależało na rozgłosie, lecz gdy nie ma powodu robić tajemnicy z rzeczy ustanowionej dziś, jutro całą rodzinę i wszystkich życzliwych uwiadomimy o tym. Mój naręczony dawno mnie napominał, by pisać do Najdroższej, o której mówimy niemal codziennie, ale nie pisałam. Ręczę, że mi pani tego nie weźmie za złe, a owszem wyrozumie.

Dużo przecierpiałam w życiu, ach, ale teraz Opatrzność tak szczerze mnie ubogaca, że doprawdy czasami rzeczywistość wydaje mi się być snem uludnym i znikomym *fata morgana*. Nikt lepiej od Pani nie zna wymagań moich od życia. Otóż, jeżeli Bóg pozwoli, wszystkie one spełnionymi zostaną. Znalazłam człowieka, który mi oddaje serce tak czyste, gorące, szlachetne, że to jedno mogłoby już starczyć na uszczęśliwienie. W dodatku jest on wielkim artystą, którego czeka wielka praca, by się z talentu swego wypłacił ludziom, ale czeka go też sława, chcę mówić, uznanie wszystkich pojmujących sztukę i stanowisko, jakie się takiemu mistrzowi należy w kraju. Jest to młody, w samej sile, w samej pełni władz człowiek; chciałabym powiedzieć poeta. — Kocham Go z przymieszką uwielbienia — z wiarą w jego duszę szlachetną, w jego przyszłość piękną. I z tak dziwnym spokojem patrzymy oboje na drogę naszą jak ludzie, którzy wiedzą, że z raz obranej cofnąć się nie mogą i że się nawzajem pokrzepią, umocnią i uszczęśliwią.

Gabriella z drogi swoich ukochanych pragnęła artystów usunąć. Nie posłuchałam Jej rady! Wpłatałam sobie w życie tego, którego mam za artystę biorącego rozbrat z przeszłością; to artysta nowej szkoły, u którego artyzm jest owym »czymś więcej«, dodatkiem do człowieczeństwa. Zobacz pani, jaka to u nas będzie ciągła niedziela, chociaż oboje twardo zabierzemy się do pracy! Pamiętam, jak mi Najlepsza kiedyś rzekła: bodajby życie twoje *pięknym* było! I ja o tym marzyłam zawsze, ja tego potrzebowałam jak powietrza, jak słońca, to było warunkiem zdrowia i wesela mojego, otóż ono musi być pięknym! Dziewczynką młodą, czytając *Consuelle*<sup>22</sup> — płonęłam żarem na samą myśl takiego oddychania wzniosłymi, czystymi wrażeniami, jakich dostarcza jedynie sztuka, gdy się jej używa z ukochanym, który nas w nią wtajemnicza. Zbudujemy sobie świątynię na wysokiej górze i będziemy bliżsi tego, co dobre i święte. Władysław wybrał mnie, jak powiada, na towarzyszkę życia, bo chce, by ono było pełne treści; ja go przyjąłam, bo w niego wierzę. A żeby pani wiedziała, jak dumną i szczęśliwą jestem z tego, że mi się uda Ją wzbogacić stosunkiem mającym tyle warunków odżywienia, że chyba mu się pani nie oprze. Tak, ja jestem pewna, że wam będzie dobrze razem, że pokochacie się nawzajem. Władysław marzy o tym, byśmy się co prędzej do Dębowej Góry wybrali, a ja się cieszę, że pani po Świątach przyjeżdża; czemu nie pierwszej jeszcze? Zobacz pani, jak godnym szacunku, uczucia jest mój naręczony, bo to szczeropolskie serce od razu przeniknąć się pozwala, takie szczere, gorące, wypowiadające się. A co mu dodaje wdzięku najistotniejszego w moich oczach, to wyemancypowanie się z przesądów, z ciasnoty arystokratycznej swojego otoczenia. Stworzył własną siłą swój świat — zdobył się odważnie na karierę artystyczną — i odbiegł daleko duchem. — Bo mój orzeł szybuje po wyżynach! Gdyby pani słyszała jego wczorajszą improwizację albo wykonanie Beethovena — albo wreszcie

<sup>22</sup>*Consuelle* — tu: George Sand (1804–1876), fr. pisarka, popularna zwł. w okresie romantyzmu; pseudonim od tytułu jej powieści *Consuelo*, publikowanej pierwotnie w odcinkach, w latach 1842–1843 w czasopiśmie „La Revue indépendante”, opartej po części na wątkach romansu autorki z Fryderykiem Chopinem. [przypis edytorski]

jego własne piosenki! Teraz *tworzymy* największe dzieło nasze: tworzymy symfonię, która w muzyce polskiej będzie tworzyła epokę, jak obrazy Matejki tworzą epokę w malarstwie. Za lat kilka spytam pani, czy sąd mój jest urojonym wnioskiem zakochanej kobiety, czy instynktowym sądem osoby czującej muzykę sercem. Jego kariera muzyczna będzie głównym celem naszego życia, chociaż mnie czeka także praca, ale to rzecz tak podrzędna, że o niej mówić nie warto. A wie pani dobrze, dlaczego to mówię. Wartość pracy zależną jest od twórczej potęgi. Otóż w tym człowieku tak wielki zasób talentu, że wszystko trzeba ześrodkowywać i urządzać odpowiednio do potrzeb jego ducha, żeby żaden atom nie zmarniał, żeby się nie rozpraszał i zewnętrznymi wpływami bogacił, nie ubożył. Musi pani przyznać, że wybór, jaki uczynił, wzywając mnie do podziału życia, także świadczy bardzo na korzyść jego charakteru, umysłu, a nawet, powiedziałabym, pewnej artystycznej intuicji. Zamknięta w sobie, przygnębiona ostatnimi wydarzeniami, mniej jak kiedykolwiek byłam tą Wandą, którą pani zna najlepiej i która łaskę w Jej oczach znalazła. Zналиśmy się wprawdzie od wiosny i wtedy już dom nasz ciągnął go prawie codziennie, szanowaliśmy się, rozumieliśmy się, łączyła nas najżywsza sympatia, ale mnie na myśli nie powstało nawet, że dolatujące stąd i zowąd przepowiednie, wnioski, istotnie sprawdzić się mogą. Wie pani, pod jakimi wrażeniami wróciłam z Galicji. Jemu trudno było sobie wytłumaczyć tego stanu<sup>23</sup> przygnębienia, tego zapatrzenia się w dal i widoczne udręczenie... Dzień imienin pani, pamiętam, był z góry ułożony. Pan Władysław miał być na obiedzie i w teatrze z nami. Ja, jak pani wiadomo, frunęłam do Dębowej; wtedy mu się zdawało, że z jego postanowienia nic nie będzie, że ja mam mój świat odrębny, własny, moją Gabriellę, że spoza tego koła zakłętogo wyjść nie chcę i nie potrzebuję. Jednakże, gdy wróciłam z kolei, jeszcze kilkogodzinna toczyła się rozmowa. Listopad był ożywiony. Jego muzyka podarowała mi najlepsze, najsilniejsze wrażenia; jego stosunek był mi najmiłszym, zwłaszcza, że w miarę poznawania pana Władysława, szacunek mój się potęgował. Zdawało się, że położył sobie za zadanie rozruszać mnie i ożywić. Dom nasz, przez czas pobytu Adolfa<sup>24</sup>, miał inny charakter, a nikt z gości tak mu nie dogadzał i nie wtórował jak pan Żeleński, którego zacnego ojca znał i kochał, a jego samego pamiętał przebiegającego paluszkami po stole. O tym ojcu poczciwym, o tej całej rodzinie, o matce, którą kocha szalenie, opowiem pani kiedy indziej. Dwa tygodnie temu, jak powiadam, dowiedziałam się o wyprawionym do matki liście, a więc o zamiarach Władysława. Przegadaliśmy kilka dni. 30-go (w dniu św. Andrzeja) oświadczył się ojcu i z siostrami moimi się cieszył, bo je kocha wszystkie razem i każdą z osobna, one mu najżyczliwsze, najprzychylniejsze — w najróżniejszych barwach widzą przyszłość naszą. A jaki to szwagier stworzony dla Adolfa, z którym go, obok innych rzeczy, łączy dowcip, wesołość; dla Władysława<sup>25</sup>, z którym łączy go muzyka! A jaki zięć dla ojca. — Nie uwierzy pani, jak mnie cieszy ten serdeczny stosunek jego z ojcem. Przynieść ojcu jakąkolwiek pociechę, było zawsze jednym z najgorętszych moich marzeń.

Droga pani! posiadany skarb do tchórzostwa mnie usposabia. Niechaj nam pani przysze<sup>26</sup> słowo swojego błogosławieństwa. Nikt nie umie tak się ucieszyć jak Ona. Przybędzie więc nowy promień słoneczny do radości naszej wspólnej, gdy się pani z nami rozraduje. »Bądź szczęśliwą, tego jednego chcę od ciebie«, mówiła mi pani, gdyśmy się widziały ostatni raz. Przychodzę więc uwiadomić Najdroższą, że dostałam zaproszenie do Olimpu, że mam nadzieję odmłodnieć, odżyć i z całą potęgą uczuć zabrać się do dzieła stworzenia światka, własnego naszego światka.

<sup>23</sup>trudno było sobie wytłumaczyć tego stanu — dziś z B.: (...) wytłumaczyć ten stan. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>czas pobytu Adolfa — Tetmajera. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup>szwagier (...) dla Władysława — Kwietniewskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup>przysze — dziś: przyśle. [przypis edytorski]

Dotychczas odkryłam jedną jedyną wadę w tym małżeństwie, pochodzącą z tamtej strony (o moich niedostatkach wołę nie wspominać, jere-miada byłaby zbyt długa i smętna). Mówię o arystokratycznych jego koligacjach i stosunkach. Życie jednak na moim mieszczańskim ma się rozwinąć gruncie i to wiele ułatwia. Zresztą mój „doktor filozofii” jest wyzwolonym z szlacheckiego szlachcicem, chce zostać mieszczańskim, człowiekiem pracy użytecznej oddanym i pięknie powiada, że dwóm panom służyć nie można. Toteż tak się zgadzamy w pojęciach co do przyszłego urządzenia domu, planu życia etc., że się aż pani zdziwi kiedyś. Wprawdzie pani mnie nazwała raz poganką, a on jest artystą — grupa czysto grecka...

Jest to niewypowiedziane wielką radość i pociecha znaleźć to, czego się zawsze szukało i, w chwili wiązania losu z ukochanym, nie potrzebować odstąpić ani na jotę od swoich młodzieńczych marzeń. Niech pani spojrzy w tę twarz znaną, prawą, szlachetną, niech pani pobłogosławi to serce jedyne i westchnie wraz ze mną, by Bóg dał dość prędko do skutku naszym życzeniom zobopólnym. Duchem połączyliśmy się od dawna na zawsze, ale ślub dopiero złączy dwa życia nasze w jedno i da początek nowej drodze. Tak odwykłam od szczęścia, ale niechaj Bóg nadziejom naszym uczyni zadość!

Nareszcie znalazłam kogoś, co mi Gabriellę na fortepianie wygra i uwieczni w tonie. Zobaczysz pani, że to będą rzeczy śliczne. Musi się pani z całym śpiewnikiem zapoznać. Niestety, u nas nie ma fortepianu. Ile rzeczy by się było urodziło, ile byłoby się użyło muzyki. — Ha! nie ma o czym mówić, trzeba na te rozkosze czekać jeszcze, czekać. Używanie będzie tym doskonalsze.

Do ust przyciskam ręce Ukochanej, całuję Jej oczy, czoło i całą duszą obejmuję. — Do prędkiego listu!

*Wanda.*

...Dlaczego pani mi chociaż kilku arkuszy przez Edwarda nie odesłała? Są godziny, w których by mi najłatwiej<sup>27</sup> taka robota poszła. Rada bym to oddać jak najszybciej. — Zdaje się, że okazji musi pani mieć wiele do Warszawy. Chyba, że robota tak żmudna dalej jak z początku. Nie mam słów na przeproszenie Jedynej, chociaż ludzie *szczęśliwi* powinni też być wymownymi. Kiedyż jak nie teraz?

PS List dla Pani. Proszę go spalić”.

Odzew Gabrielli na tę wiadomość znajdujemy w liście do *Elli* (4 lutego 1872). Charakterystyczne jest, jak nawet ta poetka, ta kobieta bez przesądów, czuje się w obowiązku korygować wrażenie, że narzeczony Wandy jest „artystą muzycznym”, tym że jest „magistrem czy doktorem praskiego uniwersytetu” etc. O, czasy!

„Wanda przyszła nam towarzystwa dotrzymać. Zdarzyło się tak szczęśliwie, że to mogła bez żadnej ofiary ze swojej strony uczynić. Pan Żeleński był tego dnia u siebie zajęty jej rywalką — Symfonią; ale Wanda utrzymuje, że nie jest o nią zazdrosna; owszem, do wspólki troszczy się o nią i jej losy. Pewna jestem, że się nieraz w dziennikach warszawskich z nazwiskiem pana Żel[eńskiego] spotkałaś. Artysta muzyczny — i zdaje ci się, że wszystko już wiesz o nim. — Nie, moja Ello — to jest Magister czy tam D[okto]r prawa<sup>28</sup> z uniwersytetu praskiego — syn matki, która po rzezi galicyjskiej owdowiawszy z czworgiem dzieci, to jest córką i aż trzema chłopcami, sławnie na całą prowincję, rozumnie, poczciwie, surowo i wytrwale synów swoich edukację poprowadziła. Dwaj bracia są dziś wybornymi

<sup>27</sup>najłatwiej (daw.) — najłatwiej. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>magister czy tam doktor prawa — nie praw, ale filozofii. Ponieważ matka W. Żeleńskiego miała wiele przykrości ze sfer ziemiankich z powodu kariery muzycznej syna (doszło nawet do zbiorowych protestów!), ten, wdzięczny matce za zostawienie mu swobody, „zobowiązał się solennie do uzyskania tytułu doktora filozofii, by zdobyciem godności akademickiej uwolnić ją przynajmniej częściowo od pretensji ziemiankich” (Szopski, *Władysław Żeleński*). [przypis redakcyjny]

gospodarzami, trzeciemu w naddatku dar muzyki się dostał i to nie było jakiego koncertanta, ale już ze sfery mistrzów twórczych i znakomitych. Że zaś, według ewangelicznej sprawiedliwości, temu, co ma dużo, jeszcze więcej przyrzuconym będzie, ten więc rozumny człowiek, wysoko uzdolniony muzyk, jest jeszcze coraz rzadszym dziś typem prawdziwie młodego młodzieńczego charakteru — swobodny, wesoły, dowcipny, rześki, energiczny i bardzo przystojny. — Wszystkich naszych znajomych oczarował — prócz mnie jednej; ale to dlatego tylko, że ja właśnie jedna nie poznałam się z nim dotychczas. Przy pierwszym spotkaniu ogólne wrażenie podzielię, jestem do tego już najzupełniej przygotowana. Nie uwierzysz, Ellina, co to dla mnie za pociecha *takie* zamążpójście Wandy. A toż wszystkie mamy i ciocie boczyły się na mnie, że młodym osobom w głowie przewracam, że niepodobne do zrzeczywistnienia ideały stawiam im jako obowiązki. Ile razy zdarzyło mi się odezwać, że kobieta powinna z miłości tylko iść za męża, a przygotować się do tego moralnie i umysłowo w taki sposób, by jej natura mogła tylko zacność i rozum w wybranym przez siebie ukochać — ile razy, jak powiadam, natrącałam z tej strony, strach wnet padał ogólny, że chyba namówione przeze mnie dziewczęta, tak jak ja, za męża nigdy nie pójda. No, strach był przedwczesny; dziewczęta nie tak łatwe do przyjęcia »literackiej« rady, a mój własny przykład fatalnie zniechęcający. Teraz zdaje mi się, jakby mi Wanda na usprawiedliwienie i ilustracją<sup>29</sup> wszystkich moich przekonań stanęła; dawniej miałam Julię<sup>30</sup> tylko jedną — wyglądała jak przypadek. Lecz Wanda obok niej, nie licząc jeszcze jednej z jej siostr, co równe miałyby do tego prawo, to już pewnie komplet składa. Ciekawa jestem, czy byś jeszcze dzisiaj zarzuciła głosowi Wandy jakiś wewnętrzny niepokój? Mnie się zdaje, że zupełnie przyszła z sobą do równowagi; taka jest pewna »przyszłości«, że *los* nawet nie ma dla niej żadnej zatrważającej duszę kombinacji, śliczne to takie stowarzyszenie ubezpieczające przeciw pożarom, rozbiciom, zniechęceniom, wyczerpnięciom i moralnym upadkom wszelkiego gatunku...”

Ślub odbył się w kilka miesięcy potem, w kwietniu roku 1872.

„Spieszę powitać Ukochaną z mojego mieszkania i przesłać jej kilka słów na nowym biurku skreślonych. Co robimy? Ach, używamy szczęścia! Łatwo przywyknąć do tej niezwykłej w życiu moim sytuacji...”

Oczywiście od zamążpójścia Wandy ton jej listów się zmienia. Nie aby w czymkolwiek uczucie jej osłabło, nawet nie można powiedzieć, aby się podzieliło — każde z jej dwu ukochań miało swoją nienaruszoną pełnię — ale weszło w jej życie mnóstwo „realności”, takich jak dom, dzieci etc. Mimo to znajduje czas, aby ogłosić w „Tygodniku Ilustrowanym” studium o Gabrielli (1873), które bibliografowie notują jako pierwsze studium o poetce, nie wiedząc nawet, czym ów „Stefan” jest pseudonimem. Píše o tym do swej Ukochanej sama Wanda:

„Co pani mówi na *Listy Stefana* wychodzące w »Tygodniku«, ku wielkiej mojej pociesze? Dowiaduję się w tej chwili, że zwracają uwagę. Nawet kronikarz »Kłósów«, mimo przeciwnego obozu, raczył bardzo chwalić recenzenta, a przy tej okazji i autorkę. Ucieszyło mnie to do dzieciństwa. Ze wszystkich prac moich, tę sobie cenię najwyżej i okropnie żałuję, że wychodzi bez podpisu. Niechby cały świat wiedział, że Wanda Gr[abowska] w tak nieudolny sposób, ale z taką miłością o swej uwielbionej Gabrielli pisze. Stało się...”

Jak pokierowało się życie Wandy? W ciągu pięciu lat miała trzech synów. Władysław Żeleński, powitany jako pierwszy kompozytor w kraju, następca Moniuszki, zażywał najzaszczytniejszego stanowiska. Ale oto przykład, do jakiego stopnia ówczesne położenie polityczne zaciążyło nie tylko — co jest oczywiste — nad narodem, ale jak wykrzywiało każde prawie życie indywidualne. Ojciec był dyrektorem Towarzystwa Muzycznego

<sup>29</sup>na ilustracją — dziś B.: ilustrację. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>dawniej miałam Julię — Baranowską [przypis redakcyjny]

w Warszawie, w głowie snuła mu się muzyka do *Konrada Wallenroda*, był porywczy, nie umiał ani słowa po rosyjsku, ciężyły mu stosunki z władzami, mimo że, w sprawach artystycznych, siłącymi się na kurtuazję. W dodatku zbliżyła się pora, gdy synów trzeba było oddać do szkoły. Będąc rodem z Małopolski, nie miał ochoty powierzać ich szkole rosyjskiej. Była to okropna epoka owej szkoły, niedługo po słynnym spoliczkowaniu kuratora Apuchtina, epoka samobójstw młodych chłopców, gdy matki co dzień drżały o swoje dzieci, gdy za słowo powiedziane po polsku groziły najostrejsze represje. Wszystko to sprawiło, że w ojcu zaczęła dojrzewać myśl przeniesienia się do Krakowa, dokąd w istocie przeniósł się około roku 1880. Kraków był wówczas pustkowiec muzycznym; nie miał nawet orkiestry, kapela wojskowa pełniła jej funkcje. Dla artysty było to dobrowolnym wygnaniem!

Było to już po śmierci Żmichowskiej, która umarła w grudniu 1876 roku. Gdyby żyła, byłoby Wandzie jeszcze ciężej rozstać się z ukochaną Warszawą. W nowym życiu spełnił się jeden jej ideał: stała się najlepszą towarzyszką, pomocnicą męża, starała się zdjąć codzienne troski z głowy niepraktycznego, pochłoniętego swą sztuką artysty. Ale osobiste życie duchowe, ale marzenia i ambicje literackie Wandy zeszyły z konieczności na bardzo daleki plan. Czy cierpiała nad tym? Nie wiem. Uczucie jej dla męża było tak głębokie i bezwzględne, że wypełniało ją całą. Wówczas gdy zacząłem orientować się w tych sprawach, zdaje mi się, że była to już rzecz załatwiona, przy czym wrodzona nieśmiałość pisarska, za którą Narcyza tak strofowała przyjaciółkę, dopomogła może do tej rezygnacji. Jedno — to wiem na pewno — dręczyło ją całe życie: niespełnione pragnienie — potrzeba serca — aby wystawić trwały pomnik Narcyzie przez napisanie o niej monografii. Co jakiś czas matka wydobywała pliki papierów, robiła notatki, ale nie było ciągłości, nie było spokoju, rwało się! Bólem jej życia — jak rzekłem na wstępie — była owa niepamięć, która zasnuwała się koło imienia Gabrielli. Ona sama do ostatka pamięć o swej ukochanej zachowała tak żywą, jakby się wczoraj rozstały.

Dzisiaj mam w ręku te papiery, nad którymi widywałem matkę tak często. Są to przepisane przez nią wyciągi z listów, szkice biograficzne i osobiste wspomnienia. Przeglądam te karty: z niczym nie da się porównać ich entuzjazmu. To nie monografia ani studium literackie: — to dytyramb, apoteoza, nieustający potok uwielbienia. Najwyższy geniusz, najdoskonalsza świętość, wszystko przepojone najczystsza poezją — oto dla matki mojej Narcyza Żmichowska. I czytając te karty, stałem się pobłażliwszy dla mego młodocianego sceptycyzmu. Taki stopień zachwyty musiał wywołać odpór, musiał uczynić ostrożnym, musiał, w zetknięciu się z dziełem pisarki, stać się dla młodego chłopca przyczyną zawodu. Zarazem karty te uświadomiły mi dziś jedno; mianowicie ów potężny wpływ osobisty, jaki musiała posiadać Żmichowska na tych, z którymi się zetknęła. Brała dusze w jasyr: oddalenie, śmierć nawet, nie były zdolne osłabić tego uczucia. Czasem oddziaływanie to było negatywne. Opowiadała mi pani S. S., powinowata Edwardowej Dembowskiej i znająca ją jako staruszkę, jak ta kobieta, po sześćdziesięciu latach, nienawidziła Narcyzy, uważając ją za przyczynę zguby ukochanego Edwarda. Przechowywała mimo to listy jej do męża, nie rozstawała się z nimi, a przed śmiercią je zniszczyła. Korespondencja Narcyzy z Edwardem Dembowskim pozostała tajemnicą. Sądzę, że przykładów takiego magicznego działania osobistego znalazłoby się w literaturze więcej, a listy lepiej może zdołają je objaśnić niż dzieła, w istocie, u Żmichowskiej, z przyczyny specjalnych warunków, nieraz jakby szyfrowanym kluczem pisane. Dlatego kto wie, czy nie przez jej listy odnowi się przymierze między dzisiejszym pokoleniem a nią. Ale posłuchajmy w tym przedmiocie Wandy:

„Zdaje się nam niekiedy, że jedno pokolenie od drugiego dzieli jakiś mur nieprzeparty, że Ojcowie i dzieci nie rozumieją się... Zdaje się nam, że nasze ideały przestały być ideałami młodszych. Jeżeli jednak trzeba wierzyć w ciągnącą się nieprzerwanie nić tradycji u nas, to możemy być pewni, że prędzej czy później nadejdzie chwila porozumienia, że owi młodzi zajrzą do spiżarni, w której Ojcowie, skrzętnie i z miłością w sercu, gromadzili kapitał przyszłości. Jak w naturze nic nie ginie, a jednak są chwile pozornej śmierci i zaniku, tak i w dziejach zdarzają się mrok i posucha. I znowu zjawiają się jaśniejsze chwile, rzucające światło na wypadki i osobistości historyczne. Tro-



chę cierpliwości, a prawda zwycięży! Przed trybunałem historii, przecenieni i niedocenieni oczekują wyroku; niekiedy długo czekają swej rehabilitacji nazwiska potępione przez współczesnych, zanim sąd o nich sprowadzonym zostanie do zasłużonej miary. Obowiązkiem naszym gromadzić materiały ułatwiające trud przyszłego biografy. Miłość potomnych to nić łącząca żywych z umarłymi w służbie jednej idei; tryumf smutny, nagroda spóźniona, ale będąca rzeczywistym zadośćuczynieniem za piękne życie, dążące do jasno określonego celu. Niedostrzegalny na pozór posiew zdrowego ziarna, ogrzany słońcem miłości, musi wydać plon święty. Stąd ten spokój i ta wiara ludzi wyższych, pracujących dla przyszłości. Oni wiedzą, że jutro do nich należy. Spadkobiercy ich myśli, ich duchowej spuścizny, mogą przyspieszyć rozpowszechnienie się tego duchowego dorobku. Wskrzesza umarłych, kto ich postacie w właściwym przedstawia światło, kto potrafi własnym zapalem obudzić cześć im przynależną. Nietrudne to zadanie, gdy się ma do czynienia z osobistością tak zasłużoną w kraju, z duszą tak słoneczną, jak Narcyssa Żmichowskiej. Imię jej zabłyśnie pośród plejady imion uosabiających naszą siłę moralną, nasze bogactwo duchowe! Stanie się ona coraz droższą społeczeństwu, które, wnikańszy głębiej w jej dzieła, w jej listy, w jej życie, lepiej ją pozna i oceni, zespalając się w duchu i prawdzie z poetką, której się dostała w udziale »gwiazdka cierpień i tęsknoty, gwiazdka świętych łez...«.

Łzy te staną się kiedyś źródłem życiodajnym. Z nieśmiertelnej miłości płynące, zbudzą też uczucia nieśmiertelne. Narcyssa Żmichowska będzie żyła w pamięci potomnych jako poetka, jako znakomita myślicielka, wychowawczyni całego pokolenia, jako obywatelka. To, co ona napisała, jest zaledwie drobną cząsteczką tego, z czym się nosiła, co chciała powiedzieć dopiero »... braciom orłom w niebie!«.

...Nie trzeba się ludzić, Gabriella, wielbiona w kółku przyjaciół, przez szerszy ogół od razu zrozumianą nie była, jak dziś jeszcze nie jest w zupełności. Wspaniałą grę fantazji wzięto na marnowanie Bożego daru; to, co jej służyło za środek do wypowiedzenia myśli, dziecinnie za cel uważano. Prawda, że smutek dźwięczy na dnie każdego utworu, ale obok zmarnowanych, ileż tam typów dodatnich, chociażby tylko wspomnieć ten najcudniejszy *Wstępny obrazek z Poganki*, dający nam pojęcie o ideale chrześcijańskiej rodziny. Gabriella, której serce mieściło takie żary uczuć, ilekroć zaczepi o najbliższe, najświętsze stosunki, umie je przedstawić z odrębną siłą wyrazu i wdzięku, i w świetle jej samej tylko właściwym. Subtelne jej pióro nie ma sobie równego, gdy idzie o określenie najdelikatniejszych odcieni i duchowych zagadnień. Ona nigdy nie moralizuje wprost; zdobywa uwagę i zaciekawia czytelnika oryginalną formą i odrębnym porywającym stylem swoim; wprowadza nas niekiedy w prawdziwie wschodnie przepychy. Zrazu bogactwo języka, obrazów, myśli, uderza — obalamuca; zdaje nam się, że te cacka kunsztowne stworzone na to tylko, by nimi oko pieścić i ucho zachwycać; ale czytamy uważnie, a przekonamy się zawsze, że jądro zdrowego słowa, że promień gorącej duszy oświeca całą tę architekturę i że celem tych gmachów, mimo że stawiane z wspaniałym przepychem i zdobione niby drogimi kamieniami, przede wszystkim pożytek. Czy dodatnio, czy ujemnie przedstawia swoje typy Gabriella, cel ich jeden — nawrócenie na drogę prawdy i cnoty, zohydzenie złego, zelektryzowanie apatycznych — obojętnych!...”

Przewracam kilka kart i natrafiam na to, czego najbardziej szukałem: osobiste, bezpośrednie wspomnienia. Zbyt mało ich, niestety; ale te, co są, oddychają wciąż tym samym entuzjazmem:

„...Miałam to wielkie szczęście, że poznałam Narcyszę Żmichowską w pełni zdrowia i talentu, tryskającą życiem. Przedstawiła mi się jak postać tak niezwykła i oryginalna! Pominąwszy talent i geniusz poetki znakomitej, tyle w niej było dobroci, ciepła, rozumu, dowcipu tryskającego z każdego słowa.

Umiała być nadzwyczajnie wesołą chwilami, porywającą w rozmowie, w stosunku osobistym nieporównaną! Dla nas, młodszych dziewcząt otaczających ją wtedy, była po prostu objawieniem nowych światów poezji, nauki, obywatelskiego. Tej żywotności, jaką ona kładła w rozmowę każdą, nie zdarzyło mi się spotkać; nie tylko było to wymianą myśli, podziałem wrażeń, ale oświeceniem ciemnej drogi, sprostowaniem wątpliwości i rozbudzeniem tego, co drzemało na dnie duszy. Przypomnijmy sobie te jedyne w swoim rodzaju dialogi bohaterów powieści Gabrielli, a zrozumiemy, czym mogły być rozmowy z nią samą prowadzone, ile światła rzucała na sprawy bieżące, na kwestie naukowe, z jakim dziwnym urokiem i z wyjątkową bystrością spostrzegawczą roztrząsała zagadnienia osobiste. Dotychczas, po latach tyłu, trudno mi bez wzruszenia przypominać sobie tych chwil błogosławionych<sup>31</sup>, którym najwyższą rozkosz duchową zawdzięczam. Trzeba też przyznać, że potęgą swego ducha i moralnej siły wydobywała Narcyssa na jaw, co było lepszego na dnie ludzkiego sumienia. Zbliżając się do niej, każdy rad był duszę swą wypowiedzieć, czuł się podniesionym i zobowiązanym moralnie do spełnienia jeśli nie wielkich, to przynajmniej dobrych czynów w życiu.

Rozmowy, które się słyszało na *Miodogórze*, upamiętniały się doniosłością poruszanych zagadnień; poziom ich był tak znacznie wyższym od otaczającego świata, że samo dopuszczenie do przysłuchiwania się kształciło, podnosiło ducha i otwierało umysłowi szersze horyzonty. Wyborowe bo też osobistości otaczały Narcyssę. Z owych tylokrotnie wspomnianych „Entuzjastów”, w epoce, w której ją poznałam, było jeszcze kilka osobistości, niezmiernie przez nią ukochanych. Zarysowały mi się w pamięci postacie Bibianny Moraczewskiej, Kazimierzy Ziemięckiej (najbliższej przekonania- mi i duchem), bratowej Eleonory Ziemięckiej filozofki, Tekli Dobrzyńskiej, Anny Skimborowiczowej i jej męża Hipolita, Henryka i Anny Krajewskich, Ruprechta, Jurgensa, Stefanii Dzwonkowskiej i tylu, tylu innych. Niezapomnianą była Kazimiera Ziemięcka, którą ukochałam gorąco. Była ona uosobieniem miłości tego, co piękne i wzniosłe, zacne. Uosobieniem zasady wprowadzonej w czyn. Wcieleniem obowiązku, który sobie narzucała jako konieczność do spełnienia.

Im twardszy, im trudniejszy, tym lepiej. Byłaby to szkoda nieodżałowana, gdyby miało zagać wspomnienie tej wielkiej, obywatelskiej, pełnej poświęceń wzniosłych duszy! Rzadka to u nas, a może i wszędzie osobistość, żadna jedynie roli szeregowca w armii walczącej o dobrą sprawę, żadna zespolenia się z maluczkimi, których ukochała nade wszystko. Życie jej upływało tak konsekwentnie, jak pierwszych apostołów z Ewangelii. I tak np. mówi się nieraz, że ludowi należy się podniesienie moralnego poziomu, oświata. I ona to mówiła, ale u niej w ślad za słowem bezpośrednio postępował czyn. Więc Kazimiera Ziemięcka z niespożytą siłą woli zabiera się do dzieła. Widziałam ją wśród kilkudziesięciu służących, kucharek, w sali Tow[arzystwa] Dobroczynności w Warszawie, nauczającą pisanie i czytania, w niedzielę każdą popołudniu. Trudno zapomnieć mi promiennego wyrazu tych pięknych czarnych oczów, miłością pałających. A jak ludzie do niej lgnęli, chociaż wyglądała surowo dla nieznających jej bliżej...”

Można zrozumieć, że po takich wspomnieniach młodości matce mojej było zimno w ówczesnym Krakowie... A teraz znów mówi o Narcyzie:

„Promienny wzrok ten, uduchowiony cudownie, zapamiętałam między innymi chwilami, gdyśmy razem na arcydzieła Matejki patrzyły, gdy słuchała muzyki natchnionej jej poezją, gdy się Modrzejewską zachwycała w teatrze (co się zdarzało bardzo często), gdy się przyrodzie górskiej w Tatrach przyglądała.

<sup>31</sup>przypominać sobie tych chwil błogosławionych — dziś popr. z B.: (...) te chwile błogosławione. [przypis edytorski]

Wymowa jej, ustna czy pisana, nabierała porywającej potęgi pod wpływem świętego zapалу, z jakim broniła ukochanej sprawy. Miewała chwile, w której promienne jej oczy nabierały dziwnego blasku, literalnie stawały się *oknami duszy*, dusza wychylała się przez nie w całym majestacie swej potęgi...”.

A te słowa, jak gdyby wstęp do zamierzonego wydania *Listów*:

„(...) W *Listach* odzyskują ją po raz drugi pełną życia i prawdy. Dla tych, którzy znali jedynie Gabriellę autorkę, jakież to objawienie! Jaki komentarz! Jak ta kobieta żyjąca piszącą autorkę tłumaczy i dopełnia!... Każdy drobiazg nawet ma swoje znaczenie, gdy uwidacznia jej niezrównaną dobroć, jej szlachetną podniosłość, jej rozum, i tę walkę wytrwała a ciężką każdego dnia istnienia. Subtelność najdelikatniejszych uczuć, kryjących się często w zakątkach duszy, jeżeli wolno się tak wyrazić, do których nikt nie ma przystępu, tylko człowiek sam, ile razy wzrok wewnątrz się zwróci. Tchną one uczuciem niewyczerpanej nigdy miłości; to stanowiło jej siłę, jej szczęście w życiu, jej potęgę duchową, że więcej od drugich kochała”.

Nie chcę nic więcej dodać do tych słów matki mojej, którą starałem się bodaj w części zastąpić w tym, co było najgorętszym jej pragnieniem: pokazać, przypomnieć Narcyzę Żmichowską.

Warszawa, w kwietniu 1930.

---

Listy te podano tu w całości, bez skrótów, gdy wydania innych listów Narcyzy były specjalnie przyrządzone do druku. Literacko listy tracą na tym może, obciążone prywatnymi szczegółami; ale zdawało mi się, że w ten sposób dają wierniejszy obraz.

Listy pisane są w oryginale prawie bez interpunkcji — pauza zastępuje wszystko; interpunkcja i podział na zdania pochodzą ode mnie. Ortografię wprowadzono tę, która obowiązuje dzisiaj; zachowano jedynie pisownię słowa *tęschnota*<sup>32</sup>, ponieważ Żmichowska do tej pisowni szczególną przywiązuje wagę, kojarząc — nie wiem, czy słusznie — źródłosłów ten ze słowem *tchnienie*.

---

<sup>32</sup>*tęschnota* — „Pod względem ortografii Tęschnoty, protestuję przeciw wszelkim, a tym bardziej ruskim źródłosłowom; niech będzie *Toska* dla tego, co się *troska*, ale mnie *tchnienia* koniecznie trzeba w *tęschnocie*, i choćby go dotychczas nie było, to ja biorę i trzymać będę; jedyna protestacja, której sobie przeciw całemu twemu listowi pozwałam...” (Do Elli, 20 marca 1871). [przypis redakcyjny]

# ROK 1859–1862

## I

23 czerwca 1859

*Z trzeciego piętra*<sup>33</sup>

Proszę bardzo, żeby Wandeczka nie pomyliła się dzisiaj na symbolice roślinnej i przesłanego jej bluszczu w znaczeniu mistycznym z powojem nie pomieszała. — Powój to, wedle najstarożytniejszego wykładu, omdlewająca słabość, wiecznie cudzej podpory, cudzej siły potrzebująca; bluszcz — to, wedle moich Greków ukochanych, godło spokoju i wytrwałości, bo choć na wątłej lodydze, jędrne ma liście i kolor niezmiennie zielony. Jako życzenie na święto twoich urodzin, Wandeczko, to ci powiadam tylko: „obyć<sup>34</sup> bluszczem nie powojem, Bóg ci dał rosnąć przed obliczem Swojem<sup>35</sup>”.

Rośliny

*N. Żmichowska.*

## II

*[Zielona 1860]*

Taka jeszcze młoda i pocziwa jesteś, moja Wando, że się pewnie bardzo ucieszysz, gdy ci powiem, jak to ja się twoim listowym odwiedzinom w Zielonej<sup>36</sup> ucieszyłam, aż ci krzyżyk błogosławieństwa przez powietrze do Warszawy przesłałam. Dworek tutejszy właśnie pełen był gości z obywatelskiego zjazdu w sąsiedztwie wracających. Pytałaś mię, czy Płockie takie grzeczne i piękne z bliska jak z daleka? Zawstydyłam się trochę, bo, pomimo tak dobrej niby sposobności do uzbierania spostrzeżeń, rzeczywiście ani jednego nie uciulałam sobie. Ci panowie przez cały czas prawie osobno siedzieli, a kiedy się towarzystwo koło nakrytego stołu razem połączyło, rozmowa szła poważnie o zbiorach i gospodarstwie, z czego jako niefachowa żadnego nie odniosłam pożytku, z nikim też bliższej nie zabrałam znajomości, nawet z dawniejszym znajomym panem Karpińskim niewiele mówiłam — on jednak zdawał się mocno z usposobienia okręgowego zadowolony. Co do mnie, przy takim braku pewnych danych, o niczym wyrokować nie mogę; na ogólnikach się gruntując, powiedziałabym wszelako, że zgromadzeni trochę piękniejszą niż w Rawskim przedstawiali efekt. Gdyby takimi byli ich prapradziadkowie za saskich czasów, to pewnie lepiej by się w kraju działo i może potrafiliby swoje utrzymać; lecz czy stracone odzyskać potrafią? na to mi wolno trzy wątpliwe znaki zapytania położyć. Jakoś wcale nie są podobni do ludzi, których by, dajmy na to, za trzy lata burza rewolucyjna unieść miała w swoje wichry podniebne. O ile zmiarkowałam po gospodarstwie, drugim czynnikiem miejscowej gawędki jest włoski Garibaldi; wszyscy się bardzo cieszą jego dobrym powodzeniem, tylko jeszcze nie słyszałam, żeby też kto sumiennie badać zaczął, jakie żywy na to powodzenie się złożyły, jakimi pracami dzisiejszy plon przygotowany? — Owszem, taki jedynie sens moralny ze wszystkiego wyciągnięto, że rok 48-my był

Polak, Polska, Polityka,  
Obywatel

<sup>33</sup>*Z trzeciego piętra* — Żmichowska mieszkała na trzecim piętrze domu Grabowskich przy ulicy Miodowej, gdzie mieszkała również Wanda z ojcem i siostrami. Duży ten dom tworzył prawdziwą kolonię krewnych i przyjaciół; mieszkali tam i Edwardowie Grabowscy, i Edwardowie Kaplińscy, Markiewiczowie, Ignacy Baranowski i Julia Bykowska (później doktorowa Ignacowa Baranowska), której pensjonat mieścił się w tym domu. Żmichowska zajmowała tam na trzecim piętrze dwa skromne pokoiki, które stały się w pewnej epoce, można rzec, sercem Warszawy i które popularnie zwano *Miodogórzem*. [przypis redakcyjny]

<sup>34</sup>*obyć* — forma z partykulą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: oby ci, niechże. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*obyć bluszczem nie powojem, Bóg ci dał rosnąć przed obliczem Swojem* — znaczenie zdania, będącego formułą życzeń, można wyłożyć następująco: „oby ci Bóg dał rosnąć tak jak rośnie bluszcz, nie jak powój”. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*Zielona* — majątek Anny Kisielnickiej, uczennicy i przyjaciółki Narcyzy. [przypis redakcyjny]

wielką niedorzecznością, że narodowość włoska ożywiła się za pomocą wojska konstytucyjnej Sardynii. A co ożywiło Sardinie i jej konstytucję? Odpowiedzą natychmiast, że pewność francuskiej pomocy; a co tę pomoc ukonieczniło? — to już zostaje w zawieszaniu jako żółw chiński dźwigający słonia, dźwigającego inne jakieś zwierzę, które na koniec biedną Ziemię dźwiga. Nie mogłam się dotychczas rozpatrzeć, względem kogo najżywiej się objawia sympatia publiczna; prócz Garibaldiego, nie znaleźli sobie jeszcze narodowego bohatera; — ale dla antypatii już jest przedmiot gotowy — jednomyślnie wszyscy razem Mirosławskiego<sup>37</sup> nie cierpią. I tak mniej więcej opinia publiczna dopiero na samych ujemnościach się kształci; nie grają w karty, nie piją, nie zbytują — ach! gdyby mi nie tak pilno było, to bym się i tym, co jest, zachwyciła — lecz jak wspomnę, że tu może lada dzień godzina wybije, a oblubieniec do drzwi zakolata — a my ledwo grunt uprawiamy pod ten rzepak, z którego olej już ma być w lampach naszych... Strach bierze, moja Wando, strach okropny; nigdzie po dziś dzień nie spotkałam na żywe oczy tego ideału, o który się dopytujesz — ideału w praktyczność oprawnego — słyszałam, że jest kędy! — na nieszczęście jest zawsze tam, gdzie mię nie ma. Tyle o Płockiem; a teraz, jeśli chcesz co wiedzieć o osobach mię otaczających, spytaj Julii i Kazimierzy<sup>38</sup>, one ci będą najlepiej mogły powiedzieć, bo je znają i bo mi do nich wyjechać pozwoliły. Słówek jeszcze o korekcie, spodziewam się, że mi doniesiesz, jak daleko posunięta i wytłumaczysz mi, dlaczego ta niegodziwa Gabriella<sup>39</sup> tak dziwaczy z tobą i nawet, jak się wyrażasz, „upokarza” cię czasem. Poskarż się ino; zobaczysz, dam ja jej! Zrób jej *en attendant*<sup>40</sup> jedną łaskę i jeśli być może w porę, jeśli już nie za późno, to z ostatnich wierszy *Białej Róży*<sup>41</sup> wyrzuc obietnicę prędkiego ogłoszenia dalszych dziejów panny Augusty — zbyt kompromitujące przyrzeczenie. Jeszcze, jeszcze należałaby ci się jedna o świętym spokoju uwaga, lecz do niej wcale nie jestem usposobiona, bo sama od dawna już z Warszawy listów nie miałam, więc bym ci proboszczowskie prawila kazanie: „tak rób, a nie patrz na mnie”. Wolę się doczekać chwili, w której dowodzenie lepiej przykładem wesprę. Bądź zdrowa — wszystkim twoim ukłony i pozdrowienia.

### III

[Zielona] 23 października 1860, wtorek

Zacząć muszę od polajanki: co to za zwrot stylowy, panno Wando? — „Gotowa się Pani moja śmiać ze mnie, że za list płacę listem, za wspomnienie listem” itd. Jakie tu zestawienie wyobrażeń? gdzie logika? gdzie prawda uczucia? „Gotowa się śmiać” — to jeszcze nie błąd; i owszem, to prawie odgadnięcie rozjaśnionej twarzy, przelotnej chwili wesela, z którą się wita o mil trzydzieści każdą warszawskim stemplem uświetnioną kopertę; ale „śmiać się ze mnie”, to już komunał bez sensu! Śmiać się z pocziwej ręki, co kieliszek kordiału nalewa — śmiać — mnie, oddalanej, śmiać z tych, którzy oddalenie skracają! Przekreślam i proszę panny Wandy, żeby mi na drugi raz cały ów ustęp jak się należy i godzi poprawiła. A teraz, Wandziu kochana, zwróćmy się do tego, w czym ty ode mnie lekarstwa i poprawy czekasz. Takie cisze wewnętrzne wcale do spokojności niepodobne, ale pewnego zatrzymania prądów żywotnych w duchu naszym będące skutkiem, trapią cię, jak widzę, nieznośnie — dopiero jednak wtedy niebezpiecznymi się staną rzeczywiście, gdy im zaczniesz różnych środków zaradczych dobrać. Przeciw tym

Kobieta, Choroba, Religia,  
Flirt, Sen, Kondycja ludzka  
Cisza

<sup>37</sup>Mirosławski — właśc. Mirosławski, Ludwik (1814–1878), generał, uczestnik powstania listopadowego, 1843–1857 członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, współpracował z Mazzinim, miał być przywódcą nieudanego powstania 1846 roku, jednak wskutek denuncjacji hr. Henryka Ponińskiego został aresztowany przez policję pruską; w czasie Wiosny Ludów był dowódcą powstania w Wielkopolsce w 1848 r. oraz na Sycylii i w Badenii w 1849 r.; w 1860 r. nawiązał bliską współpracę z Garibaldiem; w 1863 był dyktatorem powstania styczniowego z ramienia Tymczasowego Rządu Narodowego, porażki militarne pod Krzywosądem i Nową Wsią oraz konflikt z Langiewiczem skłoniły go do rezygnacji z godności dyktatora, powrócił na emigrację do Francji; po wojnie prusko-francuskiej 1870–71 wycofał się z polityki; zmarł w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Julia i Kazimiera — Julia (albo Juluta) Bąkowska, później żona lekarza Ignacego Baranowskiego; Kazimiera Ziemięcka, jedna z dawnych „entuzjastek”, przyjaciółka Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>39</sup>Gabriella — literacki pseudonim N. Żmichowskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>40</sup>*en attendant* (fr.) — tu: tymczasem. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*Biała Róża* — powieść Żmichowskiej, której korektę w zbiorowym wydaniu *Dzieł* robiła podówczas Wanda. [przypis redakcyjny]

ciszom bojując jak przeciw skrzydłom wiatraków upędzają się zwykle kobiety za wrażeniami i całe flaszki mikstur wychylają szkodliwych — trujących nawet częstokroć. Dwa szczególnie pająki czyhają w rogach wszystkich salonów i bawialnych pokoi na muchy-duszyczki, taką bezwładnością tajemną zwątlone: dewocja i romans. Jak spowiednicy wezmą w swoją kurację oskarżającą się i jęczącą pod ciężarem oschłości penitentkę, tak jej nie dadzą w końcu serca na słońce spod mnóstwa praktyk i gimnastyk wychylić. Jak pierwszy lepszy z interesowanych w tym gości stan ów nudą trącający zrozumie, tak mu nawzajem łatwo będzie tyle nasunąć urozmaiceń, zmartwień i przyjemnostek, że się na kształt ukochanego potrzebnym stanie. Lub zresztą obejdzie się bez przydatnych starań spowiednika i gościa; kobiety same umieją sobie rozdrobiazgować na zabawkę pobożność — upolować dla zajęcia romans w miejsce miłości. — Aby żyć, aby nie martwić! Słuszna przyczyna; tylko trzeba w sobie zrozumieć, że chwile zawieszające niby procesy życia są chwilami snu, nie śmierci. Ani my jeszcze nie zasłużyli, ani my nie dorosli tego stanu zbawienia, w którym wszystkie władze rozbudzone, w którym czynność twórcza znać nie będzie spoczynku, tylko spoczynek przemiany coraz doskonalszej. Dzisiaj nam brak nie raz nas samych w sobie, ale to trzeba przyjąć jak przyjmujemy wszelkie niedokładności organizmu. Miarkować, co nam lepiej służy, a co więcej szkodzi — o to się starać, ku temu się garnać, tamtego zaś unikać — czekać nade wszystko, żeby duch się własną siłą, własną prawdą krzepił, a nie pożyczonymi zewnętrznymi środkiem ratował. Spodziewam się, że nie należysz do tych *schwermerychów*<sup>42</sup>, co to sobie dysponują, aby nad kwiatkiem dumali, nad zachodzącym słońcem się unosili, nad ludzkim jakim arcydziełem w osłupieniu stawali. Jestem przecież pewna, że nie raz bez przygotowania i zadumałaś się głęboko, i uniosłaś zachwyceniem, i podziwiałaś, i wielbiłaś — a to samo przez się z życiem napłynęło — więc daj spokojnie chwilom wyższego podniecenia nadpłynąć — a tego, co masz na stan normalny, *excusez du peu*<sup>43</sup> — chęć do pracy i nauki, ideał świętości — szukanie prawdy itd., itd. — niech ci to na dnię powszednie jako bardzo wystarczający kawałek powszedniego chleba wystarcza. A co niedziela — to niedziela, nie zawsze św. Jana — powiedz sobie, i idź dalej. Żeby mieć w drodze rozrywkę, to kłóć się, i owszem, bardzo cię proszę, kłóć się ogromnie, żeby ci korekty przynosili i żeby raz już skończyła się ta mazanina. Ale ciekawa jestem, czy też miewasz intuicje do poprawy wyrazów? Tutaj znalazłam gazety z *Białą Różą*; a w tych gazetach tyle błędów, że częstokroć sensu nie ma zupełnie. Jeśli uważnie myślą czytujesz, to powinnaś spostrzec np. przy końcu już, w liście Hieronima, przeciw ilości złego — „jakoś” zamiast „jakość dobrego” stawiona itp. Żeby się w kwasach nie rozstawać, żegnam cię, Wandziu, nie przy wspomnieniu Jaworskiego<sup>44</sup>, ale przy wspomnieniu wszystkich twoich ukochanych i wszystkich twoich rodzonych. Pozdrowisz ode mnie całą niegdyś moją geograficzną gromadkę<sup>45</sup>.

#### IV

[*Dębowa Góra*] 1 sierpnia 1861, czwartek

Przesyłkę twoją, kochana Wandeczko, z wielką radością odebrałam; żal mi tylko było, że przynajmniej, w nadgrodzie<sup>46</sup> za swoją poczciwość, listu Julii nie przeczytałaś — jednak mam nadzieję, iż od tego czasu sama na własność dostałaś nowy zasilek z Ojcowa. Pragnęłabym tej odpłaty dla ciebie, bo też ty jedna widać masz dar pamiętania i dotrzymywania obietnic. Gdyby nie ty, Wandeczko, miałabym prawo niepokoić się o „moją” Warszawę — albo że cała wymarła, albo że się na mnie srodze o jakieś bezświadome przestępstwa zawzięła. Już to nad milczeniem i niepamięcią † znak krzyża świętego. Wolno każdemu, jak mu się podoba; dlaczego wszakże pan Ed. Ka<sup>47</sup>... wyraźnie się memu powrotowi sprzeciwia, to mi jest trudną do rozwiązania szaradą. Siedzę cicho i spokojnie

<sup>42</sup>*schwermerych* — żartobliwie, urobione od niemieckiego *schwärmen*: marzyć. [przypis redakcyjny]

<sup>43</sup>*excusez du peu* (fr.) — tu: co najmniej; ni mniej ni więcej. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Jaworski* — drukarz i wydawca zbiorowych dzieł Żmichowskiej (1861), do którego pisarka miała różne żale. [przypis redakcyjny]

<sup>45</sup>*moją geograficzną gromadkę* — uczennice z wykładów geografii. [przypis redakcyjny]

<sup>46</sup>*nadgroda* — dziś popr.: nagroda. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*Ed. Ka...* — Edward Kapliński, architekt, brat znanego malarza Leona, emigranta z r. 1848. Edward Kapliński był serdecznie zaprzyjaźniony z Narcyzą i zajmuje w tych jej listach dużo miejsca. [przypis redakcyjny]

na bezludnym Miodogórze, do niczego się nie mieszam, niczego nie manifestuję — co on przeciw mnie mieć może? — Dowiedz się w charakterze zaufanej kuzynki. Jutro tydzień temu, jak pisałam do niego bardzo pilno o to, co właśnie mój wyjazd z Rawskiego ułatwić może; ani słowa odpowiedzi — ani świsteczka potrzebnego papieru. W głowę zachodzę, czym ja mogłam podobną przeciw sobie demonstrację wywołać. A tymczasem nie jeden kłopot i tu na miejscu wysnuć się może — w tobie, Wandeczko, ratunek ostatni; jeśli ty nie zaradzisz, to nawet sobie nie wyobrażam, jak ja się z Rawskiego wydostanę. Siostra co do ran z oparzelizny jest już znacznie lepiej — okropnie jeszcze musi cierpieć, ale z dniem każdym doktor postęp na dobre zwiastuje — strach tylko, żeby się jaka febra nie przyplątała, bo uważaliśmy wszyscy, iż co drugi dzień jest zwykle słabsza i na opatrywanie drażliwsza. W każdym razie kuracja tak pomyślnie idzie, że już z córką mogłyśmy do Dębowej Góry<sup>48</sup> wyjechać; Dębowa Góra blisko Skierniewic; co tu piszę o 11-ej z rana, może dziś wieczorem, może jutro bardzo wcześnie odbierzesz; co ty wyprawisz, to mnie znów tego samego dnia dojdzie. Czekam z jakąkolwiek cierpliwością — najdalej do niedzieli. Zjechałyśmy naprzeciw pana Jakuba<sup>49</sup>, który listem swój przyjazd jeszcze do soboty odłożył; póki więc on nie zjedzie, i mnie trochę dłużej siedzieć się godzi. Ale potem... raz jeszcze proszę, spytaj Edwarda lub pana rządcy, czy mi wrócić pozwolą.

A czy odprowadzałaś Kazię na kolej? czy się z nią umówiłaś, że pisywać będziesz? Pozdrowienia serdeczne dla wszystkich — uścisk jeden dla ciebie.

V

[*Mienia*<sup>50</sup>] 30 lipca 1862, środa

Nie przyrzekałam ci odpowiedzi, Wandeczko, ale podziękowanie przesyłam. Chociaż swoją korespondencję chcesz na prostym „kronikarstwie” ograniczyć, wierz, mi, że dla mnie zawsze to czymś<sup>51</sup> więcej będzie.

Pytasz się, czy pisać o ludziach, czy też potrzebuję, aby mi na czas jakiś z myśli bieżącej tak jak z oczu znikli? — To ja, Wandeczko, zniknąć im potrzebowałam; spodziewam się, że ocenisz różnicę tej antytezy. Póki więc wspaniałości i szlachetnej hojności wystarczy ci, moja jedyna — a jesteś młoda, na jakie lat kilkanaście wystarczyć jeszcze powinno — póty pisuj o wszystkim — o sobie — o ludziach — o pogłoskach nawet — niech cię to nic nie kłopotuje, z czym ja przez cały tydzień żyć będę, czy z fałszywą radością, czy ze smutkiem fałszywym, to moja rzecz. „Wprawniejsza” jestem do tego niż łaskawa pani moja do kronikarstwa wprawną się sądzi; z czymże ja żyję od lat już tyłu?...

Śniło mi się dzisiaj, n.b.<sup>52</sup> po trzech nocach bezsennych, że pani Edwardowa Gr. miała syna; a gdy jej pytałam<sup>53</sup> o tego najmłodszego imię — powiedziała, że go chce nazwać Żegnanem; stąd wnosić należy, iż będzie córka Benvenuta, Witana. Alboż co myślisz — nie pięknież do jakiego słowiańskiego poematu imiona Żegnan i Witana?

Julia mi wspomniała o dobrych intencjach pana Wohla<sup>54</sup>, który podobno chce mi przesyłać gazety i różne do czytania ciekawości — ale mu okazje wskazywać trzeba. Najlepiej będzie czasem jaki pakiecik, a zawsze moje wszystkie gazety i listy u pana Grabowskiego w sklepie mieć na składzie, bo tam najłatwiej każdemu przyjeżdżającemu się dowiedzieć — i teraz ten pan, co list zabiera, mógłby przywieźć różne opieczętowane rzeczy, ale nie wiem, czy będzie dość czasu, by je ściągnąć — na drugi raz przynajmniej przysłać się informacja.

<sup>48</sup>Dębowa Góra — majątek Lewińskiej, siostry Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>49</sup>pan Jakub — Jakub Lewiński, generał, szwagier Wiktorii, siostry Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>50</sup>Mienia — majątek Zakowic, którym zarządzał Hiacynt, brat Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>51</sup>czymś — dziś: czymś. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>n.b. — skrót od łac. *nota bene*: dosł. zauważ dobrze; właśc. nawiasem mówiąc, à propos; inny używany skrót: NB, N.B. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>a gdy jej pytałam — dziś popr.: gdy ją pytałam. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Henryk Wohl — przyjaciel Narcyzy, później powstaniec i sybirak, znana postać w Warszawie. [przypis redakcyjny]

Ponieważ całego kursu geografii nie dodrukowałam, a zatem nie wiem z pewnością, przez które miasta do Gasteinu się adresuje, i ten list mój dla Julii tobie powierzam, byś wraz ze swoim przesłała.

Bądź zdrowa, Wandeczko — bądźcie zdrowi i szczęśliwi wszyscy.

Wyraźne zakłęcie z okazjami: ten pan, który za kilka godzin miał jechać, nagle z awanturą i awanturnikiem się spotkał; uderzony w skronie, chory leży, a ja przez pocztę, co miałam posłać, posyłam — zawsze jako przestroga zda się. Za kilka dni ma być mój brat w Warszawie; to niech tylko Janowa według karteczki wszystko przygotuje, a mnie się może dostanie na koniec. Żal mi opóźnienia gazet!

## VI

*[Mienia] 16 sierpnia 1862*

W jednym z twoich listów żądałaś, moja najlepsza Wandeczko, żebym ci koniecznie doniosła o okazji, jeśli się jaka zdarzy. Dotychczas żadnej pewnej nie było — raz przypadkowo poleciłam chłopom jadącym do Warszawy, żeby na trzecie piętro do pałacu Grabowskich wstąpili i jeśli są dla mnie jakie, to mi złożone papiery przywieźli. Nadspodziewanie szczęśliwie i pocziwie wywiązali się z tego zadania, lecz to była pierwsza próba dopiero. Dzisiaj mój brat się wybiera, proszę go więc, by wstąpił — nie do Wierzbna, bo czasu mieć nie będzie — ale na dół lub do sklepu. Ma tego dopełnić zaraz jak przyjedzie, aby tobie, Wandeczko, dość czasu na zebranie czy wiadomości, czy choćby gazet wystarczyło. Domyślasz się, zaiste, jaka różnica między wiadomościami a gazetami tkwi. Od Julii miałam jeden list z Gastein, ale nawet nie odpis na to, co jej przez twoje ręce posłałam; mimo to jednak, wyprawiam dzisiaj nową korespondencję. Wiem, że przy wielkiej obfitości nie bardzo jej potrzebna, ale Juluta nasza łakoma jest aż do chciwości i głównego grzechu na listy.

Ja taką niegdyś — ja gorzej, bo nawet wymagającą, naprzykrzoną bywałam; lecz już poprawiać się zaczynam — twoje półciarki na tydzień mi wystarcza i kiedy mi zęby nie dokuczają, to jednak zdrowa jestem. Umarł tu w Szpitalu Sióstr Miłosierdzia młody akademik Koskowski; czyście go nie znały osobiście lub przez znajomych? Zakonnice chwaliły, że miał być bardzo dobry chłopiec, i Kuszel, przy którego synach bawił, także go chwalił — ale zawsze chwałą po śmierci — mnie przez próżność to aż by się czasem umrzeć chciało! Nie o tym miałam ci pisać, ale przede wszystkim postanowiłam, że ci za twoją wytrwałość korespondencyjną podziękuję; tymczasem złożyło się, że nie przede wszystkim, ale po wszystkim, na końcu to czynię. — Nie mniej serdecznie, chciej wierzyć.

N.

List twój wtorkowy odbieram w tej chwili, właśnie przed zapieczętowaniem mojego. Różne szczegóły o życiu publicznym już mię doszły i w ogóle to, co się dzieje tak jawnie na świecie, że dzienniki o tym piszą, to zawsze prędzej czy później mię dojdzie; ale jeśli stracę wątek tego, co się dzieje nie jawnie z tobą, w tobie lub w innych i z innymi ludźmi, to, pamiętaj, raz chybione może mię nigdy nie dojść.

Na zapytanie chciałam ci bardzo kategorycznie odpowiedzieć; lecz pierwej, dziewczyno, musisz mi także arcykategorycznie stanowczo wyraźnie powiedzieć: czego chcesz? czego nie masz? co ci jest przykre — czym byś się z radością zajęła? Jakie w sobie do osiągnięcia tego lub owego celu czujesz trudności?

Jeśli mi się z tego wypowiesz, to ja dopiero objaśnień i komentarzy dostarczyć będę mogła.

„Gazety Warszawskiej” z recenzją Siwińskiego nie miałam, a zaciekawia mię sąd tego mojego protektora.

## VII

*Niedziela, Mienia [1862]*



Twoje listy, jeden przez pocztę, drugi przez brata mego, odebrałam. Była to prawdziwa niespodzianka, bo już wcale ich przestałam się spodziewać — tym więcej, że przed wyjazdem prosiłam cię o nie — a mój los zawsze się składa z przysług nieoczekiwanych i z dobrodziejstw niezasłużonych od ludzi, w zamian czego nigdy mi nie dadzą tego, czego ja sama zażądam i nie oddadzą tego, co mi się z prawa należy. Od drobnostek do zbawienia, cała biografia pod tą konstelacją mi się rozwija. Toteż od ciebie, Wando, mnóstwo siurpryz<sup>55</sup> mię spotkało — słuszna rzecz, mówiłam sobie, żeby nie spotkała ta jedna, której zażądałam, przyjemność. Nie bez tego, żebym też nie domyśliła się pewnego rozdąsania — ale widać minęło. Jakkolwiek bądź, niech cię to nie dziwi, Wandeczko, że na ostatnie pytanie twego przedostatniego listu żadnej nie dam jeszcze odpowiedzi. Czy ja się pozwolę kochać zawsze (zawsze?) — Godzi mi się upomnieć o zwrot stylowy trochę niewłaściwy — (*przebacz dawnej bakalarce*) „pozwoić się kochać” — przecież ja nie Trimurta żadna, tylko biedna śmiertelna kobieta, a nieśmiertelna chrześcijanka, która się w pacierzu Pana Boga o przyjaźń ludzką prosić uczyła — korektę więc zaprowadzam, że chciałaś wiedzieć, czy mnie kochać *możesz*, a tymczasem dowiedziałaś się tylko, dlaczego nie odpowiem na twoje pytanie. Wiesz przecie, że to moja forma specjalna pytań nie rozwiązywać, mówił o tym nawet pan Siwiński w swoich prelekcjach w szkole przygotowawczej. Ty go coś nie najlepiej wspominasz — czy znasz go? Ja nic a nic o nim nie wiem — czytałam tylko dwie jego bardzo pochlebne o moich pismach recenzje i słyszałam, jak powiadam, o prelekcji. W każdym razie, jedyny to z literatów, co nie poprzestał na nawiasowym wykrzykniku o piękności mego stylu, lecz głębiej po myśl sięgnął i starał się odgadnąć, jaką ja prawdę podaję. On jeden... i on właśnie na twoją łaskę nie zasłużył — smutnie to dla mojej miłości własnej się składa. W każdym razie, mam ochotę przesłać mu objaśnienie rozwiązujące wszystkie szarady, jakie mi tylko w życiu zarzucić można. Szczęśliwiej zapewne i łatwiej z nim mi pójdzie niż z tobą dzisiaj, Wandeczko — bo np. chcesz co o Lasi<sup>56</sup> usłyszeć — a ja to jedynie powiedzieć ci mogę, że mię Lasia teraz bardzo, może najbardziej ze wszystkich kocha, a ja ciągle sobie wyrzucam, że z tej chwili życia na jej użytek dosyć korzystać nie mogę. Tak się to dziwnie plecie na tym tu naszym świecie.

Bądź zdrowa, Wando — siostry twoje wszystkie serdecznie ode mnie uściskaj — a nie wyobrażaj sobie znowu, żebym tak wielką miała nowin *obfitość*, bo ich właśnie wcale a wcale nie mam. Juluta chora, zatrudniona, i połowy tego nie może napisać, co by chciała, cóż dopiero w stosunku do tego, co ja bym chciała.

---

<sup>55</sup>*siurpryza* — niespodzianka. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*Lasia* — Scholastyka Baranowska (później Kudelska), siostra Ignacego Baranowskiego, młodzianka uczennica i przyjaciółka Narcyzy. [przypis redakcyjny]

# ROK 1863

## VIII

13 maja 1863, czwartek, Dobrochy<sup>57</sup>

Najwierniejsza moja korespondentko a kochana Wando! Obarczam cię najpierwej powinszowaniami dla wszystkich Zoś wspólnie nam znajomych i bliskich; ciężar to nie mały, życzenia na wagę planet i słońc, na miarę wieków i wieczności — o szczęściu — o dobrym względnym, bezwzględnym, osobistym i nieosobistym. — Daj każdej do wybrania — założyłabym się, że każda bezwzględność i nieosobistość wybierze... ot spróbuj, a nie przestrzegaj. Tobie jednej przyznam się, Wandeczko, że mię śmiech kusi na ową mimowolną hipokryzję, bo juścić wiem z pewnością, że mimowolną. Kto wie, może ty sama, gdyby ci w „sekretarzu” lub jako ongi w „wypracowaniu” napisać kazano, po co sięgniesz z zastawionych w programie mego powinszowania specjalów, może ty sama oświadczyłabyś się za nieskończonościami; tymczasem, kiedy nieskończoność rozłożymy na godziny, ogrom na kawalki, to godzinę po godzinie, kawalek po kawalku tak zgarniemy na korzyść naszej jednostki, jak nam tylko dostępne będzie. A ja mówię, że to słusznie: co w naturze, to w prawie; co w prawie, to w mądrości. Oho! Wandeczko moja, daj mi tylko jedno gorczyczne ziarko szczęścia i dobrego na moją wyłączną własność!... zobaczysz, ile to z niego rozrośnie się sklepień, horyzontów, przestrzeni. Najbezpieczniej wszystko od siebie „zaczynać”, tylko niebezpiecznie jeszcze mówić o tym bez przenośni, bo ludzie myślą się często i wszystko na sobie „kończą” lub im się przynajmniej zdaje, że mówiących godzi się mieć w podejrzeniu. Jednak nie o tym zamierzałam dziś pisać; po uroczystym wspomnieniu solenizantek od *rez-de-chaussée*<sup>58</sup> do trzeciego piętra, miałam z lekkim zarzutem wystąpić. Pamiętasz, czy nie pamiętasz, dziewczyno moja, że cię władzą moją najwyższą (przyznaną mi? kto kogo kocha, ten mu władzę najwyższą nad sobą przyznaje — może nie wiedziałś o tym następstwie?), otóż, dziewczyno moja, oddałam się w posłuszeństwo Kazimierze na spełnienie jednego jej polecenia. Wyrozumiewałam wszystkie trzy listy twoje, lecz wyrozumieć nie mogłam: azali<sup>59</sup> byłaś posłuszną, azali nie? Szczęście twoje, że, jako mi wspomniałaś, dwa razy już widziałyście się z sobą; jest więc trochę podobieństwa, że zrobiłaś, co chciała; mam prócz tego na twoje poparcie dobre wspomnienie o projekcie owym, co go dla T. Do... tak wybornie ułożyłaś — proszę mi teraz donieść bez ogródki, co się z późniejszym stało. W ogóle metafory zdają mi się dzisiaj nadetatową ostrożnością. Pytasz mię, czy je zrozumieć? — No, czasem, czasem, Wandeczko. Są chwile, w których wszystko rozumiem, odgaduję, przeczuwam; ale też są dni całe, w których wszystko chaotycznie się mąci, kołuje, miga — zastosuj się przeto do mego organizmu. Chociaż mogłabym ci powiedzieć, że listy z Warszawy do chwil nie do dni całych należą, że przy nich duch się koncentruje, to wszystko jednak twojej domyślności zostawiam.

N.B.<sup>60</sup>. Czemu się skąpszą nie urodziłaś? Zapytanie to już nieraz mi przyszło na myśli, gdy widziałam tyle papieru zmarnowanego przy każdym twoim liście. Jak to można, kiedy się już pocztą korespondencję wyprawia, na wszystkie cztery strony ćwiartki nie zapisać. A miłoby ci było, gdybym ja teraz chociaż na tej czwartej stronnicy już się *twoją najżyczliwszą* podpisała? Nie czyn tego drugiemu... itd. Co prawda, niewiele byś straciła; ani nowości, ani wesołości nie mam do podzielenia; wszakże i od ciebie nie samych cukierków wymagam — co pod ręką, co na sercu. Ot, mnie w tej chwili na sercu żal do pana Henryka Wo(h)la, że mi nie przysłał obiecanych listów. A gdybym z tymi listami od was dostała — nie wiem, na ile wystarczy materiału? w każdym razie ile bądź, to bym już mogła użyć. Chwaliłaś się, czy też przed tobą się chwalono, że łatwo o okazję; wyglądam jej ciągle, pono jednak mnie stąd prędzej się zdarzy — może w przyszłym tygodniu — zapowiadam dla przygotowania. Gdyby pan W. *bardzo* się zmartwił, że mam żal do nie-

<sup>57</sup>Dobrochy — dziewczyna Glogerów; Kornelia Glogerowa była siostrą Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>58</sup>*rez-de-chaussée* (fr.) — parter. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*azali* (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>N.B. — skrót od łac. *nota bene*: dosł. zauważ dobrze; właśc. nawiasem mówiąc, à propos. [przypis edytorski]

go, to go pociesz, że ja zwykle do złych, obojętnych mi i nieprzyjaznych ludzi nigdy żalu nie miewam; ale jeśli się nie bardzo zmartwi, to mu tego sekretu nie wyjawiaj. Pozdrów w każdym przypadku. Muszę ci kiedy posłać listy różnych osób, które tu do mnie, tu do Dobroch pisywać przyrzekły; będziesz moim woźnym, komornikiem, a w razie opornego procesu, patronem; co, przełożywszy na rodzaj żeński, zamieni się w *patronkę*. Moja patronka Wanda — nie pytaj, bo nie chcę tłumaczyć i objaśniać, ale jest pewien kącik pewnego nieba, w którym pod pewnym względem jesteś patronką moją.

## IX

[Dobrochy] 20 maja 1863

Julcia<sup>61</sup> powiada, że mię kocha — to, proszę, jaka zarozumiała kobieta! Mnie jest zawsze teraz przyjemnie w jej towarzystwie; często sobie rozmyślam o różnych cieniach i zagięciach jej osobistości, wiele dobrych rzeczy coraz więcej umiem w niej szanować, kilkoma niedokładnościami tak się nie zrażam, jak gdyby moje własne były lub do gustu mi przypadają. Lubię nadzwyczaj coś przychylnego o niej usłyszeć, podoba mi się najlepiej, kiedy jej oczki wesołością i pocziwym wrażeniem rozmigocą. Życzę jej co dzień... pewnie czegoś lepszego na dzień powszedni, niż wielu winszujących na dzień tegorocznych imienin życzyć będzie. Ale nie miałabym sumienia, gdybym powiedziała, że ją Kocham. I z tego, co dla Julci — niech Zosia swoje weźmie — to jedno — to dwa — a Marynia<sup>62</sup>, że mię kazała uściskać, to trzy razy ją uściśnij — pocałuj w czoło i oba oczy. Tobie, Wandeczko, na list jeszcze nie odpisuję; mam za wiele do odpisania; zdaje mi się, że zaczynam coraz lepiej cię rozumieć. Przeszłego roku podąsałaś się trochę na mnie, gdy cię do kategoriycznych pytań przywoływałam; ale bo istotnie przeszłego roku, czy ty jeszcze nie dość się wypowiedziałaś, czy ja nie dość jasno rozpatrzyłam się w tobie, czy dlatego może, iż we mnie samej bardzo ciemno było — nie mogłam pojąć, o co ci chodzi. Teraz trochę wyraźniej odczuwam; tobie chodzi o życie, lecz nie dziś pisać w tym przedmiocie. Krótki tylko posyłam bilecik; najpierw co do poczty chcę cię zaspokoić: albo bardzo pewny posłaniec, albo, jeśli uprzedzisz, na każdy raz osobiście stawić się mogę. A potem względem wyjazdu do Szczawnicy także bym ci chciała coś zadysponować. Przede wszystkim, żebyś tak bardzo nie pomiatała tym zdarzeniem nadchodzącym; niespokojności ani większej ani niniejszej jak codzienna twoja przyrodzona w drogę z sobą nie weźmiesz — coś nieznanego i niewiadomego będziesz miała zawsze w możliwości przed sobą — no, przekonasz się, że mam słuszność i że nie będziesz żałowała podróży. Ja to najwięcej stracę, a jednak nic nie mówię — tylko domyślności mojej Wandeczki zostawiam i całuję serdecznie. Czy pan I. B<sup>63</sup> jest w Warszawie i czy go widujecie?

Jeszcze po odebraniu listów waszych w tej chwili (21 b.m.) mam sposobność kilka słów dorzucić. Najpierw Julii dokładniejszą wiadomość, że strzały w Łomży słyszane były po prostu dla odczyszczenia armat. Potem Wandzie co do sprawunków chyba dam zlecenie, żeby na okazję poczekała, bo jak na te okolice jeszcze mi stroików i colifichetów<sup>64</sup> nie potrzeba. Nikogo prawie nie widujemy. Oto raczej obiedwie was poproszę, żebyście mi pocztą przysłały ze dwadzieścia jakich obrazków ze świętymi — a mogą być aż po pięć groszy — najpiękniejsze w tej cenie na Długiej ulicy — obok Brakalskiego, kędyś<sup>65</sup> w oficynie. Wszystko, co piszesz, Wando, zrozumiałam, lepiej jak Zosia moje powinszowanie; tylko nie dość jasne dla mnie te słowa, że „mój przyjaciel ma teraz fantazję do żeńskich wizyt, bo się doktorzy boją gorączki”. 1-o<sup>66</sup> Kto jest moim przyjacielem? *je ne me connais pas de chose de ce nom*<sup>67</sup>. Jeślibyś pod ten tytuł zapisała pana Ed., to się bez metafory wytłumacz; jeśli pana Wohla, to objaśnij. Co jest p. Ludwikowi? O najważniejszej-

<sup>61</sup>Julcia — Julia Grabowska, starsza siostra Wandy, później Tetmajerowa, matka Kazimierza Tetmajera. [przypis redakcyjny]

<sup>62</sup>Zosia (...) Marynia — Zofia i Maria (później Kwietniewska), dwie inne siostry Wandy. [przypis redakcyjny]

<sup>63</sup>pan I. B. — Ignacy Baranowski, słynny lekarz warszawski, przyjaciel Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>64</sup>colifichet (fr.) — bibelot. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>kędyś (daw., gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>1-o — skrót od łac. *primo*; po pierwsze. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*je ne me connais pas de chose de ce nom* (fr.) — nie znam niczego o tej nazwie (nazwisku). [przypis edytorski]

szej części twego listu, o najindywidualniejszych ustępach, rozpiszę się kiedyś obszernie; może ci jeden kamień z serca spadnie, ale też może drugi może jeszcze cięższy padnie.

X

[Olszowa<sup>68</sup>] 18 października 1863, niedziela

Jakim sposobem się to stało, Wandeczko moja, że dotychczas, spośród tej zawieruchy, która całą waszą rodzinę wstrząsnęła, ani jednym słoweczkiem jeszcze nie zgłosiłaś się do mnie? Jakim sposobem? jakim prawem? Wiem, że nie twoją winą; ale właśnie że wiem o tym, lepiej będzie, bym krócej nad wysłaniem przyczyny myślała. Nie przedłużaj milczenia. Zdawać by się mogło logiczniejszą daleko rzeczą, gdybyś ty w dzisiejszym swoim położeniu założyła do mnie o prędsze listy pretensję; ale na praktykę zewnętrzną biorąc, tak mi okropnie całe zdarzenie przedstawiono, że nie wiedziałam, gdzie znaleźć i czy kogokolwiek znajdę jeszcze do odebrania mojej korespondencji. Na prawdę zaś wewnętrzną... ty mię zrozumiesz, Wando, dlaczego musisz zawsze uprzedzać mnie darami twymi: jesteś zamożniejsza; ale choćbyś też od kopalni Golkondy<sup>69</sup> i potozyjskich bogactw była, jeśli niektóre wymówione przez ciebie wyrazy miały swoją aktualną wiekuiastą wartość — to mi danym będzie w tym liście, aby jedno takie napisać słowo, które ci siły pokrzepi i ciemną drogę rozjaśni. Nie dlatego, że ja mam Samsonowskie muskuly albo elektrycznym światłem gorejącą latarnię, ale dlatego, że ty weźmiesz, ty przeczytasz, ty dopełnisz — a obecność twego życia jest najspodobniejszą do wszelkiego dobra porą. Spotkało cię owo święte, jak ja zwykle powiadam, prawdziwie od Boga zesłane nieszczęście<sup>70</sup>, prawdziwie dla Boga niesiony krzyż. Dziś masz sposobność w samej sobie rozpatrzeć się i zatwierdzić każdy artykuł wiary swojej. Niech ci się nie zdaje, że to mniej cenna kosztowność; to właśnie było może najcięższą połową tej bezimiennej zmoiry, co ci piersi dusiła. Pomyśl i o mnie, Wandeczko; oto życie mi przeszło — stoję poza powązkowską rogatką pełną wątpliwości — z pugilaresem wypchanym niezwekslowanymi biletami; z garścią pojęć różnych, zdaje się szczerolotych, a niewypróbowanych, nieprzetopionych w ogniu wypadków, nieostemplowanych zastosowaniem. Tobie, moja Wando, piorun spadł na głowę; jednak piorunem warto nerwy studiować, przyznaj sama, byle nie błotnistymi wyziewami trzęsawisk. Jestem pewna, że się musiałaś wielu nowych rzeczy sama o sobie dowiedzieć; mów mi o tym — dobre być muszą — a *dobre* rzeczy, które o sobie wiemy, najfundamentalniejszymi schodami ku niebu. Oho, gdybym ja co dobrego o sobie wiedziała — choć setną część tego, co ty myślisz — —

We mnie te wszystkie zdarzenia już nie na dobre, ale na wielką gorycz się przerabiają; szczególnie los Seweryna<sup>71</sup> mię truje. Z was wszystkich jego znam najmniej osobiście; więc też mogę się martwić więcej osobistą stratą innych osób, ale jego ubytkiem truję się daleko śmiertelniej. Moja dobra, moja tak szanowna pani Emilia<sup>72</sup> co porabia? czy ma jakie choć obietnice lepszego na ulgę? Gdybym z pewnością wiedziała, gdzie jej najstarszy, to bym się choć o godzinne spotkanie postarała. W tutejszym geograficznym położeniu, to jak gdyby się ziomkowie spotykali — mieszkańcy Miodogórza. A powiedz też panu Lutkowemu<sup>73</sup> z trzeciego, że niech mu nigdy z sumienia nie odpadnie to wszystko, co ja tutaj na jego rachunek przefantazjowałam! Dzięki Bogu, teraz godzi mi się użyć takiego

Katastrofa, Wiedza, Korzyść

<sup>68</sup>Olszowa — majątek Lewińskich. Siostra Żmichowskiej, Wiktoria, wyszła za Lewińskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>69</sup>Golkonda — miasto i forteca w pd.-śr. Indiach, zbudowane w XII w., od 1512 r. będące niepodległym państwem; w pobliżu Golkondy znajdowały się kopalnie diamentów, w XVI i XVII w. Golkonda była symbolem bogactwa. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Spotkało cię (...) nieszczęście — w piwnicach domu Grabowskich odkryto skład broni, wskutek czego ojciec Wandy, Jan, dostał się do Cytadeli, do dziesiątego pawilonu, gdzie trzymano go pół roku. [przypis redakcyjny]

<sup>71</sup>Los Seweryna — Seweryn Markiewicz, przyjaciel Jurgensa, który w nim wielkie pokładał nadzieje, młody prawnik, aresztowany w r. 1863, potem zesłany do Jadrynia, gdzie stracił zdrowie. Na zesłaniu, bez pomocy książek, napisał pracę *O własności literackiej*, która spotkała się z dużym uznaniem. Wraca do kraju z chorobą płuc, lekarze wysyłają go na południe, ale party gorączką życia i działania, nie dokończywszy kuracji, wraca do kraju, gdzie pracuje jako adwokat, jako pisarz ekonomista. Umiera w r. 1869. Był bliskim krewnym Wandy Grabowskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>72</sup>pani Emilia — Markiewiczowa, matka dra Stanisława, lekarza i Seweryna, prawnika. [przypis redakcyjny]

<sup>73</sup>pan Lutkowy — Edward Kapliński, żartobliwie tak nazwany od imienia żony Ludki. [przypis redakcyjny]

wrażenia *przefantazjowałam*, ale nie *życzę* artystom podobnego gatunku fantazji. Mam nadzieję, że mi wkrótce o wszystkim doniesiesz i chociaż mam także usprawiedliwienie na różne niemożliwości, to wszelako spodziewam się trochę obszerniejszych informacji niż w przeszłym liście. Toć ty mi nawet nie wspomniałaś, czy Julka miała jakie z Krakowa wiadomości? Dzisiaj mi każdy szczegół potrzebny. Kiedy myślę, jak ten Ojciec, co wam tak matkował, przy rozstaniu troszczyć się o was musiał w najdrobniejszych szczegółach właśnie, to mi najdrobniejszych do uspokojenia trzeba. Czy kto jest z wami — jak gospodarujecie — jak się urządziły? Pamiętaj, Wando, od ciebie mnie się to wszystko należy. Pozdrowienia dla wspólnych znajomych, tak niewiele ich zostało, że to zastąpić może imienną ich listę.

## XI

[Olszowa, 1863] 30 października, piątek

Za twoje listy Wandeczko, krzyżyk na czoło i pocałowanie. Każdy szczegół coraz więcej łączy mnie z życiem waszym i niby moje własne zapełnia. Już mi się zdawało, że zmiany powietrza, jesienne sloty lub przymrozki będą dla mnie jedynie meteorologicznym zjawiskiem, a tymczasem one są miarą waszej niespokojności i warunkami zdrowia waszego ojca, dlatego też wcale nie z obojętnym usposobieniem co rano przez okno wyglądam — nie sam szron widzę na ziemi jako w tej chwili, lecz i was wszystkie i ten znany mi przez mego siostrzeńca dziesiąty pawilon, który jednak mniej wilgotnym od dziewiątego mi się wydawa<sup>74</sup>. Czy Seweryn blisko stryja mieszka<sup>75</sup>? Jestem pewna, Wandeczko, że w tych dniach więcej niż kiedykolwiek myślałaś o dawnej Miodogórza świetności. Wszystko ruiną się rozsypało! — żal — żal — żal. Takim jedynie pierśmi łatwiej dziś oddychać, które mają rzeczywiste, już nie mówię pojęcie — ale rzeczywiste „poczucie” wieczności przynajmniej — gdy na nieskończoność trudno człowiekowi się zdobyć innym sposobem jak przez dewocję. Były dla mnie kiedyś godziny, dni i miesiące, w których żyłam jakąś dziwną chronologią apokaliptycznych epok; lecz dzisiaj to wspomnienie służy mi tylko do lepszego wyrozumienia, jak ludzie stosunkowej hierarchii duchowej, żyją coraz szerszymi lub coraz ciśniejszymi kręgami czasu — istnie niby w muzyce jeden ledwo oktawę obejmie, drugi półtorej i więcej. Jednych starczy zaledwie na efemerydalność chwili bieżącej: kiedy się wybierają w drogę, a słońce pogodnie świeci, to zapomną wziąć parasola; jeśli zimno, to letniego nie zapakują ubrania; w słotę im się zdaje, mają takie *wrażenie*, jak gdyby ciągle do śmierci ich padać miało, a w czas piękny nie wiedzą, że znów slotą będzie — ot zwyczajnie efemerydy — najliczniejsze na świecie. Inni tacy, którzy czysto oktawę biorą i trzymają, to ci, którym potrzeba w latach przystępnych ich osobistej pamięci, w latach ich generacji wiadomego powodu i wiadomych następstw. Od tego do tego punktu sięga zazwyczaj siła wrażeń, pociech, smutków, projektów, prac i przedsięwzięć u najpocziwszych ludzi. Mogą wiedzieć i rozważać sobie dalsze rzeczy, ale czuć, ale żyć mogą tymi bliższymi tylko. Jest to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, normalność prawa Bożego — ale jak w Mądrości, w Ustawie Bożej musiała być objęta ewentualność „nieprawości”, tak dla zrównoważenia jej musiały być dane niektórym władze szerszej skali chronometrycznej. Tacy choć cierpią, w samym akcie nawet cierpienia czują logiczne uznanie najdalszych przyczyn i słodzą sobie obecność uprzytomnieniem celów najdalszych. Są to rzadkie wyjątki, są to może wyjątkowe dla wyjątków przeblyski; ale wiem, że są jednak. Tylko, na nieszczęście, wiem także, że ich z siebie wymusić niepodobna, że je w sobie zatrzymać bardzo trudno. Ha! moja Wando, bo też to prawdziwie dorównywa Bożemu podobieństwu. — Przed Bogiem zawsze wszystko jest terażniejszością. Słyszałam, że w hebrajskim ksiąg świętych języku, dla oddania tej myśli, słowa nie mają żadnego czasowania, zawsze są w terażniejszym czasie wyrażane: od kiedy Duch Boży unosił się nad przepaściami, aż do kiedy miał wejść człowiek w odpoczywanie Jego, wszystko tam stoi, że *jest*, nie że *było* lub *będzie*. Ale mnie o takich rzeczach dzisiaj mówić się nie godzi. Och! ja fatalnie, szkaradnie, efemerydalnie żyję; dla mnie

<sup>74</sup>wydawa — dziś popr.: wydaje. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Seweryn blisko stryja mieszka — blisko Jana Grabowskiego, ojca Wandy, w Cytadeli. [przypis redakcyjny]

wrażeniem wyłącznym to co od wschodu do zachodu słońca stać się może, co w jednej dobie się stało. Czy się bardzo pocieszysz, Wando, gdy ci powiem, że na kilkakroć sto tysięcy obliczyć by można jednak takich osób, które dzisiaj z pocałowaniem ręki, *sans bénéfice d'inventaire*, weszłyby dzisiaj we wszystkie warunki i okoliczności mego położenia. Najpierwej, pod względem materialnym i serdeczno-życzliwym, niczego między siostrami i siostrzenicami nie brakuje mi; po wtóre spokojność głęboka. Najdramatyczniejszy wypadek — pożar, który coś trzy tygodnie temu zajął się w suterrenach i skończył na usmażeniu kilku korcy mąki z kilkoma ćwierciami cebuli. Wprawdzie popłoch był generalny, dom zbudowany oryginalnie według pomysłu Idzikowskiego ma dwa piętra, a jedno ciemne i bardzo ciasne w samym środku schody — właśnie niedaleko tych schodów się zajęło — wyrzucano oknami rzeczy, pościele — futra — a mnie było smutno, że się o nic zemocjonować nie mogłam. Prócz tego wypadku, spokojność głęboka. O dziesięć wiorst rozbijano oddział rawski, a tu nawet echem strzały nie doszły. Wojsko chodzące po egzekucji nadzwyczaj małe szkody u nas zrobiło; jak raz w nocy kilku kozaków do karczmy wpadło, to ich sześcioma kwartami wódki karczmarka się pozbyła. W ogóle, zważywszy na różne strony, co być by mogło, a co jest, trzeba ręce łamać lub głębę rozdziawiać. Teraz wszyscy prawie obywatele chwalą sobie generała Radina za jego względność i sprawiedliwość; każe on chłopom płacić zaległe czynsze i w egzekucji do podatków obywatelskich je zalicza, dowodząc bardzo jasno chłopom, że Cesarz czynszów nie darowywał, bo nie do Cesarza należały, tylko do Panów; tak samo i munduru, który pan generał nosi, Cesarz nikomu nie daruje itp. *Procedé delicat*<sup>76</sup>.

Powstanie

Powstanie, Chłop,  
Szlachcic, Władza

Czemu tak rzadko, Wando, z panią Ignacową<sup>77</sup> się widzisz? Płonne zapytanie, boć zapewne nie z innej, tylko z tej prostej przyczyny, że woda płynie i życie płynie... daleko — najlepsi z najlepszymi się rozchodzą, a potem drugich spotykają, i tak ciągle — ciągle aż do grobu. Gdyby jednak trochę bacności, można by niejedno utrwalić, zatrzymać, lecz my się nie spostrzegamy. Ja spostrzegłam wyraźniej trochę, dopiero kilka tygodni temu, kiedy siostra oddała mi pakiety starych przed trzydziestoma blisko laty pisanych przeze mnie lub do mnie listów. Z ilu to stosunków, ile to rzeczy powinno było się zrobić, aż sumienie trochę zbladło, dziś wszystko stracone. *Lost! lost! lost!* — Od Lasi nie miałam listu bardzo dawno; mój grzech, że nie odpisałam, a czemu nie odpisałam? Mogłabym jej i tobie z końca powiedzieć, lecz nie z początku, więc daję za przegraną. Żegnaj już, w samą porę o list dla przesłańca wołają. Żegnajcie, żegnajcie, wszystkie. † † †

## XII

12 listopada 1863, Olszowa

Już na dwa listy twoje z odpowiedzią zalegåm — jako widzisz, coraz sumienniejszà masz ze mnie korespondentkê; dawniej tak ścisłego nie prowadziłam rejestru — ale dzisiaj — interes ludzi łączy, jeśli od ciebie słowa wiadomości nie wyszachruję, to mi Warszawa cała przepadnie i właśnie o najpotrzebniejszych szczegółach nikt nie doniesie — ciebie zaś i bliskich twoich los najpotrzebniejszym szczegółem w życiu moim bieżącym postawił. Dlatego, kiedy piszesz, choćbyś nie chciała, musisz pisać o tym, o czym głównie dowiedzieć się pragnę. Tymczasem zbyt długi monolog znudziłby cię może, Wandeczko — więc ja też z wolna przywykam do coraz częstszych odpowiedzi — chociaż sama ze swej strony w przedmioty do rozmowy bardzo uboga. Kiedy się dzisiaj zabierałam, by ten list na pocztę przygotować, aż mię strach zdjął prawdziwie, wspomniawszy sobie, czym stronicie rozłożonej ćwiartki napełnię? Mam tylko w myśli takie rzeczy, o których pisać nie chcę albo nie mogę.

Dzień świetnych miodogórskich wspomnień przeszedł mi prawie tak, jak sobie życzyłam. Mogłam zupełnie o dacie jego nie wiedzieć; nawet na pocztę się nie posłało, więc i listy wasze dopiero później mię doszły. Ja, co się za żadnymi torturami i boleściami nie upędzam, tego przede wszystkim się lękałam, żeby mię jakie słowo do życia, do czucia, do rozpamiętywania przeszłości nie zmusiło. Dzięki Bogu, tutaj wkoło mnie

<sup>76</sup>*procedé delicat* — przeprowadzone w sposób wyrafinowany. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>z panią Ignacową — Baranowską. [przypis redakcyjny]

ludzie zapomnieli zupełnie — a tam od was rozłożyło się na części. Najpierwej dostało mi się od Kazi kilka wierszy wcale nie drażniących, od ciebie takie, na jakie byłam już z dawna przygotowana, od Zosi Kap[lińskiej] wcale dobre do przeczytania i od Edwarda K[aplińskiego] — najpoczciwsze — tylko myślałam, że mi serce pęknie — juścić nie z jego winy. Najprostsze moje własne spostrzeżenie, najlogiczniejszy mój własny komentarz, gdybym się wzmogła choć na chwilę jaśniejszego usposobienia, to bym mu odpisała, bo pewniejszą bym się czuła, że właściwe znajdę na pogotowiu wyrazy. Jak mi jest bardzo ciężko i ciemno, to zwykle w same karykatury najprawdziwsza myśl mi się wykrzywia. Ileż razy czułam, że zupełnie co innego chcę powiedzieć, a co innego mówię — a co innego znowu słuchający słyszy. Bodajby ci, Wando moja, Bóg tej zmory oszczędził.

Za drugą okazją z poczty odebrałam w parę dni potem list Julii i Matyldy<sup>78</sup>... — a jeszcze [oddarty kawalek listu].

(...) ...ryczka Demb. i Lasi. W piątek przeszłego (...)

(...) postrachy echem rozniosły, spalone moje papiery. Jeszcze mniejsza o papiery — to tylko mego życia kawalek — ale spalono mi listy Jurgensa<sup>79</sup> i Zosi D[unin]<sup>80</sup> — słowa umarłych, którzy już nigdy nie odezwą się do mnie! Wolę zamilczeć o tym — są rzeczy ciągle w pamięci przytomne, a jednak w wypowiedzeniu dotkliwsze. Tylko jak mi napisałś o swojej stracie, mimowolnie zrobiłam porównanie — lub raczej przyszło mi na myśl, że właśnie porównania być nie... [oderwane].

Wiesz zapewne, że Matylda przysłała mi Renana — jest nad czym pomyśleć.

### XIII

[Olszowa] 29 listopada 1863, niedziela

Oba twoje listy donoszące mi o podróży Henryka odebrałam — dziękuję ci za pośpiech — dziękuję serdecznie. Nie uwierzysz, jak często ludziom zdarza się teraz coś przykrego mi zrobić zupełnie bezświadomie, niewinnie i w taki sposób, że się nawet uskarżyć nie mogę, że nie chcę dać znać po sobie, co mię dotknęło lub rozdrażniło. Ty, moja Wandeczko, równie bezświadomie spełniłaś względem mnie daleko lepszy, niż się domyślać możesz, uczynek. Jeśli z równym pośpiechem przesyłasz mi w dalszym ciągu wiadomość o powrocie ojca i w najgorszym razie niedalekim odjeździe Seweryna<sup>81</sup>, to miary zasług dopełnisz. Jedno wyrażenie w pierwszej twojej karteczce dało mi trochę do myślenia. Pytasz się, czy przyjadę? Może ci się zdawało, że bym chciała odjeżdżających pożegnać? — juścić miałabyś słuszność — chęci nie braknie — ale nawet przy odłożonym na jutro terminie czasu już nie wystarcza. Dowiesz się, pod jakim adresem pisywać do niego będą, to i ja korzystać nie omieszkam. Wiele mi na tym zależy, aby teraz jedną twoją sprostować omyłkę. Zdaje ci się, że, ponieważ w bliskości kolei żelaznej mieszkam, to powinnam o wielu rzeczach prędkie i częste miewać wiadomości; tymczasem wcale przeciwnie losy się składają. Czy dla tego, że stacja podrzędna, czy że na stacji nie ma nikogo z poufniejszych znajomych, czy że wysyłani i przybywający niechwytni na nowiny — dość, krótko mówiąc, nigdy nas z tej strony nic nie dochodzi prócz gazet i listów. Sąsiedzkie stosunki także przerwane, zawieszono lub niezawiązane jeszcze. Samotność więc zupełna, a wyrażając się dialektem towianistów, ty, Wando, jesteś główną „nicią” wiążącą mię z dawnymi stosunkami. Inne moje serdeczne, to chore, to pisać nie chcę, nie lubię — nie mogą. — Wspomnienie towianistów wsunęło mi się pod pióro dlatego, że tu właśnie mamy jednego zawziętego przeciwnika towiańszczyzny. Rozwodzi się z żoną, która jej zasady wyznaje, tj. nie dlatego się rozwodzi, że ona wyznaje, ale dlatego, że się rozwodzi, jest jej nowemu nabytkowi przeciwny. Prócz tego wcale nie ma

Polak, Religia, Obyczaje,  
Polityka

<sup>78</sup>Matylda — Matylda Natansonowa (przedtem Okrętowa, później Cyprianowa Godebska, żona rzeźbiarza), która często zaopatrywała ją w książki. Sama Żmichowska tak charakteryzuje ją w którymś z listów: „(...) młoda, świetna, żywych ruchów, fajerwerkowych oczu kobieta. Powierzchność balowa, nie z samego stroju, ma się rozumieć, ale z piękności”. [przypis redakcyjny]

<sup>79</sup>Edward Jurgens — duchowy wódz młodzieży w epoce przed powstaniem. Mimo iż, podobnie jak Żmichowska, był przeciwnikiem zbrojnego ruchu, uwięziono go i umarł w Cytadeli. [przypis redakcyjny]

<sup>80</sup>Zofia Dunin — ukończona siostrzenica i uczennica Narcyzy, młodo zmarła w r. 1862. [przypis redakcyjny]

<sup>81</sup>o podróży Henryka i (...) odjeździe Seweryna — odjazd Seweryna (Markiewicza), zarówno jak „podróż” Henryka (Wohla), to wywiezienie na Syberię. [przypis edytorski]

ochoty do duchowych rozmyślań, prac i uniesień, wstręt wyraźny do wszelkich religijnych kwestii — a tu go napędzają. Dziwny to jednak fenomen: widziałam więcej ludzi bardziej się lękających towiańszczyzny dla swoich bliskich niż najgrzeszniejszych nałogów i usposobień. Ojcowie, którzy z pobłażaniem płacili karciane długi swoich synów; mężowie, którzy przebaczali niewierności żonom swoim; bardzo zacne kobiety, które zdobyły się na wyrozumiałość dla oszustów i złodziei; — wszyscy tacy nie mogli nikomu jednej tylko towiańszczyzny przebaczyć — towiańszczyzna budziła w nich najzaciętszy fanatyzm oporu. Toć nawet Kazia daleko surowszą była dla mnie, gdy przez czas jakiś o sympatię dla tej nauki mię posądzała, niż jest nią dzisiaj, gdy mi raczej brak wszelkiej sympatii do czegokolwiek zarzucić ma prawo. Przyznaj sama, że osobliwszy gatunek niechęci — jest coś w tym — ale na dzisiaj gorętsze kwestie życie człowieka unoszą i tę karteczkę nie w intencji towiańszczyzny pisać zaczęłam, tylko w tym celu, żeby ci za jedno doniesienie podziękować, a o drugie poprosić, żeby dla pani Bole[ślawy]<sup>82</sup> na tymczasem, nim jej kilka słów odwdzięczę, serdeczne przesłać pozdrowienie i żeby z wami wszystkimi, jak tam razem smutne przy stole wieczorem siedzicie, zasiąść wspólnie i siedzieć — choć nic nie mam do powiedzenia.

#### XIV

[Olszowa] 15 grudnia 1863, wtorek

Moja Wando kochana, zapewne dzwonek już nie tak często się odzywa, zawiejka na dworze, gości nie ma, więc ja ostatnia przychodzę na powitanie i dziękuję wam wszystkim, że wśród tylu zmartwień u was przynajmniej chwilową pociechę spotkać można. Tak bym chciała wiedzieć wszystkie szczegóły powrotu — czy chociaż oczekiwany był niespodzianką, co do dnia i godziny — czyście się zachowały spokojnie, żeby Ojca nie męczyć zbyt gwałtownymi wrażeniami — która z was najpierwej spostrzegła i wybiegła? — Mogłam się tego przez Wikcię<sup>83</sup> młodszą dowiedzieć, ale nie złożyło się na wasze spotkanie, ona zaś bardzo krótko w Warszawie bawiła. — Przywiozła mi tylko obietnicę, że wkrótce list od ciebie mieć będę. Nie zarzucaj mi, dziecko moje, że się częściej korespondencji dopominam, a szczególnie nie wnioskuj nigdy, aby mi twoja mniej użyteczną lub pożądaną była. Lękam się czasem jej przerwania, bo już taka wyrobiła się we mnie natura, im więcej się do czego przywiązuję, tym pewniejszą jestem utraty. Przyczyna nie w tobie leży, jak łatwo sama z sądu własnego serca domyślić się możesz, nie zewnątrz mnie, tylko we mnie. Chcesz wiedzieć, czy się to kiedy odmieni? — wszelkie egoistyczne pobudki na to się składają, bym cię słowem nadziei przykuła do siebie — gdyby już nie przed tobą, to sobie samej chciałabym trochę skłamać — zachęcić się do dalszych prób życia. Cóż począć, kiedy jakaś trzeźwość nieznośna względem siebie, a rzetelność względem drugich na złudzenie nawet nie pozwala. Dlaczego ja dawniej, dawniej, ciebie taką, jaką dziś jesteś, nie miałam? Często bardzo wymyślam i subtelnościami przezywam analityczne uczuć moich rozbiory — wszakże mam uznanie twojej wartości — rozumiem, jeśli nie najdokładniej, to bez wątpienia lepiej niż ktokolwiek rozumiał i rozumieć będzie całą osobistość twoją z jej potrzebami, prawami, z jej przeszłością i przyszłością, z jej usposobieniem i z jej losem — no, tak — z jej losem — nie wdając się w prorocstwa żadne — widzę cię, czym być możesz, czym życie i świat cię zrobią. Od ciebie mam najwięcej orzeźwienia, przez ciebie trzymam się jeszcze wielu rzeczy, które by mi w niebyłość odpadły. Wierzę temu, że ty nawzajem masz we mnie — jakby to najwłaściwiej się wyrazić? — masz we mnie okoliczność, która ci wszelkie twoje nabytki dobrego ułatwia — a więc zdam ci się na coś. To wszystko razem miałabym prawo ukochaniem nazwać — i nie nazywam — nie wolno mi już tego używać wyrazu — lub też może to inny, nie ów mój „idealny” ukochania rodzaj. Może lepszy — przez wszystkie warunki życia przeciągnięty, od wspólnych dążeń zaczawszy, aż po granicę szczęścia i siły — ekskluzywe.

Zasmuciłam się trochę tym, co mi o Paulince<sup>84</sup> pieszysz — moja wina na nią spadła. Prawda, że to jest, choć zasobna, lecz w bardzo ścisłe foremki ujęta natura. Miłość ro-

<sup>82</sup>pani Bolesława — Rodysowa, przyjaciółka Grabowskich. [przypis redakcyjny]

<sup>83</sup>Wikcia — żona Ludwika Lewińskiego, siostrzenica Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>84</sup>Paulinka — Paulina Grodzieńska, z domu Lewińska, siostrzenica Narcyzy. [przypis redakcyjny]



dzinna, obowiązkowość, dziecięce dla starszych, którzy ją zawsze pieścili; posłuszeństwo, sparaliżowały ją na zewnątrz. Wyobraź sobie duszę karmelem oblaną, wszędzie słodycz, przezroczystość, a nigdzie wolności ruchu, bo się cała piramida popęka. Są trzy serca, które w jej szczęście tak rzeczywiście, literalnie swoje własne inkrustowały szczęście, że jej bez niewdzięczności ani na cierpienia się narazić, ani nawet inaczej być szczęśliwą jak oni pragną, niepodobna. Jakkolwiek przecież sto razy zmieniłaby warunki owego położenia i całe swoje wewnętrzne i zewnętrzne usposobienie, jeszcze by, moja Wando serdeczna, przy najlepszych chęciach, niewiele ci mogła o mnie powiedzieć. Zdaje mi się, że nie jestem hipokrytką, a jednak ludzie nigdy nie wiedzą, co się we mnie dzieje. Jeśli się zgorszysz, usprawiedliwię się kiedyś; opowiem, jak w dzieciństwie wszelki pierworzutny wyskok żartami mitygowano, jak pensjonarskie życie rozwinęło dowcip szyderczy przeciw wszelkim niezwykłościom, jak później religijność młodzieńcza tajemnicy dla świętszych wrażeń instynktownie zapotrzebowała, jak następnie sumienie uzbroiło odwagą dla wypowiedzania najniebezpieczniejszych przekonań, a po śmierci brata żaden stosunek do wypowiedzenia samej siebie nie wdrożył. Teraz o co innego chodzi; mówię — „tak jest”, a nie „czemu tak jest”. Przede wszystkim zaś oczyszczam Paulinę z zarzutu, że tobie jako obcej niewiele chciała o mnie powiedzieć. Paulina wie, że mi obcą nie jesteś; tylko bardzo mało miała o mnie do powiedzenia. W ogóle taki schemat tutejszego pobytu przedstawić ci mogła. Wstaję, jak mogę najpóźniej. Zimową porą zwykle bardzo wcześnie się budzę — Kasia<sup>85</sup> z przyborami do ubrania dopiero koło dziewiątej się zjawia — to są najcięższe godziny — zwłaszcza też gdy nie mam nic do czytania lub gdy nawet czytać mi się nie chce. Ogarnąwszy się trochę, idę na śniadanie — po śniadaniu palę cygaro i czytam. Ubieram się zupełnie i przed pierwszą dają obiad; po obiedzie wracam do mego pokoiku. Kiedy się dobrze ściemni, idę do sióstr gawędzących razem o tej porze. Urozmaicenie dalszego czasu w tym leży, że potem idę z nimi do stołowego pokoju, gdzie się lampa zwieszona nad dużym stołem pali, albo też znowu wracam do siebie i wychodzę dopiero na herbatę, przy której zupełnie tak samo jak drudzy jem bułkę z masłem i rozmawiam, o czym oni rozmawiają; wreszcie pierwsza odchodzę znowu do siebie i kładę się i po cygarze staram się jak najprędzej usnąć. Ciekawszych szczegółów ani Polcia, ani nikt ci udzielić nie może. Wprawdzie mogą ci prócz tego powiedzieć hurtownie, że smutna jestem — lecz któż dzisiaj wesoły? Oto gwiazdka się zbliża, a wy, chociaż z ojcem już połączone, wesoło jej nie spędzicie. Nawet życzeń nie przesyłam. Bądź zdrowa, moje dziecko jedyne.

Ach, muszę ci jeden zabobonny szczegół z przeszłej wigilii opowiedzieć. Zapewne wiesz, że się ciągłym sprawdzaniem wypadków dałam trochę wciągnąć w tę wiarę, że jaka wigilia B[ożego] N[arodzenia] taki cały rok dla mnie. Jaką była przeszłoroczna, pamiętasz — w Lublinie po śmierci Zosi. Kiedy się kładłam przed samą północą, sięgnęłam ręką do książek na półeczce stojących — i taką wyciągnęłam, która mi przed kilkoma laty zginęła — której bardzo szukałam. Co ja odnajdę? — zapytałam się wtedy. Ale wszystkie smutne żałobne prognozyki się sprawdziły — tylko nie odnalazłam niczego.

---

<sup>85</sup>Kasia — wierna służąca Narcyzy, jeszcze z czasów więzienia w Lublinie. [przypis redakcyjny]

# ROK 1864

## XV

[Olszowa] 2 stycznia 1864, sobota

W tej chwili napisałam karteczkę do oddalonego brata i piszę do was, moi najbliżsi w Warszawie. Jaka to ulga, Wando moja kochana, że wszystko musi przeminąć; i święta przeminęły na koniec! Daremnie człowiek w silne postanowienie się zbroi, by je zupełnie jako najpowszedniejsze dni spędził; jest pełno nieuniknionych zwyczajów — drobiazgowych okoliczności, które koniecznie przypominają, że to jest wyróżniona od innych epoka i trzeba wspominać — porównywać — no, ale już się skończyło. Cały dzień wigilii udało mi się odkraść — „zeskamotować”<sup>86</sup> do pewnego stopnia; nie byłam ani w sobie, ani poza sobą, ani nigdzie. Bodajbyś nigdy nie zrozumiała, jak to można *nigdzie* nie być; szkaradna to rzecz, do której na nieszczęście nałogowo zaczynam przywykać; otóż kręciłam się ciągle między drugimi. Dwóch naszych chłopczyków, Władek po jednej z siostr naszych sierota i mały Lutus, syn Wituchny, drzewko sami sobie na gwiazdkę stroili, głośno było od ich radości we wszystkich pokojach, a ja tymczasem naddatkowy jakiś prezencik improwizowałam. Czas schodził bardzo przyzwoicie; dopiero kiedy świece zapalono, kiedy było trzeba do stołu zasiąść i oplatkiem się dzielić, wszystkim obojętne uśmiechy jak zły tynk na mroz z twarzy opadać zaczęły. Najpierwej Kornelia<sup>87</sup> ze łzami w głosie słów życzenia domówić nie mogła, a biedna Wituchna, choć siłąc się na stycyzm, w milczeniu tylko rękę wyciągnęła. Ich żal za wywiezionym Ludwikiem<sup>88</sup> zahaczył o wszystkie moje własne i niewłasne żale; musiałam się na chwilę ucieczką ratować. Pobiegłam do swego pokoiku, stanęłam przed palącym się w piecu ogniem i zdobyłam się tylko na jedną myśl wyraźną wśród boleści, pokutną wśród zwątpienia, i tę myśl ku „Bogu Ojcu w Niebiesiach” przesałam; Bóg może zechce dać jej właściwe przeznaczenie, bo co ja, to już nic a nic nie wiem co z moich myśli robić, nawet gdy mi która przez serce się snuje. Kiedy wróciłam do jadalnej sali, wszystkich zastałam siedzących na swoich miejscach przy stole, zupa była rozdana i z nikiem więcej oplatka, ni życzenia dzielić mi nie wypadło. Przyznam ci się, Wando, że nie mam ochoty z moim smutkiem uroczyście przed każdym występować i choćby w negacyjne przystrajac go formy; i owszem, za obowiązek sobie poczytuję być zupełnie do innych podobną, wystrzegać się wszelkich ekscentryczności, wszelkiego niejako obrządku na moje indywidualne wrażenia; prędeż jeszcze w radosnej chwili dam się fantazją pociągnąć lub śmiało na zewnątrz ją objawię; cierpienie zaś wszelkie tak mię upokarza, tak odejmuje samodzielność, ufność w samą siebie i odwagę — że nie wiem, czy najtrwożliwsza parafianka mogłaby sztywniej wystąpić na najmodniejszym salonie, jak sztywnie ja wobec własnego sumienia występuję. Wszystko stąd pochodzi, że mam smutek zły; ale wracając się do tego, co mówić zaczęłam, kiedy ludzie po zwyczaju winszują lub życzą, staram się także powinszowaniem lub życzeniem wywzajemnić; perswaduję sobie, że to ma wartość prostego „dzień dobry”, nie mogę jednak z pewnej wewnętrznej przykrości się wyswobodzić. Dotychczas każde słowo podobne wychodziło z ust moich najwierniejszym echem tego, co miałam w myśli i w sercu; dzisiaj czuję, że kłamstwo popełniam. Na podszewce każdego „niechaj lepiej będzie — Boże daj szczęście” — itp. zawsze mi jest obecnym wrażenie, że będzie ciągle gorzej — że Bóg szczęścia z łaski nie daje, kiedy go człowiek podług praw Jego zdobyć sobie nie umie, i inne tego rodzaju zaprzeczenia. Dlatego też doznaję pewnej ulgi, gdy mię cośkolwiek od tradycyjnych formulek zasłoni. Kto tam zgadnie, moja Wando, w co się obracają na wiatr rzucane słowa! — gdyby tylko zamarzyły tak jako w bajce, którą znać musisz, i odtajały nie w porę, to już by dosyć kłopotu być mogło — a dopieroż gdyby chemicznego procesu prawom uległy — fermentowały, amalgamowały z opaczynymi atomami i omen jakiś na jakieś zdarzenie w przyszłości rzuciły. Fałszywe słowa to nie żarty — i omeny — to prawda. A zatem, dzięki Bogu, że święta życzeń przeminęły! Dzień wigilii

Święto, Obyczaje, Fałsz

Szczęście, Los, Bóg

<sup>86</sup> *zeskamotować* (daw.) — ukraść a. ukryć coś zrzęcznie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Kornelia* — Glogerowa, siostra Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>88</sup> *Ludwik* — Lewiński, siostrzeniec Narcyzy. [przypis redakcyjny]

nie przedstawił mi żadnego szczegółu, który by dał się w jakąkolwiek wróżbę przeciągnąć. Doczekałam aż do ostatniej godziny roku i pomimo przeszłorocznej niby wróżby, nie odnalazłam niczego. Ty mi młode i zacne serce obiecujesz — takie, powiadasz, które będzie można ukochać — takie przecież dał mi Bóg dawniej niż przed rokiem, odnajdywać go nie potrzebowałam — jak myślisz Wando? czy potrzebowałam odnajdywać? — Nie — wszak nie. Więc mi się coś innego odnaleźć należało — coś w sobie. Gdyby młode i zacne serce we własnej piersi!... innych zewnętrznych warunków nie określał wtedy — byłoby wszystko odzyskane i do uzyskania... Jeśli się zobaczymy, Wando, przypomnij mi, to ci opowiem kiedy, jakim słowem pobłogosławiła mi na życie, umierająca w trzy dni po moim urodzeniu, matka. Bardzo, bardzo długo starczyło mi tego słowa; od dwóch, trzech lat dopiero spostrzegłam się, że wpływ jego wyczerpnięty — nic nie nada. Chciałabyś się dowiedzieć, moja droga, co ja *wiem* o przeszłości twojej? Literalnie biorąc, „wiem” bardzo mało; ale wnioskuje sobie, że była pod przygnębieniem — tobie się zdaje, że wypadków losu — mnie się zdaje, że twego własnego usposobienia. Strata matki najokropniejszym jest ciosem, zwłaszcza w tym wieku, w którym ciebie dotknęła; jednak to w prawie i w możności ducha ludzkiego nie leży, aby jego kierunek ku żywotowi wiecznemu „śmiercią” mógł być powstrzymany lub zwichnięty — śmiercią będącą w porządku natury — w wyroku Boga. Może chorobliwy organizm nie przetrzymać uderzenia, może człowiek sam umrzeć przy umarłym, aneuryzmu dostać, konwulsji nerwowych, — to inna, fizjologiczna sprawa; — ja tylko się przekonałam, że myślą, dalszym ciągiem niejako śmierci żyć nie może. Ta wielka, uroczysta, najświętsza próba do ostatecznej pełni przywodzi zarodki wszystkich władz naszych — i ty, Wando, pod jej tytuł podciągnęłaś mnóstwo rozwijających się w tobie od tej epoki fenomenów. Mówię w formie niby arcy-stanowczej, lecz przypominam, że się jedynie do wnioskania przyznałam; wspólnemu roztrząśnieniu przedmiotu szerokie pole zostawione; otóż, wnioskuje przede wszystkim, że gatunkowo dusza twoja, odnośnie do dobrego, ma raczej wyczekujące niż zdobywające usposobienie. Czy dobrem nazwiesz szczęście, naukę — ukochanie czy ideał, cnotę, niebo, zawsze w tobie jest pragnienie czekające, a nie ma dosyć zdobywczej odwagi. Nieraz już zauważałam sobie tę wielką między duszami ludzkimi różnicę — ma się rozumieć między już zbudzonymi, chrześcijańskimi, zbawiającymi się duszami — są inne śpiące, pogańskie — zatracone — o tych nie wspominam — co lepsze mam na myśli; z tych lepszych, gdy się im przypatrzysz, zawsze spostrzeżesz, że jedne czekają, drugie zdobywają. Wyobrażam sobie, jak w tej chwili tłumaczysz pewnie na jakąś osobistą przyganę to, że cię do czekających zaliczyłam. Mylisz się, Wandeczko, narzuciłabyś mi śmiesznośćkę równą tym oklepanym... [Końca brak].

## XVI

[Olszowa] 6 stycznia 1864, środa

Przed kilkoma dniami list mój zawięsałam na niedokończonym porównaniu, bo siostra z Warszawy wróciła i zaczęłyśmy się witać, rozpytywać wzajemnie, smucić, pocieszać — n.b. zawsze więcej smucić niż pocieszać — a na koniec tak się różne powszednie okoliczności złożyły, że nie mogłam do spokojnego pisania się przybrać. Wczoraj o posłańcu na pocztę zbyt późno się dowiedziałam, wieczorem przyniósł mi on nowy dowód twojej pamięci — żal mi się zrobiło — czemu choć tego, co było pod ręką prędzej nie wyprawiłam. Teraz może na ślub pojedziesz<sup>89</sup>, może już pojechałaś — Bóg wie kiedy cię dojdą moje słowa. Przede wszystkim w dniu wesela uściskaj Julkę w moim imieniu, serdeczniej niż kiedykolwiek. Błogosławić nie śmiem — życzyć się lękam — wieszować nie chcę — uścisk mi tylko zostaje, pamiętaj Wando — tobie go polecam. Mam prawie pewność jednej tylko dobrej nadziei, oto że podróż i wrażenia ślubne zbawienny wpływ na zdrowie ojca Waszego mieć będą; szczególniej smutek po rozstaniu się z Julcią, im dotkliwszy, tym zupełnie od innych smutnych wspomnień myśl jego oderwie. Ale na pierwszym piętrze<sup>90</sup> — tam już dla żalu nie ma oderwania, chyba nowy niepokój. W ostatni dzień świąteczny

<sup>89</sup>może na ślub pojedziesz — ślub Julii, siostry Wandy, która wyszła za Adolfa Tetmajera, właściciela wsi Ludzimierz w Nowotarskiem. [przypis redakcyjny]

<sup>90</sup>na pierwszym piętrze — u Markiewiczów, gdzie oplakiwano wywiezienie Seweryna. [przypis redakcyjny]

całe poobiedzie z dwoma siostrami moimi głównie o pani Mar[kiewicz] przegawędziłam. Jej mąż był, jako wiesz zapewne, dawnym i b. życzliwym znajomym naszej, w Rawskim zamieszkałej, rodziny. Lilia<sup>91</sup> przypomina sobie, że i panią Emilię spotkała kilka razy u wspólnych przyjaciół czyli sąsiadów i panią Kap[lińską] także — stąd o dzieciach tych pań obydwóch — stąd o Sewerynie jakoś najwięcej mówić mi wypadło. Tak mi się żywo uprzytomnił — wyraźnie niby na pożegnanie. Dawniej byłabym ufniejszą względem jego przyszłości; wierzyłabym, że taka zdolność, z takim poczciwym sercem połączona, sama w sobie niesie prawo i konieczność ostatecznego zastosowania; ale dzisiaj? — Przy końcu nieforemnie zapisanej ćwiartki poprzedniej znajdziesz autorskie signum — „d.c.n.”, co się wyklada „dalszy ciąg nastąpi” — nie oznaczam terminu, lecz przyrzekam, że nastąpi niezawodnie. Tymczasem ogólnikowo tylko wspominam, że przy porównaniu miałam na myśli różne filozoficzne, herbaciane przekomarzania się i sprzeczki o wyższości mężczyzn nad kobietami lub kobiet nad mężczyznami — o supremacji psa nad kotem, błękitu nad żółtym kolorem, choćby wreszcie geologicznego pierwszeństwa ognia nad wodą i *vice versa*. Potem chciałam dokładniej jeszcze objaśnić, co to ja przez „czekanie” twoje rozumiem — jak mię zdobywczosć moja na manowce i głuche stopy wyprowadziła — a na co jedno zdać się może w wiekuistej przyszłości — na co druga drugim potrzebna. Ale to wszystko do „kiedyś”. Już nie chcę listu opóźniać, chcę zaś bardzo przed wyjazdem zastać cię jeszcze w domu. Uścisk na pożegnanie. Jeśli chcesz wiedzieć, co przeczytałam w otwartej o północy 31 grudnia 1863 Ewangelii, to szukaj w *Dziejach Apostolskich*, roz. 12, wiersz 8. Biblia nie może do mnie dopłynąć — przed dwunastą sama siedziałam w pokoiku moim i zaczęłam pisać karteczkę do brata. Potem siostrzenica moja Witka zawołała mnie do pokoju, gdzie wszyscy się zgromadzili. Nim odeszłam, roztworzyłam książkę moją z Ewangeliami, a całą, całą Warszawę myślą przebiegłam — od cmentarzy zacząwszy — na cmentarzach skończywszy i na Cytadeli.

## XVII

[Olszowa] 23 stycznia 1864, sobota

„Co byś ty mi chciała dać<sup>92</sup>”, o najpocziwsza marzycielko moja! Chciałabyś mi dać siłę, talent i pracę skuteczną — szczęście, cnotę i zbawienie! Przyjęłabym jak najchętniej; tylko czy ci się nie zdaje łatwiejszą rzeczą dać mi parę czarnych oczu, długi warkocz kruczonych włosów i dwa rzędy żąbków perłowych? W pierwszych chwilach, po przeczytaniu twego listu z projektami, łąza mi trochę rzęsy zwilgotniały i zamyśliłam się głęboko, odpowiadając ci na wyraz każdy i tłumacząc wszystkie składowe i rozkładowe części mej osobistości; aż na koniec, uderzyła mię ta uwaga, że, chociażbym potrafiła do ostatniej sylaby się wypowiedzieć, to jednak ty mi nie uwierzysz; a nie uwierzysz dlatego, że zrozumieć nie będziesz mogła. Widzisz, Wando, co za ubliżenie! Powiadam, że czegoś nic nie zrozumiesz; dawno się z taką nie spotkałaś impertynencją; jednak niech cię to nie obraża — są różne zrozumienia gatunki — jak wiedzenie i wiedza — jest znajomość i poznanie — jest owoc rajski ręką zerwany — i jest ustami spożyty, ja przynajmniej pod względem wszystkich ważniejszych pojęć moich doświadczałam tej dwoistości niejako przyswojenia, tych stopniowań nabytku. Czasem zdarzało się, że miałam w sobie prawdę jaką — lub dajmy na to kłamstwo jakie — bez właściwego tytułu — czasem tytuł bez odpowiedniej majętności — a czasem jeszcze osobno tytuł — osobno majętność. Na przykład od dzieciństwa, jak zapamiętać mogę, nigdy nie *czułam* żadnej wewnętrznej, kastowej różnicy między ludźmi. Wiedziałam, że są ubodzy i bogaci, i dobrzy, i źli, głupcy i rozumni, ale to mi się zawsze jako przypadek odwołałny stawiało w sumieniu; byli takimi, lecz mogli nimi nie być i *vice versa*. Później daleko, dopiero coś około dwudziestego roku życia, zasłyszałam po raz pierwszy w poważny sposób o demokratycznych zasadach; a jeszcze, jeszcze później, dowiedziałam się, że takie zasady więcej od takiego uczucia, niż od wszelkich rządowych i konstytucyjnych formułek zależą. Albo cóż na to powiesz, moja droga? Kilkakrotnie już zdarzyło mi się coś napisać z wiedzenia mojego rozumu;

<sup>91</sup>Lilia — siostra Narcyzy, za mężem Zaleska. [przypis redakcyjny]

<sup>92</sup>Co byś ty mi chciała dać — cytata z wiersza Narcyzy. [przypis redakcyjny]

wtem nadpływa jakieś zdarzenie, przyplływają wrażenia jakieś — a ja poznaję i doznaję, że zupełnie do kiedyś opisanych podobne. W chwili pisania najwyraźniej brakło mi więc pewnych danych, brakło ostatecznego uzupełnienia. A cały ten ustęp ma być plasterkiem na twoją miłość własną, żebyś się nie obraziła, gdy cię o niezrozumienie pomawiam. Ot, druga impertynencja: miłość własna, lecz ty przecież miłości własnej się nie wyrzekasz, zacząwszy od tego synonimu, który „godnością” zowią, skończywszy na tym, który się jako prawo do różnych praw orzeka — prawo do szczęścia — do miłości i tym podobne. Bez ubliżenia zatem godności i prawu, kiedy mówię, że mię nie zrozumiesz, mam już pewne dowody na to. Pamiętam, że ci kilka razy nadmieniałam ogólnikowo tylko o moim usposobieniu; wzięłaś to zupełnie na boleść, a nie na zrozumienie — wszak prawda, Wando? — i dzięki Bogu, że się tak stało — bez tego ustępu w nauce psychologii doskonale obejść się możesz. Aby się jednak przed samą sobą z wyzyskiwania twojej dobrej wiary usprawiedliwić, muszę jeden przynajmniej szczegół rozjaśnić między nami. Jak ci się zdaje, czy moja bezczynność jest z góry przedsięwzięta? — *un parti pris*<sup>93</sup>, jak mówią Francuzi? czy teraz właśnie, teraz, nie wydarłabym sobie serca z piersi — nie wysuszyła mózgu pod czaszką, żeby rodzeństwu memu rzucić jaką przysługę pomocniczą pod nogi — jaką myśl rozjaśniającą na ścieżkę ku przyszłości? Jeśli tego nie robię, musi to być niepodobieństwem zupełnym. Niepodobieństwo zupełne składa się z okoliczności losu i z przyczyn duchowych. Pod względem losu, sama widzisz, nie nastęcza mi się żadna sposobność — nie lubię zresztą o tym się rozgadywać; kiedy o losie mówimy niekorzystnie, zawsze to do jakiejś proszącej skargi podobne. Przyczyny duchowe są też w moim przekonaniu ważniejsze; czy uznasz za dostateczną osłabienie władz umysłowych? Biorę jedną z podrzędnych, ale i ta może wystarczyć.

26 stycznia. Na bok moją osobistość już usuwając, mam się z tobą o drugiej części twoich marzeń wieczornych rozprawić. Wyobraziłaś sobie, że jakiś kurs naukowy albo słowo jakiejś zasady zbawiennej mogłoby wiele wpłynąć na polepszenie stanowiska kobiety w naszym kraju. Otóż ja mam wprost przeciwne przekonanie. Każda praca wyłącznej w tym celu przedsięwzięta i pod tym tytułem występująca rozbija się o śmieszność lub w najlepszym razie o bezskuteczność przynajmniej. W kółku dobrych znajomych, wśród życzliwych przyjaciółek wolno nam bez wątpienia roztrzaskać sobie tę i ową wątpliwość, a nawet westchnąć z utęsknieniem ku tej lub owej zmianie; lecz do ogółu nie radziłabym nigdy w tym sensie się odzywać. Nie było takim niegdyś zdanie moje, ale takim się stało przez ciąg życia i doświadczenia; później życie i doświadczenie wytłumaczyło mi się i stwierdziło bardzo logiczną teorią. Kobieta jest przede wszystkim potrzebującą „spełnienia” istotą; gdyby nie nadużyto bardzo brzydko tego wyrazu, to bym powiedziała, że jest „realistką”. W naturze jej leży, aby dążyła ku zreczywistnieniu choć najabstrakcyjniejszych ideałów. Wszelkie przedwczesne, ponad „teraz” wybiegłe pojęcia najniebezpieczniejsze są, gdy się między kobiety dostaną, ale też najpewniejszymi wtedy zastosowania, próby, ciała i krwi być mogą; kobieta więc, jako tak przeważnie zreczywistniająca, rzeczywistością głównie wyrabiać się powinna. Musi to być jej prawem Bożym, gdyż wszelkie „rzecznicwa”, wszelkie dowodzenia zawsze więcej złego niż dobrego jej przyniosły. Był czas, kiedy z pewnym żalem myślałam sobie, dlaczego Chrystus w Ewangelii swojej nad czołem kobiety stanowczego błogosławieństwa równości duchowej nie wymówił? Teraz nic mi to nie przeszkadza; widzę, że je dał uczynkiem. Samarytance przy studni powierzył najpiękniejsze, fundamentalne słowa swojej nauki; a nie ścieśnił daru swojego powiadając: — „Dlatego ci to oznajmiam, bo kobietą jesteś” — lub — „choć kobietą jesteś” — po prostu do duszy ludzkiej się odzywał. Ja też myślę, że nam wypada nie dla siebie, nie dla nas kobiet, ale w ogóle dla wszystkich, dla świętej prawdy, prawdy się dopominać. Na co się zdadzą traktaty logiki dowodzące, że kobiety mogą, a więc, kiedy mogą, to i powinny umysłowo się kształcić? Krótsza sprawa od ukształcenia bez dowodzeń zacząć. Systemat wykładów niedostatecznym się okazuje? — trafić praktycznie do tych, którzy na zmianę wpływają; mówić w imię nauki, nie w imię potrzeb naszych. A zresztą mam to przekonanie, że wśród społeczeństwa jest miejsce dla każdej z nas takie, jakie zając zdolna; nie czuję ochoty nawet o więcej się dopominać. Nie jest nam ani gorzej, ani lepiej jak drugiej świata połowie ze względu na indywidualne rozwinięcie. Jeśli sta-

Kobieta, Pozycja społeczna

<sup>93</sup>*un parti pris* (fr.) — z góry przyjęte założenie, osąd itp. [przypis edytorski]

tystycznie zechcesz to rozważyć, przekonasz się, że dziś geniusz i talent w obu płciach te same spotyka utrudnienia. Przesady go nie krępują, głównie ubóstwo i brak stanowiska na zawadzie mu staje. Co zaś do rodzinnych stosunków, temu nie zaradzisz przez kobiety; i owszem, lękać się trzeba raczej, by się nie utworzyła pewna większość zbyt wydoskonalonych uczuciowo; trzeba pierwiej o mężczyznach pomyśleć. Żebyś ty w sobie rozwinęła wszystkie potęgi idealnej rodzinnej miłości, na co się to przyda, gdy właśnie ukochać nimi nie będziesz miała kogo! Wiele, bardzo wiele kobiet przynosi z sobą wyższe skłonności ku dobremu, szlachetniejszą naturę w kochaniu. Do uzupełnienia swego przed Bogiem, do gruntownej pracy na zbawienie wiekuiste, konieczną jest dla nich pomoc bratniej męskiej duszy; koniecznym uznanie pełne szacunku dla tego, którego wybierają; konieczną jego wzajemność zupełną (bo tylko niższy gatunek bez wzajemności obejść się może); tymczasem, jak się obejrzeć, tak najpierwej bardzo trudno znaleźć przedmiot do szacunku — ma się rozumieć szacunek w kobiecie zawsze jest uwielbieniem — uwielbić tedy trudno — lecz jeszcze trudniej, gdy od uwielbionego kobieta równej części zapagnie, gdy zechce iść z nim razem ku doskonałości coraz wyższej — gdy zapotrzebuje wypowiedzieć mu głąb duszy swojej, wątpliwości, nadzieje, osłabienia, podrywy. Na to nie ma dwóch może braci pod słońcem — a męża ni jednego. Czytałaś zapewne *Mlle de La Quintinie*<sup>94</sup>. Śmieszają mię tylko wszystkie podobne przeciw spowiedzi deklamacje. Jak będą inni bracia i mężowie, dyrektorów sumienia nie będzie trzeba kobietom. Gorzej by wypadło dla ludzkości, gdyby miał zaginąć ten rodzaj indywidualności kobiecej, który do wspólki z duszą mężczyzny Boga rozpamiętywać, poznawać i kochać musi. Reformę zatem od tych panów zaczynajcie, Wando. Wspomniałaś mi, że się z panią Matyldą u Julii spotkałaś. Zaciekawia cię jej osoba? — według tego, o ile mogłam ją poznać, jest to najlepsze stwierdzenie w zarysach rzuconej tu myśli. Najniezawodniej przyniosła z sobą na świat bardzo piękne sercowe uzdolnienie — ona byłaby mogła kochać „święcie” — ale ją tylko grzesznie kochano. Dzisiaj idzie o własnej sile; — z żywej sympatii, którą ma dla mnie jednak, mogę wnioskować sobie, jak nierównie dalej, swobodniej by szła, gdyby jej danym było wesprzeć się na ramieniu, na myśli ukochanego. Jeszcze dokładniej mię zrozumiesz, jeśli samą siebie pod rozwagę weźmiesz. Skromność na bok, moja Wando, alboż nie czujesz w sobie zdolności najświętszego, najidealniejszego ukochania? Może pokochasz kiedy, ale za to ci ręczyć mogę, że połowa władz duszy twojej ani zastosowania, ani przedmiotu, tła do rozwinięcia się nie znajdzie. Czemuż więc ciebie jeszcze podsycać, ku niebu pędzić? Lepiej wolałabym spotkać tego, co ma być twoim, i przed śmiercią testamentem zapisać mu wszystkie władze, z których sama żadnego nie zrobiłam użytku. Nie posądzaj mię tylko o przekupne jakieś zaślepienie. Pozwalam ci kształcić się, uczyć, czytać piśmiennictwo Maci[ejowskiego]<sup>95</sup> i historię Bukley’a — lecz w proporcji do przyszłych rodzinnych uczuć, znajduję, że masz w sobie więcej nad możność zużytkowania zapasów. Niech cię też nie dziwi żadna legenda „o dobrej główce Wandy”; chociaż z upokorzeniem widzisz w niej brak arytmetycznej biegłości, pewne gramatykalne niedostatki, ubóstwo nazwisk i dat chronologicznych, powinno cię to przekonać jedynie, że dobrą głową nie jest ani chronologia, ani gramatyka, ani żadna z rzeczy, które osobne są, ale coś innego. Znałam takich niemądrych gramatyków i takich głupich rachmistrzów; wszakże i ty znasz choć jednego przynajmniej? Roztrząśniemy kiedyś to założenie. Teraz ci powiem, moja droga, że nic a nic się domyślić nie mogę, co na tym rządowi zależy, aby Julcia w ciągu tego karnawału za męża nie poszła? Juścić trzeba się spodziewać, że na zawsze *veto* swego nie położy, lub też w wyjątkowych okolicznościach wyjątkowo muszą ludzie postępować. Bardzo to rozumiem, że wszyscy chcielibyście Julkę do ostatniej chwili opieką i staraniem otoczyć, lecz gdybym na jej miejscu była, przyjąwszy raz pewne na całą przyszłość zobowiązanie, już bym się nie wahała wytrwać pomimo — i sama ruszyłabym w drogę — ha! to nie dni powszednie. Z drugiej strony wszelako, podobnych kroków nie doradza się nikomu — muszą z własnej inicjatywy wypływać. Co to znaczy, Wando, że po wspomnieniu Seweryna — napisałaś *p. Ludwik* — i nic więcej? Czy i on w drodze? czy przy

<sup>94</sup>*Mademoiselle de La Quintinie* — powieść George Sand (1863), będąca odpowiedzią na *Histoire de Sibille* Oktawa Feuillet, przeciwstawiająca wolną i oświeconą kobietę czułościwej religijności tego pisarza. [przypis redakcyjny]

<sup>95</sup>*piśmiennictwo Maciejowskiego* — Maciejowski, *Piśmiennictwo polskie od najdawniejszych czasów aż do r. 1830* ([wyd.] 1851). [przypis redakcyjny]

nauce? Do p. Henryka muszę choć raz w życiu napisać, tylko przez ciebie od p. Bolesławy spodziewam się wiadomości o stałym adresie, a przez ciebie p. Bolesławie przesyłam wdzięczne i najprzyjaźniejsze pozdrowienia. To, co mi o Gersona obrazie wspominasz, zatwierdza na nieszczęście moje spostrzeżenia. Dawniejsze jego roboty, może niższe pod względem sztuki, przedstawiały jednak nierównie więcej narodowe typy i z wolna, od pewnego czasu, zaczął w nim germański żywioł przebijać. — Jego Madonna, siedząca na obłokach jak na kufunku, już miała za elbiański koloryt. Dziwnym się zdawać może, że to właśnie w bieżącym czasie nastąpiło; jest wszelako logiczny między tymi wypadkami związek. Trzeba całą naturę mieć przesiąkniętą nie tylko miłością i uznaniem, ale gruntywnym sokiem takiej narodowości, która wstrząśnienia nieszczęść, błędów, pożądań swoich i trudów przechodzi — i młodsze dusze omdlewają — broń Boże za to kamieniem im ciskać.

Do przysłego listu żegnam cię, Wando; przyjmij w komis uściski i pokłony — jak się każdemu z osobna należy. Ode mnie, za każdego, co mi o nim donosisz, jedna kreska więcej na karbownicy długów moich.

N.B. Pod względem liczby rozdziałów i wersetów nie ma dwóch odmiennych edycji Pisma Świętego. Dziwi mię to, że od razu nie trafiłaś — *Dzieje Apostolskie*, roz. 12 — w. 8. „I rzekł do niego anioł: opasz się i obuj ubranie twoje. I uczynił tak. I rzekł mu: weź na się odzienie twoje, a idź za mną”.

Gdyby nie pośpiech na pocztę, może bym tego listu ci nie posłała. Zupełnie innym był w mojej intencji, ale musiałam go po kilka razy przerywać i zupełnie inaczej się skleić. Tym się pocieszam, że może przyjdzie chwilka swobodniejsza, w której się lepiej wypowiem.

Niedokładności wszystkie dopełniam pocałowaniem czoła i oczu twoich.

## XVIII

[1864, Dębowa Góra] [Początku listu brak]

(...) wszystkie przypuszczenia omylą?... Taka jestem uparta, że gotowam jeszcze próbować... mojej cierpliwości. Ktoś z bardzo drażliwym sumieniem to by nie śmiał pewnie trudzić cię pobocznymi zleceniami przy tyłu twoich własnych zajęciach i strapieniach; lecz ja nie wdaję się w podobne skrupuły. Lepiej trochę znam naturę ludzką: im cięższe życie, tym skuteczniejsze wszelkie, choćby narzucone, zatrudnienie. Oj, moja Wando, gdyby mnie kto chciał wziąć dzisiaj jak piłkę do ręki i cisnął w tę lub w ową stronę!... gdyby jak pionem na szachownicy posunął — jak bąkiem zakręcił — gdybym musiała iść tam, myśleć o tym, robić to! pewnie bym po całych dniach nie przeproźnowywała wypożyczonej mi na własność cząstki wieczności. Ale cóż, kiedy chyba ksiądz Honorat podjąłby się tak ciężkiego obowiązku, i ten jeszcze ks. Honorat gniewa się na mnie! Nie ma ratunku — co jednak nie przeszkadza, że go tobie udzielam. „Lekarzu, wylecz sam siebie” — ty się tak do mnie, Wando, nie odezwiesz: zaczynam straszliwie wierzyć twojej dobrej wierze — aż strach! mnie nigdy danym nie było bezkarnie w co lub w kogo uwierzyć. Prototypem ostatecznym mojej indywidualności musi być jakieś granitowe przekonanie, jakiś realizm ścisły i cyfrowy; domyślam się ze zdarzeń losu więcej niż z pojęcia — lecz tak jest bez wątpienia. Wstyd mię jednak, gdy się przeciwstawię twoim o mnie wyobrażeniom: zdaje ci się, że w samotnych moich godzinach tęskną duszę Panu Bogu spowiadam. Jeśli masz litość nade mną, dziewczyno moja, nie strój mię w swoje brylanty; gdybyś kiedy podслуchała, co ja myślę po dniach całych — po nocach, gdy się obudzę! Ale właśnie tego ci nie powiem — tylko w ogóle przestrzegę, że nic z tego pewnie na chwałę Pana Boga nie pójdzie.

25. — Jeszcze przed ostatecznym listu zamknięciem, żegnam cię serdecznym uściskiem — chciałabym dodać i słówkiem nadziei, ale mnie się życie składa na zapomnienie tego słowa. Jakie karykatury spotykam, ile razy na coś nowego spojrzę! nie warto pisać o tym — lepiej złożyć na twoją odpowiedzialność wszystkie uściski i pozdrowienia. Za kilka dni jadę z Dębowej do Warszawy, może lepiej się porozumiemy. Ja bym tak pragnęła sama co dać.

Czyn, Kondycja ludzka

## XIX

[Olszowa] 22 lutego 1864, poniedziałek

Już widać, moja Wando, nie sądziło nam się zamierzone w tym czasie spotkanie, bo i ty byłaś chora w drodze, i mnie, chociażby nawet o dniu przejazdu najdokładniej doniesiono, tak jeszcze resztki fluksji i szkaradnego kataru dokuczały, że nie byłabym mogła żadnej wycieczki przedsięwziąć. Dodaj do tego trzy rewizje, które nam ostatnie dni karnawału uprzyjemniły — jedna ranna, druga północna w sam poniedziałek zapustny<sup>96</sup>. Szczęściem, że najstarszej siostry w domu nie było; ona jest na podobne wypadki tak drażliwa jeszcze, jak gdyby się w Arkadii za mitologicznych czasów urodziła. My tutaj wszyscy lepiej z tym oswojeni; szczególnie Witka przy otwieraniu biurek, komód i kufrów, ze swoim koszyczkiem kluczyków pełnym w rękę, zupełnie taką miała minę jak przy wydawaniu na obiad ze spiżarni. Teraz dopiero odzywa się trochę przebyte umęczenie, ciągle jej się zbiera na wątrobiane kurcze, ale panie Matki zapobiegają kąpielami, katalplazmami i, dzięki Bogu, jest nadzieja, że do ostateczności nie przyjdzie. Smutne bo też to dla niej chwila — na wiadomość od męża długo, całe miesiące czekać będzie musiała. Dziś jego urodzin rocznica — och! i dla mnie rocznica pamiętna — chciałabym do Henryka małą karteczkę wyprawić przynajmniej — siostry jego pewnie pisują, to i dla mnie na pierwszy raz aby pod ich kopertą miejsce się znajdzie. Byliśmy wtedy razem, kiedy nas owa wiadomość doszła.

Coraz więcej się przekonuję, moja Wando, że ludzi trwale i nierozdzielnie kodeksowe tylko stosunki łączą. Niech będzie jaka chce sympatia, upodobanie, potrzeba sercowa lub umysłowa wzajemna, jeśli nie ma tytułu tak bliskiego, jak być może tytuł do sukcesji lub współki handlowej czy dzierżawnej — wszystko na nic się nie zda. Przyjdzie chwila, w której okoliczności rozsuną, świat przegrodzi, bieg najwycieczajniejszych wypadków oceanem rozgranicy. Dawniej wierzyć temu nie chciałam, czas przekonał. Pomijam ubiegłe lata i stosunki, biorę nas dwie jedynie. Mogłoby nam być dobrze jednej z drugą, dajmy na to. W bogactwie młodego serca znalazłabyś cierpliwość i wyrozumienie na moje przywary — boć trudno w bawelnę obwijać — mnóstwo mam „przywar” nieznośnych w codziennym życiu — i gdyby przywar tylko — gdyby tych zewnętrznych naleciałości, które po wierzchu osiadają, są skutkiem obcych wpływów i przywyknień — są rdzą i śniedzią — to jeszcze pół biedy — ciągiem innych atmosferycznych warunków ratować by się można. Lecz są we mnie szkaradne, wewnętrzne, z najrodzeńszej mojej osobistości wynikające niedostatki. Nie rozpatrzyłaś się w nich zapewne; musiałyby cię jednak w dłuższym i poufniejszym zbliżeniu uderzyć. A przecież mniejsza nawet o nie — doskonałości wcielonych jeszcze się tłumami po trotuarach ulicznych nie spotyka — każdy na jakąś ujemność choruje — od tego miłość-sklonność dana jest właśnie, żeby chociaż niektórzy niektórych cierpieć mogli. A więc ty byś mi w obecnym usposobieniu swoim niezawodnie „cierpieć” mogła z łatwością. Mnie nawzajem byłabyś tak użyteczną, tak *zbawienną*, jak ani sama się nie domyślasz, ani ja spodziewać mam prawo; powiedz ci tylko mogę, że działałaś na mnie przymusowo żywotnie. Czasem, gdyby nie twoje listy, po całych tygodniach dotrwałabym w mojej duchowej katalepsji atakach. Przypadają na mnie coraz dłuższe i częstsze stany dziwnej bezmyślności; głównie mię do nich przywiódło to poczucie głęboke, niczym nieodparte, że myśl moja nie zda się do niczego i nikomu. Uważaj, Wando, mówię: poczucie, a lękam się, byś tego z mej strony za uznane postanowienie nie wzięła. Ani pół sofizmem nie utwierdziłam się w takich synkopach; wygodnie mi z nimi, przyznaję — grzeszne są i niebezpieczne — wiem — tobie zaś daną jest władza do pewnego stopnia rozbudzająca nade mną. Trudno to bez zmysłowych porównań wypowiedzieć, co się dzieje niekiedy pod naciskiem twojego słowa, tym bardziej, że porównanie tak łatwo się nastrocza. Ze snu mię wstrząsas — ze snu na mrozie, po jakiejś Berezynie fatalnej; w pierwszej chwili czasem okropnie mi się wstać nie chce — niemal zawołałabym na ciebie: „daj mi pokój — nie wstanę”; ale że co już było, to było — ja oczy muszę rozemknąć, później ruszam się, idę — aż do drugiej recydywy.

<sup>96</sup>zapustny — karnawałowy; zapusty (daw.) końcówka (ostatni tydzień) karnawału, kończący się środą popielcową, rozpoczynającą okres postu. [przypis edytorski]



O ile zdarzy mi się nowe spostrzeżenie pochwycić lub dawniejsze sprostować, o ile nowym wnioskiem dopełnię sobie zniecać jakiś rozstęp w moich pojęciach, zawsze z tym do ciebie teraz się zwracam. Musiałaś sama na sobie zauważać, że wszelkie roztrząsanie przekonań, zdań i założeń mimowolnie w umyśle naszym formę dialogu przyjmuje; otóż ja „do ciebie” myślę — kiedy myślę — i mam tę pewność moją ostatnią, że ty jedynie mogłabyś z myśli mojej korzystać — umiałabyś ją na rzecz, na słowo użyteczne przerobić. Czytając twoje listy o prelekcjach pani Eleonory<sup>97</sup> i o marzeniach, jakie stąd na mój temat wysnułaś, najpierwej sumą niepodobieństw uderzona byłam, potem w kilku samotnych gawędach inaczej ten plan poprowadziłam. Zdaje mi się, że gdybyśmy były razem, dałoby się coś lepszego złożyć. Ty byś kurs jaki z młodymi dziewczętami pracować musiała, a że ci braknie ufności we własnych siłach, spójni między niektórymi punktami na drodze, więc ja bym stała ku pomocy — choć to złe wyrażenie, fałszywe — „ku pomocy”? stałabym *razem* z tobą. Dwie próby mię przekonały o tej możliwości. Z zimną rozwagą jak na dłoni widzę, co ty swojego, sama z siebie, oryginalnie do współki byś przyniosła, a co wzięła ode mnie. Widzę, że jedna drugiej nie przeszkadzała by żadnym ograniczeniem, żadną nieufnością; przypuszczam nawet, iż w twoim dla mnie uczuciu jest pewien pierwiastek przeczujący tę możliwość — i cóż z tego? możliwość się nie zrzeczywistni, jak się nie zrzeczywistniło nasze spotkanie na stacji kolei. Powód — pajęczyna; ale co jedną zmieciesz, wnet drugą okoliczności rozpostrą. Brak nam tytułu kodeksowego. Gdybyś była moją siostrzenicą, kuzynką, pełno zdarzeń zbliżałoby nas codziennie; w obecnym położeniu zbliżyć może tylko krok umyślnie zrobiony lub przypadek. Otóż umyślnie robione kroki wyczerpnęły mi siłę do życia, udowodniły mi swoją bezskuteczność. Nie przyjmowałam ja ludzi, zawsze szukałam ich po świecie; sama wiesz najlepiej, że znalazłam najlepszych — i znalazłszy, musiałam tracić przy lada wicherze, co dmuchnął. Toteż nie wierzę w umyślność; mogłabym więcej przypadkowi zaufać. Kiedy nas już w przeszłości raz sprowadził, czemu by kiedyś znowu w przyszłości połączyć nie miał? Nie jest niby grzechem przeciw logice taka hipoteza, lecz jest najwyższą względem mego znów doświadczenia nielogicznością. Tak zwany „przypadek”, czyli bez dodatku umyślności z naszej strony następujące zdarzenie, czyli prosty bieg rzeczy, czyli naturalna konsekwencja wypadków, czyli jaką chcesz definicją określ sobie ten wyraz, nigdy on mi żadnej praktycznej dzisiaj nie przynosi pomocy. Mam pewne posądzenie, że to jest odwet za moją dawniejszą samorzutność. Wszystko chciałam sobie być winną, więc chociaż niczego nie uzbierałam, i on niczego dać mi nie chce. A przecież, dziwna historia! Mogłabyś sądzić, moja Wando, że na siłę los kiedyś wyzywałam do boju. Nie — to była zupełnie inna kombinacja; zamiast siły, odwagi, katechizmowa obowiązkowość względem przyjętych zasad — trochę dążności i tęsknoty ku ideałowi — trochę pocziwego głupstwa — ale zresztą nic więcej. W jednym z twoich listów ostatnich, czy pamiętasz, Wando, jak rzuciłaś te słowa: „niech mi pani co powie, co *woli*”? Juścić traktatu filozoficznego nie potrzebujesz, bo tylko zapytaj kogo z fachowych ludzi, to ci pełno dzieł o tym wskażą — ale potrzebujesz żywego objaśnienia, części mojego wyrobu z tej prawdy. Na to by trzeba całą chyba powieść mojej osobistości od dzieciństwa rozwinąć. Przez parę wieczorów, jak mi Kasia na szarą godzinę w piecu zapaliła, opowiadałam ci ją w najważniejszych ustępach — lecz tak, piśmiennie, to ci jedynie streścić mogę — że, według mojej miary, działanie *woli*, tych poważnych rozumowych przedsięwzięć — jest bardzo ograniczone. Juścić po śliskiej gliniastej ziemi wypada nam się i wolą podpieścić, żeby w błocie nie ugrząźć; sama po sobie jednak sądząc, przypuszczam, że *wola* ma głównie moralne powstrzymujące działanie. Człowiek może się od złego siłą woli wstrzymać; ale czy siłą woli może co dobrego zrobić — czy ukochać? czy poemat napisać? czy symfonię Beethovenowską zaimprovizować? czy stworzyć, począć, powziąć pierwszy pomysł zbawczego prawa, dobroczynnej instytucji? Dla mnie to jeszcze najgłębszą tajemnicą jest otoczone. Wiem, że gdy szło o czynność nie ujemną, lecz dodatnią, nigdy mi wszelkie wysiłki woli rozumnej na nic się nie zdały — musiałam się też ograniczyć na tym, co mogłam z chęcią i przez skłonność zrobić. Skłonność, chęć i możność to były tak nieodzowne warunki każdej pracy i każdego postępu mojego, że się *nigdy*, pomimo najheroicniejszych wysiłków moralnych, *do niczego* przymusić nie umiałam. Wiem jed-

Los

<sup>97</sup>prelekcje pani Eleonory — Ziemięckiej. [przypis redakcyjny]

nak z historii, że innym się to udawało — dlatego nie przesądzam; ale zawsze zdaje mi się, że najpewniej wtedy coś zrobimy, kiedy do tego szczerą i naturalną chętkę, ochotę będziemy mieli. Och, gdyby mieć ją!... — ochota zaś jest wyrazem zstępnym jedynie skłonności — skłonność w umyśle nazywa się talentem — o talencie ludzie mówią, że jest wrodzonym darem — jest z natury przyniesiony — od urodzenia objawiający się... stąd wynika, że i ochota jest wrodzoną, z natury, od urodzenia przyniesioną. Gdyby takie przekonanie głęboko w ludzi wsiąknęło, to mi się zdaje, że zamiast gimnastykować się na oślep w różnych właściwych i właściwych sobie cnotach, przymiotach, talentach, większą może bacność na to by zwrócili, pod jakich okoliczności koniunkturą więcej dobrych i utalentowanych ludzi się rodzi. Może by wpadli na odkrycie jakiego prawa statystycznego w tym względzie; chociaż wątpię — ma się rozumieć, pod datą dnia dzisiejszego — z jutrem może mi wiele innych wniosków przy płynąć — jednakże na dzisiejszą datę jestem bardzo zachwiana w moich nadziejach *ogólnych*, hurtownych ulepszeń. Ogólność może tylko zewnętrznie, jak atmosfera na człowieka działać. Juścić wiele bardzo zależy na zdrowej atmosferze — na kodeksach, instytucjach — urządzeniach — lecz ostatecznie osobisty organizm stanowi wszystko. I chociaż p. Buckle inaczej utrzymuje, wszystko nawzajem dąży ostatecznie do wyrobienia coraz lepszych osobistych organizmów, tylko to jest geologiczna praca wieków. Pomyśl no Wando, ile typów jest w ludzkości, tyle ich musi kiedyś najwyższą, właściwą sobie doskonałość osiągnąć — jak osiągnęły góry, doliny, kamienie, minerały, rośliny, zwierzęta. Nie żebym już pieczętowała i tych działów natury przyszłość — wiem, że się skorupa ziemska ciągle jeszcze dokształca — ulepsza — ale wiem, że przynajmniej już się kształciła po miarę potrzebnej sobie trwałości — tej siły bytu. Ludzkość, na jej podobieństwo, skutkiem praw tegoż samego porządku, idzie ku temu szczeblowi Jakubowej drabiny, na którym przynajmniej z pokusy wywiedziona i zbawiona od złego będzie; co jej się za nowe horyzonta<sup>98</sup> w dobrem<sup>99</sup> natenczas roztworzą, to już nie mój kłopot. Dobro ma przed sobą nieskończoność. Onego czasu, w kozie, kiedy dla Stefanii torbę szydełkiem robiłam, przyszła mi na myśl ta prawda w pierwszym swoim zawiązku; dialog poprowadziłam z sobą cierpiącą, niecierpliwą i z owym głosem więziennym, którego teraz nigdzie już dosłyszeć nie mogę. „Och! powiedz mi, Panie — kiedyż się znowu ciałem twoje słowo stanie?”... Z dalszych zapomnianych przypominam sobie, że Głos Pański mówił mi wtedy: „Zaczekaj — niech mi tylko nad morską topielą — korale nowej wyspie podstawy uścielą. — Zaczekaj, niechaj tylko na Libanu grzbiecie — drobne ziarnko cedrowe wysiane w tym lecie — spokojnie sobie rośnie i czerstwo dojrzewa. Aż wzrost i wiek mieć będzie matecznego drzewa”... Więc jeszcze wieki czekać?!... Pan rzekł: „Tylko wieki. — Czyż to zbyt długo... Czyż ja mniej rzetelny — w prawach i obietnicach moich dla człowieka. — Gdy on na ich spełnienie tylko wieki czeka. — On, *grzeszny a nieśmiertelny*...”. Dzisiaj, zawiązek ten rozwinął się w mnogie przystosowania — uporządkował w rozliczne kategorie — zatwierdził bardzo silnymi dowodami — jednakże, moja Wando, co to jest za różnica, co za przepaść między *poczuciem* a *pojęciem*. Kiedy wierszami szkicowałam kontury mojej myśli, tak ją czułam w sobie obecną, jak gdybym od razu i bijącą na zegarze, i tą odległą, głęboką wieczności Bożej godziną żyła. Dzisiaj przeciwnie: każdy fakt rozumnie mi pasuje do przyjętego założenia, każda prawda w tej prawdzie się spromienia, a jednak sama dla siebie żyję pod najwybitniejszym wrażeniem *skończoności*. Wszystko i ja tak jest dla mnie jak to, co było, i to, co nie będzie. Gdybym ci na szczegóły rozłożyła ten brzydki fenomen, pewnie zgorszyłabyś się okropnie — tj. raczej zdobyłabyś się na szlachetne oburzenie; ale jeśli nie przez hipokryzję, to przez samo zmęczenie na inny czas to odkładam. Dużo dzisiaj pisałam, jeszcze mię krótką korespondencja czeka, więc już żegnam, dziecię moje.

N.B. wśród innych między nami rozpraw, muszę ci powiedzieć, Wando, że kilka razy i o to cię nagabywałam, żebyś inne jakie dla mnie nazwanie wymyśliła. *Panią* dłużej być nie chcę i nie mogę; *cioci* nie proponuję, to byłby zupełnie anachroniczny tytuł — siostrzenic kilka pocziwych i kochających z *dawnego* mi zostało — lecz ty jesteś dla mnie terażniejszym — *nowym* stosunkiem, jakkolwiek na dawnych fundamentach opartym. Dobrze byłoby po prostu imienia mego używać, tylko wiem, że z początku niezręcznie

<sup>98</sup>*horyzonta* — dziś popr. lm.: horyzonty. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*w dobrem* — dziś popr. Msc.: w dobru. [przypis edytorski]

ci to pójdzie — a prócz tego... nawet mając użycie imienia we zwyczaju, milej nam jakoś mieć swoje wyłączone słówko chrzestne. Znajdź je — moja Wando.

Siostry i Ojca powitaj z podróży. Na każdym piętze przy sposobności wspomnij dobrym słówkiem o mnie i ode mnie. Ma się rozumieć, że o chorych i smutnych najwięcej potrzebuję wiadomości. Czy Zosia<sup>100</sup> może wstawać, po pokoju chodzić przynajmniej? A ciocia Emilka czy się zawsze pociesza tą najnieomylniejszą ze wszystkich pociechą — uznaniem dobrego nawet w nieszczęściu swych dzieci? Nie znam biedniejszych dziś matek nad te, które wątpią o tym, czy ich dzieci są dobre — lub wątpią o tym, czy dla dobrego oddać ich musiały. Tych dwóch skroniowych kolców cierniowej korony Bóg przynajmniej cioci Emilii oszczędził.

Chociaż czytałam dzieło dr Szokalskiego<sup>101</sup> o marności snów i widzeń wszelkich, przyznam ci się jednak, moja Wando, że bardzo lubię, kiedy mi się śni coś takiego, co na mnie wrażenie czyni i po obudzeniu pamięcią się przeciąga. Jawa i sen w przeszłości — gdy miną — mają tę samą wartość — zajęły nam taki i taki przeciąg czasu — więc na jedno wypada. Mnie się dzisiaj o Sewerynie śniło. Wrócił — widziałam go i witałam — potem wspomnieliśmy o utraconym — i jak sama widzisz, chwila pociechy, że miałam z kim wspomnieć, z kim żałować — choć we śnie.

Jeszcze dla pani Bolesławy zlecenie — pozdrów jak najserdeczniej, dziewczynki jej uściskaj.

Jeszcze zlecenie — o Stefani — jeśli ty mi o niej nie doniesiesz, to i nikt inny nie napisze.

Jeszcze o Marcelim<sup>102</sup> i panu Karolu — lecz to już na później odkładam. W przyszłym liście powiem ci, czy byłam wdzięczna za wzniesiony toaścik.

Bóg z Tobą.

XX

[Olszowa] 13 marca 1864, niedziela

Jadą na pocztę i spodziewam się, że mi z powrotem list od ciebie, Wando moja, przywiozą — ale zawsze na tymczasem powiem ci, że jestem o ciebie i o Stasia, i o Alfonsa<sup>103</sup> bardzo niespokojna — a raczej niespokojna o Was wszystkich, bo wiem, jak wam ciężko dzisiejsze dźwigać ciężary. Spodziewam się, że tego za wymówkę z mej strony nie weźmiesz — chętnie bym odstąpiła nieprzyjacielowi mojej siły i wprawy pod tym względem. Chciałam wczoraj przygotować kilka listów do Warszawy, ale mieliśmy znowu nie bardzo miłych gości. Na ten raz przynajmniej obeszło się bez rewizji; czytano tylko gromadzie nowy ukaz cesarski — jeszcze nie wiem, jakie u nas zrobił wrażenie, bo dopiero przed godziną może ogłosiciele wyruszyli z noclegu. W okolicy było to rozmaicie; ustanowiona jednak opłata niekoniecznie się podobała. Nigdy rzeczywistość nadziejom ludzkim nie nadaży; jest to, zdaje mi się, jedyna ogólna, bezwyjątkowa zasada. Można dać komu to, czego się nie spodziewał; ale oczekującemu nikt nie da według oczekiwanej miary. Ciekawa jestem, w co się terazniejszość kiedyś rozwinie; mam na myśli cały wątek moich własnych wniosków, nie życzę sobie jednak, bym je sprawdzić mogła — bo strasznie długo trzeba czekać — a mnie nawet już się nie chce drugi raz odradzać. Wiesz zapewne, jakieśmy tutaj przechodzili kłopoty; nic się na tę, ani na ową stronę nie rozstrzygnęło dotychczas, lecz że kilkanaście dni ciszej przeszło, i to dobrze. Julia w ostatnim swoim liście list od pana Kapl[ńskiego] mi zapowiedziała; że go jeszcze nie odebrałam, więc się pocieszam — czy przypadkiem na poczcie nie zginął — wolę to, niż myśleć o różnych powodach, które by mogły w pisaniu przeszkodzić. Zawsze wtedy coś smutnego na oczach staje; choroba Zosi pogarszająca się nagle — i gorsze jeszcze przypuszczenia. Ciocia Emilka z Manią, to aż mi się śniły w całej prawdzie ich duszy, chociaż tak rzadko teraz sny miewam! Wszakże je uściskasz ode mnie, jeśli tylko zdrowa o tyle jesteś, by

<sup>100</sup>Zosia — Kaplińska, siostra Edwarda i Leona. [przypis redakcyjny]

<sup>101</sup>dzieło dr Szokalskiego — Wiktor Szokalski, *Fantazyjne objawy zmysłowe* (1862). [przypis redakcyjny]

<sup>102</sup>Marceli — Marceli Dobrowolski, lekarz, towiańczyk, przyjaciel Erazma Żmichowskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>103</sup>Alfons — Alfons Grabowski, brat Wandy, rychło potem umarł. [przypis redakcyjny]

ci po zimnych piętach chodzić pozwolono. Przez cały dzień 4-go marca chciałam być z wami, ale was nigdy ogromadzić nie mogłam; co którą sobie wspomniałam, to mi zaraz nasuwała się uwaga, że dlatego lub dlatego u Kazi być nie może. Nie wiedziałam, kogo przy niej w tym dniu szukać; dziś ci też nie powtórzę, co sama tutaj robiłam; wiem tylko, że mię siostry bardzo serdecznie przyszyły z rana uściskać. Lutka wystrojonego Wituchna z bukietem i więzarkiem przyprowadziła, ale wszystkie inne szczegóły już mi uciekły z pamięci. To dziwna rzecz, jak ja teraz prędko i zupełnie umiem zapominać! Dałoby się to zapewne wytłumaczyć różnymi grzechami bliższej i dalszej przeszłości, ale na co się przyda — nawet tobie na przestrozę jeszcze nie potrzebne.

Czy która z was w tym czasie będzie w Piotrkowie? Jedzie stąd do Warszawy dzisiaj właśnie rządca tutejszy, mógłby mi tyle szczegółów o was przywieść, a ja go i prosić nie będę, żeby się zgłosił do kogo z moich znajomych. Zabawnie mi to wygląda, że los mię żadnym koniecznym stosunkiem z wami i z kilkoma moimi nie złączył, a zestawił mię tak blisko z człowiekiem<sup>104</sup> który po stu latach codziennego spotykania się ze mną w jednym pokoju i przy jednym stole, będzie mi trochę więcej obcym niż w pierwszej godzinie i przy pierwszym ukłonie. Przyznaj, Wando, że to bezsens ogromny; czy go nigdy nie spostrzegłaś w swoim własnym życiu? Ile razy na przykład musisz być z osobami, którym nic a nic na twojej obecności nie zależy, a mówić do takich, którzy cię przez grzeczność towarzyską bez żadnego współudziału umysłowego słuchają, słuchać ich nawzajem, kiedy to, co powiadają, nic a nic cię nie obchodzi — i wspomnieć potem, że na tego rodzaju zdarzenia większą połowę życia marnujemy. Co do mnie przynajmniej, to nie mam tej rozrzutności na sumieniu — Póki trzymałam kierunek moich czynności — lecz się chwalić nie warto — a jako przykład stawiać niebezpiecznie. W ostatecznym wyniku, nic lepszego od drugich nie zebrałam.

Zegnaj mi, dziecię moje kochane, pozdrów Ojca, uściskaj siostry, i donoś co prędzej — chciałam przyrzucić „dobre wieści” — ale pewniejsza to rzecz złych się spodziewać. Bóg z Wami. Jak się nazywa miejsce, gdzie Julka wasza mieszka?

## XXI

[Olszowa] 23 marca 1864, środa

Przed chwilą twój list odebrałam, Wando, a że już pierwej do pani Julii pisać zaczęłam, więc skończywszy, dla ciebie w przydadku tę pośpieszną odpowiedź do jej koperty wsuwam. A piszę *odpowiedź* ze zwyczaju, bo właściwie jedno ważne stawiałaś mi pytanie, na które dzisiaj odpowiedzi mieć nie będziesz; więc nie jest to odpowiedź, tylko uścisk świąteczny dla mojej Wandy i przez Wandę dla wszystkich jej, którzy są moimi. Jutro może z Edw[ardem] Kapl[iańskim] się zobaczę, wyjeżdżam umyślnie do Rokicin. Mogłam była onego czasu tak samo naprzeciw ciebie wyjechać, gdyby nie brak listów a naddatek kozaków. Tutaj właśnie od ich ówczesnej bytności znowu spokojnie; raz tylko byli przy ogłoszeniu włościanom ogłoszenia, a potem tak, mimochodem, na wódkę wstępowali. Mnie już i rewizje, i odwiedziny ich tak spowszedniały, że jeśli wieczorem, to się jak najspokojniej do łóżka kładę i zasypiam. Jest parę kobiet w domu, które nie mogą nabrać tej samej wprawy; zawsze febra je przetrzęsie. Gdyby kto chciał z komplementem wystąpić, może by to nazwał z mej strony odwagą, a z ich strony lęklivością; ja zaś wiem bez ogródki, że to nie odwaga i nie lęklivość może. Ot, trzeba się przyznać, że w wysokim stopniu posiadam to właśnie, co cię tak oburza w ludziach i czego bym istotnie nie życzyła nikomu: „zdolność oswojenia się ze złem”. Pierwszy cios — krzyknę; na drugi syknę — a już trzeciego nie czuję prawie. Mówi się o złem w formie cierpienia: mocno jestem ciekawa, czy byłabym się mogła kiedy tak aż do bezczucia z dobrem w kształcie szczęścia oswoić? Widać jednak, Wando, że ciebie życie do tej szkoły pędzi koniecznie. Trzy, cztery lata temu — gdy sobie przypomnę waszą zaciszną rodzinną swobodę, to mi aż dziwnym, skąd siłę — nie na zniesienie, bo to inna kategoria, ale na *przetrawanie* wszystkiego bierzecie? Dla mnie złe wypadki były chlebem powszednim; lata

<sup>104</sup>rządca tutejszy (...) przy pierwszym ukłonie — Szubert, ów rządca. [przypis redakcyjny]

całe zbiegłymi w niespokojnościach o brata<sup>105</sup>, którego najwięcej i najlepiej ze wszystkich na przeszłość, przyszłość i wieczność kochałam; potem nie było roku, w którym bym się o drugiego, dalekiego nie troszczyła; potem przyjaciele znikali — mienili się — ginęli — potem — potem — aż teraz przyszło — no, cóż? jam się na to urodziła i gdybym mogła ci ustąpić pewien składowy pierwiastek tego uznania, to bym ci go dała, Wando, byleś zachowała przy nim chęć do walczenia przeciw złemu, siłę do stwarzania sobie dobra — słowem, życie i ruch, z tą jednostronną śmiercią i jednopunktowym paraliżem. Były chwile, w których doskonale rozwiązywałam tę zagadkę psychologiczną, więc mam prawo radzić na dłużej.

Wspomniałaś mi o kaplicy Św. Anioła — ja także lubię ją o tyle, o ile nie lubię księdza Honor[ata]. W tej kaplicy przygotowywałam się do pierwszej spowiedzi i z głęboką wiarą, że to skutecznym, jak mówiono mi, będzie, ofiarowałam ją na tę intencję, żebym się mogła muzyki nauczyć i żeby się pani Wilczyńska<sup>106</sup> za zgubione rękawiczki na mnie nie gniewała. Później, wróciwszy z Lublina, przesiedziałam tam parę godzin inną modlitwą zajęta — wyjątkowo się jej chwile w pamięci odznaczyły.

Co znaczy strata albumów? czy macie na kogo posądzenie — mnie samej tak ich żal się zrobiło, że jeszcze raz bym z tobą przetrząsała wszystkie kąty i kufry. Ach! ja także nie wiem, kiedy z moimi na tym świecie się spotkam — a co straciłam, to nie wróci.

Medalionu fotograficznego nie obiecuję ci, Wando. Byłby tak niepodobny, że ażbyś z przykrością na niego patrzyła. Wytłumaczę ci to w pierwszym lepszym liście. Dzisiaj już żegnam — o panią Bolesławę zawsze wypytyję; to będzie dopiero, jakeśmy się poznały — rok dopiero! — a tyle, tyle przepadło.

## XXII

5 kwietnia 1864, wtorek

Tęschnisz za moimi listami, Wando; to mi dowodzi, że masz osobny do ich czytania talent. Aż się lękam, żeby które na późniejsze lata się nie uchowały i żebyś, odczytując je kiedyś przypadkiem, nie doznała takiego wrażenia, jakie mnie ogarnęło kilka miesięcy temu, gdy przy rozrzuconych szpargałach siostra mi odnalazła kilka pakietów starej korespondencji. Zrazu ucieszyłam się ogromnie, były tam moje i do mnie pisane listy, karteczki, różności, powiadam ci, moja Wando. Przypominam sobie, jak odbierałam niektóre z zaciekawieniem, z radością, z niepokojem lub ze śmiechami szalonej wesołości — a jak te, co je pisałam, zdawały mi się pilne do przesłania, konieczne do objaśnienia filozoficznej i historycznej życia zawilości. Teraz cóż mi z nich przyszło? Dowodnie tylko się przekonałam, że cały kawał przeszłości mojej reprezentowany najwiarogodniejszymi świadectwami tyle wart co terażniejszość! Z innych przyczyn może i pod inną formą, ale w treści zadziwiająco podobieństwo nicości. Wybrałam ledwo trochę pamiątek i to wszystkie prawie po umarłych; resztę w piec rzuciłam, a kiedy mi nikło przed oczami, wyobrażałam sobie, że tak w wieczności zatracają się lata moje ubiegłe i niczego z nich, ale to ci powiadam niczego mi żal nie było. Według rozsądku, inny sobie wprawdzie moral powiedziałam. Wszystkie te rozerwane i przepadłe stosunki powinny się być lepiej wyprocentować; można było korzystniej jednych użyć, korzystniej drugim służyć; tymczasem ni się użyło, ni się służyło, a chwila ówczesna tego była gatunku, że z niej żadne zasilenie, żaden pierwiastek w dalsze lata, po dzień dzisiejszy się nie przesączył. Juścić chemicznie tę rzecz uważając, pewnie jak papier w ogniu, tak i owe listy w życiu nie zginęły; ponieważ mię cieszyły lub nie cieszyły, rozśmieszały lub gniewały, więc coś z nich zawsze w indywidualności mojej zostało; ale chyba jako żywioł bezświadomie funkcjonującego organizmu, taką mi jest tajemnicą co by to być mogło? jak np. nie domyślę się nigdy (wątpię, czy i fizjologowie rozeznac by potrafili), z której potrawy soki na wzrost i kolor moich włosów wpływały, a z której rosły paznokcie itp., itp. No, czy uwierzysz, Wando, wszystkie te akta, bez żalu spalone, odnosiły się do tak zwanej najpierwszej, najpięk-

<sup>105</sup>lata całe (...) w niespokojnościach o brata (...) o drugiego, dalekiego — ukochany brat Janusz, młodo zmarły; ów drugi to Erazm, który po r. 1831 musiał emigrować z kraju i żył do końca w Rheims we Francji. [przypis redakcyjny]

<sup>106</sup>pani Wilczyńska — właścicielka głośnej pensji, gdzie kształciła się Narcyza. [przypis redakcyjny]

niejszej młodości mojej, zaczawszy od ostatnich lat na pensji spędzonych, czternastego, piętnastego roku, aż trochę po powrocie z Francji, trochę już po roku dwudziestym, i na całą prześwietną apoteozyjną człowieczeństwa epokę nie znaleźć ani jednej przyjaciółki, ani jednego kochanka, ani jednego pocziwego zamysłu, ani jednej piedestałowej rady — nic — nic. Tylko słów kilka zmarłego brata, straconej niedawno siostry — i parę listów szkolnej towarzyski, która także nie żyje, ale której wspomnienie służy mi za skalę do mierzenia różnych stopni późniejszych uczuć i wymagań. Ekstatycznie ją kochałam, lecz to już do innego rozdziału historii należy. Przy początku to miałam głównie na uwadze, że listy z czasem gorzej od fiołkowego koloru blakują, a zwłaszcza moje. Ile razy mi się zdarzyło odnaleźć jaki pod dawniejszą datą pisany, zawsze czułam potrzebę zniszczenia go bez śladu; nie zawsze mogłam to wykonać, lecz gdy mogłam, pewnie nie omieszkałam; kiedy zaś dawniejsze zasługiwały na to, cóż o dzisiejszych mówić? Życie dzisiejsze dostarcza mi tylko takich tematów — „składa się” raczej z takich: — 1-0 o których nie wolno, 2-0 o których nie warto — 3-0<sup>107</sup> o których nie godzi się pisać. Zdarzenia na zewnątrz zbyt drażliwe — lub zbyt jednostajne i obojętne — a zdarzenia myśli, w duszy snujące się tkanki przekonań, supelki zawiązywanych pewników, bodajby nigdy nikomu o nich nie wspomnieć! Kiedy czytałam to, co mi o Zosi K[aplińskiej] piszesz i co o śmierci w ogóle, głębiej niż kiedykolwiek przeświadczyłam się, że jeśli niegdyś wyrzeczenie słowa było mi obowiązkiem, najniezawodniej teraz jest mi obowiązkiem milczenie. W odgadywaniu życia i śmierci zagadnień przysłałam do takich rezultatów, którymi nie warto się dzielić. Mnóstwo dogmatów rozbiło mi się w kryterium doświadczenia, mnóstwo upadło pod naciskiem liczniejszych i uważniej zbieranych spostrzeżeń, a prawda, o ile na koniec do prawdy trafiłam, strat poniesionych nie zrównoważyła mi wcale. Zapewne w takich to przejściach umysłowych po raz pierwszy poeci musieli wyjęczeć skargi swoje na zimną rzeczywistość i elegie nad rozwianymi złudzeniami; co do mnie, ani się na rzeczywistość nie otrząsam, ani ku rozwianym złudzeniom nie tęsknię; wiem tylko, że mi ciężko, smutno, czczo — ale wnioskuję, że nie ów nowy nabytek prawdy tak na mnie oddziaływa, tylko ja oddziaływałam na niego. Przypuszczam, iż z lepszymi zasobami siły, dzielności, przedsiębiorczego ducha, można by do wielkich czynów skierować, sztucznymi blaskami zapłodnić moje pojęcia terazniejsze, — ja nie umiem; źle bym je przedstawiła, zatrulałabym goryczą własnego serca. Nie, nie, ja nie mam prawa mówić, o śmierci mówić, szczególnie z tobą, moja Wando. Wszakże ty sama pytasz i szukasz — a gdybyś też znalazła inne, rzeczywistsze, pewniejsze, świętsze słowo na dnie? Po co ci mam przeszkadzać, kiedy sama gotowa jestem z twojej pracy korzystać! Czy widziałas konających?... Myślą przebiegłam tych, na których własnymi oczami patrzyłam — wielka to nauka.

Aż mię strach, żebyś tych wyrazów z złej chwili nie czytała. Wszyscy mi powtarzają w ustnych i listownych sprawozdaniach, że dla Zosi nie ma nadziei, a ty jeszcze nie umiesz rozstawać się na wieki — może i nie chcesz umieć. Zdaje ci się, że to byłoby przywyknięciem do nieszczęścia; według mnie jednak to byłoby tylko nabytą *władzą i prawem* do udzielania pociechy. Chciej mię jasno zrozumieć, dziecię moje; udzieleniem pociechy zowią czasem równe współczucie nieszczęścia albo daleko częściej zowią nim rozerwanie, „rozweselenie”, że tak powiem, nieszczęśliwego — jedno pocziwe, drugie niegrzeszne, oba jednak niewystarczające. Prawdziwej pociechy udziela się jak sakramentu; daje się siłę, zrozumienie, odwagę, ciągle coś takiego, co wynagradza, co znosi skutki doznanych cierpień. Żeby dać, trzeba mieć w sobie; mieć, nie tylko wiedzą i uznaniem, ale mieć pełnością całej natury swojej, zgodą wszelkich załamek swej osobistości. Czy to będzie wówczas konieczność odkażana w granitowym poczuciu jej rozumnego rozwoju, czy *nadzieja religijna* w nieskończonościach jej obietnic zagrobowych, byle wziąć z siebie, nie z kałamarza, ani z dykcjonarza, to pewnie wesprze i *pocieszy*.

6 kwietnia. Co wam noc dzisiejsza przyniosła? co dzień cały przyniesie? Zosia? Staś?

Miałam wczoraj dłużej pisać, ale jak mi raz przerwano, już nie mogłam do sposobnej chwili trafić. Tj. byłabym mogła dać ci kawałek nocy — snu godzinę na godzinę rozmowy zamienić — poskapiłam — i według szlachetnego zwyczaju sofistów, umiałam to sobie na twoją, więcej jeszcze niż moją korzyść wytłumaczyć. Teraz żałuję, bo widzę, że posłaniec

Żaloba, Cierpienie, Dar

<sup>107</sup> 1-0 (...) 2-0 (...) 3-0 — skróty od łac. *primo, secundo, tertio*: po pierwsze, po drugie, po trzecie. [przypis edytorski]

prędzej wyjeżdża na pocztę, niż mniemałam z początku, nie będzie więc czasu do Julci słów kilku osobnych przyrzucić — a muszę jej koniecznie za fotograf podziękować — no, i za to, że choć przez krótki czas szczęśliwą się czuła. Na jej miejscu, to mi się zdaje, że poczucia owego nie wydarzyłyby mi żadne zewnętrzne okoliczności — lecz o tym na później — z Julcią sprawa.

Dziewczynki przywiozły mi tu oddruk rozprawki ks. Kru[pińskiego] — czy ty przysłałaś? czy pan Edward? chciałabym się, komu należy, z opinii mojej uiszczyć. Pamiętam, jak mi w jednym liście wspominałaś, że pani Ziemię[cka] z ironicznym półśmiechem mówiła ci o tym artykule. Istotnie, dla „specjalistki” filozoficznych studiów musiał on trochę studencko wyglądać, ale co ja sama, niespecjalistka, reprezentantka tłumu, myślę o nim, to ci w przyszłym liście napiszę — jeśli tylko nie zapomnę. Autor by się czuł obrażonym, gdyby mu danym było mojego: „jeśli nie zapomnę” podsłuchać, a to po prostu znaczy usposobienie moje ogólne: żebyś wiedziała, czego ja czasami zapominam! Między mniej ważnymi np., wiem, od dawna miałam cię zapytać: czy dr Szokalskiego o *Objawach* czytałaś? Była mi ta wiadomość potrzebna, tymczasem wiele innych niepotrzebnych nagryzmołam rzeczy. Od Lasi w tym czasie kilka listów odebrałam i w święta zebrało mi się na dłuższą odpowiedź. Boję się, czy jej zarówno milczeniem, jak i pisanem moim nie zrażę. Zawsze mi jakieś spostrzeżenia nad nią pod pióro się wcisną, a jeśli Lasia nie jest *samej siebie ciekawą*, jeśli to nie za psychologiczną analizę, tylko za dawną pensjonarską naganę lub pochwałę weźmie, tom zgubiona w jej zaufaniu. Powiedz mi, Wando, czy rozumiesz, co to jest i czy byłaś kiedy *ciekawą samej siebie*? Wiem, że gorączkowałam się nad stosunkiem twojej osobistości do Boga i świata — ale ta ciekawość, o której mówię, jest jeszcze inna. Zajmuje się prostym badaniem, praktycznym ocenieniem szczegółowym, zrozumieniem wszystkich w nas obracających się kółek — zajmuje samą właśnie osobistością. Pod tym względem więcej daleko znam Lasię niż ciebie: kiedy się opatrzyłam w tej mierze, zadziwił mi trochę ów rezultat; dzisiaj już go trochę lepiej umiem sobie wytłumaczyć. Między nami brak jednej ważnej składowej części życia — powszedniości. Spotykałyśmy się zawsze w wybranych świątecznych lub okropnych godzinach — dni powszednich nie dostaje.

### XXIII

[Olszowa] 2 maja 1864, poniedziałek

W ostatniej karteczce swojej piszesz o moim smutku, który ci na duszy ciąży. Gdybym to ja smutną była tylko, toć już dawno, zaraz po odebraniu wiadomości o śmierci Zosi Kap[lińskiej], byłabym z listem, a może i osobiście do ciebie, do Edwarda, do was wszystkich smutnych za nią pośpieszyła. Lecz we mnie każda strata dzisiaj coś gorszego od smutku rozwija i dlatego tak długo milczałam i dlatego w tej chwili nawet świętości waszych wrażeń, ani słowem pociechy, ani słowem współczucia ubliżyć nie śmiem. To ci jedynie powiem, Wando moja, że jakkolwiek okropną boleść wasza, chwile, któreście przeżyli, więcej od chwil szczęścia warte. Nie posądzasz mię przecież, żebym to w duchu Felicjańskim mówiła; zawsze dla mnie to jest dobre, co człowieka dobrym czyni. Otóż ja widziałam, że w radości serce ma więcej siły do ukochania, umysł więcej zdolności do pojęcia, życie większą łatwość do uchylenia się spod ciężących nad nim fałszów i marnostek; ale radość jest przemijającą „okolicznością” najczęściej — choćby w szczęście przetrwalona — z prawa należna każdemu — a z faktu wszystkim niepewna. Wam zaś dane podniesienie już nigdy odjętym wam nie będzie; śmierć nie zawodzi, śmierć się nie zmienia, śmierć się żadną dalszą przyszłością ani zaprzeczyć, ani inaczej wytłumaczyć nie może. Inaczej wytłumaczyć! czy pomyślałaś sobie kiedy, że owo „inne wytłumaczenie” w dalszym ciągu następstw i rozwoju, zagraża każdemu uczuciu, zarobkowi, entuzjazmowi, każdej znaleźnej, darowanej i zapracowanej naszej. Możesz wszystko stracić, co masz, wszystko, co ci się zdało, że już miałaś nawet; stracić w sobie i poza sobą — a wspomnienie o śmierci Zosi, jej słowa pożegnania, na wieki twoimi.

I są ludzie, którzy tego nie rozumieją! gniewają się i trwożą, gdy im o bliskim zgonie ukochanych mówią; a są jeszcze biedniejsi, którzy nie mają z kim się żegnać.

Muszę ci się też przyznać, moja Wando, że, pomimo całej mojej na drukarstwo i dziennikarstwo obojętności, jednakże z najwyższym oburzeniem aż do rozżalenia dochodzącym przeczytałam ten bezsensowny artykuł w „Gazecie Warszawskiej” umieszczony. Ciekawa jestem, kto go podał. Jeśli masz sposobność, wywiedz się i nazwij mi autora. Juścić to pewna, że Zosia zasłużyła sobie, żeby bez żadnych nekrologów odpoczęła w pamięci tych, co ją kochają, i żeby tylko, jak powiedziane w Objawieniu, „uczynki jej szły za nią”; lecz po takim, prawie oszczerczym wystąpieniu czyimś, zdaje mi się, iż by należało choćby skreśleniem najprostszym jej biografii sprostować ogłoszone fałsze, gdyż później gotów jeszcze lada szperacz zbutwiałych gazet zestawić dwa imiona i pomieszać ją z tą Z. Ka[plińską], która istotnie lekcje śpiewu dawała i na teatrze w Moskwie primadonną była. Zapewne taki szczegół bardzo drobnym wam się wydaje — wy wiecie wszystko o Zosi i Bóg wie także — ale innym na przyszłość okazji kłamstwa zostawiać nie wolno. Zapomnienie lżejszym grzechem niż kłamstwo przekazane pamięci, jeśli mię po kilkudziesięciu latach nikt a nikt nie wspomni, to i cóż złego? — może nawet trochę głębszy, cichszy i zupełniejszy wieczny odpoczynek; ale jeśli ktoś piórem czy językiem moje imię z grobu po długim czasie wyciągnie, to niechże na cośkolwiek się przyda, a przyda się wtenczas tylko, gdy prawdzie posłuży. Według dawniejszego, mistyczniejszego usposobienia, niezawodnie bym ci dowiodła, Wando, jak każdy grzech w imię lub na rachunek zmarłego popełniony, czy przez niesprawiedliwy zarzut, czy przez pochwałę niesłuszną, zarówno cięży duchowi jego i trudnościami dalszą kolej wiecznego żywota wypacza — lecz to naddatek zbyteczny, prawość sumienia na ocenienie tej krzywdy już starczy. Dlatego nie zgorzysz się, Wando, że cię do jej odwrócenia zachęcę. Napisz o Zosi jak najtreściwiej, jak najpoważniej, bez żadnych ozdób stylowych, z całą ścisłością sprawozdawcy. Czym ona była rzeczywiście, czym się zajmowała, ku czemu dążyła, gdzie stała? Potem — tutaj zatrzymałam się nagle, jak nad schodami ciemnej a niespodzianie dostrzeżonej piwnicy — chciałam wskazać, gdzie potem umieścić by to można? — a żadne pismo dość pocziwe na myśl mi nie przyszło — lecz jakbyście się z Edwardem i Kazimierą naradzili, to może przecież jakieś z nich okazałoby się mniej od innych pokalane. Zastanów się i rozważ. Teraz zaś, Wandeczko jedyna moja, pewnie się spodziewasz, że ci za doniesienie o Stasiu wdzięcznie podziękuję. Mylisz się; ja najpierw Stasiowi<sup>108</sup> podziękuję za to, że wyszedł z kozy — że wygrał na loterii — choć to na pozór przypadek dziś wszystkim rządzi — mnie jednak w przypadkowość wierzyć nie wolno i głęboko przekonana jestem, że człowiek w usposobieniu swoim przyczyny tak zwanego „losu” rozwija. Czy Staś jest także o tym przekonany? Nie wyprowadzam go na szerokie pole ogólnych filozoficznych aksjomatów, lecz właśnie trzymam przy jego osobistym przykładzie i fakcie! — Co się z Alfonsem dzieje? czy pan Grabowski miał jakich znajomych w Piotr[owie]? czy już wrócił do was? Nie wątpię, że pan Ignacy Baranowski na większe od pana Chałubińskiego względy u ciebie zasłuży, bo też prawdziwie daleko względniejszą przepisał ci kurację: tamten siedzieć kazał w domu, a ten chodzić nakazuje — masz stąd prawo do najczęstszych na Chmielną ulicę wycieczek. Nie wiem czemu? boć z natury czy z konieczności życia jestem bardzo zazdrosna i to w różnych odcieniach, od słusznego na niesprawiedliwość oburzenia aż czasem do wcale niesłuszej, szkaradnej zawiści — trudno temu zaprzeczyć — a jednak, kiedy pomyślę, że razem z Kazimierą<sup>109</sup> jesteście, że rozmawiacie, projektujecie, wspominaliście — to mi nie zazdrośno, tylko przyjemnie. Pewnie dlatego, że jestem daleko i nie dowiduję, czy mi która z was odbiera co przez to; jednak mam iluzję, że choćbym dowidziała nawet, nie zmieniłabym tego wrażenia. Od pewnego czasu w kombinację mego charakteru zupełnie już wniknęło to uznanie, że mi się nic od nikogo nie należy, że co mi ludzie zostawili, to jest łaską lub omyłką z ich strony. Nie czując więc prawa w sobie do zazdrości, nie dałabym się jej skusić według wszelkiego podobieństwa — chociaż tak niedawno zazdrościłam — ale nie uczucia, tylko losu — inna zupełnie kategoria — nie logiczniejsza od pierwszej, gdyż sama uznaję, że los jest wyrobem naszej indywidualności; zawsze przecież inna. Czy do obowiązków kuracji nie zapisał ci pan Ignacy zawieszenia wszelkich umysłowych zatrudnień? czy książek nie wzbronil? czy higienę codzienną wskazał? Donieś szczegółowo.

<sup>108</sup> *Staś* — dr Stanisław Markiewicz, wówczas młody lekarz, później zasłużony obywatel, twórca kanalizacji Warszawy i kolonii wakacyjnych dla dzieci. [przypis redakcyjny]

<sup>109</sup> *Kazimiera* — Ziemięcka. [przypis redakcyjny]



[Olszowa] 31 maja 1864, wtorek

Rozdrażniłaś mię swoimi planami, Wando! Już się wyrzekłam wszelkich niespodzianek w życiu — przygotowałam się do racjonalnych skutków różnych złego nagromadzonych przyczyn, a ty mi ciskasz w duszę jakąś nadzieję waszego przyjazdu. Rzecz wprawdzie bardzo możliwa, granic praktyczności nie przesypująca, ani w czasie, ani w przestrzeni — jednak lękam się dowierzać. Jeśli to rzeczywiście pani Bolesława twoje życzenia kształtem jakiegoś już projektu odkreśliła, to jej wdzięczność za wdzięcznością — i prośba w dołączonym tu liście zawarta — a na ciebie, Wando, włożony obowiązek poparcia jej wszystkimi siłami. Niech ci to będzie pierwszą wprawą do uskuteniania tego, co zapragniesz. Razem całą dobę przepędzić! — tylko nie w Rokicinach, gdzie wojska pełno i dom zajezdny najniegodziwszy. Olszowa przecież bardzo blisko! Siostry, jak tylko się dowiedziały o danej mi pół-obietnicy, najpierw same ucieszyły się na przybycie „panny Wandy”, a młodsza pani tj. Witka, starsza pani tj. Wikcia, i Kornelia tj. matka Witki, ze wzruszeniem prawdziwym przyjęły tę wiadomość, że może się zobaczyć z ową panią, która im w cytadeli taką serdeczną okazała życzliwość. Zaraz jednak wszystkie pojęły, że nam razem na osobności lepiej być może i do mego wyboru oddały różne dla przyjęcia was pokoje — nb. już wybrałam jeden, na piętrze, tuż ponad moim — łączący w sobie wszystkie do swobodnego rozgospodarowania się warunki. „Przecież wam nie będziemy przeszkadzały”, mówią siostry z siostrzenicą, „a zawsze spokojniej i wygodniej niż w Rokicinach”. Więc niech tylko się dowiem, którego dnia? Czy Pelcia i Zosia przybędą także z mamą? Czy ciebie kto z twoich nie odprowadzi? to są szczegóły potrzebne, dla mnie osobiście, żeby stosownie do nich albo samej naprzeciwko wyjechać — albo wolne miejsce przyjeżdżającym zostawić. Wszystko, wszystko się składa, moja Wando, byle los się złożył!

A teraz co do pism Zosi<sup>110</sup>. Nie wiem, ile i jakich się zebrało; według tego jednak, co mi wyliczyłaś i co ja sama przeczuwam, te pisma są najważniejsze jako świadectwo jej życia całego, jako praca więcej jeszcze ducha niż talentu. Przeważać w nich musi spostrzeżenie nad ustrojem, aforyzm nad inwencją, prawda przekonania nad pomysłem artystycznym; tak jak w Zosi przeważała kobieta, istota ludzka nad autorką. Dlatego mnie się zdaje, że nie literatura, nie piśmiennictwo jej papierowym dziedzictwem, ale wspomnienia czasu bieżącego jej całym życiem, jej osobistością z bogacić trzeba. Pisma stałyby tylko jako częśćka dodatkowa, objaśniająca i tłumacząca jej indywidualność, jej wyrabianie się w sobie — krótko mówiąc, jako nitka w wątku biograficznym. Bardzo mało mamy takich czystych i poczciwych biografii — zmarnowały się najlepsze może w zapomnieniu — zastąpiono je kilkoma sztucznie uprawnymi — bo już taka widać dola czy nieudolność nasza, że tracimy najnieuważniej rzeczywiste zasługi nasze, a koronujemy się aktorską pstrociną. Niechże Zosia nie zginie nam znowu! Ty, Wando, właśnie dlatego, że z jej życia i śmierci najwięcej korzystałaś, powinna być to uznać obowiązkiem swoim. Z pomocą Edwarda ulóż o niej pamiętnik zupełny, od jej dzieciństwa, od wyjątków z listów, które ojciec o niej pisywał, aż do chwili pożegnania, w której się na połączenie z nim cieszyła. Pomyśl tylko, jaki to będzie piękny, dobry, poczciwy obraz rodziny, jakie niektóre jasne do zatrzymania chwile, jakie kosztowne do przechowania szczegóły — imion kilka — i pomyśl, że to ma przetrwać, pozostać. Tak jest, Wando — głównie o to mi chodzi, żeby pozostało. Nie radzę ci też zaraz twą pracę ludziom oddawać, chociaż radzę co prędzej ją rozpocząć, póki jesteś w najżywszej prawdzie wrażenia — w najbliższym do umarłej stosunku. Dziś, jutro, wydrukowana podobna biografia, by też najautentyczniejsza, mimowolnie nekrologowe nasuwa porównanie. Dziennikarstwo i reklamy tak nadużyły nekrologu, że w każdej szlachetniejszej naturze wstręt wyraźny budzi; nic a nic się dziwię, że Zosia w ostatnich chwilach jeszcze wypraszała się od tej smutnej konieczności. Mnie się widzi nawet, że nekrolog istotnie pamięć historyczną zabija. Wiem, że wkrótce po moim przyjeździe do Warszawy z Lublina gazety przepełnione były nekrologami

<sup>110</sup>co do pism Zosi — Kaplińskiej, po której zostało dość wiele niewydanych rękopisów, między innymi książka do nabożeństwa. [przypis redakcyjny]

jakiegoś młodego człowieka, który miał istotnie wyższe zapowiadać zdolności — pisał o nim Jul. Bartosze[wicz], Julka Janiszew[ska] — pani Pruszek<sup>111</sup> — parę anonimów, a wszystko sążniste kolumny — kto to był, czy wiesz teraz w lat kilka zaledwie? — spytaj Edwarda, czy sobie przypomni od razu? — ja, pokornie się przyznaję, że nazwiska zapomniałam. Otóż pewna jestem, że gdyby zamiast owych spiesznych panegiryków, dzisiaj choć w „Bibliotece Warszawskiej” — parę kartek poświęcił ktoś temu wspomnieniu, gdyby je wskrzesił z gorącym jak w pierwszej chwili sercem, a zimną jak po latach ubiegłych rozważą, to by niezawodnie głębsze wywarło wrażenie — na dłuższy czas by się przechowała ta postać, ten niejako specymen gatunkowości tamtejszego czasu. Albo i Alojzy Zagórski — co to było szumu przy jego śmierci — a jak słabe dziś echa. Wierz mi, Wando, czas jedynie uświęca i utrwała; im prędzej rzucisz imię ludzkie na ogólnej własności pole, tym prędzej przeminie; im później, tym dłużej się utrzyma. Już nieraz myślałam sobie, że gdyby pamiętniki Paska były zaraz w jego wieku ogłoszone, to by o nich zaledwo może kilku erudyków Bartoszewiczów wiedziało; ale że się ukazały wtenczas, gdy cała niejako osada, oprawa jego osobistości w najdalszych promieniach się skończyła, dlatego rozpowszechniły się i podniosły w wartości najdrobniejszych drobiazgów swoich. Nie idzie zatem, żeby do drugiej Paskowej epoki biografii Zosi odkładać — to tylko przez porównanie nadmieniałam — myślę jednak, że warto by przeczekać jakąś miarę czasu, aż pewna vibracja żywej osobistości, tak tej, co odeszła, jak tych, co pozostali, przymilknie. Kiedy mi wolno było samej dla siebie układać jakieś pośmiertne plany, wiem, że ten był najulubieńszy. Ani jednego wiersza z listów moich nie byłabym oddała „publiczności” popogrzebowej; nieraz jednak pragnęłam, aby nawet myśli moje niedopowiedziane „później, och! później żyjących” doszły. Dzisiaj i tego wcale już sobie nie życzę, lecz sądzę, że będzie najlepszym, gdy względem kogoś innego się urzeczywistni. Prócz tego, moja Wando, coraz a coraz więcej ufam powolnemu działaniu; coraz bardziej mię to zastanawia, że w geologii więcej dowodów na milionowych lat wpływy, niż śladów kataklizmowych. Nie rozdawajcie więc Zosi niebacznie, prędko — zbierajcie ją wszędzie po przeszłości waszej, po jej pamiątkach, aż zebraną, upodobnioną, zachowacie dla pewnej, przez was najwłaściwszą uznanej przyszłości. Wyobrażam sobie, jakby to mogło boleść samej matki spożytkować i koić — znalazłaby nowy cel życia, nowy interes, nowy obowiązek i pociechę nową. Te dni, w których byś przyszła do niej i powiedziała: „Ciociu, a co by ciocia chciała jeszcze o Zosi mieć napisane”, to byłyby dni jej powtórnego szczęścia. Nie zabrakłoby ci szczegółów, a z takiej miłości zaczerpnięte! Wszakże nietrudne przeznaczam ci zadanie. Żegnaj — zaczynam mówić — do widzenia.

Zosi przypisek roz tęsznił mnie — egoistycznie, nade mną samą — ale to nie powinno by się wyznawać — szczególnie piśmiennie.

## XXV

[Olszowa] 16 czerwca 1864

Twój list, moja Wando, ciężkim kamieniem na sumieniu mi leży. Jakim sposobem się to stało, że słowa moje tyle nadziei, projektów i życzeń wywołać mogły? Gdy je pisałam, zamknęłam w nich jedynie piękne lecz najulotniejsze przypuszczenie, takie, z jakimi lubi się bawić myśl chorych niedołęgów, kalek nieuleczonych, suchotników umierających — „gdybym wygrała na loterii, to bym założyła szkołkę dla samych zdatnych ubogich dzieci — gdybym wzrok odzyskała, to uczyłabym się malować — gdybym wyzdrowiała, to bym zaraz wszystko inaczej w domu urządziła” — mówią sobie te i owe bez grzechu na chwilowe odświeżenie myśli przyjemnym obrazkiem. Więc i ja powiedziałam: „Gdybym teraz marzyła o wycieczce w Tatry, to bym się zaraz do Julci wybierała<sup>112</sup>”. Nie przypominam sobie, aby gra mojej fantazji więcej stanowczym odezwała się tonem. Zresztą, dajmy na to, że rzekłam: „gdybym mogła” itd. Czy ty jeszcze nie wiesz, Wandeczko, że mnie dziś trudno choćby na hipotetyczne<sup>113</sup> marzenie się zdobyć, a nigdy łatwym nie było, choćby dla najłatwiejszych projektów przyjemności możliwość osiągnąć? Zapewne nie jestem

<sup>111</sup>pani Pruszek — Seweryna Duchcińska. [przypis redakcyjny]

<sup>112</sup>to bym się (...) do Julci wybierała — do Julii Tetmajerowej, do Ludzimierza. [przypis redakcyjny]

<sup>113</sup>hipotetyzny — dziś popr.: hipotetyczny. [przypis edytorski]

żadną z tego względu osobiwością, ale wierz mi, że najsumienniejszą prawdę o sobie mówię: w całym życiu moim blisko już pięćdziesięcioletnim, raz tylko *mogłam* przywieść do skutku podróż kilkudziesięcioletnią i wtedy szło mi o zasilek szczęścia kropelki; dla naddatkowej zaś radości, dla estetycznego wykształcenia, dla tych wszystkich poza niezbędnymi potrzebami duszy i ciała leżących przyczyn, *nigdy* kroku dalej nad Wierzbno i Mokotów, nad Saską Kępę lub *sublimatum* wszystkiego, Wilanów, nie zrobiłam. Zupełnie nawet brak mi zdolności przedsięwzięcia i wykonywania podobnych zamiarów. Od dzieciństwa żelazna konieczność stępiła we mnie władzę pomysłów i energii; był czas, w którym to nawet za wielką poczytywałam ujemność, chciałam się poprawić, lecz za późno już było — los stwardniał i dusza stwardniała.

Mój Boże, nim ten list odbierzesz, ciągle się będziesz gorączkowała! Wyobrazisz sobie, że mogę pojechać — spiszesz registr wszelkich powodów, dla których powinnam pojechać — a ja tu ćwiartką papieru cały plan twój zamażę. Gorycz twego zawodu jest moim grzechem — widać, że mi nie wolno bezkarnie żadnym cackiem myśli rozrywać. Toteż zupełnie dostateczną odbywam pokutę — jak sobie wspomnę, że byle trochę inaczej skombinować okoliczności, to jeszcze w mojej mocy byłoby dać komukolwiek taką chwilę, jakiej pragnie do życia (rzeczywistej wartości chwili nie roztrząsam — jej wartością upragnienie) — więc dać taką chwilę — i dać ją zwłaszcza mojej Wandeczce, której się do uzupełnienia, z prawa jej natury wiele chwil podobnych należy. Spodziewam się, że tak można przypuszczenia, jak istotnej straty żałować; żal jednak ani mój, ani twój nawet biegu rzeczy nie zmieni. Serdecznie bym ci chciała oszczędzić tej wprawy w „nieżądanie”, jaką ja miałam stosunkowo do zdarzeń; ale widzę, że i ty nabywać jej musisz — podszywka praktyczności. Przeciw kilku tygodniom, jeśli nie ważę się powiedzieć *szczęścia* — to przynajmniej *szczęśliwym* — co za nikczemne trudności! Np. paszport. Kiedy mi go parę lat temu na Ukrainę odmówiono, nie przypuszczasz zapewne, bym go w tym roku do Galicji dostała. O innych ważniejszych już wspominać nie trzeba, kiedy tak podrzędna jest wystarczająca. Na pociechę o tym myśl, Wando moja, żebyśmy się tutaj po drodze widzieć mogły; jest to daleko łatwiejszym, niż żebym ja do Ludzimierza pojechała: o kilka wiorst tylko chodzi i granicy się nie przejeżdża. Gdybyś w zupełnie obcym, niedającym się do wstąpienia namówić towarzystwie jechała, to jeszcze mogłabyś wyrobić sobie tę nadzwyczajność, by cię na parę dni pierwszej tutaj przysłano. Już moje siostrzenice niezamężne mają ten przywilej. Wsadzono by cię do wagonu, a ja bym w Rokicinach cię wysadziła; potem na umówioną godzinę znów bym odwiozła drogi mój depozyt i w zaufane oddała rękę. Pamiętaj, Wando, że nie chcę innym sposobem bliskich twoim urodzin obchodzić — a z panią Bolesławą swoją drogą właściwe porozumienie nastąpić może — dopomnij się tylko o słówko obietnicy. Widać, że Lasia ma nadzieję być niezadługo w Warszawie, bo w jednym ze swoich listów rozpaczliwy rzuciła wykrzyknik na wiadomość o przyspieszonej twojej podróży. Żebym ja tak kiedy wam obydwom w Tatry mogła matkować! Ha! niegodziwy nalóg — znów zgrzeszyłam — nie uważaj na to, Wandeczko — tylko zajmij się lepiej wyprawieniem mego listu do pani Róży<sup>114</sup> — albo Edward albo Julia niech na nim adres położy, gdyż ja zapomniałam powiatu i nie jestem pewna, czy się nie zmieniło miejsce jej pobytu. Julia mogłaby nawet odpieczętować i słów kilka przyrzucić; zresztą, kto pierwszy będzie pisał. Cieszy mię to, że trochę bliżej spotykasz Matyldę; jej muzyka powinna ją po części wypowiadać — ale po części tylko — bo to — bo to, moja Wandziuniu, jeszcze miałyśmy z sobą wiele rzeczy do mówienia.

Jak pan Staś wszystkie swoje nudne egzamina ukończy, to się dopiero z nim o list jego ostatni posprzeczam — wyraźnie mię posądził, że go chciałam do abstrakcji napędzać.

## XXVI

[Olszowa] 27 czerwca 1864

Wielkie szczęście, że list twój wczoraj odebrałam, moja Wando. Już mi zaczęły różne złe przypuszczenia po głowie się roić; wyrzucałam sobie ciągle brak pielęgnacji z mej strony, nawet tę za krótką przejażdżkę amerykańską — a potem deszcz padający — a po-

<sup>114</sup>pani Róża — Róża Kruszyńska, siostra Marcelgo Dobrowolskiego. [przypis redakcyjny]

tem wiatr — rozmowę — a potem chorobę twoją — lecz o chorobie nie wspominasz — godziło się przynajmniej ze zdrowiem pochwalić. Szczególniej mam do ciebie pretensję za to, że mi nie piszesz, czy w moim imieniu ojcu w dzień św. Jana powinszowałaś? Zastrzegam sobie, byś przed wyjazdem swoim dopełniła tego względem cioci Emilki. Powiedz jej — albo raczej nic nie powiadaj, bo od lat swobodniejszych, w których spotykałyśmy się na uroczystość jej patronki, żaden wyraz z serca nie ubył — te słowa, którymi jej zawsze winszowałam, niezmiennie — a te które przybyły, takie smutne, że ich lepiej nie wymawiać. Uściskajże tylko ode mnie panią Emilię najpierwej ma się rozumieć moją, potem uściskaj twoją ciocię, potem uściskaj matkę pana Stanisława, Seweryna i Mani; pozwalam ci jednak zmienić porządek rejestru, jeśli to uznasz za potrzebny i sprawiedliwszym.

Mam nadzieję, że mi pan Edward bez spóźnienia doniesie o urodzeniu swego *Syna* — chociaż nic by nie szkodziło, gdyby „trzy piękne córki było u matki” — wszelako ponieważ sobie życzy...

W wigilię św. Jana szukałam w lesie paproci — ale nie znalazłam. Patrz, jaki listek bezkwiety... Nie znalazłam — i, i nie doczekałam się nawet odpowiedzi Kazinej na list dawno już napisany.

We środę tak blisko i tak daleko będziemy. Czy kiedy jeszcze panią Bolesławę zobaczę?

Szczęść Boże wszystkich kochanych drodze.

## XXVII

[Urywek listu bez daty]

Jeśli się bardzo rozżaliłaś na mnie za tak długie milczenie, to ci powiem, że przez cały ten czas raz tylko jeden list wyprawiłam i to do waszej Maryni z pokorną prośbą w paszportowym interesie. Już miałam odpowiedź, że wszystko jest nadspodziewanie prędko załatwione. Lasia niezbyt dawno pisała do mnie; na wsi bawi z babką swoją i dziećmi. Pani Alfr... użęła raz ćwierć snopka żyta; zazdrości tobie Karpat i Tatrów, bo sama ciągle tylko po dwa razy na dzień między żytem i konopiami lub między konopiami a żytem się przechadza. Okolica ma być bardzo płaska i smutna. Jeszcze ci też muszę powiedzieć, że nasza Amerykanka uległa zupełnemu *tabu* polinezyjskiemu — nikomu tknąć jej nie wolno. Pierwszej niedzieli, po przybyciu Zosi i Wandki Red[lównych] namówiłam je do takiej przejażdżki po ogrodzie — w zaprzęgu czy też w budowie okazała się jakaś niedokładność — kuc się zbiegał. Wandka sama powożąc się wypadła — tuż głową przy kamieniu — nogę wywichnęła, siostry się poprzelękały — ha! możesz sobie wyobrazić, jak poprzelękały, mając już prawdziwy dany powód — i ja się złękłam — gdyby to ciebie było spotkało w czasie naszej pośród kamieni wycieczki — znalazło się przecież za co Bogu podziękować.

## XXVIII

[Olszowa 1864]

Wczoraj już się rozstała z nami; obiecywane i oczekiwane wakacje ograniczyły się na dniach jedenastu, z których dwa jeszcze trzeba było rodzinie p. Ignacego w sąsiedztwie, a raczej nie w sąsiedztwie, bo o mil kilka zamieszkałej ustąpić. Czułam, że Julia nawet spoczynku i samotności wiejskiej na wzmocnienie dosyć nie użyła; chociaż, gdy sobie dawne jej osłabienie przypomnę, wielce korzystną widzę dziś odmianę. Chciałabym pewnie wiedzieć, Wandeczko moja, czy ja też całym sercem użyłam tego kilkodniowego pobytu? Znać już taki wyrobił mi się organizm, że im więcej komu rada jestem, tym mi się więcej smutku zbiera i wszystkie zapamiętane, zasklepione zmartwienia na nowo odzywają. Przypominałam sobie raz po raz, że takimi specjalami gościa częstować nie warto; ale my z Julią tak dobrze się znamy. Odprowadziłam ją, tak jako was onego czasu, do Rokicin, tak jako z wami siedziałyśmy w powoziku, czekając na przyście pociągu, a jeszcze pierwszej na przybycie pani Lange z Tomaszowa, która najstarszą córkę swoją miała właśnie Julii powierzyć. Przybyła w ostatniej prawie chwili, stąd pośpiech przed wsiadaniem,

i tak mi się zdaje, żeśmy się nie pożegnały. Domyślasz się, żeśmy nad tobą, moja Wando, niejedną złożyły naradę. Ja głosowałam, abys do żętycy, mleka i górskiego powietrza koniecznie wesoły i hartowny umysł, a do umysłu bliższe zaznajomienie się z naukami ścisłymi dodała. Higiena nieomylna — tylko przeprowadzenie jej trudne — zwłaszcza dla Ciebie. Ty byś ze mną starą w zdolnościach utrapienia o lepszą iść mogła; brak ci zupełnie pewnej władzy oporu, strząśnienia z siebie niemiłych ciężarów — *ce coup d'épaule d'Atlas*<sup>115</sup> — albo ten ruch duszy odpowiedni następującej do rozgniecenia złej godziny nodze. Mnie przynajmniej były dane niegdyś chwile podobne; ale w tobie, pomimo całej gorączkowości, jest pewna nieruchomość. Czy śniegiem jak rozbity pod Berezyną Francuz, czy fiołkami jak biesiadnik Heliogabala, dałabyś się zasypać losowi — i cóż ja na to poradzę? A z nauką druga bieda: co tkniesz jakiego faktu, to cię wyraźnie obrzydzenie przejmuję. Pamiętam dwa małe przykłady: jako wstęp do dzieł poważniejszych raziłam ci niegdyś bibliotekę popularną przeczytać; przeczytałaś — ale potem najnaiwniej w świecie mówiłaś, że nie wiesz, co z tym fantem zrobić. Innym znów razem otworzyłaś Szokalskiego i *oburzyły* cię przeczytane kartki; wyraźnie diabeł od święconej wody tak się bronić nie może, jak ty przed rzeczywistością bronisz — i cóż ja na to poradzę? Wiem, że byłoby ci lepiej, gdyby było inaczej; ale czy ty byś lepszą była, gdybyś była inną? Nie rozstrzygam pytania, tylko powiadam ci, że *chcę* koniecznie, byś nam wróciła silniejszą, zdrowszą — pewniejszą. Dostałam jeden numer „Czytelnia Niedzielnej” i bardzo mi się podobał; żałuję tylko, że więcej nie zahaftowałaś takiej dostatniej kanwy — zawsze jej wybór szczęśliwy. Powinna byś dalej to rozwinąć i chociaż pewną serię cudownych ludowych powieści przeprowadzić w taki do bezcudownego życia zastosowany sposób — a możesz w Tatrach legend i bajek nabierać bez miary — a każda legenda prawdy jakiejś sukienką. Dziwna to rzecz, że dla drugich (dla pewnych, niektórych wprawdzie drugich), ale zawsze dla drugich łatwo mi o pomysły do pracy — a dla siebie żadnego wyszukać nie mogę. I ty nawzajem — co to już dzieł pięknych zaprojektowałaś na mój rachunek — co ich Julia nawyczekiwała! Już to dzisiaj niepodobna byłoby mi czymkolwiek się zająć — mam szkaradną fluksję i tak mi twarz spuchła, że pewnie zatraciłam wszelki obraz i podobieństwo Boże. Wczoraj była inna przeszkoda — pojutrze jeszcze inna się znajdzie — wiem doskonale, jak się to razem jedno z drugim nazywa — lecz ci nie powiem, Wandeczko. Proszę cię, żebyś Julię najserdeczniej uściskała ode mnie. Kiedym raz w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, jak to się odzywają tacy ludzie, którym dobrze na świecie, to jej listu wyszukałam umyślnie i odczytałam sobie. Gdybym też kiedy od ciebie takie słowo dostała! — przecież powinnaś trochę na moje *utrzymanie* popracować — czyż mi się nie darowałaś — ja cię wzięłam bez ceremonii.

## XXIX

21 sierpnia 1864, Olszowa

Ciągle mam to na myśli, że się trapisz i niepokoisz zbyt przedłużonym milczeniem moim, a jednak było mi niepodobnym do listu się przybrać — w tym czasie nawet z bratem wszelką korespondencję zawiesiłam. Okropna to rzecz, moja Wando, kiedy komu wypadnie nad tym głowę łamać, żeby coś napisał; ale wierz mi, że stokroć okropniejsza, cięższa, nudniejsza, gdy musi rozważać i uważać, aby nie napisał tego właśnie, co myśl głównie zajmuje, co wrażenia ogarnia i serce przepelnia. Bardzo często mi się tak zdarza teraz; wiem, że „nie powinienam” dzielić z nikim a nikim mnóstwa spostrzeżeń moich, wniosków, domysłów, zniechęceń chorobliwych i innych tym podobnych pleśni, których współzucie nie wyleczy, a które przy dzisiejszym zwłaszcza ogólnie smutnym usposobieniu zaraźliwie najczystsza duszę struć mogą. Jest to pierwej jeszcze, w pełnym zdrowiu powzięte postanowienie. Czytając, słuchając jeremiad wielu — ma się rozumieć szczerych, a tym niebezpieczniejszych, o ile rozumowaniem i pewną umysłową pracą zanalizowanych — zawsze mówiłam sobie: gdyby na mnie coś takiego przyszło, milczałabym przynajmniej — milczenie jest ostatnią cnotą hipochondryka. Jak wszelka cnota jednak, daleko łatwiejszym było w przedsięwzięciu niż w wykonaniu; zdarzało mi się nie-

<sup>115</sup>*ce coup d'épaule d'Atlas* (fr.) — ten cios ramienia Atlasa. [przypis edytorski]

raz przekroczyć ustanowione dla siebie samej prawo — i sarknęłam, i poskarżyłam się tu, owdzie — ale jednak mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że więcej złego i głupstwa pod sekretem zatrzymałam, niż między ludźmi po świecie rozwlekłam. Masz więc pierwszą przyczynę mojej listowej opieszałości. Łatwo sobie wyobrazisz, jak się wzmocniła, gdy ją zewnętrzne okoliczności poparły. O czymże w sierpniu myśleć i mówić mogłam? Tyle nowych okropnych zdarzeń przybyło — a tu znów lepiej żadnym słowem nie zaczepiać, kiedy się wszystkich wypisać nie godzi. Przy zdarzonej sposobności wspomnij tylko pani Bolesławie, że mi ciężiej niż kiedykolwiek z innymi ludźmi, smutniej niż kiedykolwiek za wami było. A i różne udręczające przypuszczenia — obawy — cała nadzieja w tobie, Wandeczko moja. Odwetem karać mię nie zechcesz i o zdrowiu tak swoim, jako też i twej podróżnej towarzyszkii doniesiesz — nawet prędko doniesiesz, chociażby cię pan Adolf<sup>16</sup> najnielitościwiej wyśmiewał. Wstręt jego do obszernej korespondencji wcale mię nie gorszy; z własnego przykładu wiem dobrze, co mogło wpłynąć na wychowanie całej generacji takich niepiśmiennych ludzi. Bo trudno zaprzeczyć, jest to całej generacji chorobą — dzisiaj może nabytą — lecz po jakim lat dziesiątku stanie się dziedziczną skłonnością. Będą się rodzili z antypatią do listów — a szkoda, szkoda — tą koleją z wolna przeszłość ginie, ślad człowieka przepada — choćby zostawił historyczne wspomnienia, choćby najtrwalsze pomniki — jeszcze to nie zastąpi owej psychologicznej iścizny, która duszę duszy tłumaczy. Gdybym była miała listy matki mojej albo którego z pradziadków, pewnie by mi lepiej ubiegłe czasy i mnie samą objaśniły niż wszystkie naukowo zdobyte szczegóły. Już to mi nieraz na myśl przyszło, że historia najszanowniejsza i najbardziej filozoficzna z zewnętrżnością jedynie, ze skórą ludzkości poznajomąć nas może; badania duchowe ograniczają się na rozbiórce idei — co najwięcej fenomenów. Jakim porządkiem myśl z myśli się rodzi, a twierdzenie w negację, negacja w twierdzenie przechodzi — jakim wpływem działają na nas namiętności lub organiczne usposobienie — jaki jest ostatecznej probierz prawdy — choćbyś to wszystko wiedziała, choćbyś i samej *prawdy* pełne garście zdobyła sobie — jeszcze to na nic ci się nie przyda, jeśli siebie samej nie rozumiesz i nie znasz. Na nieszczęście, to poznanie każdy na własnej indywidualności zaczyna; choć każda indywidualność jest dalszym ciągiem tylko poprzednich i sąsiednich — istnie jak gdyby kto z grubej księgi wydarł kilka wierszy oderwanych i chciał w nich sensu dochodzić. Och! ten sens gatunkowy! co to za niezbadana tajemnica jeszcze. Słyszałam od uczonych, że będzie trzeba może kilkowiekowych jeszcze spostrzeżeń, nim się odkryje stałe jakie prawo dla meteorologicznych spostrzeżeń — a jednak pewna jestem, że pierwiej ludzie dowiedzą się, w jakich warunkach zmienia się kolej słotnych i pogodnych dni, aniżeli w jakich warunkach przychodzą na świat ludzie zdolni, silni, pracowici, smutni lub weseli, łagodni lub gniewni. Trzeba masy egzemplarzy rozpoznać w długiej następstwie kolei, a tu sporadyczne próbki gdzieniegdzie po lat tysiącach zostały — a jakie niedokładne! — zawsze prawie do fenomenu zredukowane. Gra wewnętrzna, przyczyny, okoliczności, odcienia zagubione — dlatego masz tyle zbiorowych, sumarycznych kwestii, o które się ciągle kulakują, bo nic o ich składowych częściach nie wiedzą. Weźmy najbliższą, najżywotniejszą ze wszystkich — kwestię postępu, jeśli się bliżej nad nią zastanowisz, to się przekonasz, że więcej się obraca koło zasady, czy postęp być powinien czy nie powinien, jak koło dowodnego twierdzenia, czy *jest* lub czy *go nie ma*. Co do mnie na przykład, jestem na tym punkcie krajobrazu historycznego i filozoficznego, że uznaję konieczność postępu; trudno by mi było innym prawem wytłumaczyć sobie Boga, Naturę i przeznaczenie ludzkości. Ale czy ludzkość już postąpiła? — doprawdy, trudno sumiennie coś w tym względzie zawyrokować. Jej wiekowe istnienie w stosunku do nieskończoności może być ciągle jedną terazniejszą chwilką jeszcze. Koleje żelazne i telegrafy elektryczne, nie bardzo mię przekonywają; gdybym miała pewne dane do ocenienia gatunkowości człowieka poza mną i koło siebie, prędejm się na tak lub nie zgodziła — lecz właśnie owych *danych* zupełnie się czuję pozbawioną. O ile bogatszą albo — jakby się godziło — o ile uboższą była natura Antoniusza uciekającego spod Akcjum dla Kleopatry — od natury waszego niegdyś drugopiętrowego lokatora, tracącego szacunek najzacniejszych ludzi i przywłaszczającego sobie cudze pieniądze dla pięknej Zofii rozwódki — ja ci tego nie rozstrzygnę; chciałabym mieć choć słówko z ich własnego sumienia wypadłe —

<sup>16</sup>pan Adolf — Adolf Tetmajer. [przypis redakcyjny]

a słówka mieć nie można! I tak wszędzie ze wszystkimi. Są jednak tacy, którzy śmiało piszą o psychologii, układają przepisy pedagogiczne — głoszą sądowe wyroki — wznowiona anegdota ezopowa o dzieciach, które orłom w koszykach do szyi przywiązano i które miały niby więzić na powietrzu budować, gdyby im tylko cegiel i potrzebnych dostarczono narzędzi. Przypuszczam nawet, że są już narzędzia i cegły — widzę jednak, że nie ma punktu oparcia — gruntu, z którego wzniesić by się co dało — nie ma przeszłości na porównanie — nie ma przeszłości, której każda jednostka osobnym skutkiem — nie ma przeszłości, według której jakkolwiek pewne snuć by się dały na przyszłość prawidła. Nie ma przeszłości — a jaka to ogromna jej połowa z nienapisanych, zniszczonych — ze spalonych listów się składa — nie licząc w to moich i twoich, Wando. Bo co do moich — lub raczej przeze mnie pisanych — to inna kategoria: zastrzegłam sobie ich zniszczenie dla odrębnych zupełnie powodów; lecz były do mnie pisane niektóre, co ich nic już nie wróci — nic nie wynadgrodzi. A wszelkie listy rodzinne w rodzinach! Nie gorszę się gustem pana Adolfa, jak ci to wspomniałam — żal mi jednak i Włodzia<sup>117</sup> i dzieci Włodziowych — żal mi także kilku słów, których napisać nie mogę. Gdybyśmy razem były, przekazałabym ci je, Wando. Zadziwiająca rzecz doprawdy, jak ty często umiesz myśl moją wypowiedzieć; zdawać by się mogło, że to znak przeznaczenia: tymczasem łatwiej będzie panu Lesseps między morze Suez przekopać, niż nam przedrzeć mnóstwo siatek pajęczych, które nas ciągle rozłączają. Ot, znów fenomen — fakt trudny do objaśnienia w wewnętrznych swoich przyczynach: czemu tyle godzin i lat tyle spędzałam z ludźmi, którzy mi niczym dobrym się nie zaznaczyli, którym nie raz ja się czymś bardzo złym zaznaczyłam, a wiecznie mi było trzeba tęsknić do takich, co mię wspomóc mogli — rozstawać się z takimi, co tęsknili za mną? Istne nonsensy! Czy pamiętasz, co ci już pierwszej kiedyś nadmieniałam? Los mię na cały rok zestawiał z panem Szubertem — a rozsunał z tobą. Miałymy o tym z Julią dość długą gawędkę. Trzeba ci wiedzieć, Wandeczko, że Julia na koniec załatwiwszy wszelkie paszportowe korowody, przyjechała tu z mężem swoim 8-go b.m.<sup>118</sup> Z Wituchną już się tylko w Rokicinach widziała — bo ta ostatnia nie mogła już dłużej zwlekać swego wyjazdu do Karlsbadu. Pan Ignacy miał zaraz nazajutrz do Warszawy wracać — ale mu zaprzężono nowo kupione konie i te zaraz na dziedzińcu tak się czegoś przelekły, że bryczkę do góry kołami wywróciły. Przy rozpoczętych żniwach nie było innej furmanki; stąd okazja wyborna, by perswadować i prosić. Julia nic nie mówiła, ale najpewniej przeczuwana jej niespokojność najwięcej na zatrzymanie p. Ignacego wpłynęła i dopiero we środę do Warszawy wrócił. Wtorkowy wieczór był ciepły i pogodny. Julia spoczęła w swoim pokoju — tym niegdyś Erazia (uprzątniętym), a my dość długo rozmawialiśmy z panem Ignacym, wydeptując wszystkie ścieżki pokwadratowane w okolicach szpaleru. Widziałam kilka gwiazd spadających — ale niczego sobie nie życzyłam w chwili ich przelotu. Zablysnął nawet piękny meteor z długą smugą jasności na niebie — może z pół minuty trwało widzenie, ale żadnej stąd nie wyprowadziłam wróżby. Rozmowa zaś dowiodła mi, że ludzie, którzy mają co do roboty, są zawsze bardzo szczęśliwi — rzecz nie nowa, jednak prawdziwa. Późniejsze z Julią gawędki jeszcze bardziej mię w tym przekonaniu utwierdziły: niczego jej nie zazdroścę, ani szczęścia, ani ukochania, ani wiary w ludzi, tylko jej zazdroścę niewyczerpanej spokojności wobec tej poczwary, która mię całe życie prześladowała, którą czułam przy każdej pracy, przeczuwałam przed każdym zamiarem — wobec *bezskuteczności*. Oni oboje nie mają poczucia, ujętego pojęcia na bezskuteczność; dla nich owoc trudu każdego jest zawsze pewny, choć wiedzą, że może być niedowidzianym częstokroć. Mnie ciągle niedowidzialność zabiła. Julia spieszyła się do domu, bo jej dziewczęta mają 25-go t.m.<sup>119</sup> się zjechać.

XXX

24 września 1864, Dębowa Góra

<sup>117</sup>Włodzio — Włodzimierz Tetmajer, kilkuletni wówczas syn Adolfa z pierwszego małżeństwa. [przypis redakcyjny]

<sup>118</sup>b.m. — skrót od: bieżącego miesiąca. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>t.m. — skrót od: tego miesiąca. [przypis edytorski]

Nie piszę jeszcze listu, bo pod zimę zaczęłam trochę beduińskie życie prowadzić. Jeśli nie ciągle z Olszowej do Dębowej, to przynajmniej bardzo często z pokoju do pokoju się przenoszę i nie wiem, kiedy w Zielonej ujrzę się na koniec. Jest to pewien stan moralnej podróży wcale korespondencji nieprzyjazny. Chociaż w miejscu siedzę, to mam wrażenie ciągłego wybierania się za morza i oceany; myślę o moim jednym mantelzaku, dwóch torbach, czterech pudełkach, pięciu odziewadłach, a chociaż głównie dotychczas pod opieką Kas zostają, tak mię trują i męczą, jak nie będą może nawet później męczyły, gdy zupełnie na moją odpowiedzialność spadną. Wśród tak niekorzystnych do pisania warunków, jeszcze więc na twój ostatni list nie odpowiadam, ale żeby się jakąś fantasmagorią ucieszyć przynajmniej, na powitanie wracającej mojej Wandy tę karteczkę wyprawiam. Wszakże czasem śni mi się jeszcze — (arcyrzadko) śni jednak, że się cieszę — no więc teraz, do współki z siostrami twymi — i ze wszystkimi, którzy cię kochają — próbuję się cieszyć. Według dawnego zwyczaju, całuję i za ręce ściskam każdego, co się cieszy — każdego, co cię wita. Nie obejdzie się bez Edwarda z całym jego otoczeniem, bez cioci Emilki i tych, co do niej należą, bez pani Bolesławy. Nie bądźże mi smutna, moje dziecko. Pamiętaj, żeby choć na tę chwilę każdemu i nawet ojcu weselej się „od ciebie” zrobiło.

XXXI

13 grudnia 1864, Dębowa Góra

W tej chwili twój list mi oddano, a że właśnie do Wandeczki R. różne wyprawiałam zlecenia, więc otwieram kopertę, żeby naprędce te kilka słów wsunąć do ciebie jeszcze. Przeczuwałam, że choroba Alfonsa główną była tak długiego milczenia przyczyną; aż mi się parę razy śniło o nim, chociaż teraz nigdy prawie nic mi się nie śni, ale co twoja fluksja, to zupełnie nieprzeczuwany nawet dodatek. Przez Boga, dziewczyno, rób co możesz, piekielną smołą się smaruj i piekielnym ogniem przypiekaj, a na fluksję nie choruj. Wiem ja dobrze — wiem ja tylko — ja jedna z żyjących na świecie, jak to fluksjami całe terazniejsze i przyszłe życie zepsuć sobie można; powiadam ci — rób, co chcesz — umęcz doktorów, ilu ich jest najślawniejszych w Warszawie, a na fluksję nie choruj. Przy sposobności kiedyś okropnie cię też wylając muszę; twoje szczęście, że dziś nie mam czasu; ale medytuj nad tymi słowami: „nie wdając się w roztrząsanie zawsze towarzyszących mi niepewności w stosunkach z Najdroższą”. Jeśli to nie twoja wina i dziwactwo, to chyba *mój grzech* — ode mnie to wzięłaś — a nie masz prawa tykać takich moich własności.

Rozmówimy się — rozmówimy, moja pani. Dzisiaj zbyt jestem wylagodzona i twoim długo oczekiwanym listem, i wiadomością o polepszeniu zdrowia, lub raczej jeszcze trochę polepszonej chorobie Alfonsa, i tym, że przecież nie takie ciężkie kamienie na głowę mi spadły jak przez cały ten czas waszego milczenia myślałam, że spaść muszą. Więc na później — a na teraz, usprawiedliwiam najpierw Matyldę, że jeśli nie dotrzymała ci obietnicy, to pewnie jej choroba jest tego przyczyną — bo mi, Wandeczko, donosiła, że i ja przez to kilku sprawunkowych objaśnień otrzymać nie mogę. W każdym razie przeznaczone nie minie, włożę tylko na ciebie obowiązek, Wando jedyna, żebyś też jaki doborowy egzemplarz starała się koniecznie panu Henrykowi W[ohlowi] przesłać. Uściski i pozdrowienia dla wszystkich naszych wspólnych.

XXXII

Przedostatni dzień 1864, Dębowa Góra

3 stycznia 1865  
Jeśli ja wiem, moja Wando, skąd się  
ten list u mnie został — kiedy ja go przed  
Nowym Rokiem do Warszawy wysłałam —  
jeśli wiem — to niech mię... właśnie

i  
rym. —



Wiele mi się na pogadankę z tobą, moja Wando, zebrało przedmiotów i myślałam, że się bardzo szeroko o nich w Olszowej rozpiszę; tymczasem zima, śniegi i wichry wszelką mi do wyjazdu energię odebrały, a gdy prócz tego Paulinka słowo zachęty przytrzyma-  
jące mię dorzuciła, zostałam na czas nieograniczony, to jest bez dnia stałe oznaczonego w przyszłym roku. Ach! znowu trzeba ów ciężki, smutny przyszły rok zaczynać — lecz nie o tym mowa. Kładę przed sobą twoje dwa listy ostatnie, żeby myśl jak się należy w porządku utrzymać — i to pisać, o czym ciągle na twoją intencję myślałam, a nie to, co pod wrażeniem daty bieżącej niezdrowym humorem do głowy mi uderza. Najpierwej muszę cię wylać za twoją „niepewność w stosunkach ze mną”. O ile mogę wiedzieć, nie masz jeszcze prawa do niepewności w żadnych z kimkolwiek bądź stosunkach, bo w żadnych nikt ciebie nie zawiódł. Przypuszczam, że nieraz już i nieraz też kiedyś pewnie ty sama zawiedziesz się nieprzyjemnie; dokończyłaś lub dokończysz komu z własnego funduszu ogromnych kapitałów — cnót lub zdolności, a znalazłaś lub znajdziesz mier-  
notę i ułomność — takie zdarzenia powinny cię ostrożności uczyć. Jeśli ze mną nawet — jeśli, właściwie mówiąc, ze mną szczególnie ostrożną być zechcesz, uznaj zupeł-  
nie twoje prawo. „Czy będę mogła tak kochać, jak dziś Kocham?” — z tym zapytaniem wolno ci się nosić wśród ludzi — rzecz sprawiedliwa, roztropna i na obie strony bezpiecz-  
na. Lecz żeby ciągle wątpić, czy jest prawdziwym to uczucie, które tobie okazują, trzeba pierw-  
szej doznać rzeczywiście jakiejś określonej, nazwanej osobistej straty; trzeba nie przez sąd własny, ale przez postępek bliźniego być zawiedziona; trzeba nie samej przestać ko-  
goś kochać, ale być od kogoś przestana. Pierwsze wszystkim się zdarza mniej więcej — drugie nie każdemu. — Tobie, Wando, nie zdarzyło się nigdy. Może nie tyle dostawałaś, ile ci się należało, ile pragnęłaś — to inna kategoria; póki ci nie wzięto już oddanego — póki ci wstać nie kazano z lepszego miejsca, by cię na pośledniejsze usunąć lub zgola  
wydalić zupełnie, póty wszelka niepewność serdeczna twoja chorobliwością umysłową jedynie. Gdybym wiedziała, że wrodzoną, to po prostu naradziłabym się z tobą, żeby ją zwykłym trybem moralnym leczyć — pracą, oporem, nieprzyzwalaniem, różnymi spo-  
sobami najpierwotniejszego katechizmu — jak każdą wadę nieudokonalonej wadliwej natury naszej — gniew, skąpstwo, próżność itp. itp. Posądzam jednak, że to raczej nabyte przez zarazę usposobienie. Wszakże, Wando serdeczna moja, nie wytłumaczysz sobie, że-  
bym cię w tych wyrazach o naśladownictwo posądzala — to nawet nie synonim żaden. Jak się nie naśladuje odry, koklusz, tyfusu, chociaż się nimi bardzo często zaraża, tak i ty nie naśladowałaś, a zaraziłaś się wielu smutkami i boleściami duszy mojej. Czasem ja ci nie wspominałam, nie zwierzyłam — a później, w pewnej danej chwili lub okolicz-  
ności, odbicia dostrzegłam. Jest to wielki mistyczny i fizyczny zarazem fenomen: różnie by można objaśniać, ale zaprzeczyć niepodobna. Człowiek nie pożyje dwóch dni, jedne-  
go dnia, z człowiekiem, żeby natychmiast wymiana wzajemnych wpływów nie nastąpiła; tym bardziej... Wstydzę się tylko, moja Wando, że za to, co mi od ciebie przychodzi — (szczegółowych rachunków nie zaczynam, hurtownie piszę) — za to *wszystko*, co od ciebie przyjmuję, często bardzo wywzajemniam się niekorzystną odpłatą. Dlatego też czuję się w obowiązku przedstawić moje usprawiedliwienie — niech ci pójdzie na zdrowie — i na — ostrożność. Jestem bardzo a bardzo nieufna, trochę mimowolnie ludziom nie wierzę — a nie wierzę pod najprostszą formą. Ideały dałam za wygraną; mnóstwo niedokład-  
ności mogę odkryć i nie zrazić się wcale; tylko nie wierzę temu, co mówią, nie wierzę oznakom przywiązania. Spodziewam się ciągle, że w głębi serca jest *nie tak* albo *nie tyle* — brzydka rzecz — jednak tej rzeczy jest tylko *trochę* we mnie, względem wszystkich moich — daleko więcej i zupełnie nie wierzę przyszłości — tej niewiary względem ju-  
tra mam sto, tysiąc razy, mam do nieskończoności więcej niż względem ludzi. Wszyscy, których uczucie przyjęłam na wyłączność — podstawiałam sobie na wsparcie — uznałam jako potrzebę — ma się rozumieć z różnymi określnikami — paragrafami, wymiarami, z różnymi zapobiegliwościami, żeby się nie oszukać — z minimum co do gatunku ofia-  
rowanego i co do własnych wymagań — wszyscy zawsze się zmienili i odeszli ode mnie jak od nudnego zatrudnienia lub niesmacznej potrawy. Ni ich w tym wina, ni moja; ni ja przez to nie nabyłam prawa potępienia, ni też oni, co dziwniejsza, prawa krytyki nie użyli. Może ty sama, Wando, w cichości duszy swojej tak świetnymi wyrazami o mnie nie myślałaś, jak oni czasem głośno potem się odezwali. Więc gdzież przyczyny szukać — istne fatum i za fatum przyswoiłam to sobie — stąd niepoprawna duszy pochyłość

w stronę wątpliwości. Mam do niej prawo — nawet bardzo być by mogło, że ona mi jest ku spełnieniu jakichś celów wyznaczonym obowiązkiem. W tobie, Wando, bezprzyczynna, stanie się tylko zarodkiem wielu grzesznych skłonności. Nie pozwalaj sobie na nią — nigdy, z nikim — a co do mnie osobiście, to właśnie przebyte zawody (śmieszne słowo, lecz najkrótsze) zawody mię nauczyły by się mieć na baczności i innych nie zwodzić. Owszem, jeśli dawniej starałam się zewnętrzną oznakę wszelkimi siłami do wewnętrznej prawdy mego serca dociągnąć, to dzisiaj dla oszczędzenia sobie i drugiem nieporozumieniu, wtedy jedynie mam spokojne sumienie, gdy jestem pewna, że mi dobrego usposobienia, miłości lub pochwały więcej zostało w duszy, niż na języku drgnęło. A więc, że mam z tobą spokojne sumienie, bądź tak łaskawa i nie miejże ty znowu niespokojnej imaginacji — *in secula seculorum Amen*<sup>120</sup>.

Kiedy najważniejsza kwestia spodziewam się, że już ubita, przechodzę z kolei do Aimé Martin, którego byś ty chciała nową książką o kobiecie uzupełnić. Notatki „hermetycznie w szufladzie twego biurka zamknięte”, jak widzę, trapią cię przy byle sposobności. Otóż jest na to rada. Masz przekonanie, że się na cokolwiek zdać mogą — a ja nie mam tego przekonania — masz je w szufladzie, a ja nie mam ich nigdzie — bo tak jak wiele droższych, ważniejszych dla mnie papierów — spalone. Oczywiście z tego wynika, że tobie się godzi zrobić z nich to, co dobrym być mniemasz. Bez najmniejszej autorskiej pretensji upoważniam cię do tego — daruję ci na własność wszystkie moje myśli ówczesne. Nie, nie wszystkie — miałam już wiele zatrutych, szkodliwych, tylko, dzięki Bogu, tych myśli nie masz w notatkach swoich...

A teraz sprawa o *zacołaniu*. Z tego wieczoru, któryśmy razem u cici Emilki spędzili, domyślam się, pod jakim względem ten zarzut ci zrobiono. Może i słusznie po części, w stosunku do ciebie samej, chociaż może niesłusznie w stosunku do zarzucającego. Ciężką szkołę doświadczenia przejść trzeba, żeby umieć wytrwać, a nie zacołać się i nawzajem trzeba mieć bardzo prawą naturę, bardzo jasne sumienie, żeby być inaczej, a wytrwać. Życie uczyć powinno; kto *potem* wie tyle jedynie, ile *przedtem* wiedział, temu niezawodnie prawdy i dobrego skutku w ogólnej sumie zabrakuje. Zasada religijna, wiekuista niech zostanie niezmienną, ale wszelkie jej ludzkie przystosowanie musi być według bieżących okoliczności wykrojone. Słyszałam o konwencjonalach z 93-go, którzy w 1839 jeszcze ani na kreskę od pojęć swoich nie odstępili. Znałam sama ludzi dobrej wiary, zakamieniałych w niektórych formułkach społecznych i sama podziwiałam z uszanowaniem tę stałość, ale nigdy ona nie wyszła na dobre w praktyce. Owszem, zdaje się, że Bóg ciężko karze *wiarę* (rzecz, zdolność tylko dla rzeczy boskich daną człowiekowi), gdy się uparcie do rzeczy ludzkich przywiąże. Ludzkie rzeczy koniecznie trzeba *rozumem* ludzkim ovladnąć i tak urządzić, aby do boskich nie przeszkadzały; ludzkie rzeczy koniecznie trzeba po ludzku robić — po ludzku — na podstawie chemii, fizyki, mechaniki i rachunków.

Wielu pocziwych tym zbłądziło, że zaczęło budować na podwalinach abstrakcyjnych syllogizmów lub religijnych uczuć, pierwej nim ovladnęło ziemskie dotykalne materiały. Za karę teraz będzie trzeba aż po piersi w ziemię się zakopać — sił muskularnych nabrać. — Sił! Mocy! Sił! Możliwości!

Bardzo to szczęśliwie dla mnie, moja Wando, że ty chcesz ufać w prawość moich chęci i pewna jesteś iżbym wiele, wiele dobrego zrobiła, gdybym była zdrową, szczęśliwą i bogatą. Lecz ponieważ, z głupich czterdziestu kilku lat moich, nie wyrobiłam sobie ani zdrowia, ani szczęścia, ani majątku, de facto nic dobrego nie robię. Myśl więc o tym, byś miała zdrowie, szczęście rodzinne i pieniądze — bardzo będziesz wtedy użyteczną — będziesz mogła być „dziejowo dobrą” — a pilnuj się tymczasem, żebyś wewnętrznie wobec Boga dobrą być nie przestała. Zanedtośmy się przyzwyczaili słuchać o przeciwieństwach, o sprzecznościach dobra ziemskiego z niezemskim, duchowym — czas już, byśmy ich harmonię pojęli na koniec. Czytałam różne książki, widziałam różnie pracujących ludzi: otóż nigdzie nie znalazłam żadnej takiej prawdy *dowiedzianej*, która by się z najwyższą prawdą „zbawienia” nie zgadzała; i takiej pracy rozumnej, która by pocziwą duszę ze-

Wiedza, Wiara, Nauka,  
Kondycja ludzka, Bóg

<sup>120</sup>*in secula seculorum* (łac.) — na wieki wieków. [przypis edytorski]

psuła, itd. itd. — co wszystko razem znaczy, że przeciw nadużyciom poezji, nabożeństwa, idealności, trzeba oddziaływać umiejętnością, obyczajem<sup>121</sup> i zarobkiem.

Nie wypowiedziałam się jeszcze ze wszystkim w tej mierze, bo za długa byłaby rozprawa, a bez twoich na każdy wyraz zaprzeczeń lub uwag — prawie nieużyteczna. Zbiorowo tylko dodam, że mi Agatka zbrzydziła wszystkie sentymentalności i wszystkie sylaby dźwięcznie brzmiących niegdyś wyrazów, od zapału do poświęcenia — etc., etc.

Względem *Dańka z Jawura*<sup>122</sup> nic a nic powiedzieć ci nie mogę. Czy Jaworski kupił moje dzieła na wiekuiwą, czy na ograniczoną własność, mój kontrakt nie może mi w tym względzie objaśnić; a Jaworski pewnie by też rzetelnie nie objaśnił.

Zresztą nigdy już na życie nie chciałabym mieć z nim do czynienia. Był czas, w którym on niemało się do mego pismowstrętu przyczynił.

Pytałam się, z kim byś chciała, żebym tutaj oplątek na twoją intencję rozłamała; nie dałaś mi odpowiedzi, więc prawa ręka moja z lewą go rozłamały, więc część prawej posyłam — nie do wsięgo roku — ale bodajby na dłużej od lat.

Chciałabym ci wytłumaczyć stosunki moje względem ciebie a względem pani Róży we wszystkich psychologicznych różnicach, lecz się kłopotuję, czy mię dobrze zrozumiesz. Główna różnica na tym polegała, że Róży byłam pewna, a ciebie lękałam się zawsze; Rózię miałam w sobie nazwaną, a ciebie nie; Rózię wiedziałam, a ciebie czułam, że muszę odgadywać — ja zmęczona — ukrzyżowana — potępiona prawie i w piekło pchnięta odgadywaniem niektórych ludzi. Czy pamiętasz w Wierzbnie lub raczej zdaje mi się w sąsiednim Mokotowie na ławeczce. Chciałaś wiedzieć, czemu się zbyt daleko trzymam lub coś w tym sensie przynajmniej, a ja odpowiedziałam wtedy, że ci się boję. Wielka to była prawda: ciebie dla siebie i siebie dla ciebie zarówno mogłam się lękać. Inoż, moja Wando, na temat tych wyrazów nie ulóż jakiej skomplikowanej fantazji. Zawsze pamiętaj, że teraz inaczej między nami — choć nie między mną i Rózią, ma się rozumieć.

Bądźcie na koniec zdrowi, wszyscy a wszyscy — twoja fluksja Wando okropnie mi była przez Wandeczkę opisana — i co gorzej dowiedziałam się, że ją ostatnie nasze pożegnanie spowodowało. Staraj się jak najprędzej od tej zgrzyoty sumienia mię uwolnić.

Zosię i Marynię a listownie Juleczkę waszą uściskaj serdeczniej niż kiedykolwiek.

Do pani Bolesławy miałam list w intencji, ale mi się nie bardzo tutaj listy wiodą — czuję się ciągle w przejeździe.

Jeszcze przypisek o najważniejszej sprawie. Chciałam ci odszkicować tę powieść angielską, żebyś ją do naszej miejscowości zastosowała; ale że na moje szkice za długo by ci czekać przyszło, więc ci w kilka dni po Nowym Roku pošlę książkę (o zwrot jej późniejszy bardzo proszę, bo to moja pamiętka). Daj ją do przeczytania Zosi lub Matyldzie, i niech ci rozdział po rozdziale opowiedzą. Szkoda byłoby w zbyt ciasne ramy takiego tematu, a lękam się właśnie, czy to, co napisałaś jest dosyć rozwinięte. W ogóle nas wszystkich piszących główną wadą jest brak szczegółów i zdarzeń; jeszcze to dla więcej wykształconych czytelników jest znośniejsze, o ile szczegóły i zdarzenia są psychologicznymi spostrzeżeniami lub fioriturami fantazji zastąpione; lecz dla dzieci i prostaczków trzeba koniecznie właśnie spostrzeżenie i fioritury ujętymi obrazkami wyrażać: wtedy to *powiedział* — tam *poszedł* — tak *zrobił* — to *się stało* itd. Co do angielskich powieści, łatwo bardzo włość Raveloc da się na naszą wieś szlachecką przerobić, tak samo w tej ostatniej znajdują się właściciele zupełnie chłopskie prowadzący życie i majątniejsi jak pan Cass, który tam swoją rolę odgrywa. Nawet znalazłam wiele podobieństwa w skreślonych charakterach. Z tkacza możesz zrobić Szlązaka Harnhuta lub według pierwotnego pomysłu ofiarę zabobonu. Jeślibyś prócz tego jaką trudność znalazła, jestem zawsze na pogotowiu z dobrą radą. Bodaj to mieć komu radzić! Tylko na fluksję nie choruj, to moja rada przede wszystkim. Od Lasi miałam list i wiem, że się do Warszawy wybiera. Dziś także do Matyldy piszę i zaraz pomoc tłumacza u niej zamówię — i pana Edwarda chcę także w tym roku jeszcze odwiedzić choć listem.

<sup>121</sup>trzeba oddziaływać umiejętnością, obyczajem — „moralnością” przekreślone. [przypis redakcyjny]

<sup>122</sup>*Dańko z Jawura* — utwór Żmichowskiej. [przypis redakcyjny]

# ROK 1865

## XXXIII

27 stycznia 1865, piątek

Przed chwilą list twój odebrałam i sama widzisz, jak prędko z odpowiedzią spieszę, Wando moja kochana. Nie chciałabym, żeby z mej winy choć o dzień jeden spóźniło się wydanie takiej pożytecznej książeczki, jaką być musi książeczka przez Zosię K. do modlitwy ułożona. Gdyby choć kilka pobożnych duszyczek dowiedziało się, o czym to głównie trzeba z Panem Bogiem w głębi serca rozmawiać, już byłby cel piszącej osiągnięty. Bardzo mię jednak korci, że księgarz większej objętości wymaga, a jeszcze bardziej, że wy, moi najpocziwsi, do mnie się o radę w tym względzie udajecie. Gdyby rzecz była pewnym kółkom koteryjnych lub O. H.<sup>123</sup>... wiadoma, to by już wszelki kredyt wydanemu zbiorowi odjęto. Miejcież się na ostrożności i przynajmniej nie wspominajcie nikomu, by przez nieoględność życzliwych między opornych wiadomość tego szczegółu nie doszła. Prawdę bo mówiąc (między nami dwoma tylko, moja Wando), miałaś w sąsiedztwie daleko lepsze i religijniejsze ode mnie osoby (nie panią Eleonorę mam na myśli). Że do mnie się zwróciłaś, to też mi jest tylko dowodem zatwierdzającym niektóre moje ostrożności, a twoje — co ci je tak często wymawiam — nieostrożności znowu. Istotnie, wybrałaś najniefortunniejszą chwilę do wezwania, bym chociaż wotujący udział w jakimś religijnym zadaniu przyjęła. Nie odwołuję się z wielką skromnością do braku zdolności, ale uczciwie i rzetelnie ci mówię, że Julia stokroć trafniej i święciej poradzić by ci mogła — a po Julii Kazimiera. Każda z nich ma swój punkcik oparcia na ziemi i w niebie; Julia gorczyczne szczęścia ziareczko — Kazimiera poświęconej pracy sposobność. Kto choć jednemu uczuciu normalne szczęście zawarował, kto choć jedną godzinę skutecznej ciągłej pracy oddaje, ten pewnie więcej wie o Bogu i pewnie jaśniej pojmuje, co drudzy myśleć o Nim potrzebują. Że Edward do mnie się zgłosił, ha! umiem sobie wytłumaczyć — ale że ty, Wando! — Jeśli mam z czego na byle jaką radę się zdobyć, to dlatego jedynie, że dawniej, dawniej, w Lublinie jeszcze, z pewnym dobrze znajomym księdzem mówiłam o czymś podobnym, czym by zwyczajne pacierze dopełnić warto było? Dzięki owej przypadłej chwili, mogę dzisiaj pamięcią próżnię wypełnić i zadość życzeniu twemu uczynić. Szkoda jednak, moja dziewczeczko, że mi chociaż tytułami modlitw przez Zosię ułożonych nie wskazałaś. Czy są modlitwy do Mszy? — do innych uroczystości lub obrządków Kościoła zastosowane? Czy są rozmyślania? To wszystko by trzeba wiedzieć, nim się o przysztukowaniu dalszej części zawyrokuje. Już to w każdym razie, nie tylko bym radziła, ale osobiście prosiła nawet, żebyście się samymi wyjątkami z Pisma Św. i z Ojców Kościoła ograniczyli. Tych ostatnich Edward przez swoje pobożne stosunki może się wystarać z biblioteki Akademii Duchownej. Jest dzieło pod tytułem (mniej więcej) *Chefs d'Oeuvres des Pères de l'Eglise*<sup>124</sup> — po jednej stronie tekst łaciński, po drugiej francuskie tłumaczenie. Że je Akademia Duchowna posiada, to wiem nieomylnie; że nawet pożyczyc można i zgubić, i znaleźć, to wiem także ze smutnego doświadczenia, w głębokim sekrecie; a że jak w morzu pereł tam jeszcze nieprzebranych wiele, to się sami domyślacie. Wyjątki takie jednak, choćby i perły na sznureczek nienawleczone, mało przyniosą korzyści; konieczne jakiegoś ładu, jakiejś oprawy trzeba. Trudno jej formę wskazać, nie znając głównej formy; zdaje mi się jednak, o ile mogę nastrój tonu Zosinej modlitwy przeczuc, że nie będzie grzeszyło proporcjom rozkładu, jeśli wszystkie ustępy do trzech działów zastosujecie: Wiary — Nadziei — Miłości. Niektóre psalmy Dawida — całe karty rozmyślań Augustyna, jeden list, który sobie z tych Ojców Kościoła przypominam — w pierwszym tomie bodaj czy nie Kleta, a z pewnością „ówczesnego” zapaleńca, co z radością współwynawcom donosi, że już się na śmierć męczeńską gotuje. Wszystko to, w różnych odcieniach, mogłoby wiarę wyrazić — jako pewność niezachwianą — jako dociekanie prawdy modlitwą — jako siłę czynu i poświęcenia. Nadzieję, chciałabym,

<sup>123</sup>O. H... — Ojciec Honorat. [przypis redakcyjny]

<sup>124</sup>*Chefs d'Oeuvres des Pères de l'Eglise* — *Główne dzieła Ojców Kościoła*. [przypis edytorski]

żebyście głównie mieli na względzie. Nigdy może ta cnota i ta władza ducha ludzkiego zupełnie się nie zamarała. Są może tacy, którzy się spodziewają, że nie pójdą do piekła, ale którzy by mieli ciągłą, prawdziwą Nieba nadzieję?... Takich dawno już nie spotkałam — nawet sobie ich wyobrazić nie mogę, a jednak trzeba religijnej nadziei... Do nadziei wskazuję Ci szczególnie proroków i Pawła św. Miłość niech będzie przede wszystkim słowami samego Chrystusa objaśnioną. Zresztą, czy w ten czy w inny sposób *uporządkujecie* wyjątki, dasz mi znać o tym; a jeśli zechcesz, to ci pomogę w wybieraniu tekstów Pisma Św., gdyż to jedyna książka, jaką mam pod ręką.

N.B. Wszelkie aluzje na bok — jestem pewna, że zgodzisz się ze mną w tej mierze — pominąwszy trudność zewnętrzną — jeszcze mi się to zdaje pewnym wewnętrznym obowiązkiem.

Lżejszym pocuję moje sumienie, jeśli zarys tego programu przyda wam się na co. Możesz jak najswobodniej nim rozrządzać, lecz nawet niech cię i to nie krępuje wdzięcznością żadną, co o twoim programie dla *Opiekuna* powiem, że go wybornym znajduję. Ani jednej literki bym nie zmieniała; zacząwszy od pierwszego działu naukowego, skończywszy na smutno wąpiącym życzeniu; „by się te ramy dały dobrze wypełnić!” — ciąży na tobie część odpowiedzialności. Powiedz mi tylko, czy ten *Opiekun*, to osobiste drukarza Jaworskiego przedsiębiorstwo? Dotychczas miałam podejrzenie, bo strasznie różnym opiekunom podobny, wyraźnym oszukaństwem chce na b. małoletnich zarabiać; gdyby to wszelako było poczciwsze, choć jeszcze niezręczne pracowitych ludzi usiłowanie, to bym ci za złe miała, gdybyś im z pomocą wprawniejszej ręki nie wyciągnęła. Och! wtedy mogłabyś co numer żądać ode mnie rad i projektów! Na literackie rady i projekty mam fundusz wystarczający — ciągle bym radziła i projektowała... no, może nie tak ciągle zresztą — ale — ale wykonania już nie żądaj ode mnie. Czy mnie też zawsze kochać będziesz, nawet gdy się przekonasz, że jestem zupełnie, co się zowie, do niczego? Ciekawość! Miałam zapytanie w nawiasie umieścić, bo nawiasowo rzucone jest tylko i do kategorycznej odpowiedzi wcale cię nie obowiązuje; ale już są w liście inne nawiasy: może byś prawdziwej wartości ostatniego nie zrozumiała. Może i tak nie zrozumiesz i wyczytasz wątpliwość, gdzie jest miejsce na prosty logiczny wniosek.

Całuję w czoło i w oczy. Bodaj wszystkie chmury zwiąć. Chorem pozdrowienia — zdrowym uściśnienia. Smutnym wszystkim — mój smutek do wspólki.

A niech no panna Wanda o angielskiej powieści doniesie, co się z nią dzieje. Zobaczysz, jak ja cię dozorować zacznę, to aż ci godzin w każdej dobie zabraknie. Pamiętaj, że kto sam próżnuje, ten najgorliwiej nad drugim włodarzuje.

PS Nie bądź złośliwa, moja Wandeczko, i nigdy już nie pisz do mnie: „Co pani porabia?” Okropnie się czerwienię, kiedy czytam te słowa. Masz więc w prośbie odpowiedź.

#### XXXIV

13 lutego 1865, poniedziałek z rana, Olszowa

Już tak dawno żaden list z Warszawy mię nie doszedł, że to w końcu ciekawość moją rozbudziło. Zaczęłam wprawdzie od niespokojności — miałam ciągle waszych chorych na myśli, moja Wanda nie najzdrowsza; wiedziałam o słabości p. Ignacego, o pogorszonych cierpieniach ocznych Juluty, stąd zaraz wnioski o różnych rzeczach, których mogłam nie wiedzieć lub których by mi donieść nie chciano. Było dni smutnych kilkanaście — potem zmiarkowałam, że złe wieści prędko biegną, chociaż je ludzie powstrzymać chcą nawet. Wstąpiłam w fazę domysłów — może list mój z odpowiedzią na zapytanie o *książeczce* Zosinej nie doszedł? Może nie zadość uczynił ich życzeniom? pisałam go tak pospiesznie — tego samego dnia, w którym odebrałam wezwanie do wspólnej narady. Więc prosiłam Wituchny, aby mi się o wszystko wywiedziła; Wituchna wróciła, powiada, że u was zdrowi, że Julia nie gorzej, a pan Ignacy lepiej; że Kazia bardzo zmartwiona tylko, ale żywa, że list mój odebrany — a zatem zostaje mi już tylko uczucie zaciekawienia? Co może być tak długiej przerwy powodem. Jeszcze sobie wyobrażam, że szukacie tych OO. Kościoła, o których wam pisałam i chcecie mieć dzieło w ręku, pierwaj nim się z dalszym ciągiem narady zgłosicie i nim powiecie, czy ofiarowane z mej strony wyjątki przydadzą wam się na co? Lecz ta hipoteza niezupełnie mi wystarcza, różne inne przychodzą do głowy. Jeśli

mi się dobrze zasłużysz, to się może przyznam do niektórych. Tymczasem o sobie donoszę naprędce, że jestem okropnie zakatarzona. Z daty listowej już widzisz, że się do Olszowej przeniosłam; drogę odbyłam sankami prędzej niż koleją, było mi bardzo ciepło, ale dom zastaliśmy prawie pusty, więc straszliwie zimny — teraz że się zaludnił, więc się i ogrzewać zaczyna. Najpierwej Witka wróciła z Warszawy bardzo smutna, bo jej starania o Ludwisia bezskuteczne się okazały. Potem przybyła z nią Marynia Rostworowska, wracająca do Drezna po dzieci. Wczoraj na uzupełnienie *możliwego* zjazdu rodziny przyjechali państwo Leonowie, choć droga była fatalna, pociąg ledwo w śniegowej nie ugrzązł zawiei — parę godzin na polu z zaspami się ubijano. Dziś jednak znów odjeżdżają, mając nadzieję, że się szyny przetarły, a wiatru nie było, więc i przeszkód nie będzie. Mróz coraz cięższy — myślę o wszystkich w Warszawie, którym on dotkliwiej dać się może we znaki. Julia zawsze w mrozy jest słabsza i tobie one nie służą, i ciotki Emilce — i Lutka musi od nich na swoim trzecim piętze cierpieć — a Zonia<sup>125</sup> z drugiego?

Przez wiele dni także, i domyślił się których dni, ciągle się lękałam co złego o pani Bole... usłyszeć — lecz, dzięki Bogu, ponieważ nie usłyszałam, trzeba się spodziewać, że „ma się dobrze”. O ciotecznych siostrach Henryka doszły mi smutne wieści, czy pocieszające nie dojdą?

Bywaj mi zdrowa już na dzisiaj, ty utrapienie i pociecho moja — Manię i Zosię uściskaj — wszystkim przypomnij o mnie. Bywaj zdrowa. Do Lasi przed 10-tym pisałam. Czy ona przyjedzie?

XXXV

5 marca 1865, Olszowa

Po najściślejszym obliczeniu pokazuje się, moja Wando, że wszystkie twoje listy mi doszły, chociaż nie tak kolejnie, jak wyprawiane były i stąd jedynie, z tego przelamania porządku, moje różne nedorzeczne przypuszczenia i niespokojności. Niech to spadnie na grzeszne ekspedytury pocztowe, a z sumienia twego niech zdjętym będzie do ostatniej cząsteczki skrupułu. O książeczce do nabożeństwa nic innego nie mogę ci napisać nad to, co w pierwszym razie napisałam. Później doniosłaś mi, że kiedy ją pani K[aplińska] przepisała, nabyła daleko okazniejszej objętości; to mi się najlepiej ze wszystkiego podobało. Jeśli tylko można, wydajcie ją taką, jaką wyszła z myśli Zosi wprost, bez przymieszania niczego. Ale teraz znowu wspominasz, że więcej stronice trzeba dodać; w takim razie ja znowu głosuję, żeby jedynie wyjątkami Pisma Św. ją dopełnić. Gdy powiadacie, że nie można wziąć innych, prócz tych, które się zwykle w książkach do pacierza znajdują, to wybrać psalmy pokutne — lekcje wielkotygodniowe — i adwentowe nabożeństwo nieszporne; lecz zdaje mi się, że Pismo Św. nie jest zupełnie przez cenzurę zakazane i właśnie Akty Wiary, Nadziei i Miłości mogłyby być znacznymi cytatami w dodatku umieszczonymi przedłużone. Raz już stanowczo wypowiedzcie się, czy to można zrobić i zdecydujcie; a mnie napiszcie, coście zdecydowali. Jeśli wyjątki, to wam je wskażę i w szczególności wersetami zaraz następną pocztą, ma się rozumieć tą, którą z Olszowej do Rokicin wyprawia. A kiedy Edward wyjeżdża? czy to już bardzo „wkrótce”, tak że można by dzień wymienić? Powiedz mu ode mnie, że już myślę o dniach jego powrotu. *Opiekun domowy* zupełnie dotychczas sprawdza moje przewidywania, że będzie tylko zreczną spekulacją Jaworskiego. Zobaczysz, że gdy wszystkie „darmochy” wydrukują, to przedsiębiorca zwinie pismo lub komu innemu, już sponiewierane, do podtrzymania i ratunku rzuci. Nie bardzo cię też przynagliam tą razą, żebyś prace swoje w nim umieszczała; nie mam najmniejszego zaufania w wydawcy; owszem, bardzo się lękam, żeby takie miernoty późniejszym, lepszym nie zaszkodziły. W pierwszym roku publiczność dała się bardzo łatwo złapać na niby tanią prenumeratę, ale jak się przekona, co to jej za „tanie pieniądze” do przelknięcia dają, to się na długo zniechęci i nawet gdy zdrowsze rzeczy kto inny będzie chciał podawać, zewsząd trudności w ogólnym zniechęceniu napotka. Równie mi jest podejrzana owa kołoda, o której wspominasz, czy to znowu nie jeden z pomysłów bliźniących tej samej głowy, która *Kalendarz dla Polek* w świat rzuciła? Szkoda, że mi

<sup>125</sup>Zonia — córka Edwarda Grabowskiego. [przypis redakcyjny]

imiennie nie wyszczególniłaś tego pseudo-literata, jak go zowiesz, co się do ciebie po zasilek artykułowy zgłaszał. Żal by mi było, gdyby chwile twojego życia, reprezentowane pewną ilością szpalt drukowanych, miały się marnować w pismach niesumienne prowadzonych, a tym samym śmiertelnością przedwczesną dotkniętych. Lepiej byłoby już znaleźć sobie miejsce w „Gazecie Warszawskiej” lub „Polskiej”, a jeszcze lepiej obmyślić jakieś samoistne dzieło. Jeśli powiastki, to zbiór własnych powiastek naśladowanych lub oryginalnych; jeśli dydaktyka, to przetłumaczenie lub ułożenie jakiego naukowego kursu — ustępu z historii lub literatury — a lepiej jeszcze wypowiedzenie własnych naukowych lub moralnych przekonań. Czy ci też nigdy na myśl nie przyszło, czytając książeczkę ś.p. Zosi, że i ty byś miała coś takiego, a jednak innego do podania ludziom? Tak często się dopominasz ode mnie autorskiej pracy, że, jak widzisz, musiałam ci oddać wet za wet i zarzucić cię najrozmaitszymi planami. Nie bierz tego jednak za chwilową fantazję z mej strony; istotnie, Wando, jest to moim bardzo szczerym i bardzo gorącym życzeniem, może nawet osobistą egoistyczną potrzebą. Sama przez się na nic już zdobyć się nie mogę, niczego nie zacznę, a choćbym zaczęła, to gorzej jeszcze, bo czuję, że niczego bym już skończyć nie umiała. Ale gdy myślę o twojej pracy, to mam jakieś nieskruszone jeszcze przekonanie, że użytecznie pomóc bym ci mogła. Jeśli ty nie spromienisz w jeden zamiar różnych przebiegających myśl twoją efemeryd, jeśli odsądzisz się od prawa autorstwa, to i moja, nawet pośrednia rola na tym polu zamknięta na wieki. A mówię ci to nie dla jakiegoś nacisku lub przymusu — z góry wiem, że tylko to zrobisz, do czegoś się przez ubiegłe lata twego życia przygotowała; lecz mówię jako spostrzeżenie, dlatego że *we mnie* tak jest. Zresztą nie pierwszy raz już to czytasz zapewne w moich listach. Powinnaś wiedzieć, rozumieć i wierzyć — *wierzyć*, piszę, na ostatku, bo jestem pewna, że daleko lepiej by się działo na świecie, gdyby wiarę ludzie na koniec, nie na początek schowali. Gdyby wierzyli w to jedynie, czego wcale a wcale ni wiedzieć, ni rozumieć nie mogą — i dopiero wtedy, gdy wiedzieć i rozumieć będą wszystko, co jest do wiedzenia i zrozumienia możliwe. Nawiasem rzucony aforyzm. Ciąg prawdziwy mego listu zwraca się teraz do Julci, którą ode mnie jak najserdeczniej uściskasz za to, że ma syna<sup>126</sup> i że dotychczas zapewne trwa w najpiękniejszych przedsięwzięciach wychowania go na bardzo pożytecznego, rozumnego i kochającego człowieka. Póki się o wewnętrzne i zewnętrzne trudności projekty dzisiejsze nie rozbijają, zawsze to najjaśniejsza, najpocziwsza chwila jej życia; a ja mam to parweniuszostwo, czy tę parafianiszczyznę — jak tam nazwiesz — że bardzo lubię do jasnych i pocziwych się cisnąć. Muszę ci jednak przymówić, że niezupełnie na twój sposób znowu; bo ty mi najczęściej piszesz o Julci, która jest szczęśliwa, a bardzo rzadko o Zosi i Maryni, które są smutne. Takiej niesprawiedliwości opieram się jak najmocniej i przestrzegam cię, żebyś w nią nałogowo nie popadła. A teraz muszę ci się przyznać, że, chociażbym potrafiła wiele zdrowych i słusznych rzeczy powiedzieć ci „o *Przesądach i Zabobonach*”, gdybyś temu jaki rozdział w przyszłym dziełku swoim poświęcić chciała, jednak nie bardzo mię to ucieszyło, że twój siostrzeniec ma się Janem Kazimierzem nazywać. Zaraz mi na myśl przyszło, że gdyby kiedy trudności go nacisnęły, to by abdykować gotów; a tu nam trzeba wszelkiej abdykacji się wystrzegać. Mamy jeszcze korony do stracenia — ja zaś tak często widziałam dziwną łączność imion z losami ludzkimi, że ze zwyczaju wrażenie rozum uprzedza. Możesz nic a nic na to nie zważać i bardzo dobrze zrobisz, jeśli się nawet zgorszysz moim spostrzeżeniem. Cioci Emilce powiedz, że spodziewam się niezadługo o powrocie Seweryna usłyszeć; internowanych łatwo wyprosić. Mąż Wikci zupełnie w innej kategorii; podaną za nim prośbę z góry odmowną odpowiedzią przyjęto.

A tutaj listy przysłyły bardzo smutne. Biedna kobieta znów pojechała do Warszawy; nie wiem, czy się z nią widzieć będziesz, ale przynajmniej usłyszysz o jej niespokojnościach, które tyłu innym wspólne być muszą. Wdzięczną ci bardzo jestem za wiadomość o Henryku; jeśli mi jeszcze kiedy wynajdziesz sposób, żeby do niego napisać mogła, to również wdzięczną będę. Ze wszystkich, wszystkich dalekich i straconych, on mi jeden najbliższym pozostał! Pani Bolesławie serdeczne pozdrowienie; jak się jej dziewczynki miewają? jak tam wy wszyscy ze zdrowiem waszym? Od dawna już nie pamiętam tak chorobliwego roku. U nas na wsi w każdej chałupie prawie gorączki, zapalenia płuc, ty-

<sup>126</sup>syn Julci — Kazimierz Tetmajer. [przypis redakcyjny]

fusy, odry, ospy. Dwór jakoś trzyma się jeszcze; dopiero jedna dziewczyna w kuchni parę dni leżała, i moja Kasia także — ale zaczyna przychodzić do siebie.

Żegnam moją Wandę. Czy byłaś wczoraj u Kazi?

### XXXVI

[Olszowa] 19 marca 1865, niedziela

Nie tak prędko ci odpisuję, jak to w ostatnim liście przyrzekłam, bo się różne znalazły przeszkody, Wando moja kochana. Przez długi czas najpierwej trapił mię szkaradny wrzód na dziąśle; jeszcze go się zupełnie nie pozbyłam, gdy znowu nadeszła wiadomość o śmiertelnej chorobie pana Michała Lewińskiego<sup>127</sup>. Może dotychczas nie miałyśmy sposobności mówić o nim obszerniej, był to jednakże jeden z tych ludzi, dla których, przy coraz bliższej znajomości, coraz większy miałam szacunek. Prawda, że wiele dowodów życzliwości mu zawdzięczam, ale ten wzgląd osobisty nie byłby mię zdolnym przekupić, gdybym istotnie w najtrudniejszych okolicznościach nie widziała go zawsze prawym, szczerym i gotowym do poświęcenia własnego interesu temu, co za obowiązek uznał w rozumie swoim. Jak on umiał kochać — jakim ojcem najtkliwszym był dla Paulinki — jakim przyjacielem dla znacznie starszej od niego kobiety — to aż tym większy żal bierze, gdy się wspomni, że takie serce bić przestało! Nie dla mnie była korzyść, ale dla mnie strata, bo nieraz, gdy się o zbyt idealne wymagania łajałam, jego przykład we własnym usprawiedliwiał mię sumieniu. Przecież są ludzie bardzo i ciągle kochający, którzy chodzą po tej samej ziemi co inni śmiertelni, myślałam sobie często w chwilach zwątpienia i nabierałam lepszej o zdolnościach człowieczych nadziei. Dziś mi tylko pamięć została i wnioski, przypuszczenia. Dla całej rodziny jest to także niczym nie zastąpiony ubytek pomocy, dobrej rady, troskliwości, starania. Biedna moja siostra, nie wiem nawet, jak tam ze zdrowiem swoim wystarczy. Właśnie na parę tygodni pierwszej odebrała bardzo smutne listy od syna i zdawało się czasem, że obłądu z rozpaczy dostaje — a tu cios nowy, cios tak niespodziewany — bo któż się kiedy spodziewa, że kochanych i potrzebnych sobie utraci — choćby ich wiek i słabe zdrowie ostrzeżeniem być mogło. Witka nie tylko dla siebie, lecz i dla męża swego najserdeczniejszej opieki przez pół pozbawiona — a Paulince, to już żadne uczucie nie zastąpi tej miłości, którą stryj ją otaczał. Jest ona wybraną i wypieszczoną jedynaczką swej matki i pana Jakuba, lecz nie zawsze umieją kochać ci, którzy nawet najwięcej kochają. Pan Michał tylko jakąś prawdziwie bożą kombinacją uczucia potrafił widzieć w niej doskonałość, a jednak starać się o jej udoskonalenie; mieć ją taką, jakiej pragnął, a dostarczać i ogromadzać wkoło niej wszystko, co ją mogło wykształcić i uszlachetnić; nie wymagał a pomagał. Od matki, od drugiego stryja może dziś tylko pierwszej części się spodziewać. Okropnie mi smutno za nią — i za siebie. Dobre po dobrym sprzed oczu ustępuje, a tak już dawno nic nowego nie przybyło.

W najniekorzystniejszym usposobieniu wzięłam się do odszukiwania różnych z Pisma Św. wyjątków. Nie wiem, czy istotnie to usposobienie na sąd mój wpłynęło, czy też dawniej czytałam z mniejszą rozważą, ale gdy teraz zaczęłam przepatrywać różne zapamiętane ustępy, by je w pewną całość złożyć, poznajdowałam zupełnie odmienne rzeczy od tych, które niegdyś wrażenie robiły na mnie. Szczęściem, że list twój ostatni zwolnił mię po większej części z przyjętego na siebie obowiązku. Zdaje się, że gdy przydadacie tłumaczone objaśnienia do zbioru całorocznych ewangelii, książka dosięgnie żądanej przez wydawcę objętości. Za psalmami pokutnymi głosuję prócz tego, jako wiesz. Po Akcie Wiary, można by położyć Psalm 119 — dość długi; może ktokolwiek z modlących zrozumie, że wiarą jest *poznanie* i *pełnienie* zakonu bożego; a jeśli jeszcze potem dodacie wyjątki lub raczej całe prawie dwa rozdziały 3 i 4 z przypowieści Salomonowych, to domyśli się, że w wierze mądrość i roztropność są także potrzebne. Akt Nadziei warto by może uzupełnić słowami Joba<sup>128</sup> roz. 13 — werset 15 i 16 — są to słowa największej, najrozumniejszej i najboleściwszej wytrwałości, z jakimi dusza moja kiedykolwiek się spotkała. Potem przydałabym kilka prorocत्व, do dnia dzisiejszego niespełnionych, do dnia dzisiejszego celem i nadzieją

<sup>127</sup> Michał Lewiński — szwagier Wiktorii, siostry Narcyzy, brat generała, sam zajmujący wybitne stanowisko obywatelskie. [przypis redakcyjny]

<sup>128</sup> Job — Hiob. [przypis edytorski]



nadziei będących — np. z Izajasza rozdział XI od w. 1 do 10; rozdz. 42 od 1 do 11; a na wytłumaczenie warunków, pod jakimi oczekiwanie spełnić się może cały rozdz. 58 — Ezechiela rozdz. 3 — w. 17 do 21, rozdz. 33 od w. 8 do 20. Do Aktu Miłości załączyłabym modlitwę Daniela rozdz. IX, od w. 4 do 20 i z pierwszego listu Jana Św. rozdz. IV — w. 7 i 8–11, i 12. To jest co do książeczki Zosi, a co do ciebie, moja Wando, to znalazłam także niektóre ustępy co mię wyraźnie na twoją intencję zastanowiły. Gdybyś to chciała opracować, to by się lepiej od wielu innych rzeczy opiekunowych i kolędowych przydały, ale już widzę, że próżne wszystkie moje pośrednie i bezpośrednie autorskie projekty. Szeroko o tym król Salomon pisał, że jest czas wszystkiemu — jest czas rodzenia się i czas śmierci — czas nabywania i czas utraty — czas mówienia i milczenia. Otóż nam teraz przypadły czasy śmierci, straty i milczenia; trudno walczyć przeciw tej ogarniającej atmosferze, która się najdrobniejszymi atomami we wszystkich piersi przeciska. Bynajmniej za to kamieniem na ciebie nie rzucę, chociaż te, które mi przytaczasz, powody są równe siatce pajęczej; znam ja się jednak i na pajęczynach; ze wszystkich najściślejza to ten smutek, co po nieszczęściach jak sadza po ogniu osiada. Rozmyślić się chwilę jedną przytomnie o prawach Bożych czy o konieczności rozumowej, logicznej, to, zdaje się, dmuchnąć tylko, a powinno by wszelkie niedołęstwo ulecieć, tymczasem pajęczyna snuje się i snuje, dusza bezwładnie a bezwładnie, i nie masz na smutek lekarstwa. „Boleść jest najzawziętym nieprzyjacielem człowieka”: powiedziano to już w Ramajanie indyjskiej tysiące lat temu. Żegnaj mi, ty moja Smutna między smutnymi. Edward najpocziwszy pisał do mnie przed wyjazdem, załączył też list przez Stasia zostawiony. Żałuję, że go pierwiej nie odebrałam, już bym była może odpisała, a teraz nie wiem, kiedy się zbiorę — tak mi się nawet nie chce myśleć o niczym. Wszak pozdrowisz wszystkich naszych wspólnych — jak gdybym każdego imiennie wymieniła? Spuszczam się na twoją sumienność.

Cierpienie, Smutek, Czas,  
Historia, Kondycja ludzka

## XXXVII

21 kwietnia 1865, Olszowa

Jeżeli nie dosyć wiernie na twoje listy odpisuję, Wando moja kochana, przyczyną tego są ciągle zjazdy i rozjazdy świąteczne, a stąd ruch, gwar niezwykły dokoła, brak spokojnego na czas dość długi kącika i wszystkie dalsze tym podobne następstwa. Prócz tego jeszcze nieufność względem ekspedycji pocztowych — skierniewicka odsyła dwunastego kwietnia listy z 22-go marca datowane — rokicińska nie odsyła czasem żadnych Ujazdowi, z którym jest na stopie zawistnej rywalizacji. Po dawnym więc naddziadów zwyczaj, jak to bywało przed upowszechnieniem poczt i wynalazkiem kolei żelaznych, korzystam z okazji, aby ci słów kilka odpisać przez jadącą do Warszawy Wikcię moją siostrzenicę — gdyż wyjątkowym trafem list twój ostatni nie zaginął dzięki Bogu — odebrałam go po świętach. Już od Julii wiedziałam, że się macie na całe lato wszyscy z domu rozjechać; dziwi mię tylko, że przy Alfonsie aż dwie z was zostaną, a ojciec sam się puszcza i żadnej ze sobą nie zabiera. Wielka to z jego strony zarozumiałość, na tak zupełną tęsknotę się narażać w jego terażniejszym usposobieniu, ale zapewne będzie miał przynajmniej bliższych jakich znajomych towarzystwo. Mnie tutejszy naczelnik obiecał paszport do Zielonej<sup>129</sup> podpisać, więc zdaje się, że wkrótce po świętach tam pojedę. Rozpryśniemy się w różne strony przestrzeni, moja Wando, i znów nam się będzie zdawało, że to jest *dalej* — a każde rozłączenie zawsze jest równie daleko — tak jak śmierć każda zawsze jest końcem świata — choć pani Kicińska nie chce temu wierzyć i bardziej się lęka rozbicia komety niż tyfusu (którego swoją drogą lęka się także porządnie).

O prelekcjach warszawskich w spokojniejszej godzinie chciałabym dłużej porozmawiać z tobą. Julia bardzo z nich kontenta — i ja także — tylko niekontenta jestem z ciebie, moja Wando, że zaraz na mój temat coś roić zaczynasz. Ciebie dopiero raz w życiu jedna literacka nieprzyjemność spotkała i już ciągle sobie powtarzasz: — „*on ne m'y prendra plus!*”. Nie wiesz o tym, że mnie przy każdej wydrukowanej stronnicy spotykało coś daleko gorszego, coś, że aż opowiedzieć niemiło. Np. Jaworski raz po raz przychodził, żeby

<sup>129</sup>Zielona — majątek Anny Kisielnickiej, uczeniicy Narcyzy. [przypis redakcyjny]

mu zniżyć cenę, tysiąc złp. za to, bo nikt kupować nie zechce — on nakład straci. A „Biblioteka Warszawska”, a „Gazeta”! Moje dziecko, to są wszystko nieuniknione wilki autorskiego zawodu. Mnie się zdawało, że jesteś przeciw nim uzbrojona, kiedy mnie tyle razy namawiałaś, a to po prostu była niewiadomość. Spodziewam się, iż po przebytych doświadczeniach, znajdziesz więcej dla mnie milczącej uwzględnienia, bo gdyby to tylko z krytyką walki staczać!... mam na nią zupełnie wyjątkowy temperament. Z jednej raz skorzystałam, a żadna nigdy mię nie zniecierpliwiła; lecz owe handlarskie pajęczyny! nie damy sobie z nimi rady — tylko przed tobą mógłby je kto zmiatać troskliwie. Kto? Nie wiem, czy wymyśle? Spodziewam się, że wszystkich naszych najbliższych i dobrych tak pozdrowisz w moim imieniu, jak gdybym ci każdego po szczególe wspomniała.

4 *Maja*. Spóźniłam się z przesłaniem listu i został mi do dnia dzisiejszego. Zapewne przed Zielonymi Świątkami pisać już nie będę, więc ci na 15-tego uroczystość według zwyczaju życzenia moje dla solenizantek powierzam. Uściskaj najpierw swoją siostrę, serdecznie — serdecznie — serdecznie. Chciałabym, żebyśmy się teraz na jaką długą i szerszą zebrały gawędkę — po tyłu przejściach bolesnych. Nieraz mi to na myśl przychodziło, że w nieszczęściu jak węże w wiosennej porze człowiek skórę zrzuca lub jak owady przemianę zupełną odbywa — tylko jeśli go później ciepło nie ogrzeje, jeśli wczorajsze śniegi spadną np.

Pamiętasz, Wando, jakie to kilka lat temu odwiedziny po całym pałacu po wszystkich piętrach na św. Zofię bywały.

Dwie Zosie w tak krótkim przeciągu czasu ubyły — a co dziwniejsza, obie w najszcześniejszych chwilach życia lub młodości, obie z tym poczuciem, że śmierć od szczęścia cenniejsza. Gdyby to szczęściem, dobrocią, rozumem, jak dziedzictwem rozporządzać można — gdyby coś z tego w atmosferze między ludźmi zostało! Powiedz pani Bolesławie, że ja dla jej Zosi tylko dałabym po mojej Zośce puściznę — jej swobodę, jej dowcipkę, jej duszyczkę zuchwale wybierającą się na szukanie prawdy — jej uznanie się w radościach jej szesnastego roku — nawet jej zdolność ukochania takiej jak ja ciotki. Powiedz to, pozdrów, przypomnij mi. Na drugim piętrze nie zapomnij także o mnie — weź mię tam ze sobą i weź w tej myśli, w jakiej by mię niegdyś Zosia Ka[plińska] zaprowadziła.

### XXXVIII

[Bez daty]

Odsyłam arkusików 3. Niech cię nie straszą Wando, później będą mniej zaołówkowane. Chciałabym się usprawiedliwić z każdej poprawki, a przynajmniej hurtownie wytłumaczyć — lecz nie mam czasu.

Polcia miała dopiero w sobotę jechać, a tu dziś ją wezwali. Spadła na mnie piorunem — no, jeśli nie piorunem, to dachówką z trzypiętrowej kamienicy ta wiadomość. Ledwo będę mogła książki niektóre spakować i ponadpisywać, do kogo należą.

Całuję — serdecznie, bardzo serdecznie, najserdeczniej.

N.B. twój list odebrałam wczoraj — dlatego tak mało zrobiłam.

### XXXIX

[Olszowa, maj 1865]

Zamiast odpowiedzi na list twój i bardzo dla mnie cenną Stasia karteczkę, posyłam ci odpowiedź dla Julci; użytych jej miejsca wśród listów, które pewnie w tym czasie wyprawiać będziecie. Jak też to co rok smutniejszą się staje owa niegdyś najweselsza 22-go maja rocznica! Dwa lata temu, jeśli pamiętasz, wróciłam od śmiertelnego łoża męża Andzi Kisielnickiej — przeszłego roku byliśmy w rozproszeniu. Na ten rok wy jesteście w tak świeżej żałobie; co dalej spotka, aż strach myśleć nawet — życzenia krzepną nie tylko na ustach, lecz i w sercu prawie. Kiedy będziesz rozmawiała z panią Kaplińską serdeczniej i poufniej, to jej powiesz ode mnie, że nie przez zapomnienie, ale przez uszanowanie nie zgłosiłam się do niej osobnym przypomnieniem w dniu jej imienin. Przeczuję, jak jej boleśnie być musi jakieś dzisiaj od jakiegoś wczoraj odróżniać, gdy wszystkie teraz

dnie i godziny jednym żalem do siebie podobne. Lecz chociaż smutno, chociaż najsmutniej, od Ciebie, Wando, wszystkich szczegółów oczekuję. W przyszłym liście musimy się rozmówić o zebraniu pozostałych pism Zosi — więc nie na długo do widzenia.

## XL

[Dębowa Góra], czerwiec 1865, wtorek

Kazia mi pisała, że cię koniecznie w góry wyprawiają, moja Wando kochana, ale nic stanowczego nie wiem o dniu twego wyjazdu, jestem tak wspaniałomyślna, że ci jeszcze nie wyrzucam tych kilku tygodni milczenia, ale spodziewam się, że w Zielonej zastanę już choć kilka słów od ciebie — czy smutnych, czy pocieszających, nie przebieraj — dziel się wszystkim ze mną i pamiętaj, że ja tyle już tylko żyję, ile wy żyjecie. Może w piątek, a najpewniej w sobotę opuszczam Dębową Górę. Uściskaj siostry i ciecie ode mnie jakby na drugie pożegnanie, bo jadę kawał dalej. Powitaj Edwarda — o Alfonsie pisz więcej, niż mówić mogłaś. Jeszcze mam jedno zapytanie na myśli, lecz to już na później odkładam, kiedy mię dojdzie przyobiecany list Lasi. Dzisiaj chciałam cię tylko na wyjeźdźnym uściskać — w dzień twoich urodzin, jeśli tylko znajdę moje pomieszkanko dość spokojnie urządzone, to długi list napiszę; jeśli będą jakie przeszkody, to zawsze choć krótką karteczką zgłoszę się do Ciebie. Bóg z tobą, moja jedyna moja Wando — moje dziecię serdeczne.

## XLI

24 czerwca 1865, Zielona

Przyrzekłam Ci moja Wando kochana, że w dniu dzisiejszym pisać będę do ciebie. Czy długi list? nie wiem, bo się jeszcze niezupełnie rozgospodarowałam, niezupełnie w równowagę z tutejszymi zwyczajami ułożyłam, więc nie mam od przeszkód zabezpieczonej kilkogodzinnej przyszłości; ale że w ogóle pokoiki, których używam, są dosyć spokojne, a więc, o tyle o ile. Dopiero jutro tydzień będzie jak tu przyjechałam, a już mi się udało mieć do Warszawy i z Warszawy okazję. Właśnie wczoraj odebrałam list Julii — wiadomości o was wszystkich, dość smutne. Wspomina mi też o twoim liście do Olszowej przesłanym. Bóg wie kiedy go odbiorę. Jestem pewna, że gdybyś wiedziała o dłuższym pobycie Andzi Kisiel[nickiej], to byś mi wynadgrodziła to spóźnienie — lecz zdaje się, że mi przyjdzie na łaskę poczty liczyć tylko, a poczta tutejsza bardzo w cywilizacji zacofana, dwa razy na tydzień przychodzi i odchodzi dwa razy — jeden dzień chybiony może więc siedmiodniową różnicę stanowić. Kilkoletnie mieszkanie przy kolei żelaznej szkaradnie mię niecierpliwą na taki rozkład zrobiło; chociaż nie odbierałam przecież po dwa razy na tydzień listów waszych, jednak mogłam ich się ciągle spodziewać. Teraz muszę sobie wyperswadować, że tylko subiektywnie, ale nie obiektywnie położenie moje się zmieniło; to bieda największa, że nie bardzo tęga filozofka ze mnie.

Jeśli ciekawą jesteś, moja Wando, jak odbyłam podróż całą z Dębowej do Zielonej? to ci powiem, że rozmaicie — i źle, i dobrze. Początek był przyjemny, jechałam z Paulinką i jej synkiem, o którego wprawdzie jestem nadzwyczaj niespokojna, bo mu się na dość mocną gorączkę zebrało, lecz przynajmniej siedziałyśmy wygodnie i gawędziły bez przeszkody, bo w wagonie na drugim końcu był tylko jakiś pan czytający sobie i drzemający kolejnie. We Włocławku stryj Paulinki zajął moje miejsce, ja zaś, własnemu przemysłowi zostawiona, poszłam rzeczy odbierać i dalej radzić o swoich losach. Wiesz zapewne, że Kasia nie pojechała ze mną, bo jej paszportu nie przysłano. Zupełnie mi się dawne czasy przypomniały i różne dawne wyprawy moje. Kiedy do Warszawy przyjeżdżam, to się zawsze czuję na własnym gruncie, chociaż zupełnie samą jestem. Włocławek zaś to była *terra incognita*. Najpierwej nie mogłam znaleźć wolnej stacji, od hotelu do hotelu zajeżdżałam na trzęsącej bryczce, którą, nawiasem mówiąc, „dorożką” krajowcy tytułują. Wreszcie zaprowadzono mię do jakiegoś numeru, już myślałam, że się procesować będę — wszystkie moje pakunki przyniesiono — sztuk piętnaście mniej więcej — aż tu, gdy służący drzwi otwiera, gruba Niemka wpada, pakuje się przede mną i siada na sofie, zapo-

wiadając, że nie ustąpi i że jeszcze za parę godzin jej małżonek przyjedzie. Ona siedziała, ja stałam — a służący jedne po drugich kufry i torby moje wnosili. Byłam nadzwyczaj ciekawa, jak się to skończy, lecz w duszy czułam niezłomne przekonanie, że nie ustąpię... przynajmniej z kufkami — szczęściem drugi posługacz sprawę rozstrzygnął i znalazł jakąś inną norę dla Niemkini. Ubezpieczona w mojej posiadłości, wybrałam się na miasto z odwiedzinami, gdyż miasto obce, aleć są wszędzie ludzie znajomi. Chciałam się widzieć z Walerką i z panną Zbigniewską<sup>130</sup>, która mi wiele niegdyś okazywała współczucia i na Miodogórze kilka razy była u mnie. Od tej ostatniej zaczęłam, bo tuż pod bokiem mieszkała. Przyjęcie było serdeczne i gościnne, serdeczniejsze niż po trzech latach niewidzenia spodziewać się mogłam. Już mię do hotelu nie puszczono, tyle tylko że raz i drugi poszłam na godzinę do Walerki, a zresztą u p[anny] Zbig[niewskiej] aż do chwili wyjazdu przesiedziałam. Walerka okropnie na mnie zrobiła wrażenie. Ta niegdyś świeża i świetna dziewczyna, dziś w ostatnim stopniu suchot. Nigdy mi się tak dobitnie nie upostaciowało owe zwykle wyrażenie: „jak cień niknie”. Patrzyłam już nieraz na gasnących suchotników, ale takiego rzeczywistego cienia, jeszcze nigdy nie widziałam. Chodzi ona, rozmawia, ładnie ubiera się nawet, i to wszystko jest tylko ruszającymi się „zwłokami”. Nie byłam przygotowana na taki obraz, aż musiałam dziwnie wyglądać, bo mi się kilka razy pytała, co mi jest? czy się na nią o co nie gniewam? Mnie istotnie coś dziwnego było. Jeszcze sobie nie zsumowałam w jedno orzeczenie wszystkich wrażeń i myśli, może kiedyś znajdę słowo odpowiednie. Żal nie żal — zazdrość nie zazdrość — w ogóle coś niepodobnego — poczucie raczej nicości, a nie duszy nieśmiertelnej. Chociaż zastałam ją z książką od pacierza w ręku, wiedziałam, czułam, że o zdrowie i życie do Pana Boga się modli i że Bóg ani zdrowia, ani życia jej nie da. Taka nieuchronna bezskuteczność modlitwy przeciw konieczności — jeszcze mię mrozem ścina. Chociaż wiem, że ostatecznie konieczność praw najwyższej mądrości piękniejszą jest od wszelkich cudów łaski, nie mogę się otrząsnąć z dawnych przywyknień natury mojej legendowej — raz po raz zawracam oczami i wzdycham — ot — *bezsens* — jak mawiała niegdyś moja Zośka pieszczotka. Z panną Zbigniew[ską] czas mi bardzo przyjemnie zeszedł. O niej samej najwięcej szczegółów będzie ci mogła Kazimiera dostarczyć; miałyśmy wiele do powiedzenia sobie, nie wyłączając nawet zapytania i odpowiedzi w „Tygodniku” drukowanej — onego czasu! Zaznajomiłam się z większą częścią jej pensjonarek i niektórymi nauczycielkami; uprzejme — o ile z potocznej rozmowy sądzić można w bardzo dobrym kierunku wykształcone i kształcące się. Suma zbiorowa tego spotkania — nabytek. Odprowadzono mię łodzią na drugą stronę Wisły, pożegnano i znów zaczęły się trybulacje. Najpierwej deszcz przesłonił mi śliczny widok Włocławka — ale to śliczny co się zowie — potem ulewa zmusiła do wczesnego noclegu. Nocleg na stole!... brudy wokół. Nazajutrz popas w Sierpcu — usługa taka skora i gościnna, że wyraźnie muszą tam lepsi ludzie mieszkać. Tak było i za pobytu Kazi. Zakonnice nie zniesiono — przejeżdżałam koło klasztoru. O piątej popołudniu, stanęłam w Zielonej, na nieszczęście twarde interesa zmusiły Andzię, by zaraz nazajutrz do Warszawy spieszyła — więc zostałam pod opieką dawnej znajomej i trochę przez panią Wilczyńską dawnej koleżanki mojej. Resztę szczegółów na później odkładam, bo ledwo późnym wieczorem do pisania zabrać się mogłam, a jutro rano posłańca wyprawiają. Chciałam koniecznie pogawędzić z tobą i uściskać cię za to, że się urodziłaś.

Mam nadzieję, że swemu Ojcu lepiej powinszujesz ode mnie, niż gdybym ja ci nawet słowo za słowem podpowiadała.

I siostry uściskasz, i ciocię.

I Kazi powiesz, że jej szeroko odpiszę, tylko się rozejrzę i rozmyślę.

25 czerwca, niedziela

Jeszcze przed zapieczętowaniem listu — mały przypisek i dzień dobry mojej Wandzie.

Gdybym wiedziała, że ten list jeszcze w Warszawie cię dojdzie, dałabym ci różne do Kazi i Julii zlecenia; lecz ponieważ jest wątpliwość, muszę wszystko do następnej korespondencji odłożyć. Tymczasem prześlę ci najogólniejszą statystykę ludności domowej, to jest, właściwie mówiąc, pokojowej tylko. Andzię samą znasz zapewne, więc jej imię

<sup>130</sup>panna Zbigniewska — Izabela Zbigniewską, z którą potem łączyła Narcyzę bliska przyjaźń i do której są listy oznaczone w 3 tomowym wydaniu „do Elli”. [przypis redakcyjny]

żadnego nie potrzebuje objaśnienia; z czterech synów, dwaj młodszy tylko są przy niej. Jeden najmniejszy, mój chrześniak; dwaj starsi mają wkrótce na wakacje przyjechać. Zastalam prócz tego pannę Alcjato, siostrę sławnego niegdyś Alcjata, poznaną niegdyś na Litwie w Druskiennikach — dawna nauczycielka Andzi, większą część życia w litewskich domach spędziła, zna wiele rodzin litewskich — bardzo do tamtej zaniemeńskiej strony przywiązana. Paulina Matuszewicz, siostrzenica panny Łażewskiej — ale ty nie wiesz może, kim była panna Łażew[ska]. O życiu moim na pensji u pani Wilczyńskiej jeszcześmy dosyć nie narozmawiały się — wszak prawda Wando? nic nie wiesz o mnie pensjonarce. Ach! ileż złudzeń będziesz musiała kiedyś jak pajęczynę pozmiatać! Przy starszym chłopcu Andzi i siostrzeńcu p. Matuszewicz jest pan Stocki krakowianin — krewny Walerki Podleskiej. O Ignasiu, bracie Julii, z najserdeczniejszym współczuciem właśnie przed chwilą przy śniadaniu wspominał. Gospodarstwem agronomicznym zajmuje się p. Sikorski, kolega waszego Alfonsa — jeszcze nic więcej o nim nie wiem. Administracja ogólna jest w ręku pana Nurzyńskiego, o którym także żadnej innej, wyłączniejszej wskazówki dać ci nie mogę. Z początkiem wakacji towarzystwo znacznie się powiększy — czy mi lepiej będzie, czy gorzej, jeśli nie napiszę, to się domyślisz. Czy pani Bolesława wyjechała do wód?

## XLII

19 lipca 1865, Zielona

Oba twoje listy odebrałam, moja Wando kochana, nawet ten pierwszy z niedokładnym adresem szczęśliwie mię doszedł. Chociaż później żadne „stanowcze” słowo o twoim wyjeździe mię nie doszło, wywnioskowałam sobie jednak, że tak jako pisałaś, nazajutrz, tj. 29 czerwca opuściłaś Warszawę i dziś już pewno od dawna w Ludzimierzu jesteś. Ale czy zdrowo dojechałaś? czy możesz dać sobie radę z niespokojną tęsknotą swoją? to są główne wątpliwości, które mi teraz na sercu ciężą. Wiem, że ogromna przestrzeń wymijająca kierunek kolei żelaznych utrudnia naszą korespondencję, miałam wszakże trochę nadziei, że zaraz stanąwszy na miejscu pisać do mnie będziesz. Gdy blisko trzy tygodnie przeczekałam daremnie, zaczęłam się niecierpliwić i w końcu wybiegłam naprzeciw ciębie z moją korespondencją, choć to mi zaledwie „odpowieź”, a nie wiadomość pożądaną sprowadzić może. Z twoim oddaleniem i Warszawa także bardzo się ode mnie oddaliła. Andzia Kis[ielnicka], wróciwszy z niej po czterotygodniowym pobycie, przywiozła mi tylko niedługi list Kazi, a zamiast książek, o które Julia do Maryni zgłosić się miała, jedną włoską, jak się domyślałam od pana Zygmunta, broszurkę. Nawiasem godzi się wspomnieć, że w sprawiedliwym uczuciu, lecz zbyt ogólnikowo rzecz wypowiedziana. Rozszerzając nawet mój nawias, przy zdarzonej sposobności muszę ci powiedzieć, że ta ogólnikowość, to jest grzech główny nas wszystkich piszących i myślących dziś kobiet. Bawimy się po większej części najprawdziwszymi (przypuszczam), najpiękniejszymi abstrakcjami, lecz każdej z nas faktów i szczegółów na podmurowanie swego przekonania brakuje. Czy widziałaś kiedy obrazek indyjskiego żonglera, jak zręcznie podrzuca w górę masę pomarańcz, które kolejno się tocząc przed pochwyceniem tworzą nad głową jego doskonale półkole? I my tak sztucznie myśli nasze w nadpowietrznym półkolu trzymamy — żadna się arytmetyka, geometria, fizyka, fizjologia, kodeksem, zdarzeniem, nazwiskiem ziemi nie dotknie. Co do mnie, mam tę zasługę przynajmniej, że się w tym sama spostrzegłam i choć na poprawę już za późno, to jednak głębokim uznaniem potrzeby mogę się na coś jeszcze wam młodym przydać.

Panna Mazoni skarży się na krzywdę kobiety matki, żony i kobiety indywidualum — właściwie byłoby każdy zarzut podeprzeć artykułem prawnym, cyfrą statystyczną — historycznym wypadkiem. Jeszcze tych ostatnich to jest dosyć, sławne imiona bohaterek i artystek na wierzchu jak oliwa po pamięci pływają; lecz mnie się zdają, na mnie robią wrażenie retorycznej ozdoby. Wolałabym coś bardziej dotykającego; życie bieżące mnóstwo przecież dostarcza psychologicznych i sądowych dramatów. Cóż z tym wszystkim? gdyby się biedna Włoszka w najdobitniejsze uzbroiła argumenta, ja myślę, żeby to zupełnie na to samo wyszło. Z wyzwoleniem kobiety rzeczy tak pójdą jak z demokracją, socjalizmem itp. systemami. Tytuł upadnie, a szczegóły jedne za drugimi geologicznie

Kobieta, Prawo, Pieniądz

składać się będą na ostateczną formę powierzchni. Idea bardzo jest piękną, ale szczegół bardzo jest skutecznym. Pani Sand, najtkliwsza i najszańsza między kobietami, wywołała sympatie — ale ta pani (po kobiecemu zapomniałam jej nazwiska), ta pani, która dla kobiet w Paryżu otworzyła Szkołę Sztuk i Rzemiosł, nierównie większą oddała im przysługę. Dzisiaj pracą i zarobkiem dochodzi się najwznioślejszych celów. Choćbyś się jak po zażyciu chininy bez opłatka wzdrygnęła, moja Wando rozmarzona, to jednak tego nie zeprzesz, że pieniądze są wolnością. Pieniędźmi swoimi, pieneńdźmi zarobionymi, zmusi kiedyś kobieta napoleońskich Francuzów do zmiany całych rozdziałów w sławnym cesarskim kodeksie. Pieniędźmi ugruntuje równość małżeńską i władzę macierzyńską; pieneńdźmi i dziś przecież, gdy chce, może sobie wykształcenie osobiste zapewnić. Pieniędźmi dopiero świat stanie dobremu otworem, a to dlatego, moja pani, że pieneńdźmi zawsze reprezentują pracę — a praca rozum — a rozum Pana Boga. Czas już zamknąć ten ustęp poboczny przypomnieniem broszurki wywołany, tym bardziej że w to, co ganiłam właśnie, to jest w bezbrzeżne ogólniki wpadam.

Spodziewam się za to wiele z Ludzimierza szczegółów. O Julci — gdzie się z nią spotkałaś? jak wygląda? czy z mężem i synem naprzeciw ciebie do Krakowa wyjechała. Czy i ode mnie uściskałaś ją po egoistycznych przywitaniach? A gdzie tego roku, jaki masz pokoi? Z przeszłego roku pamiętam waszego księdza proboszcza i twego przyjaciela Gorała — ma się rozumieć, że znowu chcę o nich coś przeczytać i innych narobić znajomości. Koło mnie tutaj nic się nie zmieniło, trochę jednak ludzi przybyło. Andzia wróciła i jej matka z nią przyjechała, lecz że ostatni raz, gdym była w Zielonej, matka Andzi także tutaj przez cały ten czas bawiła, nie zdaje mi się więc, że to odwiedziny jakie, tylko że powrót koniecznej w składzie rodzinnym osoby. Wszakże o tym musiałaś słyszeć przynajmniej, że pani Kisielnicka starsza należy do liczby tych, którzy mię bardzo psują. Teraz jeszcze by można to złożyć na karb gościnności, ale tak i dawniej bywało, kiedy przeszło dwa lata w jej domu przy Andziulce jako nauczycielka zostawałam — a jak to już dawno! jak dawno! — jeszcze przed poznaniem i Skimborowiczowej, i Zabłockiej, i Kazi<sup>131</sup> nawet. Arystokratyczny stosunek według daty i twego wyrażenia — widzi mi się jednak, że gdybyś mu się bliżej przypatrzyła, to by ci nie zawadzał. Oprócz pań Kisiel[nickich], zjechali na wakacje dwaj starsi synowie z korepetytorem młodym Wardzyńskim, używają wsi i lekcji, toteż bardzo mało ich widuję. Mnie przechadzki nie nęcą; jeszcze za ogród i dziedziniec nogą nie stąpiłam, wyjąwszy w niedzielę do kościoła, który tuż przy ogrodzie, jakby po drugiej stronie ulicy stoi. Wody nie ma, nawet do picia bardzo niesmaczna. Andzia ledwo się nie rozpląkała po śmierci tego francuskiego labusia<sup>132</sup> Richarda, co to miał źródła odkrywać i do Polski się wybierał — chciała jedna z pierwszych zapisać się na liście gwarantujących mu pewien oznaczony dochód — tymczasem labuś umarł, nawet dość blisko między Szlązakami, a w Zielonej woda szkaradna.

### XLIII

[Zielona, 1865] [Urywek z listu znaczony: 2]

...po oku, po spojrzaniu las jest dosyć blisko — krokami jeszcze tej odległości nie zmierzylam. Prawda, że mi też nie na spacerowe usposobienie się zebrało; zaraz po wyprawieniu ostatniego listu do ciebie katar z kaszlem dręczyć mię zaczął. Kto inny byłby się już niebezpiecznie rozchorował, a ja wyszłam bez szwanku. Moja siostra najstarsza pewnie i połowy tych zasług nie położyła, chociaż dość gorliwie także na zepchnięcie życia pracuje — ale nie miała tyle przyjaznych okoliczności — upałów w drodze, deszczów, nocy bezsennych — jednak dostała mocnego zapalenia płuc i ledwie ją uratowano. Mnie się wszystko na kilka tygodni rozłożyło — teraz już zupełnie do normalnego stanu wróciłam — tylko pełno kapryśców apetytowych się przyplątało — aż mię wstyd przed młodym pokoleniem. To najgorsze, że każda moja niedoszła choroba głównie się symptomatem niedołęstwa cechuje; były dni całe, że nawet czytać w tym katarze nie mogłam. Teraz na-

<sup>131</sup> Skimborowiczowa, Zabłocka, Kazia — Anna Skimborowiczowa, Wincenta Zabłocka, Kazimiera Ziemięcka, trzy „entuzjastki”, dawne i serdeczne przyjaciółki Żmichowskiej, scharakteryzowane przez nią we wstępie do *Poganki*. [przypis redakcyjny]

<sup>132</sup> labuś (z fr. *l'abbé*: opat, ksiądz) — ksiądz. [przypis edytorski]

wet jeszcze się do esencjonalniejszych książek nie biorę — ograniczam się Micheletem, którego mi Kazia pożyczyła. W odpowiedziach listowych bardzo także się zadłużyłam; Lasia mi donosiła o swoich zaręczynach, chciałabym dobrym słowem tę dobrą chwilę jej życia podzielić, a jeszcze się nie zebrałam — bo też, przyznam ci się, ciągle innego czekałam listu. Potem nie wiedziałam i dziś nie wiem, gdzie jej szukać; miała wyjechać z Lublina, miała z Julią być na wsi. Czy jest już i w której jest stronie? — nie wiem. Od Julii bardzo dawno ani słówka nie miałam. Zawstydziła mnie tylko tym bazarzem, którego na próżno u Nowoleckiej szukała; może się i obraziła lub raczej zniecierpliwiała moją niedokładnością — a to była prosta co do księgarni pomyłka. Bajki ludowe przez K. Baliń... zebrane, przez Wójcick... wydane, są za dwa złote do kupienia w księgarni Gebethnera — aż mi się lżej na mózgu zrobiło, gdy przeczytałam ogłoszenie — bo już posądzałam się o jakąś umysłową chorobę. Nie mniej przeto wdzięczna jestem panu Zygmunt[owi], który mi *Bazarza* Glińskiego dostarczył. Mam go pod ręką i prosiłam Julii, żeby za niego należność zwróciła, lecz widzę, że nawet *interesami* trudno upadającą korespondencję podtrzymać. Miałam list od Edwarda, przysłał mi fotografię swoich trojga z babcią Kap[lińską], która ma tak pogodny uśmiech na twarzy, że aż sercu błogo — ale i jemu nie odpisałam. Trudno mi z wielu względów do pisania zasiać — jeszcze się zupełnie nie urządziłam — a dziś, kiedy swobodniejszą znalazłam chwilę — wyspekulowałam, że przede wszystkim muszę do Wandy napisać — i w Ludzimierzu ją przeżegnać. W imię Zdrowia — Spokoju i cierpliwości świętej — Amen. Julcię, Włodzia — Jana Kazimierza uściskaj najserdeczniej. P. Adolfowi powiedz coś grzecznego, życzliwego — a takiego jednak, żeby nas obydwóch nie wyzartował.

#### XLIV

5 września 1865, Zielona

Nie wiem, czy wróciłaś, Wando, ale wiem, że w każdym razie mój list by cię w Ludzimierzu nie zastał, więc go do Warszawy na powitanie wysyłam. Bodajbyś zapas siły i zdrowia przywozła! Może w domu będzie trochę weselej, bo trochę spokojniej. Koło mnie nowy smutek — nowa strata. Nie uwierzysz, ile wspomnień, a jakich wspomnień z moją Stefanią<sup>133</sup> do grobu poszło. Najpierwej o niej od mego brata słyszałam (kiedy mówię brata, nie wymieniając po imieniu, to się domyślasz, że najdroższego, umarłego, mam na myśli<sup>134</sup>). Brat nas zapoznał wzajemnie — przy nim już chorym, ale jeszcze wesołym i rozmownym, kilka wieczorów spędziłyśmy razem, na takich zajmujących, swobodnych gawędkach, na takich świetnych do koła projektach! Były to jedyne pełne same w sobie chwile mej przeszłości: może miałam później wznioślejsze lub ważniejsze, ale równie ufnych, równie wystarczających potrzebom duszy mojej — nigdy. Zataczałam pod górę kamień syzyfowy, nie przypuszczając, że się znowu osunie i na kark mi spadnie. Od tego czasu raz po raz przyszło znowu wziąć się do tej pracy — brałam się bardzo ochoczo nawet, bardzo cierpliwie — tylko wiedziałam ciągle, że praca „może się nie udać”, że kamień stoczyć się może. Kiedym kochała, to miałam pojęcie, jak to bywa, gdy ukochanych się traci; kiedym wierzyła, to już w zdolnościach moich tkwiła zdolność na poniesienie zawodu. Nie było to zaiste grzesznym jeszcze usposobieniem, lecz nie było też ową rajską duszą *nieumiejącej* wątpić potęgą. Zaczynałam właśnie pierwsze moje szpargały głównie dla zabawy brata drukować; niewiele ich miałam, bo jak i teraz potrzebowałam cichości, a rzadko kiedy mogłam jej choć godzinkę zawarować sobie. Nie pamiętam jednak, bym później kiedykolwiek ja sama tak prawdziwą „rozrywkę” miała w pisaniu, bym tak swobodnie dobierać mogła sobie pomysłów i tak stanowczo je wypowiadać. *Maina* była na fantazję. *Wyjutki z podróży*<sup>135</sup> na wyznanie zasad — najzupełniejsza nieodpowiedzialność i najhardziejże afirmatywy. I pan Guizot, który w swoich pamiętnikach tak często się na wolę Pana Boga powołuje, gdy mu przychodzi jaką chropowatość swego zarządu

<sup>133</sup>Stefania — Dzwonkowska, siostra Władysława Dzwonkowskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>134</sup>brata (...) najdroższego, umarłego (...) — mowa o Janie Żmichowskim, zmarłym w 1843 r. [przypis redakcyjny]

<sup>135</sup>Maina (...) *Wyjutki z podróży* — *Maina i Kościej*, *Wyjutki z podróży*, utwory Żmichowskiej. [przypis redakcyjny]

usprawiedliwić — i pan Guizot, i pani Eleonora, i wszyscy Honoraci, co się być zdają przynajmniej radcami tajnymi w Ministerium Niebieskim, z większą pewnością — nie o prawach mówię — lecz o wyrokach i zamiarach Pana Boga wiedzieć nie mogą, jak ja wiedziałam wówczas — a wówczas znałam Stefanię. Potem przeszły ciężkie próby, i znów trochę światła zamajaczało. Znał rozum, że to półbłaski, ale w uczuciu było jeszcze rześkości na używanie jakby południowego słońca. W podróżach moich nieraz mi wypadło o dom rodzinny Stefanii się oprzeć. Z nią razem byłam w Krakowie, z nią razem znowu przeżyłam inne, drugie apoteozowe chwile pewnej epoki — z nią jeszcze kilka z pierwszych ciemniejszych chwil 62-go roku — przed moją niefortuną do instytutu wyprawą — byliśmy razem, choć nie w jedności, szczęśliwe — byliśmy razem smutne — a nie mogłyśmy razem odejść sobie. Wiesz co, Wando — pomimo wszelkich niezbitych prawd geometrii, której się uczę, fizyki, o której czytam, chemii nawet, którą mi wasz Staś łaskawie pożyczył — pomimo dzieła „o objawach” Szokalskiego i kilku fizjologii, com je od pana Ignacego dostała, tak mię nagabują różne mistyczne przypuszczenia, że się z nich otrząsnąć nie mogę. Już kilka razy mi się zdarzyło, że autorskie moje najniewinniejsze, dozwolone przecież powieściowe zmyślenia, nagle zrzeczywistnieniem jakimś w biografii moją spadły i musiałam własnym sercem odczuć, we własnym losie przeżyć to, co mi się najabstrakcyjniej w głowie uroiło — z artystycznej jedynie kombinacji napisało. Teraz, ciągle mię po mózgu dziobie wspomnienie Nikłota. Figura bez talentu obmyślana, zdawało mi się, że mam nad nią zupełne prawo i obarczyłam ją przekleństwem długiego, dłuższego niż wszystkich ukochanych i znajomych życia. W promiennej nawet apoteozie młodości nie zdobyłam się na wyszukanie okropniejszej tortury. Czyżbym ją na samą siebie wywołała z nicości? — ależ mój fatalny Nikłocik miał przynajmniej za co pokutować — wszak dałam to do zrozumienia — a moje zbrodnie gdzie? Komuż ja to skłamałam fałszywą obietnicą szczęścia? kogo ze śmierci ku życiu na płacz i żal wskrzesiłam? Ha! może ciebie, Wando? może wszystkich, którzy mi uwierzyli, że trzeba na Królestwo Boże pracować — że trzeba hydrę cierpienia dławić — że do Nieba dosięgną ku Niebu wyciągnięte ręce? Gotowa bym odwołać wszystko i całej sobie zaprzeczyć — byle tak nie zostawać, nie samotnieć — nie kamienieć nadgrobkowo.

Żaloba, Cierpienie

Brzydko cię witam z nad Morskiego Oka wracającą — drugi list będzie lepszy. Zaczekaj tylko i sama prędko napisz — moja zbudzona Maino. Nie — nie ja nie zbudziłam — owszem zaskarżam, że ty mi usnąć nie dałaś — od dwóch lat bym już spała.

## XLV

[Zielona] 18 października 1865

Wczoraj dopiero z gazety dowiedziałam się o waszej stracie<sup>136</sup> Wando moja kochana. Nie domagam się listu; wiem, że kiedy boleść na smutki padnie, ciężar na ciężary, to pisać niepodobna, ale jestem o was wszystkich bardzo niespokojna; o ciebie, o twego ojca szczególnie. Postaraj się, żebym miała choć słówko wiadomości. Nie prosiłabym się nikogo, gdyby nie to paszportowe przekleństwo od dwóch miesięcy. Już się u naczelnika tutejszego dopominam, żeby mi wolno ruszyć się było z miejsca i od dwóch miesięcy ciągle mię zwodzi, że za kilka dni otrzymam coś stanowczego — a mnie przez ten czas nowych potrzeb wyjazdu przybywa. Teraz tak bym chciała moje biedne dziecko do serca przycisnąć, choć w krótkim przez Warszawę przelocie — a nawet w przybliżeniu dnia tego oznaczyć jeszcze nie mogę. Prędko więc jakiegokolwiek doniesienia od was wyglądam — pewnie będę miała czas tutaj się go doczekać, bo w przydatku i Kasi paszport wyszedł, i dla niej trzeba było po nowy do Lublina się zgłaszać. Nigdy się sprawiedliwszym jak teraz ów przysłowiowy sposób mówienia „że łatwiej się śmierci doczekać niż czego pożądanego” — obecnie niż paszportu np.

Doczekałam się tak wielu śmierci w tym czasie — no, dla mnie to ma pewna pociechę, że kiedyś przecież i jedynej upragnionej się doczekam. Bardzo się czuję upokorzona, że nie umiem żadnym wyrazem pociechy odezwać się do ciebie, moja Wando. Taka złamana, niezdolna do niczego istota nie ma nawet prawa powiedzieć, że kocha kogo — ja ci też

<sup>136</sup>o waszej stracie — mowa o śmierci Alfonsa Grabowskiego. [przypis redakcyjny]



nigdy tego nie powiedziałam, Wando; ale powiedziałam nieraz i dziś ci jeszcze powtórzę, że bardzo a bardzo cię potrzebuję i dlatego muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje. Czy Julka z dziećmi była z wami w tych okropnych chwilach? O Zosi, o Maryni, koniecznie chcę od ciebie mieć wiadomość jaką — a przede wszystkim o Ojcu — bo ja mam słusność jednak, że wy nie umiecie tracić — żadnego w duszy waszej przygotowania nie ma na rozstawanie się z ukochanym i przynależnym. Czekam twego słowa.

## XLVI

[Zielona] 7 listopada 1865

Kilka słów tylko na tymczasem mojej kochanej smutnej Wandzie — przed uściskiem powitania. Jeszcze nie wiem dnia ani godziny mego wyjazdu, mam prawo jednak domyślać się, że w tym tygodniu nastąpi. Gdyby mi się udało, po dawnemu wszystkie cztery razem was zastać, to by mi trochę, troszeczkę dawne chwile przypomniało. Prawda, że dwojga dzieciaków nie widywałam wtedy u was, ale to będą goście — a wy będziecie domowi.

Czy się tym nie gorszysz, Wando, że w twoim smutku niczego, niczego nie mam dla ciebie prócz uścisku i coraz większej potrzeby widzenia się z tobą? Niezadługo. Pierwej jednak wspomnij Edwardowi, że i fotografię, i list jego ostatni odebrałam. Zdaje mi się, że fotografią przed tobą dawniej się już pochwaliłam — istotnie pocieszająca. Na list chciałabym we dworku (może kamienicy?) przy ogrodowej ulicy odpowiedzieć.

Ciotkom twoim przypomnij mię twoim dobrym słowem, a pani Bolesławie za jej pamięć najlepszym moim podziękuj. Tak mi się chce wyjechać, że aż mi się pisać nie chce do nikogo — i aż mię wstyd mojej pocziwej serdecznej Andzi — chociaż tęsknotą moją za wami wcale Zielonej nie ubliżam.

## XLVII

Warszawa [listopad 1866]

Dzisiejszy ranek przy nowej żalobie waszej na nic by się nam nie zdał, Wando. Przesiedzę go u siebie, tym bardziej, że śnieg do wyjścia nie zachęca. Potem na kilka godzin do Kazi pojedę. Obmyśl, kiedy byśmy mogły razem się znowu rozgawędzić, czy u mnie, czy u ciebie. Siostry uściskaj.

Wczoraj był pogrzeb Rudzia Jachowicza — uciekają przed życiem młode dusze.

## XLVIII

[Lublin, grudzień 1865]

Ponieważ ostatni ustęp mego listu mógłby cię o roztargnieniu przyprawić względem ogólnie wyrzeczonego polecenia, a więc szczegółowo na tej karteczce spisuję, żebyś, jeśli nie dobrym życzeniem, to przynajmniej serdecznym słowem pozdrowiła ode mnie — ojca, Zosię<sup>137</sup>, Julcię, Marynię — Włodzia i Kazia — panią Markiewicz, Manię, Seweryna i Stasia — czy ten ostatni przyjechał, czy nie przyjechał — panią Kaplińską, Edwarda, Lutkę, panią Maniusię, Zosię i małego Zygmunta — tym więcej, ma się rozumieć, pana Zygmunta ojca chrzestnego, któremu raz jeszcze polecam dozór nad twoją pracą — dozór pilny, pomocny i skuteczny. (Lasia żadnych notatek nie ma; przyślij mi swoje przez pana Ignacego, będę się starała przy pierwszej lepszej sposobności odesłać). Pani Bolesławie, Pelci, Zosi — uściski zamiast winszowania; a chociaż to według przeznaczenia nie dojdzie, jednak dla pamiątki Henrykowi oddalonemu wśród dobrych i cenionych przez niego znajomych osobne słowo wspomnienia. Nie obiecuję ci z Lublina długich i częstych listów, ale ci powiem, że mi twoich może więcej niż gdziekolwiek potrzeba.

<sup>137</sup>Zosia — Zosia Redel, córka Wandy, siostry Narcyzy, zmarłej w r. 1853. [przypis redakcyjny]

## XLVIII

[Lublin] Ostatni dzień 1865 roku, niedziela

Trzeci raz już zaczynam pisać do ciebie, Wandeczko moja. Najpierwej, po odebraniu twego listu, kilka wierszy ledwie rzuciłam na papier, gdy się jakaś przeszkoda znalazła; potem zwykle moje niedołęstwo mię ogarnęło. W dniu świątecznym nie byłam nawet w kościele — nie poszłam o — kilkanaście schodów do Lasi na górę. Każde Boże Narodzenie coraz cięższe dla mnie do przebycia — nie tylko moralnie, wspomnieniem, ale i fizycznie, brakiem siły. Pod obu względami, terazniejsze było najgorsze. Muszę chociaż przed tobą przyznać się do tego, bo mi sumienie wyrzuca, że niepoczciwie ludzi oszukuję: mam niby cel dobry na myśli, czyż to mię usprawiedliwia jednak? Chciałabym, żebyś miała dostateczną powagę dla roztrząśnienia tej sprawy; lecz jak wiesz, nie ufam ci, moje ty kochające bezkrytyczne serce. Pociesz się wszelako, że gdybym może ufała zupełnie krytycyzmowi, to bym nie ufała kochaniu. Z masy niekonsekwencji człowiek ulepiony! — nie warto mówić o tym pobieżnie — a kto zaręczy, że gruntownie można wypowiedzieć? Oto masz lepiej biuletyn z dotychczasowego pobytu mego w Lublinie. Zastałam szwagra już cierpiącego na wrzód, który się wkrótce niebezpiecznym karbunkulem okazał. W sam dzień wigilii było najgorzej, teraz jeszcze nie jest zupełnie dobrze — gorączka — dreszcze — osłabienia pojawiają się raz po raz, ale są przynajmniej godziny całe siły, lepszego humoru — dobrego apetytu. Chory wstaje, przechadza się, rozmawia — itp. Na trzeci dzień po przyjeździe zachorowała Kasia i przez dwa dni leżała w łóżku, a doktor powiedział, że się na tyfus zanosiło. W samą wigilię do późnej nocy czekałyśmy Henryka, który miał z bratem moim przyjechać, ale nie stawili się, gdyż brata paszport opóźniono — dopiero we czwartek wieczorem zeszli nas, już niespodziewających się nikogo. Nawiasem muszę ci też o Henryku jak o kim obcym wspomnieć, że mi się coraz więcej „podobać” zaczyna. Jaki jest, taki jest — nigdy go jeszcze ani na słówku deklamacji, ani w przedsięwziętym usposobieniu nie pochwyliłam — ani w nienaturalnym, podyktowanym czy przez nieśmiałość, czy przez pretensję ruchu nie spostrzegłam. Gdyby trochę więcej wdzięku, nazwałabym to „prostotą” — przy obecnej szkolnej ciężkości jest niezawodnie „prawdziwością” przynajmniej. Wspomniałam ci poprzednio, że cały ten czas byłam potrójnie niedołączona. Ledwo z początku dwa razy do państwa Alfredostwa się wybrałam; później jak zakłętą księżniczkę trzeba mi było w domu siedzieć. Lasia i Manusia codziennie, ale na krótką chwilkę tylko mogły mię odwiedzać. Najważniejszym, najjaśniejszym faktem obecnej terazniejszości jest zamęcie Zosi Redel. W tych dniach oświadczył się o nią pan Filip Klamborowski — przez Łastowieckich jakiś kuzyn Lasi. Lasia z tego związku po swojemu „kontenta”, dowiedziawszy się pierwszy raz, ledwo na ulicy tańczyć nie zaczęła. Prócz tego, główne osoby są także bardzo z siebie kontente — my wszyscy także kontenci, więc tylko ogłędam się, kto będzie martwił się i przeszkadzał — bo żadna jeszcze para, o ile wiem, nie skojarzyła się bez jakichś przeszkód i zamętów. Narzeczony zaprezentował nam się tutaj uroczyście, polecał się przyjaźni — my wszyscy szczęścia życzyli — i odbyło się to jak wypada. Dla mnie rzecz cała zupełną była niespodzianką, w ogóle osoby rodziny mojej, nawet bliższe mi od Zosi, nie bardzo lubią wypowiadać się przede mną ze swymi tego rodzaju uczuciami — co uważałabym za bardzo słuszne i *przynależne*, gdyby względem innych takąż samą zachowywały ostrożność. Mnie się zdaje, że bym zupełnie mówić nie umiała o wyłączenie ukochanym moim — choćby do niego samego — ale inne, widzę, że mówią, tylko nie ze mną. Zosia prócz tego, zbiegiem okoliczności, nawet mniej od starszych siostrzenic znaną mi była; nie domyślałam się przeto żadnych zamiarów, tylko ciągle uważałam, że jakoś mi bardzo, a bardzo wypiękniała. Twarz jej straciła ową niewyraźność zatartej fotografii, którą jej nieraz zarzucałam, głos nabral dźwięczności, ruchy stały się pewniejsze, ufne, że się z życzliwym spojrzeniem spotkają, a całe jej obejście takie było serdeczne jak nigdy. Dopiero w czwartek odkryła się tajemnica owej naddatkowej piękności. Żebyś i ty mi, Wando, tak wypiękniała znowu! Raz pamiętam cię w chwilach apoteozy — nie pytałam, co znaczy, bo się pytać nie umiem — czekałam — ale później aureola przygasła — wróciłaś jakby przed kominek spod włoskiego nieba.

Jeszcześmy nigdy o tym nie wspominały. Czy nawet kiedy wspomnimy wąpnię. Pamiętaj jednak, że z myślą o tobie rok kończę i zaczynam.

L

[Bez daty]

Kiedy chcesz rejestra książek angielskich, podaję ci te, których bym sobie więcej życzyła od innych, o ile miarkować mogę z tytułów na okładkach drukowanych:

*Mrs Gore* — co bądź, bo nic nie znam.

*Author of John Halifax, Romantic tales.*

*Domestic Stories.*

*Hawthorne, Transformation.*

*Douglas Jerrold, Men of charakter[!].*

# ROK 1866

## LI

[Lublin] 6 stycznia 1866, niedziela

Zmieniły się różne zewnętrzne okoliczności i znowu przez czas jakiś dłuższych listów nie będę mogła pisywać; ale że raz po raz mam ci coś do powiedzenia, więc sobie na stoliku położę zawsze kartkę białego papieru, żeby ci chociaż notatkę przesłać tych różnych rzeczy, o których bym pisać chciała — według tego, jak co na myśl przyjdzie. Dzisiaj przede wszystkim muszę ci donieść, że miałam list od Seweryna, w ostatni dzień roku pisany — trochę pocieszający, dosyć długi, a bardzo, bardzo pocziwy. Nie może zaprzeczyć dobroczynnemu wpływowi klimatu, czuje się wyraźnie zdrowszym, ufa w dalszą przyszłość swoją. To jest, co ja nazywam *trochę* pocieszającym. Napisał prawie tyle, co ja do niego, mniej więcej dwa listowe półarkusze — nazywam to *dosyć*, nie ze względu na moje wymagania, ale ze względu na jego zdrowie; co zaś ma znaczyć *bardzo*, tego się i bez mojego komentarza domyślisz.

Kto mógł powiedzieć, że ja nad geografią Polski pracuję i co by *tobie* z tego przyszło? Czy chronicznie chorujesz na to, żebym pisała? byle co —

Jak żyję, tak jeszcze ani od brata, ani od swata nie odebrałam listu równie niebezpiecznego i zbawczego dla duszy mojej, jak list Edwarda święteczny. Jeśli się w pychę nie wzbiję, co się gotowam z pewnym zwątpieniem wyleczyć.

Nie miałaś *prawa* czytać listu Klodzi i powinnaś przepracować w sobie, że nic o nim nie wiesz.

Bój się Boga, Wando, nie nazywaj w sobie niczego brakiem znajomości własnego serca. To twoja niedokładność, że własne wnętrze zanadto rozpatrujesz, a mało się *uczysz* zewnętrzności.

Odsyłam książki pożyczone; mam nadzieję, że mi przysłecie co nowego — ach! przyslijcie, bo tak zimno!

Gdyby było ciepło i cicho, to bym dla twojej instrukcji napisała powieść o kobiecie patrzącej w siebie. Przez cały jeden ranek układałam sobie szczegółliki i okoliczności, które by mogły spostrzeżenia moje uwydatnić. *Remarquez*<sup>138</sup>, że nie mówię o sensie moralnym — tylko o spostrzeżeniach.

Wiesz co, Wando — raz jeszcze z prośbą do ciebie się odwołuję. Prześlę ci bardzo dokładny abrys powieściowy — ty go obrobisz — ja gdzie umieszczę. Ludziom się przyda na zabicie czasu, a nam na podróż w Tatry — hę? Gdybym była chciała być konsekwentną w pojęciach moich o ideale autorskim, to bym nigdy była pióra w kałamarzu nie umaczała. Ot, pisze się po prostu dlatego, że coś na myśl przyjdzie, grzech w tym jedynie, kiedy się pisze, choć nic nie przychodzi.

Niech ci Zosia opowie kanwę przynajmniej powieści angielskiej *Cyrille*, wcale nie dla „najlepszości”, ale mam w tym mój interes.

Bądźcie zdrowe — oj zdrowe, zdrowe!

Czy ci też na myśl nie przyszło, moja Wandeczko, postarać się o przeczytanie którejś kolwiek z wypisanych dla mnie przez Stasia książek?

Ile razy znajdziesz książkę jaką, której byś mi mogła pożyczyć, to poślij do Julii, niech Julia odstawi Polci. Polcia ma po dziesięć okazji na tydzień do Pszczonowa<sup>139</sup>.

## LII

[Lublin] 12 stycznia 1866

<sup>138</sup>*remarquez* (fr.) — proszę zauważyć. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*Pszczonów* — siedziba Lewińskich po spaleniu się Olszowej. [przypis redakcyjny]

Wando moja kochana — zupełnie na twój plan się zgadzam. Podaj streszczenie dzieł, które mi wyliczyłaś, i wspomnij zarazem, jakie ci każde z nich pozostawiło jeszcze wątpliwości do rozstrzygnięcia. To będzie pierwsza seria artykułów, gdyż pamiętaj zawsze, że trzeba pisać artykułami odpowiednimi do ciasnych ramek „Bluszczów”. Nic to nie szkodzi zresztą; ścisłość po tylu deklamacjach jest bardzo pożądaną rzeczą. W drugiej serii zaczniesz dopiero mówić o tym, jakie rozwiązania ty sama poznałaś sobie; jakimi słowami dopełniłaś różne niedopowiedziane słowa. Nim z jednego ku drugiemu przyjdiesz, będziesz miała dość czasu na przeczytanie kilku uzupełniających „faktowe” wiadomości książek. Przede wszystkim, polecam ci, abyś pod bliższą rozwagą wzięła cośkolwiek porządniej o antropologii napisanego. Tobie szczególnie łatwo to przyjdzie, bo znasz język niemiecki, posiadający najlepsze tego rodzaju prace. Pan Zygmunt się wywie, która na szczególniejsze zasługuje zgłębienie; w ostatecznym razie musiałabyś się ograniczyć chociaż na francuskim Ferrauldzie. Mam go na nieograniczony użytek — jakkolwiek nie zadowala mię wcale, posłużyć jednak może do zwrócenia samodzielniejszej, badawczej myśli na wiele ciekawych, a ze szkodą pomijanych zjawisk natury ludzkiej. Ferraulda jednak musiałabyś uzupełnić sobie drugostronnym jakim pisarzem, choćby „zdrowym” do czytania Szokalskim; dla utrzymania zaś równowagi między dwoma skrajnymi lub raczej dla zawarowania sobie zupełnie swobodnego sądu, musiałabyś jeszcze — przeczytać lub, ulgę ci niosąc, powiem, tylko przerzucić, lada porządniejszą fizjologię, gdzie znajdziesz proste szczegóły bez najmniejszego zastosowania — jednocześnie zaś fizjologię przekładaj sobie jak naleśnik powidłami *Fenomenologią ducha* Kremera (jest to na polskie przerobiony heglizm) albo wystaraj się od pana Ignacego — chciałam napisać nazwisko, lecz mi się w pamięci zawieruszyło — nie mam czasu odszukiwać go po notatkach — wiem, że to prawnik Belgijczyk — pracował nad etyką — zdaje mi się główne jego dzieło o naturze Dobra. Czy w Kremerze, czy w Belgijczyku znajdziesz zarówno ogólniki; prawa myśli i pojęć, czyli ostateczne „zastosowania”, bez żadnych składowych szczegółów. Po takim przygotowaniu, bardzo łatwo ci będzie kartki twojego kajetu uzupełnić, częstokroć nawet w wielu miejscach sprostować i poprawić. Nie przestraszaj się tylko szeregiem wszystkich wymienionych tytułów; suma ogólna pięciu, sześciu dzieł nie przeniesie. Dwie antropologie, dajmy na to, jedna tłumacząca ciało przez ducha, druga ducha przez ciało, następnie fizjologia mówiąca o samym ciele i filozofia mówiąca o samym duchu lub etyka o samej moralności — raptem wszystkiego pięć. Spodziewam się, że i czasu wystarczy, i umysłu nie strudzisz. Mam ja też prócz tego jeden naddatkowy projekcik dla ciebie, Wandeczko, arabesk — fioritura — przegrywka — wolno wziąć, wolno odrzucić. Cały ranek myślałam dziś o tym — lecz mnie często się zdarza przemyśleć tak myśl jaką, obrazek jaki — a nazajutrz zapomnieć — niewielka strata. Dzisiaj podsuwam ci moją medytację, bo mi właśnie z zamiarem listu do ciebie się zbiegła. Czy byś też nie chciała np., pierwiej nim się odezwiesz poważnym słowem przekonania, rzucić w świat choć na próbę kilku słów nie przekonania, lecz domysłów jedynie? — choćby paradoksów pozornych? Paradoksy daleko większe robią wrażenie. Nie moja w tym wina, że ja sama niegdyś wiele prawd zdobytych paradoksami przystroiłam, żeby czyjąkolwiek uwagę zwróciły. Paradoks jest formą stylową — o to idzie, by w sobie samej mieć zawsze treść jego rzeczywistość — by pierwiej lub później słowo jego zagadkowe wypowiedzieć. Co byś też pomyślała o mnie, Wando moja, gdybym teraz bez żadnego dalszego objaśnienia zadała ci po dawnemu na wypracowanie taki temat: „Dowieść, że starożytni mądrzyymi byli od nas, w tajemnicy trzymając naukowe, polityczne i religijne prawdy”. Zaiste, zgorszyłabyś się takim bluźnierstwem, a jednak takiego właśnie bluźnierstwa żądam od ciebie. Jest ono sukienką zdobytego w ciężkiej pracy przekonania, na które pewnie zgodzisz się ze mną. Dla mnie i dla ciebie to znaczy po prostu, że wbrew teoriom Bukla<sup>140</sup> *et compagne*<sup>141</sup>, na nic się nie zda oświata bez umoralnienia — wiedza bez zdolności, zdolność bez skłonności ku dobremu. Rzeczy stare jak Wisła i Karpaty przynajmniej, oklepane jak dzień dobry i dobry wieczór, a jednak pominięte, zapomniane zupełnie niż pierwotny język pierwotnej rasy człowieczej. Gdybyś chciała je nago, bezpodstępnie powtórzyć, nikt by ci pewnie słowa

<sup>140</sup> *Buckle, Henry Thomas (1821–1862)* — ang. filozof i historyk kultury, twórca podwalin socjologii; jako autor dzieła *Historia cywilizacji w Anglii*, wydawanego w latach 1857–1861 i niemal natychmiast przetłumaczonego na polski, wpłynął na poglądy głoszone przez pozytywistów warszawskich. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *et compagne* (fr.) — i [jego] towarzysze; i [jego] bractwo. [przypis edytorski]

nie zaprzeczył — ach! ty wiesz, co za rozpacz moja te wszystkie *niezaprzeczone* prawdy! — na które też nikt się już zgadzać nie potrzebuje. Nikt by ci więc nie zaprzeczył, nikt by się nie zgodził — nikt by nie doczytał nawet. Tymczasem rąbnij paradoksalną stroną — stań po stronie Magów, egipskich i eleuzyńskich kapłanów...

### LIII

[Lublin] 5 lutego 1866, poniedziałek

W tej chwili twój list skończyłam czytać i odpisuję pod pierwszym wrażeniem. Jutro, pojutrze, a za tydzień niezawodnie co innego bym ci powiedziała. Z wielu łez niewypłakanych, z wielu słów niedopowiedzianych i niedosłyszanych nigdy, jakaś brzydka chemiczna retorta w środku mózgu mi się zasklepiła — ale póki mam jeszcze błyskawiczność pierwszego wrażenia, póty może mam prawdę najprawdziwszą. Według tej prawdy mojej, pewną jestem, że kochasz Stasia<sup>142</sup>, Wando moja, tylko nie wiesz jeszcze i nie pojęłaś w sobie, z ilu to uczuć jedno kochanie składać się może — i tego nie wiesz, jak kochanie uświęca się lub zabija pragnieniem niepodobieństwa — jak się mąci i ustaje — jak wznosi i burzy. Widzę to w tobie i mogłabym ci opowiedzieć całą historię wszystkich wątpliwości twoich. Zdaje ci się małością duszy, fałszem taka niekonsekwentność. Maluczko, a kochasz, i znów maluczko, a nie kochasz; chciałabyś go mieć na całe zawsze — nie chciałabyś pójść za niego — to są wszystko fenomena rozgrywające się na tle natury i ideału — możliwości i pragnienia. W głębi leży rzeczywistość — tą rzeczywistością jest ukochanie. Miłosna namiętność jest tylko ekstazą ukochania zarówno jak dewocji. Czy myślisz, że święty Augustyn z Moniką choćby od jednego rana do wieczora tak siedzieli, jak po dziś dzień siedzą na owym sztychu, co go niegdyś Stasiowi właśnie przesłano? Grzechem jest twoim, że ciągle, w każdym stosunku — w każdym zwrocie twego ducha, *sama od siebie* — wymagasz ekstazy, a sama w sobie nie cenisz „stanu naturalnego”. Robisz mi wrażenie ptaka, co chciałby nad chmury wlatywać, a skrzydłami swymi pogardza. Skrzydłem twoim jest zdolność kochania — nie zaprzeczaj jej w sobie — a ku miłości nadchmurnej ulecisz. Wolałabym mówić z tobą, niż pisać o tym wszystkim; szczególnie zaś wolałabym mieć prawo mówić raczej ze Stasiem o tobie, niż z tobą o Stasiu — ale to rzeczy trudne, bardzo trudne — tylko powiem ci, żebyś mię przynajmniej w jednym względzie naśladowała i tę przyjęła zasadę, aby się w danej chwili nie krępować wyrozumowanymi przed daną chwilą przepisami. Ja np. mam dwadzieścia cztery powodów, aby się wszelkim związkom w bliskim pokrewieństwie sprzeciwiać, jednak dziś nic o tym nie mówię, bo mi głównie na wierzch wybija uczucie twoje dla Stasia — *które jest* —. Gdyby to prędko rozmówić się można! — aż mi zadałaś na ochotę prędszego powrotu. Moje dziecko — moje najdroższe, moje najlepsze dla mnie dziecko. Moja, najbliższa moja, dla mnie urodzona siostrzyczko.

### LIV

25 lutego 1866, Lublin

Jedna sobota mię zawiodła i byłam już bardzo niespokojna — twój list dzisiaj pocieszył mię trochę. Odpisuję, jak widzisz, bardzo prędko — ale pewnie przykry zawód ci sprawię — bo odpisuję dlatego jedynie, by ci donieść o niemożności dłuższej, żądanej przez ciebie rozmowy. Z tysiąca drobnych powodów ostateczna, cała przyczyna się składa — zbyt długo wszystkie wyliczać — a jednak niech cię żadne przypuszczenia nie trapią. Zdrowa jestem, w domu także zdrowi lub rekonwalescenci — nigdzie nie wychodzę, chyba czasem do pani Adeli, która na górze o szesnaście schodów nad nami mieszka, resztę czasu spędzam w sypialnym pokoju sama — z książkami — i to nie zawsze mogę porządniejszą wziąć do ręki. Mam ich kilka na stoliku jednak, i gdybym dla pożytku czytała, znalazłoby się i więcej, lecz ja się zaczytuję na bezmyślność — co jest złym, wcale nie do naśladowania przykładem — itd.

<sup>142</sup>kochasz Stasia — Markiewicza. [przypis redakcyjny]

Domyślasz się, że względem notatek nic ci nie powiem. Przepraszam, owszem, powiem ci, ale to, moja Wando, że wszystko co w nich jest i było, sto razy więcej (za mało) nieskończenie więcej — bez porównania zresztą czy mniej czy więcej — wszystko dzisiaj do ciebie, nie do mnie należy. Takie to już nie moje, jak nie moimi lata, które ubiegły przed moim urodzeniem, i wieki, które po mojej śmierci płynąć będą. Trudno ci to wytłumaczyć, że mnie już nie ma; nie mniej przeto ty jesteś i kiedyś pomówimy sobie o różnych myślach, pojęciach, dążnościach, które w tobie, twoimi są. Nastąpi to prędzej niż się spodziewasz nawet — byle ciepłej trochę się zrobiło. Czyż nie słyszałaś o tym, że Wielkanoc mam z Julią u Julii przepędzić? Wybiorę się, jak mi tylko doniesie, że się jej wakacje zaczynają, a gdyby pierwiej nawet czas się zmitygował — barometr na pogodę ustalił, to bym się może i skusiła do drogi, w obawie zmienności losu i powietrza. Tymczasem, panno Wando, kusicielko moja, pisuj często — sobót przynajmniej nie opuszczaj, złych myśli mi oszczędzaj — czarne podejrzenia rozpraszaaj — rób, co powinnaś, kiedy mię kochasz. Uściskaj siostry wszystkie — bodajbym Julcię zastać jeszcze mogła — ojca pozdrów serdecznie.

Karteczkę tu załączoną Lasi odstaw.

Czekam listu — bardzo szczegółowego — bardzo szczegółowego o Stasiu i o Sewerynie. Wszak wiesz, dlaczego ten ostatni równie jak pierwszy jest mi potrzebny do widzenia?

LV

[Lublin] 3 marca 1866

Dzisiaj rano twój list odebrałam — tak mi żal! żal — żal. Później powiem ci czego i kogo najwięcej. Dziś uścisk tylko na uspokojenie — krzyżyk błogosławieństwa na prawdę. Słowo prośby, żebyś się nie zraziła milczeniem, a pisała obszernie i prędko. Nie analizuj zbyt subtelnie, czy cię wiem dosyć, czy za mało. I tak, i tak bywa może — i tak, i tak bywać musi nawet — masz jedną pewność, której sobie dowodzić nie potrzebujesz — ty szkaradna wąpicielko, a najserdeczniejsza i moja.

Czy to jest podobnym, że dotychczas nie odkazałam dla Julci osobnego pocałowania za jej fotografię — chyba w liście, którym nie dopatrzyłaś — ja to widziałam napisane przed oczyma duszy mojej.

LVI

18 kwietnia 1866, Pszczonów

Może ty już pisałaś do mnie, Wando, a ja nie odebrałam listu, bo względem adresu siebie i was zawiodłam. Pszczonów jest dalej niż sądziłam od Skierniewic, trzeba jeszcze na kopercie Łyszkowice dodawać. Spodziewam się, że po tym objaśnieniu geograficznym niedługo czekać będę na uspokojenie wielu wątpliwości i obaw. Przed wszystkim co do zdrowia Stasia i Seweryna, potem co do wyjazdu Julci. Nieraz to już dubeltowo się cieszyłam pogodą, wyobrażając sobie, że ona z niej korzystać może, ale tak mię zamagnetyzowałaś swoim smutkiem! Lękam się, by znowu jakie nieszczęście wszystkiego nie zawichrzyło. Na tymczasem nic innego dla ciebie, ani o tobie nie myślę. Przyślij mi co prędzej inny temat duchowego wypracowania, bo ten domysłów i niespokojności bardzo jest ciężki, trudny — niewdzięczny. Ucałuj siostry — szczególnie Zosię — szczególnie Julcię, jeśli jest z wami — szczególnie moją Marynkę, tak jak ją mam w ostatnim wspomnieniu.

LVII

7 maja 1866, Pszczonów

Pomimo że w dość uspokajające zapewnienie oparowałaś nowinę drugiej części swego listu, mnie jednak trudniej było nieco zasnąć dzisiejszej nocy i tak rano się obudziłam, że

jeszcze w domu i w ogrodzie doskonała cichość od głosów ludzkich panuje — same tylko ptaki i słowiki hałasują — ale to mi nie przeszkadza. Muszę ci co prędzej odpisać, żeby do wzajemnego pośpiechu zachęcić — chociaż siostra Anny przyjechała — i zbyt długo na wierzchu nie zostawić twego wyrażenia „by po zwyczaju się zapytać i odpowiedzi nie dostać”. A kiedy żeś ty odpowiedzi nie dostała, ty niesumienna kobieto? Chyba wtedy, kiedy ci się zachciało wiedzieć, co na słońcu się dzieje, a pan Bunsen jeszcze widma jego ostatecznie nie zanalizował — albo co w niebie słychać, a Pan Bóg nic mi o tym nie powiedział — albo jak to na ziemi w sile, szczęściu, rozumie i ukochaniu żyć można — a ja tego na oczy nigdy nie widziałam — albo gdzie jest punkt styczny ideału z możliwością? a mnie ideały przepadły, mnie możliwość wszelka piaskiem się rozkruszyła. Lecz gdy tak kategorycznie, jak wczorajszym listem zapytałaś: „Co słychać u Pani? jak zdrowie służy? jak czas upływa?”. To niech mię... jeśli ci zawsze najrzetelniej i najwierniej nie odpowiadałam. Ot, w tej chwili np. Ma się rozumieć, nie w tej chwili — bo śpią — lecz przed tą i po tej, było i będzie słychać gwar trzech młodych dziewczątek: Wandeczki, Stefcia, Lutki — napominania ciotki Lilii, która ich będzie do śniadania przypilała. Potem, przy śniadaniu, gawędka jeszcze o różnych szczegółach z wesela — zawsze jakiś nowy się odnajdzie. Siostrą czoła się rozchmurzają przy szczebiotaniu młodszego pokolenia. Lutek i Tadzio Rostw[orowski] zostawiony tutaj przy babci Kornelci, łączą swoje dyszkanki z ogólnym chórem i nieraz myślę sobie, że gdyby kto pod oknem przechodził, to by się nawet nie domyślił, jakie ciężkie bóleści i straty na dnie tyłu serc leżą. Pewnie ci doniesiono, że nie asystowałam weselnym uroczystościom. Z Wituchną i Lilią zostałam w Pszczonowie. Wituchna nie miała odwagi na ślub i tańce patrzeć — zbyt żywo jej to przypominało nie tak dawne, a tak zawiedzione i rozbite własnego jej szczęścia festyny. Dopiero nazajutrz pojechała, by się z Marynią i wszystkimi bliższymi gośćmi zobaczyć. Nie towarzyszyłam jej w tej wycieczce, bo mię nowe rozdrażnienia starego smutku dotknęły. Jest to wprawdzie rzecz do kategorycznego opowiedzenia, lecz ją na później odkładam, niech się rozstrzygnie pierwej. Chciałam tylko nadmienić, że przez kilka dni, od piątku do środy nic zupełnie słychać nie było. Wę środę dopiero zaczęli Pszczonów nawiedzać różni weselnicy — Dunin z Henrykiem, Stefcia z Wandą i Lutką — na koniec w piątek przyjechali państwo Leonowie, pan Jakub i starsze panie — Kornelia i Horcia zostały. Pani Lewińska ze swoją Polcią tegoż samego dnia odjechała. Dzisiaj Stefcia do powrotu się zabiera i myślę właśnie ten list jej powierzyć. O zdrowiu moim — krótkie słowo — najnieznośniejsze — ból bez choroby — wiecznie zęby, flukcja — głupstwo. A jak mi czas upływa? Płynie, płynie jak smoła i nie może do końca dopłynąć — leci, leci jak wiatr przez pole i żadnego po sobie śladu nie zostawia. Co ty chcesz więcej od takiej niebyłości usłyszeć? Sama o sobie i sama z siebie powinna być mi teraz nieskończoności rozpisywać, a ty o mnie pytasz lub potocznym sprawozdaniem się sztukujesz. Jest to dla mnie łatwym do zrozumienia, czasem tylko smutnym do przyjęcia. Z tym wszystkim, moja pani, co przymawia, że „odpowiedzi nie dostaje” — moja pani niechaj raczy przypomnieć sobie, czy nigdy milczeniem nie zbyła mego zapytania? Daleko nie sięgając — wiem, że znajdziesz prawne wymówki — nie o samą ciebie pytałam — ale ty i o sobie nie mówisz.

Julia w tych dniach przysłała mi list Szujskiego, wzywający do powieści... Skąd on mógł wiedzieć, że jeszcze nie umarłam — trafić drogą do mnie? — Czy zgadujesz, co z tej osobliwości zrobiło się?

Więc tedy do Wierzbna jedziecie, do Wierzbna!...

## LVIII

[1866]

Rocznica powrotu Seweryna — Powiedz pani Markiewicz, że jej radość wspominam, a nie mów nic o smutku i niespokojności, która ciągle mnie trapi, donieś tylko, czy zdrowie powróconego wzmacnia się trochę wraz z piękną pogodą, czy mu na wieś wyjechać każą? czy pozwoliliby? —

A do Tomaszowa kiedy się te panie wybierają? Co stamtąd za wieści?



## LIX

16 maja 1866, Pszczonów

Masz klapsa, dziewczyno! „Kiedy się pani nie podobam w gazeciarskiej roli”?... Co to za czczy frazes? Ty mi się we wszystkich rolach podobasz, nawet w takich, których nie lubię — np. w roli kaszłanej — zgorączkowanej — przemilczającej itp., a w innych, które lubię, to bym cię chciała widzieć we wszystkich od razu, i w gazeciarskiej, i w lirycznej, i w słuchającej, i w powiadającej — i tak we wszystkich, że kiedy mi jednej brakuje, to się o nią dopominam. Lecz jeśli cię moja wymagalność obraża... Niech *obraza* będzie za „nie podobam” — piękne za nadobne.

Jakkolwiek błąd twój, panno Wando, karygodnym mi się wydaje, przez wzgląd wszelako, że go odpokutujesz zapewne — że w gruncie duszy jesteś poczciwa i nieobludna kobieta — że to miesiąc maj teraz — że bzy kwitną i że w moim okienku aż ciemno prawie od zielonych wielkiej a kwitnącej jeszcze gruszy gałęzi — przebaczam ci wspañalomyślnie! Co więcej, Wando, podziwiałam moją szlachetność; tobie daję do rozdania solenizantkom majowym powinszowań moich. Prawda, że dla Zosi przyjdzie zbyt późno — a dla Julii trochę za wcześnie — lecz niedokładność ową zrównoważymy w ten sposób: Zosia da w siebie wmówić, że mój list jest siurpryzą, bo już go się przestała spodziewać — a Julia o swoim nic się nie dowie. W sam dzień jej święta dopiero postarasz się i umówisz, jeśli trzeba, z panem Ignacym, jako też z dziewczátkami, żebyś mogła słowa moje przynajmniej pod drugim numerem jej podać. Chciałam się pierwszego domagać tytułem oddalonej i smutniejszej, ale po sprawiedliwości, czuję, że muszę panu Ignacemu ustąpić. Niechże przynajmniej dziewczęta cię nie uprzedzą — dlatego już ja uprzedzam — i przez pocztę nie piszę — bo poczta przyszlaby, nie wybierając godziny. Może wtedy, kiedy by wszyscy się zgromadzili — lub przeszli kolejną — a Julia tak była zmęczona, że już by jej na wyróżnienie mego wspomnienia siły nie starczyło. *Bien merci*<sup>143</sup>.

Nie dość na tym: dasz przeczytać Kazi ten list i załączysz prośbę moją, aby ode mnie, wyraźnym na moją intencję pocałunkiem, Julię pocałowała. Posłałabym cię jeszcze z tym samym zleceniem do Andzi Sk[imborowiczowej], lecz wiem, że nie pójdziesz, dlatego sama napiszę. Chcę, żeby każda z moich bliskich w tym dniu wspomniała sobie i coś powiedziała o mnie. Chcę, żebyście mnie miały ze sobą. Gdybym lepszą była, to bym się tak nie naprzykrzała. Dość by mi było was wszystkie wziąć ze sobą i powędrować za dziewięć światów do dziesiątego nieba — ale niechże by mi, jako w tej chwili, pani Kicińska pod bokiem zaczęła rozmawiać! Co za factońskie rozbicie! Czy przypominasz sobie w Olszowej panią Kicińską? Czy znasz jej życia historię, jej osobistości psychologię? No, może nie znasz. Niech ci pamięć lekką bez niej będzie, niech ucho na wieki spokojne!

Bardzo mię cieszy, że się dopytujecie o okazje do Pszczonowa. Dziś jedna odchodziła, ale tak prędko i tak się do powrotu spiesząca, że jej na Miodogórze drogi nie wykreśliłam. Za dni kilka będzie inna, wygodniejsza, bo Paulinka ma zamiar z dziećmi Warszawę nawiedzić. Odda ci książki i co zechcesz przysłać w zamianę, weźmie.

Spodziewam się, że mi przysłesz najwierniejszy opis swoich Zielonych świątek i św. Julii — najwierniejszy! Hiperboliczne wyrażenie, raczej „jedyny”, bo nikt inny ani wierneho, ani niewierneho mi nie przysła. Starsze chronologiczną datą stosunki zupełnie pióra opuściły, Julia pisać nie może, zostałam mi sama tylko, Wando moja, sama odgadująca prawie... prawie wszystko, co chcę wiedzieć i co mi wiedzieć najwięcej potrzeba.

Ale czy zgadniesz, dlaczego też ja się dopytuję o przyjeździe pani Mark[iewiczowej] do Tomaszowa??? Pocałujże Marynię.

## LX

Staraj się, Wandeczko, tą samą okazją, która ci książki przyniesie, przysłać mi nowy zapas. *Uncle Ralph* z wdzięcznością będzie przyjęty. Bodajby ciebie, dziewczyno! — czemu ty powieści nie pisujesz? Namówiłabym cię na tyle przedmiotów! Że teraz rano się budzę, to mam obfitość pomysłów, ale pamiętam tylko do obiadu. Gdybyś była przy mnie,

<sup>143</sup>*bien merci* (fr.) — pięknie dziękuję. [przypis edytorski]

opisałabym ci, ty byś swoje dodała i utrwaliła na papierze. Dla mnie jest to rzecz niepodobna; chciałam notować, lecz nim zdążę treść tytułową zebrać, już mi wszystko mgłą się rozwiewa. Pytałam Stasia, czy nie ma lekarstwa jakiego na zapominanie; powiedział mi, że żelazo jest bardzo skuteczne. Gdybym była pierwej wiedziała.

Żelazo — już to my obie niewiele mamy we krwi żelaza, a tym samym i stalowego hartu.

## LXI

1 czerwca 1866, Pszczonów, piątek

Chcesz, żebym pisała? Co? Ma się rozumieć, rzeczy dobre, piękne, użyteczne — tego programu łatwo mi się domyślić. Czy prozą, czy wierszem, czy w fantazyjnej, czy w dydaktycznej formie — wszystko ci jedno. Zarówno przyjmiesz ode mnie powiastkę i rozprawę filozoficzną, kilka strofek lirycznych i wstępne wiadomości z nauk przyrodzonych — opracowany jaki mój własny projekt i skrytykowaną cudzą próbę. Wszystko przyjmiesz z dobrą wiarą, bo w moją dobrą wiarę wierzyć nie przestałaś. Masz słuszność — dobra wiara została mi jeszcze, po stracie wielu innych kosztownych własności; dlatego nie pytam, co pisać, o czym i jak pisać? — tylko wprost ci wypowiadam smutną bardzo, ale niezaprzeczoną prawdę; nie mam z czego pisać.

Mnóstwo jest dzisiaj osób, które piszą wprost z dykcjonarza. Mają taką łatwość i wprawę, że choćby na los szczęścia wyciągnęły jakie bądź wyrazy, wnet z nich układają wcale gładkie okresy, tak podobne czasem do zdań pomyślanych, że rozpoznać trudno. Może ci się zdaje, że gardzę taką zdatnością? Większą słuszność miałby ten, który by mnie podejrzewał, że jej zazdroszczę jedynie. Tak, moja droga, zazdroszczę jej, nie bardzo, ale troszeczkę. Dawniej nie byłabym nigdy nawet zgodziła się na użycie podobnych sposobików pisania; teraz sama wyznaję, że przydałyby mi się w wielu okolicznościach, a nie zaszkodziłyby nikomu. Ani mnie, ani ciebie przecież nie skrzywdziła bynajmniej najniedorzeczniejsza powiastka panny Szmigielskiej, nie obraziły najdłuższe wiersze Pruszkowej — co więcej, przypominam sobie, że jej *Dwa Dwory* onego czasu dość mi się podobały, a sprawozdania Zosi Węgierskiej<sup>144</sup> dotychczas jeszcze z przyjemnością czytuję. Nie wzdragałam się pisać tak jak te panie i tak jak ci wszyscy w różnych „Kłosach” i „Bluszczach” Faleńscy, zwłaszcza za te same pieniądze. Ale cóż począć? Nie umiem, — próbowałam! Wmówiłam w siebie możliwość doskonałego anonimu, potrafiłam przekonać się, że najemniczy wyrób da się odciąć od przeszłości mojej i w niczym zarozumiałej Gabrielli nie skompromituje. Wszystkie wybiegi moje psychologiczne rozbiły się o jedno i toż samo: — nie umiem. Jeśli papież tak ma w sobie *non possumus*, jak ja szkaradne *nie umiem*, to go na pontyfikalnym fotelu w Watykanie zamordują lub głodem umorzą. Nie umiem pisać, o niczym nie umiem pisać — koniecznie muszę mieć z czego pisać. Z wrażenia — z ukochania — z potrzeby. Na wrażenia składają się, jako wiesz, różne zachwyty nad dziełami człowieka i natury, ptaszęce wesołości i młodzieńcze smutki. Ukochanie musi być prawdą kategorię, dobrze określoną, wyraźnie nazwaną — bez wykrzyknika i znaku zapytania, z poczciwą kropką, czyli punktem na końcu. Ukochanie, żeby nie zblakowało jak romans, musi być miłością ojca, matki, brata, siostry, kochanka, męża, syna, córki — przyjaciela, przyjaciółki. Przestrzegam cię, że nie stopniuję tytułów według zacności, ale według porządku chronologicznego, jak się pierwiej czy później w ciągu życia objawiają. Przyjacielstwo na końcu położyłam — gdyż prawdziwym jest wtenczas dopiero, kiedy obok wszystkich innych uczuć rodzinnych istnieje. Często bardzo, gdzie brak jakiego stosunku, tam go przyjaźnią zastępujemy — lecz taka przyjaźń zwykle zawodna, a w najlepszym razie nietrwała. Oprócz wewnętrznych usposobień na rozerwanie jej mogą wpłynąć tysiączne zewnętrzne wypadki: oddalenie, interesa, obowiązki postronne itp., itp.

Przed kilkoma laty byłabym też, jako zbiornik wszelkich ukochań i miłości, — miłość

Miłość, Przyjaźń

Miłość, Patriot

<sup>144</sup>Zosia Węgierska — Zofia (Mielecka) Węgierska, z domu Kamińska, córka pułkownika, przyjaciółka Narcyzy, po głośnym rozwodzie opuściła kraj, osiadła w Paryżu, gdzie pisywała do pism francuskich i polskich z niepospolitym talentem. Odmalowana jest jako Augusta we wstępie do *Poganki*. [przypis redakcyjny]

ojczyzny wymieniła; teraz nie pozwolę sobie tej nieostrożności. Największym niebezpieczeństwem dla kraju są wszyscy kochankowie ojczyzny.

Ojczyzna jest potrzebą człowieka — zdaje mi się, że stokroć lepiej wyjdziemy na tym, gdy ojczyznę pod tym skromniejszym względem uważać zaczniemy, tylko chlebem, powietrzem, napojem — domem, bezpieczeństwem, oświatą, miejscem pracy, możliwością nagrody, prawem, sprawiedliwością — Siłą — Dobrobytem — Godnością naszą wśród obcych — tylko tym niech będzie Ojczyzna. Kłaniam uniżenie wszelkim Beatryczom i pięknym paniom, które wśród mgły przedświt lub po rosie wieczornej snują się nad przepaściami, a ciągle w studenckie uszy poszeptują, wołając: Cezara! — Cezara! Strulałam się ich romansami — trzy razy mogłabym się odrodzić, a jeszcze nie przysłałbym do zdrowia!

Dawniej pisałam z potrzeby — dawniej pisałam najpierw z owej potrzeby, co się zwała miłością ojczyzny; potem z potrzeby wypowiedzenia głębokiego przekonania, potem z potrzeb okolicznościowych — żeby dać znać o sobie dalekim ludziom, z którymi nigdy spotkać się nie mogłam, choć wierzyłam, że istnieją. „Hej! jest tam kto, co myśli o Polsce? Pragnie wolności, równości, braterstwa? Chce na Królestwo Boże w tym świecie pracować, aby przyszło? Jest tam kto? — i ja tu jestem”. A później, gdy się zdawało, że towarzysze znalezieni — trzeba było jawnie stanąć po ich stronie — jednym bez ogródki powiedzieć: „ja nie z wami” — drugim: „czy wy ze mną?”... A jeszcze później zapragnęło się gorąco dowiedzieć jakiegoś spornego punktu — zwrócić czyjąś uwagę na godne wszechstronniejszego rozpatrzenia wątpliwości — wyciągnąć kogoś na słówko sądu — rzucić czasem w powieściowej paraboli przestrozę. Pełno takich potrzeb się znajdowało; nawet nie wszystkim mogłam zadość uczynić, bo mię wiecznie krępował zbieg fatalnych okoliczności — miejsca i czasu. Wszędzie hałas mię gonił, a cichość zawsze koniecznym była pisania warunkiem, lecz to znów inna kwestia. Gdyby najważniejszą była, powiedziałabym ci: „nie mam gdzie pisać”. — A ja ciągle powtarzam: nie mam z czego pisać. — Wrażenia moje były zawsze nadzwyczaj ubogie. Mam *niewrażliwą* naturę i miałam bardzo *niewrażliwe* życie. Dowodem niewrażliwej natury tępość zmysłów — słuchu, wzroku, węchu, dotykania. W muzyce nie poznam się na sfalszowanej nucie — nie słyszę, chociaż umiem słuchać. Obejmuję całość sztuki — odróżniam sposób wykonania — im więcej sobie przyswoję jakiś ustęp, tym bardziej się w nim rozlubowuję — pojmuję go dokładniej może niż artyści, a w pewnych chwilach czuję głębiej niezawodnie niż wykonawcy — lecz to następuje dopiero po przebicciu jakiejś grubej, na nerwach osiadłej skorupy. Dawniej miałam to, co zowią „dobre ucho” na akcent mowy ludzkiej; dzisiaj i ten gatunek słuchu twardnieje. Wzrok równie niedokładny; dość mocny, ale krótki; stąd więcej niż o połowę zatracone dla mnie wszelkie piękności nieba i ziemi. Trzeba mi było przez lupę na gwiazdy spojrzeć, żeby się domyślić, ile nieskończoności w nieskończonościach nie dojrzałam. Żadnego pejzażu w szczegółach nie rozpoznam. Linie i kolory zewsząd mi się rozplywają w jakąś mętną, zamazaną perspektywę. Nie mam też miary ani celności w oku. Na obrazie zasługa rysunku jest prawie straconą dla mnie — ocenę układ — pomysł — dam się najfatalniej wszystkim skurcom[?] oszukać. W teatrze bez lornetki obejść się nie mogę, a że na świecie, który jest także teatrem, w ręku jej bezprześcannie trzymać nie mogę, więc i gra twarzy ludzkiej jest dla mnie jakoby nie była. Muszę z bliska się przypatrzeć, żeby znaczenie fizjonomii rozumieć. Czasem rozumiem tak głęboko, że widzę, co pod skórą i kośćmi w piersiach, a co pod czaszką w mózgu najtajniej się kryje; rzadkie są wszelako chwile mego jasnowidztwa — miopizm<sup>145</sup> rozwinął we mnie pewne lenistwo do spostrzeżeń. Bardzo tego żałuję, bo spostrzeżenia, *c'est mon fort*<sup>146</sup>. Mogłyby stanowić najobfitszy podkład autorskiego talentu, gdybym ich, na nieszczęście, tak skąpo nie zbierała. Lecz ja z góry już wiedząc, że nie zobaczę, mało patrzę; i tak się przyzwyczaiłam nie patrzeć, że częstokroć zupełnie ślepa jestem. Wszyscy koło mnie poznają się na wielu drobiazgach i symptomatach pierwej, nim ja się dowiem; lecz gdy się dowiem albo gdy już chcę się dowiedzieć, albo gdy mi przypadek coś pod oczy podsunie, wtedy straszliwej nieomylności dochodzę. Bywały chwile, w których „modliłam się”, żeby zapomnieć przelotnego spojrzenia, nie myśleć o pewnym wyrazie oblicza, móc w siebie

<sup>145</sup>miopizm właśc. *miopia* (med.) — krótkowzroczność. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*c'est mon fort* (fr.) — to moja siła. [przypis edytorski]

wmówić, że usta inaczej się zakrzywiły w uśmiechu. No, mniejsza o to; dar spostrzegania tego, co bliskie, co może boleć, a niespostrzegania tego, co dalsze i co by mogło tylko zaciekawiać, bawić lub uczyć. — Sama widzisz, że to jakoby umyślnie wyszukane dla mnie, by mi autorstwo utrudnić.

Brak dobrego słuchu, brak dobrego wzroku, powinnaś jeszcze brakiem wykształcenia innych zmysłów uzupełnić. Dotykanie tak grube, że aż palce niezręczne. Kiedy się uczyłam muzyki, to mi się ciągle z klawiszy osuwały. Żadna wprawa na nic się nie zdała; po godzinach całych te same takty powtarzałam i ciągle z omyłkami coraz to nowymi. Ani jednej sztuczki najlichszej przez czas dziesięcioletnich lekcji, czysto i bez błędu nie zagrałam — a to już nie z winy słuchu, lecz wprost z mechanicznego niedołęstwa. Ryśunki, pomimo szerszej usilności z mej strony, jeszcze gorzej mi poszły. Dziś, choćby dla zabawki, nic dzieciom wyrysować nie umiem.

Przekonałam się w tej chwili, że zmysł czucia, czyli dotykania, jest u mnie tylko pod jednym względem wysoce udelikatniony — a to jest pod względem bólu. Ugryzł mię jakiś mały z długim żądłem robaczek — jeszcze jemu podobnego w życiu moim po dzień dzisiejszy nie widziałam — a tak mię zabolalo, że ledwo nie krzyknęłam. Istotnie, na ból jestem bardzo wrażliwa. Bólu nie lubię — przed bólem czuję się trochę nikczemna. Często wyobrażam sobie, że gdyby mię na tortury wzięto, pewnie bym wrzeszczała bez żadnej godności; a jednak był czas, kiedy miałam o sobie lepszą opinię. W dzieciństwie nawet odznaczałam się rzadką wytrzymałością: skaleczenia, rozbicia, wszelkie pijawki i wizykatorie<sup>147</sup>, które są ogólnym drobnych a rozpieszczonych liliputów postrachem, dla mnie miały pewien urok zaciekawiający. Umyślnie drapałam rękę szpilką, żeby się przekonać, co to będzie, jak żyłę przedrapię; umyślnie sobie przystawiłam wizykatorie na palcu, żeby wiedzieć, dlaczego inni na nie wyrzekają. Mogłabym pełno takich pensjonarskich heroizmów przytoczyć. Niestety, wszystkie mię z biegiem życia opuściły. Nie wiem, czy zmiana moralnych przekonań, czy po prostu organiczna zmiana ten wpływ wywarła, lecz wiem, że póki kochałam się w Karolu XII-tym i póki roiłam sobie, że kiedyś jak Kłorynda z *Jerozolimy wyzwolonej* w szeregach wojennych wystąpię, póty hartowną byłam na głód, zimno, chorobę — nie lękałam się bólu. Jak sobie rozkwieciłam tę prawdę, że Karol, mój ideał, był po prostu wariatem, który żadnego śladu po sobie w cywilizacji ludów nie zostawił, i że więcej dobrego na świecie może zrobić szczęście niż cierpienie, bo zdolniejszym, energiczniejszym, chętniejszym, serdeczniej kochającym jest szczęśliwy niż cierpiący; jak sobie to powiedziałam i przez różne osobiste doświadczenia poparłam, zaczawszy od bólu zębów, skończywszy na znikczemieniu ukochanych z jednej, a zaczawszy od szalonego walca, skończywszy na najśloneczniejszym zachwyceniu serca i rozumu z drugiej strony, — jak więc to sobie powiedziałam, tak mię obrzydzenie na ból zdjęło i zdaje mi się, że wielkiego nie potrafiłabym już ze stoicyzmem przetrzymać. Zresztą nie wiem; próby dotąd nie odbyłam. Chciej tylko zauważyć i ten drobny szczegół na niekorzyść piśmiennego zawodu. Wrażliwość natury, przeważnie rozwinięta w czucie bólu, najpospolitszego właśnie zjawiska — a tępa opieszala, niezdarna do pochwycenia przyjemności w jej delikatnych, lecz tym samym najwzdzięczniejszych odcieniach. Fatalny ustrój fizjologiczny...

Wychowanie mogło wiele niedokładności takiej natury sprostować. Cóż u licha! Nie uwzięłam się, moja droga, na to, żeby same wady moje tylko rozpowiadać i analizować. Jest też nieco dobrego we mnie, a przede wszystkim to najlepsze, że ja sama lepszą być mogłam. Rola pusta, lecz grunt żyzny; wartość osobista bardzo mała, lecz zdolność kształcenia się dostateczna — *une individualité perfectible*<sup>148</sup>. W prawdziwej cywilizacji największa liczba składać się będzie z gatunku osobistości już poprawnych (*perfectionnés*); ale na dzisiejszą przejściową epokę, byłoby za co Panu Bogu dziękować, gdyby gorą stanęły przynajmniej gatunki zdolne poprawy. Wielkim dla mnie zaszczytem, że się do takich zdolnych liczyć mogę. Pamiętam w sobie zmianę niektórych złych skłonności — pamiętam cały rozwój niektórych władz dodatkowych. Są inne dusze zakute, dla wszelkiej edukacji nieprzystępne; ja się dawałam kształcić — zwyczaj, zdarzenia, słowa pewnych

<sup>147</sup>wizykatoria — plaster sporządzony z kantarydyny (substancji chemicznej wydzielanej przez niektóre chrząszcze, m.in. „hiszpańską muchę”), wywołujący pęcherze na skórze, a także przekrwienie w wyniku podrażnienia; daw. środek leczniczy. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*une individualité perfectible* (fr.) — osobowość zdolna do doskonalenia się. [przypis edytorski]

Cierpienie

Cierpienie, Szczęście,  
Odwaga, Czyn, Przemiana

osób, wpływały na wywołanie zupełnie nowych kombinacji w całym moim — niech się Śniadecki nie gniewa, muszę powiedzieć — „jestestwie” — żeby już duszy z ciałem nie rozłączać i doskonali ich współdziałanie w tym zjawisku oznaczyć. Na nieszczęście, zwyczajów, zdarzeń i słów nie miałam tyle, ile mi było potrzeba. Nie miałam nigdy wówczas, kiedy mi było potrzeba, to jest kiedy najłatwiej przyswoić sobie i w pożytek dla drugich obrócić mogłam.

Jestem pewna, że gdybym od dwudziestego roku mego życia miała sposobność wsłuchiwać się w równie piękną muzykę, w prawdziwie piękne śpiewy, to by mi się słuch był wyrobił.

## LXII

[Pszczonów] 16 czerwca 1866

Pewnie się na mnie za moje długie milczenie rozżalaś? Wszak prawda, Wando? A ja właśnie zaczęłam taki długi list pisać do ciebie — taki długi, długi, że chyba za długim byłby — jak życie. Ma się rozumieć, nie skończyłam; bo już to moja dola, że ani życia, ani tego, co pisać zaczynam nigdy według mojej woli i mego upodobania skończyć nie mogę.

Na dowód jedynie przesyłam pierwszy arkusz. Wywołało go wrażenie twego przedostatniego listu, na tle Szujskiego odezwy wybijające. Że Szujski Gabriellę do współpracownictwa literackiego zaprasza, jest to smutna rzecz bardzo, ale usprawiedliwiona perspektywą oddalenia — i brakiem osobistej znajomości. Lecz że Wanda, ta moja, co mi się darowała Wanda, raz po raz, przy byle jakiej sposobności, dopomina się, bym autorskie pióro znów w kałamarzu umoczyła, to już mię trochę zniecierpliwilo, żeby nie rzec zabolalo z jej strony. Ot, myślę sobie — przez lat dziesięć blisko przypatrywała się tworzeniu mojej biografii, przez lat pięć co najmniej przypatrywała się rozkładowi wewnętrznemu zdolności moich, a niezawodnie już ze trzy lata w serce mi patrzy i wie, co tam jest. Nic to jednak u niej nie znaczy; zachciało jej się, żebym pisała, i niech co chcę mówię, to już sobie tego z głowy wybić nie może — zawsze jej na dnie serca jakiś zarzut leży, bo jest przekonana, że ja nie piszę dlatego, bo nie chcę, że zrobiłam wotum, słowo sobie dałam, aby nie pisać — *c'est un parti pris de ma part*<sup>149</sup>. Otóż, kiedy Wanda jest taka chciwa na moje pisanie, więc może lepiej zrozumieć, gdy jej piśmiennie wyluszcze wszystkie składowe części mojej nieudolności autorskiej. Tak sobie pomyślałam i wzięłam się do wykonania. Nim skończyłam drugi arkusz, już się wszystkie okoliczności po dawnemu złożyły, żebym nawet dłuższych listów nie ważyła się przedsiębrać. Ponieważ zaś miałam ochotę ten dla ciebie do ostatniej litery dociągnąć, było mi bardzo markotno. Żywce stanęło mi w pamięci, ile to razy niegdyś wszystkie niecierpliwości mię porywały. Nie — nie, moja Wando, gdyby ci danym było wiedzieć, to byś dla spokojności duszy mojej nigdy nie pragnęła nawet — ba, lękałabyś się, żeby mi ochota do pisania nie przyszła.

Ha, jakiej zarobkowej, mechanicznej pracy, w każdej chwili gotowa jestem się podjąć. Na nieszczęście, takiej właśnie los mi nie dostarcza!

Bardzo tu pięknie na wsi — i widzę przez spolaryzowane światło wspomnień, że pięknie i u was także w Wierzbnie, i tam koło tej ławki, na której siedziałyśmy wtedy. Czy chciałabyś przeszłość zawrócić i mieć drugi raz choć jedną „taką samą” chwilkę, jak już miałaś? Otóż ja nie mam żadnej. Nie dlatego, bym całą piersią, całą siłą pewnych chwil nie przeżyła, ale dlatego, że wiem dzisiaj, jakie to były mizeractwa; każda się wytłumaczyła — omyłką lub nie wytłumaczyła śmiercią. Bodajby mi sądzonym nie było tobie, Wando, materiału na podobne wspomnienie dostarczyć. Jeśli kiedy w obliczeniu sum ogólnych przyjdzie ci minus pod moją rubrykę oznaczyć, pamiętaj, żem cię dzisiaj za to przeprosiła. Nie, nie da usprawiedliwić się, że zawód był mimowolnie spowodowanym. Ja nie usprawiedliwiam kilku moich zawodów, choć na niewinnych złej intencji duszach, ale bo mię też tak z góry nie przeproszano.

Wiem, że E. Kap[liński] swoją gromadkę rodzinną na wieś wyprawił — czy sam nie będzie miał wakacyj, i w jakich stronach? Dlaczego się spodziewałaś listu do Seweryna?

<sup>149</sup> *c'est un parti pris de ma part* (fr.) — to powzięte z góry założenie z mojej strony. [przypis edytorski]

Mówiłże co o tym? Wszakże jego własny był tylko odpowiedzią — a na tę odpowiedź ja tylko mogę serdecznie rękę jego uścisnąć i powiedzieć: „żałuję”.

Szkoda, moja Wando, że wtenczas, gdyśmy amerykańki próbowały i już byliśmy na właściwej drodze, do samego Tomaszowa cię nie porwałam. Fatalne są czasem te troskliwości rodzinne! tak kłępują fantazję.

Ucałuj siostry — pozdrów Ojca i przyjaznych moich.

Czy bywają dość często wiadomości od Edzia? jak tam ze zdrowiem u państwa Edwardostwa? Czy Zosia pojedzie do wód? Książki panu Zygmuntowi odsyłam — ale chyba Wandeczka zostawi je u pani Julii.

## LXIII

[Pszczonów] Wigilia św. Jana 1866

Wando moja, która się urodziłaś na imieniny swemu ojcu — pewnie dzisiejszej nocy nie pójdziesz do zielonej królikarni szukać listka kwitnącej paproci — ale przynajmniej o północy sama siądziesz choć przed oknem, choć w oknie i pomyślisz sobie — nie o tym, co było lub będzie — lecz o tym, czego nie ma — to może najpiękniejsze! W każdą rocznicę dzisiejszą moje myśli zawracają ku cudownościom, niepodobieństwom i mistycyzmom, bo z młodu pić je o tej porze przywykłam. Najpierwej był to dzień imienin i mego ojca także, i mego brata. Później był to dzień ich wspomnień najżywszych; później kilka innych przyłączyło się do niego pamiątek, wycieczki zagraniczne, z pewnym niebezpieczeństwem przebywane lasy i pola piechotą<sup>150</sup>. A na koniec wróżby ludowe! Wiesz przecież, że sama nieraz bawiłam się wrózeniem w wigilię nowego roku na przykład, lecz pierwszej jeszcze w wigilię św. Jana o północy, to była dla mnie najmilsza godzina. Wtenczas brałam na uwagę, w jakich okolicznościach, na jakiej myśli, w jakim towarzystwie uderzenie zegaru mnie lub kogo zastawało — i starałam się wierzyć we własne przepowiednie — warunek nieodbity: „wierzyć”. Sny się sprawdzają tym, co we sny wierzą. Muszę jednak wyznać przed tobą, Wando, że nigdy spontanicznie, pierworzutnie, warunku tego dopełnić nie mogłam — zawsze potrzebowałam, musiałam wiedzieć w sobie, że przyzwałam. Podobny gatunek osobistości wybornie się podaje na badacza prawdy i natury — czemu się mnie dostał? Rozwinięcie tej kwestii długimi arkuszami mogłoby uzupełnić ten pierwszy, co ci już do tej godziny przesłanym został bez wątpienia. Książniczka moja Wanda w Wisłę nie skoczy przynajmniej z powodu niepiśmienności mojej. Kiedy mi się zdarza zapaść w dłuższe niż zwykle milczenie, powinnaś z góry wiedzieć, że albo wtedy najdłuższy właśnie list do ciebie układam (choć nie zawsze na papierze), albo zupełnie pisać nie mogę, bo mi jest tak pusto, jak po skończeniu świata. N.B.: czy koniec świata nie bliski już? Spytajcie kogo z pobożniejszych i lepiej znających politykę najwyższego niebieskiego gabinetu. Szkoda, że Guizota nie masz pod bokiem; on zawsze wie, jakie są Pana Boga intencje — czego Pan Bóg chce, a czego nie chce. Kiedy czytałam jego pamiętniki, to mi się zdawało, że był w ministerium pod prezydencją Ducha Św., a może sam mu prezydował. W braku wszelako tej dobrze zawiadomionej osoby, może przez panią Eleonorę lub kogoś podobnego wywiesz się, jakich to czasów znaki, że Niemcy przeciw Niemcom dla przyjemności pana Bismarcka się biją. A najlepiej, Wando, odwołaj się do któregoś z towianistów; bo mnie, ziemskiej istocie, koniecznie się zdaje, że to wspólnie przez monarchów ułożony interes, aby odwrócić zbyt ciekawe wdzieranie się sejmów i ludów w sprawy budżetowe.

Powinna bym się śmiać i aż za boki trzymać, że po trzydziestu latach pokoju, nauki, pracy, takie rozropne Niemcy między sobą potrzebnych zmian niemieckiej wewnętrznej polityki zaprowadzić nie potrafiły, tylko się dały w pole wyprowadzić. Wszak to bardzo zabawnie wygląda — a mnie jednak żal cywilizacji — wstyd głupstwa ludzkiego. Na pociechę muszę sobie koniecznie przypominać, że to może tylko sami Prusacy i sami Austriacy ginąć będą. We Włoszech, to inna rzecz — tam nie żałuję i nie wstydzę się, chyba tych dwóch czapek konfederatek, co je ilustracja w sztabie arcyksięcia Alberta wy-

Koniec świata

<sup>150</sup>z pewnym niebezpieczeństwem przebywane lasy i pola piechotą — kiedy jako emisariuszka przekradała się w r. 1846 do Galicji. [przypis redakcyjny]

malowała — tam wszystkim, co się traci, zawsze się coś zdobywa. Napisz mi, jak wkoło siebie słyszysz? List ten odbierzesz dopiero może we wtorek — szkoda — nie przeczujesz, że dzisiaj o tobie więcej myślę — ale jak się już dowiesz na pewne, to siostry uściskasz, ojcu złożysz moje życzenia.

Powiedz Edwardowi K[aplinskiemu], że przed tą samą burzą, która ich z Wierzbna do domu pędziła i myśmy tutaj z ogrodu uciekali i nasi goście niedzielni wyjechawszy nie uciekli. Zabierało się jednak na coś bardzo majestatycznego, a spłynęło pospolitym deszczem. Jedna tylko była raz burza z piorunem; przypatrywałam się jej w noc późną, póki nie ucichła, i pomyślałam sobie, że nawet burze skapcaniały, kiedyś<sup>151</sup> do tego przyszło w świecie, iż Niemcy najburzliwsze.

A tyś nie zgadła onego czasu moich znaków zapytania, więc powiem ci, że już wtedy zaczęłam myśleć, jaką drogą i jak się kiedy dostanę do Tomaszowa, kiedy tam ciocia Emilia z Manią przyjedzie. Chciałabym twoje oczy uprzedzić — a i Seweryna zastać jeszcze.

## LXIV

*[Pszczonów, sierpień 1866] środa*

Pewnie cię już doszły smutne z Pszczonowa wiadomości o chorobie Polci — ale że i od was równie smutne przychodzą doniesienia, więc chociaż kilka słów ci posyłam, Wando, żeby więcej i bliżej być z tobą.

Jak się zobaczysz z Julią, a choćby jeszcze prędzej z panem Ignacym, to ci wytłumacz, nawet, gdy zechcesz, geometrycznie i matematycznie objaśnią, dlaczego w tym czasie wszelką piśmienną przerwałam rozmowę; ty zaś najlepiej się domyślisz, dlaczego mimo tego bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję ciągle o wszystkich moich częste odbierać wiadomości. Nieszczęście jakieś krąży koło mnie w powietrzu — słyszę świst kuli, nie mogę tylko zgadnąć, z której strony mię uderzy. Ach! ten sierpień.

Gdyby nie choroby, mogłybyśmy z Julutą wiele ślicznych zamiarów do skutku doprowadzić. Okazała się łatwość przebycia dzielącej nas z Tomaszowem przestrzeni; ale teraz konie raz na raz po aptekach i lekarzach są rozsyłane — i, co więcej znaczy, usposobienie zupełnie wycieczkom niesprzyjające. Powiadają, że niebezpieczeństwo Polci grozi; my tu jednak przechodzimy ciężkie chwile zwątpienia. Bodajby samej tak zachorować, żeby już nigdy nie być przy chorych, to najokropniejszy trud — czy z daleka, czy z bliska. Toć wiesz o tym, ale może nie dość pamiętasz, że do moich trudów należysz — ulżyj mi o siebie i o swoich. Pozdrawiam wszystkie was tam, jak jesteście, i tych, którzy was przyjdą odwiedzić, a choć chwilę pociechy ze sobą przyniosą.

Ma się rozumieć Edwarda K. jeszcze osobno.

## LXV

*21 sierpnia 1866, Pszczonów*

Mogłabym ci w bardzo sarkastycznej formie powiedzieć, moja Wando, że przeszłych lat, a jeszcze bardziej zaprzeszyłych, częstsze daleko miewałam od ciebie listy, chociaż sama daleko rzadziej na nie odpisywałam. Lecz takie przedstawienie faktu byłoby prawdziwą niegodziwością. Owszem, ja najlepiej mogę zrozumieć, dlaczego trudniej ci pisać teraz, i właśnie że rozumiem, chciałam te kilka słów przesłać — jako dla ciebie usprawiedliwienie. Czym twoje życie od lat kilku, tym moje od ćwierć wieku; inne może formy, ale treść ta sama — boleść po boleści — pod boleścią boleść. Więc długo próbowałam na różne przykrawać ją formy: na zasługę mistyczną, na udoskonalenie, na powieści do druku; aż powyżej mózgu wezbrała i objawił się paraliż. Nie na moje zawołanie przecież — przyszedł sam z ciebie. Najtrwalsze, najupartsze to, co samo z siebie przychodzi. Mnie bardzo wiele na tym zależy, abyś niemoc moją dokładnie zrozumiała; wołałabym ją na innych objaśniać przykładach, lecz i przed twoim własnym nie ucieknę, gdy może do wzajemnego objaśnienia posłużyć. Mnie bardzo wiele na tym zależy, byś mię nie

<sup>151</sup>kiedyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

przeceniała w wymaganiach i nadziejach swoich — mnie bardzo wiele na tym zależy. To ci najpilniej powiedzieć chciałam, ale spodziewam się, że jeszcze nie wdroyłaś się tak jak ja w chorobę — więc mi doniesiesz choć słówko kronikarskie: co się z każdą z was dzieje — co z Tomaszowa słyhać? Oczy twoje całuję — czy wiesz, nad czym pomyślałam przez chwilę? Chciałam ci przymiotnikiem twoje oczy opowiedzieć — niby to miałam talent do przymiotników — a dla ciebie nie znalazłam — sunęło przez myśl kilka — nie wytrzymały krytyki. Diamentowe? Nie, jest w diamentcie twardość — księżycowe — nie — księżycowe majaczą — słoneczne za wesołe — fosforyczne za mdlawe. Ty masz jakieś oczy — które często widzę przed sobą z niektórych chwil szczególnie — z wieczoru lub raczej nocy olszowskiej — z poranku w Maniusi pokoju, a przede wszystkim z Wierzbna, gdy mię na progu zegnałaś. Doprawdy, nie o tym miałam pisać — tylko słówko uzalenia i zapytania — nawet papieru wzięłam na bilecik — tymczasem trzeba będzie koperty. O, moje dziecko, bo to tak zawsze bywa ze mną — trudno mi przyjść (brak sił, inicjatywy), ale jeszcze trudniej odejść, kiedy raz już przy sobie jesteśmy.

Czy p. Bolesława wróciła?

Jednak muszę czy prędzej, czy później zdefiniować twoje oczy.

## LXVI

28 sierpnia 1866, Pszczonów

Przecież tyle, że pogoda! Czy długo jeszcze w Wierzbnie zabawicie? Pani Zaleska<sup>152</sup> ze swoją córką i z siostrzenicą, czyli ze Stefką i Lucką, dzisiaj za kilka godzin nas opuszcza. Wszystkie dłuższe korespondencje odkładam na czas tęsknoty i cichości po ich wyjeździe, ale tymczasem namawiam moje podróźne, żeby najmojejszą Wandę, choćby w Wierzbnie odwiedziły. Wszystkie bardzo chętnie przyjmują projekt, ale Stefcia najenergiczniej i najpodobniej do zamiaru przyswaja go sobie. W jej więc ręce składam te słów kilka, bo powiada, że bardzo lubi z listem ode mnie do ciebie przychodzić. Niech tak będzie. Uściskam cię najpierw za to, że masz chwilę wytchnienia od nowych zmar-twień. I my weselej na świat patrzymy. Polcia zaczyna wstawać — siadywać w drugim pokoju. Raz nawet przed domem w ogrodzie dosyć długo siedziała, lecz ją to bardzo zmęczyło — na drugi raz więcej sił znajdzie, bo jednak zdrowie pomimo zmęczenia nic nie ucierpiało. Dziwną też wymyśliliśmy sobie rozrywkę, na oderwanie myśli od nieznośnego swędzenia skóry, która się cała prawie od stóp do oczu pokrzywkowym wyrzutem okryła. Zaczęliśmy się uczyć na pamięć różnych wierszy Słowackiego — o! istna gimnastyka — a jednak przyznam ci się, że prędzej i łatwiej podejmuje się na wodnistej mojej pamięci zapisać wiersze Juliusza niż choćby Pola — nie wspominając o „Harfach strzaskanych” i masie innych, co się zarówno od początku do końca, jak od końca do początku czytać dają. W Słowackiego każdym wierszu jest albo myśl, albo przynajmniej wyraz tak dobitny, tak „mnemoniczny”, że przy najlżejszym usiłowaniu bardzo łatwo go utrzymać — często jak te obrazy na wystawie — tak sterczy, że sam za mantylkę przytrzymuje. Nauczyliśmy się dotychczas *Grobu Agamemnona* i ustępu o Winkelrydzie — na pamiętkę Kazimiery. Chciałam zapędzić Stefkę do tej *zabawki*, lecz na jedno tylko posiedzenie dała się ułować, pomimo celującego stopnia. Ciekawam, jak by mi z tobą poszły kiedy podobne wyścigi. Czy spróbujemy? Muszę ci się przyznać, że w tym czasie spadło mi do przejrzenia wiele numerów „Tygodnika”, „Rodziny” nieboszczki, „Bluszczu”. W tym ostatnim wiele pocziwych rzeczy spotkałam, ale jedna powieść udatna, *Nauczycielka*, ciebie mi na myśl i na sumienie przywiodła. Jest rzeczą niewątpliwą, że tak samo — jest dla mnie pewną, że jeszcze daleko lepiej pisać byś potrafiła. Na nieszczęście, kiedy mi ostatni raz kilka ustępów z powieści swojej czytałaś, ja ci na to kilka uwag krytycznych zrobiłam i zaraz wszelka ochota cię odstąpiła. Ocenienie moje nie zachęta, nie rozjaśnieniem ci się stało, ale zniechęcenia powodem. Zła jestem na siebie, gdyż powinnam była przeczuć to w twojej naturze, moja Mimoso, a ja po sobie miarkowałam. Nigdy mi nie zaszkodziło w młodości, kiedy brat mój — a był bardzo dowcipny — różne wybiegłe gałązki pogiął lub poprzycinał — lecz ja w porównaniu z tobą krzak agrestu przy mi-

<sup>152</sup>pani Zaleska — Lilia Zalewska, siostra Narcyzy. [przypis redakcyjny]



mozie. Tobie przede wszystkim trzeba podpórek, żebyś się wzmogła na *dopełnienie* czego bądź; nie masz odwagi i siły przeciw usterkom i błędom własnym. Chciałabym ci dać przeczytać to, co Michelet napisał w przedmowie do nowego wydania swojej *Historii rzymskiej* — poszłoby ci na zdrowie. Ogromnie potrzebujesz wyrobić w sobie poczucie konieczności własnych wad i niedokładności stylowych; to jest druga połowa autorskiego talentu. Pierwszą stanowi potrzeba głoszenia jakiegoś przekonania, świadczenia o pewnych prawdach; i ta potrzeba głęboko tkwi w twoim usposobieniu — ale nie jesteś taką, jak ja nią byłam effrontką; nie śmiesz powiedzieć sobie: „Eh! co tam zresztą, niech idzie w świat ten potworek, byle się z nim razem ten klejnocik mój przedostał”. Najfatalniej więc zadziały moje spostrzeżenia, choć ja nimi nie potwórki żadne karciałam, tylko się o więcej jeszcze klejnocików upominałam. Ciągłe sobie wyrzucam, że gdyby nie moja nieostrożność, to by się w „Bluszczu” mogła rozwinąć piękniejsza daleko *Nauczycielka* — chociaż i ta, która jest, zajmuje mię bardzo. Miałabym wiele rzeczy do rozważenia z młodą — oh! niezawodnie młodą autorką — ale nie takam głupia! Już mię żadna szczerokość nie złapie, kiedy mojej szczerokości jedynym owocem — odstręczenie.

Jak wrócisz do Warszawy lub jeśli tam przejedziesz się kiedy, to mi musisz zaabonować na miesiąc same angielskie powieści. Podobno jest już taki abonament — czytałam ogłoszenie. Prócz tego wywiesz się, jakie wychodzą przeglądy naukowe czy w niemieckim, czy we francuskim języku. Znajdziesz to w katalogach bibliograficznych, a nawet upoważnię cię, jeśli katalog bajońskiej sumy rubla nie przechodzi, żebyś go dla mnie kupiła. Przysłano mi kopię listów Henryka W[ohla] — ale to dopiero z kwietnia. Tyle nowych niespokojności napłynęło — zamiast pogłosek nadziei.

Zegnam moją — moją Wandę. Pamiętaj, że przez ciebie mam się trzymać wszystkich najlepszych dla mnie w Warszawie i Tomaszewie i przez ciebie oni się mają trzymać mnie — powiedz to Edwardowi K[aplińskiemu] i napisz dalej, czy Zosia i Mania naprawdę już zdrowsze? Gdybyście wy wszystkie mogły wiedzieć, jak mi z wami zawsze dobrze jest!

## LXVII

[Pszczonów] 3 grudnia 1866, poniedziałek

Przed parą godzinami twój list mi oddano, moja Wando kochająca. Czytając go, dwa razy ogromnie się zaczerwieńłam. Najpierwej jak się spotkałam z zapytaniem państwa Choroszewskich. Istotnie, przypominam sobie, że im tylko powiedziałam, iż w Warszawie mieszkam u mojej dobrej i bliskiej znajomej pani Na[tansonowej] i że u niej zbierają się inni dobrzy znajomi na ostateczne pożegnanie; lecz coś wpadło w rozmowę i nie dość wytłumaczyłam, jakie to było skomplikowane położenie: wiedziałam tylko, że Matylda chciała, bym sobie zaprosiła wszystkich moich dla siebie — wszystkich! Jednych nie mogłam już — drudzy nie mogli — więc myślałam, żeby przynajmniej mieć takich z trzeciego stopnia — kochających — kochanych — przez najlepiej ukochanego. Czy rozumiesz genealogię? Z tym wszystkim, widać, że popełniłam grzech przeciw wszelkim przepisom i zwyczajom towarzyskim. Są ludzie, którzy by mię umieścili w najczarniejszej księdze swoich notatek; w tym nadzieja cała, że państwo oboje rozumni, szczęśliwi — i że ona ma taką piękną głowę, ale co się nawstydziłam, to się nawstydziłam za moją niedorzeczność! Pod tym wrażeniem idąc dalej, drugi mój rumieniec jeszcze przykrzejszy, jeszcze więcej upokarzający wystąpił na czoło, gdy czytałam „Ach! jakie pani jedna życie koło siebie roznieca” — i mówiliście o tym z Edwardem! i mnie to trzeba czytać w trzecim tygodniu po wyjeździe moim z Warszawy, przed napisaniem pierwszego listu!...

A toć, gdybym miała owo życie, którym was *chyba* oszukuję, to bym już do ciebie ze dwa arkusze od dawna napisała i do Henryka, i do Seweryna — a to pierwszy list mój! Nie, nawet nie list, to kartka — czcza kartka, w której ci i mówić nie zacznę o Tomaszowie lub o wszystkim, co myślę pod twoim adresem, gdy mi się myśleć zdarzy. Edward już ci przekazał swoją część plotek, a ja mam swoją znowu na później, lecz w nawiasie. Czy wspomniał, że i na siebie samą mam sąd sprawiedliwy, że zły mój wpływ na ciebie przyczyną?...

Odsyłam ci książki angielskie Zosi. Mam nadzieję, że pierwszy tom Emilii pani Matylda odesłała. Prócz tego dla pana Choroszewskiego załączam przyobiecane Thakerey'a, a panu Zygmuntowi odsyłam pożyczoną włoską broszurkę, bo jestem pewną, że ją da pani Chorosz[ewskiej] do czytania — i ukłon załączam. Ciekawa jestem, co mogło być w Tomaszowie o panu Zygm. powiedziane! Ten rodzaj nie nazywaj przynajmniej po mojemu plotką — to coś innego — plotka miełe słowa — a to myli słowa — mylno-słowie jakies. Szkoda, że Staś nie znalazł chwili, by ze mną, jeśli nie o wszystkim, to chociaż o punktach wątpliwych pomówić. Mógł to zrobić bez urzędowego kolorytu, jakby w dalszym ciągu poprzedniej wzmianki; ale może lepiej się stało. Gdzie wzajemnego „porozumienia” trzeba, — tam niczyje słowo nie jest dość wierne; na nieporozumienie byle gadanina wystarczy.

A nic mi nie piszesz, czy uściłaś się z mego poselstwa do Kazimierzy?

Jak będzie trochę cieplej, to dopiero list do ciebie napiszę. Wtedy już pewnie będę mogła ci odpowiedzieć na to, co masz się względem Milla pytać. Znam tę broszurkę i *pozwalam* ci rzucić tyle, ile chcesz, *drażliwych i niedrażliwych* kwestyj — a to nie tylko co do broszurki, lecz co do wszystkiego na świecie, zacząwszy od tego, czego nie wiem, skończywszy na tym, co ja sama tylko wiedzieć mogę.

Moja Wando, moja smutna, moja dziecina — gdybym umiała śpiewać, to bym zaśpiewała wszystkie twoje smutki — jak dżonglery indyjscy węże zaśpiewują. Ale nie umiem — i że nie umiem, to moja wina — i żeś smutną, to moja wina — i tylko że mię kochasz, to nie moja wina — wszak prawda? — nie moja wina — choć mój ratunek wielki. Będę u was w poniedziałek — tylko proszę mi gości ponazywać.

Mam nadzieję — to jest spodziewam się, bo już nie chcę pierwszego wyrażenia o nadziei używać — spodziewam się tedy, że Mania będzie rozmowniejszą i Zosi spać się nie zachce. Pocałujże Manię w usta, Zosię w oba oczy ode mnie od dziś za tydzień, a ja dzisiejszy wieczór niezawodnie spędzę z wami, bo wcześniej spać pójdę i prędko zasnę, i będziecie mi się śniły. Ojcu moje pozdrowienia — wszak wiernie oddajesz, co dla kogo przeznaczone?

Ufając w twoją poczciwość, prześlę ci książkę, którą ty nawzajem prześlesz do Tomaszowa Mani Markiewicz.

Mój Boże! biedna Zosia R. w same rano — świat jej cały zawiązano — mimowolnie snuje się piosnka Bohdana — *Młodo zaswatana*.

## LXVIII

[Warszawa] 12 grudnia 1866

Jeszcze nie piszę tego długiego listu, na który ciągle się zbieram — a nawet powiem ci, że z pewnym odcieniem dawnej przyjemności — jakby z owego czasu, kiedy lubiłam listy pisywać dla siebie, nie dla kupienia sobie.

Ale nie mam czasu! Witka w tej chwili odjeżdża, tylko małe polecenie: wypisz ze swoich dawnych kajetów, jak się dzieliły województwa Lubelskie i Podlaskie — mam wątpliwość pewną do rozstrzygnięcia — i zapytaj mię na koniec o tego Milla, jestem ciekawa. Och! jak ja was bym uściskała, gdybym mogła zadzwonić na pierwsze piętro.

## LXIX

[Pszczonów] 24 grudnia 1866, Wigilia — z rana

Układałam sobie, moja Wando jedyna, że zbiorę wszystkie listy twoje po moim wyjeździe z Warszawy pisane i na każdy z nich kolejną odpisywać zacząć według tego, jak mi przy pierwszym czytaniu przesuwają się myśli, uwagi, wrażenia. Ale te słowa, które wczoraj od ciebie mię doszły, bardzo na zmianę porządku wpłynęły — najpierw o nich muszę z tobą się rozprawić. Jeśli mi chcesz wznowienia najgorszych ustępów mojej przeszłości oszczędzić, to mię nigdy na niedopowiedzianym wyrazie nie zawieszaj i nigdy na manowce domysłów nie prowadź. Chociaż po „werterowskim”, jak mówisz, wstępnie twego listu (który jednak wcale werterowskim nie był — o ile sobie przypominam Wertera,

schwermeryzuje, kwili i rozpacza, ale zawsze bardzo stanowczo — mniejsza o to jednak), po wstępie twego listu wcale nie przypuściłam, że „przedśmiertne odbieram pożegnanie” albo że „kubek z cykutą” stoi na twoim biurku, lecz przypuściłam istotnie, że masz *nowy powód nieszczęścia* i to nie poza sobą, w zdarzeniach, lecz wewnątrz siebie, w niepokoju — a o co? to mój niepokój znowu — w wątpliwościach — a względem czego? to znowu moja wątpliwość — w skrupułach może, w twoich niczym niepoprawionych subtelnościach, w twoich ciągłych podsłuchiowaniach samej siebie — a jakich plotek? boć przecież dobrze wiesz o tym, Wandeczko moja, że i my sami sobie o samych sobie najniedorzeczniejsze czasem rozpowiadamy plotki — czy tylko wiesz o tym dobrze? Był czas, gdy ja nie wiedziałam i często mi się zdarzało cały pałac hałasem napęlić o jakie słówko, z którym się służąca w garderobie odezwała, które lokaj w przedpokoju sparodiował lub nawet tylko ktoś z przechodzących pod oknem wymówił. Nie bez tego, żeby i teraz jeszcze podobne nie zdarzały się pomyłki; ale już mam się na ostrożności i bardzo mi to różnych sprawdzań pomaga, że jestem na nie przygotowana. A jakkolwiek drukowane antropologie i fizjologię nie mają skutecznych pigulek, ani specyfików żadnych na pojedyncze wypadki, tym samym jednak, że to ogólne pojęcie głęboko w przekonaniu naszym rytują, wielką a wielką oddają nam przysługę. Dlatego ja tak bardzo do nich cię zapędzam. Wcale ci nie obiecuję, moja Wandeczko, moja dziecino, moja jaskółeczko-ptaszyno, wcale ci nie obiecuję, że jak przeczytasz choćby najnicomylniejszą antropologię i rozpatrzyć się choćby w najtreściwszej fizjologii, to się dowiesz o jakimś sekrecie magicznym, za pomocą którego potrafisz stworzyć w sobie nowe władze lub do miary ideału naciągać te, którymi cię natura obdarzyła, lub choćby dowolnie w każdej chwili dyktować sobie, co czuć, co myśleć — rozświecać, co się czuje i co się myśli. Tak świetnymi przyrzeczeniami nigdy cię nie oszukiwałam. Mówiłam tylko, że się przy jasności naukowych pewników lepiej zaczniesz rozumieć; a zrozumiawszy, cierpliwiej będziesz sama z sobą się obchodziła — bez *pozwów* i *wyroków*, bez trybunałów, po których się pieniasz ciągle, ty pieniaczko narowna, bez pańskich fumów i wymagań, w które ciągle popadasz, ty arystokratko wyrafinowana, bez upokorzeń i pokut i mortyfikacji, na które się skazujesz, ty grzesznico kapucyńska. Mogłabym ci to wszystko dokładniej faktami wytłumaczyć, ale twoje przemilczenia bardzo mi ich wybór utrudniają; dotknę tylko najneutralniejszego. Masz słabe zdrowie — w całym ucywilizowanym świecie, a zwłaszcza też w europejskim, a zwłaszcza też w polskim i warszawskim bardzo mało jest ludzi zdrowych; przeważa liczba słabowitych. Zaiste, higieną i medycyną koniecznie temu zapobiegać trzeba; zupełnie jednak pocieszający rezultat, to jest odwrotny stosunek, dopiero w znacznie późniejszych pokoleniach osiągnięty być może. To cóż dla dziś żyjących zostaje? — płacz i zgrzytanie zębów. Mamy więc ręce załamywać i dramatyczne wykrzykniki rzucać ku Panu Bogu (choć to dziwny nonsens czy z Panem Bogiem, czy z koniecznością się procesować), jak zacniemy lirycznie sprawę naszą przedstawiać — „ach! dlaczegoż się takim lub teraz urodziłem? Ach! co za życie okropne” i inne t.p.<sup>153</sup> frazesa — jak zacniemy deklamować — tak nie ma wyjścia chyba rzeczywiście przez Werterowską furtkę. To nas nie wyleczy. Zdrowiej i rozumniej będzie — nie, jak to mówią, przyjąć lub uznać fakt dokonany — bo się ani przyjmuje, ani uznaje kataru, bólu żołądka i wszelkich tego rodzaju przykrości — ale wiedzieć o fakcie, rozpoznać fakt na wszystkie strony trzeba — nieuchronnie. Kiedy pierwszy raz byłam w Paryżu, nadzwyczaj mię to bawiło, jak raz po raz słyszałam tą i ową Francuzkę w ciągu rozmowy, zwyczajnym głosem jak gdyby o chlebie z masłem, wspominającą, że się wczoraj rozniewała, a dziś z rana omyliła w rachunkach albo nie dopieklekła pieczeni, bo była nerwową — *j'étais nerveuse, je suis nerveuse* ten komentarz był tak upowszechniony, że każdej prawie wzmiance o tym, co się w danych okolicznościach czuło lub dopełniło, towarzyszył nieodstępnie. Nadużywano go, to prawda, lecz miał swoją bardzo gruntowną zasadę. Później na drugich i na sobie widziałam, jaką to zbawienną jest rzeczą, chociaż po zdarzeniu i po czynie, wiedzieć, że się miało rozdrażnione nerwy, że się ma ciągle wątrobiane usposobienie, napuchniętą śledzionę i że te wcale nie drobne szczegóły są w nierozzerwalnej jedności z najważniejszymi duszy ogólnikami. Gdybyś więc i ty, Wando, pamiętając o swojej opłucnej, o swoich gorączkach, — mówię bezprzenośnie, ze względu na pulsa — gdybyś, pamiętając, lepiej umiała pochwycić miarę ich wpływu

<sup>153</sup> i inne t.p. — i inne temu podobne. [przypis edytorski]

na serie całe twoich myśli — twoich spostrzeżeń i wniosków — a szczególnie, gdy ci się zdarzy w zimowym zamknięciu z parę razy krótkie dni czyich odwiedzin nocnymi godzinami dosztukowywać — może być niejednej wątpliwości rozwiązanie znalazła — i niejedną burzę jaskółka moja przeczekalaby odważniej — chociaż taka już jej natura, że w przedburzu musi się po powietrzu rozbijać! Nie chcę w dalsze i bliższe szczegóły po omacku zachodzić; przypomina mi się, jak rok temu właśnie zapędzałam cię do literackiej pracy nad greckim i egipskim znaczeniem inicjacji — a w porę się wybrałam! Ile razy sobie wspomnę, tyle razy na parawan bym się przylepiła! Więc o czym innym — o twoim tłumaczeniu — już widzę, że go nie zobaczę w rękopiśmie — szkoda — bo jestem trochę niespokojna — zawsze cię podług siebie sędzę i dlatego pewniejszą byłabym *stylu* w rzeczy oryginalnej niż tłumaczonej. Kto sam pisze, nigdy nie może zdać sobie sprawy ze *stylu*, a przynajmniej w pierwszej chwili nie może. Ja mam jeden na to sposób: odkładam na bok arkusze i dopiero wtedy biorę do odczytania, gdy zupełnie wszystkiego zapomnę. Wtedy sędzę jako rzecz nową i osądziłam już kilkakrotnie, że moje tłumaczenia wyglądają tak nienaturalnie jak wyżymana do prania bielizna, pokręcone, nakręcone, sztywne — wyrzekłam się tłumaczeń — a raczej wyrzec *musiałam*. Otóż nie wiem, czy ty, Wando, masz taką zdolność zapominania jak ja i czy krytyczną próbę równie bezpiecznie przeprowadzisz, pisząc z brulionu na czysto. Istotnie, byłabym spokojniejsza, gdybyśmy razem wszystko odczytać mogły. Nie dla doskonałości i udoskonalenia — nawet nie dla pożytku publiczności — boć mi o to nie chodzi — mam raczej pod tymi dwoma względami pewien arcy-wygodny i racjonalny systemacik — lecz dla ciebie jedynie — bo gdybyś się postronnie z jakim zarzutem spotkała, to znam ciebie, mimo to, żeś grzyb, i zaraz byś stąd pochop wzięła, aby ręce założyć i tysiącnymi włókienkami dosnuć się tej wynikłości ostatecznej, że nie masz usposobienia, zdolności, obowiązku pisania, że nie umiesz gramatyki i że pisać nie będziesz. Tymczasem jak co spadnie na pracę twoją przeze mnie uznaną, to cię nic nie zaboli, gdyż albo mnie więcej niż stu recenzentom uwierzysz, albo tak będziesz czuła moją krzywdę i moje poniżenie, że o sobie zapomnisz zupełnie. Więc, na wszelką ewentualność przepisując, przepisuj na całych arkuszach i zostawiaj po bokach bardzo szerokie marginesy, przynajmniej jedną trzecią białego papieru i nie pisz gęsto. Mnie się także nie podoba spolszczanie pisowni imion i nazwisk, śmiesznie to wygląda — ale co mi do tego; nie ja układam gramatykę i nic mi na tym nie zależy. Gdybym wierzyła, iż połowa dzieł przynajmniej doczeka się wieku *Iliady*, a choćby tylko *Eneidy*, nie mówiąc już o Biblii — Jobowych, Ezdraszowych księgach itp. — gdybym mogła przypuścić, iż ten lub ów świstek dzisiejszy przetrwa państwa, przeżyje ludy, to bym silnie protestowała, aby rodzajowi, który po nas planetę ziemską odziedziczy, nie utrudniać przyszłych historycznych badań i nie wyciągać ich na filologiczne szperania, dochodzenia, bo jakkolwiek jest to panu Choroszew[skiemu] bardzo przyjemną rzeczą — i wyobrażam sobie, jak by mu serce się rozplywało, gdyby odkrył jakąś nową kombinację rozświecającą całą drogę jednego wyrazu przez języki sanskrycki, koptski, malgaski itp., to jednak zdaje mi się rzeczą zupełnie sprawiedliwą, aby ów przysły rodzaj ziemski miał coś innego do myślenia i inne znów przedmioty radości, a czasu nie tracił na dochodzenia, że *Brum* jest to samo co *Brougham* — a *Uajt* to samo co *Wight*, a *Horocheſcequi* (*Haut rocher ce qui*<sup>154</sup>) to samo co Choroszew[ski] itp. — Jednakże, nie przypuszczając równie długiej wiekuistości, ani nazwisko osób, ani nawet tej, co ją zaczęłam pisać, geografii, z pokorą na głos większości się zgadzam — i raz jeszcze powtarzam — a mnie co do tego?

Miej ten sam stoicyzm, Wando.

Jeszcze co do ostatniego listu. Muszę ci pręcej powiedzieć, że twoje przecucie się nie spełni, bo ja do Tomaszowa nie pojedę, aż w lato, kiedy będzie można kwiaty zbierać i czółnem płynąć — i nie mieć kataru. *Tuteur et pupille*<sup>155</sup> czytałam; tylko bardzo się dziwię, że ty mnie o to pytasz. Była to właśnie książka, którą mnie Mania Mark[iewicz] pożyczyła i którą ja przez Miodową ulicę odesłać jej przyrzekłam. Czyżbyś o innej mówiła — a tamta zaliż by cię nie doszła? Jestem w ciemnościach — nic mi też nie wspominasz, czy odebrałaś I-ną angielską — I-ną włoską broszurkę — pierwsza o Jerzych Angielskich

<sup>154</sup>*Haut rocher ce qui* — żartobliwy zapis francuskimi wyrazami (*haut*: wysoki; *rocher*: skała, rafa; *ce qui*: ten, kto) fonetycznego brzmienia nazwiska „Choroszewski”. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*tuteur et pupille* (fr.) — nauczyciel i uczeń. [przypis edytorski]

dla p. Chorosz., druga o kobietach p. Zygmuntovi. Czy oddano ci? czy ty już oddałaś, czy p. Zygmunt pani Ludmile pożyczył? Jestem w chaosie.

Żeby tobie podobnych zawikłań oszczędzić, donoszę ci, że mnie tutaj oddano: *Studia — Ekonomistę — Uncle Ralph — After dark — drugi tom Cyrille*. Wszystko przeczyta się do Nowego Roku, a po Nowym Roku przez panią starszą Lewińską odeśle. Nie pytaj mię też nigdy, czy mi książek potrzeba? — zamęczasz tylko moje sumienie, bo w istocie mnie już żadnych książek nie potrzeba. Z żadnej nic dobrego nie przyswoję sobie, żadnej na prawdziwy użytek nie obrócę; a jednak chce mi się tej bibuły ciągle, ciągle — bez miary, bez wagi, nigdy dosyć, nigdy zanadto. Były chwile, że gdyby tylko książkę zamknąć i wyleczyć się z tego machinalnego ruchu, który rękę do otworzenia leżącej na stole prowadzi, to już bym nigdy była ręki po nic na świecie nie podniosła i pewnie lepiej na tym wyszła. Ale zdarza się czasem, że choroba życie przytrzymuje.

Ot, głupstwo, moja Wando, wywłóczyć takie szmaty podarte na Wigilię właśnie do stroju. Darowałabym sobie i ty musiałabyś odpuścić, gdybym istotnie wcale innych nie miała, ale właśnie, że mam jeszcze — mam przede wszystkim ciebie — moją małą, moją smutniutką — moją najbiedniejszą ze szczęśliwych. Bo to prawda, że jesteś bardzo biedna — i los się z tobą szarpie, i ciągle spod serca ci kogoś z ukochanych twoich wydziera, a ty sama w sobie jesteś słaba chorobą czyli raczej brakiem zdrowia — i tęsknotą, czyli raczej brakiem radości. Pomimo to jednak, taksuję cię jeszcze na taką wysoką wartość szczęścia, że gdybym dziś umarła, to na jutro podejmuję się przejąć wszystkie warunki twojej osobistości. Ty, co masz rozum chcący wiedzieć prawdę — serce mogące kochać — serce, które kocha już — bo *choćby* tylko mnie — dziewczyno, jak ty zdolną jesteś ukochać — i osobistość masz także zdolną do bycia kochaną — bo jakże ciebie kochano! kochają! Tymi słowami list wolę zakończyć, żeby mi żadna inna myśl ich wrażenia nie związała — tylko będzie to dalszym ciągiem, jeśli ode mnie ojcu świąt dobrych powinszujesz — siostry uściskasz i jeszcze drugi raz uściskasz — a dobrym znajomym pozdrowienie złożysz.

LXX

[Pszczonów 1866] 31 grudnia

Moja pani plenipotentko — nie mogłam prędzej odpisać, chyba istotnie telegrafem, do którego przy takiej zimnej porze umyślnego wysyłać mi się nie chciało. Wczoraj wieczorem dopiero przyszło twoje wezwanie, dzisiaj w południe odchodzi moje upoważnienie, żebyś dała, jaką zechcesz, fotografię dla pana Ambrożego<sup>156</sup>, już przez to samo, że z Krakowa rodem i współmieszczaninem Juluty mojej kochanej — i że tak długo żyje na świecie — a też gdyby mi kazano sonatę skomponować, to bym próbowała, jeśliby tylko chodziło o zrobienie „przyjemności” człowiekowi, który żył poczciwie a długo. Ty tego nie rozumiesz, Wando, lecz ja wiem najlepiej, co to znaczyć może.

W niedzielę wieczorem, „przy sygarze”, czytałam odebrany jak na dobranoc list Seweryna. Wczoraj z rana trochę się z jego broszurką certowałam — dwa miejsca aż zdrapnęłam na znak, lecz dalszego ciągu czekam i mam nadzieję, że nie piśmiennie o nim się rozmówimy.

Tylkoż nie myśl, że zaraz po Świątach na karnawał przyjadę. Jeszcze *niczego* nie skończyłam. Idzie tylko o to, że gdy się przekonam, iż o *wszystkim* zapomniałam, to już nie będzie przyczyny, bym w domu siedziała, tym bardziej kiedy Polcia życzyłaby sobie mego współudziału w wyborze nauczyciela dla Lutka i Kazia. Czy pan Seweryn w takiej ewentualności nie mógłby mi dopomóc? No jeszcze cię muszę uściskać, choć wołają, że obiad stygnie — dopełnij sobie konceptem, że przyjaźń nie zastyga.

To gorzej, że posłaniec może ziębnie.

Dziś ostatni dzień roku.

Czy pamiętasz?

N.B. Piętnaście zł składkowych musisz na mój rewers z własnych funduszów zapłacić, a ja odeślę lub przywiozę — czy tak?

<sup>156</sup>pan Ambroży — Ambroży Grabowski (1782–1868). [przypis redakcyjny]

# ROK 1867

LXXI

[Pszczonów] 15 stycznia 1867, wtorek

Przed wszystkim nie gorączkuj się, moja Wando. Chociażbym ci sto razy o zewnętrznych i wewnętrznych nawet przeszkodach moich do pisania wspomniała, pierwsze znacząco po prostu brak idealnej cichości. Rzeczywiście, takiej, która by tobie i wielu innym wystarczyła, mam pod dostatkiem; ale to jeszcze nie dosyć dla mnie. Kilka razy przecież tłumaczyłam ci ową dziwną przypadłość mego organizmu. Drugie zaś wewnętrzne nazywają się tylko brakiem usposobienia; — często bardzo i w cichości najgłębszej tak się czuję odurzona i zgłupiała, że nawet bym prostego listu o sprawunkach nie potrafiła napisać. Przyczyny tego jeszcze dotychczas rozwikłać nie umiałam: — czy jest fizyczną chorobliwością? czy następstwem moralnym zdarzeń, okoliczności? — nie wiem — prześlę ci o tym więcej szczegółowe studium, gdy się do naszej powieści<sup>157</sup> zabierzesz — bo już rzecz całą za skończoną uważam i *dzisiaj* przynajmniej pewną jestem, że ją w wykonanie wprowadzimy — o czym na innym miejscu znajdziesz — w papierach, które ci przygotowuję. Teraz co pilniejsze tylko z myśli zrzuć tą kartką. Nie chce mi się jakoś podobać, że się do Milla i jego logiki wzięłaś, a nie zaopatrzyłaś się jeszcze w dostateczny logicznego rozumowania materiał, w pewniki naukowe. Logika jest metodą ustawiania porządných szeregów i kategorii; otóż pierwej trzeba mieć co ustawiać. Masz ty wprawdzie wielki zasób — bogaty zasób, ale tylko z siebie samej, z pierwiastków składających twoją osobistość złożony. Masz dzieje swoich pojęć, sądów, wrażeń, przekonań; obok tego niemałą porcję literatury pięknej i historii do gotowego spożycia wydanej, lecz w tym wszystkim element rozumowania przeważa władnie, a na domiar zbytku cała natura twoja jest także wiecznie rozumująca i tym cierpisz właśnie, że bez ustanku przetwarzasz i kombinujesz, i składasz, i rozkładasz swoje majątności. Jak się w takim stanie duszy nad logiką pracować uweźmiesz, to będzie piętro nad piętrem, rozumowanie o rozumowaniu, a ja bym ci koniecznie murowanego fundamentu, pewników z liczb i faktów złożonych życzyła. Czemu się nie postarasz lepiej o *Astronomię popularną* Arago<sup>158</sup>, jeśli do fizjologii nie tęsknisz. Lecz to moja stara piosenka, a twoja dusza ma swoje młode prawa. Nie dla przestrogi też, raczej „dla wypowiedzenia się” zaczęłam od tego tematu. Wypowiedzenie się jest między nami obowiązkiem, wszak jest? Z tego, co mi Seweryn pisał o Chorosz... zgaduję, że od niego musiał być, jak się sama wyrażasz, na Milla skuszoną. Profesor, ze swego niedosłzłego księdzostwa, zachował podobno do wysokiego stopnia rozwinięte usposobienie misjonarskie. Nie myśl tylko, że mu z tego zarzut chcę zrobić: prędzej bym zazdrościć mogła. Duch propagandy zawsze jest duchem siły i młodości; tylko jest w nim pewien bezświadomy siebie despotyzm, przeciw któremu warto być ubezpieczoną. Misjonarze najczęściej nieuwzględnieniem grzeszą. Misjonarz wolności osobistej wie, że Mill jest bardzo dobrym do przeczytania autorem i ma niezachwiane przekonanie, że człowiekowi, a raczej ludzkości wolność najszersza jego cząstek składowych jest koniecznie potrzebna; tylko on *nie wie* jeszcze mojej Wandy i nie wie drugostronnie znowu, że w stopniowym wyrabianiu się rasy ludzkiej nawyknięcia są jeszcze przed wolnością potrzebniejsze. Czy przypominasz sobie jego nieocenioną, pocziwą, sumienną synkopę owego wieczoru, gdy mu nadmieniałam tylko, że się dzieci zarówno z moralnymi, jak

<sup>157</sup>(...) *gdy się do naszej powieści zabierzesz (...)* — z tych słów i z dalszego toku korespondencji wynika, że Narcyza zaproponowała Wandzie oryginalne współpracownictwo: posyła jej na wpol autobiograficzny szkic ze swego życia pod tytułem „Autobiografia zastanawiającej się nad sobą kobiety”, z tym, że Wanda ma tę kanwę zahaftować, a następnie przesłać Narcyzie swą pracę do ostatecznego wykończenia. Wanda posłusznie napisała w istocie tę powieść (znalazłem jej rękopis w papierach mojej matki), ale w trakcie pisania zwątpiła o swoich siłach i rzekła się tego zaszczytnego współpracownictwa. Narcyza wykonała swój plan sama, ale znacznie później (1876) i tylko częściowo, gdyż śmierć przerwała jej pracę. Utwór ten, ostatni, jaki wyszedł spod jej pióra, ukazał się w „Wiek” pod tytułem *Czy to powieść?* i znalazł się w pięciotomowym wydaniu jej dzieł (1885). [przypis redakcyjny]

<sup>158</sup>Arago — wielki uczone francuski (1786–1855). [przypis redakcyjny]

z umysłowymi skłonnościami rodzą? a stąd dalsze wnioski o pokoleniach i narodach się wysnuły? Bądź co bądź, należą mi się od ciebie twoje własne o Millu uwagi.

Dobrze zrobiłaś, Wando, żeś mi wypisała te kilka słów z listu Seweryna. Nie zachęcał mi do autorstwa, bo już klamka zapadła, ale bardzo mię zachęcał do prowadzenia z nim dalszej korespondencji. Na pierwszy raz byłam odważną, bo miałam szczegóły umyślnie dla niego uzbierane i wspólnie nas obchodzące; lecz teraz, nieznanym jemu światkiem otoczona, dłużej się z odpowiedzią marudziłam, bo mogłam tylko szczupłymi funduszami ogólnikowych lub moich własnych „rozumowań” dysponować. Kiedyś jednak powiada, że mu i takie „moje” na cokolwiek się zdadzą, więc znać, że nie wyłącznie to dobre, co dobre, ale i to, co komu dobrze służy. Dziwuję się trochę zadziwieniem Pana Choros[zewskiego] nie przez skromność z *Pamiętki po dobrej Matce*<sup>159</sup>, bo dosyć wierzę temu, że czasem ze słów moich coś użytecznego wyciśniesz ty i kilka jeszcze innych bliższych moich, lecz na to trzeba niektórych władz kobiecych. W stosunku z wszystkimi panami, choćby najżyczliwszymi przyjaciółmi, czułam się zawsze bardzo niepotrzebną. Gdyby kiedy było przeszło aż za linię demarkacyjną, to osądziłabym sama siebie, że nawet szkodliwą być mogę. Dałby się z tego cały rozdział do pewnej „Autobiografii” ułożyć. Lecz wracając do Seweryna, może w nim są właśnie owe kobiece — minorowe klawisze. Nie znam go dość osobiście na wysnucie stanowczych wniosków; jeśli tak nie jest, obraziłby się nawet, że jest o coś podobnego posądzony — choć, według mego gustu, mam ogromną sympatię dla kobiet z męskim umysłem i dla mężczyzn z kobiecym sercem — byle, ma się rozumieć, kobieta swoje kobiece serce zachowała, a mężczyzna ze swego męskiego umysłu nie abdykował.

Ze jestem bardzo domyślna, to mi przyznasz. Wando, kiedy ci powiem, że od razu zgadłam nazwisko pięknej pani w czarną aksamitną suknię ubranej<sup>160</sup>. Prawda, że pierwiej suknię już na fotografii widziałam i był nawet projekt, by ją kiedy umyślnie dla mnie włożono, i potem przy lampach i świecach Szumana w niej grano, jednak nie przyszło do tego, a ja zgadłam pierwiej, nim doczytałam nazwiska. Co za domyślność! No, nie śmieję się — większa niż twoja, bo ty widziałaś i przypatrywałaś się, a nie zgadłaś — ale jak nie zgadłaś! Wszakże mię raz pytałaś: „czy nie Aspazja<sup>161</sup>?”. Biedna piękna kobieta... nie mam prawa tłumaczyć różnicy — znów jednak projektuję osobny rozdział — tylko musisz mi przypomnieć, jak będziemy w samym środku dzieła. Napomknij mi półsłówkiem. Czemu ta świetna, czemu ta zalotna nie jest Aspazją jednak? może z innej wytłumaczysz sobie powieści — na dzisiaj powiem ci jedynie, że, redukując fantazyjność na miarę żywych osób, chodzących obutymi nogami po mineralnej ziemi, więcej *było* Aspazji w Lasi<sup>162</sup> niż w Matyldzie. Ręk nad tym nie załamuj, a w zastosowaniach nie przesadzaj.

Uściskaj ode mnie Marynię za jej projekt wyborny i energicznie wśród waszego przeważnie negacyjnego koncylium stawiony. Bodajbym dobrą radą choć w części do rzeczywistnienia przyczynić się mogła! Najpierw powinnyście się względem charakteru ogólnego publiczności waszej ubezpieczyć — czy będziecie miały widzów wybranych — czy nieuniknionych także z powodu różnych konwenansów i zobowiązań.

Ja bym życzyła tylko wybranych albo w najgorszym razie dwa razy więcej wybranych niż nieuniknionych. Dla tych ostatnich, przy najszcześniejszych okolicznościach, towarzyskie przedstawienia dramatyczne ograniczają się najbliższym celem — zabawą (w okolicznościach zwyczajnych zbaczą do popisu). Między wybranymi i dobranymi, prócz zabawy mają dalej sięgającą wartość, kształcą estetycznie, rozwijają artystyczne popędy, uszlachetniają domowy obyczaj.

Gdyby szło o zabawę tylko, poradziłabym jaką polską z dawniejszych komedyj np. *Powrót posła* przez Niemcewicza. Widzowie przy takich wystąpieniach nie domagają się zwykle rzeczy nieznanych i ciekawiających: komika i kostiumy — parę aktorów w śmiesznych choćby do karykatury rolach i dużo w oczy bijących ubiorów najlepsz

<sup>159</sup>*Pamiętka po dobrej Matce, czyli ostatnie jej rady dla córki* — [zbeletryzowany traktat moralno-pedagogiczny z 1819] Klementyny Tańskiej (Hoffmanowej). [przypis redakcyjny]

<sup>160</sup>*nazwisko pięknej pani w czarną aksamitną suknię ubranej* — Matylda Natansonowa. [przypis redakcyjny]

<sup>161</sup>*Aspazja* — bohaterka powieści Żmichowskiej *Poganka*. Współcześni podkładali pod Aspazję tę lub ową rzeczywistą osobę; wedle własnych wyznań autorki, najwięcej rysów dostarczyły do niej przede wszystkim Paulina Zbyszewska, a także Zofia Węgierska. [przypis redakcyjny]

<sup>162</sup>*Lasia* — Baranowska (siostra lekarza), potem Kudelska. [przypis redakcyjny]

efekt zapewnia. Że jednak sami między sobą pomyśleliście aż o Szekspirze, to widać, że wam mogę i coś poważniejszego na myśl nasunąć. Istotnie, Shakespeare jest niemożliwy; ale by można różne sceny z różnych autorów powybierać, nawet i z niego, zamiast całej długiej sztuki urządzić widowisko mieszane. Ze trzy sceny z *Barbary* Felińskiego — która się bardzo podaje do pięknej deklamacji i pięknych obrazów — a gdybyście znalazły ochotników do przedstawienia podziemnej sceny z *Kordiana* Juliuszowego — a gdyby w *Lilii Wenedzie* dla kobiety odpowiedniej wyszukać? — lub gdyby też z *Balladyny* Grabca kto przedstawił w całej świetności króla dzwonkowego, jak rozkazuje podatek od rosy i światła słonecznego wybierać? Co myślisz? może i grającym, i patrzącym by się podobało. Rozprojektowałam się aż do niepraktyczności — szczególnie z *Kordianem* — ale to was na ślad czegoś lepszego wprowadzić może.

Dają mi znać w tej chwili, że posłaniec na pocztę już czeka.

Nie spodziewałam się tak prędko jego podróży, dlatego nie zdążę dzisiaj pani Ludmille<sup>163</sup> na jej karteczkę odpowiedzieć, a tak mi pilno przed piękną panią za jej królewską łaskę się skłonić, boć to prawdziwie królewska łaska być tak śliczną, młodą, kochaną i o mnie teraz poznanej pamiętać! Oho, umiem ja cenić wszelkie cudowności, choć nie należę do szkoły mistyków, i umiem sobie wpływem twoim wiele bardzo w tej nadzwyczajności wytłumaczyć. Zawsze jednakże nadzwyczajność. A jaka pojętna uczennica — pisownia bez zarzutu<sup>164</sup> Czemu oni się z Kazią nie znają, miałabym chociaż przez nich wiadomość za twoim pośrednictwem, bo ty jedna wierną jesteś — wszyscy inni w Warszawie zamilkli.

Posyłam tytuły niektóre ze spisanych przez Stasia:

W. de Fonvielle — *L'homme fossile — Étude de philosophie zoologique* — Paris 1865.

P. Gervais, *L'ancienneté de l'homme*, Montpellier 1865.

Combes — *Etudes géologiques sur l'ancienneté de l'homme*, Agen 1865.

A. Debay, *Histoire naturelle de l'homme et de la femme depuis leur apparition sur le globe terrestre jusqu'à nos jours* — Paris 1865.

Fremaux, *Origine et transformation de l'homme*, Paris 1865.

Jeśli się dla mnie którego z tych dzieł wystarasz, to dobrze. A dla siebie samej, ty, co po niemiecku czytujesz, wystaraj się najlepiej: Charles Lyett, *Das Alter des Menschengeschlechts auf der Erde*, übersetzt aus dem englischen von Dr. L. Büchner, Leipzig 1864.

Nie znam żadnego męskiego, ani żeńskiego, ani nawet nijakiego Noworocznika; wiem tylko, że mię zastraszone, iż Dzwonk[owski] coś niby mojego wydrukował. W pierwszym ferworze już do ciebie o pomoc pisałam, ale mi wytłumaczono, że on tylko gołymi słowami niedrukowanymi ten fałsz rozsiewał — przeciw temu trudno występować.

## LXXII

[Pszczonów] 17 stycznia 1867

Zapowiedziano mi okazję do Warszawy i w dwóch rankach zasmarowałam kilka arkuszy<sup>165</sup>, żeby ci nie dać z dobrego usposobienia ochłonać. Czy się przyda na co tak rozsznuta kanwa? Spróbuj — i nie lękaj się nawet źle ją zahaftować. Przecież nie ślubowałyśmy jej żadnemu pismu, ani żadna redakcja procesem z rąk naszych jej nie wyrwie. O ile spróbujesz i skończysz, o tyle już będzie moralnego zysku, że przełamiesz swoją negacyjną chorobliwość i zaczniesz wprawę nabywać.

Nie wiem, skąd mi się wzięła taka gorliwość w przygotowaniu ci tej roboty. Od niepiętnych czasów ani tak dużo, ani tak prędko nie pisałam. Lękam się, czy mię w niektórych miejscach przeczytasz, bo sobie różnych skrótów pozwalałam. Kiedy spojrzę na leżące przed sobą arkusze, to się wydziwić nie mogę, że je moją własną ręką napelniłam, własnymi dorzecznosciami i niedorzecznościami — *ja, teraz!* A wiesz, Wando, że jedynie pod twoim tytułem mogę być taka obfita. Chciałam ci zrobić surpryzę na nowy

<sup>163</sup>pani Ludmilla — Kowalewska, żona Józefa Kowalewskiego, prof. Szkoły Głównej. [przypis redakcyjny]

<sup>164</sup>pojętna uczennica, pisownia bez zarzutu — Kowalewska była Tatarką. [przypis redakcyjny]

<sup>165</sup>w dwóch rankach zasmarowałam kilka arkuszy — szkic do wspomnianej wprzód autobiograficznej powieści. Znalazłem wśród listów Narcyzy do Wandy rękopis tego szkicu i zamieściłem go przy nowym wydaniu *Czy to powieść?* (1929) w pełniejszym niż wprzód tekście. [przypis redakcyjny]



rok i posłać zupełnie już autorsko opracowany artykuł — mózg jak muł — ani chciał z miejsca ruszyć. Widziałaś kiedy powóz w piasku lub błocie zaryty?... no — więc możesz sobie wyobrazić! Próżne pokusy — już ja sama niczego nie napiszę! A dam ci jeszcze tę zagadkę do rozplątania, że tylko dla ciebie i koło ciebie do twoich mogę pisać swobodnie. Może skutkiem tego, że ty mię do pisania wciągnęłaś. Niezawodnie byłabym żyła jak przed Władysławem IV i ustanowieniem poczt, gdyby nie ty. Wróciły mi zatem niektóre władze piśmienne, lecz przeważnie skierowane w te strony, w które ty je ciągnęłaś. Nawet, jako widzisz — w stronę subtelnej analizy. Niech ją tam!... Rezultat taki, że cię całuję w czoło i w oczy.

Co się dzieje z projektem dramatycznym? Nieraz tu myślę sobie, jaki by to był z Edwarda śliczny Zygmunt August — a jak bym chciała twój głos słyszeć w ostatnich słowach Barbary — i Bonę z Kmitą dobrze byś oddała — i Różę Wenedę, a Mania Lilię Wenedę. Dowiem się w swoim czasie, co z tego prawdą się stanie. Bądźcie tylko wszyscy zdrowi. Tyle do ciebie pisałam, że nie pisałam do Seweryna — jeszcze — ale dla pani Ludmiły przesyłam podziękowanie.

Jeśli masz ze swojej strony co do przesłania dla mnie, to się staraj na Elektoralną odstawić — bo okazja, która to zabierze, wkrótce, za parę dni wraca.

### LXXIII

[Pszczonów] 27 stycznia 1867, niedziela

Wczoraj wieczorem odebrałam całą twoją przesyłkę — książki, papiery, listy. Wando, czyż to podobną jest rzeczą, żebyś ty tak mało o mnie wiedziała<sup>166</sup> nawet owych zewnętrznych szczegółów, które by mogły być przez byle kogo w kalendarzu Dzw[onkowskiego] wydrukowane? Nasza wspólna, nasza bardzo wielka wina — powinnaś była pytać — a ja powinnam się była domyślić, że nie wiesz. Kiedym doszła drugiej połowy twego późniejszego listu, zerwałam się na równe nogi i nie czytając dalej, chciałam ci zaraz odpisywać. Jeśli nie odpisałam, to dlatego jedynie, że było trzeba iść na górę do mego pokoiku, więc ostygłam w ferworze — ale nie zupełnie, jako widzisz. Odpisuję ci nazajutrz — o piątej godzinie z rana, przy świecy. Tylkoż sobie nie wyobrażaj znowu, że mię wczorajsze zadrażnienie tak wcześnie obudziło — jest to mój zimowy zwyczaj. Korzystam z niego jedynie, żeby się ostrząsnąć<sup>167</sup> co prędzej z tej masy posądzeń, którymiś mię zasypała, gorzej niż śniegami przeszłotygodniowymi. Jak sobie wspomnę, że od owego poniedziałku, w którym ci mój rulonik papierów oddano, aż po jutro lub dłużej może, po drugi wtorek będziesz medytowała nad nimi, jakoby nad historią mego życia, to...!

Juścić jest tam wiele mojej wewnętrznej historii: wszystko widziałam, czułam lub rozumiałam sama przez siebie i przez najbliższych moich; ale zdarzenia? — prócz dwóch, jeśli się nie mylę, oznaczonych jako „pożyczki” — żadnego. Mój brat — mój Janek — zupełnie był inny. Bratowej żadnej nie miałam. Kuzynki ani syna obywatelskiego *item*. Tradycję osiemnastowiecznych wyobrażeń miałam raczej także z tradycji, bo ze słyszanych opowieści i kilku własnych wspomnień o stryju, którego w siódmym roku straciłam, a którego żonę<sup>168</sup> właśnie „Matką” aż do jej śmierci nazywałam, bo mię od urodzenia zaraz na wychowanie wzięła. Tobie też wcale nie stryja, lecz wujka przekazałam — męża ciotki — obcego dla dalszych powieściowych następstw. Profesor jest z tej samej kategorii co syn obywatelski: spotkałam obydwóch w kilkunastu egzemplarzach, przechodząc ulicą. Widać, że zapomniałaś na widok pisanego wszystko, co mówione było. Ileż to razy powtarzałam ci, że byłam w kłopotcie, ile razy mi przyszło pisać o zdarzeniach i faktach powieściowych miłosnych — dlatego właśnie, że nic a nic nie wiem, jak to bywa. Istotnie, Wando, niech cię to nie upokarza, ale we mnie się „nigdy nikt” nie kochał. Nikt we mnie

<sup>166</sup>czyż to podobną jest rzeczą, żebyś ty tak mało o mnie wiedziała (...) — w przesyłce była widocznie odpowiedź Wandy na ów „autobiograficzny” szkic. [przypis redakcyjny]

<sup>167</sup>ostrząsnąć — dziś popr.: otrząsnąć. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>stryju, (...) którego żonę (...) „Matką” nazywałam (...) — Tekla Żmichowska. [przypis redakcyjny]

nie miał tyle zaufania i wiary, żeby sobie i mnie powiedzieć: „Niech będzie żoną moją<sup>169</sup> — bądź żoną moją”. Nawiasem mówiąc, bardzo dobrze zrobili. Nie dlatego, że książki piszę — bo Ilnicka sześć razy więcej ode mnie już napisała, a jest bardzo dobrą i potulną, i wzorową mężatką. Nie dlatego też, że byłabym wszystkim odmówiła — ale dlatego, że mam pewne powody do przypuszczenia, iż nie bylibyśmy bardzo szczęśliwi z jakimkolwiek „przyjętym”. Jeśli potrafisz tak doskonale zmistyfikować czytelników publiczności jak samą siebie, to wybornie będzie. Na tym wiele zależy właśnie, żeby im się utwór sztuki prawdziwą historią wydawał (o ile jest prawdy moralnej i psychologicznej, o tyle autor nie kłamie). W swoim czasie wyjątki z papierów bezimiennej autorki<sup>170</sup> dlatego miały trochę powodzenia, że je za rzeczywistość wzięto. Czyż to było oszukaństwem?

Nudni jesteście z waszymi niedoszłymi projektami. Oto Mania powinna być energiczniejszą i choć przy zamkniętych drzwiach, choć nie w poniedziałek, przedstawić ze dwie sceny raz i drugi. Nie znam zacytowanych przez ciebie ustępów i nie znam tych dramatów o Bonie i Barbarze — ja tylko o Felińskim myślałam, jako najlepiej podającym się do wspaniałej deklamacji.

Do Seweryna już trzy razy zaczynałam pisać i zawsze mi coś przeszkodziło, w końcu przeszkodziło najczęściej moje zwykłe usposobienie. Więcej było tego we mnie, czego się mówić nie powinno, niż tego, z czym się podzielić można.

Istotnie *Folwark Orly* znam — w tym tygodniu odeślę — *Arsali* nie znam.

## LXXIV

[*Pszczonów*] 29 stycznia 1867

Wczoraj wieczorem przy, a nawet po sygarze czytałam twój arkuś *O służących*<sup>171</sup> Przez całą też noc śniła mi się rozprawa nad tym ważnym przedmiotem i takie miałam nowe sposoby widzenia tej rzeczy, takie przekonywające argumenta, rady zdrowe takie, że gdybym je była mogła zapamiętać, to by pół przedpokojów i kuchni zbawiły. Lecz domyślasz się, iż wszystko z obudzeniem bezpowrotnie uciekło — muszę ci więc to jedynie powiedzieć, co mi na jawie do głowy przyszło. A najpierw wypowiadałam się z pewnego wewnętrznego dialogu: — „Czy zrobić Wandzie moje uwagi? — Juścić że zrobić! po to mi przecież do czytania przysłała. — Kiedy jak zrobię, to się natychmiast zniechęci, zacznie sobie wymyślać i skończy się na tym, że się do niczego nie weźmie. Jest racja, więc lepiej nic nie mówić, zostawić to, co jest, tak, jak jest, bo jest poczciwe, i dać jej czas, niech się wprawi „w wykonywanie”, choćby nie od razu możliwych jej talentowi arcydzieł. Wszakże ja także nie drukowałabym dzisiaj słowiańsko-mitologicznej, a sentymentalno-pochrześcijańskiej *Mainy*. Że się jednak na odwagę raz zdobyłam, to później wydrukowałam parę rzeczy, które się bardzo moim kochanym, kochanym i szanowanym podobały. No, dobrze, ale ty sama czujesz, moja Narcysko, że nie postępowałaś z sobą w ten sposób z wyższych *a priori* powziętych zamiarów, tylko ostateczny rezultat sam z siebie nastąpił. I czujesz także bardzo dobrze to, że osobistość Wandy tak cię obchodzi jak twoja własna i że masz za nią wymagania takie, jakie miał twój brat za ciebie — a twój brat nigdy ci prawdy nie przysłonił — kilka próbek z jego najserdeczniejszej łaski poszło *ad acta*, kilka się znakomicie poprawiło, kilka w krainę cieniów zstąpiło. Więc mów prawdę”. I powiem ci tak zupełną prawdę, Wando moja, jak gdybym ją samej sobie mówiła; a jeśli ty zły użytek z niej zrobisz, jeśli się zniechęcisz — to i mnie zniechęcisz bardzo — poczyję, że ci się do niczego nie przydam — chociaż dzisiaj właśnie zupełnie inne poczucie umysłowo mię ożywia trochę. Dla ciebie zastanawiam się nad wielu rze-

<sup>169</sup>we mnie się „nigdy nikt” nie kochał (...) żeby sobie i mnie powiedzieć: „Niech będzie żoną moją — o ile wiemy, był taki: astronom Jan Baranowski, przed którego konkurami Narcyza uciekła była z Warszawy do Poznania. [przypis redakcyjny]

<sup>170</sup>wyjątki z papierów bezimiennej autorki — kilka utworów Narcyzy wydanych pod zbiorowym tytułem: *Niektóre pisma bezimiennej autorki, przez zupełnie nieznanego wydawcę ogłoszone*. [przypis redakcyjny]

<sup>171</sup>*O służących* — owa rzecz *O służących* była, zdaje się, jedynym pozytywnym wynikiem nieraz proponowanej przez Narcyzę współpracy. Wanda nadesłała jej rozprawkę pod tym tytułem. Narcyza skrytykowała ją życzliwie, po czym sama obrobiła ten temat. O umieszczenie tej pracy w „*Bluszczu*” pod pseudonimem Filipiny toczy się dalsza korespondencja. Rozprawka Żmichowskiej znajduje się w piątym tomie jej *Pism* (1885). [przypis redakcyjny]

czami, dla ciebie opracowywam niektóre w duszy mojej, z tobą tworzę jedynie przystępne mi zamiary. Niech to przypadnie, zostanie próżnia: bank rozbity, stawki przegrane — stół z kurzu nawet starty. Moralizowanie jest główną wadą twoją — zwyczajną wadą serc głęboko zdobytym przekonaniem nasiąkniętych. Ta cnota życia łatwo się w *bezprawie* piśmienne zamienia. Istotnie, trzeba ci to zrozumieć i *uznać*, że nie masz *prawa* moralizacji, kiedy dla dorosłych piszesz. Im więcej zostawisz sens moralny ich własnej domyślności, ich własnym wnioskom, a wnioski ich własnej dobrej woli, tym zręczniejszym, poczytniejszym, a co więcej znaczy, tym skuteczniejszym będziesz autorem. Skarżysz się, że inny jest gatunek twojego talentu. Nie wierz temu; inne tylko masz nawyknięcia. W ciągłych monologach przyzwyczaiłaś się obywać bez sztuki. Pisałaś pod sekretem, więc nie zwróciłaś bacności na to, w jakiej formie rzecz przedstawić; z której strony łatwiejszą do pochwycenia będzie; słowem, nie dość obliczałaś się z jej *skutecznością*. „Żeby to mogło wrażenie zrobić” — powinno być twoim *drugim* wykrzyknikiem w duszy, zaraz po tym pierwszym wykrzykniku: „Jakie to jest słuszne i piękne!”. Otóż, co do kwestii służących, jeśli ją w dotychczasowej formie przedstawiś, to cię najpierw żadna abonentka „Bluszczu” do końca nie przeczyta; ta zaś, która przeczyta początek, uczuje się wyraźnie pokrzywdzoną i osobiście dotkniętą. Jest wiele jeszcze pań kapryśnych, lecz doprawdy że dzisiaj dwa razy tyle jest — sześć razy tyle jest sług złodziei, próżniaków, nie wspominając gorszych. Znajdziesz więc tylko sympatię między kilkoma młodymi duszyczkami, które służących mieć nie mogą — lub jeszcze nie mają — bo ze służących ani jedna zapewne czytać cię nie będzie — lub nawet gdyby przeczytała, to zrozumie jedynie, że jest nieszczęśliwą, uciemięzoną istotą — i to jej wcale nie polepszy. W gruncie jednak masz sprawiedliwość po lewej stronie swojej, a dobroć po prawej stronie swojej. Służący są bardzo nieszczęśliwymi ludźmi i trzeba coś dla ich podźwignienia *przedsięwziąć*; tylko nie trzeba ich nieszczęścia ani służbie, ani państwu przypisywać; a co *przedsięwzięcia*, to na dwie kategorie podzielić: *możliwe* natychmiast — i *użyteczne*, gdyby się dało.

Służący są bardzo nieszczęśliwymi ludźmi, bo i my wszyscy bardzo nieszczęśliwymi jesteśmy — bo oni w ciemności — a my w niemożności roztoczenia przed nimi światła. To jest spuścizna przeszłości. Szeroko o tym mówić nie da się; lecz spróbuj właśnie od jakiej anegdotki zacząć: „Jedna moja znajoma opowiadała mi, że jej znajomej prababka [brak końca listu]”.

## LXXV

[Pszczonów] 1 lutego 1867, piątek

A cóż ja zrobię z tobą, gorączko moja nieszczęśliwa, jeśli tak, za byle słówkiem, będziesz się o wszystkie kamienie wniosków i przypuszczeń najfalszywszych rozbijała? Co ja z tobą zrobię? Dotychczas pieściłam, uspokajałam, tłumaczyłam się, ale teraz wyłaje, wybije, do kozy wsadzę i każę ci wszystkie moje listy medytować. Czy ci powiedziałam, że się gniewam? Gdybym się gniewała, to mi przecież dość bliską jesteś, dość moją, abym tego nie obwijała w bawelnę. Bądź spokojna, jak się rozgniewam, dowiesz się o tym natychmiast. Lecz tą razą<sup>172</sup> przecież nawet się nie rozgniewałam; zlekłam się tylko rozpędu twojej wyobraźni — pilno mi było pomyłkę sprostować — zadziwiłam się trochę, że nie wiesz o mnie więcej i dokładniej bardzo wielu rzeczy, zwłaszcza że ku starości przechyłona, aż do zbytku i unżenia może, lubię przeszłe rozpamiętywać dzieje. Nadgrodzi się to jeszcze; tymczasem w kłopotcie jestem, co zrobić z listem, który do ciebie pisałam parę dni temu, nie podejrzewając nawet, jakie się z poprzedniego niespokojności wysmaży. Wando moja, zdobądźże się na pewność, ufność i uciszenie przynajmniej w twoim ze mną stosunku. Niech to go właśnie od innych wyróżni. Chcesz, aby tylko żywszą miłością był wyróżniony? to zanadto i za mało — daj mi pewność i ufność. Zastanów się i pojmij raz na zawsze, że ani jednym postępkim wiadomym tobie nie zasłużyłam na podejrzenia twoje, które by tylko względem jakiejś fantazyjnej, dziecinnej, ptasiej natury

<sup>172</sup>*razą* — Żmichowska nie tylko stale używa błędnej formy „*tą razą*” (formy, którą zresztą spotykamy u Mickiewicza, u Słowackiego, u Fredry), ale nawet broni jej w jednym z listów: „Zdaje mi się przecież, że *tą razą* (podkreślam, bo się długo za takie wyrażenie w Warszawie ujmowałam)(...)” (Do Elli, 18 sierpnia 1871). [przypis redakcyjny]

uzasadnione być mogły. Myślałby kto, że ja tak nałogowo zachwycam się i odchwycam, trzepocę skrzydłami do chwilowego upodobania przedmiotów, a potem lecę dalej szukać coraz nowych. Nie był to wcale grzech mego żywota, nigdy nie odeszłam od niczego, „wiele odeszło ode mnie i porzuciło mnie” — a tobie się zdaje, że kiedy mi teraz do wszystkiego, co zostało, dusza całą siłą nawyknienia jeszcze mocniej się przykleiła, to ją dla jakiej kwestii literackiej oderwę. Dziecko jesteś i powinna bym cię na pokutę wsadzić. Czemuż ja o tobie nie wątpię? — chociaż wiem, że kiedyś nie będziesz tak często pisywała do mnie, ani potrzebować nie będziesz tak często mojej pomocy, ani zdania mojego — jednak mi się nie odbierzesz nigdy. Jaka bądź przyszłość nas czeka, zawsze ona będzie dalszym ciągiem naszej przeszłości i naszych chwil teraźniejszych, co niech będzie powiedziane na wieki wieków — Amen.

Zawiodła mię przybiecana na pewno okazja, dlatego książki dla was i dla Mani Mar[kiewicz] leżą u mnie na stoliku. Chciałabym je przesłać jak najprędzej — dla siebie, żeby mieć nowe, dla Mani, żeby się z przyrzeczenia uścić. Bardzo mi na sumieniu ciążyło, że nie mogłam tego pierwiej uczynić, ale wczoraj przyszedł najserdeczniejszy i najpoczuwszy list pani Markie[wiczowej], który mię w połowie rozgrzeszył przynajmniej, bo się dowiedziałam o wyjeździe Mani i Stasia; więc zaraz uspokoiłam się, że to karnawał, że moje książki i tak by nie weszły w użycie itp. Powiedz jednak Mani, że rozgrzeszenie aż do niedbałości mię nie upoważni, jak to bywa z mnóstwem zbyt często rozgrzeszanych dewotek. I owszem, jeszcze pilniej się będę starała o wyszukanie jakiej nowej sposobności. Dla ciebie w nagotowanej przesyłce jest twój arkusz o służących i porobione nad nim uwagi. Początek, jako więcej listowy, załączam w tej kopercie. Rozmyślisz się nad nim i powiesz mi, jak ci poskutkuje — bardzo a bardzo ciekawa jestem. W tych dniach, co rano i co wieczór, czytuję *Cesię*<sup>173</sup>; nawiasem wspomnę ci tylko, że po wyjściu z pensji, kiedy byłam u wujenki, raz w wyjątkowo cichej chwili zaczęłam także pisać jakąś powiastkę, w której było imię *Cesi* dominującym — ale zresztą żadnego innego związku. O ile sobie przypominam, to nawet myślę, że gdyby tobie, Wando, było się kiedy zdarzyło taki okropny, bezcelny, nonsens napisać, i mieć potem napisany we wspomnieniach swoich, to byś nigdy pióra do ręki nie wzięła. No widzisz, ja wzięłam, i ty mię nawet pokochałaś za to. Czy cię to nie zgorączkuje, gdy ci kiedyś szeroką krytykę prześlę i różne uwagi swoje? Nim mnie upoważnisz, powiem ci tylko, że kanwa jest bardzo zajmująca, ramy prześliczne — reszta na później.

Co do szczegółów dzieciństwa, to musisz pierwiej przesłać mi choć parę już przez ciebie napisanych arkuszy<sup>174</sup>. Lepiej zmiarkuję, które ci się na co przydadzą, a może twoje słowa rozbudzą uspięne, wydmuchają z popiołów przygasłe. Istotnie, wierz mi, że wtedy najjaśniej widzę przed sobą, co może być napisane i jak może być napisane, kiedy ciebie krytykuję. Nie gniewaj się za to na mnie.

Drugi list wyprawiałam do Seweryna, jeszcze pono rozleglejszy jak pierwszy, lecz ten mu już pewnie tyle do myślenia nie poniesie, bo mi brak tych szczegółów wspólnego życia, których po wyjeździe z Warszawy i tomaszowskich odwiedzin miałam pełną głowę. Gdyby ciepła, gdyby pogody, gdyby kilka jeszcze domowych okoliczności, to mi się zdaje, że, nie czekając lata, wybrałabym się znowu na jakie dwadzieścia cztery godzin do Tomaszowa, po treść na korespondencję. W to wierzę jak najmocniej, że Sewerynowi koniecznie trzeba listów do zdrowia — nie moich, ale listów z kraju — a mnie znów koniecznie trzeba zdrowia Seweryna — nie dla niego — ale jakby dla mnie. Bądź zdrowa, Wando — lub przemieniając zwykłe wyrażenie: „Bądź spokojną” napiszę, pożegnam i uściskam.

Przyszło mi na myśl, że gdybyś mogła te angielskie dziełka, o których wspominasz, do Polci odstawić, to by mię prędzej doszły, a ty byś swoje niemniej przeto odebrała. Czy też taki jest układ, że bez wymiany nie możecie pożyczać i musicie mieć pierwiej wziętą do oddania?

<sup>173</sup> *Cesia* — widocznie niewydana powieść Wandy Grabowskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>174</sup> parę już przez ciebie napisanych arkuszy — owej wspólnej, wedle planu Narcyzy pisanej powieści. [przypis redakcyjny]

[Bez daty. Kartka dołączona do rękopisu „Rzecz o służących”]

Wando moja kochana, o parę godzin minęłyśmy się wczoraj!!!

Twój wstęp<sup>175</sup> zdawał mi się nie dość specjalnym; zanadto wiele rzeczy chciałaś w nim wypowiedzieć, nawet w końcu o nauczycielstwo zaczepiłaś. Zbudowałam ci więc opłotki, którymi na pole broszury wyjść będziesz mogła. Skusiło mię to jako próba we własnym interesie. Chciałabym się przekonać, czy nasz sposób myślenia (nie o treści mówię, ta jest zabezpieczona co do jednakowości swojej, ale *sposób*, porządek, koloryt), czy tedy ów sposób jest sobie odpowiedni. Ach! ileż bym dla ciebie miała notatek podobnych! Ma się rozumieć, że, jak względem niniejszej, tak względem każdej, mogłybyśmy się zawsze w dodatku naradzić, tu coś przestawić, tam coś dodać — ale redakcja zupełnie twojej głowie by ciążyła. Może też kiedy niekiedy udatniej mogłabym ci główną treść przedstawić, bo dzisiaj po świątecznych wycieczkach i zmartwieniach jeszcze mię coś na mózgu uciska; starałam się jednak zebrać główne punkta, o ile pamięci starczyło. Człowiek tak wiele o tych różnych głosach ludzkich przemyślał... a jednak niech ci moje 7 punktów jeden tylko arkusz zapelni — co do streszczenia, to uzupełnij je tłumaczeniami tam, gdzie zakreślone.

Według mego zdania, wstęp powinien być krótszy i treściwszy. Nie zbaczając na inne przedmioty, pisać by trzeba tylko o głosie:

1. Cel, żeby czynił wrażenie najodpowiedniejsze wymawianym słowom — porównać słowo z muzyką, gestem, obrazem, jak jedno działa, jak drugie.

2. Materiał głosu jest najwierniejszą wskazówką moralnego usposobienia: głosy zanych ludzi a pijaków, zużytego hulaki, wieśniaków, mieszczan...

3. Według organizmu są głosy krzykliwe, piszczące, słabe, grube, przenikające z łatwością, martwe jakoby bez oddźwięku, czyste, chropawe itp.

4. Ideał głosu. Głos piersiowy, pełny, giętki, czysty w odbiciu, to jest wyraźnie w uchu słuchacza wibrujący, miękki a silny, łagodny a w potrzebie groźny itp.

5. Nie można w sobie stworzyć innego organu, bo nie można stworzyć innej głośni, innych płuc, innej deski piersiowej, ale jak można siłą woli, ciągiem wychowania i przyjętych zwyczajów moralnie się do pewnego stopnia wykształcić, tak można wykształcić i głos swój zarazem — najpierw skutkiem samegoż moralnego wykształcenia, a następnie pracą w tym celu podjętą.

6. Wszyscy chcieliby głos swój do wymagań ideału dostroić, pomijając, że potrzeba wewnętrzznego przysposobienia mało jest uznawaną — o czym zbyt długo rozprawiać by przyszło — jeszcze i wprost fizyczną pracę nad głosem ogólnie zaniedbują. Ograniczają się naśladownictwem pewnych tonów, uchodzących za tony miłe, przyjemne, słodkie lub szlachetne — albo, krótko mówiąc, poprzestają na tonie „dobrym tonem” zwanym — stąd rozpowszechniony fałsz w głosie — rozpowszechniony tak dalece, że ci nawet, którzy mają z natury piękny organ, nie umieją go użyć — każdy ma inny głos dla rodziny, inny dla gości, a jeszcze inny, gdy mu czytać wypadnie, gdy chce deklamować. Nadużycie to psuje głos naturalny, choćby najbogatszy, a do wstrętnej dziwaczności ubogi sprowadza. Do tego już doszliśmy, że dziś głos prawdziwy jest dla nas osobliwością, i może dlatego, że osobliwością, wrażliwi na niego jesteśmy (częstokroć więcej niż... chciałam powiedzieć wszystkie inne dźwięki, ale się rozgniewasz) deklamacja aktorów.

7. Nie fałszować więc głosu, ale kształcić go trzeba. Są na to fizyczne środki; higiena wskazuje unikać katarów, zaziębień itp. Zdrowia do wszystkiego potrzeba. Mechanizm użycia głosu, wprawa w mówieniu swoim własnym głosem: wolno, prędko — cicho, głośno — a zawsze dobitnie, wyraźnie, zawsze z miarą oddechu, zawsze zgodnie ze znaczeniem wymawianego słowa. Jak dojsz do tego, zapyta niejedna? Prosta droga metody. Rzeczywiście jest na to metoda, jak jest metoda na wszelką inną naukę; jak jest metoda na logikę, na rachunki, na śpiew. Niedbalstwo pod względem głosu mówionego tak nas opanowało, żeśmy o tym zapomnieli, a może i nie słyszeli nawet. Byli jednak ludzie,

<sup>175</sup>twój wstęp — wstęp napisany przez Wandę, który pozostał w rękopisie. [przypis redakcyjny]

którzy jej zbadaniu i wydoskonaleniu życie całe poświęcili; są i dziś tacy zapewne, lecz ich szukać trzeba. Te uwagi nasunęła nam broszura

*Na końcu projektu „Rzecz o służących”.*

Moja Wando, zdarza się sposobność przesłania do Warszawy i książek, i papierów — spieszę się więc, nie mam nawet czasu odczytać, co napisałam. Kto wie, czy po odczytaniu zdecydowałabym się przesłać? Czasem i ja się siebie boję — wszak ci to niegdyś powiedziałam. Ale teraz boję się w innym sensie. Najpierwej, żeby ciebie nie zrazić do twojej pracy — a potem, żeby ciebie nie zrazić do mojej praktyczności. Wbij to więc sobie w głowę, że masz nade mną równe prawo jak ja nad tobą. Możesz zmieniać — powinnaś w wielu miejscach rozszerzyć — ale nie powinnaś wątpić, że się na nic nie zda, co piszesz, dlatego bo od razu dość *praktycznie* nie napisałaś. Dziwna rzecz, że w listach swoich zawsze skargi od razu na niemożność rozwodzisz; a ja wiem i czuję, że będziesz mogła coraz lepiej i że ja ci się w tym przydam. Mam pewność siebie dla ciebie i przez ciebie; zresztą sama to widzisz, wywołałaś u mnie takie długie arkusze, już żadnej redakcji obietnice wywołać nie mogły — zmusiłaś do takich ekspensów mózgowych, na które nawet nie przeczuwałam kapitałów — toć musi być w tym coś. Jeśli nie ma pomocy dla ciebie — jeśli ty się od jej użycia odsądzisz — to więc są bezcelności w świecie ducha ludzkiego — *alles*<sup>176</sup> nie jest *vernunftig*<sup>177</sup> — wbrew Heglowi, i nie ma mnie znowu — nie ma Narcyśki.

Spodziewam się listu pierwszej przed odebraniem tych arkuszy napisanego — ma się rozumieć, jeśli goście z Warszawy już wyjechali.

A bądź mi koniecznie spokojną, bez gorączki — zaentuzjazmuj się do stoicyzmu. Stoicyzm przygotował natury do przyjęcia chrześcijaństwa w Rzymie. Stoicyzm to śliczne rzeczy — przeczytaj co o stoikach — choćby w żywotach Plutarcha.

A muszę ci też powiedzieć, że się nadzwyczaj ucieszyłam, jak się dowiedziałam, że zaczęłaś Fizykę czytać — śliczne umiesz robić jej zastosowania! Oj, ty Wando, Wando, Wando! ty fizjologię przeczytasz i jeszcze ją na swoje tempo przerobisz. Dziewczyno moja!

## LXXVII

*[Pszczonów] 11 lutego 1867, wtorek*

Wczoraj pakiecik z książkami i list twój odebrałam — spodziewam się, że nawzajem list i pakiecik książek doszedł rąk twoich. Ciekawam, co mi za przerobienie artykułu o służących na głowę spadnie? — Jeśli się dzielnie bronić będziesz i cały ton mojej ramotki skrytykujesz, to wygrana; ale jeśli na wiarę uznasz, że co napisałam, jest dobre, co zaś ty napisałaś, nic nie warto i zaczniesz w swoje gorzkie zwątpienia zapadać, to już chyba wszystkie pióra z mego pokoju wyrzucę i atrament z kałamarza wyleję — jak będę miała jaki interes do kogo, to ołówkiem napiszę. Istotnie, Wando, nie zrobiłam próby naumyślnie, lecz gdy spostrzegłam, że się w ten sposób rzeczy dadzą ułożyć — z wodą je puściłam — niech płyną! Trzeba ci wiedzieć, że względem tego, co piszesz, stoję z wymaganiami najkrytyczniejszej publiczności (miałabym prawo z rozżaleniem ci zarzucić, że tak samo względem mnie nie postępujesz). Ja, zupełnie pozbawiona recenzyjnego talentu, ja, co na liczne wezwania wypracować nie potrafiłam najsumaryczniejszego sprawozdania o żadnej książce, kiedy czytam ciebie, nabywam zupełnie nowych zdolności: śledzę formy, założenia, ogółu i szczegółów; widzę, czemu się co rodzi w tobie, mam sąd, jak być wyhodowane powinno, rozumiem, jak ty myślisz, jak cię drudzy mogą pojmować i jak chcesz być przez nich pojętą. Stąd chęć niby podpowiedzenia czasem — komentarza, rady — lecz stąd też moje innogatkunkowe błędy w miejsce twoich podsunięte niekiedy. Ostatnie arkusze, na przykład, były bardzo pospiesznie pisane. Nie ekskuza ich stylu, bo ja tylko pośpiesznie pisać mogę; ile razy pióro skrzypiec przestaje, tyle razy myśl się urywa i sama z sobą do ładu trafić nie umie — nie ekskuza więc mój pośpiech względem rzeczy, ale ekskuza względem tego, że odczytać nie zdążyłam i po dawnemu w całości osądzić.

<sup>176</sup>*alles* (niem.) — wszystko. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>*vernunftig* (niem.) — tu: rozsądne, rozumne. [przypis edytorski]

Mnóstwo takich skazanych winowajców zeszło z tego świata lub odrodziło się w innej formie. Na ten raz dopiero, gdy już papiery wyprawiałam, któregoś ranka, przypomniały mi się z tym wszystkim, co w nich było twego i mego — jak gdyby na talerzu rozlało się przede mną — wtenczas przekonałam się, że jeśli tobie zupełnie było brak drobnych faktycznych zastosowań i szczegółów, jeśli nie dość w położenie pań wniknęłaś, to ja znowu zbyt oschle przeprowadziłam interes biedniejszych. Chciałam natychmiast zaprotestować, jednak później przyszło mi na myśl: „Ej, lepiej zostawić jej na próbę, czy ma dosyć samoistności moralnej, czy tak się duszą w poddaństwo zaprzęła, że nawet nie wystąpi obronnie w tym, w czym ma więcej słuszności”. Ostatni twój list zastraszył mnie, że pono nie wystąpisz: jak gdyby uprzedzając odpowiedzią moje *zagadnienie*, sama się mianujesz „niewolnicą” moją. Pocieszam się jeszcze, że tego wyrażenia metaforycznie użyłaś — ależ, Wando, gdyby tak być miało na prawdę? Byłoby wielkim grzechem, moim grzechem przede wszystkim. To już między nami nie o kwestię literacką, nie o serdeczność osobistą chodzi, lecz o człowieczeństwo nasze. Czymże ludy i ludzie upadają, skąd ciemnota i bezsilność, jeśli nie z tego niewolnictwa właśnie, które się w religii, w polityce, w stosunkach najosobistszych pod różnymi formami żywcem takie same przechowuje jak za czasów Nabuchodonozora — i w dzisiejszych zenanach<sup>178</sup> indyjskich? Czy naród, czy pojedyncze indywiduum, czy względem dogmatu, czy względem siły pięści, czy względem innej osobistości, wyrzeknie się użycia lub zadrętwieje w użyciu niepodległego swego rozumu i doprowadzi aż do takiej niemocy, że zdolne jest nawet dobrego odstąpić — to jest złe równe sobie — równością matematyczną i chemiczną. Wando, nie trap mnie podobną możliwością! Ale jakkolwiek wymagam od ciebie, żebyś nigdy nie ustąpiła, gdy cię z dobrego rugować zechcę — a przestrzegam cię, że zechcieć mogę nieraz. Dawniej państwo tworzyło poddaństwo; dziś właśnie dlatego, że niewola cięższą zbrodnią, trochę poddaństwa natychmiast wiele państwa tworzy. Niechby mi tylko daną była władza. Lecz wróćmy do tego, co powiedzieć chciałam: jakkolwiek władzy pańskiej nie uzurpuję, chciałabym jednak zdolność wpływu zachować — nie oddawaj mi nigdy — przyjmij czasem — przyjmij dzisiaj — Spokojność. W życiu, w zasadach, w szczęściu, w cierpieniu, w pismach twoich zawsze brak spokojności. Gdybym cię mogła natchnąć jej ukochaniem, gdybym cię mogła przywieść do uznania jej wielkości — to byś już była idealikiem moim. Wzniesiesz może na mnie ten ważny argument, że ci spokój jest niepodobieństwem, bo go nie masz w naturze, a natury swojej nikt nie przekształca. Otóż ja ci powiem, że spokój właśnie jest pięknem, świętością, ideałem tylko dla dusz namiętych i gorączkowych. Zaraz ci powiem, jakim sposobem zrobiłam to odkrycie — oto na samej sobie. Mnie spokój łatwiejszy niby, ale też trochę i niebezpieczny; z rodzinnego, prawdopodobnie dziedzicznego usposobienia mam wielką do apatii skłonność. Każda próba pokoju, jak każda boleść i zgorzenie moje każde, apatią się kończy. Gdybyśmy wkoło siebie mieli życie więcej podbudzające, mniejsze groziłoby niebezpieczeństwo, ale osadzonej w ramy takiej wygodnej jak Pszczonów lub jeszcze więcej jak Rzeczycza rezydencji, z szanownym sąsiedztwem dokoła, byłabym mogła głębszym snem usnąć niż wszystkie dokoła obywatelowe. Ich krew przynajmniej gospodarskie szczegóły, choroby dziecinne, straty majątkowe wstrząsały od czasu do czasu — lecz moją co byłoby wzruszyło? — Pamiętam, jak raz od Kazi dostałam, zdaje mi się, tłumaczenie Groma Pompejusza, spotkałam się z obrazkiem leniwego ludu, kędyś nad brzegami arabskiej odnogi żyjącego; no, powiadam ci, że nie zrobił na mnie wrażenia bajki. Miałam w duszy możliwość przypuszczenia takiej rzeczywistości. Tobie każda litera osobne kłamstwo by reprezentowała, nawet nie zwróciłabyś uwagi. Nie jestem znowu zupełnie do owego ludu podobna — nie — na żaden gatunek osobliwości nadzwyczajnej nie zakrawam — tylko wspomniałam ci, żebyś mogła lepiej zmiarkować, jaką się urodziłam. Jaką się urodziłam, takiej spokojność niewielką zasługą i mniej obfite przynosi plony — jest zawsze piękną i pożądaną — zawsze dobrą, bo dobrą, ale mniej twórczą — dopiero kiedy święta owa zawładnie burzliwym oceanem, drgającymi nerwami, płomienną fantazją, to dopiero jest w apoteozie. Przenieś się na szersze pole przykładów — weź całe narody — Anglików i Francuzów. Zimna krew angielska świat zdobywa — lecz Anglik jest wtedy jedynie sympatyczny, kiedy chwilą zapała się uniesie. Po obu stronach jego zimnej krwi wrodzonej grozi mu

<sup>178</sup>zenany — apartamenty kobiet w domu bogatych muzułmanów w Indiach. [przypis redakcyjny]

egoizm i okrucieństwo; tylko ciągła praca i awanturnicze pchnięcie dziejowej konieczności broni go przeciw nadużyciom. Daj teraz Francuzowi zdolność powściągnięcia się, zapanowania swojej *furia francese*, przetrwania i dominowania wszystkich niecierpliwych podrywów zmienności swego charakteru; daj mu godziny wywalzonego, zdobytego nad tą ciżbą spokoju — masz bohatera — apostoła — Cezara lub Zbawcę — i powiedz sobie o tym mnóstwo innych ładniejszych rzeczy.

Odsyłam znowu większą część papierów twoich. Później może wyklóć się z tobą za ironiczny sposób, w jakim o zakończeniu Cesinej historii się wyrażasz. Oczywiście wstydzisz się za taką trywialność, że poszła za mąż i miała syna. Oj — ty, Wando! — Ciebie Mefistofeles kusi abstrakcjami gorzej niż Fausta Małgorzatą. Lecz o tym i o Cesi na później; schowaj ją tylko u siebie, aż dopóki się nie zobaczymy; tymczasem zatknij uszy na rozmowy wszystkich znajomych swoich i przypatrz im się, jak wyglądają w ruchach i uczynkach swoich; a ja ci powiem nawiasem, że właśnie zakończenie powieści jest daleko od jej końca lepsze. Nawet od pewnego punktu widać taką różnicę, że aż ja, z rozmyślaniami nad twoją duszą czytająca, byłam zaciekawiona, jaka okoliczność, jakie uczucie mogło cię do ziemi ściągnąć i twoje zasłonecznione oczy, troszeczkę, na wcielone myśli — na bieżącą wodę życia roztworzyć. O tym potem — reszta w krótkości. Artykuł pod wpływem Milla napisany bardzo zdrowo, tylko — musi być tylko, pomyślisz znowu — nie bardzo ważne tą razą — tylko radziłabym, żebyś przeniesienie zrobiła maleńkie i zamiast tego, co we środku o kobietach wspominasz, wszelkie zastosowania do nich na koniec przeniosła — będą dobitniejsze.

Jako osobne zadanie od Narcyssy dla Wandy, wcale nie jako uwagę krytyczną — ale, powtarzam, jako *zadanie* — proszę cię, żebyś mi się z otwartymi oczami zastanowiła nad śmiesznością — co jest rzeczywiście śmiesznym — co jest skłonnością wyśmiewania — co grzechem, co prawem w wyśmiewaniu — co przeszkodą, co ubezpieczeniem — a co pomocą. Kwestia o zdolności literackiej nie dość trzeźwo rozwinięta, wolno ci nie rozstrzygać, ale rozwijać musisz kategorycznie. Jak dobrze postawisz, to ci coś odpowiem. Sprawozdanie o *Fauście* Goethego za liryczne; powinno być, jak Goethe, więcej rozumowym. Napiszesz dobrze, jeśli staniesz na chwilę w tej górującej o całą głowę nad Faustem zasadzie, że nie ma złego ani dobrego — że jest tylko to, co jest — a dobre człowiek wyrabia nieśmiertelności Boga — a złe jest w zastosowaniach — tylko w tym, co człowiek doda obojętnemu, śmierć np. nie jest ani złą, ani dobrą; jest w całej naturze, jest jej warunkiem i koniecznością. Złe zaczyna się w człowieku i zastosowaniach; człowiek może się lękać śmierci, może ją nie w porę rozsiewać, być tchórzem i mordercą itp., ale gdy człowiek z tego obojętnego materiału, wbrew tym złym dodatkom własnym, wyrobi ze śmierci pojęcie odrodzenia — tęsknoty ku przyszłości — uświęcenie prac swoich; gdy z niej wyrobi odwagę i probierz — gdy ją nazwie zmartwychwstaniem — wiecznością, zbawieniem — to ją Panu Bogu stawi świętą, piękną i dobrą itd.

Pogadanki pedagogiczne jeszcze sobie zostawiam. Nie wyrzekaj się też naszej autobiografii; przyślij mi, choć to, co najgorszym osądzisz, mnie się zawsze przyda. Właśnie wczoraj, przed odebraniem jeszcze twego listu, zaczęłam rysować ci jeden obrazek; kupienie książeczki, z której żarciki wpłynęły potem na losy syna obywatelskiego. Muszę tylko znać obrane przez ciebie imiona. Ja na tymczasem brata nazwałam Józefem, cześć dla Księcia Józefa, — kuzynkę Leontyną — miałam na oczach pewną Leontynę w dzieciństwie jeszcze znaną — bo się z jej zaproszeniem na czyjś pogrzeb spotkałam w „Kurierze”. Siostra jeszcze bezimienna. Musisz mi przysłać, co już chciałaś wyrzucić.

## LXXVIII

[Pszczonów] 21 lutego 1867, czwartek

Najpierwej pytam, jak się ojciec miewa? bo to mi wiedzieć najpilniej — potem na twoje odpowiadam pytanie, bo zgaduję, że takie chciałabyś się prędko dowiedzieć: „Co o tobie myślę? czym więcej zdziwiona, czy więcej gniewna, czy więcej zniecierpliwiona, czy apatyczniejsza?”. O tobie myślę zupełnie to samo, co myślałam pierwszej i co nie raz już „wyznałam” ci żywym słowem, szczególnie w czasie mego ostatniego pobytu w Warszawie. Zdziwiona tedy nie jestem; gniewna ani odrobiny; zniecierpliwiona ani krzty;



— apatyczniejsza — ha! podobno że tak. Byłam już w przygotowawczym usposobieniu do apatii — najpierwej, są to miesiące, w których zawsze najsłabszą się czuję; fizyczna ociężałość wpływa na moralne, uczuciowe struny ducha naszego, a cóż dopiero o mózgowych wspominać. Gdyby po prawej stronie mojej stanął anioł z nieba, a po lewej prezes komisji śledczej, to bym nie zdobyła się na napisanie porządnego kwitku do sklepu lub obwieszczenia do „Kuriera”. Autorskie plany! właśnie też o nich myśleć! Zapomniałam całego rozkładu autobiografii; gdybyś mię była nagle o jaki szczegół zagadnęła, to bym ci to samo o nim powiedzieć mogła, co o żelaznym wilku — a nawet pewnie o żelaznym daleko więcej — gdyż mogłam się Gedyminem i Antonim Czajkowskim<sup>179</sup> dosztukować — w biografii zaś deficyt kompletny — czy kto żył? czy ja żyłam kiedy? a jak? a czym? a z czego? a po co? — zapomniałam — na takie drewniane zapomnienie padł twój list, Wando, z renosem<sup>180</sup> od powieści<sup>181</sup>. Sama najlepiej zmiarkować możesz, że mnie ani zdziwił, ani rozgniewał, ani zniecierpliwiał. Według obowiązku starszeństwa, powinnam cię była może wylajać, zachęcić — *pater noster*<sup>182</sup> wyrecytować — ale według prawdziwości (uważaj, że cię prawdą nie częstuję, zbyt absolutne wyrażenie), według prawdziwości zatem, wołałam szczerze się wyświadczać i przyznać, że mam siedemdziesiąt siedem powodów usprawiedliwiających mi twoje zwątpienia, a półtora zaledwie utrzymującego w pierwiastkowym pokuszeniu. Kto inny na moim miejscu wiele sentymentalnych zrobiłby ci zarzutów. „Po co mię ludziłaś nadzieją użyteczności... czyż dla mnie nawet, z moją pomocą nawet, nic nie zrobisz — więc ja żadnego ożywczego wpływu nie wywieram na ciebie” itp., a biedne moje kochające dziecko zamartwiałoby się i wymyślałoby sobie samej, zamiast rozsądnie i logicznie mi odpowiedzieć: — „Tak, mościa dobroduszko, nie wywierasz na mnie ożywiającego wpływu, nie masz zdolności podbudzającej, nie masz władzy sakramentalnej, a że jej nie masz, ja właśnie skarżę się na ciebie, bo spodziewałam się znaleźć ją w duszy twojej i kupić od ciebie za drogą cenę młodej wiary mojej, ukochania mego... rafaellowskich i jutrzeńkowych farb mojej wyobraźni” — a ja bym ci przerwała może: — „Wstydź się, mościa panno być taką... przekupną symoniaczką... sama się oszukałaś — alboż ja to obiecywałam ci kiedy” — i dialog, jakkolwiek lubisz moje dialogi, mógłby się przeciągnąć w gorsze jeszcze i nieprzyjemniejsze zwroty. Lecz dzisiaj żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Mam taką wyrozumiałość na twoje trudności z ich genezyjną mnożnością, że się aż boję pisać dalej, by znów sobie później nie wyrzucać współ-grzechu — gorzej nawet — całego własnego grzechu — tego, co to w potocznej mowie nazywają „podbijaniem bębna”. Jednak bądź pewna, że nikt lepiej ode mnie nie rozumie owego wyrażenia rozpaczy: „nie mogę”. „*Lasciate ogni speranza*” Dantego<sup>183</sup> nigdy mię równym piekłem nie ogarniało. *Speranza*? — ileż razy, na dłużej czy na krócej, rozstawać się z nią musiałam: dzisiaj rozstałam już zupełnie! Mam nadzieję, że dziś zjem obiad, a jeszcze pierwszej herbatę na śniadanie wypiję (bo trzeba ci wiedzieć, moja Wando, w tej chwili dopiero świecę zgasilałam, wstaję dość rano, budzę się jeszcze raniej, czego ci wcale nie życzę). Mam „nadzieję”, że jeśli nie skira — to kiedyś przed śmiercią — może za lat dwadzieścia lub trzydzieści, wodnej puchliny dostanę, a może będę żyła tak długo, długo, długo, jak fizjologiczne osobliwości, stracę pamięć, zdziecinnieję, będę się trzęsła jak galareta i cisnęła instynktowo do słońca jak jaszczurka — a który z antropologów (antropologia kwitnąć wtedy będzie przynajmniej) odkryje mię w jakim zakątku szpitalnym, czy u jakiej z ciotecznych ciotecznej prawnuczki i opisze w dziennikach. Mam inne prócz tego nadzieje — że nigdy nie zobaczę się z bratem moim Erazmem — że w szkołach i po pensjach wszystkich rosyjski język zaprowadzą, że się prawosławie rozszerzy, że obywatelstwo nasze do reszty wybiednieje, a dzieci jego do reszty pogłupieją — ogólnie mówiąc, mam nadzieję ujrzeć się kiedyś bez rodziny, rodu i narodu — innej żadnej na osobistość moją chronologicznie określoną do roku † nie mam wcale — na *nie-osobistość* poza rokiem † — to bez nadziei żadnej, naukowo, prawie matematycznie mogłabym powie-

Nadzieja, Czyn, Praca, Siła

<sup>179</sup>Antoni Czajkowski (1816–1873) — profesor literatury polskiej w Krakowie. [przypis redakcyjny]

<sup>180</sup>renons — w grze w karty: brak kart w jakimś kolorze u któregoś z grających a. karty odkładane przez rozdającego do licytacji albo niewchodzące do rozgrywki; tu: odmowa udziału. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>twój list, Wando, z renosem od powieści — jak wspomnieliśmy, podjąwszy próbę, Wanda wyrzekła się tego wspólnego pisania. [przypis redakcyjny]

<sup>182</sup>pater noster (łac.) — ojczy nasz; daw. pot. również nazwa kary, połajania. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>Lasciate ogni speranza — „Porzućcie wszelką nadzieję” [napis nad bramą Piekła w *Boskiej komedii* Dantego Alighieri]. [przypis redakcyjny]

dzieć, gdybym się znała z panią Matematyką — ale przynajmniej powiem rachunkowo, z pewnością jak o iloczynach z tabliczki Pitagorasa; *wiem* mnóstwo lepszych, jaśniejszych rzeczy — tylko chciałam ci wytłumaczyć, jak się bez nadziei obywam — w zwyczaj mi przeszło. Dante nie dość mi się groźnym wydaje — ale są pieczętki apokaliptyczne z godłami daleko straszniejszymi dla mnie. „Nie mogę!” — Słowacki jeszcze pierwiej to sam powiedział w *Kordianie*: „Pomyśleć tak i nie móc o! hańbo! o! wstydzie! *Nie móc*, to piekło!” z tą różnicą, że on chciał „stanąć na myśli ludzkich piramidzie — i być najwyższą myślą wcieloną”, a ja chciałam... no, pominąwszy różne rzeczy, których dawniej chciałam — teraz mi tylko chodziło o zajęcie dla ciebie i dla siebie — jeśli wyraz zajęcie zbyt jeszcze intelektualny — więc po prostu o robotę. Nie możemy — cóż począć, moja Wandeczko? Świat się obejdzie i my obejść musimy. Nie pierwsze i nie ostatnie w bok się stoczmy z literackiego gościńca i w trawie przylegniemy. Z tym wszystkim, chociaż „pasuję” zupełnie (jeśli podsłuchiwałaś kiedy grających w preferansa, powinnaś wiedzieć co to „pas” znaczy), ja więc na autobiografię „pas” powiadam, lecz swoją drogą chociaż się wypraszasz, zabezpieczasz błagalnie przeciw mojej ciekawości, nie mogę się jej wyrzec. Czytaj wyraźnie i z zastanowieniem: *nie mogę*. Bez pretensyj, bez drukowanego widma na mózgu, bez żadnego dalszego zastosowania przed oczyma — daj mi to, co napisałaś — *jeszcze raz proszę*, daj mi, Wando! Powinnaś przecież rozumieć, że jesteś moim prowiant-skim komisarzem; nie odwołuję się do obowiązków sumienia, bo nie ma dość silnych przyczyn. Jeśli z twojej duszy pożywię się czym i ożywię, na nic dobrego nie zda się to nikomu — wszystko we mnie się kończy wrażeniem — kamień w wodę rzucony — ale mnie się chce kamieni — mnie się bardzo chce...

Druga prośba — daruję ci do powieści imię Narcyzy albo Gabrielli, jak chcesz, — ale nie bierz mi imienia Janka. Wszakże nie wzięłabyś nazwiska Jurgensa — otóż to imię porównać — nie, nie porównać — to *imię* przeciwstawić mogę z tym nazwiskiem tylko. Czy wiesz, że w pewnych chwilach ultra-stoicyzmu lub samozwrotnego sarkazmu, chciałam się otrząsnąć z tej *foremki* żalu i uświęcenia — próbowałam sama używać dla obcych tak spieszzonego zakończenia — nigdy mi to bezkarnie nie uszło. Jak czasem Stefania<sup>184</sup> swego siostrzeńca Jankiem nazwała, zdawało mi się że mnie przedrzeźnia; a jednak wiedziałam, że ma więcej prawa ode mnie mieć swego Janka do ukochania, bo lepiej, czynniej, kochać potrafiła. W powieści — a zwłaszcza tej najbliższej twojej powieści — byłoby mi jeszcze smutniej z owym imieniem się spotkać. Weź Jasia — Jania — Jaśka zresztą, co być może dość nawet odpowiednim — koloryt historyczno-ludowy — Jaśko z Tenczyna<sup>185</sup> — Jaśko z chałupy — Jaśkiem mógł go przeważać ojciec wojskowy z napoleońskich czasów — tylko Janka<sup>186</sup> zostaw mi jedyne na zupełną, na wyłączną prawdę mego życia. Istotnie, dla niego zaczęłam pisać — z jego rad, wspomnień i podarunków napisałam prawie wszystko, co jest rozumniejsze i pocziwsze w czterech tomach Gabrielli — nie zapieram się tego — mogę ci nawet popodkreślać miejsca i palcem wskazać całe wyrażenia — od Burzy, która jest szczerą esencją tylko, a raczej szkielecikiem tego, co raz o śmierci mówił ze mną — do listu Hieronima<sup>187</sup>, którego bym nie była nigdy oparła na dość jasnej recenzji *Białej Róży* — gdybym nie miała w żywej pamięci jego trafnej, ostrej, a zawsze jednak nie ujemnej, lecz dodatniej krytyki. Przyznaję więc, że literacko wyzyskiwałam pamięć mego brata — musiałam wyzyskiwać, o ile chciałam rzetelnie coś uczciwego napisać — ale jego imienia — jego osobistości... Nie — chyba danym by mi było rzeczywiste, własnym imieniem i własną odpowiedzialnością podpisane „pamiętniki” układać. Chyba w takim dziele, w którym wszystkimi literami wypisałabym nazwisko rodowe mojej matki — i stryjenki, która mię wychowała — i siostr, i Erazma, i twoje, i Kazimiery, i Jurgensa. Osobno nie dam mu odejść od siebie — to jest najśluszniejsza słusność moja.

A gdybym ci w sekrecie powiedziała najniesłuszniejsze głupstwo moje? — Zdziwiłabyś się — oczy twoje rozwarłyby się szerzej niż kiedykolwiek w życiu. Nie posądzałabyś mię o mistycyzmy żadne — a tymczasem, jak mam znamię na twarzy, tak mam jeden chorobliwy mistycyzm w moim usposobieniu. Przykro by mi było, gdybyś imienia Janka

<sup>184</sup>Stefania — Dzwonkowska, siostra Władysława Dzwonkowskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>185</sup>Jan z Tenczyna — powieść J. U. Niemcewicza (1825). [przypis redakcyjny]

<sup>186</sup>Janek — ukochany i wielokrotnie w listach wspomniany brat, zmarły w r. 1844. [przypis redakcyjny]

<sup>187</sup>list Hieronima — w powieści *Biała Róża*. [przypis redakcyjny]

nie otoczyła miłością, nie oprzędła w takie szczegóły, w jakie tylko ukochanych naszych oprząść możemy. A gdybyś otoczyła miłością — oprzędła ukochaniem — wżyczyła duszę swoją — to by mi także przykro było. Jeśli trafisz z tym do ładu, będziesz mądrzejsza od Salomona może, a ode mnie z pewnością.

Dajmy już temu pokój — tym bardziej, że słyhać zewsząd ruch domowy. Kasia już w piecu pali. Siostra obok przyszła się ubierać — już w pół do dziewiątej — nadzieja śniadania wołać ze schodów głosem Antosi będzie: — „Już herbata przeciąga”. Więc słowo tylko o krytyce, do której mię zapędzasz. Śmieję się z mojej dzieciny — tobie się zdaje, że potrafiłabym cokolwiek skrytykować! Miej to sobie raz na zawsze powiedziane — że prócz Ciebie i Siebie ani żdźbła, ani pani Orzeszko, ani pani Morzk[owskiej], ani żadnej innej, jaka ona ma być może. Chciej rozumieć i komentarzami dopełnić — tylko Ciebie i Siebie — tylko dla Ciebie i dla Siebie.

Zgorszyłam się bardzo sceną przez Lewestama<sup>188</sup> wywołaną. On sam, spekulant na cudze kieszenie, pewnie sobie życzył skandalu, bo to więcej pomoże do rozprzedawania biletów; ale że w publiczności znalazły się głosy — „precz z towianistami” wołające, kiedy zapłacili, aby przyjść Lewestama słuchać, to mię bardzo za nas upokarza. Czyż religijni ludzie nie zdobędą się na chrześcijańskie uczucie, a naukowci na rozumne ocenienie zbawczego wpływu, jaki każda nowo tworząca się sekta na ludzką rodowość wywiera — choćby mormoni, to by powinni dać do myślenia. O, czemu ty nie możesz napisać tego, cośmy raz o sektach mówiły — ten amerykański idealik przydałby się wśród takiej aktualności — właśnie bieżąca chwila spotkałaby go i uwydatniła — *Hélas!*

Miałam w przeszłym tygodniu list od Mani M. i od Stasia. Gdybym tak się przyzwyczaiła do rozmowy ze Stasiem jak z tobą, to bym mu wiele, wiele rzeczy chciała odpisać pomimo złego usposobienia — ale że brak wprawy, więc czekam lepszej chwili. Od Seweryna były dość smutne wiadomości — a tak koniecznie dobrych potrzebowałam — to nie nadzieja, to była szczerza, prosta potrzeba.

*Nota.* Pamiętaj co do książek, że ile razy będziesz jakie miała do dyspozycji, nie czekając na nic, odeślij do Polci — a ja swoją drogą odsyłam — czasem okazje jadące stąd i wracające nie mają czasu do ciebie się zgłaszać — a tak zabiorą, co już będzie złożone. W poniedziałek zwrócę ostatnie dwa dziełka angielskie — trochę przesłodzone biblijnością i moralami — wystarajcie się o mniej pobożne.

Jeszcze zapomniałam o służących<sup>189</sup> dać odpowiedź. Mam pewną słabość do mistyfikacji, więc pozwoliłabym dać do druku, ale pod tymi *nieuchylonymi warunkami*:

1-o<sup>190</sup>. Żeby nikt a nikt nie wiedział o pseudon[imie] czyli niby-autorce — bo rzeczywiście myśli twoje są.

2-o. Żebyś dała raczej siebie niż mnie o to posądzić. Nie wymagam adopcji zupełnej — tylko dyskretnego milczenia, czy przed siostrami, czy przed Edwardem, czy przed kim bądź.

3-o. Żebyś posłała Ilnickiej<sup>191</sup> jako próbę twojej znajomej — która chce wiedzieć, czy się to przyda redakcji i czy się to przyda autorce, która chce pisać dla zarobku, ale potrzebuje mieć też jakąś pewność, że dostarcza dobrej roboty.

Z dopełnienia tych trzech kondycyj obiecuję sobie: uniknąć dziwnego wyrwania się jak Filip z konopi po dziesięciu latach milczenia na drugie lat dziesięć; uniknąć przed własną wyobraźnią wielu niemiłych rzeczy; nabyć chwilkę pustoty i widzieć, jak się zadziwisz, kiedy Ilnicka odpisze ci, że to nic nie warto. Mieć czym podrażnić się kiedyś z Kazimierą, która nie chce mi wierzyć, że co piszę, to się tylko przyjaciółkom i znajomym moim podoba. Juścić wiem, że wzięto by i zapłacono, gdybym się podpisała, lecz w tym szyk, żeby bez podpisu na niewiadome kompetentny interesant osądził. (Jeśli ci o *signum* idzie, to możesz gawędę wyprawić z imieniem Filipim).

## LXXIX

<sup>188</sup> *Fryderyk Henryk Lewenstam* (1817–1878) — krytyk i publicysta, profesor literatury powszechniej w Szkole Głównej. [przypis redakcyjny]

<sup>189</sup> *o służących* — *Rzecz o służących*, w opracowaniu Żmichowskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>190</sup> 1-o, 2-o, 3-o — skrót od łac. *primo*: po pierwsze, *secundo*: po drugie, *tertio*: po trzecie. [przypis edytorski]

<sup>191</sup> *Ilnicka* — Maria Ilnicka była wówczas redaktorką „Bluszczu”. [przypis redakcyjny]

[Pszczonów] 26 lutego 1867

Z wdzięcznym sercem i pochylonym czołem, jak przynależy dobrze wychowanej osobie, której ładnych książek pożyczają, odsyłam cztery tomiki angielskich powieści — a wiem, że głównie za to atencja moja Zosi<sup>192</sup> się należy, bo pewnie ona mię tak w ulubioną angielszczyznę zaopatruje. Tobie, Wando, w szczególności — prócz bardzo, bardzo wielu innych rzeczy — winna jestem kalendarz dla kobiet odesłać; ale jeszcze go przez tę okazję nie odbierzesz, nie spieszę się z nim zbyt gorączkowo. Z pierwszej niecierpliwości pośpiechem zobaczyłam tylko, co tam o Ilnickiej wydrukowano — i wiersz Liliany — a czemu Liliany? zdaje mi się, że ci donosiłam — a może nie donosiłam? — Liliana pisała do mnie śliczny, grzeczny liścik. Pan Wisłocki wezwał ją do napisania recenzji o dziełach Gabrielli — „nie śmiała przyjąć wezwania, bo może Gabriella by się obraziła, że jakaś Liliana o niej pisze”. Ma się rozumieć, odpowiedziałam na to z niekłamaną serdecznością, że Gabriella cieszyłaby się niezawodnie każdym słowem tak wielkiego dowodzącym współczucia — ale Narcyza, osobiście czuje się zobowiązaną za uchylenie się od tego zamiaru — i po starszeństwie przestrzega, że Liliana nie ma wcale krytycznego talentu, że jest na szczęście swoje obdarzona władzą łatwego entuzjazmu, a tu na korzyść czytelników trzeba władzy surowej sprawiedliwości itd... Ciekawa jestem, czy ją to obraziło, czy nie? Według wszelkiego podobieństwa na tym się skończy nasz literacki stosunek. W ogóle nie najlepiej wychodziłam na wszelkich czytelniczkach moich „zaentuzjazmowanych”. Nie posądzaj mię o samochwalczą fanfaronadę — entuzjazm czytelniczek jest codzienną atmosferyczną przypadłością — spotkałam się z jedną, której twarz promieniała, gdy mi opowiadała, że po długich staraniach i tęschnotach, udało jej się wreszcie na pewnym wieczorze ujrzeć — „Szmigielską”! Wprawdzie tak innego spodziewałam się nazwiska — Ziemięckiej, Ilnickiej — choćby Prusakowej, że gdy Szmigielską<sup>193</sup> wymieniła, musiałam jak czarna zazdrość wyglądać — ale fakt jest, że była jej wielbicieleką. Nic więc dziwnego, że i ja miałam moje wielbicielki czytelniczki. Panna Kuszel onego czasu oświadczała mi się z miłością jak kawaler — dzisiejszą Ehrenbergową ty sama zapamiętać możesz — wszystko to zaprzątneło mi po kawałku czasu mego życia i poodpadało jak plasty. Ach! choćby dlatego, by sobie kłopotów pozycyjnych oszczędzić, nieprędko bym się zdecydowała (przypuściwszy, że mogłabym jeszcze cokolwiek w tym rodzaju zdecydować) na wydrukowanie mego uwierzytelnionego podpisu. Raz tylko zdarzyło się tak szczęśliwie, że czytelniczka przeobraziła się w miłą i dobrą znajomą<sup>194</sup> — teraz nawet więcej trochę niż znajomą, bo już ciekawie poznawaną być zaczyna. Jeszcze to z Miodogórskich czasów nabytek — miałam się na ostrożności, bo mi się podobała, a jako czytelniczce zaufać jej nie mogłam — byłam pewna, że odejdzie — tymczasem ona nie tylko odeszła, ale i pogniewała się na mnie, i rozżaliła, i dlatego właśnie rzeczy lepszy obrót wzięły. Od ostatniej mojej w Mławskie wycieczki — od jednej nocy przegawędzonej zbliżyłyśmy się, jak gdyby dwa tomy z tych czterech przegradzających nas ubyłó — później w listach drugie dwa się zdarły, może tam jeszcze kilka jakich kartek zostało, lecz to już fatum nieuniknione — między mną a najbliższymi moimi, jest zawsze chociaż jedna drukowana stronica. Wszak jest, Wando? jest między mną a Kazią, między mną a Julią, między mną a tobą, *c'est á dire*, między mną a tobą są głównie stronice niedrukowane — są te, które chcesz, żebym ja drukowała, i te, które ja chcę znowu żebyś ty drukowała. Nie wiem, co z tego wyniknie? — czy się pokłócimy? Przynajmniej to mię uspokaja, że się nie rozejdziemy nigdy na rozstajne drogi. Pokłócić się i owszem — przyznam ci się, że aż jestem ciekawa, jakby to się Wanda kłóciła ze mną? Godziłoby się nawet dla zatwierdzenia twojej niepodległości. Jestem pewna, że po dobrej i przyzwoitej kłótni miałabym ci pełno rzeczy do powiedzenia. Twoja rozpieszczająca pokora musi mię jakoś przy niewłaściwej powadze trzymać, bo się często podchwytuję na dydaktycznych lub macierzyńskich zwrotach i jesteś dla mnie tą samą Wandą, co do mnie na trzecie piętro przychodziła, lub moją Wandą dzieciną, którą bym wzięła na kolana i głaskała po twarzy, całowała w czoło, tuliła

<sup>192</sup>Zosia — Zofia Grabowska, siostra Wandy, tłumaczka wielu angielskich powieści. [przypis redakcyjny]

<sup>193</sup>Szmigielska — Józefa Śmigielska (Dobiszewska, 1810–1891), powieściopisarka i publicystka, niecierpiąca się widocznie uznaniem Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>194</sup>czytelniczka przeobraziła się w miłą i dobrą znajomą — Izabella Zbiegniewska (listy do niej oznaczone są w zbiorowym wydaniu *do Elli*). [przypis redakcyjny]

do snu, jeśli zmęczona lub smutna. Tymczasem wcale inaczej rzeczy się mają: — Wanda nie uczennica i nie dziecina, tylko Wanda młoda — Wanda jest terazniejszością dnia bieżącego — a ja stara — ja dniem wczorajszym. Zaiste, przeszłość ma swoje prawa — żadnych praw nikomu nie chcę ustępować — ale też i terazniejszość chylić się w stronę rzeczy minionych nie powinna — ani rzeczy minione tak przechylonej zatrzymywać nie powinny. Co wszystko razem znaczy, że wyraźnie zaczepki z tobą szukam.

A miałam zupełnie o czym innym pisać. Najpierwej o tym, że się zabrałaś na koniec do czytania „o naukach przyrodzonych”. Żebyś się do samych nauk przyrodzonych zabrała, tego bynajmniej w życzeniach moich nic stawiałam nigdy; trzeba mieć przygotowane wykształcenie; ale kto go nie ma, dość mu na ogólnikach poprzestać, dość o tyle każdy przedmiot zrozumieć, żeby wiedzieć, o co w nim chodzi i jakimi drogami w nim chodzi. Juścić nie mogę się pochwalić, żebym po przeczytaniu wszystkich pięciu tomów przez Stasia mi pożyczonych, nauczyła się jednej przynajmniej formułki chemicznej na pamięć lub żebym mogła najłatwiejszej analizy najmniej skomplikowanego ciała dokonać; zawsze jednak objęcie metody, sposobów działania, porządków zaprowadzonych w tym dziele, rozjaśniło mi innych działów ciemności. To tak, moja droga, jak gdybym przytomna była wielkiej batalii i własnymi oczami ruchy wojsk widziała; nie rozwinęłoby to we mnie strategicznych zdolności i nie potrafiłabym potem najłżejszej utarczki zaplanować, a przecież miałabym dokładniejsze o wojnie wyobrażenie i przy czytaniu Thiérsa, dajmy na to, prędzej bym zmiarkowała, co on ma interes podnieść, a co umyślnie w cieniu zostawić. I ty się chemią nie zrażaj; prędzej zmiarkujesz później, do czego w innych dziełach odnoszą się różne ustępy. Czy nie wdychasz za przeczytaniem jakiej antropologii? Jest ich kilka w rejestrzyku przez Stasia spisanych; ale na oskome tylko: prawie wszystko po niemiecku! Jedna francuska, to ją mam, i niekoniecznie się nią zachwyciłam; ale jest tam angielska także, która świeci jeszcze przede mną jako daleka możliwość. W tych dniach wybieram się z listem do Stasia, bo chciałabym go bliżej rozpytać o te broszury popularnonaukowe. Jeśli mię upoważnisz, to i o Szekspirze<sup>195</sup> z nim się rozmówię — czy będzie, czy nie będzie drukowany. Ty, jakkolwiek moją kochaną, jedyną, najjaśniejszą *terazniejszością* jesteś, w tym przedmiocie wszelako głosu nie masz; tylko możesz pozwolić lub zakazać porozumienia ze Stasiem, to już do ciebie zależy i czekam. A dlaczego byś nie próbowała coś naukowego przetłumaczyć? Gdyby on ci wybrał, gdyby potem przejrzał? Skoro umiesz tłumaczyć, nawet z niemieckiego, byłoby to dobre przygotowanie, dobre zaznajomienie się z publicznością. Jakbyś się potem odezwała na własną rękę, to by większe mieli w tobie zaufanie, bo pamiętaliby, że się znasz z naukami ścisłymi. Co też o Sewerynie słyhać? Wciągnęłam się w osobistą potrzebę wiedzenia o jego zdrowiu. Listu wyglądam przez pocztę, a na książki będziesz miała tę samą okazję, która tu wraca. Uściskaj siostry. Ojca bodaj już zdrowego niech moje powitanie zastanie.

Odsyłam też gawędki pedagogiczne. Co z nimi zrobisz? — jak mi powiesz, to ja ci powiem. Czy Ludka Edwardowa lepiej się miewa tej zimy i czy wszystkie dzieci im zdrowe? Pozdrowienia dla całego ich domu, z uściskami ma się rozumieć.

Dlaczego nie zebraliście się na odegranie jakiej sceny dramatycznej, choćby w gronie ścieśnionej publikii? A Julcia jak wypłynęła ze swoich różnych przedsięwzięć? Pisząc do niej, powiedz, że miałam wielką ochotę pojechać do Ludzimierza i na wystawę paryską — widzieć Tatry i to, co z Egiptu przysłano.

LXXX

[Pszczonów, marzec 1867] [Brak początku]

...Oto wiesz, co zrobić ostatecznie? Upoważniam cię, żebyś wezwała na konferencję Kazię i Julię. Ostatnia już mi i tak o Filipinie<sup>196</sup> pisała; wiem, że dla jednej i dla drugiej *c'est le secret de la comédie* — proszę cię tylko, żebyś go rzetelnie do reszty objaśniła.

<sup>195</sup>o Szekspirze — Wanda pracowała nad przekładem dzieła Gerwinusa o Szekspirze. Wstęp do tego dzieła ukazał się w jej przekładzie w „Bibliotece Warszawskiej” w r. 1870. Tu jednak, chodzi, zdaje się, o opracowanie monografii. [przypis redakcyjny]

<sup>196</sup>Filipina — pseudonim, pod którym posłano rękopis do „Bluszczu” i gdzie w istocie ukazała się *Rzecz o szużących*. [przypis redakcyjny]

Zrozumięją pewnie, dlaczego z twoim pomysłem, w prawdziwie filipowskim charakterze z konopi występować nie chcę; ale i to zrozumięją, dlaczego i w twoim, i w swoim, i we wszystkich Filipów na świecie charakterze, ujmuję się za prawami autorów przeciw redaktorom<sup>197</sup>. Niechaj ich sąd rozstrzygnie, a ty wyroku dopełnisz.

Za kilka dni będę miała do Warszawy okazję, ściągnij mi na ten czas książkę od Kazimierzy — *Le mari d'Antoinette* — o nowy zapas od ciebie — nie śmiem się już naprzykrzać, bo widzę, że mi trudniej z odsyłaniem idzie. Przynajmniej cztery dawniejsze tomiki odebrałaś? nic mi o tym nie wspominasz. Jeśli będzie można, wyprawię i Puffendorfa z powrotem, a jeśli Kornelcia nie znajdzie na niego miejsca, to jeszcze zaczekasz, póki sama kiedy nie odwiozę. Nic prędko to nastąpi, lecz przecież nic pilnego, a masz świadectwo pamięci.

Czekam teraz ładnego zielonego kajetu; o twoim rodzonym dziecku więcej ci powiem niż o tym narzuconym przeze mnie. Wątpię, czy na mnie zakaz pisanego wymożesz; jestem przekonana, że pisanie cię kształci i że możesz nawet innych kształcić tym, co napiszesz. O ile powieściowy rodzaj zgodny jest z naturą twego usposobienia? to zupełnie osobna kwestia; ale że masz przed sobą cały dział propagacyjno-dydaktycznej pracy, jestem jak najmocniej przekonana. Wszystkie zarysy sprawozdań i ogółowe rozprawki, które czytałam, były bardzo dobrze lub bardzo sumiennie napisane. Jak widzisz, umiarkowaną jestem w przymiotnikach, żeby się nie dać jakiemuś osobistemu interesowi uprzedzić. Co więcej, własny twój wybór zawsze się zwraca ku poważniejszym dziełom i przedmiotom, a znajomość niemieckiego języka otwiera całe perspektywy mniej powszechności naszej znanych krajobrazów. Nie rozumiem, co mi o Szulce Dzie[końskim] i o prawie przekładu piszesz? Zdaje się, że proces „Gazety” z „Kłosami” wszelkie co do takich zastrzeżeń skrupuły usunął. Pan Szulce Dzie[koński] ma prawo za to moje i twoje tłumaczyć artykuły — wszak taki był sens wyroku! Gdybyś mnie jednak posłuchała, to byś zaraz od Dunkera zaczęła. Właśnie najlepiej od razu z czymś ważniejszym wystąpić — popracujesz trochę dłużej, żmudniej, lecz będziesz miała ciągle pewność, że ci praca w tece nie zostanie.

Spytaj się zresztą Stasia i poproś go ode mnie, — mówię *ode mnie*, bo to mój interes — żeby w czasie bytności swojej umówił się na pewne z jakim księgarzem — broń Boże, gdyby znowu Dziekoński miał cię ubiec! — potem warto by może napisać jaki artykuł sprawozdawczy o tym autorze do której gazety. Nazwisko mniej jest znane niż Mommsena — więc oswoić z nim publiczność — potem już tylko przysyłać mi do ostatecznego przeglądu arkusze i nie zrażaj się. Istotnie, świętą masz zasadę, że co zaczniesz, powinnaś skończyć. Gdybyś niczego w życiu nie nauczyła się piśmiennictwem własnym tylko — skończenia, to już mogłabyś je błogosławić. Umieć skończyć zaczęte!... (ach, Wando, jaki ja sobie niehonorowy policzek wycięłam!)

1. n.b. Przyszło mi na myśl, że istotnie redakcja może ciebie o zupełne Filipiństwo posądzać — no, to muszę przesłać schemat listu, który się do pieniędzy załączy; a może znajdzie kogo, co mi go napisze.

2. n.b. Niech tylko przeczytam ów zielony kajet, to ci wiele rzeczy i o *tobie*, i o *powieściach* napiszę. Istotnie, twoje powieści coraz cię dokładniej tłumaczą mojemu pojęciu. Czy ci się zdawało, że już na pamięć umieć cię powinnam? Nie, moja pani, od przeszłego aż do tego roku pełno nowych rzeczy o tobie się dowiedziałam i dowiaduję; więcej jeszcze przeczuwam takich, o których my obie dotychczas nie wiemy. Za wszystkie, jakie są i być mogą, całuję — wszystkie już przyjęłam. Chciej to raz na zawsze zrozumieć.

LXXXI

[Pszczonów] 13 marca 1867

Moja Wando kochana — za kilka dni będę miała okazję, to ci pewnie dłuższy list napiszę, ale dzisiaj nie jestem w piśmiennym usposobieniu. Ręce łamię nad twoim zmar-twieniem, wstydę się twoich zawodów, ale nie mogę być inaczej. Żebyś się nie gorączkowała jednak, rzucam tę kartkę z obietnicą poprawy. Nie dowierzaj tylko zbyt cznie;

<sup>197</sup> *ujmuję się za prawami autorów przeciw redaktorom* — zdaje się, że redaktorka „Bluszczu” pozwoliła sobie na samowolne zmiany w artykule. [przypis redakcyjny]

przecież obietnica jest zaledwo pierwszą formą intencji — do formy przyrzeczenia jeszcze bym się nie odważyła posunąć — owszem, gromadzą się na horyzoncie różne utrudnienia. Przede wszystkim brak idealnej cichości — ale na terazniejszość jest tylko trochę rozbicia i ogłupienia. Gdybyś umiała być spokojniejszą, gdybyś dla mnie i dla siebie zdobyła się na pewną porcję stoicyzmu, tak przeze mnie zalecanego, to bym ci więcej trochę o tym powiedziała i wytłumaczyła bardzo jasno, dlaczego śmierć Antosi<sup>198</sup> nic a nic mi nie martwi; tylko o idiotyzm mi przyprawia. Lecz ty masz talent wszystko zaraz przez swoje własne serce filtrować i do wszystkiego taki aromat boleści dodajesz, że gdy mi później esencja w następnym liście twoim wróci, czerwienię się jak kralka w polskich kartach i nie mogę sobie darować, że cię na taki ekspens uczucia wyciągnęłam, jednym słowem, zupełnie inną wartość dla mnie mającym. Póki się lepiej nie zahartujesz, póty nigdy do prawdziwego porozumienia między nami nie przyjdzie. Zawsze będę musiała się mieć na baczności, jak ty przeczytasz to, co ja napiszę — i pióro mi zeszywnieje. Wprawiaj się czytać literami moimi własnymi, nie swoją wrażliwością. Jeśli napiszę: „ucięto mi rękę” — to czytaj „ucięto rękę” — a nie myśl o fibrach, żyłkach, nerwach, arteriach, lub, co gorzej, nie myśl, że ręką można by posąg wykuć, obraz namalować, symfonię Beethovena odegrać lub Mickiewiczowskiego *Farysa* napisać — bo ja bym pewnie nic z tego wszystkiego nie zrobiła. A jeśli ci powiem, że jestem garbata, no, to wyperswaduj sobie, że są ludzie garbaci na świecie. Cóż u licha, czyż cię życie nie nauczyło, że żadne ukochanie przeciw złemu ukochanych nie zabezpiecza? „Och! ty nie możesz umrzeć tak jak oni — których nie kocha nikt i nikt nie broni”. W Słowackim bardzo to pięknie wygląda; był czas, że prawie temu wierzyłam; ale historia z biografią na innych prawach się rozwija — najukochańsi, najlepsi umierają. Najdrożsi nasi cierpią. Toż o ciebie, dziewczyno moja, dawno bym już powinna Panu Bogu wojnę wypowiedzieć, a o mego biednego brata z Rheims! No, widzisz, mam tyle zrozumienia konieczności, że kiedy o was myślę — i o was i o innych — to zaraz uciekam na nebulozy, drogi mleczne Syriusza — zastanów się tylko, czy tam znać wibrację, czy tam czuć drgnienie choćby najokropniejszego bólu? Dlatego to, moja dziewczeczko, tak cię zapędzam do astronomii lub innych podobnych pewności — w nich się bólu nie czuje.

Zstąpmy jednak na ziemię. Gdybym była w humorystycznej weni, to by mię bardzo zabawił twój list komentarzem do listu Ilnickiej<sup>199</sup> przyłożony. Czy wiesz, jak się rzeczy naprawdę tłumaczą? Oto tak: Ilnicka, znam ją, najpocziwsze w szajce literackiej stworzenie, dobra, ale watową, miękką, ustępną dobrocią, czasem odbiera istotnie chorobliwe elukubracje, a nie ma odwagi dać im właściwej odprawy. Sama o tym mi powiadała, a ja się śmiałam z niej i podbijałam w odwagę cywilną. Otóż i teraz, miarkuję, nie miała odwagi odrzucić, więc cię puściła z komplementem i kwitkiem na redakcję. Wierz mi, gdyby istotnie chodziło jej o nabycie użytecznego współpracownika, inaczej by sobie postąpiła. Miałam pewien projekt kontr-mistyfikacji — bo ty nie uwierzysz, jaką mam słabość do tego jedynie rodzaju oszukaństw. Między lepszymi, a przynajmniej do najweselszych chwil mego życia zaliczam, te, w których do mnie o nieboszczce Gabrielli jako o zupełnie nieznaney mówiono osobie. Więc chciałam sobie z Filipci wodewil ułożyć — ale wszystko poszło na dno — jeszcze mię też jednym kamykiem przyrzuciono, żebym dłużej głowę pod wodą trzymała. W którymś „Kurierze” wydrukowano, że A. Mark... dr wyjechał do Włoch — więc mię zaraz Polcia pyta, czy to nie pan Mar[kiewicz] z Tomaszowa do brata — ja tłumaczę, że w Tomaszowie S. M. nie A. M. — lecz nie mogę z podejrzeń się otrząsnąć, może być omyłka w literze — dopiero twój list mgły rozpędził. Były gęstsze, niż się spodziewałam nawet; ze wszelkim uznaniem konieczności, strata Seweryna narzuciłaby mi wcale nieposzukiwany dowód, że jest koniecznością — zmarnowanie — nawet przeszłości; od przyszłości już nic nie wymagam — ale choć jedno słowo, jedno życie, co by przeszłość zaświadczyło.

Czy myślisz, że siadłam do pisania, by o takich rzeczach z tobą gadać? Wcale nie. Miałam ci tylko zapowiedzieć okazję; przyrzec list dłuższy, obiecać odesłanie książek — i prosić *bardzo* o zwrot *Nathalie*, którą dla Zosi między Maryni Markie[wicz] książkami przesłałam — jest mi *bardzo* potrzebna. Nie jestem pewna, czy cię chciałam uściskać,

<sup>198</sup>Antosia — Grothusowa, przyjaciółka Żmichowskiej z czasów więzienia. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>list Ilnickiej — widocznie list, w którym redaktorka „Błuszczu” przyjęła rękopis do druku. [przypis redakcyjny]

ale dajmy na to, że ty mię chciałaś uściskać i że moje lawiny topnieć zaczynają, więc się nie bronię. A choć pisać kończę, to medytować zaczynam: co by to było ze mnie, gdybym Wandy nie miała? Co by to było ze mną, gdybyś ty mię nie była wzięła sobie do kochania? Pozwalam ci myśleć nad tą kwestią, tylko ci nie pozwalam odpowiadać na nią, bo już jest rozwiązana w moim rozumie i bardzo by mi było przykro, gdybym jaki nonsens przeczytała twoją ręką o tym napisany.

List do Stasia, że o tobie, więc jeśli napiszę, to na twoje ręce prześlę. Masz prawo pierwsza przeczytać swoją recenzję, tj. recenzję może twojej osobistości, a konsultację o losie Szekspira. Nie wiem zresztą — znów mi ciężko pisać.

## LXXXII

[Pszczonów] 21 marca 1867

W kalendarzu wydrukowano, że to pierwszy dzień wiosny — ale tak wygląda jakby był drugim ze środka zimy. Wyobrażam sobie, jak twoja nerwowa organizacja musi być usposobiona, kiedy moja nienerwowa tak się zakatarzyła, że aż zgłupiała. Póki mi więc pamięci starczy, póty muszę przede wszystkim interesa załatwić.

1-o. Przejrzyj pakiecik książek dla Maryni M. przeznaczonych. Jeśli w nich jest *Natalia*, to wyjmij i odeślij mi — a spodziewam się, że jest, bo pamiętam, jak ją wyprawiałam, tylko zdawało mi się, że ze wszystkich posłanych książek, zwłaszcza też z niej, będzie Zosia korzystała. Pokazuje się tymczasem, że dopiero później będę jej się mogła wywdzięczyć, a wszystkiemu wasza skrupulatność do bigoterii posunięta jest winną.

2-o. Przez Julię miał być odstawiony dla Wohla pierwszy tom filologicznych prelekcji Millera, drugi albowiem poprzednio jeszcze w czasie mojej bytności sama u pani Bolesł... wraz z Trepką — przepraszam — ze studiami Trepki złożyłam. Czy jeden doszedł, czy drugi dojdzie? Jeśli nie przez ciebie, Wando, to nie wiem, kiedy się dowiem, bo sprawiedliwie zgadujesz, że nie tak prędko do Warszawy przyjadę. Kiedym Andzi<sup>200</sup> po śmierci Grothusowej nie odwiedziła, och! to pewnie, że nie tak prędko.

3-o. Pisałam w lutym do Seweryna — czy go doszło? czy nie doszło? im on zdrowszy, tym więcej mam mu do powiedzenia różnych rzeczy, ale pierwszej muszę wiedzieć, czy listy dochodzą? Nie lękaj się, nic w nich politycznego nie było; tylko mię to zniechęca, że nie mam doli; kilka razy już całe arkusze wyprawiałam do Wohla — teraz do Seweryna, i ciągle większa połowa przepada — aż mimowolnie podejrzliwe myśli przychodzą.

4-o. Amerykańską powieść wzięłam ze sobą do Dębowej Góry, kiedyśmy tam na powitanie Paulinki jechały. Przeczytałam ją i zostawiłam Paulince w nadziei, że się prędkiej okazją do przesłania znajdzie. Czy istotnie już się znalazła i czyście odebrały? Jeśli nie, to bądźcie spokojne — odwleczone nie zgubione — aby mieć prędkiej nowy zasilek, odsyłam teraz Franklina. Tłumaczenie Baudrillarta<sup>201</sup> zostawiam jeszcze na mojej komodzie. Istotnie, słusznie się domyślałaś, znam je we francuskim języku, ale byłabym już może otworzyła, by drugi raz przejrzeć i komu tutaj ustęp jaki przeczytać, gdyby nie to, że to Belejowskiej przedsięwzięcie. Muszę się z tego wstrętu otrząsnąć, bo nie ma sensu (jako wstręt do książki), jeśli więc nie pilno właścicielowi potrzebna, to mi ją zostawcie — a jak będzie jej trzeba, to mię przestrzeż.

5-o. Moich czterech Jerzych, tj. jednego Thakereya niegdyś szanownemu filologowi przesłanego, pamięci twojej polecam, nie dlatego bym się dopominała, ale żeby twoją opiekę dla tej mojej arcy-pamiętkowej książeczki zjednać.

6-o. Owe nieszczęśliwe Notatki — wszak ci powiedziałam, że masz zupełne prawo nad nimi — ale jeśli nie widzisz sama, że do druku podane będą tylko powtórzeniem tego, co na wszystkich pierwszych kartkach „Bluszczu”, we wszystkich formach, kolorach i półcieniach powiedziano — jeśli nie czujesz tego, że są zbiorem moralów — bezskutecznych — gdy czytanych; jeśli nie potrzebujesz dla nich innej formy, innego szyku, innych wiele rzeczy... to jesteś okropnie skłonna do... omamień. Nie gniewaj się na mnie.

[Drugi arkusz]

<sup>200</sup>Andzia — Skimborowiczowa. [przypis redakcyjny]

<sup>201</sup>Baudrillart — współczesny ekonomista francuski. [przypis redakcyjny]



Przekreśl, Wando, cały ustęp pod numerem trzecim — na tamtej ćwiartce — właśnie w tej chwili przybiegła Antosia i oddała mi list od Seweryna.

Przeczytałam go, ma się rozumieć, i dlatego straciłam wątek wszelkich dalszych interesów, z jakimi chciałam do ciebie wystąpić. Musisz sobie wyperswadować, że nawet przez to krótszy list odbierzesz, bo mi czytanie kawałek czasu zajęło, a teraz spieszyć się trzeba. Zapowiedziana okazja pomimo zapowiedzenia zjawiła się prawie nagle. Jest to pan Swinarski, tutejszy ogrodnik; może ci wspominałam kiedy, a może Julia mówiła o tym fenomenie. Z obywatelskiego pochodzenia, a pracowity — cichy, a zawsze umiejący każdemu jakąś przysługę wyświadczyć — prosty bardzo, a lepszego zachowania się niż wielu paniczów, nie wyłączając kilku moich rodzonych siostrzeńców, na których od urodzenia matki chuchały i dmuchały — to wszystko mówię w nawiasie; zamknąwszy go, wracam do rzeczy. Pan Sw... zapowiedział, że się do Warszawy wybiera i sprawunków się podjąć obiecał. Na nieszczęście, szkaradne, jak wiesz, mrozy wypadły; nie mógł zatem ruszyć w podróż, głównie w celu ogrodniczym przedsięwziętą, bo flance mogły pomarznąć. Aż dzisiaj, że się nagle trochę cieplej zrobiło, na dzień jutrzejszy bardzo wczesny wyjazd oznajmia. Może gdybym miała przed sobą szeroki kawał czasu i głęboki kawał cichości, byłabym na dłuższą zebrała się gawędkę. Miałam ciągle przynajmniej o wielu rzeczach rozmówić się z tobą — ale nie ręczę — jak by mi się udało zamiar do skutku doprowadzić — bo od tej mojej przejażdżki nie mogę się jeszcze z klepkami w głowie porachować. Nawet zupełnie pewna nie jestem, czy się wszystkie pięć znajdują; katar mię do reszty uniedoleźnił — a przy katarze mróz — a teraz znowu cały dzień chmurny i śnieżny. Istotnie, Wando, nie wiem, jak ty możesz znieść takie rzeczy, żebym ja miała katar, żeby mi zimno było! I ty zdołasz to sobie wytłumaczyć i zgodzić się z takim losem? — chyba nie.

Oj! jak ja sobie pozwalam przekomarzać się i drażnić z tobą — a jednak gdybym mniej miała, to jak gdybym niczego nie miała wcale. Bardzo trzeźwo sądzę i uznaję, że mię kochasz dziś, do zbytku — lecz i to w sobie widzę, że taką martwość moją tylko twój zbytek może czasem zasilić i zgalwanizować. Nie wchodzę, jak się to dzieje, lecz dzieje się tak, moja Wando, że dla ciebie myślę, dla ciebie uczę się wielu rzeczy jeszcze, dla ciebie rozważam sobie to i owo — a póki czytam to, co mi przysłesz niekiedy, póty mi się zdaje nawet, że dla ciebie bym pisała. Przychodzą mi różne koncepta do głowy — urabiam sobie twoją pracę w takie kształty, w jakich bym ją widzieć pragnęła — tryskają mi nowe światelka, ale to zawsze dla ciebie tylko. Jak się pamięć zasunie, znów wszystko ginie i przepada.

Dziwny przywilej, że ja ciebie tylko mogę krytykować prawdziwą dodatnią krytyką, o której bym nawet pojęcia nie miała, gdyby nie ty. Przyznaj mi się szczerze, czy to ci jest przykre trochę, czy nie? Uważaj, że nie mówię o urazie żadnej, o żadnym sformułowanym uczuciu, tylko pytam, jakie jest proste, mimowolne wrażenie — nawet nie ze względu na ciebie — bo wiem, że się coraz więcej trapisz i zamiast się wznagać radami na odwadze upadasz, lecz ze względu na mnie, czy wołałabyś mieć mnie niesłuszną w entuzjazmie, w pochwie, czy przesadzoną aż w wymaganiu i recenzji? Kwestia bynajmniej nie podrzędna. Już parę razy dopominałaś się, żebym napisała co o śmieszności. No, widzisz — czytając jeden z ustępów przez ciebie o tym napisanych, wiem, że mi przysłała na myśl jedna strona tej kwestii ułożona — w *nową* formę i może w pierwszych chwilach byłabym ci mogła podyktować na ten temat dość zajmujące spostrzeżenia. Dziś tak mi wszystko przepadło, że nawet sama sobie wydziwić się nie mogę, co ja o tym znalazłam takiego, że cię samą wzmianką zaintrygować potrafiło. Z tego wszystkiego się pokazuje, moja Wando, że byłoby nam bardzo dobrze razem i mogłybyśmy sobie wzajemnie pomagać — i razem płynąć po Dunajcu<sup>202</sup> — i dalej, dalej w świat; ale że nie jesteśmy razem, więc... razem nie będziemy. Tylko ty się nie umiesz jeszcze pogodzić z tą koniecznością — a ja rąk nie łamię; widzę, jakby być mogło i żegnam — Ha! ha! co ja świetności widziałam, jakie by być mogły, a nie były. I cóż stąd? ani jednej gwiazdeczki na niebie, ani jednego atomu na ziemi nie ubyło.

<sup>202</sup>razem płynąć po Dunajcu — w Ludzimierzu, gdzie Wanda spędzała lato. [przypis redakcyjny]

Nie dowodzi to jednak, bym sobie ciągle nie wyobrażała, że mam kiedyś do waszej Julci pojechać; szczególnież też, przeczytawszy jej list pocziwy, ledwom głośno nie zawołała: pojadę! — lecz ten wykrzyknik został w sercu i w myśli.

Co do Szekspira, to oczekuję wyroku Stasia, gdzie będzie drukowany? mnie się wprawdzie zdaje, że „Pamiętnik naukowy” (czy „Przegląd”?) najwłaściwszy — lecz jeśli by osądził, że szpalty „Gazety” równie są odpowiednie, to bym prędzej skorzystała — i więcej ludzi by czytało. Nie wyobrażaj sobie jednak, by wszyscy ci, co czytają „Gazetę” — widziałam wielu prenumeratorów opuszczających naukowe artykuły.

Ostatnia kwestia do przyszłego rozbioru. Czemu ci Staś nie wybierze kilku broszurek naukowo rozpowszechniających przedmiotu? tłumaczenie i drugim byłoby użyteczne bardzo i tobie jeszcze bardziej. Reszta na później — dalszy ciąg nastąpi.

### LXXXIII

Według mego zdania, najlepiej zrobisz, Wandeczko, jeśli projekt zwiedzania ochronek zupełnie z projektem elementarza rozłączysz. Jedno niech idzie swoją, a drugie swoją drogą: w wykonaniu zawsze przecież się spotkają, gdy przeciwnie, w rozpoczęciu niepotrzebnie tylko przeszkadzać by sobie mogły. Przypuściwszy, że listy nie dokończysz, elementarz zawsze się zdać może; przypuściwszy, że umrę przed napisaniem elementarza, wasze pocziwe chęci na czczych zamiarach rozbić się nie powinny. Weź i to pod uwagę, że też przy największej gorliwości nie jutro zaraz kursa wasze rozpoczęcie; a zatem staraniom pani Markiewicz nie przeszkadzaj i zebrania ochotniczek nie opóźniaj. Co do sekretu, ten jest dlatego tylko pożądanym, że zwykle roztropną jest rzeczą pierwej mieć coś zrobionego, niż rozpowiadać, że się zrobi.

Całuję moją Wandeczkę i jej siostry.

### LXXXIV

[Pszczonów] 4 kwietnia 1867

Nie dość na tym, że pisałaś o polepszeniu w chorobie Mani, jeszcze mi musisz o jej zupełnym zdrowiu napisać. Przyznam ci się, iż po trochu oczekiwałam tej dopełniającej poprzednią wiadomości, lecz po trochu tylko; nie doszło jeszcze granic zawodu, bo się wcale uprawnioną do tego nie czułam, w tym czasie zwłaszcza. Głowa mi się zgina pod naciskiem wszystkiego, czego do ciebie nie napisałam, a miałam raz po raz tyle i tyle rzeczy ci powiedzieć. Może się kiedyś odnajdą w rozmowie prawdziwej.

Dziś o Szekspirze tylko (ortografia skrócona). Pewnie z niecierpliwością oczekujesz jego powrotu, a muszę jeszcze dla dokończenia moich uwag zatrzymać. Były u nas imieniny Kornelii — zjazd rodzinny — trochę rozerwania w domu i okazja się zdarza pierwej, nim zrobiłam, co się należało.

Uśmiechnęłam się bardzo ironicznie i wzruszyłam ramionami, gdy, według życzenia twego, wzięwszy arkusz białego papieru przed siebie i ołówek w rękę, zaczęłam pierwszy odczyt z intencją poprawek. Wspominałam ci już podobno, chociaż pewnie temu nie wierzysz, że sama wcale a wcale tłumaczyć nie umiem; szewc by lepiej czepki i kapelusze robić potrafił. Dwa lata temu próbowałam na dwóch angielskich powieściach, lecz później sama swego „tłumaczenia” zrozumieć nie mogłam. Jednak, wierna tej świętej zasadzie, że dla *niektórych* osób zawsze to trzeba zrobić, czego sobie *życzą*, nie oglądając się, czy będzie dobrze zrobione, czy potrzebne, stosowne, czy możebne nawet, wzięłam więc za ołówek — no, i znalazłam to, owo do zanotowania. Całość twego tłumaczenia jest lepszą jeszcze, niż się spodziewałam; mniejsza o to, że sama nie zdobyłabym się nigdy na podobną, ale zdaje mi się, że jest i innych bardzo mało takich, co by jak twoja wytrzymały bacznie z ołówkiem szpiegującym odczytanie. Zdał się jednak mój szpieg maleńki na usunięcie kilku li gramatycznych<sup>203</sup> błędów — gdzieniegdzie także, stawiam wniosek o uchylenie cudzoziemskich wyrazów, ale to jest zupełnie woli twojej zostawione. Polskie odpowiednie są czystsze; lecz użyte przez ciebie zwykłejsze w pewnej szczególniej warstwie czytelników i mogą dać im prędzsze, sprawiedliwsze myśli autora wrażenie —

<sup>203</sup>gramatyczny — dziś popr.: gramatyczny. [przypis edytorski]

zrobisz więc z nimi, co ci się spodoba. Objśniłam zasadowo parę gramatycznych poprawek, na pamiątkę, że i mnie kiedyś podobną przysługę oddano. Posłałam memu Jankowi *Mainę* do przeczytania — istotnie w intencji dla jego rozrywki tylko napisaną była — przechodził jedną z tych gorszych krzys piersiowej choroby, która łaskawie czasem takimi alarmami do ostatecznej straty nas przygotowywa. Wiedziałam, że moje próby literackie najwięcej mu chwil mogą od smutniejszych rozpamiętywań odkraść; rzeczywiście też potrzebowałam jego sądu i prosiłam, aby o Mamie zawyrokował — czy ją drukować? Janek wziął to bardzo sumiennie pod rozważę, jak gdyby o jakie dzieło naukowe chodziło. Odpisał mi, że sam nie zawyrokuje, bo się lęka własnej braterskiej względności, ale pytał, czy może na pomoc wezwać sąsiada — purystę klasyka. Tym sąsiadem był p. Kamiński, tłumacz Pope'go i *Jerozolimy wyzwolonej*. Ma się rozumieć, że mi nawet do głowy nie przyszło jakiemu bądź projektowi Janka się sprzeciwić. Pan Kamiński był więc wezwany do narady przez niego; drugie *ma się rozumieć*, że bardzo grzecznym i prawie serdecznym panegirycznym odpowiedział; ale, za co nierównie wdzięczniejszą mu jestem, podał bratu cały arkusz wysledzonych błędów. Były to błędy zupełnie do twoich podobne, bodaj czy kilka nie takie same nawet; utarte przez nieuważę w potocznej mowie, do formy pisanej myśli się przyczepiły także. Ale przestroga w las nie poszła, więcej się potem na baczności miałam i dożyłam tej słodkiej pociechy, że mię nie za głupi styl, metafory i tym podobne fatalaszki, ale za czystą polszczyznę chwalono. Jeszcze parę lat temu szanowny pan Waga<sup>204</sup> oddawał mi tę sprawiedliwość. Tobie jednej mogę zwierzyć smutną tajemnicę, że nie zawsze warto wierzyć grzecznościom szanownego Wagi. Chociaż mi prawie przysięgał, że w podróż do Egiptu prócz naukowych moje tylko dzieła do czytania z sobą weźmie, jestem pewna jednak, że nawet Gabriellą w Egipcie nie byłam. Mniejsza o to, zawsze mam prawo o świadectwo czystej polszczyzny na niego się powołać. Niestety! zdaje mi się, że to świadectwo do pierwiastku czystej prawdy sprowadzone, ogranicza się na porównawczym uznaniu tylko. Czysta polszczyzna! oho! perła ewangeliczna — wcale sobie do niej pretensyj nie roszczę. Gdybym nią władała, to by mi łatwo było tłumaczyć; ale przynajmniej, jak się zdaje, mam delikatniejszy słuch polski od wielu innych, do dialektu wieży Babel przyzwyczajonych. Dlatego dopatrzyłam, a raczej dosłuchałam się usterków<sup>205</sup> w twoim Szekspirze; poprawki wskazane przeze mnie nic a nic go nie zmieniają, dla masy czytających obeszłoby się bez nich. Ilu znasz ludzi, co by, przebiegając artykuł dziennikowy, zastanawiali się nad zwrotem i układem każdego okresu? ja nie znam dwóch nawet. W ogóle myśl, przedmiot ich unosi; co twojej własnej baczności uszło, to jeszcze łatwiej spod ich baczności się wyśliznie. Trzeba już grubych błędów, żeby opozycję wywołały. Dla publiczności zatem nie poprawiałabym wcale; poprawiam dla ciebie — bo ty jedna rzeczywiście korzyść z tego mieć możesz — otrząśniesz się z pyłków i nadal pewniejszą czuć się będziesz — a czuć się pewniejszą, to druga połowa talentu. Radźmy teraz, moja Wando, gdzie artykuł umieścić? wcale mi się nie podoba upadek „Pamiętnika Naukowego”, były to właśnie doskonałe ramy na wszelkie tego rodzaju prace. Z pierwszego numeru już sobie zaczęłam obiecywać, że się w naszą miejscową miniaturę „Revue des Deux Mondes” rozwinie. Szkoda — właśnie nam takiego pisma bardziej niż ilustracji potrzeba. Jest wprawdzie „Biblioteka Warszawska”, lecz ona po prostu zajmuje miejsce — jak zero w pisanej liczbie, wskazując, że tu być powinny jedności, dziesiątki, lub sta. Wójcicki<sup>206</sup> ma ją zupełnie w monopolu, tak, że cała „Biblioteka” jest tylko składem otwartym na zakupywanie jego własnych, lub darowanych mu, lub przywłaszczonych sobie przez niego ustępów. Kiedy niekiedy dopuszcza jakiego klienta — a jeśli się co obcego wciśnie, to chyba przez ludzi, których zastał na miejscu i wyrugować nie mógł. Obywatelskie to jednak przedsięwzięcie — wyraz ducha publicznego — fundusz składkowy — lecz w tym bieda właśnie. Gdyby złożono po kilkadziesiąt tysięcy, może by się lepiej pilnowano, ale że każdy z panów dał ich kilka, trzy pono zaledwie, to już i nie pamięta — wstydzili by się, gdyby mu o procent chodziło, kłopotu mu się nie chce — odpowiedzialności nie ma, więc wszystko na opiece Wójcickiego. Z Wójcickim nie ma co się wdawać; inne, tygodniowe po większej części, pisma zbyt są „ulotne”, żeby mieć wię-

<sup>204</sup>Waga — znany podróżnik i przyrodnik. [przypis redakcyjny]

<sup>205</sup>usterków — dziś popr.: usterki. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>Wójcicki ma ją [„Bibliotekę Warszawską”] zupełnie w monopolu — Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879). [przypis redakcyjny]

cej czytelników, najwłaściwszą przeto jest „Gazeta” — lecz mnie się zdaje „Warszawska”, bo w niej spotykam ciąg pewien artykułów z przeglądami i sprawozdaniami o literaturach zagranicznych — najodpowiedniejsze właśnie tej rzeczy o Szekspirze. Prócz tego, były tam już różne Gerwinusa recenzje — ale jak trafić do redakcji? nawet nie wiem, kto w niej przewodzi. Onego czasu była zdana na dobrą wolę Sulickiego podobno; z tym panem nie chciałabym mieć do czynienia z powodu przyjaznych niegdyś, a później bardzo przykro zerwanych stosunków. Mogłabym znaleźć przez kobiety bezimienną drogę, lecz kobiecej rekomendacji nie życzę ci wcale, żadna męska redakcja na niej się nie ubezpieczy. Mam na myśli księdza K., to mię jednak mąci, że ty go na myśli nie miałaś. Wywiedźże się stanowczo i donieś mi; jeśli się przekonam, że mogę jakim osobistym stosunkiem zgłosić się do najwyższej instancji, to się zgłoszę; jeśli nie, to ci poradzę chyba, żebyś tak zrobiła, jak ja z pierwszym ustępem *Podróży kobiety*. Nie znając nikogo, na los szczęścia rzuciłam go redakcji; nie zaraz wprowadzie, ale na koniec ukazał się przecież. Później mi opowiadano, jakie zabawne przechodził koleje — narady — żarty. — Bądź co bądź, przeszedł. Juścić wiem, że ty nie możesz Szekspira *en personne*<sup>207</sup>, w arkuszach i w teczce mojej poczciwej znajomej, do sukcesorów Lesznowskiego wyprawić. Jest prócz tego kwestia honorarium — więc tylko listem przedstawić gatunek swojej pracy — i zapytać, czy przyjętą będzie? Ale to, jak się domyślasz, w najgorszym razie. Co do mistyfikacji, którą mi proponujesz, to jest niepotrzebna: żadna przemowa tu by się nie zdała, gdyż cały artykuł sam z siebie jest tylko przemową o Szeks[pirze]; trzeba więc tylko najtreściwiej wskazać, z jakiej pracy Gerwinusa pochodzi, że tego a tego jest dalszym ciągiem, a raczej sumą ogólną i koniec.

Chcesz jeszcze, żebym nie tylko tłumaczenie, ale i listy twoje skrytykowała; dobrze — krytykuję.

„Nie wiem, czy pani rada, że jej donoszę”...

„tak się nazwyczałam powtarzać jej, co tylko usłyszę... donoszę jednak bez wyboru”...

Frazeologia — nadużycie słów — zdania fałszywe — „Ani chcę myśleć o tym, żeby pani nie przyjechała na Wielkanoc”... Założenie fałszywe. Istotnie, Wando moja, nie przyjadę na Wielkanoc.

Przejdźmy do drobniejszych szczegółów, dopełniwszy już krytycznego obowiązku.

— „O *Natalii* ani wiemy”, piszesz mi okrutna — a ja tylko przez was mogę się o niej dowiedzieć. Skąd się wzięło, że mi Sylasa<sup>208</sup> odesłałaś? Był razem z innymi książkami dla Mani wyjątkowo przeznaczony. Ja myślałam, żeście książek nie odpakowały przez skrupulatność i dlatego nie wiedziałyście, że jest między nimi *Natalia*; że jednak Sylas do mnie wrócił, więc książki były odpakowane — kiedy? gdzie? przez kogo? Co ten Sylas znaczy, czemu on nie w Tomaszowie? Okropnie mię to intryguje.

Dla Taina nie mam zbyt gorącego entuzjazmu, ale mi się podoba. Może go nie dość cenię, bo nie znam się właśnie na głównych jego listów przedmiotach, na malarstwie i snycerstwie, lecz jako zgadłaś, tym mię najwięcej zajął, że chodzi po tych samych ulicach, które dzisiaj Seweryn krokami mierzy i że taki szczeroloty Francuz.

— Co do Millera dla Wohla: to, co ci Julia odpisała, nic innego nie znaczy, tylko dosłownie napisane słowa: „jak mi go dadzą, to go odeślę”. W tym jedynie męty, że już bardzo dawno prosiłam, aby go *wzięła* z miejsca, w którym się znajduje; ona zaś czeka, by go dano. Wohl najgorzej na tym wychodzi, *bo jak się spodziewam*, dawno już „drugi” tom odebrał, a pierwszego nie wiedzieć kiedy się doczeka.

Rodziny Thuiller nie znam — pytasz — a nie przysyłasz — głodnego pyt...

Będzie niezadługo okazją, to wszystko odeślę.

LXXXV

[Pszczonów, 20 kwietnia] Wielka Sobota 1867

Zgadłaś, Wando, że, jak wiele rzeczy w życiu, tak i spodziewana przed świętami okazja zawiodła mnie. Dubeltowe zmartwienie, bo tak mi było pilno Szekspira odesłać; lękam

<sup>207</sup> *en personne* (fr.) — osobiście. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *Sylas* — *Silas Marner*, powieść George Eliot (1861). [przypis redakcyjny]

się, żeby z mojej winy w czymkolwiek kiedykolwiek nie nastąpiło spóźnienie. O pogorszeniu zdrowia Mani M...<sup>209</sup> nic nie wiedziałam; z dobrą myślą i dobrym słowem zaczęłam długi list do Seweryna, szczęściem, że mi przerwano i musiałam na po świętach odłożyć. Byłby może sądził, że go chcę fałszywymi wieściami pocieszać — i później by mi nie dowierzał. Bardzo, bardzo żałuję, że mu słowem *Alleluja* przyjaznych wspomnień ostatniego wieczoru nie uprzytomnię; pocieszam się jednak, że znajdę drugą pod wszelkimi względami podajniejszą chwilę. Ach! gdybym pierwaj jeszcze mogła choć na kilka godzin wpaść do Tomaszowa! Ciągłe nad tym przemyśliwam. Od dwóch dni jest tu u mnie ta osoba, o której ci raz pisałam z Włocławka<sup>210</sup>; ale jeden dzień chorowała na migrenę, drugi była w usposobieniu rekonwalescentki, trzeciego dzisiaj wyjeżdża — i wszyscy wyjeżdżamy do Dębowej Góry. Miałam taką ochotę zostać! Pani Zaleska mi wyperswadowała, że narobię kłopotu, sama obchodząc święta w domu; przyrzekałam nie obchodzić, póki nie wrócą — ale widziałam ogólne niezadowolenie. Czy istotnie o kłopot, czy o wspólne obchodzenie uroczystości chodziło — zostawiam to dla samej siebie nierozstrzygnięte. Jednak mi trudno zrozumieć, co za pociechę ze mnie będą mieli w licznym zgromadzeniu, w chaosie, gdzie będzie przeważać cała warstwa takich znajomości, z którymi tylko przez grzeczność *dzień dobry* mamy sobie do powiedzenia. Są rodzinne przesady.

Że jednak nie usunęłam się spod nich zupełnie, więc i tobie nie mogę wszystkiego, co chciałam, napisać. Jedynie dlatego się zgłaszam, żeby po zwyczaju dobrym słowem ciebie najpierwej, a potem wszystkich twoich pozdrowić — ojca — Zosię — Julię (bo ona dla mnie zawsze z wami) Manię. Znajomych także. O Ogrodowej to się nie mówi, bo Julii oddałam należność jeszcze pierwaj do przekazania — i to nie są znajomi — lecz moi własni — ale znajomych dobrych wybierz wśród tych, którzy mają dla mnie pocziwe wspomnienia, panią piękną np. Ludmiłę.

Ciebie, moja jedna — ciebie, moja dana — ciebie, moja, osobnym uściskiem witam i żegnam zawsze. W Dębowej Górze będziemy przez tydzień, wracamy tutaj na przewody. Nie mam czasu opowiedzieć ci, jakie świetne projekta rozwijałyśmy z przybyłą tutaj — zapowiadam tylko, że ci się będą podobały.

LXXXVI

[Dębowa Góra] 13 maja 1867, poniedziałek

W ilu to już listach, Wando, przeproszałaś mię za to, że o sobie mówisz za dużo? a w ilu listach ja ci tłumaczyłam, że, ponieważ nie umówiliśmy się, aby prowadzić naukową, o pewnym przedmiocie korespondencję, np. o kalendarzu asyryjskim lub gramatyce sanskryckiej, lub nawet o zasadach pedagogiki, więc musimy pisywać o samych sobie i o tym, co mamy na myśli w odniesieniu do samych siebie. Mam wszelką nadzieję i pewność, że korespondencja nasza nie będzie drukowana i na żaden mądry traktat materiału nie dostarczy. Niechże nam będzie wymianą najprostszą chwil z dała w rozłączeniu spędzanych; niech dostarcza telegramowych fotografii tego, co się z nami dzieje. Chciałabyś może, — bym w dodatku powiedziała ci jeszcze, że ze wszystkiego, co przypuszczalnie napisać ci jest danym, zawsze ty sama i osobistość twoja najważniejszymi dla mnie są tematami; ale ja właśnie za karę ani słowa o tym nie piszę, tylko wszelkie inne wnioski sumiennosci twojej zostawię. *Dixi*<sup>211</sup>.

Zdaje mi się, że na utrapienie dalszej przyszłości swojej zczyniłaś ciasto świeżymi drożdżami. Spadła ci w życiu ważna chwila, okazją przez ludzi zwana zazwyczaj. Chociaż ty sama wiesz lepiej niż inni, że taka chwila-okazja, to coś ważniejszego jeszcze, to suma chwil mnóstwa, ciężkich, nieraz pokurczonych, pokrzywionych, niewyraźnych, niejasnych, nieszczerych, a pierwsza w szeregu następnych, nieobliczonych, choć zawsze

<sup>209</sup> *Mania M* — Markiewiczówna. [przypis redakcyjny]

<sup>210</sup> *osoba, o której ci raz pisałam z Włocławka* — Izabella Zbiegniewska, przyjaciółka Żmiczowskiej, z którą obfita i zajmująca korespondencja znajduje się w trzytomowym wydaniu listów. (Tom II, *Do Elli*). Zbiegniewska mieszkala we Włocławku, gdzie była przełożoną pensji i gdzie, otoczona powszechną czcią, zmarła w roku 1914. [przypis redakcyjny]

<sup>211</sup> *dixi* (łac.) — rzekłam, rzekłem (zwyczajowo na koniec wypowiedzi wyjaśniającej czyjeś stanowisko). [przypis edytorski]

Rodzina, Święto

Kobieta, Mężczyzna,  
Miłość, Własność, Obyczaje

od niej zależnych, styczny punkt skutku z przyczynami. Otóż, jak mówię, zdaje mi się, że taką chwilę-okazję przegrałaś znowu marnie. Juścić nie możesz być tak łatwowiernie dziecinną i tak mało z naturalnym rozwojem stosunków ludzkich oswojoną, abyś przypuściła, że Zygm... istotnie astronomicznie jak gwiazdę kochać cię będzie i że mu na całe szczęście wieczorna wizyta parę razy w tygodniu przy ogólnej koło waszego salonowego stołu rozmowie wystarczy. On ją dziś woli od zupełnego zerwania, ale woli dlatego, że, czy przyznana, czy nieprzyznana, zawsze jednak choć w najmroczniejszej przyszłości jakaś nadzieja mu majaczy. Póki odmowę swoją tym jedynie usprawiedliwiać będziesz, że go nie kochasz, póty mu tej nadziei nie wydrzesz. To nie jest w naturze ludzkiej taka, że ją nazwę, ślamazarna ustępnosc — w naturze męskiej szczególnie. Aż go szanuję za to, że się nie zraża. Zdobyć, to prawo jego; lecz prawo zdobyczy jednym jedynym prawem rzeczywistym ograniczone być może: *Nie brać cudzej własności*: o cudzą własność ani dobijać, ani rozbijać się nie wolno. Dlatego, jeśli powiesz starającemu się o twoją duszę i życie twoje: „Ja pana nie kocham”, to tyle znaczy, jak gdybyś mu wyzwanie rzuciła: „Zrób to, bym cię kochała”. Gdy zaś powiesz: „kocham innego”, — rzecz skończona, kłamka zapadła i pieczęć nad nicością położona. Masz niby kilka innych wyrazów na zagadanie swego sumienia: uczucie twoje tak wielką jest dla ciebie świętością! jakże je zwierzać innemu... jeszcze ojcu sama nie powiedziałaś — itd., itd. — Że nie powiedziałaś ojcu, by mu chwil niespokojności w czasie nieograniczonego wyczekiwania oszczędzić, to już jedno złe; czy z twego położenia, czy z innych powodów wypływające, nie mniej *złem* jest; ale że Zygm... ogólnie a stanowczo odmowy swojej nie objaśniłaś, to drugie złe nieużyteczne i zobaczysz, jak kiedyś jeszcze echem się odbije w przyszłości. Przypuszczasz, że to może jakie przykrości za sobą pociągnąć; może, nie tylko dla ciebie, ale i dla kogoś, co ci więcej znaczy, mieć niemiłe następstwa; rodzinne nieporozumienia dajmy na to, że wszystkiego najgorsze plotki... To cóż? Moja Wando kochana, nie pierwszy to raz i ostatni przekonasz się, że spełnienie obowiązku różne nieprzyjemności za sobą pociąga, a tchórzostwo czym innym nie jest, tylko chęcią uniknięcia przykrości dla siebie i ukochanych swoich... Jeszcze przed odebraniem twego listu bardzo wiele myślałam o tym i sama sobie lajałam, że kiedyś mi się usprawiedliwiła możliwością złych następstw i dalszych trudności, ja także przekupić się dałam tą potrzebą odmuchania cię z wszelkich kłopotów; a dziś już za późna przestroga. Bądź co bądź jednak, niech się z nią wyobraźnia twoja oswoi, a sumienie niech ją na różne strony przerachuje; może się później, w rozdzierzgnięciu<sup>212</sup> innego supelka przyda.

Tchórzostwo

Kiedy ci już powiedziałam, co źle zrobiłaś, muszę ci teraz powiedzieć, co zrobiłaś dobrze. Oto dobrze zrobiłaś, że żalowałaś dwóch przemilczeń swoich i że mi powieść przysłać obiecujesz. Ani się domyślasz nawet, jak *dobrze* zrobiłaś. Ja ci nie powiem teraz w pierwszych chwilach, dopiero później, później, kiedy będzie najzupełniej materiałem wspomnienia. W tym tygodniu Pszczonowskie panie będą z Lublina przez Warszawę jechały, masz więc sposobność na wyprawienie i papierów, i powieści angielskiej. Do Seweryna pisałam; zapewne list go leszcze w Meran zastanie: cóż jednak powiesz? Owe niedoczytane wiersze ciągle mi w myśli zawadzały; nie pisałam ani swobodnie, ani tak długo, jak do niego pisywać lubię, bo mię różne przypuszczenia na pasku trzymały. Dziwisz się, że mogę jakąś wagę przywiązywać do słów osoby, z którą sama w bliższym stoje stosunku i od której sama dowiedzieć się mogę tego, co o mnie myśli. Toż właśnie jest przyczyną, że nie spodziewałam się wcale w cudzym liście pod tym względem czegoś takiego, czego bym usłyszeć nie powinna. Niech ten kamień w wodę wpadnie.

Jeszcze mam ci parę słówek o Filipinie napisać. Stawiam ultimatum moje: jeśli chcesz, żebym kiedykolwiek na cokolwiek pióro wzięła do ręki; jeśli chcesz mi wielkiej, największej przykrości oszczędzić (a tu o żaden obowiązek mój nie chodzi); jeśli chcesz zresztą być jedynym, ostatnim punkcikiem, do którego mogę resztkę ufności mojej, a raczej zaufania skierować, — to nigdy i przed *nikim* nie wydasz się ze współudziałem moim w tym bluszczowym artykule. Nie narzucam ci, byś go na własne barki przyjęła; ale masz prawo milczeć i raczej to ścierpieć, aby tobie był przypisywanym. Po sprawiedliwości, czyż nie twój? czyż nie przerobiony tylko? czyż nie twoją myślą i pracą wywołany, zasiany, doprawiony? Gdyby raz się między ludzi rozeszła nasza kolaboracja, to by jej nigdy

<sup>212</sup>rozdzierzgnąć — rozplątać. [przypis edytorski]

właściwego sensu nie uznali; szczególnie też o ile mieliby szerokie pole domysłów roz-  
warte. Bo gdy byśmy jawnie ze współką naszą wystąpiły, to co innego; ale sekret, choć  
najniewinniejszy, zawsze ludzi gorszy i koniecznie na czyjąś stronę krzywdzącego wy-  
tłumaczenia szukają. Niestety — jawna współka niepodobieństwem, bo ja bym nic już  
prócz głosu doradczego nie wniosła do niej; nawet takiej jak dla Filipiny korekty. Pomi-  
nąwszy inne ważniejsze tamy, jeszcze do mniejszych rozproszenie życia należy. Jak ci się  
zdaje, czy ja z Pszczonową piszę? Nie, moja Dziunieczko, i twój list nie w Pszczonowie,  
lecz w Dębowej Górze odebrałam. Zostanę tutaj aż do powrotu Wituchny, a później  
zaczynają się wakacje i znowu zjazdy lub rozjazdy rodzinne. Nie bardzo jednak ręce nad  
moim losem załamuj, bo mię to nic a nic nie martwi, kiedy się mogę z którą siostrą lub  
siostrzenicą zobaczyć, chociaż czasem tak jak ostatnia bytność moja w Warszawie — ale  
już o niej mówić nie warto. Uściskam cię bardzo serdecznie i w oczy pocałuję przez sen,  
jeśli to prawda, że lepiej wyglądasz. A co o broszurze Seweryna? Zosię i Manię pokochaj  
ode mnie — ojcu najżyczliwsze pozdrowienia — jak się na 2-gim piętrze miewają?

Niecierpliwie wyglądam bliższej o Wohlu wiadomości. Jeszcze przed świętami pisać  
do niego zaczęłam; teraz, gdy mi znów kilka słów jego się dostanie, będę miała więcej  
do powiedzenia. Czy Pani Bol[esława] prędko wraca? lub czy przez jej męża od matki  
Woh[la] listu pożyczyć by się nie dało?

## LXXXVII

25 maja 1867, Pszczonów

*Śnieg pada.*

A toć ja mam sumienie, Wando moja kochana! Jeśli to ma być istotnie upokarzającą  
dla ciebie przykrością, że przeczytam kilka arkuszy, które z cudzej namowy jedynie, więc  
martwo, bez natchnienia, zupełnie źle napisałaś — jak widzisz, co do słowa ci wierzę  
— jeśli na ofiarę tylko, niby przed bałwankiem w świątyni lub przed samolubnym, wy-  
magającym amantem wstydlivość swoją i cierpienie swoje mi składasz, to ja najmniej-  
szej do tego nie mam kwalifikacji i przyjmować mi nie wolno. Papiery twoje leżą też  
nierozpieczętowane dotychczas na mojej komodzie, czekając dalszych twoich wolnych  
i nieprzymuszonych rozporządzeń.

Muszę ci tylko wytłumaczyć, dlaczego tak niedyskretnie się o nie naprzykrzałam.  
Wszakże kilka już razy wspominałam ci o chronicznej mojej chorobie — o apatii. Każdy  
z nas we krwi swojej przynosi zaród jakiejś śmiertelnej niemocy; ja się urodziłam apatycz-  
ną. Nie od razu wprawdzie spostrzegłam się na tym; zdawało mi się nawet, że, ponieważ  
okropnie się tym brzydę i ciągle przeciw temu wojuję, nic więc podobnego mi nie za-  
groża; a jednak widać, że to były instynktowne opory — przecuciowe strachy jedynie.  
Zdarzają się bardzo często i w bardzo rozmaitych kierunkach: np. jest pełno gwałtownych  
pociągów, co się w pierwszym objawie swoim wszystkimi przypadłościami wstrętu ce-  
chują. Musiałaś przecież słyszeć o kobietach, co poszły za ludzi pierwaj znieawidzonych  
niby i wyśmianych przez siebie; o mężczyznach, co się szalenie w ofiarach swego szyder-  
stwa lub potępienia zakochiwali. W naturze leży owa potrzeba ucieczki i obrony przeciw  
wszelkim zbyt silnym skłonnościom. Otóż ja uciekałam tylko i broniłam się przeciw mo-  
jej rodowej, a utajonej apatii. Apatia była zmorą mej wyobraźni — grozą mego sumienia  
— piekłem fantastycznych moich poemacików. Od Mainki lub raczej Niklotka, aż do  
Beniaminka z *Poganki*, łatwo się możesz przekonać, że najzupełniejszym nieszczęściem  
i najdotkliwszą karą wszędzie stawiałam apatię — a to dlatego, że, według organicznych  
praw mojej osobistości, na nieszczęście moje i karę moją sądzona mi była apatia. Ledwo  
pierwszy kamień Syzyfowy z wierzchołka góry mi się stoczył i nogi pogruchotał, zaraz  
w pełnej rozwinęła się siła — przepraszam: *sila* i *apatia*, wierutny nonsens! — rozwinęła  
się w pełnej bezsilności; ale że coś podobnego do wolnej woli nie jest znów wierutnym  
nonsensem w człowieku, więc ja się także otrząsać i leczyć z choroby zaczęłam. Potem  
inne windowałam kamienie i inne mi spadały także, a za każdym spadkiem symptomata  
coraz śmiertelniejsze. Ja się wszelako dziś nawet nie opuściłam ostatecznie; szukać nie

szukam, lecz gdy się zdarzy co pomocnego, choć w radykalną skuteczność nie ufam, skwapliwie jednak na ulgę przyjmuję. Wygrać tydzień, miesiąc, by też i godzinę tylko, wielką jest rzeczą, kiedyśmy się już spodziewać przestali. A coraz trudniej, coraz trudniej wygrywać, słabną wpływy różne niegdyś zbawienne, tępieją nerwy... Zresztą dajmy pokój analizie; fakt już masz sobie przedstawiony — w smutnej całości swojej — apatia. Powiem ci teraz, że najniespodzianie w świecie odkryłam, iż twoje listy mogą mię do pewnego stopnia galwanizować, a to, co piszesz, wyraźnie jakąś ruchliwość w sparalizowanych władzach mego umysłu wywołuje. Bez wątpienia, czytałam i czytuję wiele piękniejszych rzeczy, bezwzględna wartość literacka nie ma nade mną władzy — ty ją masz — o ile z innych złożoną pierwiastków? — to także dajmy pokój analizie. Kiedy czytałam twoją powieść, układała mi się w myśli druga, prześliczna, którą „powinnaś” była z niej napisać. Twoje rozprawki wywoływały ze mnie więcej zapomnianych spostrzeżeń i potworzonych niegdyś kombinacji, niż najfilozoficzniejsze i najuczciwsze innych autorów traktaty. Przy twoim tłumaczeniu zaczęłam na gramatykę i zwroty polszczyzny uważać, co mi się może nigdy w życiu nie zdarzyło. Istotnie, wierz mi, zgorszyłabyś się, gdybyś wiedziała, jak ja hurtownie wszystko biorę na „podoba mi się” i „nie podoba mi się”. Aż często zakłopotaną bywałam, kiedy, na wieczorach u pani Góreckiej, trzeba mieć było z sobą zdanie wymotywowane o nowej książce tak jak rękawiczki na ręku (ja do was i w poniedziałek podobno z wielkim zgorszeniem Maniusi bez rękawiczek przyszłam). Dla ciebie, bez najmniejszego przymusu, i uwaga, i zdanie się znalazło; toteż, kiedy mi wspomniłaś, że z mego planu nic dobrego zrobić nie mogłaś, ja sobie przypuściłam do głowy, że właśnie z twego *nic dobrego* — ja moje — jeśli nie dobre, to przynajmniej moje — li z *twego, moje* zrobię. Więć się napierałam... pierniczka — a ty nie dałaś, bo tak śp. pan Jachowicz radził; i może masz słuszność. W tej chwili przynajmniej, w dziesiątej części już tak pewna siebie nie jestem jak pierwej, czy potrafię ten nowy zasilek spożytkować — czy warto przeciw najniepewniejszej możliwości — pewną twoją przykrość stawiać? Raz jeszcze powtarzam słowa, od których zaczęłam: mam sumienie, moja Wando. Przejdźmy do drugiej kwestii.

Mam sumienie — bardzo nawet czułe, jak widzisz, a jeszcze nie mogę zmiarkować, dlaczego mi przemilczałaś te kilka wierszy z listu Seweryna, kiedy bym ręczyć mogła, że to samo, przy zdarzonej sposobności, albo on sam by mi powiedział, albo ja bym mu powiedziała. Jest to jedna z owych rzeczy niezaprzeczalnych, moja Wandeczko, a choć się na nią oburzasz i lekceważeniem ją odpychasz, nie przeskoczysz tego jednak, że jest i że jest bardzo wielką ujemnością. Istotnie Deotyma więcej ma erudycji — więcej nauki — a szczególnie daru bożego, o który się w pacierzu prosi: *pamięci*, jakkolwiek byłam zawsze środków naukowych pozbawiona, książek najpotrzebniejszych głodna, jeszcze z tym, co mi pod rękę wpadło, może bym się w zawody puściła, gdybym miała choć z połowę tego żywca w pamięci zachowaną. Lecz niestety! — mnie pełno biograficznych szczegółów przepada — jakże chcesz, żeby naukowe nie przepadały. Jest to zawsze i we wszystkim skutek tej samej organicznej choroby mojej, apatii. Takie tylko pamiętam rzeczy, które mię zajmują; a mogących mnie zająć niewiele. Juścić mnie świat cały i cała nauka zajmuje pośrednio; ale czuję i pamiętam bezpośrednio jedynie; dlatego mało mam ludziom do powiedzenia, choć może i dlatego także, niektórym, jak Sewerynowi, zdaje się, że mówię żywszym, energiczniejszym słowem — a po prostu moje słowa jak myśli moje są kompendiami tylko, kropelkami jakiejś z czegoś wyciśniętej esencji. Czy z życia, czy z książki, zatrzymuję pewne sumki jedynie; ale choć to jest łatwą do *wytłumaczenia* rzeczą, nie wyobrażaj sobie jednak na swoją i moją pociechę, że jest równie do *usprawiedliwienia* łatwą. W wielu zdarzeniach ciężko już odpokutowałam moje lenistwo umysłowe, bo jednak pewna jestem, że gdybym w pierwszej młodości nie ludziła się pozorną obfitością „zajmujących” mię rzeczy, a baczyła ściślej, ile potrzebnych i użytecznych z pamięci się wysuwa nieznacznie, to bym się mogła ratować. I gdybym w pierwszym smutku moim zrozumiała, jak to równocześnie pamiętane z zajmującym w równej mierze nicestwieje, to bym się lepiej i skwapliwiej dozierała. Teraz za późno, kiedy właśnie pamięcią, nie wrażeniami posiłkować się trzeba; bo wrażenia coraz niepodobniejsze, pamięć także służbę wypowiedziała. Jak mi okropnie czasem, moja Wando — no, co tam się rozwodzić, i tobie gorączki przysparzać. Moje *okropne* nawet tyle dziś nie znaczy co twoje *nieprzyjemne*; więcej też dla groźby niż dla postrachu byłabym ci stan mój opisywała. Bardzo się niepo-

Nauka, Pamięć



koję, żebyś dla siebie samej tak pobłażliwie jak dla mnie się nie wyrzekła „leksykonowej” zdolności. Im dalej w przyszłość, tym ona konieczniejszą — bo niezbędną składową częścią nauki. Liryka mogła w pierwszych wiekach Grecji i chrześcijaństwa wystarczać, ale po rewolucji francuskiej i polskiej, po takich zubożeniach i zubożeniach, trzeba koniecznie *nauki*. Alboż to ja od kilku (blisko kilkunastu lat naszej znajomości) nie wołam ciągle: „ucz się Wando”. Za to, że ja mało umiałam, za to, że pamięci nie wykształciłam, za to, że już nic użytecznego nie zrobię: „ucz się Wando”. Chyba przeczuwałaś, iż na ciebie takie morały spadną i dlatego nie chciałaś słów Seweryna przeczytać. Innego powodu nie widzę — alboż on miał jaką niezyczliwą intencję?

Oj, ty dzieciaku, dzieciaku mój trapieliu — czy zrozumiesz kiedy, jakim to dla mnie błogosławieństwem pożądanym będzie, jak znajdę kogo, co ze mną wszelkich ceremonij zaniecha — a nie Seweryna mam na myśli, lecz ciebie właśnie, co mogłabyś już przecie oswoić się i z krochmalu wykruszyć. No, kochasz mię — wierzę temu, widzę to, ale jak mię kochasz? Gdybyś nie była nerwową i drażliwą osobką, to bym ci powiedziała może. Zastanów się, czy masz dość stoicyzmu? czyś dość zdrowa, pomimo tej flagi nieustannej? czy się czujesz na siłach, by o tak delikatnej kwestii zupełnie bezinteresownie rozumować? Jeśli się na spokojne usposobienie zdobędziesz, to ci powiem; a dzisiaj dam ci tylko do rozmyślenia i zważenia taki fakt: „że kto będzie ze mną, jak gdyby był sam z sobą” — ten mi zrzeczywistni jeden z napiętniejszych i najwięcej upragnionych życia ideałów. Być z drugim jak z samym sobą. Ach! Wando, co ja głowy narozbijałam i rąk nałamałam, a dojść do tej perfekcji nie mogłam — i pewno nie pójdę, póki żyć będę.

Co do Filipinki teraz — czy możesz sumiennie powiedzieć, że się na nią nie składałaś? Nie możesz; więc nic nie mów, a kiedy Mania twoja cię prześladowuje, to nie rób min takich, jak je tu sobie w Pszczonowie wyobrażam, tylko jej powiedz uroczyście, że ta cała kwestia jest dla ciebie bardzo drażliwa i że o jej zaniechanie prosisz. Kiej licha, żeby też się na powagę nie zdobyć! Gdybym zresztą kłamstwa, a w najlepszym razie komedii od ciebie wymagała, to jeszcze mogłabym pojąć twoje trudności; ale kiedy o pół prawdy chodzi — kto wie nawet, czy nie o dwie trzecie części zresztą. Bo weźmy sprawiedliwy rachunek: jeśli, jak powiadasz, i redakcja swoje poprawki poprzydawała, to bardzo mało do mnie należy. Twój fundament, moje mury, jej dach; dziwię się, czemu śmieiej z zaprzeczeniem nie występujesz. W ostatnim razie możesz wszystko pólśłówkami na autorkę *Nauczycielki* spędzić. Oto mi jeszcze jeden figiel przychodzi do głowy. Gdyby ci Ilnicka honorarium Filipiny przysłała, to w jakie kilka dni odeślij je z listem oskarżającym Filipinę o dziwactwo (pierwszy list z pochwałą pisałaś? Oj, ty!...), powiesz, że cię prosiła, abyś ją w jej imieniu bardzo pięknie podziękowała redaktorce, lecz wytłumaczyła zarazem, iż tyle korzystnych zmian spostrzegłszy w swoim pierwszym niedokładnym zarysie do żadnego wynadgodzenia sumiennie uprawnioną się nie czuje — wdzięczna jest tylko itd. itd., a przekonana o własnego talentu miernocie, weźmie się do innej pracy itd. Trzeba nam widzisz, moja Wandeczko, honor Anonimów utrzymać — zwłaszcza przed panem Ale... Kraje<sup>213</sup>...

Istotnie, ja tak zupełnie zapominam, co sama napiszę i co twojego nawet przeczytam — ma się rozumieć zapominam wyrazowo — że i tutaj jedna mię tylko wzmianka greckich strojów uderzyła — a to dlatego, bo wspomnienie o drobnych listkach haftu jest historycznie tradycyjne i odnosi się do matki ministra Brezy, a ministrem był sam Breza u króla saskiego księcia warszaw[skiego] i do biednej sieroty, której marszałek Raczynski między pierwszym a drugim rozbiorem kraju majątek zagrabiał — wtenczas tedy greckich strojów nie noszono. Myślałam, że tobie na myśl przyszły i nic a nic się tym nie obraziłam, bo i teraz nie bardzo — tylko tak z humoru — istotnie humorystyczne są całe dzieje owej *Rzeczy*.

Dzisiaj więcej nie piszę — strasznie jeszcze mam głowę rozkołatąną przejazdami, wizytami. Od głupstwa do bólu i zawrotu, wszystkiego w niej po trosze; dlatego nie winszowałam ani Zosi, ani Julci — nie znalazłabym może takich słów, jak mi trzeba.

Nie wiem, kiedy będę miała okazję i kiedy książki odeślę. Na wszelki przypadek jednak, zamawiam u ciebie, żebyś wywiedziała się, czy w razie okazji będzie u Julii mój

<sup>213</sup>pan Ale... Kraje... — Aleksander Krajewski, sybirak (1819–1903), współpracownik „Biblioteki Warszawskiej”. [przypis redakcyjny]

paszport gotowy i czy Kazimiera złożyła na koniec dla mnie tę powieść Ulbacha, którą prędko oddać przyrzekała.

Co się z waszym zdrowiem dzieje — wy wszystkie chore moje? Zima nie chce ustąpić, jak gdyby się i ona na pocziwych ludzi uwięzła. Tobie pewnie jeszcze nie pozwalają wychodzić. Co by to zrobić z tym słońcem majowym i z tą Wandą moją?

Bardzo mię to zabawiło, że w *Produkcji Literackiej* na drugiej kolumnie zaraz domyślałam się autora, chociaż nazwisko dopiero przy końcu artykułu umieszczone było. Zdrowo i pocziwie napisane; ale cóż na to powiesz, moja droga? nie katechizmowy dogmat. Miałabym wielką ochotę... Może dlatego, że nie dokłamałam w życiu autentycznym tyle, ile wszelki ludzki organizm kłamać potrzebuje, nadzwyczaj lubię dopuszczać się różnych kłamstw literackich, za mistyfikacją przepadam. Tobie już żadnej roli w żadnej nie dałabym do odegrania, bo jesteś najniezręczniejsza mistyfikatorka, ale zdaje mi się, że Zosia<sup>214</sup> ze swoją niby zaspną minką doskonale by to przeprowadziła. Gdyby np. wniosła na serio przed autora projekt ograniczenia prasy dziennikarskiej — po co arkuszowe co dzień gazety? esencja telegraficznych wiadomości i co tydzień, co miesiąc nawet, rozumowany przegląd ogólny ubiegłych wypadków, a potem zredukowanie widowisk teatralnych do arcydzieł tendencyjnych — koniecznie arcydzieł i koniecznie tendencyjnych. Które by to? Zdaje się, że Rasya moralniejsze od Szekspirowskich itp.

### LXXXVIII

[Pszczonów] 31 maja 1867

Kiedy wyjeżdżasz do Julci? i czy istotnie masz zamiar przed wyjechaniem do Tomaszowa się wybrać? Z tą chorobą na drugim piętrze, po takiej zimie szkaradnej, dłuższy pobyt w Warszawie jest mi dla ciebie wcale niepotrzebny. Chociaż się zdaje, że smutek i wiadomość o nieuchronnym nieszczęściu wszędzie jednakowo duszę przygnębia, to jednak widok sam cierpienia, zbiór wszystkich owych szczegółów bolesnych, z których każda strata się składa, jest zupełnie dodatkowo, fizycznie na zdrowie szkodliwy. Gdybym była Zosią i Manią, to bym cię zaraz z domu wyprawiła, zwłaszcza że dni tak piękne i ani za chłodne, ani za gorące. Prawdziwe dni do podróży. Kochana ciocia Markiewicz zawsze, lecz tym bardziej dzisiaj, za to, że cię do siebie zaprasza! Wybierz się tylko, a niezawodnie i ja się wkrótce u was zjawię. Właśnie zaczynają się lub, właściwiej mówiąc, od Wielkiej Nocy zaczęte, rozszerzają w dalsze koła wędrówki rodzinne. W przyszłym tygodniu Kornelia z mężem wraca w Augustowskie, a za kilka lub kilkanaście dni Witeczka ze swoim Lutkiem tąż samą puszcza się drogą. Nic a nic nie będę miała do roboty. No cóż, Wando? jakie tam trudności i niepodobieństwa wyekstraktujesz przeciw mojemu projektowi? Teraz na przyjazd Seweryna ja stąd nie mogłabym się wybrać, a nawet gdybym mogła, to bym może nie w porę do Tomaszowa trafiła. Najpewniej Seweryn krótko tylko się zatrzyma — po tak dalekich kilkumiesięcznych wycieczkach, najbliższe sobie kółko rodzinne, będzie i najszcześniejszym także, gdy samo w sobie się zamknie. Osoby z zewnętrznego świata, jakkolwiek nawet kochane i cenione, przeszkadzają wtedy. Chciałabym jednak wiedzieć, którego dnia i którym pociągiem przez Skierniewice nasz podróżnik będzie się przesuwał. Pociąg się zatrzymuje kilkanaście minut, kto wie, czy bym z powitaniem nie pośpieszyła. W każdym razie złożę u ciebie list dla niego — aby mię wspomniał i miał między najżyczliwszymi, taką na chwilę powrotu, jaką z nim byłam w chwilach pożegnania — to jest, nie zupełnie taką — bo jeszcze życzliwszą, jeszcze „osobiej” potrzebującą, żeby mu się dobrze na świecie wiodło. Miałam list od niego, już w odpowiedzi na ten, który po Świątach wysłałam. Spodziewam się, że tyle przynajmniej sensu jest w biografii jednostek, iż mu się kiedyś czym bardzo pięknym i dobrym życie za to wypłaci.

A teraz powiem ci, Wando, że list twój z upoważnieniem i wieloma innymi kwestiami wczoraj przed samym obiadem wręczonym został. Po obiedzie natychmiast rozerwałam pieczętkę, wysunęłam papiery i zaczęłam czytać. W niczym a w niczym nie omyliłam się co do ich skuteczności na moje usposobienie. Gdybyś przy mnie była siedziała, to bym

<sup>214</sup>Zosia — Grabowska. [przypis redakcyjny]

cię bez litości zapędziła do pióra i musiałabyś tu jedno zdarzenie opisać, tam okoliczności więcej nagromadzić, tam rozdział na inny ton nastroić — a tamten w uderzonym już tonie utrzymać. Słowem, całe poobiedzie „komponowałam” z tobą do wspólki — chociaż wiedziałam, że to wszystko i tak było pod przymusem<sup>215</sup> pisane. Gdybym się czuła w trochę więcej stylowej werwie, to bym cię poprosiła o zwrot mojego schematu, a później z twoich różnych ustępów i z tych, które jeszcze w zimie na twój rachunek przygotowywałam, zobaczyłabyś, co by to się za mozaika ukleiła. Jestem wprawdzie skromna bardzo, ale na ten raz myślę, że wyrównałibyśmy przynajmniej Kraszewskiego *Żelidze*, Majorowi itp. a przeszły Maleszewskiego<sup>216</sup> bez Boga.

Szczęściem czy nieszczęściem dla literatury ojczystej, nie jestem wcale przy talencie, ani przy słowie. Nawet do listu trudno mi dobrać takiego, jak bym sobie życzyła. W tej fazie przytępiłości umysłowej, nie chcę zaczepiać drażliwej kwestii, na którą mię wyzywasz i analizować uczucia twego, kiedy<sup>217</sup> ostatecznie bardzo za nie Panu Bogu najpierwej (jak to ludzie mawiają), a potem tobie wdzięczną być powinnam. Nie lękaj się w takich sprawach szczerego wypowiedzenia swoich przekonań i pretensyj, nigdy ze mną odwleczony nie uciecze. Jest to nieuchylone fatum mojej natury; więcej mi nieraz nabruzdziło w życiu niż pomogło, ale się spod niego uchylić niepodobna. Przyjdzie więc i na ciebie kolej, doczekasz się mnóstwa moich obserwacji. Ciekawam tylko, jak na ciebie działa to zastrzeżenie moje. Czy ci się zdaje, że moje *obserwacje* znaczą *plus* czy *minus*?

A teraz kwestia Filipiny i pieniędzy. Znowu ci muszę powiedzieć, że dzieciak jesteś. Samo przypuszczenie, jakobym ja się żenowała redakcyjnych pieniędzy, jest *sublimum* dzieciństwa mojej rozmarzonej, za bawialne pokoje nigdy niewychodzącej Wandeczki. Czy ty myślałaś kiedy, że ja kapitalistką jestem *et que je vis de mes rentes*?... Ale tutaj inna kwestia. Redakcja ma prawo nie przyjąć artykułu; nie ma prawa, bez wspólnego porozumienia się, zmienić ani pół sylaby. To jest szkaradny barbarzyński despotyzm, na nieszczęście bardzo u nas rozpowszechniony. Za granicę wytoczono by proces i raz drugi opłacone koszta przytarłyby rogów samowładcom; tutaj jest ogólna apatia tak wielka, że nikt nie umie „swego prawa dopilnować”. Otóż, trzeba ci wiedzieć, że uważam za jeden z obowiązków obywatelskich „umieć swego prawa dopilnować”. Ile razy tego nie zrobię, zawsze nawymyślam sobie, że jestem niedołężna itp. domyśl się różnych synonimów niedołęstwa. Kiedy onego czasu Wójcicki w „Bibliotece” zmienił mi tytuł artykułu i zakończenie obciął, bardzo surowo się o to upomniałam, lecz, jak widać, nie dosyć głośno, kiedy przy drugiej sposobności coś takiego samego się zdarza. Nie Ilnickiej to sprawa; gdybym wiedziała, że jej, to najpierw dla mnie samej nabrałaby innego znaczenia. Ilnicka zrobiłaby to w najlepszej wierze przez nieoględność prawną; lecz pan Ale... Kraj... ma dość praktyczności i stosunkowości, aby wiedzieć do gruntu, co taka drobnostka w treści swojej znaczy. Sybirski papież, chociaż w granicach Europy od dziesięciu lat mieszkający, nie może się ze swej nieomyślności wyleczyć; kiedy więc mogę homeopatyczną kruszyną lekarstwa się przysłużyć — czemu nie? Jakkolwiek trzynastoma rublami nie pogardzałabym nigdy i tobie złego nie dawała przykładu, jednak zdaje mi się, że mogę sobie i tobie sprawić za nie maleńkie dla papieża (niesłusznie go tak koledzy nazwali, gdyż, zważywszy miejscowość promocji, powinien być raczej za Dalaj-Lamę uważany — co i nam względem niego rozwiąże sumienia), mogę sprawić maleńkie „zaintrygowanie”, jedna mię tylko rzecz mąci — względem na Ilnicką; jej rzeczywiście nie chciałabym ani maleńkiej, ani najmniejszej nawet zrobić przykrości; lecz pewna jestem, że się w niczym do poprawek nie przyczyniła. Wszakże sama kazała ci powiedzieć, iż artykuł panu Ale[ksandrowi Krajewskiemu] natychmiast oddany został.

## LXXXIX

[Pszczonów] Drugi dzień Zielonych Świątek 1867

<sup>215</sup> całe poobiedzie „komponowałam” z tobą do wspólki (...) — wciąż mowa o owej próbie powieściowej Wandy, skreślonej na kanwie Żmichowskiej. Współpracownictwa tego zaniechano, w kilka zaś lat później Żmichowska sama rozwinęła swój szkic w utworze *Czy to powieść?*. [przypis redakcyjny]

<sup>216</sup> Władysław Maleszewski (1832–1913) — redaktor „Biesiady Literackiej” (pseud. Sęp). [przypis redakcyjny]

<sup>217</sup> kiedyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

Śliczny tytuł uroczystości, pora roku przesłiczna, a jak pamięcią przywołać mogę wspomnienia, tak mi zawsze smutniej od innych dni świątecznych te dwa dni „Zielone” schodziły. Często bardzo jaka okoliczność je zachmurzyła, częściej może wewnętrzne bezokolicznościowe usposobienie. Tęgo roku było jednego i drugiego po trochu, najwybitniej zaś górowała niespokojność. Czekałam twego listu z całą pewnością (nie lubisz tego wyrazu, lecz dla mnie ma on inne i kosztowniejsze znaczenie), z pewnością „przywyknienia”. Kiedy ostatnia możliwość pocztowa mnie zawiodła, wszystkie wasze straty i zmartwienia rodzinne zsumowały mi się w twojej chorobie; że jednak mam wielką względem własnych zasad sumiennosc, więc, jako innym radzę, by złego nie uprzedzali, ani wywoływali z niewiadomych iksów losu, tak sama starałam się różnymi wnioskami złe domysły rozproszyć. Może Staś przyjechał, może Seweryn wrócił, może was tak na górze potrzebują, że nie miałaś czasu do pisania, może być wiele innych racjonalnych powodów. Mnie przecie ciągle niby brudna plama z oleju to na mózg wybija, że jesteś chora lub w każdym razie więcej niż kiedykolwiek zgnębiona i cierpiąca. Jeśli tak jest naprawdę, wielkie głupstwo robię, że dziś piszę do ciebie, Wando moja, bo też naprawdę wielce głupią się czuję; alii w tym właśnie konsekwencja. Zadłużyłam się w odpowiedziach niektórym z moich poczciwych; myślałam, że im się uiszcę wraz ze świątecznym powinszowaniem; nic z tego! W domu jest trochę gości, a w głowie dużo bardzo — Anglicy mówią *blękitnych*<sup>218</sup>, ja powiadam *wyblakło-fioletowych* diablików. Czy znasz brzydzy kolor od różowo-dhalio-fioletowego koloru, co na deszczu i słońcu wypelznie? Diabły muszą być tego koloru, nie czarne, bo czarny najpiękniejszy — nie blękitne, bo to kolor pogodnego nieba, kilku par oczu blisko mię obchodzących i twego gustu, jeśli się nie mylę. Dawniej utrzymywałam, że mogą być diabły popielate, dopiero później przekonałam się o niepodobiestwie tego, jak zobaczyłam jedną popielatą sukienkę ze szkockim obszyciem. Czy wiesz, Wando, że ta sukienka, której pewnie już nie ma na świecie, coraz więcej mi się podoba. Mam czasem dziwne retrospektywne zachwyty moje. Co za zły przykład — retrospektywne! — Ot, gdybyś tak napisała w jakim tłumaczeniu, zaraz bym notę z odsyłaczem i przypiskiem położyła: „czemu nie wsteczne”? — bo też raz na zawsze upominam cię, żebyś ze mnie w niczym przykładu nie brała. Moja pociecha największa, kiedy sobie pomyślę, że inną jesteś, i inną będziesz, i w wielu względach zupełnym przeciwieństwem się stawisz. Jednej tylko władzy mojej, jednego talentu chciałabym ci choć w połowie ustąpić: mojej kamiennosci na nieszczęście. Mnie się ona apatią wydaje we mnie, lecz w tobie zamieniłaby się w stoicyzm. Ja mniej cierpię od drugich, bo mię już bardzo mało rzeczy obchodzi na świecie, i kilka razy dobrze już sobie głowę o mur natłukłam, więc stwardniała; lecz ty mogłabyś się zdobyć — gdyby przyszło do tego, że zdobywałabyś się rzeczywiście — zdobyć na pogardę boleści. Rezygnacja nie twoim fachim; w żadnym nerwie twoim nie ma materiału na cierpiętlivość pokorną, a w żadnej władzy umysłowej nie ma tych kształtów myślenia, tych kategorii, czy, jak tam chcesz, zdolności, skłonności, usposobień logicznych, by cierpienie do Boga odnosić. O ile ci tego w dzieciństwie, a szczególnie w pierwszej młodości ksiądz nie powiedział, o tyle sama nigdy byś na ten pomysł nie wpadła, że „kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła”. Twoja natura czuje Boga źródłem szczęścia, prawem szczęścia, obowiązkiem szczęścia dla wszechświatów; dlatego łatwiej, jak mówiłam, mogłabyś w sobie pogardę nieszczęścia wyrobić, zdeptać je przynajmniej we własnej duszy, gdy niepodobna w zdarzeniach; wstydzic się go przed ludźmi jak ubóstwa, a przed sobą we własnym najtajniejszym sumieniu, jak grzechu i kobiecej głupoty (kobiecej, odnośnie do pojęć starych Rzymian, Napoleona I-go, jednego z moich szwagrów i wielu zapewne tobie samej znanych ludzi). Zawsze mi się widzi, że masz wiele danych na taką walkę i zwycięstwo; tylko pierwszego ruchu nie umiesz czy nie chcesz wykonać, lub raczej nigdy ku temu z własnego nie zabrałaś się popędu. Parę razy czytałaś, co ja ci o tym pisałam; byłabyś może na moją intencję pragnęła jakiejś moralnej ewolucji dokonać, lecz podobne rzeczy muszą być zupełnie czysto miejscowo samorodne; żadna kombinacja wyrazów nie da ci tego, co przeblask jednej myśli samorodnej — niekoniecznie tak samorodnej, żebyś nowe pojęcie stworzyła — lecz żebyś, choć najdawniej stworzone, urodziła w sobie z podobną do siebie

Cierpienie, Bóg

<sup>218</sup>Anglicy mówią *blękitnych* (...) *diablików* — *blue devil* [przenośne, figuralne określenie stanu emocjonalnego: głębokiego smutku, melancholii, rozpaczy, depresji]. [przypis redakcyjny]

twarzą. Musiałś nieraz przecież obchodzić takie narodziny. Słowa czy uczucia, maksymy czy systemata od dawna powtarzane, znane ze wszystkich cech i sylab pamięciowo, nagle uderzają cię nowym, li przez ciebie pochwyconym względzikiem — i dziwisz się dopiero — „więc to to — więc to tak”... Jeżeli tedy przyjdzie chwila podobna, w której sama przez się uznasz dla samej siebie jakieś prawo przeciw nieszczęściu i boleści, wnioskuję, że to prawo będzie bliższym stoicyzmu niż rezygnacji. Ha, wnioskuję, najpewniej dlatego, bo tak bardzo pragnęłabym cię mieć „niecierpiącą”. Co się u was dzieje, nie pytam, wiem, że ciężka żaloba, i wiem, że coraz bardziej jedni od drugich i przy drugich smutniejecie. Dziwię się, czemu ciebie do Tomaszowa nie wysłano; choć teraz to bym raczej wołała, żebyś wprost do Julci jechała. Plan z egoizmu — gdyż zmieniły się domowe okoliczności i, według wszelkiego podobieństwa, nie mogłabym teraz do ciebie tam podążyć; a chociaż wypadaloby na to samo, jak kiedy w Warszawie i w Ludzimierzu siedzisz, jednak nie chcę się na pokusy nierozsądnych jakichś żalów wystawiać. Paulinka znowu w tym czasie trochę więcej była cierpiąca i za parę dni do Warszawy na poradę z lekarzami jedzie. Mam nadzieję, że aby przez nią książki odeślę. Kilka razy już były na bryczkach i zawsze okazje zostawały w domu. Przez ten tydzień będzie ich kilka za to.

Uściskaj siostry swoje ode mnie, pozdrów ojca i wszystkim powiedz, że ich bardzo proszę, niech koniecznie zdrowymi będą.

Kto pierwszy z państwa pójdzie na Ogrodową, to niech mię weźmie ze sobą w pamięci i niech do pamięci odda właścicielom cichego dworka.

Ach! moi drodzy, nie rozstanę się jeszcze z wami, póki się wspólnym jednym wykrzyknikiem nie podzielę — na wspólne udręczenie nasze.

Co za osły!

XC

[Pszczonów] *Boże Ciało 1867*

Jeśli się zdarzy kiedy, że za długo będziesz musiała czekać na moją odpowiedź, Wando, to się już zaraz domyśl, że nie piszę dlatego właśnie, iż mam ochotę długi list napisać, a różne okoliczności na przeszkodzie mi stają. Tak było i teraz — miałam trochę więcej... ledwo że nie napisałam „do roboty” — szczęściem sumienie moje takie jest baczne, gdy trzymam pióro w ręku, że się nawet przeciw użyciu pospolitych zwrotów mowy ludzkiej pilnuje. Do roboty? — jak gdybym kiedykolwiek cokolwiek miała do roboty na świecie! Nie — nie do roboty — ale do próżnowania. Pełno drobiazgów nieuniknionych, choć są i będą próżnością — w dodatku mocny katar i głośniejszy niż zwykle prąd życia codziennego ludzi, którzy koło mnie żyją — mają interesa, zatrudnienia, kłopoty — cały materiał na wypełnienie pewnego okresu w czasie między dwoma aktami cywilnymi: metryką i aktem zejścia. List twój z decyzją lub raczej ze sprawozdaniem o konsultacji doszedł mię, równie jak dwa późniejsze, ale właśnie dlatego, że nie było decyzji, moją decyzję opóźnił.

Miałaś słuszność; jeśli o demonstrację chodziło, to się z nią należało trochę pospieszyć; teraz już by śmiesznie wyglądała. Osobiste upomnienie się, życziwa rada i narada nie byłaby śmieszną, jest nawet ze wszelkich względów godziwą. Cóż na to powiesz jednak? W tym miejscu super. Trzeba napisać do Ilnickiej — zaczęłam kilka, ba — kilkanaście listów podobno i żadnego nie umiałam dostylizować do końca. Najgorsze utrapienie, że ta Ilnicka tak łatwo płacze — a ja mam dla niej osobistą wdzięczność za poczciwość jej talentu i poczciwość jej stanowiska towarzyskiego. Autorka bez żadnej awantury! — przynaj sama — trzeba szanować i oszczędzać. Deotymie za to, że jest przyzwoitą kobietą — gdyby jeszcze była straciła matkę<sup>219</sup> zamiast ojca — to prawie mogłabym życzyć, by się w niej Seweryn zakochał — jako pamiętasz pewnie oną rozmowę naszą. Tym więcej Ilnickiej, co łatwo zrozumiesz bez wątpienia, najmniejszej przykrości zrobić bym nie chciała. Jak więc się przekonałam, że napisać *nie potrafię*... Oj, ty dziewczyno moja — widzę tu z Pszczonowa, że mi nie wierzysz, a ja doprawdy już zaczęłam brulion układać

<sup>219</sup>Deotymie (...) *gdyby* (...) *straciła matkę* — z matką Deotymy, Niną Łuszczewską, rozdzieliły Narcyzę jakieś nieporozumienia. [przypis redakcyjny]

— śmiałaś się, gdybyś mogła była patrzeć własnymi oczami — gdy się tedy przekonałam o tym — postanowiłam do osobistej rozmowy rzecz całą odłożyć, a pieniędzmi z jej wiedzą, na co tam się zdadzą, rozporządzić. Prawda, że wymowa często mię zawiodła w najważniejszych chwilach mego życia — ale to znowu nie jest chwila najważniejsza i nie zachodzi w moje życie. Tak przeto masz sprawę zakończoną odroczeniem. Teraz jeszcze co najpilniejsze muszę ci powiedzieć: kiedy przesłałam ci ten wykrzyknik „osły”, to go także do liczby mnogiej zastosowałam tylko, bo tylko w liczbie mnogiej może być użyty; na pojedynczą jest miara inna — patologiczna — i litościwa — ach! jak boleśnie litościwa!

Dlaczego nigdy cię nie wypytywałam o Annę<sup>220</sup>? dopiero po twoim zapytaniu spostrzegłam się, że tak było i odpowiedzi nie znalazłam. Może dlatego, bo się nie domyślałam, iż co do pytania zostaje. Wiedziałam, że jest rozumną, że masz dla niej wiele przyjaźni — i jak ci mówię, nie przyszło mi na myśl, bym mogła o coś osobistszego się postarać. Abo co?...

Szkoda, że nie wiem, kiedy Seweryn będzie w Skierniewicach — przynajmniej do wiem się, kiedy do Warszawy przyjedzie. Czy ty mi dzień wyznaczysz — dzień swego przejazdu? Rozmówimy się jeszcze, bo dzisiejsza kartka na tymczasem jedynie. Przed twoimi imieninami będę jeszcze miała okazję — a może i dość cichości, aby dłużej — dłużej — dłużej porozmawiać — chociaż nie obiecuję serdeczniejszego uścisku, jak ten, któren ci w tej chwili przesyłam — moja, moja Wando.

## XCI

[Pszczonów] 22 czerwca 1867

Zimno się uwzięło na nas — co to będzie z twoim wyjazdem? co z przyjazdem Seweryna? — a co z moim o was oboje kłopotem? Ja tutaj ciągle w watowych kaftanach chodzę i tartanami się owijam. To przypuszczenie tylko pociesza mię niekiedy, że w Warszawie między murami cieplej być musi, że cię na rekolekcje nie zamknięto, i że w nadgrode półrocznego więzienia zupełnej używasz swobody... przynajmniej co do odwiedzin, bo co do innej swobody zupełnej, do swobody pewnej siebie jak prawo — to się jeszcze nie urodziłaś, moja na nieruchomość zakłeta w srebrnej trumnie dziewczyno. Istotnie, przyznam ci się, że byłam gotowa na wiele „trudności” twoich względem Dunkera<sup>221</sup> — niepodobierstwo układu z księgarzem, brak wprawy w tłumaczeniu, ważność przedmiotu — zdawało mi się, że całą twoją litanie noszę za ciebie w sercu i pamięci — aż tu mi spada coś zupełnie niespodziewanego na głowę. O skromności nie pomyślałam! Może masz słusność jednak. Dla mnie każda nauka i szczegół każdy naukowo wzięty zawsze skromnymi były; ale też moje życie całe od początku aż do końca zupełnie inaczej się utoşowało. Najważniejsza różnica w tym, iż nigdy tu tak jak twoje nie było ujęte w ramy domu rodzicielskiego i w kobiety kochanej, kochającej, mogącej iść za mąż stosunek. Dziecko na opiece u krewnych, dziewczynka na pensji, a młoda osoba na pracy wśród obcych się wykształciła. Czy z natury, czy z ciągu tych okoliczności wykształciła się z męskimi, jak widać, wyobrażeniami (domyślasz się, że przekreślone słowo miało być „usposobieniami”, lecz go napisałam przez proste roztargnienie, dlatego właśnie, że jednocześnie podmyślałam sobie: dlaczego przy męskim kierunku wyobrażeń, usposobień męskich nie miałam? lecz ta ciekawość mego sumienia do rzeczy nie należy). Kiedy się z tej strony zastanowię nad sobą ze strony *odwagi*, to rzeczywiście muszę przyznać słusność Sewerynowi i uznać, że się ludzie marnują. Ta zmarnowałam doskonałą pozycję autorską. Raz mi już coś podobnego w głowie zamajaczyło, kiedyśmy rozmawiały z Ilnicką i kiedy ona się skarżyła na różne wymagania opinii, potrzeby ustępstw lub alegorycznych powijaaków. Teraz jeszcze lepiej się oceniam w przeszłości z twego powodu. Aż mi żal, że się taki dar losu na nic nie przydał! Gdyby można, to bym ustąpiła go komu — zapisała testamentem — mój temperament stalowy. Bo to przecież niemało znaczy mieć temperament zdolny bez reakcyjnego wzruszenia, bez „zdobywania się” nawet na

<sup>220</sup>Anna — Jerzmanowska, cioteczna siostra Adolfa Tetmajera. [przypis redakcyjny]

<sup>221</sup>względem Dunkera — Duncker, pisarz niemiecki, autor *Historii starożytności*. [przypis redakcyjny]

spokój, spokojnie wszystko wypowiedzieć i wszystko wysłuchać. Kiedy mi się zdarzyło pisać, a przysłała mi myśl lub forma myśli, która mogła dobitniej niż inne przedmiot mój określić, żeby w piekle i w błocie, to bym się była po nią schyliła i pióro w niej umaczała. Zresztą miałam pewną dumę rzetelności względem samej siebie. Pamiętam, że gdy napisałam *Pogankę*, a szczególnie te wiersze w niej nieszczęśliwe<sup>222</sup>, było dużo rekryminacji. Andzia<sup>223</sup> moja kochana bardzo mię prosiła, żeby zmienić lub skrócić; a pułkownik mój najserdeczniejszy... Jeszcze nie znałyśmy się wtedy, więc może nie wiesz dokładnie, co to był i czym to był dla mnie pułkownik Paszkowski — on więc przyszedł i surowo po żołniersku wyłajał mię, że takie rzeczy wydrukowałam. A ja na to: „Pułkowniku, kiedy mogłam takie rzeczy pomyśleć, to je mogłam wydrukować. Nigdy żadnej myśli mojej nie powstydzę się przed ludźmi i nigdy żadnego słowa, którego bym szczerze nie pomyślała ludziom nie wydrukuję. Jedno za drugie”. A pułkownik mi powiedział: „Ot, głupiasz” i uściiskał mię, i ja jego — i tak przyjąłm jedyną krytykę, która mię *dojść* mogła — krytykę od ukochanych. Inna była pono, lecz nic już o niej nie wiedziałam. Bóg widzi, nie z lekceważenia, nie z pogardy, pychy lub zarozumiałości — tylko po prostu z biegu wypadków — nie wiedziałam. Jeśli mię słówko doleciało, nie czułam. Ale sama uznaję, że taka zdolność może być pożądaną w zwyczajnych życia kobiecego granicach — słusznie czy niesłusznie, to znów inna kwestia — fakt i praktyka, że jest tak, a nie inaczej. Wcale też nie zamierzam sobie w odwagę cię podbijać, moja Wando kochana, która masz coś lepszego do roboty, coś jeszcze lepszego jak być odważną; tylko tak sobie rozgawędziłam się o własnym usposobieniu — trochę wytłumaczyć może, trochę usprawiedliwić zachciało, boć ja *Pogankę*, nawet nie tłumaczoną, w twoim wieku prawie na świat rzuciłam. Dla ścisłości chronologicznej dajmy na to, że o dwa lub trzy lata byłam starsza. Niewiele ów czas znaczy, bo ty i po dziesięciu większej energii nie nabierzesz. Cóż na to poradzisz, mimożo? Mimożo się urodziłaś, mimożo zostaniesz. Kiedy będę w chropawym humorze, to cię nazwę surowiej — zapewne domyślasz się, jak? bo podobno przy innych okolicznościach już ci od tchórzów wymyślałam. Niech cię to jednak nie martwi; jest to wielką w piśmiennictwie przeszkodą, o tym możesz sama coś wiedzieć, ale że jest wielką innych skarbów asekuracją, tego dzisiaj zmiarkować nie potrafisz — jak wśród zdrowia nie zmiarkuje się nigdy, czym jest choroba — zwłaszcza pewien specjalny gatunek choroby. Otóż, trzeba ci wiedzieć, że autorstwu także pewien gatunek choroby towarzyszy — wiedzenia bez wrażeń (rzeczy wrażliwych i drażliwych). Ty jesteś wolna od tego. Nie zdawałam sobie sprawy dość jasno z takiego stanu, *et pour cause*<sup>224</sup>; dlatego trudno mi było pojąć, czemu z łatwością słowa i zwrotu, z obfitością wielu gotowych materiałów w wyobraźni, z podmurowaniem najszlachetniejszej zasady abrysem najszlachetniejszego celu, w powieściach twoich była taka dziecinna sztywność i niezręczność, ilekroć chodziło nie o rozmowę, lecz o układ zdarzeń — nie o cieniowane studia psychologicznych portrecików, lecz o zastosowanie i poruszanie ich w życiu i w czynach. Dunker mi dał najlepszy wszystkiego komentarz. Jeśli nie śmiesz go dotknąć piórem i podpisać nazwiskiem swoim dla kilku kartek zbyt nagiej prawdy, to już jest najlepszym symptomatem całego ustroju twej duszy. Względem tej prawdy nie jesteś „obojętną”, jak nią być powinna każda pisząca osoba; jesteś zadrażnioną lub wstrętną — i w życiu całym każda prawda równoległa, niedająca się zidealizować wypukło lub wklęsło — każda prawdziwość miernoty, średnicy, bezcelności jest ci tak wstrętną, że aż obcą częstokroć. Nie znasz jej, bo ci się żadnym mimowolnym instynktem oczy na nią nie zwróciły, a jednak ona mięśnie, kształty, kontury dzieł sztuki wypełnia. Masz krytykę na swoje powieści — i ja miałam ja także; sama przyznaj, że nie obwijałam w alegoryczną bawełnę jak Ilnicka — lecz jak ty nie mogłaś sobie zdać sprawy z tego braku życia, tak i ja nie mogłam. Ty nazywałaś brakiem talentu — i ja widziałam, że talent jest, więc tłumaczyłam brakiem wprawy. Teraz przekonywam się, że nie jest ujemnością żadną, tylko innością zupełną. Inną jesteś, Wando. Kiedyś, kiedyś, jako żona i matka, znów przemianę odbędziesz i może wtedy lepiej zrozumiesz, jakie władze ci przybędą, a lepiej ocenisz ubywające. Wiem zawczasu, że dzisiaj nie masz dla nich taksy właściwej; zniecierpliwisz się na to, co ci piszę, albo, co gorzej, nałajesz sobie samej i dorobisz najdziwniejsze parafrazy do najprostszych słów

<sup>222</sup>„Pogankę”, a szczególnie te wiersze w niej nieszczęśliwe — „Biedne było serce moje” etc. [przypis redakcyjny]

<sup>223</sup>Andzia — Skimborowiczowa. [przypis redakcyjny]

<sup>224</sup>*et pour cause* (fr.) — i z tego powodu. [przypis edytorski]

moich. Wiem, wiem o tym bardzo dobrze, lecz i tego pewną jestem, że później ty będziesz wiedziała lepiej i sama nazwiesz sobie, czym była wśród smutku prób nieudatnych i prac wewnętrznych, i zmartwień losowych, czym była owa twoja niemożliwość autorska. Gdybym ja ci dalej jeszcze różnymi bliskoznacznikami i wykładnikami objaśniała w tej chwili, na nic by się nie zdało; zaprzeczałabyś i sparodiowała na swoją niekorzyść każdą sylabę. Jednak powinnaś temu uwierzyć tylko, boć w tym za siebie mówię, że teraz, gdy nie mam chęci ani nadziei dalszego autorowania, może bym chciała komu odstąpić, jak mówiłam, mego temperamentu, ale nie tobie, Wando; i może chciałabym dostać od kogo temperament wprost przeciwny, ale nie od ciebie, Wando — bo, kiedy o interes chodzi i kiedy możemy kogo oszukać, nie chcemy przynajmniej bliższych naszych i droższych oszukiwać.

Siostrzenica moja z Lutkiem na dwa lub trzy miesiące w Augustowskie do rodziców jedzie — na dzień twoich imienin ten list z sobą powiezie. Aż mi smutno, że cię nie obdarzam przyjemniejszym więzarkiem; gdybyś jednak mogła wejść na chwilę do mojej myśli i do mego serca jak do swego szafirowego pokoiku, to byś się przekonała i rozpatrzyła, że w nim bardzo dobrze, strojnie — oto lepiej niż strojnie, prawdziwie „porządnie” wyglądasz — ale siedzieć to potrafisz, ale wchodzić nie umiesz. No — darmo, nie będę miała innej Wandy, tylko taką, jaką mam.

Wandę mam — a na imieniny dla jej ojca nie mam biletu z powinszowaniem, co jest bardzo zdrożną, lecz często na wsi zdarzającą się rzeczą. Natomiast powiedz ojcu, że mam pamięć, przyjaźń i życzenia na dzień pojutrzejszy. Na bieżący (od godzin siedmiu) mam perspektywę małej wycieczki do Dębowej Góry, bo to Polci imieniny, a gości obcych nie będzie. Wybieramy się dość wcześnie; Witka z synem zostają i stamtąd jutro na kolej — a ja koniecznie wieczorem chcę wrócić — bo mię najwięcej noclegi po świeżych miejscach męczą — tu zaś w Pszczonowie zbiera się, zanoszą na kilka dni takiej ciszy cichuteczkiej, że aż myślę sobie sprawić wakacje i nic nie pisać, nic nie myśleć — nic nie żyć, tylko czuć, że cicho i że mnie nie ma. Po takich saturnaliach zawsze mi na długo potem trzeźwiej i lżej się robi. Wdzięczna ci jestem, że mię transportem nowym książek starych zaopatrzyłaś; a czy sama czytałaś kiedy te stare rzeczy — Plutarcha i *Pamelę*<sup>225</sup> Musisz, dla mojej przyjemności, gdy odeślesz.

Uściskaj Zosię, uściskaj Manię — donieś o Julci i o Zoni<sup>226</sup> z drugiego piętra. Były chwile w moim życiu, kiedy ani jej ani ciebie nie znałam, że ona mi się lepiej od ciebie *podobała*, — chociażby trzeba może wyraz *podobała* zdefiniować, lecz zostawiam do innej okoliczności — podobała swoją odwagą, trochę aż zuchwałą właśnie — później oschłością zraziła — teraz znów twymi oczami widzę ją inaczej — a wszystko razem? znak zapytania w innym sensie niż na onej pieczętce.

Spodziewam się, że i wy odebrałyście książki angielskie. Szkoda, że innych nie dostałam — ale tak się godziło. A czy się godzi zlecić przy sposobności pewne niedyskretne, trywialne zapytanie, jak zobaczysz Julię? Dowiedz się od niej — ale już chyba nie dowiaduj się, bo to chodzi o ręcznik, który do mego kuferka włożono — a ja odesłałam.

## XCII

[Pszczonów] z lipca 1867, wtorek

Wczoraj twój list odebrałam, spadł na mnie jak grad na Ludzimierz! Wiedziałam, że masz wyjechać, ale nie spodziewałam się, by tak prędko — to jest spodziewałam się, że po św. Janie, że w pierwszych dniach lipca, ale mi jedno z drugim za prędko wypadło. Wstydź się, Wando, żeby mię tak rozbałamucić; jak sobie pomyślę, co ja tu będę przez ten czas robiła?... No, jeśli mi przynajmniej za moje tęsknoty i głody, i niedostatki wszelkie zdrowszą nie wrócisz, to pamiętaj, że ci tego nigdy nie daruję. Albo ja chciałam mieć w życiu taki interes, żeby mię na ekspensa tęsknoty i oczekiwań, zmartwień, choćby też radości wyciągnął? wcale tego nie chciałam; były uzasadnione całą przeszłością powody, a ty nic o nie nie dbając, jakieś mię zaczęła kusić, kusić, Kusić, takeś mię

<sup>225</sup> *Pamela* — *Pamela czyli cnota nagrodzona*, słynny angielski romans Richardsona (1740). [przypis redakcyjny]

<sup>226</sup> *Zonia* — Zofia Grabowska, córka Edwarda, cioteczna siostra Wandy. [przypis redakcyjny]



wyciągnęła z żółwiej skorupy. Bądźże więc zdrową teraz, nie zabieraj mi tam w dalekie góry całej dzisiejszości, a przynajmniej nie na długo zabieraj. Wątpię, żebyśmy się w przejeździe pożegnać mogły; wiadomienie może za późno przyjdzie; kiedy list twój z 27 czerwca 1-go lipca wieczorem doszedł mi zaledwie, to na żadne stanowcze umowy ostatniej chwili nie można rachować. Perswaduję sobie, że tak lepiej będzie; że krótkie spotkanie na kilka minut dobre przy powitaniu, ale przy pożegnaniu nic niewarte; żal mi jednak tym bardziej, że jadę dziś właśnie w ten sposób się żegnać; mamy wprawdzie kilka godzin razem spędzić w Skierniewicach, tylko ani mnie, ani żegnanej na nic się to nie zda, kiedy mnie i tobie zdało by się na bardzo wiele. Ufając logice twego serca, jestem pewna, że się zadziwisz, tak, powinnaś się zadziwić, jeśli nie zgorszyć, dlaczego jadę, by się żegnać z osobą, której się to na nic nie przyda? — Czy z konwenansu? Za to przynajmniej Panu Bogu dzięki, że ze wszystkich konwenansów do żywego mięsa każdy stosunek mój oskrobałam. Jadę, sama nie wiem dlaczego; — trochę może przez ciekawość, trochę przez obowiązek, najwięcej dlatego, że mię proszono. Jest to dawna moja lubelska uczennica, Sylcia; zdaje mi się, że ci kiedyś wspominałam o niej. Doskonały specymen natury bez egoizmu — taką znałam ją niegdyś — zupełnie brak jej było władz ducha na poczucie jakiegś swojej krzywdy lub szkody — na utworzenie jakiegś wymagania. Urodzona dobrą, wielką była moją pociechą w Lublinie; zapisałam ją między kompensatami tych ciężkich lat po-kozowych<sup>227</sup>... Otóż, moja kompensata jedyna, — bo mogę powiedzieć, że z całych tych czterech lat ciężkiej pracy i gorzkich zmartwień ona mi jedynie na rejestrze się została — więc tedy jedyna owa lubelska pamiąteczka dziś... wstępuje do klasztoru i pędząc za granicę, prosi, byśmy się w Skierniewicach pożegnać mogły. Jestem tedy ciekawa, jak ona skombinowała pocziwe skłonności swoje z nabytym odurzeniem; jak to sobie samej nazywa, czy wyrzeczeniem się świata? czy ofiarą? czy prostszym jakim słowem? Studium. — Nie byłabym jej zaczepiała, gdy jednak ona zgłosiła się do mnie, czuję się trochę w konieczności złożenia pewnego świadectwa mojemu przekonaniu; to jest powód niby obowiązkowy — a zresztą żal mi jej — więc jadę. List ten biorę z sobą na pocztę, żeby cię prędzej doszedł. Nie obiecuję w żadne palenia się wdawać, moja pani kochana — papiery twoje zostaną u mnie, obcemu oku nieprzystępne, lecz ich w ogień nie rzucę, tylko tobie kiedyś sama do Warszawy odwiozę, a co do listów, to nie masz prawa dysponować. Dość mi listów ludzie i zwierzęta naniszczyły; póki ja żyć będę, póty już sama przynajmniej żadnego dobrowolnie nie zniszczę, a do tego z twoich listów, Wando! Czy chcesz, żebym zatraciła jaką chwilę wspólną naszą? Ja żadnej nie chcę spalić — ani jednej nawet z tych, w których się czułam upokorzoną twoimi hiperbolami — bezsilną wobec twoich oczekiwań. Nawet wczoraj, gdy czytałam, jakeście to ze Stasiem i Sewerynem rozmawiali o mnie i gdy mię taki wstyd ogarnął, że się ledwie pocieszyłam Kazimiery gadką — „abo to prawda”! Nie zarzucam jedynej mojej dziewczynie fałszu literalnego; napisała, jak słyszała — lecz czy słyszała prawdziwie? — to jedna pociecha — może się pocziwe serca tak grubo na mnie nie zawodzą — przypuściwszy jednak, że się zawodzą — abo to prawda, że ja temu co winna? — druga pociecha. Bądź co bądź, wstyd, upokorzenie czy niecierpliwość nawet, chowam wszystko do szufladki i nie rozstaję się z tym, póki mogę — póki nadzwyczajny lub zwyczajny wypadek mię nie rozłączy — nieszczęście lub śmierć nawet. Wiesz, co ci powiem? — któreś niedzieli tutaj zaczęłam papiery wszystkie moje pamiątkowe przeglądać i rozmyślać nad tym, jak to ja będę już musiała wiedzieć o sobie, że nie mam na jutro nadziei, aby się z nimi rozstać. Gdy mi się nawet i wówczas żal zrobiło, powiedziałam sobie, że jeśli mię przeżyjesz, to wszystko tobie oddać każę, a jeśli nie, no to już nie mam nikogo, komu bym oddać chciała i dla kogo zachować by warto — wtedy dopiero spalę. Lecz te wszystkie certaty sensu nie mają; lepiej mi napisz, czy tylko osiem tomów Plutarcha? powinno być siedem, brakuje ci jednego; czy go pominęłaś w bibliotece? A co z sobą weźmiesz do czytania na drogę? czy możesz czytać w drodze? jaki rozkład wojażu? jak długo w Krakowie? kiedy zobaczysz Annę swoją? Teraz się częściej o nią będę pytała, bo mię zadrażniła swoim własnym zapytaniem. Dla Julci powiesz uścisk na drugą chwilę powitania, siostrom rozdasz moje pocałowania w przedostatniej przy pożegnaniu. Wracaj mi tylko zdrowa; wracaj i pisz co

<sup>227</sup>ciężkich lat po-kozowych — po dwu i pół letnim pobycie w więzieniu, władze narzuciły Narcyzie mieszkanie w Lublinie (1852); [koza (daw.): areszt, więzienie; red. WL]. [przypis redakcyjny]

prędzej, jak zajechałaś, a jeśli nie możesz na kolei czytać, to pamiętaj, nie męcz się żadną rozmową, lepiej zamknij oczy i myśl sobie. Ot, zadam ci wypracowanie, szukaj składowego wyrazu, sumy ogólnej tych rzeczy, np. że cię bardzo potrzebuję, że dla ciebie myślę tylko, że chciałabym ciągle być z tobą. Resztę rejestru do Galicji pošlę, dziś już muszę się śpieszyć. Ale nie mogę skończyć, póki do serca nie przycisnę, moja, moja dziewczyno, moja, moja jedyna.

Chciałabym mieć lat dwadzieścia pięć i tak cię kochać, jak wtenczas kochać umiałam.

*Tęgoż samego dnia wieczorem.*

Otóż to ludzkie projekta! Rano, pisząc do ciebie, wybierałam się w drogę; tymczasem, jak się nagromadziło trudności, tak i furman się rozchorował, i bryczka zepsuła, i drugiej dostać prędko nie mogli, aż w końcu przekonałam się, że już zbyt późno i jechać nie warto. Sylcia niech to Panu Bogu ofiaruje. Mnie najgorzej, bo ani ogona od sukni, ani najmniejszej przykrości nie mam komu ofiarować. Korzystając z odwłoki, tylko muszę jeszcze z tobą o Dunkerze pomówić. Najpierwej co do wydawcy, to rzecz zwyczajna, że nie znajduje się go na pogotowiu. Trzeba by raczej zastrzec jedynie u księgarzy lub przez pisma i nie w tym jednym razie, ale i co do wszelkich tłumaczeń, szczególnie poważniejszych, zdaje mi się, iż sprawiedliwą byłoby rzeczą ostrzec i samemu się z góry wywiedzieć, czy dubeltowej nie odrabiamy pracy. Potem jeszcze bym ci nasunęła maleńkie przypuszczenie, gdybyś mnie tytułowo przyjęła za współpracowniczkę, czy na mój rachunek nie poszłyby procesje i tajemnice pogańskie — jakie być by mogły i były. Nie ma w tym wiele sensu, żebyś ty tłumaczyła, a ja sygnowała do wspólki, lecz idzie mi najwięcej o to, że przede wszystkim chcę czytać Dunkera; jeśli nie w twoim rękopisie, to się do tego nie przybiorę. Potem chcę, żeby inni czytali także, żeby istotnie pożyteczna książka przybyła. Medytowałam nad tym całe poobiedzie, a musi mi wiele zależeć na przeprowadzeniu tego planu, kiedy zrezygnowałam się, pomimo smutnego doświadczenia, takim arabeskiem lub raczej groteskiem go dopełnić, — wbrew arcsmutnemu doświadczeniu. Przecież mię raz wcale niepięknie posądzono, gdy się z czymś podobnym odezwałam. Szło o wydrukowanie jakiejś powieści, za którą wzięte pieniądze autorka na potrzeby więźniów ofiarować przyrzekła. Uwidziało mi się, że głównie o to chodzi, by pieniędzy było jak najwięcej i by je prędko dostać; a że miałam wtedy kolumny felietonów otwarte, proponowałam adaptację. No, miałam się z pyszna za swoje! A jednak znowu się narażam i widzę, że mam niepoprawną w ufności naturę; tyle razy już się pokłulałam i poparzyłam, nic nie pomaga, zawsze znajdzie się ktoś taki na świecie, komu wierzę aż do zuchwalstwa. Mogłabym wziąć na uwagę różne komentarze, które czasem do słów moich dorabiasz (choć ja się modlę, żebyś je w najściślejszym wypisanym znaczeniu brała — jeśli mi się pióro „w styl” ośliźnie, to cię uprzedzę o tym); ale już widać takie fatum padło, że uszy zatykam, właściwie mówiąc, oczy na komentarze zamykam i twoich słów niedomówionych zapominam i twojej ceremonialności, twoich retycjencyj nie przypominam sobie, tylko widzę przed sobą twoje oczy poczciwe i piękne, prawdziwe i kochające, tylko pamiętam, że mi się darowałaś — że, choć się czasem o to rozdąsasz, niemniej jednak ty moją dzieciną, moją dziewczyną, jedyną moją — więc mi wolno do wspólki z tobą w wielu rzeczach stawać. Miałam też na czubku pióra — zamiast w wielu, we wszystkim — ale sobie przypomniałam Stasia — jakkolwiek i co do Stasia nie dam się wyłączyć zupełnie. Kiedy, którego dnia, o której godzinie będziesz przejeżdżała? Nie tworzę już żadnych z tego kombinacyj, bo mogłoby się znowu wszystko rozbić, lecz właśnie ponieważ dziś się rozbiło, może by dało się kiedyś lepiej skleić. Byłe ten list za późno nie przyszedł! Pozdrów raz jeszcze siostry i ojca ode mnie, i Seweryna także, a najserdeczniej za to, że dobrze wygląda. Mam artystyczne gusta i chcę koniecznie, żeby moi bliscy dobrze wyglądali.

**XCIII**

*29 lipca 1867, Dębowa Góra*

Od dawna już listu mego wyczekujesz, Wando, a nie domyślasz się nawet, że ja tutaj codziennie dłuższe niż kiedykolwiek listy do ciebie przesyłam. Jednego wieczoru, gdyśmy

z Julią<sup>228</sup> rozmawiały, wspomniałam jej o tym właśnie; lecz ona nie chciała tego sposobu korespondencji pochwalić i dowodziła, że mnie tylko może wystarczyć, ale ciebie nie zadowolni pewnie. Ha! kto wie? Gdybyś miała dosyć ufności i tę ufność zesztukowała z władzą wnioskującą, może by cię zadowolniło, więcej nawet niż różne rzeczy, które „białe na czarnym” przeczytasz. To przynajmniej mogę sumiennie zaręczyć, że bogatszymi słowami myślę dla ciebie niż piszę do ciebie. Brzydka to jest hipokryzja, lecz trudno mi się od niej odzwycząić. Nabyłam jej początkowo wśród ludzi, którzy zupełnie odwrotny zachowywali stosunek; a rozwinęła się i zakorzeniła między takimi, którzy we własnej naturze mieli bogatszy materiał na wypełnianie słów moich. Dajmy na to, że tobie na przykład powiedziałabym kiedy: Wando, ja cię bardzo, bardzo kocham! — to cóż z tego? W mojej ubogiej bankruckiej naturze, wyrazy takie znaczyłyby, że wszystko, co wiem o tobie, przypada do mego usposobienia, i złe, i dobre — a nade wszystko złe. Ja przed sobą samą nawet nie powiem, że kocham bardzo kogoś, co jest tylko dobrym w mojej opinii; bo, ponieważ ludzie nie są jeszcze zbawieni tu na ziemi, więc też nikt tylko dobrym na ziemi nie jest, a jeśli mnie się „tylko dobrym” wydaje, to dowód, iż go nie znam okrągło i wskrós — a jeśli poznam kiedyś, mogę właśnie trafić się z takim szczegółem, dodatkiem, drobiazgiem, z taką kombinacją, która mnie jak na raz smakować nie zechce. Ja też tego samego wieczora mówiłam Julii, że cię najserdeczniej, najbliższej przywłaszczylam sobie za pewne diabelstwo twoje; z czego długa wysnuła się rozprawa, bo Julia osądziła, że diabelstwem twoim jest twoja bezwładza — nie, owszem, twoja nader czynna władza twórczo-przeszkodowa. Ja zaś utrzymywałam, że to wcale nie diabelstwo — choć może wada wielka — wady nie są konieczne diablikowatością, ani diablikowatość wadami — te zwykle usterki śmiertelników są po prostu wynikłością losu, okoliczności, słowem, z zewnętrznego świata przyklejoną do skóry kitajką. Diablikowatość, diabelstwo nasze, to jak anioł nasz i anielstwo nasze — niezależne od trzęsień ziemi i piorunów — zawsze, zupełnie nasze — możemy go w sobie nie chcieć — możemy o nim nie wiedzieć — a ono jest. Lecz wracając do porównawczej taryfy słów: że kocham, znaczyłoby więc, że mi się podobasz, to jedno; że mi od ciebie wiele miłych, ożywiających i dobrych wrażeń się dostaje, że jesteś dla mnie użyteczną, to drugie; że masz zdolności i dążności w tym kierunku, w którym ja bym własną przyszłość rozwijać chciała, to trzecie, najważniejsze; łączność jakaś w przyszłości, w projektach, w dalszym ciągu, w przedłużeniu swej osobistości czy swego egoizmu — bodaj czy nie fundamentalny wszelkiego ukochania warunek. Zaczawszy od miłości kochanków do miłości rodzicielskiej, człowiek musi mieć w drugim człowieku zapewnienie przyszłości. Kocha się więcej prawie przyszłość niż terażniejszość; kocha się przyszłością swoją. Prócz tego, a raczej na tym tle, arabski rozmaite; że mogę cię połączyć i ucieszyć, i zasmucić; że jestem czymś w życiu twoim. To wszystko dla mnie znaczyłoby, że cię kocham — ale dla ciebie, Wando — nie stawiam tego zarzutem — broń Boże! — tak być powinno — dla ciebie takie słowo ma wartość Wszecmocności i Zbawienia. Kto kocha, musi mieć do dania siłę, szczęście i życie; kto kocha, rządzi losem i objawieniem. Jak to można kochać, a nie przełamać trudności, gdy na drodze ukochanego stają? — kochać, a niebem go nie otoczyć? — kochać, a władz nowych na radość i użycie nie stworzyć? — kochać, a prawdy z najgłębszych tajemnic Bożych nie wyszarpać i drogi wspólnej nią nie rozjaśnić? Pamiętam chwile, w których z głęboką wiarą, z ręką na krzyżu jak do przysięgi, czytałam te słowa Słowackiego w ich literalnym sensie: „Nie, ty nie możesz zginąć tak jak oni — których nie kocha nikt — i nikt nie broni”.

Tobie, Wando, zdawałoby się, że ja tak kochać umiem i wystrychnęłabym mię na zwodnicę — dlatego nigdy podobnie szeregujących się sylab nie znajdziesz w moich listach pisanych. Oto lepiej faktami je zapelnę.

W Pszczonowie bardzo było cicho i spokojnie — to już wiesz — ale tego nie wiesz, że, jak się pokazuje, cichość zimowa daleko mi zdrowsza od letniej. Siedziałam te trzy tygodnie w samotni mojej i niczego nie zrobiłam — *pas même un projet*<sup>229</sup>. Albo czytałam, albo się gapiłam na ten kawałek nieba i na te drzew bukiety, co je z mego okna widać było. Wieczorem tylko chodziłam po jednej mojej ulubionej nad stawami alei i myślałam

<sup>228</sup>z *Julią* — Ignacową Baranowską. [przypis redakcyjny]

<sup>229</sup>*pas même un projet* (fr.) — planu [na przyszłość] również nie. [przypis edytorski]

sobie o różnych rzeczach żywych i umarłych, a zwykle wtedy dodawałam: „muszę o tym do Wandy napisać” lub „muszę kiedyś o tym z Wandą porozmawiać” — lecz później zapomniałam. Zdarzało się też, że nie myślałam o niczym, i to były także wcale przyjemne chwile. Póki pięćdziesięciu lat mieć nie będziesz i siedmiu gorzkich wspomnień (a pamiętaj, że smutnych gorzkimi nie nazywam), póty, Wando, ani mi się waży na chwile takie polować — bo ty, to mi je przebaczysz, ale ja to bym ci ich nie przebaczyła — masz co lepszego do roboty. Odlóż tylko na bok pewne niesprawiedliwości swoje i powiedz mi, jakbyś też osądziła miesiąc z życia kobiety przeprośnowany tak kompletnie, że nawet myśl w niej drętwiała czasem i przestawała myśleć. Z tej próżniaczej apatii nie wysadziło mię nawet kilka wrażeń serdeczniejszych i żywszych. Z Tomaszowa dostałam listy od pani Mar[kiewiczowej], od Mani i od Stasia. Już to muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że umiem listy czytać; każdy wyraz tak słyszę i czuję jak jest napisany. Może później rozważa i doświadczenie pewne restrykcje zaprowadza, ale w pierwszych chwilach! — w pierwszych chwilach nie tylko koleją żelazną, ale piechotą byłabym poszła do nich.

30 [lipca] — Musiałam przerwać pisanie — ruch się zrobił, ludzie wstawać zaczęli, i mnie było trzeba do śniadania się ubierać. Później marudztwa codzienne, aż tu, podczas obiadu, przynoszą pocztę i mnie list z Ludzimierza<sup>230</sup>. Od niepamiętnych czasów pierwszy raz mi się zdarzyło, że odebranego listu natychmiast nie wydarłam z koperty — widać sybarytyzm jakiś rozwija się we mnie — zaczęłam, aż się obiad skończył — poszłam do buduaru Polci — bo Polcia ma śliczny buduar, w rogu domu za wszystkimi pokojami, przy salonie, gdzie fortepian, obok oranżerii, do której duże szklane okna wprawiono, z oknem przeciwnym na ogród wychodzącym, pokoik zielony — meble zielone — szafek z książkami trzy — biurko do pisania — trochę ciasno — ale „możliwość” największej cichości. Tam się z tobą zamknęłam, Wando. Muszę ci tylko powiedzieć, że wyraźnie przyzwyczałam się do dwuczwartkowych listów, bo gdy z koperty jedną na ten raz ćwiartkę wyciągnęłam, zrobiło mi się trochę niespokojnie i pierwej, nim czytać zaczęłam, obejrzałam ją na wszystkie strony. Zawsze tak robię w strachu, bo pewna jestem, że jeśli złą wieść jaką niemy papier zawiera, to mnie złej wieści najgorszy wyraz najpierwej w oczy wpadnie. Najgorszego, ni złego nie było tą razą dzięki Bogu — wszystkie, wszystkie dobre — i owszem, był jeden najlepszy: „Mam się zupełnie dobrze”. Niech on tylko prawdą zupełną na cały rok zostanie — to zobaczysz, że w roku przyszłym razem po Tatrach będziemy się pięły — twoje zdrowie i mnie posłużą. Zauważałam sobie od pewnego czasu, że, jeśli nie los, to usposobienia nasze w pewien paralelizm się układają. Może zbyt śmieszne z mojej strony spostrzeżenie — równoległość w usposobieniach dwudziestokilkuletniej i blisko pięćdziesięcioletniej kobiety. A jest wszelako — nie wiem, czy z mojej, czy z twojej winy — czy ja za młoda jeszcze, czy ty za stara już? — może jedno i drugie! Nie dalej jak w twoim liście przykład: pisałaś mi o tym wszystkim prawie, o czym ja tu dla ciebie myślałam lub już pisać zaczęłam; niekoniecznie w tym samym sensie — nawet wcale nie w tym samym sensie — zupełnie odwrotnie w przeczeniach i twierdzeniach — lecz nie mniej przeto o tych samych przedmiotach. Czemu razem nie jesteśmy? co na przeszkodzie stoi? Pajęczyna! Tak ja właśnie z Julią mówiłam. Czemu los koło mnie porostawiał w bliskości tylu innych ludzi, których bez żalu i bez krzywdy duszy mojej mogłabym nigdy w życiu nie spotykać, którzy też z mego spotkania ani się smucą, ani się cieszą. Czemu? Gdy moją Wandę tak rzadko widuję, w Tomaszowie tak rzadko bywam? Nonsens! Wanda byłaby ze mną szczęśliwa — nie mam zarozumiałości, bym jej coś dodatkowego przyniosła, ale wierzę w jej talent. Wszak prawda, że masz talent wytworzyć ze mnie wiele dobrego na swój własny użytek? Co tam analizować, czy ja materiałem, czy okolicznością, pretekstem? — Dobrze byłoby w *tobie* i dla *mnie*. Teraz prócz tego uwierzyłam, że i Tomaszowska gromadka radowała się memu przybyciu: pisali mi o tym, a ja mam jeszcze jakąś inną odrębną władzę na wierzenie listom. Prawda, że i słowom wierzę pocziwem, ale to jakoś inaczej — akcent mówiącego — własne moje odpowiedzi — prędzej jakoś do zwątpienia usposabiają — słowem, analiza na pogotowiu; a gdy list czytam, to go czytam w jednym głównym tonie i nic mi dźwięku nie rozprasza. Bądź co bądź, tłumaczyć, objaśniać i usprawiedliwiać tego dziwactwa nie potrafię — zaznaczam jego obecność. Najwięcej mię uderzyła raz, gdy Seweryna list odebrałam — a teraz gdy

<sup>230z</sup> Ludzimierza — Z majątku Tetmajerów, gdzie spędzała lato Wanda. [przypis redakcyjny]

pani Emilia, Mania i Staś pisali do mnie — bo pisali — wszyscy razem (to jest właśnie każde z osobna) — a ja dotychczas podejrzewałam Stasia — no, aż ci się nie przyznam, o co. — Dzisiaj nie podejrzewam, tylko najmocniej przekonana jestem, że byłoby nam tak dobrze w bliskim sąsiedztwie — tymczasem sąsiedztwo dalekie — i tak jak ty siebie o niedołęstwo obwiniałaś — tak ja (czytając n.b., wcale według twego domysłu nogą nie tupnęłam), tak ja całą moją nie tylko terażniejszość — ale przeszłość obwiniałam. Żeby też z kilkudziesięciu lat życia nie zrobić sobie nawet... jednego pozytywnego — z treścią i formą stosunku! Gdzie treść, to jak w romansie, abstrakcyjnie uczuciowa; gdzie forma okoliczności, położenia dachu, klimatu, statystyki — tam treść szwankuje. Nonsens w paraleli do twojego, z przeproszeniem, choć inny. Ty sobie stawiasz niezupełnie słuszne zarzuty. Twoje niedołęstwo składa się z choroby — z nieśmiałości fiołkowej. Ja byłam zawsze zdrowa jak ryba, a odważna jak Bradamanta<sup>231</sup>; i z tego wszystkiego? — zero. Dalej rozwijając punkta odpowiednie sobie, mam prawo i Słowackiego wspomnieć. Nie tylko, że jego wiersze były mi więcej uprzytomnione w pamięci, jak sama po ich cytacie zmiarkować możesz, ale nawet nic o tym nie wiedząc, przygotowałam sprostowanie dla doznanych przez ciebie z łaski Małeckiego<sup>232</sup> wrażeń. Oswoiłaś mię z wielu ekscentrycznościami swymi, więc bez zarumienienia czytałam, jak mię z nim porównywaś; czyli, właściwie mówiąc, nie porównywaś, tylko za pan brat, tuż obok niego stawiasz. To jest maleńka śmieszność — hiperbola jedynie za wysoka; ale co dalej o ukochaniu wieszczów mówisz — to już smutne: „dwa oblicza, dwie potęgi, co się w jedno serce zwały”... Czyż początek wczoraj pisanego listu nie jest z jasnowidztwem na odpowiedź przygotowany? Zdaje się, że nadzieje, to są najłżejsze gazy atmosfery duchowej — ileż to osobistości jednak — ile stosunków i uczuć na dno poszło i utopiło się, bo im do szyi zbyt suty ładunek nadziei przywiązano. Nie topże, Wando, swojej własnej dla mnie miłości; nie wyobrażaj sobie, że ci da w życiu coś więcej nad to, co już sama z niej wzięłaś.

Wstałam raniej niż zwykle, żeby listu dokończyć; ale też raniej niż zwykle i ruch domowy się budzi; nie będę miała czasu długo się rozgawędzić, więc tylko co pilniejsze — Julia przyjechała tu 13 b.m. — Pan Ignacy towarzyszył jej w drodze, ale zaraz nazajutrz wyjechał do Ciechocinka; w Ciech[ocinku] połączył się z panem Jakubem Nat[ansonem] i oba w dalszą drogę ruszyli. Obecnie są w Marienbadzie, a później mają być w Paryżu i w Pirenejach. Dla nas tu z Julią Polcia przyrządziła osobne pokoje, w drugim dworze, który niegdyś rodzice pana Leona<sup>233</sup> zajmowali. Moja Kasia i Antosia Julii mieszkają z nami po drugiej stronie sieni; jest to w ogóle miejsce najspokojniejsze w Dębowej Górze; ale że Dębowa Góra jest stolicą rozległego i czynnego bardzo gospodarstwa — nie taką willą jak Pszczonów — więc i cała z ogrodami i dziedzińcami swoimi daleko od Pszczonowa głośniejsza. Pan Leon, interesami zajęty, gościem tylko w domu bywa; matka, tj. siostra moja Lewińska, za to prawie ciągle tu bawi, choć niby na wizycie jest tylko. W tych dniach pojechała do Warszawy wyprawiać posyłkę do syna — był na koniec po długim milczeniu list od niego — i ja także miałam kilka listów od drugiego siostrzeńca, brata Zosi i Wandki. Gdyby nam dać okoliczności po temu, może by się chłopiec na jakiegoś Plastingsa wykierował; przynajmniej dotychczas to jedna z dobrych surpryz rodzinnych: po wcale nieobiecującym dzieciństwie, więcej daleko dotrzymująca terażniejszość. Ostatni list jego szczególnie — z psychologiczną spowiedzią — b. oryginalny i przekupił mię prawie — chociaż nie zesłałam ze stanowiska ostrożności. Zaprzeszłej niedzieli odwiedził nas tu Henryczek Dun[in] na półtora dnia tylko. Nie uwierzysz, jak to mój bliski pokrewny, ile razy jesteśmy ze sobą i możemy dłużej porozmawiać. To nieszczęście, że bardzo rzadko pisuje; może bym się więcej listami do jego losu i osoby przykuła. Prawda, że on ostatni do mnie aż trzydzielny list raz napisał — ale to było ekstra jakieś. Z tym wszystkim, między siostrzeńcami, na całej linii męskiej z wyłączeniem brata w Rheims, jest on najmłodszy w rodzinie. Najpierwej, trzeba ci wiedzieć, że go do klas przygotowywałam po trochu — sama do egzaminu zaprowadziłam — klapsów mu dałam bez liczby ograniczonej — a teraz ja się uczę od niego, wypytyuję o fizykę, matematykę i on mi bardzo jasno tłumaczy, a klapsów nie daje. Prócz tego ma bardzo wiele prostoty — trochę zbyt mimozowe usposobienie — szkaradne, bo się nigdzie nie

<sup>231</sup>Bradamana — bohaterka *Orlanda Szalonego Ariosta*. [przypis redakcyjny]

<sup>232</sup>Antoni Małeki — wydawca listów Słowackiego i autor pierwszej o nim monografii. [przypis redakcyjny]

<sup>233</sup>pan Leon — Grodzieński, mąż Pauliny Lewińskiej, siostrzenicy Narcyzy. [przypis redakcyjny]

dociśnię i zdolności swoich ludziom nie wysłuży — lecz są wady, które, jak wiesz, mają dla mnie pociąg od zalet większy. Łaję — a kocham zawsze taką naturę, co to nie umie tłumem łokciami rozsuać! I mój Henryczek daleko nie zajdzie — chyba sam w sobie i w myśli swojej. Nauką i sercem to on za każdym naszym spotkaniem trochę wyżej; ale praktycznością — nie; a kiedy mu wyrzucam, to ma takie pełne matematycznej prostoty odpowiedzi. Radziłam mu teraz, żeby choć w prywatnym obowiązku uzbierał sobie tyle, ile na jednoroczną podróż za granicę mu trzeba; potem gdy, jako chce, do doświadczeń fizycznych się wprawi, niech zacznie w Galicji o miejsce profesora się starać. To jedyny teraz zakątek świata, gdzie można użytecznie w języku polskim pracować; a że pracowałby użytecznie — to jestem przekonana. Z jego okazji, w czasie ostatniego pobytu najnie spodziewanej zdarzyła mi się sposobność dość ciekawe studium nad sobą przeprowadzić. Siedząc z nim na uboczu — wśród gawędki, gdy on coś dłużej rozpowiadać zaczął — nagle uderza mię w twarzy, w pewnych zagięciach głosu jakieś dziwne podobieństwo. Nie mogę zrazu przypomnieć sobie, lecz na koniec odnajduję: podobieństwo może chwilowe tylko, lecz istotnie zadziwiające, do człowieka, którego niegdyś bardzo kochałam; był nawet dzień taki życia mego, że powiedziałam sobie: „kocham się w nim”. A teraz zgadnij, jakie wrażenie zrobiła na mnie ta jakby wskrzeszona osobistość? No, jakie chcesz? jakiego byś dla mnie pragnęła, by w harmonii z twoją opinią o mnie stanęło? Napisz mi, to ci dopiero szczerą prawdę napiszę; lub jeśli zmiarkuję, że za groźna, to nic nie powiem.

Bądź zdrowa. Uściskaj Julkę — panu Adolfowi<sup>234</sup> wdzięczność za to, że się o mnie u was dopominał. Znajdę się może kiedyś. Projekt podróży do Tomaszowa trwa, choć dzień nieoznaczony. Julia trochę była niezdecydowana, chciała do ostatnich dni swego pobytu tutejszego odłożyć, ale że Polcia i pani Lewińska wybierają się z wizytą do Olszowy, więc pewno i my im towarzyszyć po same Rokiciny przynajmniej będziemy. Jeszcze dzień i godzina stanowczo nieoznaczone, ale spodziewaj się w przyszłym liście najwięcej zajmujących cię szczegółów. A wasze śliczne dzieci? wszak prawda, że to cudowna piękność — piękne dziecko?

#### XCIV

13 sierpnia 1867, Dębowa Góra

Kazałaś, żebym ci zaraz po odebraniu listu jutro rano odpisała. Posłuszna pannie Wandzie, zaraz „jutro rano”, tj. dziś o 7-mej, po zbudzeniu się odpisuję. Kazałaś na 15-go być w Tomaszowie; stosownie do twego życzenia, uprzedzając je nawet, by samej tylko poprzedniego listu twego insynuacji zadość uczynić, jadę jutro do Tomaszowa, pisałam już zapowiadając moje przybycie. Pragnęłaś, żeby w Rawskim nie było cholery — nie ma cholery. Chciałaś, żebym była zdrowa i dobrze wyglądała; — jestem zdrowa i wyglądam tak dobrze, że się aż lękam zbytecznego roztycia. Masz nadzieję, że co piszę... Ach, Wando! — tego rozkazu, kiedy twoja, to i moja głowa nie posłucha — tego jedynie! Pytasz o czytanie także. Czytam ciągle, o ile mogę, co mogę i kiedy mogę. Teraz nic nie mam nowego; ale przed dwoma tygodniami sprowadziłam sobie parę angielskich powieści, które potem z dykcjonarzem siostrzeńcowi mojemu<sup>235</sup> do irkuckiej guberni przesłałam. Nadzwyczaj mię to cieszy, że i ty się do angielszczyzny zabrałaś; istotnie zdrowy pokarm, szczególnie te wszystkie przez kobiety pisane historie, takie trzeźwe i rozumne, i uczciwe. Jednak i w angielskich autorkach spotykam się z tym samym, co już we francuskich zauważałam. Każda z nich ma jedno swoje psychologiczne spostrzeżenie, jeden swój typ, który na rozmaite przebiera sposoby, w różnych stawia kostiumach, przez różne dane przeprowadza; ale który, jakkolwiek tym samym jest po mistrzowsku wyczerpująco zgłębiiony i opisany, nie mniej wszelako, gdy się za świeżej pamięci kilka dzieł tej samej autorki czyta, w pewną monotoność przechodzi. Nawet Jej Królewska Mość najjaśniejsza pani Sand tego nie uniknęła, tylko życie jej literackie dość długo trwało, by się na dwie epoki rozpadło, i w pierwszej dominuje kobieta silna namiętnością przeciw światu i kłamstwu, a w drugiej silna prostotą i dobrocią nawet przeciw namiętności. W angielskich

<sup>234</sup>pan Adolf — Tetmajer. [przypis redakcyjny]

<sup>235</sup>siostrzeniec — Zdzisław Redel. [przypis redakcyjny]

powieściach jeszcze wybitniej ta kwestia siły kobiecej pochwycić się daje, chociaż niby więcej roztopiona w planie niż zarysowana. Currer Bell zawsze ci przeciwstawi kobietę energiczną w walce z losem; raz tylko w walce z przesądami. Yonge w walce z własnymi wadami, a szczególnie z pychą serca i myśli. Elliot obrała sobie na ulubione studium brak siły właśnie — chwiejność sumienia, uczucia i fantazji. Ciekawa jestem, jaki typ byłby w moich powieściach przeważał, gdybym ich była dużo napisała? Onego czasu, Kazia zauważyła, że zawsze muszę wprowadzić na scenę jakąś kobietę bez serca, nieumiejącą kochać. Wcale tego nie miałam w zamiarze; widać, że podobne rzeczy same z siebie się składają. Dalsze rozważy nad nimi do lepszej sposobności; dzisiaj długo pisać nie mogę, więc tylko co pilniejsze. Kazia już od dość dawnego czasu wyjechała z Warszawy. Pisałyśmy do niej z Julią i odpisała nam w przeszłym tygodniu właśnie. Chciała nająć sobie osobną gdzie na wsi stancję. Córka pani Wierzbowskiej w swoim domu ofiarowała taki pokoik i żeby nie dać czasu do rozmyśłów, sama zaraz przyjechawszy, uwiozła Kazimierę. Przez pierwsze parę tygodni była jeszcze Kazimiera bardzo osłabiona, ale teraz chwali się, że jest znacznie lepiej. Wybieramy się do niej listownie z Julutą, może dziś wieczorem, Juluta sama, to znów zupełnie przeciwnie. W pierwszych dwóch tygodniach taka była rzeźwa, jak gdyby nigdy już nie miała chorować, a później do dawnego wróciła trybu, do swoich osłabień, niejedzeń, niechodzeń; wczoraj jednak znów była lepiej, dlatego w liczonym gronie we trzy powozy odbyliśmy wycieczkę do Skierniewic dla zwiedzenia ogrodu i pałacu. W ogrodzie dolnym nad rzeką jest pełno drzew i cieniu, a w jednym miejscu ławeczka tak ustawiona, że można nikogo nie widzieć, nie słyszeć i patrzeć na wodę jak cichutko płynie. W pałacu jest jeden salonik — chciałabym być wysoka, mieć bardzo czarne włosy, być bardzo białą, ubrać się w ciemną, morderową, aksamitną suknię i leżąc na kanapie, słuchać głośno czytanych, ale cudownie dźwięcznie czytanych wierszy, jeśli nie Słowackiego niektórych, to takiego poety, co się jeszcze nie urodził... lub przynajmniej nie drukował. W tureckim kabineciku dobrze byłoby cygaro wypalić — zresztą nie miałam innych fantazji. Jeśli kochać, to w ogrodzie; jeśli marzyć, to przy wodzie... N.B. nigdzie w żadnym pokoju nie było fortepianu; widać, że „rodzina” niemuzyczna — nigdzie też nie zapragnęłam muzyki — nawet w owym białym z meblami żółtymi. Ale bądź mi już zdrowa, z biskupich i cesarskich pałaców (bo w tym samym nasz Krasicki zamieszkiwał niegdyś). Kasia woła mię do śniadania nie otwartym wezwaniem, ale różnymi napomknieniami — brzękiem miseczek, otwieraniem puszek z herbatą. Nie o mój los tylko, lecz i o Julii szklankę gorącego napoju chodzi. Bądź więc zdrowa; wróciwszy z Tomaszowa, napiszę więcej.

N.B. Zapytałaś, czy do Seweryna pisuję. Seweryn filut powiedział, że zamknęłam naszą korespondencję, więc niech tak będzie. Ja tylko z wszelką wyrozumiałością wspominałam mu, że ma co lepszego do roboty. Alboż nie musi nad prawnymi papierami pracować, z ludźmi rozmawiać, żyć? — jeszcze by też na mnie czas ekspensował! Złoto niech się łączy ze złotem, dla mnie i milczenia dosyć. Tobie się zawsze zdaje, że to tak jak ty — albo tak jak z tobą.

Uściski dla siostr — pocałowanie dla mojej Wandy.

XCV

30 sierpnia 1867, Dębowa Góra

*Why? Perchè? Warum? Pourquoi?* Czemu? We wszystkich językach pytam, a w żadnym sobie odpowiedzieć nie umiem, dlaczego już tak dawno listu od Wandy nie miałam. Należała mi się przecież długa odpowiedź, choćby za to krótkie doniesienie moje, że do Tomaszowa jadę, czy że z Tomaszowa przyjeżdżam. Nie wiem tak naprędce, ale mi się zdaje, że do Tomaszowa wyjeżdżałam dopiero. Oto szczęście twoje Wando, że nie mam czasu na pisane wymówki; rozmyśliwanych jest dosyć, lecz ponieważ ja sama o nich zapomnę przy pierwszej kopercie twoją ręką zaadresowanej i nigdy ci ich potem nie powtórzę, więc jakoby nie były; pisanych zaś dla braku czasu unikniesz. Mam ci tylko kronikę zdarzeń dziś przesaść; nieczęsto na coś podobnego życie moje dostarcza materiału, ale teraz jakaś osobliwa planeta nad moją głową przeciągnęła i pchnęła mię w istny wir ruchu i wypadków. Najpierwej, jako wiesz, stosując się do twoich życzeń — ty analizo chemiczna,

nigdy sobie złożyć nie potrafisz różnych cząsteczek, które się na dobre i prawie radosne wrażenie syntetycznie skupiły we mnie, gdy pomyślałam, że mogę jakieś życzenie panny Wandy uścić — stosując się tedy do życzeń twoich, w wigilię święta Maryni wybrałam się do Tomaszowa. Staś poczciwy dał mi znać, że konie będą na mnie w Rokicinach czekały na drugi pociąg. Jadę drugim pociągiem. Mniejsza o to, że tak mi było pilno dojechać, że z pośpiechu o stację pierwszej wysiadłam i ledwo w Kuluszkach nie zostałam na medytacji o głupstwie ludzkim i zawziętości losów moich, szczęściem jednak dość wcześnie się opamiętałam i bez dalszych pomyłek stanęłam w Tomaszowie. Cóż powiesz, kto mię najpierwej powitał? Juścić najpierwej Marynia, bo Stasia do Wolborza porwano. Ale za Marynią kto się ukazał? Ni mniej ni więcej tylko pan Edward Kapliń[ski], który sobie z żoną przyjechał, w sekrecie przede mną, a przyjechał z rana tym cugiem, co o 6-tej wychodzi, skutkiem czego musieli ci państwo o miejsca w dylizansie tomaszowskim się starać i potem przyjechawszy, spać się położyli, dopiero na moje przybycie ich zbudziło. Domyślasz się, iż pomimo tak wielkiego grzechu i uchybienia z ich strony, radość była po same brzegi serca, wyżej mózgu. Staś zapewne opisał ci te dwa dni razem spędzone, bo wrócił na koniec wieczorem o dziewiątej, gdyśmy przy herbacie siedzieli. Potem długi czas spędziliśmy w jego pokoiku, okno było otwarte, od dwudziestu lat nie przypominam sobie, żeby *tylko* księżyc świecił co wtedy — po drugiej stronie rynku śpiewali chórem Niemcy rzemieślnicy, tak wysoko ucywilizowane pieśni, że aż mnie Staś przestrzegał, by im nie dowierzać, bo są pomimo tego zadziwiająco idiotycznie głupimi. Marynia oskarżyła swego brata, że on nawzajem jest okrutnie, gnębiąco, despotycznie nietoleranckim na głupstwo. Ja się dziwiłam, jakim sposobem medyk, fizjolog, antropolog może się głupstwem oburzać; to tak samo, jak gdyby się oburzał febrą, szkarlatyną, artretyzmem itp. Nazajutrz przy śniadaniu z artykułu „Gazety Polskiej” wypadła kwestia o magnetyzmie. Staś „oburzony” znowu na redakcję i autora. Jak można o magnetyzmie pisać dzisiaj właśnie, kiedy nauka jest tuż tuż przy odkryciu najzawilszej nerwów tajemnicy! Lada dzień dowiemy się, w jaki sposób nerwy działają, w jaki sposób na nerwy działać można; ujmie się te niesforne niteczki jak furman lejce ujmuje w rękę. „Już wiedzą...” — i Staś wytłumaczył mi wszystko, co już wiedzą na *peune* o stosunku elektryczności do nerwów żywego człowieka, a ja ci powtarzać nie będę, gdyż sama kiedyś usłyszeć możesz. Po śniadaniu Ludka<sup>236</sup> z panią Markie[wiczową] poszły do kościoła, Mania zajęła się sprawami gospodarskimi (żebyś wiedziała, jaki rostbef dała nam poprzedniego dnia — to aż wstyd, że zapomniałam we właściwym miejscu wspomnieć i pochwalić. Niechże tu od razu ci powiem, że mię prawdziwie zbudowała postępami swoimi w sztuce kuchennej według metody angielskiej). My ze Stasiem dalej rozmowę wiodli w jego pokoju z Edwardem; dostało się Struwemu<sup>237</sup>, a przy tej okazji odczytał mi Staś kawałek swego tłumaczenia z Virchowa. Istotnie świetne tłumaczenie, *splendide* — ale mojej myśli zawsze trudno drogami niemieckiej myśli krążyć. Był to ustęp o woli, ze stanowiska fizjologiczno-naturalnego. Może kiedyś we troje razem odczytamy. Na obiedzie była siostra pastora, pani Adelstein; śliczne stworzenie, robi wrażenie ekscentrycznej fantazji, a trzyma się w najściślejszych granicach konwenansu. Czy znasz ją? Chyba nie, bo przecież byłabyś mi kiedy wspomniała o tej smukłej Angielce z tak sztucznie do twarzy potarganą głową. A propos: Mani ślicznie włosy odrastają — o ile spod czapeczki habrowo ugarniowanej pokazuje, to już jakby umyślnie przystrzyżone figielki wygląda. Wieczorem była muzyka na cztery ręce. Staś głosował, żeby od *Fausta* zaczęli, a potem na Symfonii Mendelsohna skończyli. *Faust* ledwie na Mefistofelesa wystarcza według mego słuchu, a symfonia to by na trzech Faustów i dwie Małgorzaty wystarczyła — *soit dit en passant*.

Jeszcze przed muzyką, o szarej godzinie, odbyliśmy daleki spacer do lasu. Ja się ze Stasiem pod rękę prowadziłam i to był początek pierwszej naszej osobistszej rozmowy. Początek dopiero; jeszcześmy się do siebie nie nauczyli gadać; ale zdaje mi się, iż wiemy, że mamy sobie coś do powiedzenia. Ja przynajmniej wiem i chciałabym kiedyś Stasia tak słyszeć, jak on sam z sobą myśli — ma się rozumieć w podzielnym przedmiotach. Sama nawzajem chciałabym zapomnieć, że on może mnie usłyszeć inaczej; bo te niepewności, komentarze, to strasznie utrudniają stosunek; ale niech no jeszcze ze dwa razy tak na dłu-

<sup>236</sup>Ludka — Edwardowa Kaplińska. [przypis redakcyjny]

<sup>237</sup>Henryk Struwe (1840–1922) — profesor filozofii w Szkole Głównej. [przypis redakcyjny]



żej się zbierzemy! Były żale na twoją idealistyczność; nb. ja wniosłam — potem o liście, który Staś do mnie prawie z wyrzutami napisał za to, że jego położenie  $\frac{3}{4}$  szczęścia nazwałam. Miałabyś tych szczegółów więcej, gdybym zaraz po powrocie do pisania zasiadła, lecz się jeszcze kiedyś odnajdą. Nazajutrz już do dłuższej rozmowy nie przyszło; ledwo żeśmy się z Manią na godzinkę osobności wymknęły i przeczytały tłumaczenie angielskiej powiastki, które według mej rady przedsięwzięła. Udało się jej daleko lepiej niż na początek przygotowaną byłam; pomyśl tylko, że angielszczyzna nie jest takim chlebem powszednim dla niej jak niemczyzna dla Stasia. Wizyta pana Beni przerwała nasze posiedzenie. Trzeba też było z Manią na krótką chwilkę do państwa Langer się wybrać; później obiad, później pożegnanie, później jeszcze droga z Ludką i Edwardem. Nawiasem wspomnę, że nigdy nie spotykałam takiej ucywilizowanej grzeczności w wagonach jak teraz, kiedy Lutka koło mnie siedziała. Rozstaliśmy się w Skierniewicach, gdzie był Skimb[orowicz] do Dębowej Góry jadący także. Ciągłe się dopytywał, kto z Kapl[iniskim] jechał i był przekonany, że go mistyfikuję, jak mu powiedziałam to moja znajoma, matka czworga dzieci. Ale ja sobie pozwalałam na różne poboczne ustępy, choć postanowiłam, że tylko registr zdarzeń ci prześlę. Doczytasz się czegoś zupełnie niespodziewanego; ale miejmy na baczności chronologię. Nazajutrz po powrocie z Tomaszowa, wszyscy całym Dębogórskim dworem głównie na intencję pani Julii wybraliśmy się do dwóch dziś jeszcze ciekawych, a dawniej znakomych miejsc, do Nieborowa i Arkadii.

31 sierpnia, sobota. Zawołano mię na kawę, gdy o Arkadii wczoraj pisać miałam. Nie bardzo lubię ten arabski napój, jednakże czasem, z wielką ilością dobrej śmietanki. Zresztą w post na umartwienie poszłam; a gdy już wypiałam, wzięłyśmy się z Julią pod rękę i zaczęłyśmy obchodzić do koła wielki klomb dziedzińcowy. Blisko bramy widzimy kogoś niosącego worek pocztowy; upędzam się, żeby mnie był najpierwej w rękę oddany! Julia mi wróży: „No, już co dzisiaj to pewnie list od Wandy będzie”. I list od Wandy był, ale tylko się go dotknęłam... Powiadają, że wprawni urzędnicy pocztowi za pierwszym ujęciem koperty poczują, kiedy są w niej kontrabandą zapieczętowane pieniądze; ja, Wando, poczułam, że w tym liście jest pewien niedobór, że właśnie nie ma moich oczekiwanych, moich wymaganych czy jak tam, moich przywłaszczonych sobie pieniędzy. Usiadłam na boku i czytam. Pominąwszy, że list o całą połowę krótszy niż zwykle (mnie się trzech ćwiartek chciało, a było półtory), jeszcze nie wiem, za co mię w nim kilka razy takimi ciężkimi kamykami uderzyłaś? „Żałowałam prośby natychmiastowego odpisu — zdaje mi się, że ten przymus był pani niemylim i że pani napisała li tylko przez jakiś obowiązek sumienia”... Co to wszystko ma znaczyć? Niech mię diabli porwą, jeśli kiedy w życiu moim cokolwiek mogłam pod niemylim przymusem napisać! Wolno mi było niegdyś kląć w *Pogance*, toć i teraz mi nie zabronisz — a lżej mi, że zakląłam. Ja sobie takie iluminacje zapalałam koło obrazka twojej radości, gdy prędko list odbierzesz, gdy się dowiesz, że do Toma[szowa] pojechałam, a nade wszystko gdy przekonasz, że mi w tym było dodatnią cząstką ochoty spełnienia rozporządzeń twoich! Aż zamian radości i uścisku, który tak umiesz żywcem w liście przesyłać, dostało mi się piórem twoim po palcach. Umiem po trochu wytłumaczyć sobie rozżalenie twoje — istotnie Staś powinien był od dawna już napisać i sama widzisz, że wczoraj jeszcze pewna byłam, że napisał; lecz czemuż ja mam za jego milczenie strof płacić? Wiem, że jest zdrow, choć bardzo, bardzo zajęty, gdyż znów cholera w jego okolicy pojawiać się zaczyna i Skierniewic nawet doszła. Wiem, że mi wspominał, jak ciężko mu pisywać, kiedy żadnym weselszym słowem odezwać się nie może, kiedy mu przyszłość coraz bardziej ciemnieje (n.b. nieprawda — przyszłość mu jaśniej właśnie — sama dalej się przekonasz — imię jego się rozgłasza — tylko on tak mówił i tak czuł w danej chwili). Z tym wszystkim i pomimo wszystkiego, powinien był napisać. Nie bronię go, niech się sam broni; tylko spod odpowiedzialności moją osobę usuwam. Był też drugi pocisk w twym liście „o opatrnej i egoistycznej ciekawości, której nie mam dla ciebie”. Niech ci proboszcz ludzimirski ten grzech na spowiedzi zatrzyma! Był i trzeci, o tym, że nie umiesz tak czytać poezji, jak ja słuchać bym pragnęła, i tam dalej, wiele innych rzeczy. Ten trzeci, z powodu okoliczności łagodzących niech ci odpuszczonym będzie. Jeśli ci się markotno zrobiło, że cię nie wzięłam z sobą do żółtego pokoju, to masz prawo się upominać, a ja mam prawo objaśnić cię, że mi zostałeś w ogrodzie nad rzeką i nie chciałam cię stamtąd wywabiać... Lecz dość tego procesu; gdybym się na wodzy nie trzymała, to by resztę listu zaległ albo resztę czasu przynajmniej

do odejścia okazji na pocztę. Więc wracaj do chronologii. W sobotę po 15 sierpnia przez cały dzień obchodziliśmy te miejsca i mogę się pochwalić, że także bez zmęczenia. Nawet Julia, jak wasza Zosia, krzepko się trzymała. Prawda, iż nie skakałyśmy po ścieżkach, którymi gemzy chodzą; na nasze jednak stosunkowe lata i siły pochwała się należy. A co w Nieborowie — co w Arkadii? Już nie to, co pani Hoffmanowa opisywała; jest przecież w pierwszej cała atmosfera wonią pomarańcz zaprawna; byłabym ją chciała w wielkiej bani kryształowej Sewerynowi posłać. W Arkadii jest jeszcze pewna *quasi*-świątynia z białymi wewnątrz posągami; jedno więc przy drugim, można by piosenkę Goethego powtórzyć: „Ach tam, o moja miła”... Kto wie, czy na przyszły rok... nonsens na przyszły rok się oglądać; dalej chronologia.

W niedzielę przyjechali państwo Feliksowie Grodzińscy i pokazali mi bilety na koleję żelazną do Paryża, tam i z powrotem, jeden po 47 rubli. W głowie mi się zakręciło — wychodzę do drugiego pokoju i mówię Julii: „O Julio! mam właśnie w ręku trochę więcej niż 47 rubli! mogłabym się jeszcze ostatni raz w życiu z Erazmem zobaczyć!...”. Domyślasz się, że Julia przyklasnęła i energicznie, sybillińsko zawyrokowała: „Jedź”. Wątpliwości — rachunki — projekta — znów wątpliwości — skrupuły sumienia — było tego całe 24 godzin — aż na koniec stanęło, że pojedę — we wtorek pan Leon i Skimb[orowicz] jechali do Warszawy, przyrzekli, że mi się paszportu wystarają; w piątek pan Leon wraca i powiada, że dla uzyskania paszportu muszę koniecznie sama osobiście choć na krótki czas do Warszawy jechać. Znowu pieniądze rachunki, ale Polcia wszystko ułatwia: jadę w niedzielę, trafiam na Ludki imieniny — w poniedziałek widzę się z Sewerynem — a nie mogę zobaczyć z rządcą. Zamiast jednego dnia, siedzę trzy dni w Warszawie; na koniec wyjeżdżam we czwartek — na Foksalu żegnam się z Polcią i panem Leonem, którzy mię w Paryżu powitać obiecują. Wracam do domu, trochę mniej zarozumiała w siły podróże, ale, po wielu jeszcze wahaniach, zdecydowana do wyjazdu. I cóż ty na to? Gdyby mi paszport z Warszawy dość prędko nadesłano, to bym w tę nadchodzącą środę zaraz wyjechała, odpoczęła dzień w Berlinie, i dalej jednym ciągiem już w sobotę do Paryża przybyła. Ale to już nie ode mnie zależy! Seweryn podjął się bardzo prędko przez biuro oberpolicmajstra tę sprawę przeprowadzić, a ja na to przystałam, bo chcę, żebym i jemu wdzięczną być mogła w jakiejś cząsteczce za tę wycieczkę moją. Jest to bo coś dziwnego, możliwość, podróż, odwaga do jej odbycia — wszystko to mię w dawną moją mistyczną przeszłość przerzuca. Zdaje mi się, że to brat mię tak ciągnie ku sobie siłą tęsknoty swojej i upragnieniem; przynajmniej nigdy listy jego tak wołające nie były. Nigdy! On umie być stoikiem; a w tym czasie tak się dopomina mego przybycia; ile razy mu odpisywałam, że nie, tyle razy on swoje powtarzał: „wierzę w to, że przyjedziesz” — i kiedy wyjazd mój pierwszy raz był zdecydowany, znów list jego nadszedł z tymi samymi słowy. A jeszcze dla podniesienia mistycznego kolorytu, donosi mi, że nie sam jeden, lecz razem we dwóch z Marcelim<sup>238</sup> mię czeka. Musiał go przekupić Marcelem, że go tak do wspólki czekania przypuścił, bo on względem mnie jednej trochę zazdrosnym bywa.

N.B. W czasie mojej warszawskiej wizyty były aż dwa listy z Tomaszowa do Edwardów K[aplińskich] — jeden z powinszowaniem dla Ludki, drugi o jakiś sprawunek; więc mogę zaręczyć, że tam zdrowi. Seweryn był zdrow także — ale zima! zima! Mówił mi o liście, który do niego pisałaś i podziwiał wasz tak zwany przez niego forsowny marsz napoleoński trzynastogodzinny — szczególnie w admiracji nad Zosią. Żebyś wiedziała, jak nie miałam czasu, a raczej Seweryn nie miał czasu na dłuższą rozmowę. Jednego dnia z rana, drugi raz wieczorem i to przerwano, ale na później dalsze szczegóły.

Uściskaj siostry, a pisz tutaj, żebym za powrotem list twój lepszy zastała na powitanie. Od Julii uścisk do Kazi, adres przez Warszawę, Tuszcz w Obrębie. Co to znowu te fluksje Julci, niech ją zęby nie boją, daję rozkaz duchom powietrznym, niech go w Tatry niosą.

## XCVI

20 września 1867 — pierwszy dzień pobytu mego w Rheims

<sup>238</sup>Marceli — Dobrowolski. [przypis redakcyjny]

Jeśli ci się zdaje, moja Wando, że mi za tobą i za listami twoimi nie tęskno, to się bardzo mylisz — gorzej nawet niż mylisz, bo grzeszysz przeciw prawdzie serca i rozumu. Na ten raz, nic więcej nie mam do powiedzenia; to mi było najważniejsze i najpilniejsze.

Bądź zdrowa.

Gdybym wiedziała z pewnością, gdzie jesteś, to bym list napisała; ale że nie wiem, karteczkę tylko Julii powierzam i zamawiam sobie, żebym przynajmniej w Dębowej czekający na mnie list twój zastała.

[Na odwrotnej stronie:]

Niechaj pani Julia będzie łaskawa i prześle tę karteczkę Wandzie Gr...

XCVII

9 października 1867, Dębowa Góra

Nie wiem, czy cię ten list zastanie w Warszawie, Wando moja jedyna, ale wiem przynajmniej, że długo czekać na ciebie nie będzie. Witaj mi, dziecko moje, siostrzyczko moja, entuzjazmie mój ostatni, przymówko moja bezwiednie upokarzająca, podwalino zupełny powstrzymująca upadek, aniele Habakukowy, co gwałtem choćby za czuprynę od ziemi odrywasz i w powietrze unosisz. Witaj mi, ty wszystka i rozmaita, a koniecznie witaj zdrową i silniejszą. Czas szkaradny wypadł na twoją podróż; skosztowałam go troszeczkę tylko i wiem, jak może chorym smakować. Mnie wprawdzie, zahartowanej już makrobiotycznie, na stukilkudziesięcioletnie życie skazanej, nie dał się wcale we znaki, przypomniał nawet miłe chwile dawnych rycerskich wędrówek moich; a zresztą użyłam go, co się zowie, od Skierniewic tylko do Dębowej Góry, z własnej winy i przez własne mazgajstwo lub raczej pośpiech zbyt czyny (zawsze jest bardzo niebezpieczną rzeczą, gdy niedołęgi spieszyć się zaczęły, a krowy galopować), chustka mi zmokła i na tym złe się skończyło; ale względem ciebie i Seweryna i Julii, i Kazi, i Wincenty, i Andzi, w najlepsze dopiero niespokojności się zaczęły, tym bardziej że przez cały miesiąc prawie nie spotkało mnie żadne nieszczęście. Zajechałam na miejsce bez wypadku; mogłam dłużej nawet, niż to mi się podobnym zdawało, z bratem zostać, widziałam go tak rześkim w duchu i woli, że nie każdy potrafi rozpoznać, jak ciałem z wolna upada i odchodzi. Spotkałam się z kilkoma życzliwymi znajomymi, z najżyczliwszym i najserdeczniejszym ze wszystkich Marcelim. Pani Matylda, co tak umie dogodzić, otoczyła mnie staraniem i radością swoją, wszelkie praktyczne chropowatości zagranicznego pobytu wyłożyła wata, fiołkami, kobiercami. Słowem, wśród bieżących okoliczności, pod datą dziewiętnastego wieku i według *chronologii mego życia*, lepiej mi być *nie mogło*; dlatego też co chwila spodziewam się, że jaki nowy kamień-aerolit o głowę mi się rozbije. Przyznaj, Wando, że się w porę wybrałam z liryką moich złych przeczuć na powitanie, a jeszcze kogo? Ciebie! Ciebie, Mimoso-Scabioso! Więc żeby na co innego myśl zwrócić, powiem ci, że mi się śniłaś pierwszej nocy po przyjeździe moim do Paryża i pierwszej nocy, którą w pokoiku Erazma przespałam; bo trzeba ci wiedzieć, że, jako czuła siostra, wypędziłam brata z jego stancji, musiał po hotelach się tulać. Jaki był sen? to najdziwniejsze, iż nawet w pierwszej chwili przebudzenia przypomnieć sobie nie mogłam. Wiedziałam tylko, że, nim otworzyłam oczy, byłaś ze mną i zaraz też, gdy czas sposobny do pisania się znalazł, krótką karteczkę napisałam do ciebie — tyle tylko, byś miała dowód, że cię wszędzie, a w Rheims szczególnie, miałam ze sobą. Bardzo brzydko, moja panno; jeśli ci dowodów trzeba, powinnaś sama przez się już wiedzieć; ale muszę być wyrozumiałą na twoje wady niektóre, do moich bardzo podobne. I mnie ciągle trzeba dowodów; lubię pasjami „dowody”; jeśli mię ich nawet prosty zbieg okoliczności pozbawi, to jakieś kółka wewnętrznej machinki się psują. Na przykład teraz matematycznie byłam przekonana, że listu mieć od ciebie niepodobna, a jednak gdy już trzeci tydzień mijał, zaczęłam bardzo smutne tworzyć wnioski; nie dlatego bym tobie choć najlżejszy cień winy zarzucała, ale lajałam samą siebie czemu przywykam... No nie warto wspominać, zwłaszcza, że jeszcze łatwo mi o tym nie myśleć.

Wyobrażam sobie, że daleko ciekawszą jesteś moich podróżynych wrażeń. Nędzna ze mnie turystka. Nie godzi mi się tej nędzy na samo fizyczne niedołęstwo składać, bo chociaż bywałam czasem okropnie schodzona, to jednak chodziłam tyle, że nigdy się czegoś podobnego nie spodziewałam po sobie. Sześć i siedem godzin dzień za dniem na nogach, z zadartą głową, z wytężonymi oczyma — to się rachuje — a przy tym na odpoczynek wizyty lub teatr do północy trwający. Sił i zdrowia starczyło mi na to wszystko, czułam, że wkrótce jak Ida Pfeiffer będę mogła pieszą podróż dokoła ziemi rozpocząć; ale cóż z tego, kiedy mi brak w głowie zapasów. Nie posądzałam się nigdy o zarozumiałość, a jednak pokazuje się, moja Wando, że byłam ogromnie zarozumiała! Zdawało mi się, że *umiem* daleko więcej niż istotnie przy pierwszym egzaminie rzeczywistości gotowego na zastosowanie znalazłam. Gdzie spojrzę, to się przekonywam, że patrzę bezużytecznie, dla zabawki jak dziecko, a przyswoić sobie, zdobyć na wiedzę, nauczyć się czegośkolwiek z widzianych rzeczy — utopia. Obrazy? nie znam się na malarstwie, sądzę jak koza o trawach — smakuje lub nie smakuje — podoba się lub nie podoba. Machiny? widzę świat jakiś nowy, nowe jakieś potęgi, ale tak samo pewnie pierwszy dudek po stworzeniu swoim patrzył na rozciągające się przed nim przestrzenie. Zboża? płody? *connais pas*. Geologiczne okazy? Łomy skał? Plany kopalnie? Iksy. Modele okrętów? Iksy. Choćby i proste koczce lub karety — wszakże mi się zdarzało koczami i karetami jeździć — powinna bym znać — ej, gdzie tam! — zabij mię i uduś, to ci jednak nie powiem, czemu ten powóz, a nie tamten został medalem zaszczycony? — czemu ten od tamtego ma być lepszy? Nie znam się na niczym — ale to co się zowie na niczym! Gdyby mi kazano sądzić, oceniać, klasyfikować, nie dałabym sobie rady z najprostszymi, najprzystępniejszymi przedmiotami; ani tkanin jedwabnych, ani szalów, ani koronek, ani kwiatów — biorę przecież zupełnie kobiece przedmioty — ani, słowem, żadnej rzeczy, która kobiecą i ludzką jest nie wyuczyłam się dokładnie. Darłam się do egipskich pamiątek — cóż mi z tego przyszło? Najdłużej między nimi siedziałam na wystawie, snułam się wśród nich po Luwru salach jak podziemia sklepionych, po muzeach berlińskich; i cóż mi z tego przyszło? Wrażenie! No, tak, były przelotne chwile wrażenia; czułam się o tysiące lat w przeszłość rzuconą, żyłam z tymi ludźmi, rozmawiałam z tymi mumiami; widziałam znajomych i pozdrawiałam siedzące z symetrycznie spuszczone nogami i rękoma postacie, ale to wszystko dobre byłoby dla siedemnastoletniej marzycielki. *Idzie Pfeiffer* należałoby się rozumieć, ogólnie przynajmniej, znaczenie różnych godeł i symbolów, rozróżnić króla od podskarbiego, królowę od krowy, Apisa od kapłana, amuletkę religijną od cacka dziecinnego. *Lecz Ida Pfeiffer* nic nie umie, patrzy tylko, że jej ledwie oczy z głowy nie uciekną. (Czy miałaś kiedy takie uczucie, by ci za spojrzeniem całe oko z głębi mózgu się ciągnęło?) — *Ida* patrzy i obiecuje sobie, że spamięta, że potem z czytaną książką porówna, a tymczasem gdy książkę weźmie do ręki, znów jako pierwej niczego zastosować nie umie. Biedna, głupia *Ida*! Znalazłam dowcipny sposób nazywania się niemiecką znakomitością, wszak prawda, Wando?

Jeden tylko poddział wystawy mógł mi coś mniej obcego do zbadania przedstawić, w jednym tylko czułam się na swoim gruncie, uzdolnioną o tyle przynajmniej, że się mogłam czegoś nauczyć. Były to schemata szkółek wstępnych, ze wszystkimi przyborami. W małych pokoikach ławki, szkoły, tablice, książki, mapy, napisy; wszystko tak, jak bywa na miejscu.

Zwiedziłam szkółkę amerykańską, szwedzką, pruską i saską. Zazdrość mnie wzięła! Nie było czasu we wszystkim się rozpatrzeć; a jednak, z pierwszego rzutu oka, co nabytków dałoby się przyswoić, co konceptów żywcem zastosować? Nie ma gdzie!

Byłam na dwóch pedagogicznych w Sorbonie konferencjach; po raz pierwszy katedra tej starożytnej wszechnicy dla kobiety otwartą została. Pani Papé-Carpentier mówiła o sposobie uprzyjemnienia nauki małym dzieciom. Słuchano jej z wielką sympatią; była cierpiąca i głos jej tak był cichy, że ledwo najbliżsi siedzący wiedzieli, o co rzecz chodzi; ale tłum wiedział, jakie było jej życie, jak przeszłość uczciwej, skutecznej pracy poświęcona, więc na wiarę z uszanowaniem każdemu serdeczniejszemu ustępowi przyklaskiwał, w konferencji albowiem serdeczność głównie przemagała. Wdzięk przy tym i prostota niezrównana! Gdybym była dzieckiem, to jestem pewna, że nie słowo jej nawet, nie rada najtrafniejsza, nie zachęta żadna, ale sam jej uśmiech ciągnąłby mnie jak magnes opilkę

żelazną; *takiego dobrego* uśmiechu nie widziałam od dawna, od czasu, jak twarz najlepsza<sup>239</sup> do małych dzieci uśmiechać się przestała.

Gdyby mógł Paryż mnie zbałamucić, to by mnie zbałamucił tymi konferencjami swoimi, prelekcjami, odczytami, kursami naukowymi; ale niewiele właśnie zakosztować ich mogłam, trzeba było „ogłądać”. Więc mnie nęcił przepychem, zabawą, deklamacją i śpiewem, wodewilem i operą, a ja podziwiałam i smuciłam się, że rozszaleć się nie mogę!

Ciekawa jestem, jaki sens moralny wyciągniesz z tego wszystkiego, co ci na pierwszy raz, w urywanych zdaniach, przeskokowo, o podróży mojej wspomniałam? Czy znajdziesz przynajmniej odpowiedź na to, co ci pilniej wiedzieć o mnie było trzeba? Jeśli nie, więc właśnie twoja rzecz, Wando, pytaniami do porządku mię przywołać, ja ci zawsze odpowiem, kiedykolwiek i o cokolwiek mi się zapytasz, *my darling!* Ale ty pytać nie umiesz, szczególnie, gdy razem jesteśmy, żywym słowem. Pani Anna ma słuszność, gdy ci wyrzuca, że twoje listy od twojej rozmowy pełniejsze. Po trochu znam się na tej chorobliwości, tylko w tobie jest więcej niż we mnie rozwinięta. Cierpię na nią póty, póki wszelkich zarodków nieufności względem drugich nie zabiję. Niech no tylko będę kogo pewna, to pewnie więcej mu powiem niż napiszę; ale jak mam wątpliwość na sercu, a przyjaźń w sercu, to więcej napiszę, niż powiem. Ty zaś do nieufności względem drugich łączysz względem samej siebie nieufność; prześladuje cię wiecznie to twoje tchórzostwo moralne, ten stosunek potworny między myślą zuchwałą a ruchem niewprawnym. Czy ja cię kiedy z tego otrząsnę? Usiłowań nie szczędzę, przestróg w bawełnę nie obwijam, ty mi to wszystko wywzajemniasz, ciągle mnie do autorstwa zapędzając. Ach, Wando! nie ustawaj w tym bezowocnym wołaniu — może się na co przyda, a jest właśnie bardzo potrzebne; jedyny sposób, którym mogłabym trochę pieniędzy zarobić, trochę? ba! ja nawet dużo bym ich chciała. Wołajże więc na mnie, znajdź sposób, żeby o jeden stopień wyżej rozwinąć moje przeszłoroczne usposobienie, żeby przypomnieć, co mi się przeszłego roku w głowie układało. Wszakże Daniel umiał Nabuchodonozorowi zapomniany sen przypomnieć! Nie jestem wprawdzie Nabuchodonozorem, ale ty niezawodnie jesteś Danielem moim. Więc rób, co chcesz, znajdź jakieś ożywienie, jakąś podniętę, jakiś specyfik na odtajenie mózgu, bo chcę pisać — chcę, aż do podłości — gotowam głupstwa i niedorzeczności bezcelnie sprzedawać — albo ciebie wprost okradnę — Mam zupełnie melodramatycznie umysł nastrojony, chociaż w teatrze Porte-St-Martin nie byłam. Co to będzie? co to będzie? Najpierw to złe, że się długo nie zobaczymy. Żaden projekt nawet wyjazdu nie ściele się w mgłach przyszłości. Tyle pociechy, że się zbliżyła i że już obie na miejscu zatrzymamy się po naszych wędrówkach — to choć listy zaadresować dadzą się z większą pewnością.

Bardzo mię to cieszy, że się po angielsku nauczyłaś i że ci się *Tytana*<sup>240</sup> spotkać udało. Nic a nic dziś go sobie nie przypominam, lecz onego czasu — powiem ci to kiedyś, jak się zobaczymy, dlaczego po jego przeczytaniu zaczęłam pisać *Podróż kobiety* — która się później na cztery karteczkowe ustępy rozwiała. Już to mnie zawsze na pisanie szło, kiedy coś z wrażeniem przeczytałam (jakiego bądź gatunku, byle wrażenie). *Pogankę* po Tucydysie — *Podróż kobiety* po *Tytanie* — *Mainę* po *Prawdzie ruskiej* Rakowieckiego itp. itp. Czy ja mogę mieć jeszcze jakie wrażenie? — Egipt czym się odnajdzie — czy istotnie był wrażeniem?

Zosię i Manię uściskaj serdecznie — Zosię w jej niebieskim pokoiku, Manię przy fortepianie. Ojca powitaj z drogi bardzo serdecznie, ale nie od siebie tylko, lecz i ode mnie powitaniem. Seweryna zapytaj, czy miałby czas odpowiedzieć mi, gdybym list do niego napisała? Przypuściwszy, że szłoby o interes, a jeszcze mój, to nie wątpię; możesz mu to bardzo jasno wytłumaczyć. Choćby tylko pomoc paszportowa, to by już mogła nieufniejszą ode mnie przekonać; lecz ja mam list bez interesu, list-gawędkę na myśli.

Jeśli pierwszej ode mnie będziesz pisała do Stasia, to mu powiedz, że się ciągle na mapie rozpatruję, z jakiego punktu kolei żelaznej najbliższej będzie do Soczewki. Do Edwarda K[aplińskiego] na imieniny, zamiast powinszowania, niestety chyba usprawiedliwienie przesłać będę mogła.

Żegnaj moja.

<sup>239</sup>*twarz najlepsza* — Pani Wilczyńskiej, właścicielki pensji, na której kształciła się Narcyza (patrz: *Czy to powieść?*). [przypis redakcyjny]

<sup>240</sup>*Tytan* — powieść Jean Paul Richtera (1800). [przypis redakcyjny]

## XCVIII

[*Dębowa Góra 1867, jesień*]

Najpierwej uścisk witający; potem nie martw się Wando, lecz popraw. Jak przeczytałam, co ty sobie za wielkie rzeczy z mego pisania obiecujesz, tak mnie wstyd zdjął wielki i ledwo wszystkich arkuszy do pieca nie wrzuciłam — a jesień, w piecu już palą. Trzeba mi było rozsądkiem szermierzyć; pamiętać na to, że wywlekłam stare szpargały nie na zbawienie świata i niewiaśc, lecz po prostu na felieton dla p. Sikorskiego. Usiadłam, by napisać „cokolwiek”, nie zaś coś wielkiego i pięknego koniecznie. Staram się jedynie, by moje cośkolwiek było prawdziwym, nie kłamanym. Masz więc początek; jeśli możesz, przepis i otrząśnij się z wszelkiej miłości własnej na rachunek twoich ukochanych. Pycha serca jest grzechem jak pycha rozumu. Ucz się kochać miernych ludzi, zwyczajnych śmiertelników; to jest kochaj mnie pomimo —

Później szerzej się rozmówimy.

## XCIX

*12 listopada 1867, Pszczonów*

Gdybyś umiała czekać cierpliwie, to byś dłuższy list dostała, moja Wando, ale że nie masz tego talentu, więc tylko na krótkiej karteczce poprzestać musisz. Juluta ci powie, jakie przeszkody pisać mi nie dozwoliły aż do dnia dzisiejszego; a ty nawzajem powiesz Julucie, dlaczego i dzisiaj dłużej do ciebie nie pisałam. Oto choroby zaczynają mię przesładować: ledwie noc przespałam spokojnie i po napisaniu listu do Juluty śniadanie z wszystkimi na dole zjadłam, aż tu w godzinę może i Witeczka, i jej Lutek nagle bólu głowy, wymiotów, mdłości takich dostali, że ich o zaczadzenie posądziłam. Nie było to jednak zaczadzenie żadne, tylko tak sobie, — niefortunny zbieg okoliczności. Do tej chwili, koło 9-tej wieczorem, Lutek jest zdrowszy, bawi się, ale jego matka jeszcze z bólu ciągle zasnąć nie może. Powinna była czegoś lepszego w Pszczonowie się doczekać. Najpierwej dlatego, że ledwo z powozu wysiadłam, w sieni zaraz Władek, mój siostrzeniec, jako chlebem i solą mnie listem twoim powitał; a potem dzisiaj z rana, obudziwszy się, jako na ranne nabożeństwo do rozmowy z wami kochanymi siadłam i od błogosławionej pokój czyniącej Juluty zaczęłam. Omeny zawiodły — rozmowa się przerwała. Tylko że sama nie lubię listu wyczekiwać, więc i twoją niecierpliwość uwzględniam; wolę choć kilkoma słowami się odezwać, niż na próżne wnioski i domysły cię narażać. Jak ci powiem już, dajmy na to, że przez jakiś czas pisać nie będę, to ci zapewne tak przykrym się nie wyda; po sobie samej sądzę — abym tylko wiedziała, czego się trzymać. Niestety! rzadko kiedy mogłam się poszczycić tą wiadomością, a były zdarzenia i są fakta, o których nigdy a nigdy mieć jej nie będę, nawet w przyszłym życiu — bo zapewne na tamtych światach nie kłopotczą się o różne drobiazgi, tak jak ja się kłopotczę na tym padole łez i nędzy. Np. czemu Wanda nie dała mi się w Dębowej Górze uczesać i tak się zniecierpliwiła, gdy trochę uparciej nastawać o to zaczęłam? lub też — mniejsza o inne rzeczy i wypadki, o których „nie wiedziałam, czego się trzymać”. Tobie przynajmniej chciałabym tego wrażenia choć pod względem listów moich oszczędzić. Będziesz tedy wiedziała, że jeśli nieprędko napiszę, to znaczyć ma, że piszę do druku albo głupia jestem i nic nie robię. Jeśli mi będzie smutno, jeśli będę miała jakie zmartwienie nowe, to niezawodnie list odbierzesz. Nawet gdybym się czym bardzo ucieszyła, to bym ci także o tym doniosła, lecz w jednostajnej temperaturze zapowiadam pauzę listową. Po waszych odwiedzinach z energiczną gorliwością wzięłam się do korespondencji, ułatwiwszy co pilniejsze z „realnymi” interesami do Włocławka i na Ukrainę do Rózi (spytaj się Edwarda K., czy dobrze zaadresowałam do Popówki, czy tam jeszcze?), wzięłam się do interesów moich „idealnych” i zaczęłam list do Seweryna, któremu wiele rzeczy miałam powiedzieć, a tymczasem skończyć go nie mogłam i nie wiem, kiedy skończę, tj. kiedy raczej drugi znów napiszę. Tymczasem pamiętaj, Wando, że, o ile nie piszę, o tyle spokojną być powinnaś, iż mię nic ani złego

ani dobrego nie spotkało, chcę tylko dalszy ciąg Marynki<sup>241</sup> ci wygotować. Zrobiłabyś mi wielką przysługę — dała pomoc, gdybyś mogła kilka aforyzmów w tej samej kwestii poszukać w trzech takich dziełach np. w *Moralności dla kobiet* przez panią Hoffman, w pani Necker de Saussure, w *Comtesse de Rudolstadt* pani Sand, to co mówi twoja imienniczka, jakiś główny i najważniejszy frazes. Nie mam tego pod ręką, w ostateczności będę musiała się obejść, lecz gdybyś mogła mi dostarczyć, jak powiadam, kilku aforyzmów tylko, byłby mi wielką pomocą do rozwinięcia pierwszego planiku, choć co o „Bluszczu” wtedy, to i myśleć nie wolno. Takiej rośliny nie można kwasem siarczanym podlewać.

Od brata miałam list w sam dzień 29-go pisany, ale tak drżącą ręką, że mnie znowu niespokojne podejrzenia ogarniają, czy istotnie jest choć tak zdrowym, jak powiada.

Jak daleko Soczewka<sup>242</sup> od kolei żelaznej i która stacja najbliższa?

Uściskaj siostry — pozdrów ojca i co wieczór myśl o tym, że ja myślę o tobie.

C

25 listopada 1867, Pszczonów

Kto u was chory? Co się z wami dzieje? czy masz takie zatrudnienie, czy takie zmartwienie, Wando, że nie pisujesz do mnie? Zdawało mi się, że twój list ostatni na wstępie do Pszczonowa w sieni odebrany (i przeczytany pospiesznie) dobrą wróżbę zwiastuje; to pięknie dobra wróżba! Wpadłam jak w studnię; od nikogo ani słowa, jedna tylko Martylda pisała najniedawniej, lecz jej list nawet był jeszcze do Dębowej adresowany. Od wszystkich zresztą „stalszych” korespondentek moich mnie się odpowiedź należy, toż i bez odpowiedzi godziłoby się zasilić mię trochę. Przed Julią i przed tobą długo przecież o potrzebach moich mówiłam i stąd już sama zgłaszałam się także; pewnie jedna z was chociaż dałaby mi wiedzieć o sobie, gdyby wszystko szło zwykłą koleją. Widzisz, Wando, co to za kłopot przyzwyczaić mię do „czegoś szczęśliwego”. Jak mam, to odwdziżyć nie umiem; a jak mi się usuwa, to dopominam się i całą chorobliwą, wezbraną pomysłami i domysłami niespokojność siostr Żmichowskich rozwijam. Nie napiszę ci dzisiaj, co mi przez głowę przeciągało od chwili, w której twego odpisu czekać zaczęłam, bo pomijam chwile, w których się listu jako surpryzy tylko spodziewałam. Czekać naprawdę zaczęłam od przeszłej soboty, a moje czekanie fatalne bywa — czy wiesz o tym, Wando? Że w sobie samej głupieję okropnie, to ci już nieraz o tym wspominałam; jednak może się nie domyślasz, jaką i dla drugich nieznośną się robię. Po kilka razy na dzień o pocztę się dopytuję; ciągle nudzę, żeby wysyłano, ciągle w pretensjach jestem, że marudzą z odniesieniem; moje towarzystwo musi chyba aż zabawne być taką ciągłą niezabawnością. Wiesz co zresztą, nie żądam od ciebie nadzwyczajnych wydatków; póki mogłaś, póty mię ratowałaś listami twoimi; dzisiaj zapewne nie możesz, jesteś chora, może zapracowana, może bardzo smutna, więc nie chcesz pisać — uwzględniam — ale miej przynajmniej równą mojej sumienność. Ta, kiedy czuję, że w fazę milczenia zapadam, to szczerze z góry uprzedzam tych, którzy prawdopodobnie mogliby się niepokoić, że do nich pisać przestaję. Wszak i teraz podobnie zrobiłam, a wy bez uprzedzenia, prawem kaduka, odcięłyście mi dochody moje: *vous m'avez coupé les vivres* — bo Julia także znać o sobie nie daje. Nic dziwnego, że mi autorska żyła wysycha — i listów nie ma, i notatek nie ma, i animuszu nie ma — dopełniam wszelako obowiązków moich — budzę się dość wcześnie, między czwartą i piątą, rozmyślam trochę, wstaję, siadam przy stoliku, zaczynam pisać. Czy kiedykolwiek ktokolwiek przeczyta co przez te nudne, duszne dni napisałam, to inna kwestia; wiem tylko, że się wzięłam na przymus i piszę — z piórem w rękę przynajmniej siedzę zamknięta w pokoiku do dziewiętej godziny, o tej porze słyszę ruch w najbliższym sąsiedztwie, Kasia przychodzi w piecu palić i na śniadanie wstają. Od śniadania już nie jestem panią mego czasu, tylko czas jest panem moim; ani się obejrzę, kiedy mnie o dzień bliżej grobu zaciągnie. Mam wprawdzie dwie godziny lekcji z Lutkiem, lecz co zresztą się dzieje, trudno dać objaśnienie, tak to porozrywane i zasypane drobiazgami. Spać chodzę bardzo wcześnie, o dziewiętej najczęściej w łóżku już jestem i cygaro palę, do czytania

<sup>241</sup>dalszy ciąg *Marynki* — *Kasia i Marynka*, powieść Żmichowskiej, w którą weszło wiele z jej rozmów z Wandą. [przypis redakcyjny]

<sup>242</sup>Soczewka — miejscowość, gdzie mieszkał dr Stanisław Markiewicz. [przypis redakcyjny]

prócz Herodota, Las Casasa (o św. Helenie) i jakiejś historii Cesarstwa Rzymskiego nie mam. Dla urozmaicenia życia przyszła wczoraj wiadomość, że u Maryni w Kowalewsczyźnie pożar zniszczył wszystkie gospodarskie zabudowania. Klęska, z której latami dźwigać się trzeba, w tamtych stronach zwłaszcza i przy terażniejszych cenach. Ciężki rok doświadczeń na nich przyszedł — grad, powódź i ogień — wszystkie żywioły pokłóciły się z nimi, a to rok urodzenia ich drugiej „życzonej sobie” córeczki. Gdyby chłopca, to by się na coś straszego zanosilo z takimi prognostykami. Każdy Cezar-potwór rodził się wśród klęsk natury, jako czytam właśnie — chociaż i w latach pomyślnych zbiorów, a najpiękniejszej pogody na Cezarów wielkich ludzi nie było urodzaju. Mój Boże! wiedzieć oto, co się działo z Komodusem, Gordyanem, a nie wiedzieć, co się dzieje z Wandą — wiedzieć, co porabia Messalina, Agrypina i Faustyna, lotrzyce takie skalane, a nie wiedzieć, co Julia, Kazia, Wicunia, Andzia, moje najpocziwsze w świecie kobiety porabiają. Fe, to nie ma sensu! I o chorobie Adriana mieć tyle szczegółów, a nic, nic o zdrowiu Seweryna nie przeczytać. I codziennie widywać się z siostrzeńcem moim Władkiem, a nie mieć nawet czasu oznaczonego, kiedy się z siostrzeńcem Edwardem zobaczą. Logiczna bardzo biografia! stosownie do usposobienia kartka listowa się rozłożyła. Bądźcie zdrowe, moje trzy kochane siostrzyczki z pierwszego piętka.

Zanudzę was okropnie ciągle was o adres pani Róży<sup>243</sup> dopytując, ale nie mam na was innego sposobu, jej zaś sprawunki tak mi ciężą na sumieniu, że chciałabym je co prędzej wyprawić i mieć dla Marceliego świadectwo. Przypuszczam, że sama osobiście nie wiele wiesz o Rózi, ale mogłabyś Edwarda i Julię dopilnować, dobadać.

## CI

7 grudnia 1867, Pszczonów

Jeden twój list przepadł, ten właśnie, gdzie mi opisujesz pierwszą swoją u Ilnickiej bytność. Niech Bóg nie pamięta winowajcy pocztowemu, który ma stratę moją na sumieniu; popełnił on srogie morderstwo, zabił mię na dwa tygodnie. Przedstaw, jak się okazało zdarzy, Sewerynowi, że jest arcy niesłuszną rzeczą, iż prawo kodeksowe tych jedynie karze, co człowieka na kilka lub kilkanaście lub wreszcie na kilkadziesiąt lat przypuszczalnie możliwych jego wieku zabija, a nie wymyśliło żadnej grozy na takich, którzy mu jego, nie tylko już możliwe lecz autentyczne życie wydzierają na tydzień, na dobę, na godzinę, — wszakże to niezaprzeczenie mordercy. Przez dwa tygodnie byłam ofiarą administracyjnego morderstwa. Najlepszy dowód to, że nic nie robiłam. Co za dziwactwo cię opadło w przedostatnim liście, że mię za niego przepraszasz i lękasz się niby w pracy mojej przeszkodzić. Wyraźnie zapomniałaś, co tobie i Julucie mówiłam: jeśli chcecie, bym pisała — pisujcie. „Lampie trzeba oleju — przygasa za wcześniej” (pierwszy wiersz *Manfreda*, który mi zawsze z zapomnienia wyskakuje, gdy mam się wziąć do pisania), wy moim olejem — „Olej wylany, imiona wasze” — (to znów jest cytacja z godziniek).

Tylko nie pisuj, Wando, żebym przyjechała do Warszawy, ach! nie pisuj. „Olej wsiąkający z mózgu — tęsknota za Warszawą”. Ostatnia twoja karteczka załączona do wypisów — a za wypisy wdzięczność swoją drogą prawdziwie osobliwe sprawiła na mnie wrażenie. Już to jest rzeczą wiadomą, że twoje listy albo mię radują, albo smućą, albo niecierpliwą, albo ciągną w życie, albo pocieszają w niezyciu, lecz ostatni — co mi się właśnie pierwszy raz zdarzyło — zabawił mnie tak zabawnie, że się aż głośno roześmiałam. Jaka też to szczerzłota naiwność twoja, Wando! Każesz mi pisać do „Bluszczu”, a tuż obok tego powiadasz, że wątpisz, aby *Herta* tłumaczoną być mogła<sup>244</sup> dla trochę nielegalnej sytuacji jednej z wprowadzonych kobiet. Więc śp. Bremerowa nie jest dość kryształową, a ja!... pamiętaj, Wando, że elementarz dość mi się udał, jedyna zaś powieść, którą dla dzieci napisałam, wcale mi się nie udała, a jedyna powieść, którą więcej czytano, była ta właśnie, za którą mój najdroższy pułkownik Paszkowski dał mi burę, a moja najdroższa Andzia czyścicowe przesłała obawy. Niech mi się zachce drugi zwrot *Poganki*, np. *Fanatyczkę* napisać, no, nie bój się, nie napiszę — moja terażniejsza beztytułowa, bezko-

<sup>243</sup>pani Róża — Kruszyńska, siostra Marceliego Dobrowolskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>244</sup>wątpisz, aby „Herta” tłumaczoną być mogła (...) — później Wanda dokonała tego przekładu, który ukazał się w „Bluszczu”. [przypis redakcyjny]



lorowa, mogłaby i w kółku domowym, i w kółeczku rodzinnym, nie tylko w „Bluszczu” się bez zwrócenia uwagi przesunąć — lecz gdyby — toż bym musiała ciągle, gdy wezmę pióro do ręki, myśleć o mojej wnuczce Jadwisi Rostworowskiej, a ja czasem ledwie o tobie nawet myślę — tak myślę o tym, co jest — o prawdzie *nad, pod i w*.

Chciałaś mię w emulację z panią Sand wprowadzić! Nie używaj tego sposobu; takie pokorne zniechęcenie mię ogarnia, że aż paraliżu dostaję. Ty nie wierzysz w organiczne trudności — daremnie bym ci tłumaczyła — powinna być jednak sama trudności i braki umysłowe rozeznąć. Pani Sand mówi zawsze o rzeczach wiadomych; kochała i była tak bardzo tak przez najbogatsze indywidualności kochaną; ale ja, kiedy co piszę, to ramionami wzruszam, że ludzie gotowi za dobrą monetę przyjąć.

Gdybym umiała tłumaczyć jak ta Ilnicka szczęśliwa, co by oto lepiej sama z własnej myśli pisała, a tak cudownie tłumaczy — gdybym umiała, to bym nigdy nie powazyła się nawet od siebie słówkiem odezwać. Tymczasem, że nie umiem, więc dalej idę i z Marynką<sup>245</sup> koresponduję. Dałam pierwiej trochę objaśnień o niej samej, potem dopiero moją odpowiedź, jej protestację, mój komentarz objaśniający, i tak się to przeciągnęło, że po kilkunastu arkuszach dopiero weszłam — nie weszłam jeszcze, tylko zaczęłam się do wyznawczyni p. Hofman<sup>246</sup> wybierać, jakkolwiek mam szczerą intencję przeciw powadze p. Hofman nie powstawać. Czy sądzisz jednak, że „Bluszcz” przyjąłby najnieśmielszą insynuację, nie mówiąc już o pocziwej Ilnickiej, która może własnemu sercu dałaby się przekupić, jeszcze tam niewidzialny duch Pana Aleksandra Krajew[skiego] czuwa — Ortodoksja i Horacjusz, i Sybirska Koteria — *Merci*<sup>247</sup>.

Pisz mi co prędzej, czy się już do roboty zabrałaś. Moje panie wybierają się do ciebie z wizytą; jeśli możesz, przygotuj dużo książek, żeby mi przywieść mogły; jeśli książki nie olejem, to szmalcem przynajmniej. Zosię ucałuj, Manię upieść, ojca pozdrów, Sewerynowi list oddaj i pisz najpierw do „Bluszczu”, a potem do mnie, jak możesz najdłużej — przez ciebie muszę mieć i o Soczewce wiadomość.

I pani Ludmiła pamięta o mnie? doprawdy pamięta? — nie bałamuć mnie Wando, dość na swój rachunek.

## CII

26 grudnia 1867, Dębowa Góra

Wszak Juluta oddała ci słowo moje i kawałek opłatka, który w sam dzień wigilii pod jej adresem do wszystkich moich wyprawiłam. Dzisiaj wyprawiam połowę pożyczonych mi książek angielskich, bo zaleciłaś, żeby się z nimi spieszyć; może nie dosyć jeszcze pospieszyłam, kiedy z czterech dwie tylko; ale jak weźmiesz pod obliczenie, że mi je dopiero w poniedziałek oddano i że przy świątecznych gościach, duszkiem, jak zwykle, czytać nie podobna — usprawiedliwisz moje spóźnienie.

Twój list przedostatni zupełnie niby po dyktowaniu twoim czytałam leżąc w łóżku i paląc cygaro; tylko nie pomyślałam tego, co ty pomyślałaś, że ja pomyślę.

Pomyślałam sobie:

Szkoda!

Ostatnim listem podzieliłam się z Polcią. święta nam schodzą smutnie bardzo, ale nie cicho, bo, jako wiesz, Stefcia i Wandzia, i Józio z daleka — my pszczonowscy z bliska, matka p. Leona i bracia jego, wszyscy zebrani w Dębowej Górze. Niby to lepiej, że Polcia musi o nas wszystkich myśleć, ale i gorzej także, bo każdy szczegół więcej jej przypomina poniesioną stratę<sup>248</sup>. Musi to być jednak inna dodatkowa gorycz w tych śmierciach, co nam odejmują osadę naszej przeszłości, grunt, na którym wolno było cały nasz egoizm zahipotekować — serca, które nas kochały już, gdyśmy jeszcze kochać nie umieli i które nas kochały aż do śmierci więcej niż my kochać mogli. Nie mam nic podobnego we wspomnieniach moich.

<sup>245</sup> *Marynka* — mowa o powieści *Kasia i Marynka*. [przypis redakcyjny]

<sup>246</sup> *p. Hofman* — Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, do której dzieł napisała później Narcyza dość krytyczny komentarz. [przypis redakcyjny]

<sup>247</sup> *merci* (fr.) — dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *Polcia* (...) przypomina poniesioną stratę — śmierć Jakuba Lewińskiego. [przypis redakcyjny]

### CIII

[Odpis W. Żeleńskiej<sup>249</sup>] 31 grudnia 1867

Moja pani plenipotentko! Nie mogłam prędzej odpisać, chyba istotnie telegrafem, do którego przy takiej zimnej porze, umyślnego wysłać mi się nie chciało. Wczoraj wieczorem dopiero przyszło twoje wezwanie, dzisiaj w południe odchodzi moje upoważnienie, żebyś dała jaką zechcesz fotografię dla p. Ambrożego<sup>250</sup>. Już przez to samo, że z Krakowa rodem, i współmieszczaninem Juluty mojej kochanej, i że tak długo żyje na świecie — a też gdyby mi kazano sonatę skomponować, to bym próbowała, jeśli by tylko chodziło o zrobienie „przyjemności” człowiekowi, który żył poczciwie a długo. Ty tego nie rozumiesz, Wando: lecz ja wiem najlepiej, co to znaczyć może<sup>251</sup>.

Tylko nie myśl, że zaraz po świętach na karnawał przyjadę, jeszcze *niczego* nie skończyłam. Idzie tylko o to, że gdy się przekonam, iż o *wszystkim* zapomniałam, to już nie będzie przyczyny, bym w domu siedziała.

No, jeszcze cię muszę uściskać, choć wołają, że obiad stygnie, dopełnij sobie konceptem, że przyjaźń nie zastyga — to gorzej, że posłaniec może ziębnie...

---

<sup>249</sup>odpis W. Żeleńskiej — w papierach matki mojej znalazłem przepisane ustępy listów Narcyzy, wśród nich niektóre takie, których oryginału nie znalazłem. Te podaję z odpisu, zaznaczając ich pochodzenie. [przypis redakcyjny]

<sup>250</sup>p. Ambroży — Ambroży Grabowski (1782–1868), archeolog i antykwarium. [przypis redakcyjny]

<sup>251</sup>Moja pani plenipotentko (...) co to znaczyć może — fragment ten został również „dopasowany” do listu LXX z 31 grudnia 1866 z Pszczonowa; o trudnościach z rekonstrukcją chronologii i całości listów patrz: *Wstęp* Tadeusza Żeleńskiego). [przypis edytorski]

# ROK 1868

## CIV

*Trzech Króli, Dębowa Góra 1868*

Moja księżniczko Wando, posyłam ci list nie list, kartkę nie kartkę, bilet nie bilet; ot, po prostu kilka słów, które Sewerynowi w dzień jego imienin oddasz. Miałam ochotę dłuższą odpowiedzią wywdzięczyć mu się za prawdziwą kolędę, którą mię przy nowym roku udarował, ale niepodobnym mi było. Święta, jakkolwiek smutne, lecz gwarne; za ledwie sobie chwilkę spokojniejszą znalazłam, toteż do ciebie nawet nie zaczynam pisać, polecenie tylko i uścisk, prócz tego dwie książki angielskie i piętnaście złotych, na które weksel wystawiłam. A prócz tego jeszcze wiele, wiele innych rzeczy. Gdybyś też na przykład odzwyczaiła się od tej myśli i od tego frazesu, że: za często pisujesz, za długo mię trudzisz, nudzisz, a ja ci powiem chyba do rymu *ludzisz*, bo gdybyś mię nie ludziła lub samej siebie nie ludziła, to musiałabyś wiedzieć przecież, że czym wasystasik w zamkniętym pokoju, czym dziurka od klucza w kozie, czym stawy w ogrodzie pszczoneńskim, tym listy twoje w moim życiu. Na piętnaście sposobów wytłumaczyłaś sobie moje „Szkoda!” wykrzyknikiem rzucone; to może trochę zanadto, ale że ja sama z polsiódma znaczenia przynajmniej skupiłam w te sześć liter, to prawda i między innymi był żal do rymu także. Szkoda, że ja stara, a ona młoda, co się wyklada; szkoda, że sobie wyobrazić nie może, czym jest dla mnie i musi nieraz sama przed sobą chociaż poskarżyć się o to, czym ja dla niej nie jestem. Tylko przypominam, że mówię o części, nie o całości.

Teraz, kiedy już święta skończone, mogę je podsumować i podpisać: smutne, czcze. Gdyby tylko smutne, byłyby lepsze daleko. Ze smutku, żaloby zwłaszcza, można niejedną kosztowność wykształtować jak arcydzieło z gliny, byle mniej więcej artyzmu, byle serca mniej więcej. Lecz koło nas okoliczności tak się złożyły, że nie mogłyśmy ani gliny lepić, ani smutku używać, wszystko poszło w rozproszenie, godzina po godzinie, dzień po dniu, rozwłóczyło się na drobiazgi, na coś takiego czego się nie pamięta. Trudno by mi było powiedzieć, co robiłam w samo Boże Narodzenie, co w ostatni dzień roku, co w pierwszy, zapomniałam wszystkiego. Wiem tylko, czego nie robiłam. Nie czytałam Biblii na wróżbę, nie siedziałam do północy, nie pisałam długich listów, nie rozmawiałam długą, prawdziwą rozmową. Ot, tak, żadnego dnia, żadnego poniedziałku, wtorku, środy, itp. nie mogę sobie zdarzeniem żadnym wyróżnić, tylko jak w czarną poduszeczkę powpinam szpilki z diamentowymi łebkami. Są chwile, chwile-listy — powinna być łatwiej zrozumieć, jak mi się w takim układzie niektóre twoje frazesy wydały. Oj, Wando, Wando!

Nie miałam dziś intencji zaczepiać tego przedmiotu, ale że mi niby oliwa na wierzch mózgu się wydostaje (może niby pozłota), więc już sobie ulżę choćby pobieźnym zapytaniem.

Czemu ty, u licha, tak się pracy dopominasz? Nie dbaj o nią, to ci sama w ręce wlezie i będziesz jej miała więcej niż przerobić podolaś. Pracy! Gdybym miała na moje zawołanie tyle powieści angielskich do czytania, to bym — słowo honoru daję — ani pomyślała o żadnej pracy. Seweryn tłumaczył mi się w ostatnim liście z mniemanej swojej „niekonsekwencji”; otóż mogłabyś mu przytoczyć jedną, na której bardzo dobrze wychodzę i która mnie zawsze kusi do bronienia sprawy niekonsekwentności. Gdybyś była konsekwentna ze swoim entuzjazmem do pracy, to byś musiała być oburzona ciągłym moim próżniactwem, a ty mię kochasz i nie uznajesz tego, że próżnuję, święta Niekonsekwencjo! Wando...

Pisano mi, że Deotyma bardzo chora; czy nic o tym nie słyszałaś?

Może Stasiowi uda się na imieniny Seweryna przyjechać. W takim razie nie spodziewam się listu; ale ufam, że go ode mnie serdecznie pozdrowisz.

## CV

[Dębowa Góra] 20 stycznia 1868

W tej chwili, Wando, moja, list twój odebrałam i czytać skończyłam. Już od dawna, od dawna, znikąd mię dobre nie dochodziły wiadomości; zapomniałam nawet, jak to bywa, kiedy się coś cieszącego w liście wyczyta. No, przypomniałam sobie dzisiaj doskonale. Ucałuj Manię, upieść ją za to, że jest kochaną, i tak pięknie kochaną<sup>252</sup>, a jeszcze więcej za to, że ja tak wierzę w jej najpocziwsze tego skarbu użycie. Wiele bardzo od Juluty, od Ignacego, od mego siostrzeńca wreszcie o p. Kwi[etniewskim] słyszałam, toteż gdy jego nazwisko mię zaskoczyło niespodzianie w takim ślicznym twoim o Mani frazesie, aż głośnym wykrzyknikiem radości je powitałam. Ale bo istotnie rzadko co tak mi się doskonale skleiło, żebym dla Mani cieszyła się z niego i z Mani dla niego pod równiutecką miarę. Widać, że musiałam być zbyt kownie w ufność i nadzieję zaopatrzona przy wstępie do życia, kiedy mi teraz jeszcze tyle zostało gotowości uwierzenia w świetną przyszłość na pewne prawdopodobieństwa — teraz po życiu. Aż śmieszną jest rzeczą, ile sobie snuję obietnic, ideałów, co się zowie prawdziwych zreczywistnionych ideałów. Nie powiem ci wszystkiego, bo najpierw w pierwszej chwili zawsze lepiej wszystkiego nie wypowiadać; a potem że, jakbyś ty kiedy unieść się dała i rozmarzyć kropelką byle ożywczego ekstraktu, to nie miałabym prawa cię lajać. Ot, po prostu, cóż wielkiego? Mam tę pewność, że Mania będzie dobrą i rozumną żoną, dobru i rozumnemu człowiekowi. Nie osobliwość żadna, nie żadne niepodobieństwo przecież, tylko to, co być zawsze powinno. A swoją drogą uściskaj Manię, i przy zdarzonej sposobności przestrzeż pana Kwi[etniewskiego], że i mnie z wami wszystkimi musi za cośkolwiek policzyć. No, za co? gdybyś ty dyktowała, to bym dobrze na tym wyszła; lecz pozwalam, niech on już sam podyktuje.

Miałam do ciebie jutro dopiero pisać, lecz, jak widzisz, śpieszno mi było, i jeszcze do grzechu się przyznam: nie kazałaś powiadać; no, trudno, jak tylko po papier do mojej siostrzenicy się zgłosiłam (bo po błocie nie chciało mi się iść do drugiego dworu), aż mię dusiło w sercu, musiałam ulżyć sobie i powiedzieć: „oto mam list, co mię rozradował”. Więc dalej pytania, więc z ogródką, z omówieniem, trzeba było powiedzieć, że coś dobrego moim dobrym i kochanym przybędzie. Więc nie gniewaj się na mnie, więc pamiętaj, że naprawdę zdawało mi się, jak gdybym o zaswataniu mojej rodzonej mówiła — rodzonej?... siostrzyczki — córeczki — bo niestety z siostrzenicami porównać nie mogę; ich swaty (czas przedoświadczynowy) nie były dla mnie ani razu *takiego rodzaju* pociechą.

CVI

[Dębowa Góra] Notatka spisana dla Wandy 31 stycznia 1868

Nim pisać będę list, muszę się pierwej dowiedzieć, Wando moja, o takich rzeczach: Czy się na mnie nie gniewasz za popełnioną przed Polcią niedyskrecję?... Gdyby mieszkała w Warszawie, gdyby żyła z kółkiem towarzyskich twoich znajomości, miałabyś *może* prawo podąsać się trochę; ale tutaj, w Dębowej! to tak, jak gdybym powiedziała do ucha Dalaj-Lamie Tybetu lub cesarzowej chińskiej, lub co najwięcej miss Wendwoortn z Grosvenor Lane. Czy bardzo ci to zawadza?

Czy Staś przyjechał?

Czy — nie, już o więcej pytać nie będę; jak sobie te dwie wątpliwości rozstrzygnę, tak już z pewnością się dowiem, czemu od dwóch tygodni nie pisałaś do mnie. Są inni, którzy i dłużej nie pisują, lecz ja się mniej naprzykrzam, bo mię nie rozpieścili.

CVII

10 lutego 1868, Dębowa Góra

<sup>252</sup>dobre (...) wiadomości (...) Ucałuj Manię (...) za to, że jest kochaną — młodsza siostra Wandy, Maria, zaręczyła się z Władysławem Kwietniewskim, matematykiem, docentem Szkoły Głównej. Zwinięcie Szkoły Głównej złało w znacznej mierze jego karierę naukową, skazując go na pracę zarobkową na kolei warszawsko-wiedeńskiej. [przypis redakcyjny]

Jeden twój list zaginął, Wando moja, dlatego cię o różne rzeczy posądzałam, a trzeba przyznać, że niesłusznie traf ślepym nazywają, bo on jak gdyby z najlepiej widzącymi oczami chwile dokuczliwe wybiera. Nie pierwszy to raz już podobna strata mię spotyka, lecz zawsze wtedy spotyka, gdy mi najwięcej złych i smutnych myśli przysporzyć może. Właśnie teraz byłam w takim usposobieniu. Od rana do wieczora, a czasem nawet od wieczora do rana, musiałam sobie prawić morały, lając się najniegrzeczniejszymi słowami, czego wcale a wcale nie lubię. Ty, Wando, masz w tym lekkie upodobanie, strofujesz się ciągle, nie jesteś z siebie kontenta, wymyślasz sobie także niekiedy; lecz w tobie wszystko to ma inne znaczenie i bardzo jest na swoim miejscu, utrzymuje cię w postępie ku dobremu, w tęsknocie za wyższym, w pragnieniu najlepszego. Wymagasz od siebie pracy, tworzenia, szczęścia, piękności: — ja cię niby za fałdy długiej sukni przytrzymuję, dość często żartem jakim lub poważniejszą przestrogą, lecz w gruncie duszy szanuję tę zdolność i „kocham” ją w tobie. Ze mną inna sprawa; rozstałam się już z wszelkimi kształcenia się pretensjami, z wszelką dzielności nadzieją. Kiedy mię coś zaboli, to nie to, co bym mieć chciała, ale po prostu to, co mam; jakieś lichy, o którym wstydziałabym się z kim drugim mówić nawet; jak obecnie na przykład nie powiem ci, co mi w drogę wlało; powiem ci jedynie, że byłam cierpka jak sól szczawikowa, gorzka jak proszek od febry, a po całych godzinach dowodziłam sobie bardzo logicznie, że nie mam słuszności, że jestem sybarytą duchowym, któremu zgięty listek róży niewygodną bezsenność sprowadza, lub, co gorzej, mazgajem jestem, ostatnim z osłej ławy studentem, nieumiejącym w żadną sumę dwóch liczb całkowitych złożyć, nie mówiąc już o najzwyczajniejszych ułamkach. Nie; jeszcze gorzej niż takim studentem, bo jakimś oszustem, co umiał nieraz na języku pięknie grać słowami, niż Żyd Guzików pałeczkami drewnianymi na słomianych cymbałkach, a ile razy do zastosowania wyrazów przyszło, to się krzywił i wywijał jak węgorz. Spodziewam się, że bardzo — no, jeśli nie bardzo, więc choć trochę jesteś zdziwiona moim samooskarżeniem; nic a nic go nie rozumiesz — tym lepiej — wdzięczna ci jestem za twoją niedomyślność — sumienie jednak wyznać mi nakazuje, że tak było a nie inaczej. Wiedziałam przed sobą to, co mogło być poczciwe i szczęśliwe nawet, gdyby o jeden stopień hartowniejsza wola, gdyby o jedną kroplę czystsze, mocniejsze przynajmniej ukochanie, gdyby o włos prostsza natura, ot, gdzie tam choćby marzyć o czym podobnym! Spojrzałam w siebie, a tu wszystko niechęcią, rozdwojeniem, niedołęstwem, głupstwem, złością — i żeby się na krótkim spojrzeniu skończyło — według zwykłej metody uciekłabym i starała się zapomnieć; lecz, jak na ostateczną biedę, nie miałam gdzie uciec, w czym się utopić z pamięcią. Książki wszystkie wkoło siebie tak wyczytałam, że co którą wezmę do ręki, to już uwagi nie przyćwiekują, chyba uczyć się lekcjowym sposobem, od rozdziału do rozdziału, na wydanie... przed kim?... A pisać? domyślasz się, że w równie miłym humorze, bardzo mało piśmiennej materii mózg ludzki wyrabia. Onego, onego czasu zażywałam tej kuracji; nigdy się nie powiodła, lecz tyle ulgi dała, że mi czas zabiła i na doczekanie lepszej godziny podtrzymała. Teraz i ta drobnitka skuteczność przepadła. Próbowałam — wzięłam do odczytania bazgrane przed świętami arkusze — ach? Wando, niech ci Bóg wrażeń podobnych oszczędza! Surowo zwykle krytykujesz to, co napiszesz, lecz żadna twoja krytyka — pomyśl tylko, to niemało znaczy — żadna twoja *selfkrytyka* nie może iść w porównanie z tą parodią, z tą karykaturą, w jaką mi się każdy okres z osobna i wszystkie razem w całości swojej układały. Nie wiem, co to znaczy, bo jednak przed świętami zdawało mi się, że, lubo nie dość zręcznie i powabnie, nie dość efektywno, ale przynajmniej moje własne, moje od nikogo niepożyczone rzeczy wypowiadam; odczytując zaś teraz, zdawało mi się, że ani cudze, ani moje własne, — ot, tak, niczyje. Zupełnie trafić do ładu nie mogłam; dorozumieć się, co ja chciałam przez to lub przez owo wyrazić — niepodobieństwo — a przecież wiem z pewnością, że coś wyrazić chciałam, że musiałam mieć jakiś pomysł, kędyż on się zapodział? Gdybyś była na moim miejscu, to byś niezawodnie wszystko jednym machnięciem ręki w piec rzuciła. Otóż pod tym, li pod tym względem, bierz ze mnie przykład i miewaj „z samą sobą cierpliwość”. W piec nie rzuciłam, tylko odsunęłam na bok, jestem z całej siebie niekontenta; trudno więc, żebym się cząsteczką swoją pisaną zadowoliła — trzeba aż do nadejścia bezstronności zaczekać. Bezstronność moja autorska nadchodzi zwykle przy jakiejś uroczystości radosnej; — o, przekonałam się, że i dla najwierutniejszych bankrutów uroczystości takie są rzeczą możliwą — spadają w życie jak meteory, bo krążą w przestrzeni. Wszak

nasłuchiwałaś się dosyć o meteorach w tym czasie, rozumiesz ich naturę i wartość oceniasz? Zdarza się, że najczęściej kamienie tylko po sobie zostawiają, lecz nie mniej są także chwilą jasności i piękna. Ten nasz ostatni był prześliczny i ja go widziałam na moje szczęście; od razu nazwałam sobie w myśli „meteor”, a w poczuciu miałam wrażenie — istotnie, śmieję się ze mnie, ale wrażenie końca świata — jakiejś radości, że to być może, górującej nad żalem naukowym, że nic z tego nie będzie. Zupełnie czegoś podobnego doznałam już raz w kozie podczas zaćmienia słońca; wiedziałam co innego, czułam co innego, a gdy się znowu rozwidniać zaczęło, to mi się zrobiło tak smutno, jak po zawiedzionej nadziei, co, trzeba ci wiedzieć, jest dosyć rzadkim fenomenem (nie dla astronomii, lecz dla mojego systemu nerwowego). Miewam często dysharmonijne z logiką skłonności, ale wrażeń dysharmonijnych z wiedzą bardzo mało — ach! za mało na eks-kandydatkę do poezji!... Lecz nie o tym mowa: meteor służyć miał tylko za przedmiot porównania, gdy o radościach spadających na najbiedniejszych mówiłam. Radości więc i mnie spotykają niekiedy, a zawsze tak usposobią, że jestem w paroksyzmie łaskawości i nie tylko panu M. O. bym przebaczyła, że sprawiał na mnie wrażenie maszyny pneumatycznej, nie tylko pani X, że zawsze z wizytą przychodziła nie w porę, nie tylko panu Felicjanowi, że tak długo stał nad morzem, panu Kunickiemu, że napisał wiele powieści, a pani Dob<sup>253</sup>... że własną wydrukowała autobiografię, lecz i sobie nawet różne autorskie niedobory przebaczam. Póki więc przedświątecznych arkuszy na tę lżejszą próbę nie wystawię, póty ich nie zniszczę. Gdybym się podług cięższych sądziła ostatecznie, to jest rzeczą niezawodną, że nigdy niczego nie byłabym wydrukowała, choć może lepiej wyszłabym na tym pod wielu względami... zważywszy jednak, że wszystkim moim kochanym to, co napisałam, podobało się, niechże już zostanie, a co jest możliwym niech przybędzie. Tylko, jeśli nawet amnestyjnym warunkom zadość nie uczyni to co *ad acta* złożone, w takim razie wyrok nieodwołalny, a moje panie kochane muszą mię już kochać za darmo. O małą rzecz chodzi, jako widzisz; o meteor radosny; nie wyobrażaj bo sobie, że on znowu tak jest rzadkim i osobliwym jak ten, co go niedawno w powietrzu widziałas. Może inni takich tylko wymagają i czekają; co do mnie, ograniczam się na pospolitszych daleko, a przede wszystkim nigdy ich z synonimem szczęścia nie mieszam. Owszem, według mego zdania, kto szczęśliwy, to się i bez radości obejść może; takim dopiero jak ja obdartusom, nędzarzom są one prawdziwym użytecznym kordiałem i potrzebnym wiktuałem. A muszę ci też powiedzieć, że była chwila, w której ledwo nie zerwałam się na nogi i od wszystkich moich czarnych, żółtych, nie, nie żółtych, *couleur Bismarck* i popielatych, i niebieskich diabelfków daleko nie uciekłam. W ogóle sama widzisz, o ucieczkę chodzi, a ty sobie wyobrażasz... nie mówmy już o tym, co ty sobie wyobrażasz, Wando, bo jak rozpamiętywać zacznę, to się aż rozplaszczam pod naciskiem upokorzenia. Ty sobie wyobrażasz, że ja dobra, że ja kochająca, że ja umiem chcieć i wykonać, że przynajmniej jestem stale oznaczonego gatunku krystalizacją... Nie mówmy o tym. Była chwila, w której, jak ci mówiłam, zdawało mi się, że już w znak radości i łaski wstąpię; było to wtenczas, jak mi o Maryni doniosłaś; ale za krótko trwało i kiedy jeszcze potem dwa tygodnie bez listu jak Elias bez sera, co mu kruk przynosił, siedzieć musiałam, znów się uzbierało tyle złych przypuszczeń, domysłów, wniosków rozmaitych, że choć na ostatek pokazało się, iż rzeczywistość była tylko poczty naszej niegodziwością, zostało jeszcze mętów co niemiara, bo po gęstym dymie zawsze sadze zostają. Cóż ja temu winna, że nie mogę się otrząsnąć jeszcze i z tego spostrzeżenia, które mi się przy okazji uczepiło, jak to naprawdę mało wiem o tobie, choć powinnam wiedzieć wszystko. Są rzeczy wątpliwe dla mnie, są nieobjaśnione, są niezrozumiałe, a jednak nigdy bym cię nie zapytała: „Co znaczą te ceremonie?”. Niestety! coś jeszcze smutniejszego — znaczą, że we mnie samej są rzeczy, o których nie lubiłabym z tobą mówić. Badałam się dość pilnie, żeby rozpoznać, co jest tego powodem. Znalazło się racjonalnych dosyć. Albo czyjaś inna osobistość zachodziła w tę kwestię, albo jakieś względy postronne, lecz, że ja zwykle tego rodzaju racjonalnościom nie dowierzam i ciągle samą siebie od nieracjonalnej strony podejrzewam, więc najwięcej uwierzyłam, iż głupia próżność wszystkiego głównym powodem. Swoją drogą jednak, tę próżność na ciebie spędzam, Wando. Czemu taką Himalaję pięknych złudzeń ucisnęłaś mnie — mnie, biedną, drobną mysz! A ty jeszcze na dobitkę o Grekach i Mi-

Melancholia

<sup>253</sup>pani Dob... — Dobieszewska (Śmigilewska), powieściopisarka. [przypis redakcyjny]

nerwach i miłościach idealnych piszesz. Ciekawam, jakby ci się też wydała moja historia bez żadnych retorycznych ozdób opowiedziana. Dotychczas [...]

*Nazajutrz.* Gdy ostatnie słowo pisałam, przyszedł służący z oznajmieniem, że już państwo do stołu siadają, a ja nie byłam jeszcze ubrana! co prędzej musiałam pióro rzucić, ogarnąć się trochę i pójść do drugiego dworu na obiad. Zostałam już tam aż do wieczora, co mi szczęśliwie może wypadło, bo sobie przypominam, że owo zdradzieckie „dotychczas” miało rozpocząć szereg rejestrowy wiadomych tobie rzeczy, od których według wszelkiego podobieństwa pióro do niewiadomych by się ześlizgnęło. Byłam w jakimś rozpaczliwej szczerości usposobieniu; potrzebowałam jak dewotka wygadać się o sobie, a to na nic by ci się nie zdało, przeciwnie nawet, lepiej zrobisz, gdy w Mani rozpatrywać się będziesz. Co to za bogate bezcenne serduszko, kiedy w takich chwilach zdawać jej się może jeszcze, że byłabym jej potrzebna, lub że moje współczucie radosne cośkolwiek do jej szczęścia przydać jest zdolne. Prawda, że chwile podobne to chwile skarbów Golkondy, diamentów na podarunki starczy; ale się daje zwykle dobroć, przebaczenie wspaniałomyślne, artystyczny obraz własnego szczęścia; dać jeszcze słówko, myśl tęsknoty za kim, to wiele, bardzo wiele. Marynia znalazła sposób w swojej karteczce maleńkiej wszystko prawie *dla mnie* napisać, nie wyłączając prawie tego, co o panu Władysławie<sup>254</sup> pisała. Jeśli to zrobiła li przez dobroć, muszę ją wyłajać, bo się nie godzi: powinna pisać *do mnie*, ale dla pana Władysława tylko; przypuszczam jednak, że to raczej brak wprawy — może pierwsze jakieś zadziwienie ducha własnego wśród mnóstwa nowości, które ze wszech stron do niego zstępują — nie może się zreasumować ze wszystkim. Według tego, co mi o niej pisałaś, miłość człowieka prawdziwie godnego miłości surpryzą wpadła w jej życie — niekoniecznie w serce, ale w życie. Serce mogło od dawna zbierać różnymi sympatiami dla tego „pana, co patrzył tak rozumnie” i tak doskonale umiał słuchać muzyki. Z tym wszystkim, przy różnych wpływach dobrego wychowania, przy różnych pojęciach o godności kobiecej, wyobrażam sobie, że jej nawet na myśl nie przyszło, by się w nim zakochać mogła — gdy z dnia na dzień dowiaduje się, że kochaną jest. Ale ja sobie fantastyczne studium układałam z bezzasadnych domysłów; z tego oto, że Marynia napisała do mnie tak pocziwie i serdecznie, jak tego pewnie warta nie jestem, jak nigdy od niej spodziewać się nie miałam prawa. Od ciebie, to co innego; wmówiłaś już we mnie wiele rzeczy i wielu rzeczom dziwić się przestałam; chociaż jest pewna ewentualność, która mię zawsze w nieufności trzyma. Czy Julcia na ślub przyjedzie? Juścić zapewne, lecz powinna z p. Adolfem i dziećmi przyjechać, a może zostać aż do lata, póki ty się z nią w swoje najzdrowsze góry nie wybierzesz. Potem, potem, Wandeczko, — bawię się w projekta. Różia pisała mi, że się z synami do Krakowa wybiera; Marcelli pisał, że ma nadzieję stanowczo osiąść w Galicji, gdyby choć na kilka tygodni udało się i sąsiadowi jego, memu Erazmowi, sposobność odwiedzin w tej okolicy wyrobić — to cóż? pojechałybyśmy razem. Byłabym u Julci, widziałabym Tatry i co rano na dzień dobry, co wieczór na dobranoc upieściłabym moją Wandę, a w południe lub przedpołudniem zasadziłabym ją do pisania — pod przymusem. Niemiła perspektywa dla ciebie, lecz mnie na te wichry szkaradne zastępuje brak książek i wielu innych drobiazgów. Odebrałam Macauleya z pana Kwietn[iewskiego] podpisem; prócz dwóch ustępów, inne znałam w tłumaczeniu jeszcze podobno za życia autora. Drugi raz przecież w oryginale przeczytać nie zaszkodzi. Wyborny to pisarz, ale ciekawa jestem, czemu nie dość dla mnie sympatyczny jako człowiek. Mówię „ciekawam”, bo pisze takie rzeczy, na które zgadzam się zupełnie, przyczyny zatem jeszcze nie doszłam.

Wszystkich swoich pozdrów serdecznie, pamiętaj, a Seweryna patrona winszująco życząco przy pierwszym spotkaniu przywitaj na moje imię.

Czy jest kontent ze swego patroństwa?

## CVIII

16 lutego 1868, Dębowa Góra

<sup>254</sup>o panu Władysławie — Kwietniewskim. [przypis redakcyjny]

Jest okazja do Warszawy, zwracam pożyczonego mi Macauleya, odczytałam go z przyjemnością, bo przy moim talencie zapominania wiele się nowych znalazło rzeczy. Nie jestem pewna, czy będziesz miała czas jakim nowym zasiłkiem mię wesprzeć, ale, jeśli dotrwasz w projekcie i na Elektorальной składać dla mnie będziesz zapasy, to w każdym razie dobrze na tym wyjdę. Spieszę się, więc nie mogę dzisiaj pisać dłużej, tylko tak ogółowo ci powiem, że farsa z odpieczętowanymi listami nie zdaje mi się wynikiem przypadku, jest w tym jakaś osobista malwolencja. Do tego stopnia jestem podejrzliwa, że lzy i zaklinania się służącej wcale mnie nie przekonywają, owszem, zdaje mi się tym bardziej podobną do prawdy rzeczą, iż list osobiście z ręki do ręki komuś oddać musiała. Wszak już kiedyś spotkała was jakaś anonima — grzeczna niby — aleć zawsze anonima, zawsze coś podłego, więc i teraz. Gdybym się nie obawiała, że mię o manię antykapucyńską posądzą, to bym głośno przyznała, iż takie sposobiki są w ich metodzie dość często używane; lecz ponieważ Ignacy bardzo mię z mego księżo-wstrętu wyśmiewa, nie powiem tego głośno *nikomu*, tylko tobie po cichu, dla pociechy nawet. Błotniste kłopotanie studentów koło nazwiska pana Kwietniewskiego byłoby rzeczywiście nie najszkodliwszą, ale najprzykrzejszą rzeczą, od tego zdaje się właśnie syngeltonostwo anonima zabezpieczać, więc i nie ma o co zresztą się kłopotać. Jakiż ujemny nieprzyjaciel!... rzecz powieściowa, w życiu nie więcej znaczy jak prosty i codzienny wypadek. Alboż ty sobie kiedykolwiek obiecywałaś, moja Wando, że przejdiesz świat bez cudzej niechęci? Jeden szczeknie, drugi ugryzie, byle krew zdrowa, to się rana nie jętrzy i goi; kto by na podobne rzeczy uważał! Powiedz mi lepiej, kto to z tobą o Gabrielli tak pochlebnie rozmawiał; nadzwyczajnie teraz potrzebuję *des stimulants*, choćby próżności; może się do *Marynki* wrócę, bo mam zachwycająco spokojne, tj. ciche ranki. Spokojne nie są one koniecznie; miałam za dużo czasu do rozmyślań i wspomnień. Całe życie moje stanęło mi znowu pod znakiem zapytania, dlatego i do ciebie nawet ostatnią razą o zapytaniach pisałam. Ale to przejdzie. Nie lubię formy pytającej, nie lubię nawet zaufania w kształcie odpowiedzi, wolę zawsze czekać na proste powieściowe usposobienie. Strasznie to niezręczna sylaba: „Czy?”... Wyobraź sobie tylko, jakby śmiesznie wyglądało, gdybym kogo — dajmy na to Seweryna, bo juścić najwięcej może chodzi mi o jasny, wszechwiedny, osobisty z nim stosunek — gdybym tedy Seweryna zapytała — „Czy pan się w kim kocha?” — albo on mnie: „czy pani się w kim kochała?”. Swoją drogą, dobrze wiedzieć i takie rzeczy o sobie; ale bez pytań. Muszę się zupełnie od pytań odzwyczaić; czasem, że jestem bardzo ciekawa, to mię skuszają, lecz wolę inaczej radzić sobie, nie mówiąc, że jestem trochę tchórzem żywotnym — bo i to tkwi w głębi. Z tchórzostwa, z obawy sprawienia przykrości, cofam się przed wielu „czy”, które bym moim ukochanym postawić chciała. No, żegnaj na dzisiaj — trzeba się śpieszyć. Siostry uściskaj, Manię pozdrów na intencję p. Kwie[tniewskiego], którego jeszcze pozdrawiać mi nie wypada. Ojcu najżyczliwsze moje słowa, w tych dobrych chwilach jego życia, bo musi przecież mieć teraz dobre chwile!

CIX

[Warszawa] Bez daty

Moja Wando, nic się o mnie nie dopytujesz, a ja ciebie potrzebuję. Najpierwej musisz się także zakręcić w moich kłopotach i posłać przez kogo ten telegraf, a jak przyjdiesz, to ci powiem, czemu sama, chociaż chciałam, odnieść nie mogę.

Wszystkim u was dzień dobry — N.

CX

[Warszawa] Do Wandy Grabowskiej

Dzień dobry, Wando. Odsyłam listy i fotograf Henryka; gdyby to mieć go na własność! Ale odbicie blade, nie wiem, czy by w powtórzeniu jeszcze więcej nie zbladło. Czy jesteś ciekawa, co robię? Oto wstałam umyślnie trochę prędzej, żeby czekać na twoją imienniczkę, ale dotychczas czekam bezskutecznie. Chciałabym dzisiaj pójść do p. Ilnickiej; miałabym ochotę na chwilę i p. Sierakowską odwiedzić koniecznie, a wieczorem być



u Kazi; nie wiem, o ile zadość intencjom wszystkim zadość uczynię. Pytasz, czy jestem zmęczona? Może. Czy się zobaczymy przed niedzielą? Może; ale pewnym jest tylko, że byłoby mi bardzo dobrze, gdybym mogła.

N.

6 marca 1868

P. Matylda jeszcze po wczorajszej fecie śpi. Nie mam koperty pod ręką, więc w twoją własną wsunę papiery jeśli posłaniec stawi się przed ukazaniem się pani domu.

CXI

[Dębowa Góra] 30 marca 1868

Coś strasznie smutnego z tobą się dzieje, moja Wando kochana, kiedy się na takie długie zawzięłaś milczenie. Byłabyś mi mogła oszczędzić wielu karykaturalnych przypuszczeń i długiej a najnieużyteczniejszej pracy umysłowej zmarnowanej na tworzenie, zbijanie, dowodzenie i usuwanie coraz to innych domysłów, gdybyś umiała rozmawiać. Ale to bieda z tobą, że czasem tylko zdarzają ci się dobre wypowiedzenia chwile, a w czasie ostatniej mojej bytności nie zdarzyła się żadna. Moja w tym wina zupełnie do wspólni — przyznaję się i w piersi biję, lecz z innych trochę wynika powodów. Kiedyś może rozstrząśniemy tę sprawę, dzisiaj nie ma czasu, bo trzeba ci wiedzieć, że najniespodziewaniej w świecie zwiastowano mi okazję do Warszawy *dziś* odchodzącą, więc jeszcze trzeba różne interesy załatwiać i książki pakować, te, co odesłane być mają. Z waszych jeszcze żadna; ledwo trochę Szekspira uczytałam. Mam pod ręką do pomocy tłumaczenia de Larocze. Już co prawda, to Szekspir po francusku strasznie niezgrabnie wygląda, jak gdybyś ty się za p. Lucynę Ćwier[ciakiewiczową<sup>255</sup>] przebrała lub p. Jabłonowski za Sztramera. Wszak do tego czasu poznałaś się z p. Jabl[onowskim]? Ogłaszają teraz *reformę* sądownictwa; chciałabym wiedzieć np., w jakim stosunku może być ona do Seweryna; bo w jakim stosunku Seweryn do niej, to zostawiam sobie na wakacyjną w Soczewce pogawędkę; tylko teraz na żywym przykładzie lepiej bym zrozumiała, o co chodzi.

Tak się na samą siebie zawzięłam o to, że nie miałam żadnego pocziwszego, dłuższego listu z Warszawy. Od ciebie była krótka ćwiarteczka z obietnicą dalszego ciągu, tak się więc oto zawzięłam, że się już chciałam zupełnie z listomanią wykurować i wszelkie korespondencje zawiesić. Pokazuje się jednak, że w późnym wieku niemożliwe są reformy. W ciągu dni dziesięciu każda z żegnających miała do mnie napisać, tymczasem w ciągu czterech tygodni — wszak czterech? — a może już sześciu? — odebrałam dwa bileciki: od ciebie jeden, drugi parę dni temu od pani Matyldy. I miejże tu z czego ekspensować na codzienne choćby wydatki! Jestem zupełnie, co się zowie, do niczego — ledwo mnie trochę obudził list od Erazma. Zaraz do Julii się zgłosiłam, żeby przez ciebie potrzebnych informacji zasięgnąć: spodziewam się, że *interesu* przynajmniej nie zaniedbasz i pisać będziesz.

Nie wiem, czy też zauważyłaś, Wando, jaką miałam w wagonie towarzyszkę podróży — ładna osoba naprzeciwko siedząca. Zaintrygowała mię jak na maskaradzie najestetyczniejsze domino. Chciałam czytać i miałam w zarękawku angielską powieść Bulwera; otóż wcale nie czytałam, tylko cały czas rozmawiałyśmy i kiedy w Skierniewicach przyszło wyśiąść, to rozstałyśmy się na oświadczeniu wzajemnej przyjemności. Ciekawam, kto ona? wiem tyle — mężatka — nie ma dzieci — lubi muzykę — mieszka o cztery mile od Łowicza — jestem pewna, że ją kiedyś jeszcze muszę spotkać. Ot, słuchaj, Wando; przyszła mi myśl, ale to literalnie przyszła jak błyskawica w tej właśnie chwili. Juluta obiecała się na parę dni Paulince w samym Wielkim Tygodniu, czy ty nie mogłabyś jej towarzyszyć, gdyby p. Ignacy pozwolił? Prawda, są wielkie do przełamania trudności, niepodobieństwa. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie zrobiłaś przed samą Wielkanocą — jest kolej żelazna nie bardzo pewna, „pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze”; z tym wszyst-

<sup>255</sup> Ćwierciakiewiczowa — autorka 365 obiadów, zażywała w owym czasie w całej Polsce na wpół humorystycznej popularności. [przypis redakcyjny]

kim, gdyby pogoda i pozwolenie p. Ignacego? Myśl lub raczej nie — broń Boże nie myśl — zrób. Najśłodsza Zosiu, najśliczniejsza Maniu, przyczynicie się za mną!

## CXII

10 kwietnia 1868, Dębowa Góra

A to nieoszacowany człowiek, ten wasz szwagier, że takie śliczne umie robić surpryzy. Szkoda tylko, że o surpryzach nie można z góry wiedzieć, a mieć jednak surpryzę. Na ten raz byłabym ja szczególnie doskonale na tym wyszła, bo niezawodnie skusiłabym się choć na jednodniową, usprawiedliwioną we własnym sumieniu wycieczkę do Warszawy; teraz nie mam żadnej ekskuzy — a mam półsiódmej przyczyny, żeby w domu siedzieć i odmówić sobie tego uświęcenia świąt moich, tej uroczystości, którą przy każdym moim powitaniu z ukochanymi obchodzę. Jesteś oburzona zmianą projektów, zaczniesz mi wymyślać może, a ja ci dam naukę moralną, że to jest główną cechą plemion dziecinnych, iż zawsze obecnej chwili przyszlą, trochę dalszą poświęcić są gotowi. Im więcej natura gatunkowa człowieka się cywilizuje, tym dalszą przyszłość ściąga w pobudki działań swoich. Otóż ja także chcę do ucywilizowanych gatunków należeć i dlatego wyrzekam się terazniejszości wielkanocnej, aby sobie przyszłość lipcową zapewnić. Wyraźnie już *uwierzyłam* w to, że do Julci razem z tobą pojedę, jeszcze nie mam matematycznego przekonania, ale mam uczuciową wiarę. Kiedy mię pytają, co w lecie robić będę? odpowiadam, że z Wandą w Tatry pojedę i Erazma tam sobie sprowadzę. Kiedy mi proponowano, by do Maryni Ros<sup>256</sup>... się wybrać, odmówiłam dlatego, że mam z Wandą w Tatry jechać. Słowem, ciągle już o tym gadam i myślę; pewną wcale nie jestem, ale co się nagadam i namyślę, to moje. Dziwna rzecz jednak, starość! Jest rzeczą niezawodną, że na bieżącą osobistą własność moją nie mam żadnej kosztowniejszej nadziei od owego tatrzańskiego projektu; a jednak wiem, że, jeśli przyjdzie do skutku, to mi różne niedobory na jaw powychodzą, nie mówiąc nawet o tym, jak przy codziennym zetknięciu Wanda gorszyć się i dziwić będzie mnóstwem realności w idealnej „Pani” swojej. Ha, trudno; bywa sztuka dla sztuki, miłość dla miłości, nauka dla wiedzy, ja pchać muszę życie dla życia. Kto też to pisze o p. W. Morzkowskiej w „Tyg[odniku] Ilustr[owanym]”? Życie dla życia przypomniało mi „życie za życie”, napisane dla napisania. Należy mi się być wdzięczną autorowi, który mię wraz z panią Sand w jednym i tym samym rejestrze „przerażających dzieci” wydrukował. Dostałam się jak Piłat w *Credo*. Czytaj cały ten ustęp jakoby w nawiasie. Do głównego założenia wracając, powiem ci, że względem umieszczenia Ezima żadnych jeszcze ani nowych, ani stanowczych nie wytworzyłam planów, tylko napisałam do niego, że jest możliwość i jaka jest możliwość, skala od początkowego, przedklasowego nauczycielstwa do administracyjnej lub gospodarskiej rachunkowości. Czekam, co on odpowie.

Zawołano mię na obiad i nim wstaliśmy od stołu przyniesiono pocztę, tj. listy i gazety. Listy nie dla mnie, gazety o tyle dla mnie, że się dowiedziałam, jako pani Jodko<sup>257</sup> z pannami Grabowskimi, Zofią i Marią w kościele XX kwestować będą. Zresztą nic, nic, co by mnie tak bardzo obchodziło, nawet *Almy* z „Bluszczu” nie wyłączając. Czytasz *Almę*? Zdaje mi się, że przewiduję sens moralny — jak rozumna, cnotliwa Alma, po wielu poświęceniach i dowodach stukaratowej zacości, przewycięży urok namiętniejszej kochanki, co ostatecznie pięknej i bogatej kobiecie niezbyt trudną podobno rzeczą. Oryginalniej byłoby stawić w zapasy brzydką i ubogą, ale świętą jak wszystkie kanonizowane z kalendarza, nawet pozwałam z historii. To by dopiero było trzeba talentu, żeby tak grube niepodobieństwo ludziom dać przełknąć; czemu mi to dawniej na myśl nie przyszło zamiast *Poganki*. Co za źródła pociechy dla tłumów mnie np. podobnych, gdyż nie uwierzysz, moja Wando, z jaką ja dobrą wiarą umiem czytać powieści. Jak zamknę książkę i rozmawiam tylko o przeczytanej rzeczy, to co innego, lecz póki czytam, nigdy nie przeczę, że tak było lub być może. Dajmy więc na to, że dwadzieścia, ba (za mało) trzydzieści lat temu, spotykam pięknie z talentem napisaną powieść, w której biedna i brzydka, ale doskonałości idealnej kobieta górą w męskim sercu staje nad piękną, realną kochanką.

<sup>256</sup> *Marynia Ros...* — z Głogów Rostworowska, siostrzenica Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>257</sup> *pani Jodko* — matka Witolda Jodko, działacza socjalistycznego. [przypis redakcyjny]

Co za zachęty!... Niestety! dajmy pokój powieściom, nie mnie o nich marzyć, toć nawet tej głupiej *Kasi i Marynki* skończyć nie mogę; ani skrobnęłam piórem, ani arkuszy nie rozwinęłam od ostatniego naszego posiedzenia. Strach, bo i zapomniałam, co dalej iść miało; czy ty sobie nie przypominasz?... Muszę cię tylko przestrzec, że najczęściej, gdy o powieściach i literaturze piszę do ciebie, to zupełnie co innego mam na myśli, tylko że łatwiej gawędzić na takim komunalnym gminnym gruncie, niż w stanowcze słowo ująć osobiste, wyłącznie osobiste zapytanie, sięgnąć po własność prywatną. Jednakże i gawęda niezręcznie się snuje z owym podnurtem w inną stronę biegnących myśli. Lubię ją się w szczegóły, w drobiazgi najdrobniejsze bawić, lubię, lubię gawędzić, tylko muszę być pierwiej spokojną o ważniejsze przedmioty. Jak tu, u licha, pisać, że to lub owo przeczytałam, takich lub owakich ludzi spotykam, kiedy mi przede wszystkim byłoby trzeba się spytać: Wando, co tobie... Czy ty?... Czy on<sup>258</sup>?... Czy już nie?... Czy nigdy tak... Czy... Oj, dziewczyno, twoja wina, że do Soczewki nie pisałam jeszcze; nie lubię grać w ciuciubabkę, a tym mniej być bakiem rozbijającym się o szyby, drącym pajęczyny... na ślepy traf rzucić czasem słowo, które mogą komentować — nie — nie — nie cierpię — a tak mi życie zeszło — całe długie życie.

Czy pan Matematyk rozgadał się z panem Marszałkiem<sup>259</sup> i jak też obadwa się osądzili wzajemnie? Co jeden o drugim, nie urzędownie, ale tak poufnie zawyrokował? Zapomniałam jeszcze Świąt wesołych wam życzyć, dopiero wraz z p. Władysławem przypomniało mi się *Alleluja* — więc niech będzie Alleluja.

Sewerynowi możesz powiedzieć, gdy się z nim jajkiem święconym będziesz dzieliła, że zupełnie to samo o nim myślę, co rok temu, gdy list do niego pisałam, + o rok; — wszak umiesz czytać znaki arytmetyczne: +, to się mówi więcej, a zatem myślę, że to samo, z przydatkiem czasu jednego rocznego.

## CXIII

24 kwietnia 1868, Dębowa Góra

Wczoraj odebrałam twój list, Wando, i znowu mi wróciły różne brzydkie podejrzenia moje. Pamiętasz zapewne, że i pierwszą razą odpiecztowania zafrankowanej koperty nie mogłam prostemu przypadkowi przypisać. Drugie podobne zdarzenie jeszcze mię bardziej w tym mniemaniu utwierdza. Widocznie masz kogoś niechętnego, który studentów za narzędzie używa jedynie — głupim dzieciom zdaje się to bardzo godziwą, gdyż może bez ich współuczestnictwa podsunąć zabawkę. Cóż na to poradzić? Przede wszystkim, listy samej lub przez którą z siostr tylko na pocztę oddawać; potem rozejrzeć się dokoła i zbierać spostrzeżenia, czynić wnioski, wyzyskać przykrość doznaną na korzyść studii psychologicznej. Ach! ze wszystkiego, co się przeżyje, przecierpi, przeczuje wśród ludzi, ta jedna korzyść możliwą i niezawodną, kiedy już co nie *jest*, tylko *było*, to o tyle ma wartości dla nas jedynie, o ile wiemy, jak było. Ale mnie łatwo tak mówić dzisiaj, com sobie naprzeciw życia własnego jak spektatorka zasiadła i z wszelkich sprężyn poruszających sprężynkę naukowej ciekawości zachowałam ledwie w ruchu. Tobie się na nic rada moja nie zda, przynajmniej w terażniejszości. Później sobie o niej przypomnisz; nie idzie za tym, byś jej wstępną część odrzuciła. Zbieraj uwagi, roztrząśnij też i sumienie, czy kiedy jakiego głupca nie obraziłaś. Rozumnego mogłabyś i skrzywdzić, lecz by ci krzywdę z rozumnym odplacił procentem; ten, który dzisiaj odbierasz, jest podlejszego gatunku, przywiódł mi na myśl różne liche wielkopolskie koncepta. Ot, gdybyś choć na rok tylko zamieszkała w Poznańskiem, dopieroż byś się oswoiła z takimi rzeczami. Tam nie ma tygodnia bez znakomitych anonimów, bez wykradzonych korespondencyj, bez skomplikowanych intryg, pojedynków, bijatyk; między nami pierwsza podobna awantura. Żałuję tylko, że spadła na twoje właśnie rozdrażnione nerwy; ja bym spokojniej zniosła, nie dlatego, bym w męstwie i cierpliwości celowała, ale po prostu z przyczyny nerwów; mniejszy, niższy stopień bólu. Niezawodnie więcej mię dojmuje, że to moją kochaną Mimosę spotkało.

<sup>258</sup>on — zdaje się, że Narcyza wierzyła w uczucie zawiązujące soję jakoby między Wandą a kuzynem jej Stanisławem Markiewiczem. [przypis redakcyjny]

<sup>259</sup>pan Matematyk rozgadał się z panem Marszałkiem — Kwietniewski z Adolfem Tetmajerem, marszałkiem powiatu nowotarskiego. [przypis redakcyjny]

Czy ci lżej będzie, jak upieszczę i zagadam? No, to zamknij się w swoim szafirowym pokoju, wyobraź sobie, że cię lewą ręką do serca przycisnęłam, a prawą głaszczę włosy twoje i mówię — nie, nic nie mówię, przynajmniej o listach odpieczętowanych, bo na to nie ma żadnych pięknych słów do powiedzenia, ale mówię o Świętach, że mi było smutno, że tęskniłam za Warszawą. Stawiam ci nawet pewne zarzuty, czynię różne wymówki, czemu tak mię zepsułaś, Wando? — lub raczej tak cofnęłaś w poprawie, że znowu chcę być bardzo kochaną i z obojętnymi ludźmi, nawet z takimi, co mnie mniej niż ty kochają, swobodnie żyć nie umiem. A już umiałam; było mi wygodnie, cicho; teraz wywlekłaś z kąta jakiegoś zapadłego w sercu dawne narowy i gdy nie mam przy sobie kogoś, co by się zupełnie pod twoją miarę tymi samymi rzeczami cieszył lub smucił wraz ze mną, to chodzę jak między cudzoziemcami. Prawda, że znaczna część tego grzechu i na Julucie, i na Kazi cięży, ale one mniej byłyby niebezpieczne, bo mają ten szlachetny zwyczaj, że bardzo rzadko, czasem, gdy się interes nie nawinie, to i wcale nie pisują; a ty, dziewczyno, ciągle mię nawiedzałaś, wywoływałaś, przywoływałaś, popychałaś, i ot, widzisz, w ruch trochę wprawiłaś, a co z tego? Dwa razy już układałam się w trumience i przysypywałam piaskiem, raz umyślnie, drugi raz nieumyślnie. Raz w kozie, kiedy byłam pewna, że mię do czernic wywiozą i prócz tego lękałam się, by przedsiębrane dla rozszerzenia ciasnych murów usiłowania przyczyną nowych cierpień się nie stały; drugi raz sześć i pięć lat temu. Z kozy mię wypędzono wtedy właśnie, gdy jej osobiste dobrodziejstwa najracjonalniej sobie wyperswadowałam; długi czas potem jednak nie mogłam przyjść do koloru, cieszyłam się i smuciłam po wierzchu tylko. Ale wówczas okropnie mię to wstydziło i tak się otrząsałam, że aż otrząsnęłam zupełnie. Kiedyśmy się spotkały, już byłam rekonwalescentką; nie przy pierwszym zdrowiu, zawsze jednak na zwyczajne potrzeby mogło sił wystarczyć. Lecz przyszły potrzeby, wydatki nadzwyczajne; może też nieogłędnie na dawną stopę obliczyłam moje zasoby, dość, że bankructwo okazało się kompletne i wpadłam w letarg. Z letargu ty mię rozchuchałaś, rozbudziłaś, dźwigajże teraz własne dzieło swoje. Niech ino mię co złego spotka, niech czego nie potrafię, nie dosięgnę, nie dowidzę, natychmiast chciałabym ci zaśpiewać bez zmiany te dwa wiersze z *Halki*, przeciw którym Jurgens tak protestował niegdyś: „Nie mam żalu do nikogo, jedno do ciebie niebogo”. Istotnie, Antek raczej mógł mieć żal do wszystkich, a nie do Halki; ja zaś sprawiedliwiej mogę do ciebie mieć żal wyłączny. Tyle twego szczęścia, że śpiewać nie umiem. Przyznaj sama jednak, że umiem zagadywać, zapieszczać smutne myśli. Warto było na ich podsłuchanie w szafirowym pokoju cię zamykać! Ja tak zawsze. Lepiej byłoby o freblowskich szkółkach się rozmówić i pewnie my obie nie dziecinniłybyśmy się ani nad listowymi złodziejami, ani nad tęsknotą Święt wielkanocnych i innych ubiegłych wieków, gdybyśmy mogły nad założeniem szkoły freblowskiej pracować. Lecz są praktyczne, równie jak niepraktyczne utopie; niepraktyczną utopią stosunki społeczne na cnotie ludzkiej oparte, miłość niezmienna, władza bez nadużyć, pobożność bez dewocji, cnota z geniuszem, geniusz z cnotą; a praktyczne utopie — wielki młyn parowy, co by u nas nie zbankrutował; majątek pracą i oszczędnością, nie spekulacją zebrany; redakcja pisma jakiego ze stałą dążnością; literat z drażliwym, czystym sumieniem i wszelkie pedagogiczne zakłady. Nasłuchałam się projektów co niemiara (nie licząc swoich własnych), widziałam arcyliczne próby, wszystko się dymem rozwiało lub skoślawiło jak sakowy bucik na błocie. Julia mi nieraz już przymawiała, że zewnętrzne okoliczności na usprawiedliwienie wrodzonego lenistwa mi służą, ale mnie się zdaje, że jej wewnętrzne okoliczności wiele na taki sąd wpływają; boć lenistwo jest tylko zewnętrznym skutkiem. Niech kto zacznie budować, a trąby powietrzne i trzęsienia ziemi raz po raz mu wzniesione mury rozrzucają, to w końcu ręce opuści, a dzieciom jego nawet zaczynać nie będzie się już chciało. Nieszczęścia są zepsuciem pokoleń. Piękny jest poemat Zmorskiego *Wieża siedmiu wodzów*; lecz tam w *poemacie* nawet jedni i ciż sami nad ową znikającą wieżą pracowali; tutaj, pomyśl tylko, dzieci waszej Julci są dziećmi ojca<sup>260</sup>, który życie przewędrował i przepróbował na nieudających się rzeczach; on sam jest synem, jeśli nie legionisty lub napoleońskiego żołnierza, to takiego przynajmniej, co był z nimi w przyjaźni; a ci z konfederatami bar-

<sup>260</sup>dzieci waszej Julci są dziećmi ojca, który życie (...) przepróbował na nieudających się rzeczach — Adolf Tetmajer walczył w powstaniu r. 1830. [przypis redakcyjny]

skimi lub kołłątajowskimi współpracownikami, a ci się rozbijali, by Staś<sup>261</sup> nie panował; więc najmniej biorąc, masz pięć pokoleń, z których żadne owocu pracy swojej nie zebrało. Mojżesz przynajmniej z wierzchołka jakiejś góry widział ziemię obiecaną, lecz nasi Mojżesz wszyscy na puszczy umierają, żądajże tedy, by tłum dalej wędrował! Co do mnie, ile razy mi przyjdzie na myśl jaka piękna kombinacja, która by użyteczną ludziom być mogła, to się od niej jak od pokusy opędzam. Wolałabym się zakochać na starość, wolałabym zgubić pieniądze, za które mam w Tatry pojechać i Erazma sprowadzić, niż złapać się znowu na świetną użyteczności, instytucji pracy ogólnej nadzieję. Nie mam już własnej duszy do przegrania, to prawda, lecz gotowa bym przegrać dusze ukochanych moich. Dajcie mi pokój z projektami takimi. Chcesz mówić o zarobku, o fakciku, o pojedynczym człowieku, ograniczonym godzinami zdarzeniu, ha, to służę; kiedy trwam, muszę funkcjonować; lecz nie mów i nie myśl dalej, szerzej, wyżej; a zresztą myśl, jeśli chcesz, nie wystawiaj się na szwank próby. Śliczne morały — co? liźnęłam kiedyś strychniny i zupełnie równie gorzkiego jest smaku.

Ciekawam bardzo, kto ci to w tym czasie brak prostoty zarzucal? Czy pamiętasz, że już raz z Lasią mówiłyśmy o tym: jeśli nie pamiętasz, ja ci nie przypomnę i musisz zaczekać aż moją *Kasię* i *Marynkę* skończę, bo tam jest właśnie cały ustęp o tym przedmiocie. Szkoda, że czekać będziesz długo może; nawet sobie nie wyobrażam, jakby to można pisać teraz. Co więcej, nie mogę sobie uprzytomnić, co się dzieje w głowie ludzkiej, kiedy pisać może... powieści. Jest podobieństwo, że wyjdę z tego stanu na zimę; już dwie zimy przebywałam pewną febrę autorską; na wiosnę, gdy właśnie powinien być umysł trzeźwiejszy, mnie fantazja odstępkuje. Zaczynam miewać coraz smutniejsze i uboższe wiosny. Nie wyobrażaj sobie tylko, że wieś sposepniała: daleko piękniejsza niż wtedy, gdy ją ostatni raz widziałaś; taka zielona w dole, taka błękitna w górze, taka pachnąca w powietrzu. Powinna byś się przekonać! Julia powiada, że ci daje czas do rozmyślu. Ale teraz, przy takim zmartwieniu, nie śmiem sobie roić o jej przyjeździe. Starajcie się przynajmniej, abym częstsze mogła miewać wiadomości.

Listy o przejeździe pani Kaplińskiej tak mię dochodziły, że nie mogłam spotkania wykombinować. Edwarda był bez daty, wasze spóźnione.

## CXIV

[Dębowa Góra] 13 maja 1868

Tylko dlatego piszę, moja Wando kochana, żebyś — najpierwej: odpisała mi, a potem, żebyś o milczeniu moim nie tworzyła gorszych jak się należy przypuszczeń. Po prostu zadębiałam trochę, nic nie mam do powiedzenia, bo nie myślę o niczym. Zdaje się, że nasz projekt ludzimirski nie przyjdzie do skutku, był on tylko połową projektu, jako wiesz sama najlepiej; drugą „usprawiedliwiająco zasadniczą” była nadzieja sprowadzenia Erazma. Trudności, o których wspominasz, nie tyle by mię zrażały, ile raczej inne powody, o których już do Juluty pisałam. Erazm jest tam wprawdzie jak między umarłymi, lecz jest między nimi od lat trzydziestu blisko; pomyśl tylko, po trzydziestu latach, kogo byś też się odważyła z powązkowskiego cmentarza między żyjących przenieść. Choćby matkę między dzieci, to warto się zastanowić. W każdym razie, póki tam Marceli jest z nim, w sąsiedztwie na tamtym świecie, póty niech rzeczy *status quo* się utrzymują. Polcia mnie namawia, żeby teraz jechać na imieniny Juluty: jest pokusa, lecz są też wstrzymujące powody. Nie mogłabym dłużej nad parę dni zabawić, a koszta przejażdżki te same prawie, co gdybym tygodnie miała na użycie. Oczywiście tedy lepiej zatrzymać się, póki tygodniowej perspektywy nie otworzę przed sobą. Będzie to wówczas, gdy dzieci do Ciechocinka pojadą. Zapewne ty jeszcze w tę porę nie zaczniesz nawet w góry się wybierać, bo to pewnie w przyszłym miesiącu wypadnie. Jeszcze za tym przemawia i ta okoliczność, że jednocześnie, raz z miejsca ruszywszy, łatwiej mi będzie Wisłą do Soczewki się dostać, a mam szczerzy zamiar, kiedyć<sup>262</sup> już nie do Krakowa, nie w Tatry, to na św. Emilię do Soczewki ściągnąć. Zawsze jednak coś mi się w przeznaczeniu krakowskiego składa, bo

<sup>261</sup>Staś — Król Stanisław August. [przypis redakcyjny]

<sup>262</sup>kiedyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

niedawno znowu Polcia wspominała, że niby sobie z tego wielką przyjemność obiecuje, abyśmy razem tego roku Kraków i Ojców zwiedziły. Jeszcze sobie jej życzenie do majaków pustyni zaliczam, tylko tak dla spostrzeżenia podjęłam, jak to czasem coś o wyobraźnię i zaraz o różne możliwości się zaczepia, niemniej jednak wiatr rozwieje, a dmie też silnie na dworze. Ty się nie domyślasz nawet, że już ludzie o deszcz Pana Boga proszą. Ja się deszczu spodziewam na mój pobyt w Warszawie.

Nie gorsz się i nie zrażaj takim krótkim listem. Jak przyjdę do koloru, to dłuższy napiszę, teraz wypełzłam gorzej niż liliowy perkalik na słońcu, a perkalik bardzo lichym materiałem farbowany.

## CXV

[Pszczonów] poniedziałek, 13 lipca 1868

Kilka słów uspokojenia dla mojej Wandy. Bodajby tak wszyscy, których kochamy, zdrowi byli, jak ja zdrową jestem, choć u nas ciągle smutek, niepokój o zdrowie Wituchny. Zapewne Julia ci już wspominała o tym, że z p. Anną<sup>263</sup> w Krakowie widzieć się nie mogłam. Była już w Krzeszowicach, a jakkolwiek powiadasz, że to niedaleko, to jednak dla mnie było jakby za oceanem na pierwsze spotkanie. Na drugie, to co innego; zredukowałoby się do dwóch stacji kolei żelaznej; lecz łatwo pojmiesz, że teraz nie pilno mi było do ludzi. Więcej bym tego żałowała, że się do Julci nie dałam namówić Marcelemu, ale było trzeba pierwiej na listy się z nią rozmówić, czy jest w domu, a coś mię tak ciągnęło z powrotem, że ci tego nawet wytłumaczyć i usprawiedliwić nie mogę.

Uściskaj siostry obie, i tę, która przybędzie jak najserdeczniej. Ojca pozdrów z wdzięcznym za jego pamięć podziękowaniem. Donieś mi o p. Kaplińskiej, czy szczęśliwie wróciła?

I bez rozżalenia czekaj na dłuższą odpowiedź moją, bo teraz ledwo mam tyle głowy na karku, ile jej starczy, by wiedzieć, że mam jeszcze takich, co mnie kochają do kochania!

## CXVI

[Pszczonów] poniedziałek, 20 lipca 1868

Starsza pani Lewińska jedzie do Warszawy, to Julii wszelkich szczegółów udzieli o chorobie Wituchny, a przez Julię ty się dowiesz, Wando. Dla ciebie z osobna mam tylko prośbę, żebyś nie zrażała się krótkimi świstkami mojej korespondencji i jako byłaś najstarszą w swojej dotychczas, tak byś nią i na później została. Wiem, że ślub Maryni, domowy zakręt, przyjazd Julci, wiele ci chwil zapełnią, ale odkradnij choćby na najkrótsze telegramowe sprawozdanie, bo gdy mi przyjdzie cały tydzień bez wiadomości teraz siedzieć obok chorej, to zaraz wyobrażam sobie, że wy wszyscy chorzy jesteście i rozpałmiętywam z goryczą, że jeśli nie pojedziesz w góry z wracającą do domu Julcią, to całe lato stracone będzie dla twojej kuracji.

Donieś mi, czy Seweryn już wyjechał.

Nic nie wiem, na kiedy stanowczo dzień ślubu oznaczony. Wnioskuje, że jakoś teraz wypadnie, lecz nie umiem wybrać między wczoraj, dziś, jutro; nie mniej przeto, o ile mogę i o ile mnie jest, o tyle z wami przebywam. Uściskaj wszystkie, wszak je masz koło siebie? wszystkie trzy siostry, zaczynając od najmłodszej, jako obecnie najważniejszej osoby.

Stasia list zastałam tu czekający na mnie. Kiedy ja mu odpiszę?... a kiedy będę w Soczewce? chyba wtedy kiedy i w Warszawie.

Czy Wohl nie zmienił adresu? Bądź mi zdrowa, moja droga, jedyna kochana; niech tam wszyscy twoi koło ciebie zdrowi ci będą.

A podziękuj p. Zygmuntowi za pamięć jego, którą aż w Rheims mię szukał. Jeszcze nie jesteśmy tak blisko znajomi, żeby się bez podziękowania obeszło; mógłby mię o brak oceny cudzej dobroci posądzić.

<sup>263</sup>p. Anna — Jerzmanowska. [przypis redakcyjny]

Edwardowi, co się tak o mnie kłopotał, nie dziękuj, tylko powiedz mu, że go ściskam serdecznie. Wszakże p. Grabowski wolny teraz od swoich reumatycznych cierpień? czy się wybierze do wód?

## CXVII

24 lipca 1868, Pszczonów

Jeśli możesz co dla mnie zrobić, Wando — uważaj — nie piszę: „jeśli chcesz”, bo o tym nie wątpię, ale jeśli „możesz” — to słuchaj namowy Julci i pojedź z nią na koniec lata przynajmniej, odetchnąć świeżym powietrzem tatrzańskim. Sama się przekonasz kiedyś w zimie, jak mnie to na zdrowie wyjdzie. U nas tutaj lepszą na koniec mogę ci przesłać wiadomość. Wituchna znacznie lepiej się miewa, boleści od czasu do czasu jeszcze wracają, lecz są daleko znośniejsze, krótsze, a gdy przeminą, to się zupełnie silną czuje. Wczoraj po parę godzin siedziała na ganeczku przed domem, a dzisiaj przeniosła się do bawialnego pokoju, gdzie jest chłodniejsze niż na dworze powietrze. W nocy także więcej spała niż zwykle. Niby to moja kolej była, żeby ją pilnować, ale mię Kornelia wypędziła. Siostry mają takie dzikie przesady, że kto chudszy, to im się zaraz delikatniejszym zdaje; nie pozwalały mi też po nocach przy chorej siadywać, ledwo co trzecią lub czwartą noc, i to zaraz nad ranem przed wschodem słońca przychodziły mnie luzować. Tymczasem ja bym je wszystkie przetrzymała i pewnie nie zmizerniałabym tak jak biedna Kornelia, której w tych trzech tygodniach kilka lat starości przybyło. Pan Ignacy uznał, że wizyta jego wcale już niepotrzebną była, ale to dla chorej może, bo co do zdrowych to wiele bardzo uspokojenia im przysporzyła; a dla mnie, to znów przypomniła radość powitania. Od przedostatniej mojej bytności na imieniny Julii z nikim jeszcze nie mogłam radośnie się przywitać! Obiecał mi, że może dzisiaj Juluta z panią Lewińską na parę godzin przyjedzie; nie śmiem sobie tego życzyć zbyt żywo, aby nie mieć zawodu lub, co gorzej, nie mieć później na sumieniu, że jej upał zaszkodził, a jest niezdolny właśnie. Bądź co bądź, na pocztę lub przez okazję listy przygotowuję. Mam nadzieję, że mój będzie najpierwszym, który Mania z adresem pani Kwietniewskiej odbierze. Wiem, że Staś musi już być w Warszawie, bo go nasi panowie doktorzy na kolei spotkali; czy tylko mógł swobodnie aż do soboty się zatrzymać? Jeżeli zatrzymał, to go pozdrowisz ode mnie najserdeczniejszym słowem i przekażesz także same pozdrowienie dla matki i siostry. Panu Tetmajerowi, że mi podwójnie przykrym tak długie opóźnienie naszego spotkania: im później się zobaczymy, tym ja pewnie biedniejszą, smutniejszą i — co jest koniecznym następstwem — głupszą niż dzisiaj będę; a że się, według waszego świadectwa, czego innego ma prawo spodziewać, to na was spadnie zarzut o fałszywe świadectwo, gorsze niekiedy, gdy za bliźnim, niż gdy przeciw bliźniemu dane. Moglibyśmy się wprawdzie widzieć, gdy przez Skierniewice będziecie przejeżdżali, tylko jest wątpliwość co do dnia i co do koni, których tu para jedna nie na każdą potrzebę gotowa być może. Zawsze jednak oznacz dzień i godzinę. Wolałabym Julcię z jej dziećmi osobiście uściskać, niż tobie jedynie podobne dawać zlecenia, a nam, Wando, byłoby też z tym lepiej, choć taka krótka chwila, taka krótka, na minuty obliczona chwila — jednak i taką nieraz szczęściem by się opłaciło.

Spytaj się Edwarda Kapl[ńskiego], czy odeśle teraz Marcelemu przycisk do papierów, czy może już przez znajomego p. Zygma... odesłał. Uściskaj całą rodzinę państwa Kaplińskich, zaczynając od swojej chrzestnej córki. Jaką też matką dla niej będziesz, ciekawość?

Samej pani Kaplińskiej matce podziękuj za jej pamięć łaskawą i za współczucie serdeczne.

Wszystkich was, jak tam jesteście ślubnymi gośćmi razem ogromadzonymi w myśli stawiam przed sobą i tak z wami jestem wszędzie — w kościele, w domu, pocieszona i tęskniąca, bo to jednak choć nie rozstanie, to oddalenie — według kroków na ulicy.

## CXVIII

17 sierpnia 1868, Dębowa Góra

Kto inny, na list nie odpisawszy, uznałby może, iż nie ma prawa drugiego od tej samej osoby oczekiwać; lecz ja zbyt długo już w wyjątkowej kategorii byłam u ciebie zapisana i dlatego nie mogę się z tak przedłużonym milczeniem oswoić. Pomyśl tylko, — całe dni piętnaście. Że sama nie pisałam, to mam wiele przecież usprawiedliwiających okoliczności. Jedne wiadome; drugie domyślne — utrudzenie fizyczne przy ciągłej o chorą niespokojności i niedołęstwo moralne przy ciągłym brzydkim, głupim jakimś smutku. Co do utrudzenia wprawdzie, ledwie przed sobą śmiem się na nie skarżyć, bo w porównaniu wszystkich, którzy mię otaczali, zupełnie prawie beczynną pozostałam. Pod pozorem, że mię podróż mogła zmęczyć, siostry usunęły mię od wszelkiej posługi przy chorej; w ciągu całych czterech tygodni ledwie kilka nocy udało mi się zastąpić panią Zaleską, bo co Kornelia, to nigdy nikomu zastąpić się nie dała, choć mogła mię widzieć przez otwarte drzwi z drugiego pokoju, że nie śpię i nad każdym poruszeniem Wituchny pilnie czuwam. Byłe głośniejsze stęknienie, już była na nogach i biegła pytać, czego to potrzeba. Zwykle jednak wyprawiano mię na górę do mego pokoiku, gdzie powinnam była spać jak kamień; ale łatwo się domyślisz, że nie spałam wcale. Wszystkie z daleka dochodzące głosy zdawały mi się ciągle tym jednym w uszach dzwoniącym jękiem bólesci lub krzykiem tortury. Dziwne wtenczas przychodziły mi myśli. Od pewnego czasu uderzyło mię to zabobonne spostrzeżenie, że każdy z moich umierających wywoływał niejako za sobą drugą jakąś zapewne najlepiej ukochaną duszę. Siostra moja Wanda wzięła sobie najmłodszą swoją córeczkę Julutkę. Jurgens zawołał Berndta. Mnie się na pociechę ciągle w powrocie marzyło, że Erazm mnie zawołać musi. Nie czułam się tego warta — wierz mi, że bez retorycznej foremki, z sumiennego przekonania piszę te słowa — ale miałam w okolicznościach nadzieję — okoliczności tak się złożyły, że brat mnie musiał najwięcej ze wszystkich kochać. Kiedy na pierwsze powitanie w Skierniewicach dowiedziałam się o niebezpiecznej chorobie Wituchny, dziwny strach mnie ogarnął, czy na mocy jakiejś mistycznej sprawiedliwości ona mię w prawach moich nie ubiegnie; jakby na złość jeszcze, żadna siostrzenica może tak głęboko do serca straty jego nie wzięła. Marynia i Paulinka szczerym zaiste współczuciem podzieliły ją ze mną, lecz one dwie znaly swego pocziwego, kochającego wujaszka, mogły lepiej charakter jego i rodzinne niezmiennie w trzydziestu latach tułactwa przywiązanie ocenić. Wituchna nigdy go nie widziała, a przecież Kornelia sama wydziwić się nie mogła, jak bolesne na niej wrażenie wiadomość o jego śmierci zrobiła, jak trudno jej było pogodzić się z tą myślą, że się z nim nigdy już nie spotka. W pierwszych dniach po powrocie moim, wyraźnie bałam się z nią sam na sam zostać, bo zaraz o niego wypytywać mię zaczynała i ręczyła, że może słuchać spokojnie, a jednak zaraz większe odzywało się cierpienie. Dzisiaj, gdy niebezpieczeństwo minęło, gdy rekonwalescencja powolnym, ale dość pewnym postępuje krokiem, wszystkie moje wnioski mistyczne zawstydzają mnie okropnie. Mam ich wytłumaczenie w ogólnym umysłowym i moralnym pognębieniu moim, niemniej przeto na ciężkie chwile się złożyły i taki, jak ci powiadam, głupi smutek został po nich. No, teraz przynajmniej Wituchna zdrowsza. Była u niej w odwiedzinach Wanda Gałęcka z Lublina, teraz Wandka Re... i Stefcia Z<sup>264</sup>. przyjechały; ja zaś spodziewając się koło 10 t.m. przyjazdu Julii, zabrałam się — tak jak to już na twoją intencję najpraktyczniejszym się okazało — do Dębowej Góry i miałyśmy z Paulinką heroiczny zamiar, by codziennie na przejście sznelzugu w Skierniewicach czekać, gdy na szczęście list Julii stanowczo środe, tj. 13 sierpnia nam oznaczył. Miałam znowu dziesięć minut warszawskiego życia! Julia na pociechę zostawiła mi swoją i p. Ignacego fotografię; jak żyję, nie miałam nigdy ani tak pięknej, ani tak podobnej, ani tak prawdziwej. Wyobraź sobie Julię słoneczną, wiernie, jasno słońcem odbitą; metafora sprowadzona do najściślejszej rzeczywistości sztuką chemiczną. Od tego dnia przejazdu, ciągle jeszcze w Dębowej Górze siedzę; jutro znowu do Pszczonowa na krótki czas jadę, a potem wracam tutaj i normalne życie do rozerwanej tyłu wichrami przeszłości dowiązuję. Od pani Władysławowej<sup>265</sup> miałam pocziwy serdeczny liścik z jej nowego pomieszkania pisany; i ty musiałś niejeden już odebrać i od Zosi także; spodziewam się, że przez ciebie częściej niż przez Warszawę będę miewała teraz o wszystkich warszawskich stosunkach wiadomości. Powiedziano mi, że Edward K.

<sup>264</sup>Wandka Re... i Stefcia Z. — Redłowna i Zalewska, siostrzenice Narcyzy. [przypis redakcyjny]

<sup>265</sup>pani Władysławowej — Kwietniewskiej, siostry Wandy. [przypis redakcyjny]



wybiera się tu do mnie; ja też wierzę temu, jak gdybym nigdy w życiu przez dobrych i słownych nawet ludzi zawiedzioną nie była. Ach! i temu nawet wierzę, że wróciwszy, ty kiedyś do mnie na trochę dłużej niż 24 godzin przyjedziesz! Co więcej ci powiem, ja sobie samej wierzę jeszcze, że na przyszły rok będziemy razem u Julci i razem zwiedzimy Pieniny; a Julcia czy wierzy temu? Kiedyś już raz udało mi się „z państwem Tetmajer” spotkać, to zobaczysz, że wszystko łatwiej pójdzie, tym bardziej, że pan Adolf ma takie niebieskie oczy, jakby wcale nie na muszkietera — coś znajomszego. — Niech się lepiej rozmyślę w tym minutowym spotkaniu, to ci może znajdę *definicję*, a tymczasem pozdrów ode mnie oboje i chłopaczkom nie daj cioci, a raczej babci Narcyśki zapomnieć. Bądź spokojna, nie martw się; uważałam oczy Kaziuty<sup>266</sup> i wiem, że się w nie może zmieścić tyle rozumu, co po sam wierzchołek Łomnicy — tyle ukochania, co po dno Morskiego Oka. Daj Boże tylko, by ich sobie na marnościach tego świata nie zepsuł. Julcia sobie pomyśli i ty powiesz zapewne, że w tym matki kłopot i obowiązek; a ja powiem *Amen*, i westchnę po cichu. Widziałam tyle matek ze światem o syna walczących! Ha, może nie umiały.

Dowiedz mi się też o pana Marcelgo. Między bratem i siostrą przy każdym sprawunkowym interesie do rozpacz przychodzi; już dawno w przeszłym miesiącu wyprawiłam pudełko do Rózi i nie mam ani słówka odpowiedzi, czy szczęśliwie doszło, czy suknie się nie pogniosły, inne drobiazgi czy nie uszkodziły? Marceli znowu nic mi o rodzicach swoich nie donosi; mam prócz tego i rachunek, i kilka drobiazgów do przesłania i zlecenia różne dla osób, z którymi jeszcze będzie się widział — nic tego wszystkiego załatwić nie mogę, bo ani wiem, gdzie go szukać. Od Kazi żadnej także nie miałam na mój list odpowiedzi, chociaż przyrzekała, że pisać będzie i nie mogła przecież w Zielonej właśnie zapomnieć o mnie. Zgłoszę ja się raz jeszcze, niech tylko te powakacyjne przenosiny się skończą. Pan Pławiński obiecał się na 25 t.m., chłopcy się doskonale *przygotowali*, żeby się wszystkiego od niego nauczyć — bo wszystko, czego się pierwaj nauczyły, jakby wydmuchnął z głowy w czasie tych wakacji i tych upałów nieznośnych. Czy u was w górach także takie gorąco? Mnie trudno usnąć z wieczora, choć okno całą noc otwarte, ledwo chwila chłodniejsza nad ranem przy samym wschodzie słońca. Wczorajsi goście przywieźli wiadomość, że w Warszawie na Solcu już trzeci dzień fabryki i składy drzewa się paliły, a straż ogniowa ugasić nie mogła, i to jeszcze blisko Książęcej ulicy się zaczęło — blisko Edwardostwa. Chociaż z przeciwnej strony, o ile mi tę rzecz wytłumaczono, zawsze niepokojność osobista do ogólnej się przywiązała, a mojej Wandy nie ma, to mi już nikt nic nie doniesie. Pokazuje się jednak, że ja wszystkich prawie moich mam przez ciebie i to pod różnymi tytułami, w różnych odcieniach, z mnóstwem różnych przyimków — przez ciebie, dla ciebie, z tobą, koło ciebie, w tobie, itp. itp.

Istotnie, poza tobą, wyjąwszy jednej samodzielnie występującej Juluty, to wszystkich wspólnych zbliżyłaś mi zawsze, a z niewspólnych, to bez ciebie miałam tak mało, jak gdyby najdalej los ich usunął.

Co teraz czytujesz? — co robisz? — jak próżnujesz? Ja mam tylko „Revue des Deux Mondes”, Holł’a angielską powieść, którą już skończyłam, i po najdłuższych godzinach siaduję zupełnie rozebrana w moim (znajomym ci) pokoiku, w którym okna ciemnymi szalami pozawieszane. Drugi raz dopiero wzięłam się do pisania listów. Pierwszy był onegdaj do Rheims wyprawiony z fotografiami brata; póki coś z Rheims mnie łączy, póty jeszcze brat do obecności życia mego należy. Jeśli i to się rozerwie, będzie już tylko naprawdę przeszłością.

## CXIX

[Dębowa Góra] 19 października 1868

Po tych kilku słowach, któreśmy z sobą zamieniły na kolei, wbrew twojemu zaleceniu, abym o tobie nie myślała, ja właśnie ciągle myślę i ciągle z tobą, Wando moja, rozmawiam i zdaje mi się, że ci mam wiele bardzo do powiedzenia, a jednak gdybyśmy razem były, nie ufam sobie, czy bym mówiła. Jakiś diabeł niemoty mię opanował w przydatku do wszystkich innych diabłów, które mi słowa w ustach przekreślały, ile razy się

<sup>266</sup>Kaziuta — Kazimierz Tetmajer. [przypis redakcyjny]

odezwałam w najważniejszych chwilach mego czy nie mego życia. Dość, by szło o coś takiego, na czym mi tyle zależało, ile Ryszardowi III na dostaniu świeżego konia, wnet wyrazy plątały się jakby przypadkowo z dykcjonarza wycięte karteczki. Cóż z tego, że, według mojej osobistej wiadomości, każdy się odnosił do jakiegoś szeregu od dawna lub nagle rozwiniętego szeregu myśli, kiedy ja sama *słyszałam*, jak to nie do sensu brzmiało. Jest temu bardzo prosta przyczyna. W epoce tworzenia się nawyków, układania tego, co charakter stanowi, nie zdarzyło mi się z ufnością mówić o sobie i z siebie. Różne, różne złożyły się na to przyczyny. Trochę ludzie temu winni, trochę też ja winna; nie mniej jednak, choćby mię dzisiaj najprzyjaźniejsze otoczyły okoliczności, choćbym wierzyła wiarą niezachwianą, że tak mię słuchają w prostocie ducha, bez komentarzy, co do słowa, jak ja bym ukochanych moich słuchać się podjęła, jeszcze, jeszcze bardzo wątpię, czy bym się na płynne a jasne wypowiedzenie zdobyła; teraz szczególnie, gdy do mnóstwa oniemiających trudności przybyło jeszcze owo wiecznie na tle każdej myśli, w poddźwięku każdego słowa tkwiące: „abo to prawda?... w najlepszym razie: „abo się to na co przyda?”... Czasem łatwiej mi się było wypisać; teraz, jak listy zaczęły ze wszech stron ginać na pocztach, i ta szansa przepadła. Nieraz już spostrzegłam się, że gdy do listu zasiądę, to dłużej zastanawiam się nad tym, czego nie trzeba powiedzieć, niż nad tym, co bym powiedzieć mogła. Ale dzisiaj, choćby mi tę wątpliwość zupełnie z głowy usunięto i najwierniejsze dojście listu zaasekurowano, pewnie by to niezbyt wiele pomogło. Strasznie durzeję, moja Wando jedyna; nie martw się tym, ani też nie tłumacz na jakie świetniejsze wyrazy: powinna bym była raczej jeszcze dobitniejszego użyć. Nie smutek to, nie zmartwienie moje, tylko najzwyczajniejszy stan osłupiałości, w którym się na nieśmiertelność pewne organizmy zabalsamować mogą. Widziałam kilka takich mumijek niespożytych; coraz oczywiście się przekonywali, że z ich gatunku jestem. Bądź co bądź, *en voie de formation*<sup>267</sup> dopiero i dlatego tęskno mi do ciebie; chciałabym mieć cię z sobą nie na dzień, nie na tydzień nawet, ale na jakiś kawałek życia. Może by przyszła chwila i godzina, w której obiedwie wychyliłybyśmy się spod zaklęcia sztywności, niedowierzania, zająknięć, niedomówień, omówień, itp.

Jak to musi być trudno porozumieć się o cokolwiek na tym biednym świecie, niech ci stanie za przykład, że oto nawet względem mego przyjazdu do Warszawy z Julutą się porozumieć nie mogłam. Wyraźnie przecież miałam czekać, jak odpocznie po swojej podróży i po instalacji p. Różyckiej, a tu z wczorajszego jej listu widzę, że na mnie w ciągu tego tygodnia oczekują. Właśnie ten tydzień zapelniał się przyczynami zatrzymującymi mię w domu. Pani Polcia wyjechała w Radomskie, pani Lewińska wybiera się do Pszczonowa, a tutaj zostaje tylko pani Wituchna jeszcze bardzo mizerna i co dzień prawie na lżejsze lub mocniejsze kurcze cierpiąca. Tak więc tydzień bieżący z powodów miejscowych, tydzień przyszły dla zakrętu przy nowosiedzinach u Julii są wykreślone z projektów; dopiero na Wszystkich Ś[wię]tych, jako mówiłam, otwiera się perspektywa — i pomyśleć sobie, że was wszystkich pewnie chorych zastanę! I pomyśleć, że wy wszyscy prędzej ode mnie pójdziecie sobie, a ja nie będę miała z kim wspominać nawet.

## CXX

13 listopada 1868, Dębowa Góra

Wando moja kochana, będą u ciebie złożone różne książki, które ty właścicielom poddajesz. To jeden interes. Dowiesz się od pani Rodys, czy można uzyskać na pocztę jakikolwiek ślad przesłanych dwa lata temu, właśnie o tej porze, Zdzisławowi<sup>268</sup> pieniędzy. Odkryło się tam jakieś jakiegoś urzędnika nadużycie; jest fundusz, z którego poszkodowanym zwracają, więc już ze trzy razy pisał do mnie, bym go dowodem zaopatrzyła, a ma nadzieję odebrać. To drugi interes. Czy się od pani Ilnickiej nie dowiedziałas, gdzie teraz Wohl się znajduje? To trzeci interes. Spodziewam się, masz ich dosyć na jedną okazję.

Co do rzeczy zupełnie bezinteresownych, powiem ci, że rada bym się umieścić w jakim szpitalu „*des incurables*”. Miałam nadzieję, że mi pobyt w Warszawie posłuży nieco,

<sup>267</sup> *en voie de formation* (fr.) — tworzący się, będący w trakcie powstawania. [przypis edytorski]

<sup>268</sup> *przesłanych dwa lata temu (...)* Zdzisławowi pieniądze — Zdzisław Redel, siostrzeniec Narcyzy, zesłany po 1863 r. na Sybir. [przypis redakcyjny]

ale się okazuje zupełnie bezskutecznym. Gdybym choć smutną była, to już bym wolała; najgorsza bieda w tym właśnie, że nic mię radykalnie, do głębi duszy ani zasmucić, ani zdziwić, ani oburzyć nie może. Sama na sobie doświadczyłaś tego po części. Gdybym dawniej taki najosobistszy współdział miała w losie twojemu podobnym, jak mam w twoim teraz, co bym to ja z niebem, piekłem i ziemią nawojowała! Dzisiaj ponad wszelkim sądem góruje owo martwe, nieuchylone; „tak zwykle bywa”. Wiatr wieje, woda płynie, ci, których kochamy, umierają, ci, w których wierzymy, zawodzą — oddaleni zapominają. Cóż na to poradzić — tak zwykle bywa. Ból zębów jest okropną torturą, ale iluż spotkasz ludzi, co na zęby nie cierpieli? Zdaje mi się, że gdybym w przeszłości miała choć jedno wspomnienie, które by mi zaświadczyło możliwość jakiego zrzeczywistnienia, uniknięcia, zapobieżenia; gdybym wiedziała, jak to bywa, kiedy kto posiędzie i zatrzyma — kiedy co zamierzy, wykona — co traci, odzyska, może by mi więcej czynnych władz w duszy zostało. Ale kiedy<sup>269</sup> to już tak rzadkim i osobliwym przywilejem, żałuję tylko, że wcześniej nie otrząsnęłam się z różnych mistycyzmów moich religijnych i uczuciowych. Gdybym wtenczas była przyszła do zrozumienia wszelkich praw statycznych i statystycznych, podług których ludzie się roją w ludzkości, zdaje mi się, że byłabym z nich coś lepszego zrobiła niż obecne niedołęstwo moje. Mam nawet pewien idealik spokoju a pracy, do którego byłabym doszła z pewnością. Bo mój spokój nie byłby wcale orientalnym fatalizmem przyznaniem, tak jak i moje uznanie *prawa* nie jest uznaniem *konierności* tylko: innymi cyframi zapisałabym życie całe. Czy możesz sobie wyobrazić umysł od chwili pierwszego rozwinięcia wprawiający się do tego, by nie uważał za nieszczęście tego, czego zmienić nie może; a jednak by wiedział, że mu się godzi starać o wszystko, czego pożądać i potrzebować jest zdolny? Przyjąć śmierć i niski stan natury gatunkowej człowieka za fakta, nie usuwając zdrowia i udoskonalenia z celowych zadań swoich. Daleką i bezpieczną drogę ubieży, kto z tego punktu wyjdzie. Mnie już na nic się takie wiedzenie nie przyda; nabyłam pełno szkodliwych, wręcz przeciwnych temu nałogów. Przede wszystkim zgubny nałóg obcowania za pan brat z Panem Bogiem. Jak mnie o Nim wcale powszedni ludzie wiele rzeczy z niezachwianą pewnością powiedzieli, tak ja też wciągnęłam się różne inne równie pewnie twierdzić i przeczyć; żyć w ciągłej konserwacji, w ciągłych wnioskach o Tym niepojętym — Nieznany. Czy pamiętasz, co nam p. Kwietniewski o Hejne-Wrońskim<sup>270</sup> mówił i o prawach matematyki, która żadnego dowodzenia na nieskończoności nie opiera? Równie zdradliwą jest rzeczą wszelką ludzką prawdeczkę na Bogu zaraz opierać. Zużywa się Go; a jeśli nie czci zabobonnie, w suszach i slotach, febrach i cholerach jak panteistki sentymentalne z Honorata szkoły, to się mu proces wytacza jak Bayrony jobowe. W sentymencie i w procesie przyzwyczaiłam się do pewnych ruchów myśli, z których teraz otrząsnąć się nie mogę; a że stoję na innym gruncie, w innej atmosferze, więc ich i wykonywać nie mogę także; a do nowych zbyt późno żeby się nałożyć. Gdy zwykle tkactwo musiało miejsca machinom parowym ustąpić, cała warstwa starych robotników z głodu pomarła, bo nie byli już do nowych zatrudnień sposobni; ja także nie jestem już sposobna do życia bez tych mnóstwa aforyzmów, którymi się przez pół wieku karmiłam; nie mogę w sobie dość żywego zajęcia dla pary i najpysniejszych lokomobil wyrobić. Stare krosna mię nie pociągają, bo wiem, że nic nie warte; nowe nie ciekawia, bo wiem, że się na nich pracować nie nauczę. Ani ty, Wando, nie wyuczysz; dlatego widzę, że i ciebie, jako mnie, życie zmiele w ciężkich żarnach na same żale, oburzenia, tęsknoty, póki nie zmiele na nic. Gdybym mogła ci zadysponować taki stan duszy, jakiego bym sama dla siebie pragnęła (przypuściwszy, że według prawa faktów, z tych samych materiałów, które mi dane niegdyś były, miałabym na nowo biografię moją układać), to bym ci zadysponowała ogromną jaką naukową ciekawość albo filantropijną instytucję! Jestem pewna, że miss Martineau nigdy na żadną serdeczną rozpacz nie cierpiała — i mężczyźni rzadko cierpią; nie dlatego, że mają co innego do roboty, ale że mogą coś zależnego od siebie ukochać — polowanie — matematykę — kobietę — mniejsza o to, byle umysł zaprzętnąć tym, co naszej woli podległe. Były chwile w moim życiu, kiedy miałam taką władzę w sobie, ale to wszystko o złe przywknienia duszy się rozbiło. Oj, mistycyzmy! mistycyzmy — a ideały — ideały. Dwa

<sup>269</sup>kiedyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>Hejne-Wroński — Hoene-Wroński. [przypis redakcyjny]

są groźne niebezpieczeństwa: szukać ich w drugich lub wcielać w samego siebie. Zdaje mi się, że jeszcze więcej przez drugie niż przez pierwsze ucierpiałam — i nagrzesałam. Od tego poobiedzia, któreśmy razem przegawędziły, ciągle gdy myślałam o tobie, snuła mi się równolegle moja własna historia i opowiadałam ci ją w myśli z różnych punktów poglądowych — a zawsze w końcu mi wypadło, że ci się to na nic nie zda. I mój list dzisiejszy na nic ci się nie zda, i może go nawet nie zrozumiesz: tak jest pisany, jak gdyby rachunek w ogólnych sumach tylko przedstawiony, temu, któremu sprawozdanie z obrotu funduszków się należy. Chyba tym mię uwzględniś, że do nikogo pisać nie mogę i tylko do ciebie mogłam się choć na te kilka nonsensów zdobyć. Przez litość, Wando, staraj się żyć za mnie, bo ja już za siebie nie mogę.

## CXXI

30 listopada 1868, poniedziałek, Dębowa Góra

Moja ty pociecho jedyna i trapiicielko najzawziętsza! Mnie się tak spać chce okropnie, a ty mi pisać każesz. Że Ilnicka może się ludzi nadzieją — układać powieści — to jej rzecz — od tego jest redaktorką i poetką, ale żeby takie kochające, takie wiedzące o mnie prawie wszystko serce, mogło jeszcze różnych czepiać się pajęczyn to już pojąć trudno. Nie rozbieram chemicznie, jakie wrażenie, przykre czy miłe, sprawia na mnie upór podobny, ale wiem, że się kilka razy uśmiechnęłam do twego listu. Więc tedy chcesz mię do Warszawy sprowadzić, żebym odzyskała ruchliwość sparaliżowanych mózgu nerwów czy ganglionów — nie wiem istotnie, co jest przy kompozycji autorskiej potrzebniejsze. Dziwna rzecz jednak! Siedziałam dziesięć lat w Warszawie, a przez osiem, zdaje mi się, nie napisałam ani jednej do druku stroniczki. Co więcej nawet, przez pierwsze dwa lata, kiedy kończyłam geografię i różne inne zaczynała (niepokończona) niedorzeczności, zawsze wyjeżdżałam na wieś, gdy coś pilniejszego trzeba było zbyć z głowy. Na wsi *Poganka* jeszcze dawniej się urodziła, — na wsi *Helusia*<sup>271</sup> — *Biała Róża* itp. Chyba przez analogię wnosisz, że, ponieważ o wyjeżdżanie chodzi — więc teraz siedząc na wsi, muszę do miasta się przenosić? Powiem ci jednak — gdy w mieście będę, to niech mi z życia wymazane zostaną wszystkie chwile, których nie przewędruję od Juluty do ciebie, od ciebie do Kazi itd.

Słaba nadzieja, Wandeczko moja! Już ci to dawno powiedziałam, ja, co nerwową nie jestem i sądzę siebie tak spokojnym sądem, jak gdyby o panią Bakałowicz chodziło, na jedną tylko przysługę zdać bym się mogła. Gdybym znalazła, według mego serca, na drodze tych samych pojęć, literatkę jaką z talentem — zasypałabym ją projektami — musiałaby pisać, podokończyć, powykończyć, pozaczynać zresztą mnóstwo autobiografij — wspomnień pensjonarskich — album z fotografiami — guwernantek z musu i uczennic z dobrej woli — kto wie, może bym ją skusiła na poważne dzieło o rzeczywistej arystokracji wobec antropologii. No, nie dałabym jej próżnować. — Lecz ode mnie już się nie spodziewaj niczego. Próbowałam ze sto razy na twoją intencję — a nie mogę — brak mi zupełnie talentu redakcji — sama sobie wydziwić się nie mogę, że go miałam kiedyś — i nie wierzyłabym pewnie, gdyby mi kochane moje nie zaręczały: im zaś więcej zaręczają, tym strach większy. Wszystko, co ci Ilnicka o Gabrielli mówiła, rozwija tylko we mnie Aldonowe uczucia. „Niech nigdy nędza pięćdziesięcioletniej Narcyzy — dawniejszej — umarłej Gabrielli nie kazi wspomnienia”. Nieraz po przeczytaniu twego listu, Wando, kiedy się przejrzę w twoim ukochaniu mię za przeszłość, a zobaczę się taką promienną, piękną, dzielną (jaką nigdy nie byłam, lecz istotnie być chciałam), to mię jeszcze większe ogarnia zniechęcenie. Czymże bo dosztukować pełne obietnic i świetnych nadziei początki — w lat kilkanaście — po śmierci tyłu najdroższych — po upadku tyłu najszacowniejszych — po stracie wszystkiego, nad czym się pracowało! Czasem, przy takich rozmyślach, z litości nad sobą i nad tobą, powtarzam lekką odmianę starożytnego wyrażenia: „Od Bogów jest kochanym, kto *w porę* umiera” — ale też czasem znowu, kiedy mię jakiś napad febry autorskiej porwie lub po prostu wstyd moralny za doskonałą beczynność ogarnie, wtedy mam apetyt na jaką gorzką prawdę, jaką krytykę z samych

<sup>271</sup>*Helusia* — bohaterka *Książki pamiątek*. [przypis redakcyjny]

angielskich brzytw, bo w takim razie najpierwej ufałabym więcej trwałości tego, co niedyś w świat wyprawiałam — (wątpliwość pod tym względem, pomimo twojej miłości a pochwały Ilnickiej, głównie zawsze na tym braku surowszej krytyki się opierała — czy słyszałaś, żeby kiedy lepszego dzieła jakiego nie krytykowano?). A potem, kto wie, czy by taka łaźnia na żywszy obieg krwi mi nie wpłynęła — przypuszczam, że chciałabym się usprawiedliwić, tłumaczyć... może znalazłabym wreszcie co do powiedzenia — a bardzo mi tego potrzeba w tej chwili. Nie mam prawa odmawiać współudziału, gdy o taki cel chodzi — cel sam z siebie jest dostateczny — a tu, prócz tego, są celowi obce, zabawne takie podniety! Raz tylko w życiu widziałam się z panem Jackiem i oboje tak niekorzystne unieśliśmy o sobie wyobrażenie, że choć na starość jedno drugiemu rade może jest pokazać, że nie było takim, jakim się zdawało. Opowiem ci kiedyś całą ową historię z czasu, kiedy jeszcze w ślimaczkach chodziłaś, a przynajmniej w majteczkach i bardzo krótkich sukienkach.

Wracając z Warszawy panie moje — choć jedna prędzej, druga później przyjechała, tę samą nowinę, w tych samych prawie słowach o tobie mi doniosły — „Ach! (autentycznie były dwa *Ach*) jak panna Wanda ślicznie wyglądała!” Polcia nawet dodała opis twego ubioru — wiem, że miałaś jasnopopielatą suknię ślicznie zrobioną i jasno lila krawatkę na szyi. Ciekawam, kto ci pozwala ładnie wyglądać w liliowych krawatkach?... Moja siostra Wikcia, która dla wszystkich panien, jak tylko którą z nich lubić zaczyna, ma zawsze jeden i ten sam kłopot, aby za mąż poszły — w ten moment zawołała — „No, pewnie za mąż idzie — bo panienki zawsze wtedy najlepiej wyglądają” — i moje siostrzenice zaczęły różne tworzyć przypuszczenia — a ja się utwierdziłam jeszcze w moim przekonaniu, że najłatwiej prawdę ukryć przed światem, a najtrudniej kłamstwo. Nie wiem, jak tam między bliższymi, ale wśród dalszych, to wszyscy mówią o p. Zygmuncie, nikt nawet jakby nie zasłyszał o kim drugim. Tutejsze moje, w najlepszej wierze trochę na moją, trochę na twoją intencję, a zapewne głównie przez sprawiedliwość, ciągle się z pochwałami dla pana Z. rozwodzą — ile razy wyrzucam sobie — ale co sobie wyrzucam, to ci powiem, gdy będziemy o p. Jacku rozmawiały. Moja droga, znów mi pan Jacek na myśl wrócił, a z nim konieczność przesłania jakiego artykułu. Przez litość, wypracuj co za mnie. Poślę ci aforyzmy o dobroci — na tej kanwie dohaftujesz różne swoje własne arabeski. Ej — z tobą nie warto nawet o czym podobnym zaczynać; już ja się tego nauczyłam — choć ty nauczyć się nie możesz co do mnie. Dlaczego teraz piękniej niż kiedyś wyglądasz? Lubię słyszeć o tym od drugich, ale nie lubię rozmyślać — są takie zdradne piękne wyglądanía. Może się właśnie gorzej na zdrowiu czujesz. Tylko twoje emersonoskie<sup>272</sup> usposobienie mię pociesza — znać taki prawdziwy, dobry gatunek siły rozumnej, która się nie chce na głupstwo cierpienia zużywać — bo wobec niej mnóstwo cierpień jest głupstwem tylko — skoro nie tworzę, nie rodzę, nie są trudem działania lub wprawą w wykonanie. Ale tyłu wkoło siebie mazgajów widzę, tak się do własnej maślanej, zakalcowej ślamazarności przyzwyczaiłam, że nie mogę na pewno w twoją dziarskość, w twoją oporną dumę i kuracyjną czynność uwierzyć. Zawsze człowiek swoją miarą mierzy — gdybyś ty jednak do miary wymagań moich się dociągnęła — no, to byłoby więcej warte nawet, niż gdybyś mi artykuł dla S... napisała.

Moja droga, czy ty się przynajmniej zaopatrzyła we wszystkie przepaszające słowa — żeby panią Rodys za kłopot jej zrobiony przeprosić. Nieszczęśliwy był mój pomysł, żeby jej na głowę tę przesyłkę składać. Jeśli sama będzie musiała za tym chodzić, to sobie na Wielkanoc nawet podobnego grzechu nie odpuszczę; ale mam lekką nadzieję, że się którym ze swoich młodych znajomych wyręczy — choćby przyszłym zięciem; w takim razie tylko przez cały adwent będę miała zaniepokojone sumienie, a możesz upewnić, że i to nie jest arcyprzyjemną rzeczą, kiedy się kto zawsze budzi przed roratową godziną. Wreszcie sama prędzej czy później napiszę o tym, a może osobiście pokorne moje przeproszenie złożę.

Książki tedy przyobiecanej oczekuję. Ze wszystkich radości, jakie mogą mnie spotkać (nie mówię o gatunku szczęścia, do którego powitania załączam), radością bez wątpienia największą jest książka zajmująca do przeczytania. Zosia pewnie będzie tego samego gustu — a Marynia jeszcze nie. Uściskaj obie.

<sup>272</sup>Emerson — poeta i filozof amerykański. [przypis redakcyjny]

Moja kochana Wando, wyszukaj mi jakiej komicznej, nie już sztuki, lecz choćby sceny tylko na trzy osoby — pomyśl — przebiegnij wszystko, co znasz oryginałów lub tłumaczonych po polsku.

## CXXII

I ty pisałaś, i Juluta pisała, że się mnie w Warszawie spodziewacie, a ja niestety wcale się tam samej siebie nie spodziewam, zwłaszcza teraz, choćby na krótkie odwiedziny. Lecz wiesz, co ci powiem? Tylkoż ty jeszcze nie powiadaj samej sobie, ani moim kochanym. Waż się losy, żeby z dziećmi w Warszawie osiąść. Lepiej byłoby, gdyby choć ze dwa lata jeszcze można ich na wsi utrzymać, ale naczelnik robi panu Pławińskiemu trudności, więc może się naczelnika na koszu osadzi i dalej pójdzie. *Romoli* jeszcze pierwszego tomu nie przeczytałam — jej historyczność mię razi — tak samo na księżycu jak w dalekiej przeszłości można by podobną analizę subtelnych uczuć ludzkich przedstawić. Jeśli można czytać Waltera Scotta i Dumasa, to dlatego, bo się zdaje, jakoby jego ludzie nie byli wcale do dzisiejszych podobni (choć w gruncie podobni), a ci tutaj zupełnie jak wszyscy z innych Elliota powieści. Czy twoje było tłumaczenie tego ustępu z *Herty*? szkoda kawałkami skubać coś ładnego, bo widać, że ładne.

Ciągle w niedzielę miałam cię na myśli, jakbyś ty umiała użyć ładnego obrazka. Nie mówiąc o dwóch pannach — ale wyobraź sobie cztery mężatki jak z czterech obrazów Simmlera: od popielatej blondyny — do cygańskiej Esmeraldy — cień włosów kolorytu i dobór draperii — kwiatów na głowie. Słowem, kolekcja przyzwoita.

Posyłam i list do pana Jacka; dowiesz się od Ilnickiej, jakim sposobem mu przesłać.

Gdyby można podpisać Gabrielli ominąć!

## CXXIII

[Dębowa Góra] 21 grudnia 1868

Zanadto wiele mam uszanowania dla świątecznej epoki, a jeszcze więcej względu na twoje wigilijne usposobienie, Wando moja, żebym dzisiaj cokolwiek z tobą o mojej piśmienności lub niepiśmienności, o przyjętych lub niemożliwych projektach rozprawiała. Znajdzie się to później trochę — daruję ci na studium psychologiczne, z którego jaki zechcesz użytek zrobisz mogła. Teraz i czasu nie ma; wybrałam się po gwiazdce do moich ukochanych, aby jedni wiedzieli, że o nich myślę — aby drudzy myśleli o mnie — abym z nimi wszystkimi była razem. Pamiętaj tedy, Wando, ogromadzić ojca, siostry, pana Władysława, Edwarda z całym domem od babci do Helenki i każdemu z osobna podać opłatek, każdemu rękę przyjaźnie uściskać, a powiedzieć, że na chwilę dobrego życzenia, czy ty, czy ja, to jedno. Bardzo długo, przez cały dzień na przykład, nie miałabym sumienia tak cię zanurzyć w mojej osobistości; choć wiem, że i w tobie niewesoło, że gorzko, cierpko, aleć zawsze jeszcze by ci niewygodniej być mogło. Toteż o chwilę chodzi jedynie; kiedy witam pocziwych, dowsiego roku winszuję życzliwym, jeszcze się odważę na jedność z tobą młodą. Zapewne w święta lub ze świąt zaraz dłuższy list odbierzesz; ten jest z plenipotencją i z jednym do serca przyciśnięciem. Bądź mi zdrowa, dziecko moje — kochanie moje — młodości moja ostatnia. — Bądź mi zdrowa jak egoista — a spokojna jak zarozumiałość. Czemu ty się trapisz i cierpisz, kiedy pani Stasiowa taka jest swobodna?

Jeszcze raz pozdrowienie dla Edwarda — i dla Lutki. A jeszcze raz dla Zosi. A jeszcze raz dla Mani — a i dla pana Władysława, a i dla Ojca — a i dla Julci, gdy pisać będziesz.

Nie zapomnij też pozdrowić pana Jabłonowskiego; należało by się i p. Zyg[munta] przypomnieć, choćby przez wdzięczność osobistą moją, nie licząc jego wartości — ale nie chciałabym tobie tego przekazywać, a nie mamy innych pośrednich stosunków.

Odsyłam *D[octo]r Antonio* — istotnie znałam dawniej, lecz nie znałam *Lorenzo Benoni* — to jest biografia autora.

# ROK 1869

## CXXIV

[Dębowa Góra] 2 stycznia 1869

Moja Wando, zacznij przepisywać to, co ci wysyłam dla p. Sumińskiego. Gdybym miała pół godziny więcej czasu, to bym ci opisała smutne dzieje prób mnóstwa i projektów tysiącznych — rekapitulacja penelopowego płótna na papierze. Jak pod przysięgą, co jednego dnia napisałam, to na drugi spaliłam; wtem przychodzi list do p. Leona, że tylko mego artykułu do wyjścia książki brakuje! Rozpacz mię ogarnęła — dałam sobie słowo honoru, że o honory nie dbając właśnie — ograniczę się bez talentu, głupio — do niczego nie zastosowanym wyjątkiem z gotowych materiałów — co więcej zobowiązałam się jeszcze nie odczytywać — nie zastanawiać się, spadać od początku do końca jak kamień. Gdybym do jutra zatrzymała papiery u siebie, tym więcej gdybym je przepisywać zaczęła, wiem, że nigdy by ich p. Sumi[ński] nie zobaczył. Jeśli więc ma zobaczyć, ty się tym zajmij; nie żenuj się poprawiać spójników i wyrażeń całych; wkładam to na ciebie jako obowiązek właśnie. Później w liście prześlę dokończenie — a może tytuł zmienić? No, proszę, ja muszę o takich rzeczach myśleć, na pierwsze i ostatnie dni roku! Pisałam, że aż mię plecy bolą i odcisk na palcu zrobił; dopiero teraz spostrzegłam się, jak mi przeszkodą w autorstwie jest niewprawna do tychografii ręka. Mogłabym dyktować — ale pisać — rychło wczas dowiedziałam się tego sekretu! — i ja muszę o takich rzeczach myśleć, a o tylu innych mówić bym z tobą wolała. Wczoraj dostałam list z Soczewki od wszystkich, ale na osobnych kartkach. Czy to nie lepiej było z mymi na pocztce listami się spotkać, niż takie duby smalone bazgrać. *Antonio* ci odesłałam — *Romoli*<sup>273</sup> jeszcze nie skończyłam — nie czytam.

Panu Z. nie chciałam przez twoje pośrednictwo życzeń moich składać, bo już raz przecie spadła mi na sumienie zawiedziona jego trochę tym samym sposobem nadzieja.

Brat wyjeżdża — Wandka R[edłówna] wyjeżdża.

Mam interesującą kanwę do powieści z żywego studium, gdyby trochę przyhaftować idealizmu.

Nie gniewaj się — frazes.

Nie smuć się, że na ten raz więcej nie piszę — hałas — pośpiech — ręka boli — ale dusza kocha. (Nie piszę o sercu, bo, jak się domyślisz, zbrzydło mi w owym wyjątku literackim).

Bądź ucałowana i wszystkich twoich pozdrów.

## CXXV

Masz tedy wszystko do końca, Wando moja najdroższa. Co ja bym zrobiła teraz, gdybym nie liczyła na ślepe twoje przywiązanie, to sobie nawet nie wyobrażam; najpewniejszą jest rzeczą, że pan Jacek nie miałby artykułu. Ale ty się nawet cieszyć będziesz, że możesz przepisywać i nawet choć potem odezwą się ludzkie głosy, że szkoda czasu i atlasu, nie uwierzysz im. Donieś mi tylko, kiedy będziesz mogła wszystko odesłać.

Taka jestem spisana, nie tylko w palcach, ale i w łopatkach, że nawet Lasi nie mogą na jej trzy listy odpowiedzieć — usprawiedliwiająć się tylko w sumieniu, że jej to nie bardzo potrzebne. Juścić ucieszy się jak list odbierze, lecz jak nie odbierze to koniecznie tęsknić nie będzie — ale rodzinie Markiewiczów odpisałam za to trzy listy na jeden, żeby pani Markiewicz się odwdzińczyć — żeby Manię uściskać — żeby Sewerynowi powinszować, a nade wszystko, żeby Stasiowi fałszywych przypuszczeń oszczędzić, choć tak tylko na niepisane i niedomówione słowa rozmawiamy. On mi z głębokim smutkiem donosił o lekarskim swoim sądzie nad stanem Seweryna — ja też trochę o sobie, trochę o Sewerynie pisałam. Lecz to wszystko sensu nie ma. Jeśli mam przyjąć współodpowiedzialność bliższego, jedyne, jaki przyjmować warto stosunku, to muszę sobie człowieka z sanskrytu na polski język przetłumaczyć.

<sup>273</sup>*Romola* — historyczna powieść angielska George Elliot (1863). [przypis redakcyjny]

## CXXVI

[Dębowa Góra] 22 stycznia 1869

Uwielbiam, Wando, moją przytomność umysłu! Kiedy mi się nagle zdarzyła sposobność pisanego do ciebie w niedzielę, miałam ci tylko posłać adres mego siostrzeńca; pokazuje się jednak, że coś pilniejszego na myśli mi było i adresu nie posłałam. Żeby drugi raz tego samego nie zrobić, więc dziś na samym początku piszę: „Gub. Irkucka, Niżno-Udyński okrug — w Bratskiej Wołosti”. Powiedz mi też, czemu takie ceremonie robisz z podpisaniem swego nazwiska<sup>274</sup>. Jeśli tak jak ja przez tchórzostwo i obawę niepowodzenia, to możesz wziąć jaki pseudonim; ale jeśli przez względy *piętrowych stosunków*, to nie mogę i *nie mogę ciebie* w tym rozumieć. Cóż u licha! ty, która sobie kazuistyką konfesyjonału sumienia nie zamącałaś, zrozumieć nie możesz tej najpospolitszej prawości, żeby zawsze być gotową za swoje dzieło, za każdą robotę swoją, czy dziurę zacerowaną w pończosze czy drukowaną książkę — osobiście wszelką przyjąć odpowiedzialność! Względem na pannę Grabowską, choćby spod 495 Nru<sup>275</sup>, wcale nie rozumiem. Toć przecież ja byłam także młodą panną, kiedy pisać zaczęłam, i nie byłam starsza może od ciebie, gdy wydałam *Pogankę*; a jednak i tę zbrodnię, przed którą Andzia S[kimborowiczowa] drżała, wzięłam śmiało na swój kark — bo co mogłam pomyśleć, co mogłam napisać — to mogłam wśród ludzi ponieść. Nie wyobrażaj sobie znowu, bym już wówczas tak była jak dzisiaj spod wszelkich rodzinnych reklamacyj uwolnioną. Gdy pierwsze sygareto wypaliłam, był lament w domu; a gdy na koń siadłam, były płacze i zgrzytanie zębów, o jakich pojęcia nie masz chyba. Lecz ja od konia i od sygarety łatwiej ustąpiłam niż od pracy myśli mojej. Podarłam wprawdzie więcej arkuszy i spaliłam więcej niż ich do druku podałam, nigdy jednak żadnego nie cofnęłam pod grozą konwenansu. Jeśli miałam w sumieniu choć jeden powód na usprawiedliwienie słowa głośno objawionego, to już uważałam się za skrupowaną obowiązkiem do utrzymania się przy nim. Zresztą może my się nie rozumiemy — wytłumacz mi — bo istotnie bez przesady nie mam klucza do takich pojęć — jak do odcyfrowania znaków na skorupie chińskiego żółwia. Jeśli mi się uda, to wyprawię z tą kartką razem Plutarcha i inne twoje jako też Maryni książki.

Ma się rozumieć, że, chociaż cię nie rozumiem, to cię jednak bardzo serdecznie zawsze do serca przycisnąć bym chciała. Dość często różne dobre rzeczy myślę o tobie, budząc się i zasypiając. Niechże mi wolno będzie w jasne południe nawymyślać ci trochę! Pamiętaj po zdrowiu najserdeczniej ojca — siostry — cały dom Kaplińskich i jeszcze raz Edwarda.

Żadnej angielskiej geografii nie czytałam. Będę jej rada — jeśli włożysz do worka jaką podróż po Grecji, byle nie Anacharsysa, którego na pensji czytałam, z wdzięcznością przyjmę, a gdyby co jeszcze.

## CXXVII

*Sobota*. Wczoraj pisałam, a dziś mam ochotę list spalić — niech jednak zostanie — choć na inny rodzaj zmartwienia, bo wiem, żeby ci było smutno — żadnego nie odebrać.

Prócz nowych książek, pozwałam sobie z dawnych zatrzymać: Pana W. K<sup>276</sup>.

Szekspira.

Panny Wandy — Plutarcha.

a oddaję: Macaulaya t. 2.

*Pameli* i starych ks[iążek] szt. 6.

*Frederyka*<sup>277</sup> — t. 5.

## CXXVIII

[Dębowa Góra] 14 lutego 1869, niedziela

<sup>274</sup>ceremonie robisz z podpisaniem swego nazwiska — pod przekładem *Herty*. [przypis redakcyjny]

<sup>275</sup>pannę Grabowską (...) spod 495 Nru — numer domu Grabowskich na Miodowej. [przypis redakcyjny]

<sup>276</sup>Pana W. K. — Kwietniewskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>277</sup>*Fryderyk* — zapewne mowa o głośnym w swoim czasie romansie Fiévée'go *Frederic* (1805). [przypis redakcyjny]



Czy my się kiedy zrozumiemy w tej kwestii skromności? Raz cię pobierają skrupuły co do tłumaczenia *Herty*, dlatego że jest w niej jakiś ustęp podejrzany! Panna Fryderyka Bremmer, najmoralniejsza autorka szwedzka, napisała coś takiego, czego panna Wanda Grabowska na Miodogórze przetłumaczyć nie chce — nie śmie raczej, to jedno. Pani Ilnicka w dodatku do niewinnego „Bluszczu” ma ogłaszać jakąś powieść Wiktora Hugo, lecz znów tam są rzeczy, których pannie Wandzie imieniem swoim podpisać nie wypada — to drugie! Powinowactwa z wyboru zdradziły tłumaczącą — to trzecie. Jakże chcesz u licha, żebym ja to wszystko razem w jeden logiczny okres ułożyła? Na moje zdanie, co panna Bremer napisała, może śmiało każda Polka głośno nie tylko przy narzeczonym, ale przy starającym się dopiero na narzeczonego przeczytać. Co „Bluszcz” dla młodych osób delikatnie przyprawny wyda, może być przez najmłodszą osobę nie tylko przez męską rękę pana Felicjana<sup>278</sup> sygnowanym; a ostatecznie, co się do tłumaczenia bierze, to się przecież pierwiej od początku do końca czyta i gdy się coś rumieniącego nas same spotka, to się wcale pod pióro nie bierze. Dlatego nie mogę pojąć, czemu Ilnicka w środku dopiero oczy spuściła albo czemu ty byś swoich prześlicznych śmiało podnieść nie miała, tłumacząc to, co, jak powiadam, sam „Bluszcz” adoptować jest w stanie? Wszakże cię nie namawiam na żadne fizjologiczno-salonowe studium Balzaka — ani nawet na *Półświatek* młodszego Dumasa, choć go pewnie w tłumaczeniu Przeździeckiego na scenie zobaczysz; dziwi mię tylko, czemu surowszą jesteś od redakcji *Bluszczowej*. Jeśli cię mogą zrazić przez nią przyjęte temata, niech cię nie gniewa przynajmniej zadziwienie moje. Ot, wiesz, co istotnie myślę sobie o tym wszystkim? Myślę, że jesteś rzeczywiście za młoda jeszcze, za „wrażliwa” osobiście na pewne myśli, abyś je spokojnie po literacku lub naukowo traktowała. Jesteś kobietą, nie myślą, ale prócz ciebie nikt w świecie więcej o tym ode mnie się nie dowie. Spodziewam się, że też nie przypuszczasz, aby podobne mniemanie w czymkolwiek wartości twojej dla mnie ujmę jaką przyniosło. Owszem, wolę zawsze tych, co żyją, niż tych, co piszą; niemniej wszelako prawdą jest, że do pisania pewna obumarłość jest potrzebna. Że więc teraz nie piszesz, nic się tym nie martwię; przewiduję tylko, że kiedyś będziesz pisała — jak się z wrażliwości wyżyjesz. Będziesz bogatsza przeszłością niż terażniejszością nawet jesteś. Wspomnienia dostarczają trafniejszych, lepiej przefiltrowanych spostrzeżeń, a imię twoje będzie wówczas — — Zgadnij, Wando, kto już raz ode mnie imienia pod swoje pisma żądał, ale pewnie słyszałaś o tym dawniej, że to był Edward<sup>279</sup> Dęb[owski]. Wbiegł do ostatniego pokoiku Bibianny<sup>280</sup> i zastał mnie jakiś list właśnie przy jej biurku piszącą. Nakłamał mi mnóstwo historyj, że cenzura nie przepuszcza jego nazwiska — że ktoś tam nie powinien wiedzieć o prawdziwym autorze, bo się posprzeczekali — już to jego zwyczaj był, jego wrodzona potrzeba, aby najprostszą rzecz w arabeski powyginać. Tego w owej chwili jeszcze o nim nie wiedziałem; byłabym ręczyła, że siebie tylko bardzo często, ale drugich jako żywo nigdy nie zwodzi; że jednak wiele innych rzeczy wiedziałam prócz tego, więc patrzyłam na niego i koniecznie mi się na myśl imię „Beniamina” cisnęło — nie dlatego, żeby tak był piękny jak mój wymarzony później w *Pogance*, ale dlatego, że mi się zdawał takim jasnym, bez złej myśli, takim do kochania i pilnowania jeszcze w życiu rodzinnym chłopięciem. Nie uwierzysz, jak ów zapamiętały konspirator do studenta z naszej gimnazjalnej szóstej klasy był podobny! W miarę jednak, gdyśmy tak w rozmyślach przypatrywali się sobie, zaczęłam lepiej oczy jego rozumieć — bo też muszę sobie oddać tę sprawiedliwość — że doskonale umiem rozumieć oczy... w które wpatrzeć mi się przyjdzie. Edwarda Dęb[owskiego] były niebieskie, zwykle blade, ale tak umiały ciemnieć, rozszerzać się, tak diamentowo krystalizować, jak później u nikogo w równym stopniu widzieć mi się nie zdarzyło i były to z głębi głębokiej patrzące, a przecież fajerwerkowe oczy — przy bladych Lisztowskich rysach, przy długich jasnoblond włosach, przy drobnej, szczupłej postawie czuć było siłę w spojrzeniu. Dlatego też powiedziałam mu, żeby się na wróżbę przyszłości Symeonem nazwał — i był on

<sup>278</sup>pana Felicjana — zapewne Faleńskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>279</sup>ode mnie imienia pod swoje pisma żądał (...) Edward Dęb — Edward Dembowski, przyjaciel Narcyzy z czasów jej młodości, zginął od kuli austriackiej pod Krakowem w r. 1846. Odmalowała go jako Henryka we *Wstępnym obrazku* w *Pogance*. [przypis redakcyjny]

<sup>280</sup>Bibianna — Biblianna Moraczewska, siostra historyka Jędrzeja, przyjaciółka Narcyzy z koła „Entuzjastek”. Odmalowana jest we *Wstępnym obrazku* jako Felicja. Rozbieżne poglądy polityczne zerwały ten stosunek w r. 1862. [przypis redakcyjny]

Symeonem w swoim narodzie i w swoim gatunku. Pan go odpuścił w pokoju, aby oczy jego klęski Izraela nie oglądały. Czemu ty, Wando, nie wbiegniesz teraz do mego pokoju i nie zapytasz — popatrzyłabym ci w oczy i dała imię na pracę myśli twojej — może na los twój. Juści ja bardzo dobrze pamiętam, jak ty patrzysz, lecz nie mniej pomogłoby mi, gdybyś stała przede mną. Już to dla siebie, to nazwałabym cię „Konstancją”, ale że mam pewne *restrictions mentales*<sup>281</sup>, więc trzeba dla innych dobierać. Czy nie wzięłabyś np. imienia, które ja niegdyś przywłaszczyć sobie chciałam, które z historii i z osobistego wspomnienia bardzo drogie było dla mnie — a że skromne, ciche, niewyszukane, więc pierwszym próbom odpowiednie — Joanna — Czy ci się podoba?

A teraz o Biblii. Jeśli kupiłaś i czytać już zaczęłaś, powiedz mi, jakie na tobie wrażenie sprawia, jakie w niej słowo dla siebie znajdujesz? Przyznam się, że niewielką nadzieję radykalnej kuracji pokładałam w tym lekarstwie — na teraz szczególnie. Daleko bym wolała, żebyś się do jakiej nauki wzięła. Nie mam zresztą pretensyj, abyś się jej *nauczyła* (tej nauki), ale abyś poznała przynajmniej, ile to pracy, cierpliwości, uwagi, zastanowienia wymaga rozpoznanie najdrobniejszego szczegółu, najobojętniejszej rzeczy, choćby kulki krwi żabiej — potem łatwiej by ci przyszło pogodzić się z tym, że jeszcze tyłu, tyłu najważniejszych tajemnic nie zgłębiono. Bo to powiadam ci, czytając podobne rzeczy, nie traci się wcale nadziei, że kiedyś wszystko wiadomym będzie i tajemnicą być przestanie, tylko nabiera się takiej gruntownej pewności, że wszystko porządkiem, pracą długą wiekową zdobywać trzeba, że aż cierpliwość ogarnia i człowiek klócić się z Panem Bogiem przestaje. Już to ja nie doszłam jeszcze do tego punktu kulminacyjnego, najpierwej dlatego, że późno iść zaczęłam, a potem, że jestem strasznie niedołączna (choć ty mi genialną żywotność!!! przyznajesz); jednakże mam już pewne zrozumienie, jak to dojść można — i wyobrażam sobie, jaki to być może ów spokój bez zobojętnienia, owe uznanie tego, co być musi, bez wyrzeczenia się niczego z owych rzeczy, które być mogą. Gdybym się miała drugi raz urodzić, to bym sobie zadysponowała życie uczzonej kobiety; ale to co się zowie prawdziwie uczzonej, która by po całych dobach przez mikroskop studiowała wymoczki albo która by mogła jeden wyraz ze starszego od sanskrytu języka wysledzić. Pomyśl tylko, moja Wando, co to za stan błogi, śledzić atomu, życia — zapomnianej przeszłości, a nie zafrasować się nawet, czy mię tam kto kocha, czy mię kochać przestaje — i to nie dlatego, by się od wszelkich z ludźmi usunąć stosunków — i owszem, znać i pełnić rozumnie wszystkie powinności społeczne — domagać się nawet, by inni je spełniali — tylko odtrącić ze wszystkiego żywioł fantazyjny, romansowy — przenieść cały zapas poezyj w krainę wiedzy i prawd dowiedzionych. Istotnie, mam na to wielki apetyt — lecz go nie zaspokoję niestety! — i boli mię, boli, że ty, Wando, dwudziestokilkoletnia, ty z ciemno-zielonymi oczami, nawet apetytu nie masz na coś podobnego.

Juluta mi pisała o świetnym przedstawieniu u Edwardostwa; dzieci miały być doskonałe — szczególnie Zosia i Zygmus — bo to jej faworyciacka — a ja się przy Maniusi uparłam i koniecznie chcę, żeby na coś niezwykłego wyrosła. Uściskaj babcię, rodziców i dzieci przy pierwszej sposobności — ale ty byś może Edwarda nie chciała pocałować.

Dodatek nadzwyczajny do listu niedzielnego w poniedziałek z 5 lutego 1869. Jak mię zaczęto wołać do obiadu, ledwo miałam czas list mój zapieczętować i dlatego nie dokończyłam go nawet — a mianowicie:

Nie napisałam ci wyraźnie, żebyś uściskała Zosię i panią Władziową. Nie wytłumaczyłam, że cały mój rozbudzony naukowy entuzjazm i większa część wczorajszego listu wyklada się dziełem Marii Sommerwille. Niby to ja wiedziałam o wszystkim, co ona pisze — a jeszcze nie mogłam się tą jasną prostotą wykładu nacieszyć — och! nasmucić także — bo czemuż zamiast głupich dwóch tomów własnych, ja tego jednego nie przetłumaczyłam niegdyś!!!

## CXXIX

4 marca 1869, Dębowa Góra

<sup>281</sup>*restrictions mentales* — ograniczenia mentalne (umysłu). [przypis edytorski]

Nie wiem, czy, kiedy ten list odbierzesz, będziesz się wybierała z powinszowaniem do Kazimierzy, czy już wrócisz od niej? Domyślności twej zostawiam, jakie wtedy, a jakie wtedy dałabym ci instrukcje. Wczoraj list własny pocztą wyprawiłam; może dopiero dzisiaj solenizantka go odbierze; ale mogła już wczoraj odebrać — wolałabym żeby wczoraj. — A teraz muszę ci powiedzieć, Wando moja, że, jeśli się już spodziewasz odesłania geografii, to się po raz pierwszy na moim sercu zawiodłaś. Samolubnie jeszcze na jakiś czas muszę ją sobie zostawić; bo po powrocie nie zajrzałam prawie do niej. Ciągłe czytałam Słowackiego — dziwna rzecz, jak to można, długo czytać tego Słowackiego. Raz po raz wzruszę ramionami na chorobliwe jego duchowości — a potem znów książkę otwieram i daję się narkotyzować — bo to istny narkotyż, nie na sen, lecz na odurzenie. Bardzo często — w *Królu Duchu* najczęściej, nie wiąże żadnej myśli z myślą, czytając — tylko samymi obrazkami się rozmarzam — rozmarzam — aż w końcu i obrazków nazwać bym nie umiała, tylko same wyrazy malowane, świecące jak iskry z komina przed oczami latają — a wszelkie inne władze umysłu prócz tej wewnętrznej władzy widzenia drętwieją. Jak by on się gniewał na mnie za życia o takie orientalne picie jego ducha — przypuszczam, że tak by się wyraził. On zwariował na duchy. W ogóle jednak, to nie jest mój sąd ostateczny. Czy wiesz, Wando, że nigdy zaraz po przeczytaniu jakiejś ważniejszej książki, tuż w pierwszych chwilach, ostatecznego sądu wydać mi się nie zdarzyło? Naturalnie, powiedziałam to lub owo i myślałam, że rzecz skończona; aż tu później ciągle coś z owej skończonej nowego narasta i rozrasta się, aż muszę przyznać, że wtenczas ledwo zaczynała się. Dlatego jestem ostrożniejsza i nigdy od razu *ex abrupto* zdania mego pieczęcią nie pieczętuję. Było mi tak już z kilkoma książkami; nie powiem ci nawet, z którymi; takie liche, że wstyd by mi było, ale przecież coś mi zostawiły po sobie — jakiś ferment — istne zaczynienie drożdżowe — a i ludzkie słowa miały czasem tę władzę. Smutno powiedzieć, rzadziej niżeli książki — jednak miały; zwykle nawet bywało takie słowo przyjęte — odbierałam z niechęcią, w opozycji — czasem kładłam w zapomnienie — aż kiedyś wyskakiwało nagle spod swojej grobowej deski i rosło niby kwiat — czasem z prochów umarłych — czasem z kurzu wyminiętych po drodze nielubionych. Ja, co nie jestem poetką, umiem sobie z tego zdać sprawę; ale nic mi nie dziwi, że Juliusz mistyk w tajemne cudowności ustroił podobne fenomena. Gdyby Kazimiera nie była całą stałością swojego charakteru przeciw towianizmowi uzbrojona, to by jej także nadzwyczaj było przyjemnie świat niewidzialnymi potęgami aniołów i czartów zaludnić. Cały popęd jej natury jest w tę stronę — a ja się zapędzałam — przymuszałam — i nie mogłam zostać w cuda spowinięta. Inną ze sobą przyniosłam naturę, potrzeby inne; tylko że ich w sobie nie rozumiałam, że sobie innych dobierałam krojów — nic nowego, obcego nie nabyłam — a własności mi się nie przysporzyło — dlatego też brakło mi prostoty. Chciałabym kiedy w jakiej powieści cały ustęp napisać o prostocie — może bym tyle co i o dobroci powiedzieć potrafiła. Wando, namów Kazimierę — namówcie się wszystkie razem z Kazią i Julutą — a przymuście mnie, niech ja co napiszę — żeby przynajmniej na podróż w Tatry zarobiła — ale taką prawdziwą podróż, jak ja o niej przed 25 laty marzyłam. Teraz, kiedy już wieku Idy Pfeiffer doszłam, chcę dwudziestopięcioletnie żyć marzenia. Cóż znowu, jakaś Niemka mogła to zrobić — a ja nie. Prawda, że owa Niemka przez całe lat pięćdziesiąt tyle nie przeboleła, przeniepokoila, przerozpaczała co ja czasem w jednej godzinie — aleć zawsze to Niemka.

Bądź mi zdrowa, moja Wando — moja Wando — moja — moja.

Uściskaj siostry — kłaniaj ojcu, szwagrom. Edward, skoro wróci, to spodziewam się, że o tym wiedzieć będę.

CXXX

[Dębowa Góra] 22 marca 1869, poniedziałek

Nie pisałam o *Hercie*, moja Wando kochana, bo mię straszna hipokondria napadła. Nic ci o jej symptomatach nie powiem, bo to dla mnie rzecz upokarzająca, a dla ciebie wcale niepotrzebna; wspomnę jednak, że gdy ostatni twój list czytałam i gdy mię zaskoczyły twoje słowa: „a pani sobie myśli po cichutku: przyszła kreska na Matyska. Biedna dziewczyna” itd., to się właśnie z czymś zupełnie przeciwnym w mojej głowie spotka-

ło: „Szczęśliwa! ile to ona jeszcze ma podniet do życia, ruchu, pragnienia — użyteczność, powodzenie drugich — chęć poświęcenia, emulacja. Szczęśliwa!”, a co dalej, to już mniejsza o to. Jednakże wstydzić byś się powinna, że tak myśli moich nie zgadujesz: chyba się tym pocieszysz, że mi do pewnego stopnia wszelką podnietę zastępujesz, świadczę się wszystkimi bogami greckiego Olimpu i zaklinam na wszystkie córki Mnemozyny, że od lat niepamiętnych, od daty zapomnianej ani dwóch rymów nie złożyłam nawet. Kiedy choć w sekretarza grano, to nie przychodził żaden koncept z końcówkami; dopiero twoje tłumaczenie Hejnego coś mi przypomniało. Jest tak wierne, że myśl jego poczułam; ale są też w nim usterki przeciw formie, które by na świat wychylić się nie mogły. Rytm nigdzie nie utrzymany — mieszają się wprawdzie krótkie wiersze z dłuższymi niby do woli; zapewne jednak muszą być jakieś prawa spadku, zmian cieniowanych. Ja o tym ściśle naukowo nie wiem — ale tak z instynktu. Miałam zwyczaj nucić sobie w głowie to, co pisałam dawniej — czasem to była nuta mojej kompozycji — ale najczęściej jakaś ulubiona, która się sama do pamięci przyplątała. O ile dziś wiem jeszcze, fragmenta *Lilii* ułożone były z takim samorodnym akompaniamentem — a pieśń z *Poganki* rozmaicie. W ogóle zdaje mi się, że rytm mieszany, bez symetrii, zawsze lepiej dłuższym ustępom lub powieściowemu rodzajowi odpowiada; piosneczki muszą mieć pewną równoległość iloczasów, choćby taką, jakiej w odmianie numeru 3-go użyłam. A teraz jeszcze druga uwaga. Rymy wszystkie na *-ością*, *-ąc*, moje, twoje, — są pod kłątwą. W ogóle teraz już wymagają, żeby jak najrzadziej też same części mowy dostarczały końcówek; np. *cienie*, *westchnienie* — *chciała*, *dała* lub tym podobnie; nazywają to ubóstwem rymu, i tutaj wyznać mi trzeba z pokorą, że moje wszystkie poezje straszliwie owym ubóstwem grzeszą. Weź — nie mówię już Słowackiego — ale najgorszą improwizację — lub raczej najmniej dobrą improwizację Deotymy i porównaj, to zrozumiesz, o czym mówię. Ach! bo też, Wando kochana, ubóstwo słowa jest moją organiczną chorobą. Gdybym była miała dosyć wyrazów na pogotowiu zawsze, to bym rodzinie i przyjaciółkom w sukcesji zostawiła edycję przynajmniej z połowy tyłu tomów, ile ich Aleksander Dumas nadrukował, może tyle co Kraszewski... Stało się — ubogim rymem tymczasem sparafrazowałam wszystkie prawie ustępy, które mi przysłałaś — z wyjątkiem Nru 7. Sama powiadasz, że ten ci się nie udał, i ja też nie miałam do niego pociągu; a to pewnie dlatego, że nic wybitnego nie ma w pomysłach. — Komunał zdarza się i takim nawet jak Heyne<sup>282</sup> poetom. *A propos* poetów — Ilnicka mnie tak rozgniewała ostatnim swoim „Bluszczem”, że gdyby egzemplarz był moim, to bym go była podarła. Rozlamartyniła<sup>283</sup> się, jak gdyby ją duch jego pokutujący ukąsił zaraźliwie. Cóż, u licha, czy nie wie, czy nie pamięta, co ten człowiek zrobił w 48-ym roku — co powiedział z wysokości swoich teatralnych desek, gdy lud o pomoc dla nas się upominał? „*La France mériterait de tomber au dessus de ces nationalités sans patrie, si elle se laissait faire la loi par leurs exigences*”<sup>284</sup>. Widzisz, Wando — ja rzeczywiście choruję na zapominanie — zapomniałam wielu słów, które niegdyś z boleścią i radością, przez najdroższe mi usta do serca płynęły — a tego powiedzenia zapomnieć nie mogę, a dziś jeszcze obecną mi jest ta chwila, kiedy chciałam — Bóg mię w Ilnickiej, w Polce poetce skarał, że nie zrobiłam, choć chciałam — a wcale nie poetycznie stanąć przed nim i w imię Polski, w imię cofniętej przyszłości wszystkich ludów, na twarz mu plunąć — tylko. Niech zresztą za umarłym bez dodatku przekleństwa idą uczynki jego — ale mu pisać treny współbolejące, no, takiego przebaczenia, takiej wierszowanej miłości nieprzyjaciół sam Chrystus nie nakazał. Jeśli spotkasz kiedy Ilnicką, to jej opowiedz moje zażalenie; bo gdyby to choć Dobieszewska zrobiła, to by nie miało żadnego koloru — potrzeba zapelnienia jakiejś szpalty do druku — za wiersz po groszy?... Gdyby i Deotyma zresztą — jeszcze bym sobie powiedziała, że to jej zwyczaj, że to harfa eolska, przez którą wiatr z tej czy z owej strony wiejący zawsze pięknie śpiewa — improwizowała do Leona Łubińskiego, do Chodeckiego — mogłaby nawet wiele ślicznych rzeczy członko-

<sup>282</sup>Hejne, Heyne — Heinrich Heine (1797–1856), poeta niem. epoki romantyzmu, autor zbioru liryków *Księga pieśni* (1827, wyd. pol. 1880), do jego wierszy muzykę układali wybitni kompozytorzy: Robert Schumann i Franz Schubert; od 1830 Heine przebywał na emigracji we Francji, zmarł w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>rozlamartynić — [od:] *Lamartine*, poeta francuski, był w dobie rewolucji prezydentem rządu. Umarł w r. 1869, Ilnicka pisała widocznie jego nekrolog. [przypis redakcyjny]

<sup>284</sup>*La France (...) exigences* — Francja zasługiwałaby na to, aby spaść poniżej owych narodów bez ojczyzny, gdyby dała sobie narzucać ich pretensje. [przypis redakcyjny]

wi komisji włościńskiej powiedzieć — bez grzechu. W niej po prostu jest skład myśli dźwięków *à propos* — byle czego. — Jenó usta roztworzyć, to płynie — lecz Ilnicka, nasza jedyna autorka, co kobietę z myślą najkonkretniej przedstawia!... Ach! czemu taki osieł ze mnie! tak się raz ciele lajało — i Narcyssa także.

Moja Wando — jeśli chcesz, żebym cię za życiowy, stały i rzeczywisty stosunek uważała, to miej zwyczaj natychmiast mi powiedzieć, kiedy ci na myśl przyjdzie, że mogłabym coś zrobić dla ciebie. Bardzo to pojmuję i uwzględniam, że w też tropy za myślą podobną idzie zaraz uznanie mego niedołęstwa, staje ci przed oczy paralytyk lub grubymi sznurami związany niewolnik; zawsze jednak godzi się, jeśli nie dla uczynku i skuteczności, to przynajmniej dla wspólnej narady i dla świadectwa równości, pomówić z najbliższymi o tym, co sobie układamy. Dla ciebie taka prostota wzajemnego troszczenia się o siebie jest najtrudniejszą; żeby dalej przykładu nie szukać, wspomnę tylko twoje własne z dodatkowej karteczki wyrazy: „Tracę wstyd wobec bardzo kochanych osób”, mówisz z akcentem wyraźnego oskarżenia. Ja nie rozumiem, jak to można bardzo kochanych się wstydzic — to jest — objaśnienie — rozumiem, że można się bardzo wstydzic tych, co nie dość kochają — tych, których osobisty interes z osobistością naszą nie łączy — tych, którzy zmartwią się może naszą pomyłką, a przemilczą — obrażą, a nic nie powiedzą, — zgorszą, a nie przestrzegą — znam, znam takie niektóre między moimi — lecz skoro tylko raz nabędę przekonania i pewności, że jak zwierciadło w zwierciadle myśl o myśl się odbije — że na każdą — nie tylko biedę — ale i na niedoskonałość każdą — usłyszę słowo najwierniejszej prawdziwości — to jestem „jak greckie posagi”, duszą moją bezwstydną! Zdaje mi się, że dałam ci prawo być taką ze mną właśnie; oszczędziłam ci wszelkich przemilczeń; nie dobieżałam nigdy ani na twoją korzyść, ani na twoją przyjemność sentencji; mówiłam wszystko, żadne „niedopowiedziane” słowo sumienia mi nie obciąża; ale ty chyba odzwyczajasz mię od tego. Mogłabyś przecie tłumaczyć się i klócić, jak by ci się żywnie podobało; nie, ty się wstydzic chcesz koniecznie! Szkoda, że z twoim tłumaczeniem Heynego nie robiłam ceremonii. Na *Hercie* się nie powetuję, bo nie mam czym. *Herta* jest dobrze tłumaczona; im dalej, tym lepiej. Na pierwszym arkusiku, może gdzieś na drugim, są takie, co to zowią *lapsus linguae*<sup>285</sup>, tutaj nie *linguae*, ale pióra po prostu; gdybyś przepisywała, to sama z siebie musiałabyś, chcąc nie chcąc, poprawić. Ale w tym właśnie znak zapytania — czy dasz do druku? Niech mię... jeśli wiem, dlaczego masz skrupuły. Dotychczas nie znalazłam ani jednej ćwiartki, która by w „Bluszczu” drukowaną być nie mogła; ta nawet o kobiecie z dziećmi z wszelką przyzwoitością może być głośno wobec 15-letnich panienek czytana. Mnóstwo podobnych natrafiałam w pedagogicznych angielskich powiastkach. Więc chyba dalej coś być musi? Czekam niecierpliwie — sama przy pierwszej pewnej sposobności to, co mam, odeślę — i lepsze wersje rymów pozakreślłam ołówkiem. A tymczasem, jeśli nie zgaduję przyczyny siedmiu twoich skrupułów, to doskonale rozumiem, dlaczego *Herta* cię tak pociąga; znajdujesz siebie samą jakby żywcem wypowiedzianą i bodaj czy nie to nawet, że ją zbyt osobistą czujesz, od przedstawienia innym cię powstrzymuje? Przeciw temu pozwolę sobie jedną anegdotkę z pani Sand przytoczyć. Pamiętasz, kiedy wspomina, że Szopenowi swoją *Lukrecję Floriani* czytała i Szopen ani na chwilę nie pomyślał, że to jego psychologiczny obrazek? Często bardzo mamy tak jakąś myślą duszę przepelnioną, że nam się zdaje, jakoby drudzy z jednego słowa do dna wszystko już odgadnąć mogli, a oni myślą o czym innym i ani się spostrzegają.

W trzecie święto nie przyjadę, Wandeczko — i nie wiem — nie wiem kiedy. W trzecie święto u nas dramatyczne przedstawienie, do którego wszystkie dzieci pokuzynowane ściągnęłam — to jedno — a Tatry — to drugie! — List mego poczciwego kochanego Edwarda odebrałam. I Seweryn pisał do mnie — aż zdrętwiałam; po świętach do Warszawy chce jechać!

Nikommu życzeń wielkanocnych nie посыłam, bo mam nadzieję, że jeszcze od kogo z Warszawy list dostanę, to odpisując, prześlę uściski i serdeczności.

A nie mogłaś to do worka cokolwiek choć starych książek włożyć — z tych, co podkreślałam?

<sup>285</sup>*lapsus linguae* (łac.) — błąd językowy. [przypis edytorski]

Tak bym się chciała zaczytać! — a naukowe nie dość już służą — bardzo dużo już wiem, choć niczego nie umiem.

## CXXXI

[Dębowa Góra] 25 marca, czwartek

Przed godziną twój list odebrałam, a zdarza się pewna do Warszawy okazja, więc nie chcę z odesłaniem *Herty* marudzić i odsyłam ją, bez przerobienia wierszy, które tutaj w mieszanym swoim rytmie są bardzo na swoim miejscu. Nie wiem, kiedy by mi się znowu udało zwrócić ci twoją własność. Strach mię popędza — koniecznie bym chciała, żebyś już skończyła — pamiętaj, że też niecierpliwie sama dla siebie dalszego ciągu czekam. Myślałam tu różne rzeczy o drugim twoim projekcie, a raczej abrysie — z trzema epilogami. Doskonale tę epilogowość ujęłaś — ale jakbyś ją przeprowadziła? — z tego kłęбка wełny jaki wzorek wyszła? Rozmaitość deseni już sama oceniłaś — lecz dla mnie zagadką ich rozmaitość w tobie samej; czy tylko zadość byś uczyniła potrzebie wypowiedzenia pragnień swoich, cierpień, ideałów, czy też wzięłabyś się do metody indukcyjnej — spostrzeżenia statystyczne — wiadome dane — nie na cegiełki budowy ma się rozumieć — broń Boże — o sztukowanie się znajomymi i przyjaciółkami, jak to Kraszew[ski] np. robi, wcale cię nie posądzam, nawet przypuszczam, ale rzeczywiste fakta wziąć za materiał cegiełkowy. Obliczyć i wystudiować w owym procesie rozwoju życiowego wszystkie, które widziałaś — pary i syngieltony — bilans ułożyć — wnioski wysnuć lub nie wysnuć. Ach! Moja Wando — naszkicuj mi choćby treść — sylwetkę jakiego z zamierzonych epilogów. Tymczasem, na zadatek, z góry ci płacę — bo kiedy powiedziałaś, że ci się wiersze Heinego podobają, to ci z dawnych papierów dwa jeszcze kawałki przeokoślawiłam. Jeden, wbrew wszelkim zasadom, z rymami najuboższymi, a drugi jaki się dał. Możesz je komu chcesz przeczytać — bo wiem, że nie przeczytasz nikomu, co bym go się bała. Nawet przyznam ci się, że jeśli Edward będzie się bardzo jakim kawałkiem lubował, to niech go pośle Kleczyńskiemu<sup>286</sup>, żeby muzykę dorobił. Wszak widzisz, że się spieszę — muszę się spieszyć — a jak pomyślę, że mi potem tyle czasu zostanie, który się niczym dobrym nie zapełni, to mię wstyd, żem głupia — z przeproszeniem — bo tobie się zdaje, że ja mądra — no, mądra, ale nie bardzo. Ucałuj ode mnie wszystkich i wszystkim wieszam, że Alleluja doczekali.

Uściskaj Julutę, Kazię — Siostry, przez Ludkę Edwarda — i panią Matyldę. Mój Boże, strasznie mię zasmuciło to, co mi o Cz. napisałaś; widać, że się nie uratuje, nie uchroni od tej strasznej choroby, co mu grozi. Jego monomanią jest pewne stowarzyszenie białe, ten kolor mu różne rzeczy reprezentuje — i o każdym, o kim tylko pochwałę jaką usłyszysz, wyobraża sobie, że do tego stowarzyszenia należy — że może go wtajemniczyć — bo to zresztą coś jeszcze ważniejszego niż stowarzyszenie. Matylda bardzo zmartwiona, gdyż istotnie był nadzwyczaj pracowitym i sumiennym nauczycielem; ale właśnie mi pisała, że mają się rozstać. Bądź co bądź, nie wspominaj o tym jeszcze, póki można. Kto wie, przy spoczynku, przy lepszej higienie — jeszcze się odratuje.

## CXXXII

14 kwietnia 1869, Dębowa Góra

Dopominasz się długiego listu, moja Wando najserdeczniejsza, a ja, zaczynając dziś wreszcie, nic jeszcze nie wiem, czy długi napiszę. Straszliwie niepiśmienne usposobienie mię ogarnęło. Gdyby nasz kochany Edward dokładniej był spamiętał, co mu dla ciebie przekazałam, to byś już wiedziała, że dlatego jedynie papierów ci nie odsyłam. Wszystkie mię doszły, bądź spokojna, i drugi tom, i owe siedem arkuszy przez panią Lewińską, tylko że chciałaś, bym w pierwszych tłumaczenie wierszy ogłądziła trochę, więc je zatrzymałam na jakąś chwilę sposobniejszą. Tobie się pewnie zdaje, że byle trochę dobrej chęci, to wszystko zawsze zrobić bym mogła. Najlepsze i najdawniejsze moje przyjaciółki mają

<sup>286</sup>niech go pośle Kleczyńskiemu, żeby muzykę dorobił — Jan Kleczyński, muzyk. [przypis redakcyjny]

to samo wyobrażenie — Julia, nawet Julia, która po kilkoletnim spólnym zamieszka-  
niu mogłaby znać przecież różne arkany nieszczęśliwej mojej organizacji, wyraźnie pisze  
w ostatnim liście swoim, „że, czytając moje tłumaczenie Hejnego, pomyślała sobie, iż  
znalazłabym formę piękną i dla innego autora”. Istotnie na zewnątrz może się tak wyda-  
wać, ja sama pewnie inaczej bym o kim drugim nie sądziła z pozoru; a jednak ze mną  
jest inaczej. Z upokorzeniem przyszedłem do tego wniosku, lecz to jest faktem, że najlep-  
sza chęć, najusilniejsza praca na nic mi się nie zda. — Pisać mogę tylko „z przypadku”.  
Juści domyślałam się, że ów przypadek jest wynikiem jakichś przyczyn, rezultatem ja-  
kichś okoliczności — zdrowia, powietrza lub czegoś podobnego — obserwowałam się  
dość bacznie pod tym względem, doszłam mniej więcej, jaką jestem, gdy pisać mogę,  
ale nie doszłam, w żaden sposób wyśledzić nie mogłam, jakimi sposobami sprowadzić  
sobie takie korzystne pisanie usposobienie. Ani radość, ani smutek, ani te lub owe fi-  
zjologiczne stany, nie dały się nieomylnie w skutek z góry zamierzony przeprowadzić.  
Ot, po prostu, jest w mózgu niby jakaś zasuwka; jak się odsunie, to dobrze; a jak się  
zasunie, to ni anioł, ni diabeł nie poradzi. W czasie świąt wielkanocnych — ba i teraz  
nawet wyraźnie się zasunęła. Wiele, bardzo wiele byłabym dała, gdybym była mogła do-  
brać sobie nuty i polskich wyrazów, na to Heynego „*Im Grabe Wohl*” aż mię złość brała,  
że mi ciągle ta myśl w niemieckich wracała słowach — jednak mi niepodobnym było  
inaczej ją przepowiedzieć — tym bardziej, że od ciebie nawet ułatwiającego podkładu nie  
miałam. Trzeba ci wiedzieć, moja panienko, że jedynym periodyczniejszym dziwactwem  
mego „autorstwa” jest pewna twemu wpływowi zależność, nawet by ją można jako plagiat  
pod sądową karę w procesie podciągnąć; ale mniej więcej tak jest, że jeszcze o ile mogę  
co wyhaftować, to głównie na twojej kanwie — zawsze ty coś ze mnie wyciągniesz i dla-  
tego przez Edwarda kazałam cię prosić, abys mię nie budziła? Czy ci nie powiedział? jeśli  
nie, to bardzo niewierny pośrednik — gdyż istotnie skarżyłam się na twoje galwaniczne  
pokusy — mnie i drugich oszukują tylko. Gdyby to dawniej, to byłoby podobieństwo  
zawiazania rzeczywiście spółkowej pracy; ale dzisiaj, po mojej stronie wszystko się skoń-  
czyło. Nie czuję, by cel jakiegokolwiek wart był jakiegokolwiek wysilenia; ma się rozumieć  
cel dla mojej osobistości — choćby i nieosobisty. Przeszłam już na odwrotną spadzistość  
życia — czas ubiegł, zmarniał — nie poradzę już temu i tak nawet dokładnie, tak zupełnie  
to czuję, że mię nawet jako nieuchronna, niecofnięta, nieodwołalna konieczność boleć  
przeszła. Moje zmartwienia i radości moje są teraz czysto dzisiejszej, chwilowej natury;  
jak u zwierzątka nie obejmują całości lat ubiegłych — a zwłaszcza też nie obejmują żadnej  
przyszłości. Jestem niby szuler zgrany do ostatniego szeląga; może mię kto ze znajomych  
na bardzo smaczny obiad zaprosić, lecz ja sama nie kupię go sobie, a na kartę nie mam  
już co stawić. Proszę cię tylko, Wando, żebyś tym się nie gorszyła i nie martwiła tak bar-  
dzo: rzecz najzwyczajniejsza, prawidłowa i normalna według praw statystycznych. Gdyby  
inaczej było, to by się równą anormalnością okazało, jak gdybyś ty na przykład dla jednej  
odmowy, dla dwóch, choćby dla dziesięciu, ty, w pełni sił, życia i uzdolnienia swo-  
jego, założyła ręce i powiedziała sobie, że niczego już nie dokażesz. Nonsens, czy trochę  
łatwiej, czy trudniej, dokażesz jednak coś sobie (dla siebie, przez siebie, choćby drugim  
tylko szło w pożytek) zamierzyła — dokażesz; i niemniej przeto później znów powiesz,  
że zmarnowałaś życie — inne otworzysz rubryki — inne sumy sumować ci przyjdzie.  
I co tam o tym się rozwodzić! Edward powinien ci być też powiedzieć, jak mię zabawi-  
ła epopeja twoich do Anny Kra[jewskiej] odwiedzin. Widocznie masz to sobie za czyn  
heroiczny, że pierwsza niezaproszona i nie wprowadzona poszłaś, a rzecz opowiadasz zu-  
chwalej wędrownicze, która w 19-tym roku życia, sama, pod własną opieką, całą Europę  
wszerz przejechała<sup>287</sup>, a w twoim wieku — chyba ci już nie powiem, co robiła w twoim  
wieku, bo nie mogłabyś uwierzyć — tyle tylko ci powiem, że wydziwić się nie mogę, ja-  
kim cudem reputacja moja gorzej na tym nie ucierpiała. Prawda, że byłam brzydką, lecz  
i brzydsze jeszcze kobiety w awanturach się topią, choć pewnie więcej na gadanie ludzkie  
zważają; ja zaś nie miałam prawie zmysłu, władzy moralnej na to, co o mnie mówili; a gdy  
szło jeszcze o jakąkolwiek powinność, choćby o przynależną mi radość, nie mogłam zro-  
zumieć, co to jest — „konwenans”. Bo też prawdziwy, ucywilizowany konwenans zawsze

<sup>287</sup>w 19-tym roku życia, sama, pod własną opieką, całą Europę wszerz przejechała — wówczas gdy wracała do kraju z Paryża, gdzie spędziła dwa lata jako nauczycielka w domu Zamoyskich. [przypis redakcyjny]

tylko do ułatwienia, nie do utrudnienia stosunków służyć powinien: takie jest jego źródłowe znaczenie. Ale ja ci tego ni radą nie podaję, ni przykładem nie stawiam. Już się zgodziłam na całą ciebie, ze wszystkim, jaką jesteś i nic a nic przerabiać cię nie chcę. To jest, za pozwoleniem, chciałabym jedną tylko rzecz przerobić w tobie: poczucie szczęścia życia. Nie wiem, jakiej by życzyć ingrediencji religijnego zaufania w miłości Bożej — stoickiego spokoju, sangwinistycznej swobody żuawskiej? — czego bądź zresztą, byle ci lepiej było — lepiej w tobie samej — bo to przeważna strona. Zewnętrzne okoliczności — zdarzenia, losy, wszystkie podobne historie — no, prawda, diabła warte, ale one takie same dla każdego; są przecież niektórzy, co się z nimi jakoś sprawniej obchodzić umieją — istnie niby z ciężarami. Czy myślisz, że herkulesi jarmarczni dlatego je głównie w górę podnoszą, że mają tęgie muskuły? Nie, i dlatego, że umieją na punkt równowagi trafić. Otóż, gdyby tobie danym było w ten punkt równowagi twoich ciężarów utrafić — tej jednej zmiany pragnęłabym w tobie. A zresztą, nawet z towarzyskiej formułkowości i narzucanych ideałów leczyć cię nie chcę. Bo też pomyśl jeno moja Wando, jakby mi to wiele dni i tygodni dobrych przybyło, gdybyś umiała troskom jak muchom się opędzać. Najoczywiście mam w tym własny mój interes; lecz wiem, że do tego brak ci talentu — a jak talentu brak... Ciekawam, skąd ci przyszło do tego wniosku, że mam być na ślubie Wandeczki<sup>288</sup>: raz tylko byłam na ślubie jednej mojej siostrzenicy Wituchny i nie przekonałam się wcale, żeby to do obowiązków ciotecznych należało; a zwłaszcza też względem Wandeczki, której nawet żadną a żadną cyfrą, żadnym zdarzeniem w przeszłości się nie zapisałam. Jest to najprostsza znajomość; więcej wiem o Zoni z drugiego piętra jak o Wandeczce, a to, co wiem, wcale mię nie zachęca, to, co widzę, trochę mię zraża. Gdybym się i wybrała, to więcej dla was niż dla niej, ale nie wybiorę się wcale. Do ciebie należy utwierdzać mię w tym przedsięwzięciu, żeby o niczym innym nie myślała, tylko o podróży do Julci. Bardzo wielką miałam pokusę uciec stąd zaraz po świętach, lecz ją przewyciężyłam — a ty na mnie kamieniem ciskasz! Za Darwina bardzo ci jestem wdzięczna — od dawna już o tym myślałam tylko, żeby się z nim gdzie spotkać — nawet w ostateczności kupić chciałam — a tu mnie zaopatrujesz niespodzianie! Tylko, przy największym pośpiechu, niewiele uczytałam dotychczas, i-o, Wikcia przywiozła go w sobotę po obiedzie, zaraz potem wszyscy z nią razem pojechaliśmy do Pszczonowa na surpryzę dla państwa Ludwikostwa, a jak ja, to i na eksportację księdza tamtejszego proboszcza, który umarł po bardzo krótkiej chorobie, a był nadzwyczaj miły i poczciwy starszeczek — no, nie bardzo stary, bo w wieku mojej siostry Lewińskiej, ale starszym wyglądał — więcej od niej pamiętał i dlatego zdawało się, że dawniejsze rzeczy wspominał. Było znać jeszcze na nim pijarską szkołę — Staszycowe tradycje. Nie dlatego, by jakie znakomite zasługi w parafii swojej położył, ale przynajmniej niezawodnie krzywd jej nie miał na sumieniu. Choć bardzo ściśle formy sam zachowywał, tak, że nawet surowe posty przedwielkanocne do śmierci jego się przyczyniły, nie był fanatykiem dla drugich, a raz gdy wikary jego, terazniejszych seminariów wychowanek, zaczął na rewolucję francuską piorunować, to go z wyraźną niecierpliwością słuchał, a potem uśmiechając się, przerwał: „ot młody, młody, to głupi — rewolucja, rewolucja rewolucją, a wolność... co?...”. Podczas ostatnich nasze chłopcy umyślnie dla niego powtórzyły scenę z *Barbary*, to się aż rozplakał rzewnymi łzami. O tych ostatnich wypadkach nie mógł prawie mówić, tak go to wszystko bolało — tak się gryzł tym ogólnym upadkiem. I oto, jedno z drugim, lubiliśmy się oboje, choć najsprzeczniejsze wyobrażenia dzielić nas mogły. Dlatego chciałam być u niego z ostatnim choć spóźnionym pożegnaniem. Niemiłe wrażenie wyniosłam z kolekcji księży na pogrzeb przybyłych; co za fizjonomie!... i właśnie wtedy, gdy wyznanie jest prześladowanym — za główną podporę takie pogańskie kariatydy. Nie wiem, czy by się nawet Andzi Skimborowiczowej i Wicuni<sup>289</sup> podobali... Dopytujesz mi się, czy książki z biblioteki wyjęte przydadzą mi się? Tych książek jeszcze nie odebrałam, nawet nic nie wiem o nich, ale jeśli na Marszałkowską złożone, to je może pan Leon przywiezie — a jeśli nie, to i tak będę mogła dość prędko o ich losie zasięgnąć wiadomości, bo za kilka dni wszyscy prawie — no, nie wszyscy, ale Polcia z dziećmi i może która z siostr jadą na owe wesele. Przez nie tedy odeślę *Hertę* i odbiorę, co się da. Nie straciłam zupełnie

<sup>288</sup>na ślubie Wandeczki — Redłówny [przypis redakcyjny]

<sup>289</sup>Wicunia — Wincenta Zablocka, jedna z dawnych „Entuzjastek”, obecnie kanoniczka. [przypis redakcyjny]



nadziei o przerobieniu według twego życzenia tych wierszy, bo masz szansę za sobą; co do innych poprawek, to gdy ołówek był blisko, a papieru dość, dawałam czasem przecinki, ale w ogóle drobnostki, tylko trzeba wygładzić i pewnie przepisując sama to zrobisz. Jeśli bym mogła co zalecić, to chyba, żebyś częściej punktami dzieliła okresy. Im krótsze, tym zgodniejsze z polskim usposobieniem. I coś miałam jeszcze ci wskazać, ale nawet jeszcze mniejszej wagi np. żebyś kwartał miasta zastąpiła przez *cyrkuł* — nam zwyczajniejszy do użycia lub po prostu *stroną* miasta itp. Jak widzisz, nie osobliwości żadne ci wskazuję, tylko zawczasu kłopotczę się, że ty kłopotać się będziesz, jeśli umieszczenia dość prędko nie znajdziesz. Zdawało mi się, że już miałaś przystęp zamówiony. Ja bym dla siebie nie się tym nie agitowała — lecz mam twoją gorączkę na pamięci.

Juluta ma przyjechać pono — ale kiedy, kiedy. Czy Seweryn już wrócił?

### CXXXIII

21 kwietnia 1869, Dębowa Góra

Kiedyc<sup>290</sup> mię pochwaliłaś, że takie porządne jakby odkaligrafowane listy pisuję, więc się chcę przesadzić i twój ostatni przed sobą położywszy, kategorycznie na niego odpowiedzieć. Ach! podobno właśnie nigdy mi się to nie zdarzyło jeszcze i gdyby kiedy listy nasze w ciąg jaki się ułożyło, wcale by na „rozmowę” nie wyglądały. Co więcej nawet, zdaje mi się, że jeszcze daleko więcej w twoich jednolitości by się znalazło. Ja w pierwszej chwili, gdy czytam, na każdy ustęp coś mam do mówienia, lecz gdy później pisać zaczę, mówię najczęściej o czym innym, co mi w chwili obecnej na wrażenie pada lub co pierwiej uzbierałam dla ciebie. Stąd niezawodnie musi wynikać, że ty do pięknej Szwajcarii saskiej podróżujesz, a ja do lasa idę. Pochwałę wszelako wielkich rzeczy dokazać można ze mną — no, nie każdą i nie od każdego — ale ty swoją dokazałaś. Na dzisiaj przynajmniej chcę jej zasługą sprostać i według punktów korespondencję moją układam. Pierwszy z rzędu istotnie treścią swoją do najważniejszych należy. Mówiąc o tej gorączce duszy, która ci życie trawi, posądzasz mię zarazem, jako bym ci przyganiać mogła, „że tak mało prawdy mojej” wzięłaś sobie na wsparcie. Tymczasem, gdybyśmy się ściśle obrachowały, to by się pokazało, że nie mojej, ale Bożej prawdy wzięłaś bez porównania więcej ode mnie — więcej nawet z tego, co ci zdawało, co ci się dziś jeszcze zdaje, że przez moją własność przeszło. Spodziewam się, że mię nie posądzasz o udaną, a choćby i nieudaną skromność; zatwierdzam ci tylko fakt statystyczny. Dawniej, gdy się w twoich listach spotkałam z takim odwrotnym, lecz zupełnie paralelnym gatunkiem „potwarzy”, to się albo rumieniłam, albo smuciłam, albo niecierpliwiłam; obecnie przysłałam już do takiego stopnia bezwstydu, że brak krytyki w twoim sądzie za konieczność duchowego procesu uważam i kiedy spokojne zastrzeżenie tuż obok położę, nic mi już sumienie nie wyrzuca — owo „delikatne”, jak je kiedyś nazwałaś, sumienie!... Dla zadosyćczynienia przeto owemu delikatnemu sumieniu, raz ci jeszcze powtarzam, że zachęta do wytrwałości, do ciszy wewnętrznej, do radości i tym podobnych cnót i zalet najkosztowniejszych jest zaczerpnięta ze studni międzynarodowej — ze skarbu wszechświatów — a nie ze mnie. Jeśli przyznajesz mi „uznanie” jako własność — to by się dało na nas obiedwie tak samo, po ten sam strych rozmierzyć; lecz, jeśli własnością ma być zgarnięcie w osobisty charakter, posiadanie w gatunkowej naturze swojej tego, co się innym życzy i zachwala, to nie mam najmniejszego prawa do twego szacunku. Zupełnie tak jak ty, gorzej niż ty, zmełam młodość moją na projektach, próbach, wyciąganiach rąk i tęschnotach. Różnica między nami ta jedynie może być oznaczoną, że ty masz jeszcze przed sobą czas, wielkie X tajemnicze — nadzieję, okoliczności nieprzewidziane, grunt lepiej przysposobiony pod nogami — a ja wiem o sobie i wszyscy o mnie wiedzieć mogą, że nic nie zrobiłam — że nic nie zrobię już. Suma ogólna mego życia — cztery tomiki u Jaworskiego drukowane — z tyłu godzin lekcyj, z takiej gromady uczennic w Lublinie i nie Lublinie — nawet *wziętości* nauczycielskiej nie wypracowałam sobie. Kilka lat temu byłabym się podjęła, na najlichszych warunkach, jakie bądź miejsce guwernantki przyjąć — żadna z ukochanych moich wystarać mi się go nie mogła. W Warszawie tyle ko-

<sup>290</sup>kiedyc — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

biet utrzymuje się z godzinnych lekcji — siedziałam tam przez lat dziesięć i naprawdę jedno tylko Majewskie w pierwszym roku znalazłam — bo juścić nie mogę śmiało na rachunek położonego *we mnie* zaufania liczyć tego, co mi Julia ustąpiła, pożyczyła niejako. Wierz mi, że w darwinowskiej walce o życie, bardzo smutną rolę odgrywam; wcale sobie do najgrubszego — choćby do pokarmowego życia nie wywalczyłam miejsca. Że mam rodzinę, która z serdeczną oględnością pozoruje jakąś wymianą przysług dawane mi utrzymanie, to jest zupełnie przypadkowością tylko, a nie normalnym położeniem. Umieję ja to wszystko bardzo właściwymi nazwać sobie sylabami — pasożytność, nieradność, bezużyteczność — zajmowanie miejsca innym, odpowiedniejszym i bogatszym organizmom. Przeżywam bardzo czarne chwile — ciężko ołowiane lata — a jeśli mogę sobie w czymkolwiek oddać sprawiedliwość — to chyba w tym, że nigdy nikogo o moją biedę nie obwiniałam — że zawsze widzę, zawsze rozumiem, na mocy jakich braków wewnętrznych, taki los mi się skombinował i choćby przez sen nie zapominam o tym. Ale swoją drogą, byle mucha ugryzła lub wiatr z innej strony zawiał, potrafię szamotać się dziś jeszcze, potrafię rozpaczliwie głowę o mur rozbijać, gorzej niż ty — jako pierwiej rzekłam — gorzej, bo z arytmetyczną pewnością, że to się na nic nie zda i za trzy grosze sensu nie ma. Z twoich walk jest przynajmniej gimnastyczny pożytek, siła twoja się kształci, rozwija; w moich wyczerpuje się tylko. Twój niepokój, śliczne, a niesłusznie nazwane „hejnowskie” ciekawości rodzi; mój już żadnej ciekawości nie ma — sam nawet ciekawością mi nie jest — znam go od pierwszego symptomatu do ostatniego paroksyzmu — wiem, skąd przyszedł — jaki będzie, co z nim ostatecznie zrobię — kiedy do kieszeni schowam, a kiedy z chustką od nosa wyciągnę. Nawet wstecznie nie mam lepszych dla siebie przypuszczeń. Bawię się niekiedy w podobne retrospektywne „gdyby”, lecz na dnie serca mam to marmurowe, granitowe przekonanie, że jedyne możliwe *gdyby* powinno się chyba w tej formułce wyrazić: „Gdybym inną była!...” Gdyby piękną, gdyby rozumniejszą, a zwłaszcza zupełnie inaczej rozumną — gdyby anielsko-dobrą — gdyby amerykańsko-rzutną, mrówczo-pracowitą!... Ale to wszystko już bardzo pośrednio tylko do odpowiedzi na pierwszą część twego listu należy; w każdym razie objaśnią ci po trochu, że mam półsiódmiej wątpliwości względem tego „czym, jako mówisz, stać bym się była mogła” z różnymi dodatkowymi na korzyść moją okolicznościami. Pokój z oknem na ogród — mam go i niewiele korzyści zeń ciągnę — jednak przyznaję, że to rzecz najpewniej ulepsząca. Sto tysięcy?... piszę znak zapytania — często myślałam nad tym i doszłam do tego wyniku, że, jak dla mnie, sto tysięcy miane, odziedziczone, wygrane *niegdyś* na loterii, równałyby się wkrótce bardzo zeru. Przy całym obecnym poszanowaniu dla kapitału, muszę się wypowiadać, że dawniej byłabym go straciła jeszcze prędzej, choć może nie na to samo, co mój siostrzeniec Ludwiś. Marnotrawstwo płynie mi we krwi — choć jestem skąpa — później ci to wytłumaczę — teraz jedynie powiem w przydatku, że, zmieniawszy owe sto tysięcy kapitału na sto tysięcy rocznego dochodu, jeszcze nie jestem pewna, czy bym ich w pierwszej młodości dobrze użyła; a po drugiej młodości, pewna jestem, żeby mi się z nich także nic nie zostało — tylko jest szansa, bym ja sama nie została się także. Dzisiaj co bym zrobiła, mając taki kapitał lub przychód?... Jeździłabym często do Warszawy, ale to by jeszcze niewiele na co ludzkości i Polsce się stało. Więc tedy odzyskane serce? Niech mię Bóg broni, żebyśmy odzyskała którekolwiek ze straconych.

Wandeczko, ja ci nawet w sekrecie powiem, że, gdybym nie była potraciła tych, co sobie precz poszły, to bym obecnie wielki z nimi kłopot miała. Prócz jednego — prócz śmierci — zwróć mi wszystko, co mogłam najwyłącznie ukochać — będzie mi już strasznie niewygodnie — aż do upokorzenia prawie. Więc mąż? — ach! jaką ja bym głupią żoną była — ty nie wierzysz — lecz ja znam siebie — i mam pewność moralną, że bym wprost na podszewkę odwróciła wszystkie zasady — a jednak zmienić bym ich nie zmieniła. Tylko — ty przecież musisz rozumieć ten psychologiczny fenomen, jak to rzeczy śmiesznie wyglądają, kiedy szczerym pojęciom rzeczywistość natury nie odpowiada. Wielkie moje i twoje szczęście, że męża nie miałam. Ot, bardziej dziecka niemianego żałuję. Prawda, że dopiero teraz potrafiłabym w prawdziwie moralnym i dobrym stosunku do dziecka mego stanąć; pierwiej byłabym masą najfalszywszych pedagogicznych przesądów nagrzeszyła; lecz sobie na pociechę wyobrażam, że moje dziecko wzięłoby wiele z mojej, a ma się rozumieć, tylko ulepszonej natury; byłaby to edycja poprawna. Nic mię nie zraża przykład

Kobieta, Mężczyzna, Mąż,  
Rodzina

siostr wszystkich, choć tak głęboko jestem o prawach rodzinnej rasowości przekonana; właśnie kiedy one miały takie niektóre zdolne, niektóre poczciwe, niektóre piękne dzieci, to moje musiałyby być i zdolne, i poczciwe, i piękne zarazem, bo ja niezawodnie więcej, zupełnie tego od nich wszystkich bym pragnęła — potrzebowała — ale — ale zależałyby niemało od doboru ojca — toteż się pocieszam, że mi zawód w dziecięciu moim oszczędzony. A dalej tedy — podróże, stopień akademicki, możliwość pracy? — to nie są już okoliczności, to powinny być wyroby życia. Nie dlatego ich nie miałam, że nie mogłam — że nie były dla mnie — tylko po prostu, że mieć nie umiałam. Ze wszystkich dobrych rzeczy przez ciebie wyliczonych, znalazłam jedną tylko — jednej użyłam — jednej choć w części dosłużyłam się; przyjaźni idealnej i stosunków. Nie chciałabym za przeszłość i przyszłość niczego lepszego nad to, co mam; chciałabym niezawodnie sama być lepszą, więcej korzystać, częściej się radować, bliżej stanąć — ale nikogo z was, moi drodzy, najdrożsi, zmienić nie chcę, ani Juluty, ani Kazi — ani ciebie, ani Edwarda, ani nikogo, nikogo, który z moich jest! — To wszystko znaczy, moja Wando, że gdybyś mię chciała nie wiem jakimi szczęściami lekować, daremna praca — i zdaje mi się dla wielu daremna, choć *człowiek dojdzie do tego, czego potrzebuje i pragnie* (twoje słowa), to mu jednak źle jeszcze będzie — może dlatego, by szedł coraz, coraz dalej. A swoją drogą, ponieważ stara jestem i sama nigdzie nie doszłam, więc w pierwszej chwili czytając te wyrazy, natychmiast rzuciłam monologowy wykrzyknik: „abo to prawda, że kto doszedł kiedy?”; lecz to cię do żadnej wątpliwości nie obowiązuje. Co zaś względem prawa do tworzenia swojej własnej, nowej rodziny mówisz, na to się zgadzam zupełnie. Człowiek bez rodziny, to jak ząb bez szczęki; ale cóż na to poradzić, kiedy owa rodzina musi zacząć się od męża i żony — tu zaś wchodzi w obliczenie różne inne warunki. Jakiego męża! Dlaczego męża? Na co męża? Czy najlepszego, czy najukochańszego — czy takiego jak jest — czy dla szczęścia, czy dla obowiązku, czy dla stanowiska w życiu? Czy na wspólną pracę, czy na podporę — czy na przyzwoitość? a czy nie lepiej samą zostać w smutku niż we dwoje — a czy się godzi... itp.

Pani Ilnicka dużo o tym napisała; i mnie onego czasu pisać się także chciało, tylko do stanowczego aksjomatu nie doszłam — bo, jako sama zauważyłaś, punkt wyjścia może stać się *kojcem i klatką*.

P. Baranowska nie napisała mi wcale, aby ją to gorszyło, że kilka wierszy Hejnego przetłumaczyłam; pochlebnie tylko zawnioskowała, że mogłabym innych sławnych autorów tłumaczyć, co jest pomyłką matematyczną, bynajmniej, o ile mi się zdaje, Hejnemu nie ubliżającą. Zupełnie podzielałam twoje gusta co do orła i kolibra — łąki świeżo skoszonych i perfum paryskich — nawet mam daleko szerszą skalę od ciebie — bo ty może cenisz tylko cnoty i wdzięki — rozumy i dowcipy — a ja bardzo lubię różne niegodziwości, różne brzydoty — nawet przez jakiś czas lubiłam panią Stasiową za to, że była tak naiwnie głupią — dopiero jak się zaczęła w politykę mieszać, typ swój zepsuła.

„*Im Grabe woh!*” — przysłałaś mi po niemiecku kilka lat temu — mogłabyś polskie tłumaczenie przysłać. Zapewne już teraz o Sewerynie z pewnością mi co doniesiesz. Będziesz miała teraz podwójne sąsiedzkiej sprawozdawczyni obowiązki, względem mnie i względem Ilnickiej — możesz jej Samsonową podać zagadkę — gdzie z nią jestem w spółce? na której ulicy? lub coś w tym rodzaju. Domyślasz się, że list Kaufmanna jest dla mnie jakoby nie był. Zadziwiłam się tylko, że jakakolwiek literacka entrepryza może sobie o mnie przypominać. Gdybym choć aby jednej zadość uczyniła... Taka niecna ze mnie kobieta, że przyniesioną ci o Sikorskim i mojej powieści wiadomość, wzięłam po prostu za chęć powiedzenia ci czegoś przyjemnego jedynie. Jeśli się omyliłam, niech duch p. Zygmunta duchowi memu przebaczy na sądzie ostatecznym.

Czemu nie masz mnie ciągnąć — pytasz? Oto temu, żeby cię ręce nie bolały i żeby się serce nie strudziło. Są w starych dworach głębokie piwnice żelaznymi zaparte drzwiami — nowi właściciele trują się i mżożą, żeby przystępu do drzwi odszukać — potem z wielkim napięciem podważają wrzeciędzie i za nimi odkrywają co?... znowu piwnicę — może trochę gwoździ zardzewiałych... *Sapienti sat*<sup>291</sup>. O tym, „że daleko do harmonii uczuć na ziemi” — nawet wśród kochających się ludzi — nawet między dwojgiem

<sup>291</sup>*sapienti sat* (łac.) — mądrymu wystarczy; odpowiednik przysłowia: „mądrzej głowie dość dwie słowie”. [przypis edytorski]

zakochanych, o tym można całą księgarnię powieści — trzy grube tomy fizjologii i nader zajmujący rozdział w antropologii napisać — zwykle tak bywa, że kobiety ani tego nazwać, ani ogólnym spostrzeżeniem z drobnych szczegółów wyłączyć nie umieją i wiele sobie przysparzają niespokojności...

Tutaj następuje w liście twoim paradoksalny okres. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby *niemożność* zrobienia czego, kiedy jest woła po temu — nieumiejętność napisania, kiedy jest potrzeba — nazywała się genialnością. Wyraźnie logika *na prawu ruku*<sup>292</sup> została. Równym prawem, według takiej samej dialektyki, łatwość swoją redakcyjną marzycielstwem nazywasz. Żadne marzycielstwo od początku świata a końca nieba, do dni naszych, pracą i czynem nie było. Żadna marzycielka żadnego porządnego artykułu o jednym i tym samym przedmiocie nie napisała. Cóż ja winna, moja Wando, że nie chcesz żadnej fizjologii przeczytać, a potem innych dzieł zoologicznych i antropologicznych? Dowiedziałabyś się, że obie jesteśmy na szczebelku jakiejś drabiny i stanowimy przejściowe ogniwa skazane — ot, jaki zły mistyczny wyrazik! — *skazane* po prostu przechodzące swoje próby — wyrabiające się. A nie Darwin pierwszy mi to powiedział; chociaż muszę wyznać, że za poświęcenie Darwina jestem ci dozgonnie zobowiązana. Może kiedyś nawet szerzej o nim się rozpiszę; dziś już dosyć tego — a dziś, to znaczy 12 kwietnia już, bo wczoraj, gdy odwrotną stronę tej kartki kończyłam, zawołano mię do obiadu i tak się zbiegły okoliczności, że nie mogłam już przed wieczorem wrócić. W nocy nigdy nie pisuję; kiedy tak, jako teraz właśnie, mam kilka listów do wysłania, to raczej wcześniej wstaję. Mogłabym ci w obecnej chwili piękny poranek wiosenny opisywać i śpiew ptasząt, i głosy na robotę wychodzących ludzi; ale wołę o *Hercie* kilka słów powiedzieć. Znajdziesz zaprojektowane przeze mnie zmiany w niektórych miejscach; zresztą prawie nic. Nic, prócz rady, żebyś punktami przecinała jak najczęściej okresy. Widziałam, że to się da arcyłatwo zrobić, a znakomicie czytanie uprzyjemni. Powieść sama jako powieść jest dla mnie za moralna, choć ty jej przez skromność tłumaczyć nie śmiałaś; ale nic się nie dziwię prawdziwemu bodźcowi owej skromności. Istotnie, czuć musiałaś na każdej kartce, jak gdybyś siebie samą wypowiadała. Odsyłasz mię to do Julci, to do Zosi K., żeby mi trop zmylić, a ja w każdym wierszu prawie do ciebie wracałam; czułam wszystkie twoje myślowe zwroty — słyszałam twoje pragnienia — przekonania — tęsknoty — oburzenia — twoim nieomal głosem wypowiedziane. Ile tylko dwie indywidualności mogą się słowem upodobnić — o tyle w pewnym momencie życia, jak widać, pani Bremer z tobą się upodobniła. Teraz — powiedz mi, gdzie byś tłumaczenie twoje umieścić chciała? czy masz w której stronie stosunki? Na Ilnicką nie bardzo liczę, gdyż mam różne przypuszczenia, które tobie jedynie szepnęłabym do ucha; ale zdaje mi się — no, przede wszystkim chciałabym wiedzieć, czy z Sewerynem jesteście w stosunku dość zaufanym, by go do pomocy użyć. Tymczasem, podług dyspozycji, *Herta* przez pierwszą okazję ci się dostaje. Nasze panie weselne jadą dzisiaj, a wracają, nie wiem kiedy. Pani starsza Lewińska wybiera się dopiero na samą sobotę i wraca zaraz w poniedziałek. Jestem w śmiertelnych strachach, co się z ową paczką książek stało? Odebrałam tylko część *Herty* i Darwina; mają być rujnacje tam w domu, przestawianie, historie; żebyś<sup>293</sup> mi nie zatracili przynajmniej. Z różnymi przeczytanymi dziełami odsyłam czerwony worek i myślę, że mi co w nim wróci — choćby na pociechę, że w domu zostaję.

Zostaję — bo masz dziwne o cioterństwie wyobrażenie. Ciotka nie opiekunka — tylko po prostu ciotka, jest najniepotrzebniejszym meblem na ślubie — toteż zwykle siostrzenice nawet mię nie proszą. Wandka sobie tę pracę parę dni temu zadała — ale mi przykreść jedynie zrobiła — boć daleko poczciwiej jest wiedzieć o sobie, jak co jest — niż formułki zachowywać, z których nic nie będzie.

Mająwkami do Skierniewic głowę mi tylko zawracasz — jak zacznę ich się spodziewać, to dopiero bieda będzie.

CXXXIV

6 maja 1869, Dębowa Góra

<sup>292</sup>na *prawu ruku* (z ros.) — na prawą rękę; tu: jednostronna. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>żebyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć; znaczenie wzmacniające: żeby też. [przypis edytorski]

Jeśli chcesz wiedzieć, moja Wando, co teraz robię? to ci powiem, że po odejździe Juluty ciągle się wybieram do Krakowa i Ludzimirza. Zdaje mi się teraz, że nasz projekt niezawodnie przyjdzie do skutku. Trzeba przyznać, że są pewne osobistości, które z sobą taką jakąś ułatwiającą atmosferę niosą, że po ich choćby tylko przesunięciu się przez życie, wszystko zdaje się takim możebnym, takim wykonalnym, jak gdyby przeszkód nie było na świecie. Pierwej mówiłam sobie, że pojadę; ale tak jeno, dla zagawędzenia duszy; jak nieraz już mówiłam, że wybiorę się do Egiptu, popłynę do Ameryki, wejdę na wieżę luterskiego kościoła — brakło tylko ostatecznie wyznaczonego terminu. Juluta przyjeżdża, zaraz bierze pod uwagę, czy lepiej w końcu czerwca, czy na początku lipca wyjechać — naradza się o paszporcie, o sprawunkach — słowem, z legendy tworzy historyczne przedsięwzięcie — aż uwierzyłam, że będę u Julci i w Tatrach. Nim to jednak nastąpi, powiedz mi, moja Wando kochana, co ci na tym zależy, abym ci koniecznie Hejnego wiersze tłumaczyła? Gdyby ci były potrzebne na jaką cytację w środku powieści, gdyby i na motto rozdziałów, zrozumiałabym to może; ale tak, istotnie gustu twego wytłumaczyć sobie nie umiem, zwłaszcza, że znasz dobrze język niemiecki i możesz poezji jako poezji daleko lepiej w oryginale użyć. Jeszcze też gdy przy ostatniej przesyłce domagasz się, aby prędzej tłumaczenie wyspieszyć, to już mię zdjął śmiech pusty. Gdybym miała nałóg głośnych monologów, to pode drzwiami mógłby kto być usłyszeć, jak cię apostrofuje: „Wando moja droga, co ci na tym zależy, czy po polsku, czy po niemiecku czytasz Hejnego?”. Mnie np. bardzo na tym zależało, aby *Hertę* po polsku przeczytać, bo po niemiecku nie rozumiem; ale tobie! Być może zresztą, że kiedyś tam przyjdzie mi taka chwila, w której zachce mi się pożyczyć jakiegoś wyrażenia od twego ulubieńca; że zaś niepodobna mi się z germańskimi dźwiękami pogodzić, więc je sobie na swoje własne przerobię — ale teraz — gdybyś wiedziała, co za katar mnie męczy, gdybyś wiedziała, jakam teraz niepiśmienna — gdybyś wiedziała, co mam innej roboty przed czerwcem (a nic nie robię) — gdybyś wiedziała — ach! to byś chyba kochać przestała. Na czwartkowe święto wszystkie tutejsze panie wyjeżdżają z wizytami: jedna do Rawy, gdzie biedna Różia Malinowska umiera na suchoty — wszak słyszałaś przecie o Rózi Malinowskiej? — drugie z dziećmi do Pszczonowa, a ja zupełnie sama na te cztery dni zostaję, ażeby wciągnąć się do pracy. Nie wiem, jak to się da z chustkami do nosa w zgodny stosunek ułożyć. Kiedy zaś mówię o pracy, to nie wyobrażaj sobie, że ma najmniejszy z autorstwem moim związek, bo twoja wyobraźnia gotowa by zaraz ku niepodobieństwu ulecieć. Są przecież różne prac gatunki — dowiesz się później — a teraz mówmy lepiej o *Hercie*. Wnioskujeś, że mi się nie podobała. Jest to przez większe pół zupełną z twojej strony omyłką. Herta kobieta bardzo mi się podobała; gdybyśmy się z sobą spotkały, to niezawodnie tak byśmy z sobą żyły w przyjaźni jak z tobą, Wando, i z Julutą — bo Herta najniezawodniej żywcem z całej ciebie i z niektórych usposobień Juluty złożona. Ale *Herta* powieść, to już ci wspominałam, że ma za mało zdarzeń, a za wiele morałów. Te morały, imieniem Fryderyki Bremer osłonięte, bardzo dobre mogą zrobić wrażenie, mogą się nawet przydać wielu młodym i chętniejszym do walki z życiem umysłom; ale niech cię nie dziwi, że się już echem równie żywego współczucia w mojej zmęczonej, apatycznej naturze nie odbijają. Jest, prócz tego, pewna niekonsekwencja w przeprowadzeniu całego toku wypadków odnośnie do wymarzonej zasady. W snach swoich Herta najświetniejszym obrazkiem stawia sobie otrzymaną u króla audiencję i wszystkie piękne rzeczy, które mu o losie kobiet rozpowiada. Otóż król nic a nic innego by nie uczynił dla niej, w najlepszym razie tylko by jakieś prawo postanowił. Otóż pokazuje się, że już jest, że już musi być artykuł kodeksowy zasłaniający dzieci przeciw złej woli rodziców, kiedy ów przyjaciel Herty, p. Ledna radzi jej, aby się do opieki trybunatów odwołała. Gdyby Herta była ugruntowaną w wierze swojej emancypacyjnej, to by się wcale przed tą radą nie cofnęła, bo śmieszna, dziecinna jest rzeczą nowe prawa stanowić, gdy się wszystkiego, co jest sprawiedliwym, w dawnych nie zna, nie użyło, nie wyzyskało. Swoją drogą przypuszczam, że bym zrobiła tak samo, by procesu uniknąć; ale wtedy nie uskarżałabym się przynajmniej na kodeksa, ani bym króla o nowe ustawy prosiła. Przeciw chciwości, zbrodniom, nadużyciom itp. w żadnym kraju litera martwa, ani nawet dobrze uorganizowana straż bezpieczeństwa się nie obroni; masz karę, ale nie możesz nawet przypuścić, byś jakąś prezerwatywę<sup>294</sup> zna-

<sup>294</sup>prezerwatywa (z fr. *préservation*) — tu: ochrona, zabezpieczenie. [przypis edytorski]

leźć mogła; trudna sprawa ze złem ludzkich charakterów; a Herta więcej z takim złem właśnie niż ze złem ustaw społecznych jest postawiona w kolizji. Jeśli się mu oprzeć nie umie, to w jej znowu charakterze, a nie w konieczności losu przyczyna tkwi. Jedynym słusznym zażaleniem Herty jest jej skarga na brak gruntownej nauki; chociażby i tutaj zrobić można uwagę, że nie zakaz prawny, tylko raczej zwyczaj przedawniony więcej na przeszkodzie stają. Najlepszym tego dowodem założona przez Hertę szkoła: nikt się jej nie sprzeciwił urzędownie, chociaż gadano i plotkowano z początku. Aleć to już zwykła kolej rzeczy: kiedy się ludzie żenią, także bez plotek się nie obejdzie. Jest coś upokarzającego nawet mówić o tym ze smutkiem serca; chyba czasem ze śmiechem anegdota wolno; ale gdy już o ważniejsze przedsięwzięcie chodzi, kto się na plotki ogląda, kto z językami kumoszek w dysputy zachodzi, ten sam kumoszką. Już to nie pierwszy raz o tym mówimy, Wando, że, według mego przekonania, kobiety nierównie więcej zwyczajem i własnymi przywyknieniami uciśnięte niż jakim bądź prawem; jeśli która nie może znaleźć użytecznego zastosowania swoich zdolności, jeśli jej zarobku i pociechy sumienia braknie, to na mocy tych samych przyczyn, na mocy których niejeden zdatny rzemieślnik głodem czasem przymiera lub do fabryki tej lub owej dostać się nie może; jest to szereg zupełnie innych fenomenów. Wolno nam jest nawet u nas daleko więcej niż możemy. Kto by mi zabronił otworzyć redakcję jakiego pisma; ogromadzić koło siebie wybranych moich pocziwych i rozumnych kółko; wpływać na opinię, gnać młodsze pokolenie, kształcenie im ułatwić? Zaiste nikt by mi tego, nawet Witkowski ani p. Własów nie zabronił; jeśli tak nie robię, to więc przede wszystkim moja wina — we mnie powód. Powinna być raczej wziąć tę stronę kwestii pod uwagę, gdy będziesz co sama z siebie wydobywała, a tymczasem za panią Bremer odpowiedzialną nie jesteś. Słyszałam od Juluty, że przez Kazię do Jenikiego<sup>295</sup> ma pójść twój manuskrypt. Ale zarazilaś mię swoją nieufnością; opowiadam sobie, jak to się nie powiedzie, a zawsze w tej pod-myśli, że jak na koniec tytuł wydrukowany zobaczę, to się jeszcze więcej ucieszę.

A czy pozdrowiłaś ode mnie Seweryna? Mam nadzieję, że choć na krótko wszystkich was widzieć będę.

CXXXV

11 maja 1869, Dębowa Góra

W tej chwili twój list czytać skończyłam i zaraz ci odpisuję, żeby coś bardzo ważnego powiedzieć. Oto masz wielkie szczęście, że się w pożądanym zdrowiu urodził syn<sup>296</sup> twojej siostrze takiej jak Mania i twojemu szwagrowi takiemu jak pan Władysław, co znaczy dobrym, pocziwym, rozumnym i kochającym się rodzicom, bo inaczej byłabym się okropnie zadąsała na moją jedyną, która mi nigdy dotychczas nie dokuczyła, Wandę. Lecz przy takiej okoliczności wszystko trzeba przebaczyć i wszystkiego złego zapomnieć; nawet tego, że mię posądziłaś, jakoby z ciebie przed Matyldą żartowała, i że co o moim nieusposobieniu rymoróbnym mówiłam, przetłumaczyłaś na swój język: „Hejne panią nudzi?”. Ach! kobieto, dziękuj Bogom, że wierniej *Hertę* przetłumaczyłaś; gdybyś zawsze trzymała się tego zwyczaju w literaturze, przypomniabym ci włoskie wyrażenie „*traduttore, traditore*”<sup>297</sup> i nigdy pewnie na myśl by mi nie przyszło... ale o tym potem. Teraz co do twego siostrzeńca: wielka moja pociecha, że się Stanisławem nie będzie zwał. Wiesz przecie, że to jedno z najmniej lubionych, jedno z wcale nawet nielubionych imion przeze mnie. Nawet wszelka życzliwość dla rodziny twoich kuzynów i mojej własnej nie mogła pierwiastkowego powziętego uprzedzenia przewyciężyć. W rządzie najpierwszych Stanisławów, którzy się w pamięci mojej odcisnęli, był Staś Okęcki, jeden pochmurny lokaj mojej siostry i jeden jeszcze obywatel jękający się. Mam dwóch siostrzeńczych wnuków tego imienia — nic nie nada — sympatii ani w ząb. Bardzo mię to cieszy tedy, że syn Maryni Stanisławem nie będzie; pomyśl tylko — patron! z historycznego fałszu. A przypominam ci jeszcze, że ten rok jest wiekowym jubileuszem Napoleona, kiedy sto lat temu urodził się fenomen „zdolności ludzkiej”: czas przecie, aby fenomen zasługi ludzkiej się

Imię

<sup>295</sup> Ludwik Jenike (1818–1905) — wówczas redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”. [przypis redakcyjny]

<sup>296</sup> *że się (...) urodził syn twojej siostrze (...)* — Jan Kwietniewski. [przypis redakcyjny]

<sup>297</sup> *traduttore, traditore* (wł.) — tłumacz, kłamca. [przypis edytorski]

zjawił. Z rozumem na pożytek bliźnich, z możliwością na ich szczęście, z ukochaniem na ich dobro. Ciekawam, czemu taki właśnie przyjąć by nie mógł na świat w Warszawie na ulicy Widok — wszak Widok? czy Nowogrodzka? mniejsza o to — kiedy przed stu laty mógł się na wyspie Korsyce urodzić? Wszakże ten ma niezawodnie jeszcze więcej wykształconego ojca i jeszcze inteligentniejszą matkę, dodając do tego wrodzonej dobroci rasowość i żywioł miłości w pierwszym pokarmie — to już reszta kwestią losu... tylko losu. Ale tymczasem, nim na wielkiego człowieka wyrośnie to małe dzieciąteczko, w czoło je ode mnie pocałuj, a matusię uściskaj i ojca pozdrów najserdeczniej. Co im się też w głowach roi o przyszłości pierwородnego? Nie pytaj, ale podsłuchaj i mnie powiedz — lecz im nie powiadaj, co ja ci tutaj nagadałam, bo śmieliby się i to by dziecku zaszkodziło.

Teraz, moja Wando, ubijam się z sumieniem, czy ci powiedzieć szczerze, co myślę o różnych redakcjach, czy nie powiedzieć? Oto, przez miłość chrześcijańską, jeszcze nie powiem, ale dam ci temat do rozmyślenia. Gdybyśmy też założyły same jaką redakcję na własną rękę, juścić ja bym tylko „firmą” była, gdyż po pięćdziesięciu latach pewnie się już nie wciągnę do „akuratności”, na której przez całe za długie życie moje, ani mnie, ani nikomu z moich nic nie zależało. Jednak mogłabym ci wskazówką, czasem bezimienną pracą dopomóc; raz ty byś kanwę przygotowała, drugi raz ja dla ciebie, i tak niósł ślepy kulawego. O Jezuu, nie posądzaj, żebym cię za ślepą lub kulawą uważała. Był mi w myśli koniec raczej niż początek przysłowia: „dobrze im się działo”. Nie bardzo ja tam ufam, żeby nam się dobrze działo, lecz choćby dlatego, by mieć prawo ludziom powiedzieć: „oto wzięłam się do pracy, lecz praca nie chciała się wziąć do dobrego skutku”. Jest pewna spokojność sumienia. Dla ciebie strach większy, bo ty jeszcze masz prawo wymagać od życia, by się czym wypłaciło; ale mnie już żadne niepowodzenie za żyły serdeczne nie targnie. Prędeż bym się zmartwiła, gdyby pocziwe oczy nieprzychylnie na mnie spojrzwały, niż gdyby sto moich artykułów odrzucono lub dziesięciu prenumeratorów nie znalazło się na moje wydawnictwo. Byle długów nie zaciągnąć — rozbierzemy lub damy komu praktycznemu do rozebrania plan możliwy. Nie jestem jednak za pismem literackim dla dzieci — jest dosyć tego, co jest — na konkurencję ani mnie, ani ciebie nie stać — zresztą żadnej konkurencji nie lubię — nawet emancypacja kobiet o tyle mię zraża, o ile ją wywołują. Lubię przede wszystkim wywołać nową potrzebę — lub pierwej wywołanej zadość uczynić. Zdaje mi się, że teraz *Nauka* jest już trochę potrzebą kobiet; chciałyby ją mieć pod ręką, a nie są do niej przygotowane. Zdaje mi się, że byłoby więc miejsce — na pismo czasowe —

[odtąd z odpisu W. Żeleńskiej]

...które by przyniosło to, czego potrzebują umysły na moją i twoją skalę, a raczej czego byłyby potrzebowały, gdyby im się Pan Bóg pozwolił urodzić na początku przynajmniej reformy edukacyjnej. Więc by to było pedagogiczno-naukowe zarazem, żebyś lepiej zrozumiała, więc przykład napręde: Jak się uczyć historii? Jak pracują ludzie, którzy chcą przysporzyć wiadomości historycznych? Program dzieł historycznych, które znać trzeba, żeby wiedzieć, na jakim stopniu dziś nauka historii stanęła lub co podobnego. A ćwiczenia władz umysłowych. A teraz nauki ścisłe — A to, co o prawie trzeba wiedzieć, co się należy do jasnego poglądu na obowiązki i dla bezpieczeństwa interesów. Ot, w Ludzimirzu przygotowałybyśmy cały spis przedmiotów i tytułów, potem wzięłybyśmy na pomoc uczonych specjalistów, przygotowałybyśmy jednoroczny zapas i dalej w próbę. Co? Jak myślisz?

CXXXVI

8 czerwca 1869, wtorek

Jak będziesz pisała do Julci, to i moją odpowiedź pod kopertę wsuniesz, a teraz trzeba, żebyś stanowczo dzień wyjazdu oznaczyła. Póki tego nie zrobisz, póty mi się ciągle zdawać będzie, że to arcy-dalekie historie i pewnie na czas się nie wybiorę, a jak na moją decyzję zostawisz, to znowu ciągle będę niby na jutro się śpieszyła, a przed końcem lipca gotowam nawet mantelzaka nie upakować. Wstyd mi wielki za nas obiedwie, żeśmy się

jeszcze porządnie o praktycznych szczegółach podróży nie rozmówiły. Najpierwej chciałabym wiedzieć, jakiej objętości kufer bierzesz? żeby zmiarkować, jaki ja wziąć mogę, by się oba koło siebie z Krakowa do Ludzimirza pomieściły. Następnie co z pościelą? Papplecka<sup>298</sup> jeszcze za życia Aug. Wilkońskiego wybierała się w sąsiedztwo z tłumokiem; pomimo kolei żelaznej ja się jednak w Tatry wybieram... Moja Wando, czy ty widziałas wschód słońca na górach? Mam przecucie, że to musi być coś zachwycającego<sup>299</sup>? Zresztą myślę, w każdym razie poszewki i prześcieradła wystarczą — siana tam przecież, tak jak tu na tych trywialnych równinach nie brakuje. Co to za wonne siano być musi — przypominam sobie jedno takie ze świeżego siana posłanie... w okolicach nadpilicznych: całej nocy spać nie mogłam, a byłam jednak odurzona, jak gdybym się haczysziszu napiła — tj. przypuszczam, że gdybym się napiła, a dobrego, to by coś było w tym rodzaju — bo z doświadczenia nie znam. Próbowałam parę razy *cannabis indica*<sup>300</sup> na zęby, lecz ni zębom, ni mózgowi żadnego nie zrobiło efektu. Mam takie uparte nerwy, że się niczym nie mogę na złudzenie podsyć. Bądź co bądź, dla wielu ważnych przyczyn, nie oznaczaj terminu podróży przed św. Janem; zawsze lepiej w pierwszym tygodniu lipca, chociaż mi sumienie wyrzuca, że przez moje marudztwo pozbawioną będziesz czerwcowego wśród gór powietrza, a Julcia pisze właśnie, że czerwiec najpiękniejszy. Oktawa mojej skierniewickiej niedzieli była tutaj bardzo gwarna, bo przyjechali państwo Antonio i z Warszawy parę osób znajomych, i ze Skierniewic państwo Rybiccy — i cały Pszczonów. Korzystając ze sposobności, odsyłam kilka pożyczonych książek; nie twoich — ale jedną dla ciebie — jest to: *Confessions d'un enfant du siècle*<sup>301</sup> Musseta. Czytałaś *Elle et lui* — czytałaś *Lui et elle*<sup>302</sup> — może nawet *Lui* przez panią Louise Collet; teraz warto przeczytać, co on sam o tym napisał. On był pierwszym — od niego punkt wyjścia — trochę niedyskrejji — ale przynajmniej polemiki żadnej. Są całe karty bez zaprzeczenia z własnego życia i z własnego serca wypisane; są inne wyraźnie z rzeczywistości przetłumaczone — po literacku, ale w dobrej wierze przynajmniej; są zadeklamowane dla samego siebie... wszystko razem ciekawe — przeczytaj pierwej, nim p. Matyldzie odeślesz, gdyż to jej własność. Z tytułu nawet tego polecenia cały pakiet książkowy na twoje ręce wyprawiam: *Relacje Nuncjusów* dla pani Baranowskiej, trzy tomy Dumasa *filis*, przez panią Baranowską jak najspieszniej, jeśli łaska, dla pani Skimborowicz — Musset przez ciebie dla Matyldy. Któż to ci przyniósł takie śliczne rzeczy, kiedy mnie nie było? Peiryklesa obok Aspazji, razem więc jest i Alcybiades. Cóż powiesz na to, że się z żadnym popiersiem, medalem, ani Aspazji, ani Alcybiadesa nigdy nie spotkałam; a ciekawszą jestem Aspazji. Nawet onego czasu pisać<sup>303</sup>, nie tak wyraźnie ją w fikcji widziałam jak Alcybiadesa. Powiadasz, że surowi — poważni? Czyż ci się zdawało, że rozkosz starożytnych była szaloną jak Rzymianek późniejszych albo wesołą jak gryzetek paryskich? Ona pewna siebie — ona prawem sama sobie. Czytaj Musseta: sprzecznością domyślisz się, czym mógł być Alcybiades. Musset szarpiący się z sumieniem — Musset umarły młodo — z wycieńczenia — Alcybiadesa spalić musiały Satrapy, bo go ani zwalczyć, ani zabić nie było podobna, choć pewnie więcej użył i więcej złego zrobił niż Musset. Siła życia! oj, ta siła życia pomimo nadużyć, pomimo inteligencji. Dzisiaj zdaje się, że inteligencja dana ludziom na chorobę, na truciznę, na roztrzaskanie ciała. Patrz najlepszych — to wszystko Seweryny; a najlepsze — to wszystko wy, moje kochane — kiedy nawet i Mania tak długo po szczęśliwie odbytej słabości do sił przyjść nie może. Mimo tego uściskaj ją wraz z synem serdecznie — i Sewerynowi prześlij pozdrowienie — i Zosi, i ojcu kłaniaj życzliwym słowem.

<sup>298</sup> Papplecka — jeden z komicznych typów popularnych *Ramotek Wilkońskiego*. [przypis redakcyjny]

<sup>299</sup> *wschód słońca na górach (...)* to musi być coś zachwycającego — tak w listach, jak w utworach Żmichowskiej uderza brak opisów przyrody. [przypis redakcyjny]

<sup>300</sup> *cannabis indica* — lekarska nazwa haszyszu [raczej: konopii indyjskich, z których kwiatostanów i liści wytwarzana jest marihuana, a z żywicy haszyszu; red. WL]. [przypis redakcyjny]

<sup>301</sup> *Confessions d'un enfant du siècle* — *Spowiedź dziecięcia wieku* Musseta. [przypis redakcyjny]

<sup>302</sup> *Confessions (...)* *Elle et lui (...)* *Lui et elle* — wszystkie wymienione utwory osnute są na „epizodzie weneckim” [Alfreda] Musseta i George Sand. Powieść *Elle et lui (Ona i on)* jest pióra George Sand; *Lui et elle (On i ona)* jest repliką Pawła Musset, brata poety. [przypis redakcyjny]

<sup>303</sup> *ciekawszą jestem Aspazji (...)* *onego czasu pisać (...)* — mowa o *Pogance*, której bohaterka nosi imię Aspazji. [przypis redakcyjny]



A dwóch rzeczy się wystrzegaj: nie wstępowania do Kazi, kiedy jesteś tak blisko i masz jej co o mnie powiedzieć, i niepisania powieści, gdy ci się jaka w głowie urodzi. Kobieto! Kobieto! mówię ci, przyjdzie czas, gdzie będziesz chciała napisać, a w głowie nic nowego się nie urodzi. Zbieraj teraz i przysposabiaj, odnajdziesz na chwilę potrzeby. Czemu ja nie popisałam tego wszystkiego, co mi się roilo ongi! — miałabym dzisiaj dla pana Sikorskiego gotowe!

## CXXXVII

[Dębowa Góra] 26 czerwca 1869, sobota, raniuteczko

Wandzie

Wando, chcesz mi oszczędzić gorączki, niepokoju, ściskania w dołku i wyrzutów sumienia — chcesz? to przy pierwszym dniu pogodnym, zabieraj się i jedź sama, nie czekając na mnie. Bądź spokojna, przyjadę<sup>304</sup> ja, przyjadę; diabeł ci tej surpryzy nie oszczędzi i będziesz mogła w kilkotygodniowym bliskim pożyciu przekonać się, jakie miłe ziółko ze mnie. Wierz mi, że będziesz mogła — ale jedź co prędzej, bo ja ci jeszcze z wielu wyluszczonej Julucie powodów stanowczo dnia wyjazdu mego nawet z Dębowej Góry oznaczyć nie mogę. Choćby tylko to weź na uwagę, że przy sprzyjających okolicznościach, ledwo na 1-go lipca mogłabym dostać paszport i książeczkę, tj. upoważniające mię do ruszenia się choćby z Dębowej papiery. Cóż dopiero o innych mówić! A tu porę przejazdu w mig chwycić trzeba. Gdyby nie moja wina, byłabyś dawno, już w początkach czerwca pojechała i chociaż trochę cieplejszego powietrza zażyła. Przeze mnie doczekałaś się sloty i zimna; jeśli byś w przydatku zdrowiem to opłacić musiała, wyobrażasz sobie przecie, jaki mi to efekt sprawi. Zlituj się nad duszą moją, jeśli ją mam, nad sumieniem moim, które sama „delikatnym” nazwałaś, nie przykuwaj losu swoich kuracyjnych wakacyj do takiego niezdarnego, nieszczęsnego, wiecznie niegotowego stworzenia. O ile się da tylko, napraw złe, które już zrobiłam.

Po tej modlitwie, muszę ci powiedzieć, jak chciałam św. Wandę obchodzić. O samej północy, kiedy się to paproci szuka, miałam pisać do ciebie — i wyraźnie czułam potrzebę jasno ci wytłumaczyć, dlaczego ty jesteś dla mnie „znalezionym” kwiateczkiem paproci. Aż tu od rana samego, jak mię zacznie głowa boleć, ale co się zowie boleć, z towarzyszeniem mdłości i niedoleństwa, tak mię blisko przez całe dwie doby bolała. Dlatego jedynie dotychczas się nie dowiedziałaś o swoich cudownych własnościach — i dlatego panu Grabowskiemu nie przesłałam na czas słowa najszczęśliwego — najserdeczniejszego życzenia — ale dzisiaj przesyłam — pamiętaj, żebyś wspomniała — przesyłam nade wszystko „zamówienie reumatyzmu” *brakadabra vade retro* — na bory na lasy. Mam jednak czasu dosyć, by o imieninach pana Władysława pamiętać: proszę to, jeśli nie koniecznie jemu, to przynajmniej Mani powiedzieć. A niech mi zdrowa będzie koniecznie i syna niech sama osądzi czy ładny? Uściskaj ją — nade wszystko chciej wierzyć, że Julię sama niezadługo uściskam. Choć takim jesteś Tomaszem nieufnym, jednak powiadam ci, że schwycę w dłoń piasku jeśli zechcesz, — a jakiej zechcesz wezwę potęgę — zaklnę się na nią przy księżycu blasku, o ile księżyc będzie świecił — i niezawodnie lepiej od Strzelca dochowam przysięgi, a za tobą co najprędzej podążę...

Myślę sobie, o czym wy z Lasią będziecie gawędziły?

## CXXXVIII

[Kraków 1869]

Wando, rozłączaj się z jeszcze jednym fotografem<sup>305</sup> Julii, bo pani Róża przyjechała i despotycznie się o swoją własność upomina. A czy wiesz, jakie rosną projekta? — może zwiedzimy Ojców — tylko źle robię, że się chwałę zbyt wcześnie, bo niech tylko szatan podsłucha, to gotów jaką kłodę w poprzek kolei położyć.

<sup>304</sup>przyjadę — do Ludzimirza, gdzie do Tetmajerów wybiera się Wanda. [przypis redakcyjny]

<sup>305</sup>fotograf — staroświeckie wyrażenie na *fotografię*. [przypis redakcyjny]

## CXXXIX

3 września 1869, Dębowa Góra

Po twoim wyjeździe znowu zaszła zmiana w ułożonych projektach. Miałam, jako wiesz, wracać do domu w sobotę lub niedzielę; tymczasem przeniosłam się do Pani Dobrow[olskiej]. Bardzo szczerze i serdecznie domagała się tego, a ponieważ na wszelką odmowę zapytywała ciągle: co mam tak pilnego do roboty, żeby wracać koniecznie? ja, co rzeczywiście nigdy nic w życiu pilnego do roboty nie miałam i żadnej przyczyny „koniecznej” do wyjazdu lub powrotu pewnie nigdy też w życiu mieć nie będę, musiałam ze wstydem przyznać się do tego — i, co za tym idzie, przyjąć zaproszenie. W niedzielę wieczorem byłam jeszcze z Matyldą jakiś czas w Strzeleckim ogrodzie<sup>306</sup>, lecz potem, w towarzystwie Rózi i ojca pana Marcelego poszłam na proszoną herbatę do pani Dunin. Gdybyś ją widziała tak cicho a wdzięcznie po amerykańsku gospodarującą, podobałaby ci się jeszcze więcej niż na sympatię może. Szyszkowskich nie było z powodu różnych niedoniesionych zaprosin i nie rozgmatwanych zawikłań; była natomiast owa piękna p. Jadwiga Straszewska, z którą się przy obrazie znajomość zrobiło, i pani Witowska, z którą się od twego wspomnienia znajomość zawiązała. Do tego stopnia przyjęłam z tobą solidarność, że ją za chybioną przez ciebie schadzki przeproszałam. O naszym Cicerone nie zrównanym byłabym chciała pieśń wdzięczności jej przekazać — ale pieśń bez rymów się ułożyła. Potem admiruj trafność — choć w części twoja wina, że mię bliżej z osobistością i szczegółami biograficznymi nie obeznałaś — cały wieczór dyskusję prowadziłam o duchach i stolikach wirujących. W poniedziałek musiałam asystować przy ostatecznych Matyldy z p. Felicją układach, a nie było mi to przyjemnie — było nawet trojako przykre. Wieczorem pani Dobrow[owska] wcześniej mię spać wyprawiła, lecz to nic nie pomogło, bo już przywykłam koło drugiej zasypiać, a o 5-tej się budzić. We wtorek — surpryz! siostrzenice przyjechały. Nie chodziłyśmy razem, bo one co prędzej na Wawel — a ja z pożegnaniem drugi raz — więc mi nie dowierzano — ja *taki* wyjechałam nazajutrz, tj. 1-go t.m. Przez cały drugi wypoczywałam i żegnałam się z Gałęcką do Lublina; a dziś sprawozdanie pospieszne przesyłam dla uspokojenia cię, że, pomimo wszelkich wypadków i groźących niebezpieczeństw, cało i szczęśliwie na miejscu stanęłam. Nie udusili mię przy rewizji drobnych torebek, nie udusili przy odbieraniu paszportu, ale że nie zostałam na granicy dzień cały zdzierstwa tamtejszego oberżysty ofiarą, to jedynie panu Klu... zawdzięczam; że się z pośpiechu przy wskakiwaniu do wagonów nie rozchorowałam, to zawdzięczam niespożytej trwałości mego zdrowia, a moje siostrzenice chyba równie szczęśliwy rezultat młodszym latom będą winne. Gdyby nie te emocje przepychania się i pośpiechu, wszystko by szło jak z płatka. Żałowałam... No, teraz na nic żale się nie zdadzą, tym bardziej gdy jest tyle innych ważniejszych rzeczy do żalowania. Powiedz jednak Julci, że choćby mi jeszcze gorętsze niespokojności przechodzić było trzeba, niż o tę zamkniętą kasę z biletami, zostawione na opiece urzędników kufry itp., choćby mi jeszcze prędzej biegnąc do wagonu wypadło, nigdy bym pobytu mego w Ludzimierzu nie żalowała. Są to moje najpogodniejsze tygodnie. Spodziewam się, że ci więcej pisać nie potrzebuję i sama z siebie domyślisz się, jak ci wypadnie w tym sensie Julcię uściśkać, pana Adolfa pozdrowić, Włodzia i Kazia na moje wspomnienie popieścić i księdzu proboszczowi proszę kłaniać. A kiedy odpiszesz?

## CXL

10 września 1869, Dębowa Góra

Spodziewam się, że już list mój z 3-go b. m. odebrałaś. Gdybym tego była pewna, to bym dziś nie pisała jeszcze, ale na wszelkie nieprzewidziane wypadki, nawet osobistą złą dolę oglądając się, wolę dwa razy to samo powtórzyć, niż cię o zawód lub próżne

<sup>306</sup>byłam jeszcze z Matyldą jakiś czas w Strzeleckim ogrodzie — wracając z Ludzimierza, Narcyza zatrzymała się w Krakowie; [ogród a właściwie Park Strzelecki: miejski park w Krakowie w obrębie dzisiejszych ulic Rakowickiej, Topolowej, Bosackiej i Lubicz, należący niegdyś do bractwa kurkowego]. [przypis redakcyjny]

oczekiwanie przyprawić — wtedy zwłaszcza, gdy mnie tak słowność twoja wdzięcznością przeniknęła. Nie przypuszczałam wcale, żeby która z was pamiętała o pobieżnej umowie; jedna na trzy, to i tak piękny procent. Co do mnie, dla „nieprzewidzianych”, a raczej dla przemagających okoliczności, jako w ten dzień właśnie wagonem jadąca, ze zobowiązania uiszczyć się nie mogłam; przynajmniej pośpieszyłam, o ile tylko możliwą było mi rzecz, między dwoma *uśpieniami* zaraz po powrocie. Jeśli cię doszły moje słowa z tej chwili, to już wiesz, i za twym pośrednictwem Julia wiedzieć powinna, i pan Adolf wiedzieć powinien, co ja sobie na jawie myślę i co przez sen o pobycie w Ludzimierzu powtarzam. Bez twego namawiania, pewnie bym sama była się wprosiła na bryczkę panu Grabowskiemu, ale na parę dni nie było warto, a na cały wrzesień było niepodobnym. Choćby nie do roboty się wziąć, to musiałam przynajmniej zacząć wypoczywać. Już mi tydzień cały upłynął na tym zatrudnieniu, lecz postępów nie widzę. Siedzę po całych dniach w moim pokoiku, chodzę spać o dziewiątej, nie budzę się przed siódmą, czasem i w południe kładę się na wygodną drzemkę, a wszystko niewiele pomaga. Pisać mi trudno, mówić przykro, czytać nudno — och! zmęczyłam się chyba na sto lat. Wszystkie wielkie przyczyny składają się jednak po temu, by mię do pracy pędzić, tylko ani jednej maleńkiej pomocy nigdzie znaleźć nie mogę. Ej! co tam — tak beze mnie, jak i ze mną przy warsztacie.

Pisałam już do Seweryna; ale jak sobie treść listu przypomnę, wcale z niej kontenta nie jestem i on nie będzie kontent. Może później na co zdrowszego się wzmogę. Od Julii była wiadomość z Warmbrunu: dwa tygodnie tam spędziwszy, ma w sobotę już przez Skierniewice przejeżdżać. Skarży się, że była ciągle niedomagającą i że głównie dlatego ku domowi podąża. Obie z Polcią wybieramy się na kwadransowe spotkanie, a że o tym mowa, więc i mojej panienci proszę, żeby mi doniosła bardzo stanowczo o dniu swego przejazdu, życzę jednak, by nie prędko nastąpił. U nas tutaj pogoda i ciepło wzorowe, toż i u was w górach czas być musi dość łagodny; aż mi lżej na sumieniu, gdy sobie pomyślę, że przecież porządniej skończysz niż zaczęłaś tegoroczną kurację. Może na Węgry pojedziecie? byłaby to znowu przeszkoda, choć wyobrażam sobie, że sownie wynagrodzona. Byle ta zębowa newralgia trochę się uspokoiła! Donieś mi przede wszystkim o swoich zębach, a potem zgadnij, czego też ciekawa jestem? oto twoich lekcji z Włodziem<sup>307</sup> Żałuję, że się kiedyś na podsłuchanie nie zebrała; ciągle mi się to „łatwą jutro” wydało rzeczą i tak uciekło; a pominąwszy, że chciałabym wiedzieć, co ty mu wybrałaś do podania, to jeszcze bardzo dla mnie zajmującym pedagogicznie procesem jest sposób, w jaki on podane przyjmuje — z ową swoją pytającą naturą, z owymi naukowymi gustami. Powiedz, że mu uszanowanie moje przesyłam. Kazika, jeśli pozwoli, uściskaj bardzo mocno za szyję i w oba czarne ślipki pocałuj. Jak będę lepsza, to opowiem Julci, jak mi było dobrze w Ludzimierzu, kiedyś<sup>308</sup> zdaje się, że ona o tym nie wie — różne piękne rzeczy jej opowiem — a jak będę dowcipniejsza, to się z panem Adolfem wyklóć i do sądu rady nowotarskiej wystosuję skargę o potwarz lub co najmniej o fałszywe posądzenia. Dzisiaj w zawieszeniu tę sprawę naszą zostawiam, bo właśnie wcale niedowcipną jestem i ciebie także, moja Wando, głupio bardzo żegnam — trochę ze smutkiem, trochę z niecierpliwością, trochę z rezygnacją, ale wyraz prawdziwy i zbiorowy na początku umieściłam. Do widzenia.

N.B. Bardzo się ucieszyłam, że Zosia dla Studencika<sup>309</sup> złagodniała — ale czego ona mogła w Cyganku dopatrzeć? Mnie się tylko ciekawym rasowym fenomenem zdawał. Może jest w nim i coś człowieczego do studiowania. Czy on miał władzę przywiązania się? Czy tęschnił po wyjeździe Zosi?

## CXLI

[*Dębowa Góra*] 29 września 1869

Powinnaś się była domyślić, Wando moja kochana, że kiedy po powrocie z Węgier listu ode mnie nie zastałaś, to pewnie dlatego, że nic ważnego ani dobrego do napisania nie miałam. Coraz cięższej, coraz trudniej mi z wszelką korespondencją idzie. Nic nie mam

<sup>307</sup> *Włodzio* — Włodzimierz Tetmajer. [przypis redakcyjny]

<sup>308</sup> *kiedyś* — forma z partykulą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

<sup>309</sup> *Studencik* — młody góral, który bywał we dworze u Tetmajerów. [przypis redakcyjny]

w sobie, ani koło siebie tak ciekawego lub osobliwego, żeby się tym warto było dzielić. Zmartwień, brzydkich i okropnych zmartwień, bardzo wiele; a z tego rodzaju, co się jednak mówić, nawet myśleć o nich nie chce. Podróż mi nie wyszła na dobre, powrót mi nie wyszedł na pociechę, i co ty chcesz, żebym z twoimi czarnymi melancholiami moją hipokondrię mieszała w przydatku. Chciałam się zabrać do pracy, choćby zupełnie mechanicznej, żeby szarym diabłem się opędzić; ale i w tym względzie katar obrzydliwy na przeszkodzie stanął. Trudno mi głowę spuszczoną trzymać, mózg jak pod prasą — słowem głupiej — nudniej i radzę ci rzuć mię do licha na śmiecie jak starą parę rękawiczek. Pierwej przynajmniej mogłam wierzyć w dobrą wiarę twego złudzenia; ale teraz, ciągle mi coś szepcze do ucha, że się jedynie na wytrwałość zdobywasz — *parti pris* — żeby ci zmienności w przyjaźniach nie zarzucali — co istotnie z czyjej bądź strony wina, zawsze dla obu równie bywa upakarzającym.

Miałaś czego się dopominać o taki list — wszak prawda?

Szczęśliwej pani Eleonory Zi[emięckiej] już nie zastaniesz, wróciwszy do domu, pewnie się o tym z listów i dzienników dowiedziałaś. Jedna moja siostrzenica zrobiła uwagę, że jakoś w tym czasie wszystkie starsze autorki się wynoszą. Księżna Puzynina, Zamięcka — to prawie z tegoż samego roku co ja drukowane; w końcu sama chyba we dwójkę z ostatnią kontamporenką moją, Szmigielską, zostanie — nie licząc pani Seweryny<sup>310</sup>, bo ta już za granicą. Juluta moja pocziwa zgłosiła się tu do mnie dobrym słowem, ale jeszcze jej nie odpisałam. Miałam też krótką, serdeczną, uroczystą prawie odpowiedź Seweryna na list, który do niego wyprawiłam. Zaczęłam znowu pisać i przerwałam na trzeciej ćwiartce — nie wiem, kiedy skończę — a jeśli mi z umierającymi tak się łamie rozmowa, niech mię żyjący mają za niewinnioną. Doszłam kulminacyjnego punktu bezwładności, kiedy nawet potrzeba dowiedzenia się nie wymoże na mnie zapytania. Rozstałam się z Rózią i p. Marcelim w chwili zaciekawiającej. Jak się urządzili z dziećmi — co u nich słychać? wszystko to zdałam leniwie do chwili twego przejazdu i nie tracę nadziei, że się dowiem od ciebie. A może i u Urszulki zabrałabyś dla mnie słówka wiadomości o mojej najlepszej krakowskiej sympatii — o jej bracie — a może i o wszystkich znajomych; lecz jestem taka sumienna, że cię tym jako poleceniem lub wymaganiami nie obarczam: wiem, że sobie nie zasłużyłam — tą kartką lichą, która ci jedynie odbicie wszystkich moich gorzkości na zapas w drogę podaje. Żegnać Ludzimierz, zastać taki list w Krakowie, to już się musi bardzo, bardzo jasnym serdecznym powitaniem opłacić w Warszawie.

## CXLII

[Dębowa Góra] 14 października 1869

Wczoraj były imieniny Edwarda. Chciałam na niego i do ciebie pisać, ale napisałam tylko do Seweryna — trudno to wytłumaczyć dlaczego? Może lepiej bez tłumaczenia zrozumiesz. Przyszły chwile stanowczej próby na tych, co mnie kochają. Muszę przez jakiś czas w milczenie się usunąć, bo nic a nic dobrego nikomu powiedzieć nie mogę. Czy będzie kto taki, co się nie zrazi i przetrwa moją hipokondrię — dowiem się teraz. Jeśli prawda, że Ilnicka szczerze sobie życzy, abym w jej „Bluszczu” figurowała, to się z nią rozmów, czy przyjmie takie jak w *Kwiatach i kłosach* ustępy. Zaproponowałabym jej potem, żeby mię na kolaborantkę przyjęła, kiedy ty nie chciałaś. Mam, jako wiesz, trochę szkiców; odstąpię jej do wypełnienia; mam niektóre kawałki więcej wykończone, objaśnię, gdzie by się użyć dały. Kiedyś<sup>311</sup> umie z taką łatwością tłumaczyć, niech moje myśli zamiast angielskich tłumaczy. Przypuściwszy, że w nich jest co dobrego, to się przynajmniej nie zmarnuje. O sławę autorską wcale mi nie chodzi — zapłatę sama oznaczy.

Pewnie z tego nic nie będzie, lecz się bawię w projekta. Aktualność szkaradnie, rozpaczliwie wygląda. Całe życie moje spędziłam w ubóstwie, dziecińce i młode lata często w wielkim niedostatku, ale teraz dopiero mogę się przypatrzeć, jak wygląda ruina. Co za koniec tego wszystkiego będzie? nie wiem. Co być powinno według prawa i opinii? — nic wiem, prawa nie znam — z opinią pewnie byłabym na wprost przeciwnych koń-

<sup>310</sup>pani Seweryna — Duchinińska (Pruszkowa). [przypis redakcyjny]

<sup>311</sup>kiedyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

czynach. Ale to widzę tymczasem, że biedna Paulina resztek sił dobywa i sama wątpi, czy jej życia na późniejsze, choćby już i spokojne chwile wystarczy. Parę lat temu ledwo odratowana od śmierci, nie wyleczona radykalnie, dziś znowu po dawnemu cierpiąca, pamięcią i względem na dzieci podtrzymuje się tylko. Kiedy pomyślę, że matka i dwóch stryjów na to żyli, o to wyłącznie zabiegali, żeby jej dobrze było na świecie... no, co tu mówić o nieodwołalnym, sama widzisz, że lepiej nic nie mówić wcale. Żegnam cię na parę miesięcy. Nie miej do mnie żalu, Wando moja. O ile będę mogła pisać, o tyle będę nad jakim tłumaczeniem siedziała — w obecnych chwilach i temu nie podołam. Niech wiem aby, że zdrowa jesteś. Zosię i Manię uściskaj serdecznie — ojca pozdrów równie serdecznie. Edwardowi powiedz o mojej intencji — reszty się sam domyśli.

Nie mam tej przyjemności nawet, żeby ci donieść, czy się u nas *Herta* podoba, wszystkie powieści ustąpiły miejsca tej najrzeczywistszej, a takiej smutnej ramotce Wilkońskiej-go...

### CXLIII

[*Dębowa Góra*] 28 listopada 1869

Kilka ustępów z ostatniego twego listu, żywcem przepisawszy, posłałam Sewerynowi — wszak ci to przykrym nie będzie? Seweryn wprawdzie sam już czytywać nie może, ale widziałam, że chętnie słucha, gdy mu Staś lub Mania czytają. List od Juleczki dołączyłam także. Późniejszych już od tego wiadomości nie miałam. Powinna bym nie oglądać się tak często za nimi. Wiem, że jest ciągle źle, ciągle gorzej zapewne — inaczej być nie może — a jednak z tęsknotą jakby nadziei wyczekuję każdego słówka, chciwa jestem współudziału w każdej chwili, którą jeszcze z rzeźwiejszym usposobieniem Seweryn przepędzić może. On też pocziwy odgaduje to prawdziwie somnambulicznym jasnovidztwem niby i tak Mania, jak i pani Markiewicz obie mi wspominają, że się o wysłanie do mnie wiadomości raz po raz dopomina. Co też wam o nim powiedzą ci panowie, którzy teraz do Soczewki pojechali? Bardzo chciałabym wiedzieć. To, co wam ciocia napisała, jest równie słuszne, jak to, co Staś doniósł. Seweryn jest w głębi duszy swojej zupełnie spokojny; ale właśnie dlatego że ma całą przytomność umysłu, więcej mu żal życia, bo wie, jak użyteczną pracą by je zapelniał. Choroba i osłabienie drugostronnie zdenerwowały go bardzo; lecz i to nawet w sposób zupełnie jemu tylko właściwy. Cała jego drażliwość jest spotęgowaną jedynie serdecznością. Widać, że siła woli, przez którą zamurował się w pewnym rozsądkowym stoicyzmie, opuściła go wraz ze wszystkimi sztucznymi przedsięwziętymi obronami od ludzi; prawdziwa jego natura bierze dziś górę nad wszystkim i ukazuje się z owym niewyczerpanym zasobem dziecięcego ukochania, kobiecej pieśczołliwości. Jednak to zawsze ten sam wyższy gatunkiem swego człowieczeństwa Seweryn. Prawda, że łzami mnie powitał, ale bez łez żegnał dobrym słowem i jakim dobrym, Wando moja! Nie na przyszłość już tylko, bo co to za przyszłość moja? ale na całą przeszłość, za długie lata i wiele gorzkich zawodów wystarczy mi jego datek, co go nigdy nie stracę, co mi go nikt i nic nie odbierze. Więcej niż miłości i szczęścia w życiu pragnęłam ciągle takiego stosunku, wzajemnej męskiej przyjaźni, zupełnego zaufania, wspólnej wiary i, pomimo różnic koniecznych, doskonałej zgodności. Później sama siebie wstydić się zaczęłam, że takich niepodobieństw po świecie szukam. Było za mną usprawiedliwiający brata Janka wspomnienie, ale od smutnych doświadczeń i na to światelko cień padł głęboki. Często bardzo przypuszczałam, że mię perspektywa oddalenia ludzila, że kiedy mieć już nie mogłam, to może nigdy nie miałam; a to wielkim było grzechem — i on umierający, nawet by nie rozumiał, jakie mi wyświadczył dobrodziejstwo. Jemu tak dziwnym prawie, tak niezasłużonym zdawało się moje uczucie; szukał różnych objaśnień, dobierał mu tłumaczeń najrozmaitszych, gdy najprostszą przyczyną było to właśnie, że on sam mógł się do mnie tak szczerze przywiązać, tak szczerze, by mnie aż zapotrzebować kiedyś. Czemu ja tego pierwiej pewną być nie mogłam! Trudna bo sprawa z nawyknięciami. Wiem, że mam dosyć serc życzliwych dla siebie; są tacy, którzy mię bardzo lubią; tylko nikogo pewną nie jestem na ważną chwilę — i to nie w moim, ale w jego losie. W moim, przy każdej sposobności znalazłabym jeszcze pomoc, dobrą radę i współczucie; wcale też niewdzięcznością za to nie odpłacam; tylko przyzwyczaiłam się już uważać siebie za jakieś niedołążne,

niebyłe stworzenie, które w żaden osobisty rachunek własną swoją i konieczną cyfrą nie jest zapisane. Niechaj na kogo spadnie jakie nieszczęście, trudność do przełamania, kto się za mną obejrzy? Edward mój poczciwy — jeśli by sobie przypomniał, to na to chyba, by mi zmartwienia lub kłopotu oszczędzić. I trzeba też sobie gorzką prawdę powiedzieć, że jestem zupełnie wobec wszelkiej potrzeby określonej bezsilna — nieradna, odurzająca — a jednak mam to przekonanie, że Sewerynowi istotnie potrzebną byłam. Widzisz, Wando, nie skarżę się nawet, że na tak krótko. Umiem cenić wartość — bez miary — czasem wracają mi własne słowa w młodości jak niebaczne proroctwo rzucone: „kto obojętny, to cię zasmuci, — kto ukochany, to cię porzuci — a kto cię kocha, to legnie w grobie”. Kiedy wracają, otrząsam się z nich co prędzej i zagłuszam innym, potężniejszym archimedesowym wyrazem „eureka”. Tak jest, znalazłam — na dawniej i na teraz.

A czy sądzisz, Wando, że nie wierzyłam w twoje ukochanie? Mylisz się bardzo — nigdy na chwilę nie wątpiłam terażniejszości, brakło mi tylko jutra. Między mną a Sewerynem żadne jutro innym być nie może. Im więcej nawet rozpamiętywam sobie każdy szczegół naszego pożegnania, tym silniej wstępuje we mnie to uczucie, że innym być by nie mogło. Nie na ideały i doskonałości, owszem, na wszystkie wzajemne błędy i pomyłki — toć my i teraz posprzeczczały się parę razy — choć właśnie owe sprzeczki najlepiej mi przypominały dawne z bratem rozmowy, kiedy to nam obojgu tak szczerze o to chodziło, by się wzajemnie porozumieć, by razem prawdy się dobadać. Mówiłam ci przecież, że potem z nikim nie rozmawiałam w takim równym dostrojeniu: zawsze albo mnie miał ktoś co więcej do powiedzenia, albo ja komuś — albo szło o to, żeśmy się z jednakową siłą przekonać chcieli jedno drugie. Była nauka, propaganda, dyskusja — nie było tej wspólnej, zupełnie łącznej zamiany i pomocy na osiągnięcie zupełnie wspólnego celu. Przy Sewerynie wróciło mi to w kilku drobnych okolicznościach — byłabym mogła się posądzić, że w nim tylko mojego Janka kocham, gdybym właśnie tego nie czuła, że mi prawdziwe Janka ukochanie przez Seweryna tylko w sercu zmartwychwstało. Seweryn wie też dobrze, jak ja umiem żyć z umarłymi — ostatniego dnia jeszcze z uśmiechem mnie zapytał, czy ja naprawdę wierzę temu, że jeszcze stu lat doczekam? — bo istotnie kilka razy pisałam do niego o tej mojej niczym niespożytej trwałości. Więc i wtedy przyświadczyłam znowu, a on na to: „Widzicie, to i mnie jeszcze kopa lat się sądzi, bo póki was, póty mnie; wy mnie nigdy nie zapomnicie i zawsze z wami zostanę”. Ale zostanieie z bardzo smutną i na śmierć zanudzoną duszą — wolałabym, żebyście za mną tęschnili, tęschnili tak bardzo, bym aż prędzej pójść musiała i bylibyśmy wszyscy razem — moi dwaj bracia — Jurgens — wy i ja. — A to by śliczna była kolonijka — śliczna, śliczna! — i po chwili: — Co to za szczęście, że nic o tym wszystkim z pewnością wiedzieć nie możemy!

Wczoraj do Stasia pisząc, te ostatnie, lecz tylko te ostatnie słowa przytoczyłam, żeby mu wiele innych wytłumaczyć. W czasie mojej bytności, nigdy wolnej chwili na dłuższą rozmowę nie było. Staś ciągle zajęty, musi często pomimo sloty wyjeżdżać; noce przy Sewerynie spędza, wnoszą mu tylko materac i leży na ziemi — mówię leży, bo śpi niewiele. Choć się chwalił, że rozbudzony z łatwością zasypia, ale przy mnie dwa razy mu okropna newralgia dokuczwała, toteż nic dziwnego, że bardzo mizernie wygląda. Jak to on umie Seweryna pielęgnować, jak umie dogodzić, złagodzić cierpienie, rozerwać go wspomnieniem jakim dziecinny, rozweselić jaką opowieścią — a Seweryn tak się śmieje wtedy. Staś jednak ciągle z pewną nieufnością względem mnie się zachowywał — na słowa tego nie opowiedzieć — ale odczuć było łatwo. Sama wiesz najlepiej, czy miał słusność. No, dajmy pokój tej kwestii, której mi wzbroniałś tyle razy. Może kiedyś między sobą dla siebie ją do ostaniej sylaby roztrząśniemy, lecz nie w tej chwili.

W tej chwili i o przysłanych mi papierach nic ci jeszcze napisać nie mogę. W ogóle tylko list do Kajetana z największą werwą zdawał mi się napisany; on jeden mię przynajmniej o tyle wyrwał z mojego zaabsorbowania, że czytając go, myśl za myślą snułam w odpowiedzi. *Klara*<sup>312</sup> nie zmusiła mię do takiej osobistej pracy, która bądź co bądź zdaje mi się najlepszą miarą rzeczywistej każdego utworu wartości. Co piszący myśli, jest mniejszą połową; co czytający myśleć muszą, co z nich wywołane, jest drugą, większą daleko. Ma się rozumieć, nic, co myślą o autorze lub o dziele czytany, bo to rzecz odrębna,

<sup>312</sup>*Klara* — niewydana drukiem powieść Wandy Grabowskiej. [przypis redakcyjny]

to krytyka; ale co muszą myśleć o pewnych zagadnieniach życia, o pewnych prawdach lub fałszach społeczeństwa, to rezultat rzeczywisty — suma. Zresztą autobiografię i inne ustępy na później do rozważenia zostawiam.

Na tłumaczenie jednak polecam ci *Maxwell Drewitt*: może będą trudności z cenzurą, ale ja myślę, że gdy jej kawałkami zacząną przedstawiać, nie obejmie całości i co najważniejsze prześlepi. *Cenzura* zresztą nie może w Maxwellu tego czuć co ja. Gdybyś nie miała odwagi, weź *Castel Richmond* Trollopa; jest tam opis głodu w Irlandii — komitetów wsparcia — wszystko pouczające. W każdym razie weź teraz jaką powieść przez mężczyznę napisaną, żeby ci nie narzucili wyłączności bazarowej na same kobiece roboty. Swoją drogą, dobrze byłoby, gdyby bazar stanął i Matylda po swojemu go urządziła.

Czy ja co napiszę? Jeśli mi na to pytanie odpowiesz, to ci będę arcy-wdzięczną. Chciałabym — ale próby niefortunnie wypadają. Zbieram tylko spostrzeżenia nad procesem rozkładu chemicznego władz umysłowych; uczę się pojmować ruinę, co nie jest najprzyjemniejszym studium. Wolałabym daleko zasnąć na nieobudzenie, a tu jak na złość co dzień — co dzień się budzę — i co dzień myślę o tym, że masz chrypkę, wychodzić nie możesz — gorączkujesz się zbytkiem życia, kiedy ja bym tak właśnie dużo czasu miała, żeby za ciebie chorować.

## CXLIV

[*Dębowa Góra*] 10 grudnia 1869

Wando moja kochana, choć mam dobrą sposobność, nie odsyłam ci jednak papierów twoich, bo dopiero w tym tygodniu porządniej się do nich wzięłam. Z Soczewki żadnych dotychczas nie miałam wiadomości po tej najsmutniejszej<sup>313</sup>. Jeśli tam do was pierwszej słowo jakie przyjdzie, to się podziel ze mną, niech cię nie zraża moja obecna niepiśmienność. Są takie chwile, w których na wierzchu same do zamilczenia myśli pływają! Jak siadam do listu, zawsze więcej muszę nad tym się zastanawiać, o czym mówić nie trzeba, niż o tym, co powiedzieć warto. I dzisiaj byłabyś dłuższą odebrała korespondencję; ale siadłam do odpowiedzi na wczorajszy list Julii, a kiedy do połowy się rozpisałam, trzeba go było w piec rzucić. Teraz znowu śpieszyć się trzeba. — Lecz gdy nie mogę dosyć wyrazów ci przesłać — mogę aby uścisków nie szczędzić i moją Wandeczkę upieszczę serdecznie za wszystko, czego mi się wywlekać z duszy nie godzi.

Szkaradna zima — kto wie, czy nie z mojej winy. Byłabyś może lepiej poprowadziła przepisaną kurację, gdybym na bałamuctwa nie była cię skusiła. Ciągłe mam wyrzut sumienia. Jeśli chcesz mi ulżyć, to koniecznie bądź zdrową — chciej być zdrową — nie tak na zwyczajowe życzenie — ale siłą woli całej — jak gdyby o mnie chodziło.

Zosię, Marynię ucałuj ode mnie.

Panu Grabowskiemu pozdrowienia.

## CXLV

[*Dębowa Góra*] 18 grudnia 1869, piątek

Wando moja kochana, według życzenia odsyłam ci papiery. Zostawiłam sobie jednak list do Kajetana i *Z jednostkowych światów*<sup>314</sup> — na dalszy użytek czy zmarnowanie? Ja nie wiem. Zdaje mi się, że gdybyśmy były razem, to mogłybyśmy pisać, ale to mi się zdaje zapewne. Teraz ciągle próbowałam i nie chciało mi pióro z miejsca ruszyć. Jednak to pewna, że, kiedy czytam twoje różne ustępy, zaraz mi na myśl przychodzi, co by się z tego dało zrobić — po mojemu widzi mi się — a może po twojemu jest lepsze, tylko mnie już do tego wewnątrz władzy jakiejś brakuje, żeby to odczuć — głównie zaś w tobie ton uczuciowy przemaga. Zresztą przesłałabym ci szczegółową krytykę, gdybym mogła uwierzyć, że do jej przyjęcia usposobioną jesteś; lecz przy nacisku zwykłego tobie i dodatkowego z okoliczności smutku, na nic to ci się nie przyda. Zamiast wywołać z siebie nowe strony

<sup>313</sup>Z *Soczewki żadnych (...) wiadomości po tej najsmutniejszej* — mowa o śmierci Seweryna Markiewicza. [przypis redakcyjny]

<sup>314</sup>Z *Jednostkowych światów* — rękopis utworów Wandy. [przypis redakcyjny]

talentu i zwrócić oko na nowe przedmioty, zniechęcisz się tylko i będziesz się gorączkowała, że tego, co jest, nie dosyć jest jeszcze. Przy wspólnej pracy, inaczej by się to ułożyło — na listy, nie warto! Artykułu o asekuracji nie czytałam, bo mi parę „Bluszczów” zaległo do przejrzenia, a z „Gazety Polskiej” telegramy ostatnie tylko przebiegam — gdzie by zaś był ten artykuł, nie wiem z pewnością — powiedz mi, to odszukam. Straszliwie w tym czasie zleniwiłam. Nawet mniej niż zwykle czytuję, dnie jakoś na niczym schodzą, często i w nocy nie śpię, a przecież tak nic z moich godzin nie użytkuję, że wkrótce i myśleć przestanę. Wituchna dziś jedzie do Warszawy, za dzień lub dwa wróci, może mi słowo od was przywiezie — tyle mojego, co wasze. Juluta mi przysłała jedno z dzieł Dizraelego — napisane wtedy, kiedy miał lat dwadzieścia. Chciałabym, żebyś je czytała — aż zażdrość bierze, gdy się widzi, nad czym to młode umysły w Anglii mogą sobie fantazjować — co wkoło siebie znajdują na zajęcie wyobraźni, na gimnastykę rozumowania i szkołę projektów. Słyszałaś już może o tym, jak mi się majaczyło w zamiarach, aby o autorze, późniejszym ministrze, studium osobne napisać. Coraz więcej materiałów znajduję godnych obrobienia, a coraz mniej gotowych do ich użycia zdolności. Trzeba się z nadzieją pisarstwa pożegnać! Nawet choć mój list do Seweryna dobre na Edwardzie zrobił wrażenie, to jeszcze niczego nie dowodzi. Mam przecież więcej — och! daleko więcej dobrego w sercu dla moich kochanych, niż w jakimkolwiek liście wypisać to mogłam; lecz nie o takie dobro chodzi, kiedy się do nieznanych czytelników, a zwłaszcza do wydawców udajemy. Swoją drogą, przy twojej pomocy, mógłby się użyteczny i ciekawy artykuł złożyć, lecz musiałybyśmy koniecznie razem pracować, a do tego nigdy nie przyjdzie. To jest — nie przesadzajmy: *nigdy* jest zbyt absolutnym wyrazem — może i przyjdzie kiedyś, że taka rzecz byłaby stosunkami losu ułatwiona — ale coś we mnie się zmieni i choćby do korzystania z pomocy będzie już nie w porę. Jak się ojciec miewa? moja Wandeczko, donieś mi o tym prędko. Czas znowu szkaradny. Miałam ochotę z Wituchną do Skierniewic jechać, ażeby chorą Kasię odwiedzić, muszę to jednak na wtorek zostawić. We wtorek będzie w Skierniewicach Izabella Zbigniewska. Gdybyście się razem kiedy zeszły, dopiero by to dla mnie była najciekawsza lekcja psychologiczna: wyobraź sobie życie takie praktyczne, o jakim ledwo ze słyszenia coś wiemy, a naturę taką niepraktyczną jak twoja. Czy się gniewasz za to porównanie? Mam komentarz na przeproszenie w sercu.

Donieś, czy pewnie nie kaszlesz? Zosię i Manię upieść ode mnie, tylko że nie wiem, czy Zosia pieścić się pozwoli — może ma przeciwne temu uprzedzenia — ale kiedy napisałam, to niech zostanie. Panu Władysławowi pozdrowienie — a jak zobaczysz się z Jabłonowskim<sup>315</sup>, to mu się kłaniaj ode mnie — pamiętaj.

## CXLVI

29 grudnia 1869, Dębowa Góra

Czy wolisz krótką karteczkę prędzej, czy długi list a później?

Zadaję ci to pytanie, żeby wiedzieć, czego na drugi raz się trzymać; dzisiaj zaś sama arbitralnie je rozstrzygam i karteczkę posyłam tylko. Miałam wcale nie pisać, lecz wcale nie pisać jeszcze trudniej czasem niż pisać dużo. Więc najpierwej muszę cię uściskać, nie dlatego, że to święta pełne uścisków, życzeń i kongratulacji, ale dlatego, że mi się tak chciało. Wszystkich swoich wszelako uściskasz i pozdrowisz *świętecznie*. O panu Władysławie<sup>316</sup> doniesiesz, czy zdrowszy: co to znaczy takie długie cierpienie? kto go leczy, jak nazywają jego chorobę? tykoż nie pytaj *ex abrupto* ode mnie, bo by się zdziwił, że to może naprawdę bardzo obchodzić kogoś takiego, z kim tylko jeden wieczór w życiu porozmawiał, albo też wiesz co? w ostatnim razie wytłumaczyłabyś mi naukową pobudkę. Przypuśćmy, że zbieram antropologiczne spostrzeżenia i chcę wiedzieć dla statystycznych rachunków moich, na co ludzie rozumni chorują — bo na co głupcy, to już wiem dość dokładnie. Projekt wydania książki dla owych 250 rubli nie zdaje mi się; za powolny! Tu jedynie składką można poradzić — i to w gronie bardzo bliskich znajomych. Po Nowym Roku więcej będę mogła o tym ci napisać.

<sup>315</sup>Aleksander Jabłonowski (1829–1903) — uczoney i podróżnik. [przypis redakcyjny]

<sup>316</sup>o panu Władysławie — Kwietniewskim. [przypis redakcyjny]



Wybór *Daisy chain* do tłumaczenia zachwyciłby mię, gdyby to można w „Bluszczu” umieścić. Ale „Gazeta Polska”, którą obywatele i urzędnicy czytają!... Jak ci się widzi, Wando? jest tam prześliczny rozdziałek o chłopcu, który przy lekcji szachruje z wydawaniem; są inne o studenckich figlach, o dziewczęcych nieporozumieniach. Jak się czyta, to jakby się przeżywało to wszystko; lecz ci panowie czy się tym wzruszą? Im koniecznie czegoś *plus substantiel*<sup>317</sup> trzeba — a ja gadam o rzeczach, na których się nie znam — bo w gruncie owi panowie ani jednego, ani drugiego nie przeczytają może. Więc niech będzie według waszej z Julią decyzji. Do przyszłego listu, moja Wandeczko, moje ty zmartwienie, ach! i pociecho ty moja!

---

<sup>317</sup>*plus substantiel* (fr.) — bardziej treściwy, bardziej materialny, istotniejszy. [przypis edytorski]

# ROK 1870

## CXLVII

[Dębowa Góra, 1 stycznia 1870]

Wszak ci już pisałam w tym tygodniu, żebyś na Nowy Rok, Wando kochana, złożyła w moim imieniu dobre życzenia swemu Ojcu i szwagru, a serdeczne obu siostronom uściłki. Dzisiaj tę karteczkę dorzucam dlatego jedynie, że się zgłaszam do wszystkich moich najwierniejszych, najwytrwalszych, a zatem i do ciebie także. Proszę cię, żebyś mi na kolędę pół roku twego życia darowała: będziesz to czytała, co ja ci polecę, to robiła, co ja zadysponuję, o tym myślała tylko, co ja pozwolę — czy przystajesz, Wando? Do św. Jana termin przecież niezbyt daleki. Zastanów się i odpowiedz.

Miałam przez Polcię trochę wiadomości z Krakowa; niewiele, bo jeszcze nie było czasu na dobre się rozgawędzić. Ponieważ my jednak nigdy na to wiele czasu nie mamy, więc mi się zdaje że nic więcej i później nie usłyszę. Marcełi opowiadał jej, że młodzież chciała Golianowi<sup>318</sup> zrobić jakąś niemilą surpryzę, ale starsi bardzo się temu sprzeciwiali i on też *comme de raison*. Nic się do tej pory w jego małżeńskich projektach nie zmieniło. Panie Szysz... ciągle tam jeszcze bawią. Rózia podobno pisała do mnie, listu nie odebrałam — a kiedy twój odbiorę? Gdybym przed podpisaniem weksłu mogła już rozporządzenia jakie wydawać, to bym chciała, żebyś mi godzina po godzinie opisała, co robiłaś wczoraj wieczór i dzisiaj przez dzień cały — kogo widziałaś, o czym rozmawialiście — ale to słówko po słówku. Mój Nowy Rok będzie do najpospolitszych niedziel podobny, nie wiem, czemu jednak rada mu jestem, może dlatego, że nowa dziesiątka i do tego na siódmkę się zaczyna, a może... a najpewniej nawet dlatego, że sześćdziesiąty dziewiąty się skończył. Nie uwierzysz, jak lubię koniec we wszystkim teraz — w dniu, w książce, w robocie każdej, w życiu, och w życiu najwięcej.

## CXLVIII

[Dębowa Góra] 6 stycznia 1870

Ledwie zdążyłam w dzień Nowego Roku kopertę z kartkami do was zakleić i adres położyć, oddano mi naraz pięć listów. Wyobraź sobie, Wando, pięć listów! — a wszystkie, ma się rozumieć, od kochanych, od łaskawych, od wspaniałomyślnych: twój, Kazi i Matyldy z Warszawy, jeden z Soczewki, jeden od Izabeli Zbigniewskiej. Nie obeszło się bez złych wieści, ależ zawsze było dla serca wesele. Staraj się tylko prędko o Zosince Edwarda co donieść, bo mię to słabe polepszenie wcale jeszcze nie uspokoiło. Biedny mój Edward — on się nawet nie domyśla, jaką dubeltową krzywdą jest dla mnie każde jego strapienie. Słyszałaś może, jak sławny Hegel miał się przy śmierci wyrazić o jednym ze swoich uczniów — „ten mię tylko zrozumiał, ale mię źle zrozumiał (*missverstanden*)” — tak samo ja niesławna mam jednak prawo powiedzieć: „Znałam tylko jednego człowieka, który by umiał na mój sposób być szczęśliwym, i ten człowiek właśnie nie mógł być szczęśliwym”. Z Izabelą Zbigniewską widziałam się dwa razy — naprzód kiedy jechała na święta do swoich krewnych, a potem kiedy ze świąt wracała. Punkt zjazdu Skierniewice; czas do gawędki — dwie godziny. Bardzo jej wymawiałam, że się od lat wielu na podróż do Warszawy zebrać nie może i tym samym o mnie nawet nigdy sobie sprawy nie zda, bo owego świateczka, który jest właściwym moim świateczkiem, nie widziała. Powiada, że sama nie wie, jakim się to stało sposobem; zobowiązała mnie jednak, żeby jej donieść, kiedy się wybiorę: jeśli to będzie w czasie zawieszenia lekcji, to przyrzekła być także. Chociaż to wcale nie według mego rachunku wypada; wolałabym, żeby się to samo przez się bez mego pośrednictwa ułożyło — żebyście właśnie beze mnie ją poznały — bo już się przekonałam, że nie mam szczęścia do zaznajamiania.

<sup>318</sup> *Golian* — Ksiądz Golian, jezuita, przeciw któremu postępową młodzież demonstrowała w Krakowie na tle dogmatu o nieomyślności Papieża. [przypis redakcyjny]

Bądź co bądź, kłopot przedwczesny — nieprędko jeszcze projekt zdarzeniem się stanie. Chociaż wszystkie moje panie łaskawie wzywać mię raczą, ale tak Bogiem a prawdą, moja Wando, powiedz, na co ja mam do Warszawy przyjeżdżać? — Że mi to wielką, a wam między innymi maleńką przyjemność sprawi — nie racja. Czy kto gra w karty, czy się stroi w termolamy, czy kupuje angielskie cugi, czy zwiedza Paryż i przekop sueski — jeśli to robi wyłącznie dla przyjemności, zowie się zbytnikiem i równie krytyki nie wytrzyma jak najprostszemu szulerowi lub najgłupszemu turysta. I tak może zbyt wiele życia na egoistyczne przyjemności eskontowałam, — trzeba się poprawić — lepiej później niż nigdy. Zresztą, jeśli mi dowiediesz, że jest potrzeba, abym przyjechała — co się zowie potrzeba, dla ciebie czy dla kogo bądź w świecie. — N.B. prócz sentymentów — bo już cię wierzę i tobie, i innym nawet, że serca wasze mnie potrzebują, mnie zawsze tak przed świętami, jak w czasie świąt i po świętach — a może nie?... lecz jeśli mi wskażesz potrzebę, to niezawodnie przyjadę. U nas teraz, z końcem wakacyjnego odpoczynku zaczyna się znowu krzątanie koło interesów, a tym samym coraz częstsze do Warszawy zdarzać będą okazje. Przez jutrzejszą odbierzesz tylko resztę arkuszy papierów i Darwina. Kajecik twój szafirowy zostawiam sobie jeszcze, bo mam iluzję, że ci na list Haliny pan Kajetan<sup>319</sup> odpisze. Już próbował kiedyś, ale mu się nie udało — nic nie miał nowego do powiedzenia, choćby też nowej na stare rzeczy sukienki — a jako wiesz, poczciwy człowieczyzna strasznie nie lubi pisać o rzeczach nie do zaprzeczenia, — w tejsze chwili przypomina mi się pewien spotkany u znajomych kandydat filozofii, który w czasie obiadu, po długim namyśle, przerwał nam dosyć zajmującą rozmowę, rzucając to bardzo trafne spostrzeżenie: „Wiecie Państwo, że do upadku Napoleona, według mego zdania, najwięcej się przyczyniła nieszczęśliwa kampania 1812-go roku”. Sama widzisz, moja Wandeczko, że trudno było zaprzeczyć i pan Kajetan zaczął bredzić takie różne niezaprzeczone rzeczy, więc dał pokój — bo wie jednak, że są inne do powiedzenia na dyskusję wcale przydatne, np. że kobiety są już u nas mniej więcej wyemancypowane, w opinii — w zwyczajach, gdyby chciały — wolno im tyle co i mężczyznom — mogą tyle co i mężczyźni — brakuje tylko uzdolnienia i charakterów — etc. etc. Na co, wyobrażam sobie, panna Halina pierwsza wielkie oczy zrobi, póki do końca nie przeczyta lub wreszcie i przeczytawszy, jeszcze się sprzeczać będzie — co jest zawsze miłsze w rozmowie od przytakujących aniołów. Wszak ci donosiłam, że miałam list od Julci z dobrym życzeniem na święta. Pisze mi, że nasz śliczny biały domek już przez kogoś innego zajęty, ale w razie potrzeby znajdzie się znowu jeszcze piękniejszy, tylko ja bym się dla ciebie na najpiękniejszy nie zgodziła już. Wyraźnie całą tę zimę pokutujesz za naszą rajską wprawdzie, ale trochę wilgotną oazę. Byłaś już na dobrej drodze ze swoim zdrowiem — to cię cofnęło. Choć masz śliczne słowa na dowodzenie, że tak nie jest — mnie ten cierń zostanie już w sumieniu. Wszak będziesz czytała Darwina? pomijam wszystko, co o ważności jego naukowych spostrzeżeń powiedzieć można, jeszcze takie dzieło to za kurs praktycznie wykładanej „metody obserwacji” starczy. Człowiek się dopiero przekonywa, jak to trzeba umieć patrzeć, umieć widzieć trzeźwo, ostrożnie, porównawczo, rozróżniająco. Generacja, która się na takich książkach z młodości rozwijać będzie, niezawodnie musi w sobie nowe rozwinać władze. Taka jestem ciekawa, co Darwin o człowieku napisał, że każ się dowiedzieć w księgarni, czy już wyszło zapowiedziane o tym dzieło? ile kosztuje? — kiedy je będzie można dostać? Tyle miałam sporadycznych domysłów podobnych do wysłędzonych przez Darwina pewników, że mi trzeba w ostatecznym a zarazem najwyższym oceniu jedno z drugim porównać.

Jak tam Lucio na górze się miewa?

Siostry uściskaj serdecznie — panu Władysławowi za wsparcie duchowe, za rozmowę jałmużną właściwie mówiąc — najwdzięczniejsze moje oświadczenie afekta. Chcę jak najprędzej usłyszeć, że mu już reumatyzm nie dokucza.

Odnalazł się twój ręcznik między moją bielizną — uczciwie zatem odsyłam go właścicielce.

<sup>319</sup>Halina, Kajetan — widocznie postacie z powieści pisanej przez Wandę, której wątek zmieniała snąc dalej Narcyza. [przypis redakcyjny]

## CXLIX

[Dębowa Góra] 20 stycznia 1870

Moja Wando kochana — nie wiem, kiedy mi wróci na długie listy usposobienie! Po śmierci Seweryna, z tą myślą, że on mię tyle razy namawiał, koniecznie chciałam się do pisania przymusić, ale nieszczęśliwe próby taki piórowstręt obudziły we mnie, że kiedy mam w sercu choćby największą potrzebę odezwania się do kogo, to mię w umyśle takie trapi zniechęcenie, że co dzień rano wstając wyszukuję różnych powodów, aby to jeszcze do któregoś jutra odłożyć. Po przeczytaniu ostatniego twego listu miałam ci zaraz wiele rzeczy do powiedzenia, a najpierwej o kuracji — że masz przede wszystkim wcześniej spać chodzić i po obiedzie sypiać choć z pół godzinki. Gdybyś mogła jak bobak na zimę odrętwieć, to byś dopiero na wiosnę poczuła, co to za drogi dla ducha upominek — spoczynek! Słowacki to w *Królu Duchu* daleko piękniej powiedział. Następnie ułożyłam sobie cały traktat moralnej, sercowej i mózgowej higieny — lecz gdy pisać przyszło — zastanowiłam się, że to wszystko na nic się nie zda — i ty mi z góry to zapowiedziałas, i ja czułam, że tak będzie. Więc na co pisać? — na wprawę stylową? — kiedy mnie wprawą najlepszą długie wytęśchnienie się za kałamarzem. Więc nie pisałam, a co do innych pytań — to mi się nie tak ważne zdawały.

1-o. *primo*, co do pomysłu na alegorię tańca — żaden mi nie przyszedł do głowy. Pominąwszy już, że od 25-go roku życia mojego tańczyć sama przestałam, jeszcze ci pod sekretem się przyznam, że nie miałam nigdy obrazowego, to jest wprost do przeniesienia na płótno lub ścianę — talentu opisowego.

2-o. Co do imion z *Daisy chaine* — to bym ci radziła wszystkie jak są zachować. Eteleda, w zdrobnieniu Etełka, wcale milutko się wydaje — nawet może gościom Szczawnicy przypomnieć sławnie piękną Etełkę Węgierkę, za którą wszyscy panowie głowy tracili. Aubray zostanie Aubray'em, i tym lepiej swój angielski zachowa charakter. Nie lubię zmienianych ani tłumaczonych imion — za grzech jednak nie poczytuję wręcz przeciwnego gustu — i odpowiedź moja pod tym względem nie zdawała mi się tak nagłą. Jedno z drugim obliczywszy, ściągnęłam do dnia dzisiejszego, i to jeszcze do krótkiej karteczki. Oświadczyłaś mi jednak, że i karteczki przyjmować będziesz, w razie trudniejszej wypłaty. Masz słuszność, moja Wandeczko, od złego dłużnika bierz i plewy.

Gdyby mię katar odstąpił, może bym się poprawiła trochę, lecz wyobraź sobie, co to za stan mózgowy być musi, kiedy raz po raz trzeba nos ucierać — albo od godziny do godziny kilkominutowy napad kichania znosić. Jeśli parę dni ulgi przypadnie, to później dubeltową porcją wraca. Słuszne chyba spostrzeżenie zrobili starzy nasi dziadusiowie, kiedy mówili, że katar wszystkie choroby wyprowadza. Ja przy moim jestem tak zdrowa, że ażbym się utopiła, gdyby mi woda pewnego obrzydzenia nie sprawiała — lubię ją bardzo na ciele — tylko nie w ustach. Ty chyba miewasz inne gatunki kataru, kiedy tobie szkodzą — a mnie moje pomagają. Ale to nie o tym miałam intencję pisać do ciebie w pierwszej chwili, jako mówiłam, po przeczytaniu listu. Prócz odpowiedzi na zapytania — jeszcze ci chciałam donieść, że na każde pocziwe słowo twoje chciałabym cię uściskać, a że wtedy nie doniosłam ci, więc niniejszym zawiadamiam i całuję.

## CL

26 stycznia 1870, Dębowa Góra

Moja Wando jedyna, ja tu siedzę jak w studni, o niczym nie wiem i dopiero twój list kamieniem spadł mi na głowę. Co się z wami dzieje w tej chwili? Za kilka godzin ma pani Lewińska z Warszawy wrócić, to mi pewnie choć od Julii wiadomość jaką przywiezie; ale nie czekając już na nią, przez konie idące do kolei chciałabym ten list wyprawić. Taka jestem niecierpliwa, że im prędzej napiszę sama, tym prędzej, zdaje mi się, odpowiedź dostanę. Toż to nie ma gdzie myślą spocząć na wytchnienie, ze wszech stron o wszystkich niespokojność grozi. Do Soczewki zaraz wczoraj napisałam, miałam potem intencję przyjazdu siostry się doczekać, tak mi trudno jednak było zasnąć, tak smut-

no z ciężkim sercem obudzić się przyszło, że na to się nie zdobyłam. Położyłaś datę 20 t.m. — ja dopiero wczoraj w południe list dostałam. Czemu to kilkodniowe opóźnienie przypisać? tutaj po kilka razy na dzień okazja z poczty bywa — istotnie chyba los i ekspedytorowie uwzięli się na mnie. Muszę ci się wypowiadać, że w pierwszej chwili jak czytałam o twoim ataku nerwowym, taka zła byłam na ciebie, że bym cię była wybiła. No, niech cię to znowu nie straszy bardzo, ani nie oburza: widziałam nawet Kornelię, najrozkochańszą matkę i babkę pod słońcem, jak dawała klapsa swoim dzieciom, kiedy ją upadnięciem przestraszyły. We mnie prócz tego głęboko się zakorzeniło to przekonanie, że każdy własną winą mniej więcej sprowadza sobie wszelkie nerwowe cierpienia. W tym czasie właśnie, z powodu noworocznej propozycji, częściej niż kiedykolwiek rozpamiętywałam sobie różne antyhigieniczne twoje nadużycia, i gdy mię tak nagle ich rezultat zaskoczył, wszystkie inne wrażenia objawiły się naprzód potrzebą dania ci tęgiej bury; ale już jej dzisiaj nie dostaniesz, moje dziecko; spokorniałam przez tę noc snów trapiących i tylko prosić cię będę, żebyś mi koniecznie na jakąś reakcję przeciw twoim wewnętrznym gorączkom się zdobyła. Pomyśl tylko, co to za niesprawiedliwość szkaradna, żebyś ty każde zmartwienie swoje dniem i nocą rozbijała w sobie jak kucharka trochę białek na półmisku, póki ci pełna dusza piany nie narosnie, a ja potem, nieuznająca, nierozumiejąca czasem twojej pracy, musiała za nią pokutować i truć się sporządzonymi przez ciebie „nicami” (wszak wiesz zapewne, że białka na pianę ubite *nicami* się zowią). Juścić ja ci nie perswaduję wcale, że się pod wyjątkową, szczęśliwą gwiazdą urodziłaś; nie, moja droga, taka sama dla ciebie jak dla innych świeci; idzie mi tylko o to, byś wierzyła, że zupełnie taka sama, nie gorsza, nie ciemniejsza, nie krwawsza. Jeśli więc są ludzie, którzy umieją, pomimo jej wpływu, jakiś zakątek serca na niewzruszoną spokojność obwarować sobie, to i ty mogłabyś zrobić to samo. Gdybyś tylko szczerze, a sama sobie dowiodła, że rozbolenie się, rozmiążdżenie pod byle ciosem, jest rzeczywiście dzieciństwem ducha człowieczego, gdybyś tak się wstydziła cierpieć, jak to mnie zdarzało się niegdyś, wstydziła we własnym sumieniu, bo przed ludźmi — inna kwestia — umiesz to właśnie, co jest najniebezpieczniejsze i najniezdrowsze, ale w jądrze wrażenia gdybyś z korzeniem rwała nim wszelkiej do smutku skłonności, gdybyś z korzeniem rwała każdą kielkującą skargę i złego gatunku tęsknotkę — zobaczyłabyś sama, ile sił by ci przybyło, ile szczęść jeszcze odkryłabyś w życiu. Wiem, że tego nie spróbujesz nawet; są to z na zewnątrz uderzające słowa, a tylko z wewnątrz poczęte skutecznymi by się okazały; jednak rzucam je, choć bez nadziei; gorzej nawet, rzucam bez dobrego przykładu. Odwołuję się do czasu, który dawno już minął, którego pamiętać w życiu moim nie możesz, bo mnie już nie widziałaś taką, jaką ja ciebie chcę widzieć; byłam nią jednak, wiem, że niepodobieństw nie wymagam, a ściśle rzeczy biorąc, dałaby się jeszcze z obecności mojej choć ujemna wyciągnąć nauka. Jestem niedołęzna, stetryczala, zgnębiona, lecz to właśnie dlatego, że raz jeden zwykłej koło siebie zaniedbałam ostrożności i na los jak na wodę puściłam życia kierunek. Łatwiej było w młodości opanować daleko burzliwsze fale, niż dzisiaj po strudzeniu słabszymi rękoma; łatwiej zawsze tysiącom moralnych Napoleonków wstąpić na tron i cesarzem nawet zostać, niż potem tron odzyskać. Uda się na sto dni z wyspy Elby wrócić, nie wraca się już ze Świętej Heleny. Z tobą, Wando, największa mi bieda, że tam płyniesz pełnymi żaglami, kiedyś jeszcze nie próbowała o berło się pokusić. Masz wiek i głowę po temu — a nie zachciało ci się — jakże tu czasem od złości się wstrzymać, zwłaszcza że uwozisz ze sobą resztki mego własnego ładunku. Przez ciebie tylko ostatnią nieposuplaną niteczką trzymam się miejsc, gdzie mię nie ma i chwil, w których mię nie będzie. Czemu oto piszę rzeczy, co się na nic nie zdadzą — lepiej interesu po prostu załatwiać — w interesach mię nie zawiedziesz. Pierwszy, od wszelkich innych ważniejszy: doniesiesz, co się u Edwardów dzieje. On sam niedawno pisał do mnie tak pocziwie, tak istnie Edwardowo, że jako bym go żywcem koło siebie widziała i słyszała. Miał już wtedy przez lekarzy zrobioną nadzieję, a tu znów pogorszenie nastąpiło, według twego doniesienia. Nie potrzebuję ci tłumaczyć, jak mi prędko i z tej dzielnicy słówka dobrej wieści potrzeba. O Soczewce także przez ciebie pewnie prędszej niż prosto wiadomość mieć będę. Zgrzeszyliby nawet, gdyby dla mnie nieużytecznej, choć kilka minut choremu od posługi ujęli. Co do was przyjdzie, to mi natychmiast dosyłaj. Z listami do Wohla nie wiem jakiego licha płacze: na dwa już żadnej nie miałam odpowiedzi i dałam za wygraną. Zdawało

mi się, że coraz bliższy powrotu mniej stoi o piśmienną rozmowę, tymczasem pokazuje się, że pisał, a mnie nie doszło i sam tego, co pisałam nie odebrał. Na przyszły raz poślę w twojej kopercie list zapieczętowany, poprosisz pani Bolesławy, żeby podpisała — bo może adres mój niedokładny — mam jednak wprost od pani Okręt.

A teraz co do tłumaczenia. Dość już tej felietonowej zależności — mam pewien projekt w głowie, tylko muszę go na zimno rozważyć i szczegóły potrzebne do jego wykonania bliżej rozpatrzeć. Ogólnie rzecz o to chodzi, żeby ogłosić tłumaczenie „jednej serii najlepszych angielskich, niemieckich i szwedzkich powieści”. Nie będzie to pismo periodyczne na kształt tygodnika; będą książki tomami wydawane. Układ prenumeraty, kosztu i dalsze rozwinięcie planu na później.

Zosię i Manię uściskaj serdecznie. Ojcu pozdrowienia najżyczliwsze. A pilnuj mi się, dziewczyno, statecznie i bądź zdrowa.

CLI

[Dębowa Góra] 31 stycznia 1870

A to mię złażałaś na koniec, moja Wando! Nie uwierzysz, jakbym się tym ucieszyła, gdyby... Dla mnie jest to aksjomatem najnieomylniejszym, że póty nie przywłaszczymy sobie zupełnie naszych najbliższych, póki ich choć raz nie złajemy porządnie. Pamiętasz, ile razy ci to mówiłam, że mi w stosunku naszym jakiś krochmal ceremonialny zawadza; kiedy więc mogłam zacząć spodziewać się, że, do niecierpliwości przyprowadzona, wykrużysz się z niego na koniec, bardzo milego doznałam wrażenia. Ale cóż, moja Wandziu jedyna, jednej rzeczy brakło po twojej stronie: maleńkiej, choćby pozornej słuszności, choćby takiej, żebym ją na zachętę do dalszych postępów przyjąć mogła, lecz właśnie oto nie mogę. Wyrzucasz mi, że tak nie w porę cisnęłam oskarżenie moje, przytaczasz mężne i spartańskie postępowanie swoje w dniu owym nieszczęśliwym, jak gdybym ja o dniu, o tygodniu, o miesiącu nawet poprzednio mówiła! Ja całą przeszłość twoją zapoznałam do sądu; wszystkie twoje nie tylko obecne, tak ciężkie i boże smutki, ale te dawne, przygotowawcze do rozstrojenia i katastrofy, te, co cię zmitrężyły aż po dzisiejszą bezsilność twoją, że już prawdziwego ciosu organizmem swoim przetrzymać nie możesz. Ile się na to marzeń i własnowolnie maconej wody spłynęło, obliczymy kiedyś sumiennie, tylko już nie w tym liście, bo mam cię jeszcze o Szabrańskim<sup>320</sup> przestrzec, że to nie najczystsza literacka osobistość. Warto by mieć kogoś znajomego w redakcji na potem. Czy Pawlicki nie dałby ci w danej potrzebie rady i poparcia? Istotnie, szpalty „Biblioteki” byłyby najodpowiedniejsze poważnym tłumaczeniom; trzeba się na to jednak przygotować, że poważne tłumaczenia „zarobku” ci nie dadzą. Zostaw je sobie na zadośćuczynienia własnej szlachetniejszej umysłu potrzebie, a dla zarobku, jako ci wspomniałam, dobrze byłoby ogłosić np. prenumeratę bez pieniędzy, na serię tłumaczeń powieściowych. Rejestr tych tłumaczeń ułoży się i drukiem ogłosi, wzywając amatorów, aby tylko do przedsięwziętej nadesłali rewersa, to jest nazwiska swoje z zapewnieniem, że w czasie oznaczonym książkę wydaną kupią. O ile się z liczby zgłaszających zysk okaże, o tyle będziesz mogła śmiałej u Ojca nakładowego funduszu prawie jako pożyczkę zażądać. Ma się rozumieć, że pierwszej trzeba ze ścisłością arytmetyczną obliczyć, ile np. tłumaczone dzieło ma arkuszy, ile będzie kosztował papier, ile druk, ile broszurowanie i tym podobne wydatki. Następnie mieć trzeba obliczoną cenę, po jakiej tyle a tyle egzemplarzy pokryje kosztu druku, tyle a tyle na zysk już pójdzie, słowem skombinować, jak by to można najlepiej sprzedawać i mieć pracę godziwie wynadgradzoną. Taniocść jest rękojmnią pokupu. Nade wszystko zaś do tego całego interesu (jeśli ma być), trzeba się prędko, a nadzwyczaj po cichu przygotować i z dnia na dzień jak bombę ogłoszenia przez wszystkie dzienniki cisnąć między ludzi, pierwszej nim którykolwiek z literatów domyśli się nawet.

I cóż ty na to? Szkic pomysłu z panem Władysławem przedyskutuj, on ci się może i potrzebnych cyfr wystarać. Wolno ci, nawet trzeba, z Julutą i Kazią się naradzić, warto praktycznej pani Matyldy zapytać, byle z wyraźnym do czasu zastrzeżeniem sekretu. Ciekawam, czy się to sklei. Co do mnie, wiem, że większa połowa prenumeratorów „Wę-

<sup>320</sup>Antoni Szabrański (1802–1882) — współredaktor „Biblioteki Warszawskiej”. [przypis redakcyjny]

drowca” i tym podobnych pism trzyma je dla powieści. Jestem pewna, że sama powieść bez ramek najlepiej do smaku im przypadnie. W pismach periodycznych częściowa opłata ńci, tutaj za tomy wypadnie jeszcze mniej, a także częściowo. Nie będzie zaś miało charakteru periodycznego, żeby się z rządowymi pozwoleniami nie ubijać; wszakże wolno bez osobnego upoważnienia (byle scenzurowane) książki wydawać.

## CLII

[Dębowa Góra] 12 lutego 1870

Jeszcze Edwardowi K. nie odpisałam, jeszcze za dwa listy z Soczewki nie podziękowałam drogiej pani Markiewicz i Mani, więc musisz być pobłażającą, Wandeczko moja, że i tobie kilka słów tylko prześlę, wtenczas gdy sama całych arkuszy wymagam i chciwa jestem na najdłuższą korespondencję. Wytłumacz to sobie zimnem tegorocznym. A teraz, kiedy się mamy o tłumaczeniach naradzać, więc ja po swojemu zawsze jedną piosnkę śpiewam. Najlepiej być niezależną; kiedy nie chcesz i nie możesz niczego od ojca żądać, to zawsze wypytaj się, ile potrzeba kapitału nakładowego. Przecież nie o krocie chodzi! Zbieraj go więc powoli, obracając na to wszystko, co ci tymczasem za dostarczane artykuły płacić będą. Już to przygotuj się na to, że „Biblioteka” nie najrzetelniejsze poprowadzi z tobą rachunki; z początku nie uważaj, idzie tylko o wyrzycie jak najgłębsze w pamięci czytelników twego imienia; potem będziesz oględniejsza. Nie od razu Kraków zbudowano. Wolałabym, żebyś wyrobiła sobie prawo dostarczania przez czas jakiś samych poważnych naukowych tłumaczeń. Z Dunkiera możesz wybrać, jako niby część przyszłej całości, zaokrąglony wstęp, który sam w sobie całość by stanowił — tak np. jak gdybym ja na twoim miejscu była, to, nie umiejąc po niemiecku, wzięłabym z Henryka Martin cały jego ślicznie opracowany druidyzm, żeby z nim ludzi zapoznać. Jest tam wiele rzeczy ciekawych do przeczytania dla towianistów i innych mistyków wszelkiego gatunku.

Ponieważ jednak nie o to mnie pytasz, ale o wskazanie jednotomowych powieści, więc ci wskazać mogę: Mary Barton — ciekawa i na czasie, bo o bezrobociach pisze; Maxwell, którego ci tyle razy wspominałam; *Sybil* przez Dizraelego, także kwestia robotników, roztrząsana, gdy jeszcze nie był ministrem. Są zresztą dwutomowe powieści, które by na cztery numera „Biblioteki” z łatwością podzielić się dały. Ale przede wszystkim trzeba, żebyś ty sama jaką powieść upodobała sobie tak jak *Hertę*, to ją najlepiej przetłumaczysz. Dla ostrożności przyślij, niech pierw jej przeczytam; zawsze to uważniej zrobię niż ty, moja pani, która w ostatnim przedśmiertnym drukowanym przeze mnie artykule tyle błędów płazem przepuściłaś. Ja żadnego, „który mi pod uwagę wpadnie”, nie przepuszczę. Bądź mi tylko zdrową — to najważniejsze. Zapewne domyślasz się, że gdybym cię zobaczyła, to bym cię bardzo serdecznie obiema rękoma do serca przycisnęła. Ty uściskasz Zosię — Manię — panów swoich pozdrowisz.

## CLIII

25 lutego 1870

Zdarza się dobra sposobność, żeby ci dla pana Władysława Szekspira odesłać — ale nie taka, która by mi czas potrzebny na napisanie długiego listu zostawiła. Twój ostatni wędrował po świecie, nim ręk moich doszedł. Przez ten czas doniosłam sobie o mnóstwie najokropniejszych wypadków; szczęściem, że je mogłam odwołać trochę sprawiedliwiej niż ci, którzy upadłość Kirchmajera odwoływali. Jednak to musi być wstrząsające Krakowem bankructwo. Czy nie wiesz o nim bliższych szczegółów? Julcia niezawodnie donosiła co o tym; ale jak ona sobie z takimi mrozami, tam przy tatrzańskich śniegach dała radę? Ile razy z domu do domu przechodziłam, to sobie o niej wspominałam, z tym jednak zastrzeżeniem na pociechę *qu'il y a des grâces d'état*. Do mego stanu przywiązana łaska zdrowia, do jej górskiej okolicy może lżejsze mrozy, może większa łatwość ich zniesienia.

Co tylko będziesz mogła, to mi o prelekcji Kraushara donieś; wiem, że raz go u pani Bolesławy spotkałam i podobał mi się.

Czy stanowczo już obrałaś i przedstawiłaś to, co po Gerwinusie chcesz umieścić? Zapewne *Daisy chaine* jest na inny cel, nie do „Biblioteki” przeznaczona. Zdaje mi się, że *Wieniec stokrotek* jest dokładniejszym tłumaczeniem niż „Łańcuch”; gdyby można to girlandą nazwać, byłoby jeszcze słuszniejsze, ale my widać w Polsce girland nie splatali i nazwać ich właściwie nie możemy.

A co mi przysłecie w zamian za Szekspira na pożyczkę? Bardzo się zawstydziałam, że tak długo trzymałam go u siebie, ale to nieprędko się czyta. Właśnie zaczęłam sobie historyczne dramata i w sam czas musiałam zwrócić, bo kto wie, może bym w herezję popadła i trochę z rzędu wielbicieli w tył się cofnęła.

Ta pierwsza część *Henryka VI* — Gdzie tu intuicja historyczna! — Niemcewicz nasz byłby coś podobnego ułożył. Ale nie pogniewaj na mnie pana Władysława, powiedz mu lepiej, że chciałabym mu kiedy jakieś książki na dwa lata pożyczyć także, ale nie mam dość godnej. Dantego w oryginale nie potrzebuje zapewne, więc tylko pozdrowienie i mnóstwo dla syna komplementów.

Nie zawsze bym się ze Zosią zgodziła, kiedy na wsi mieszkam. Wolalabym usłyszeć coś dobrego z ust żywego człowieka, niż w kącie samotnym przeczytać arcydzieło; kto wie jednak, czy w Warszawie na jej gust bym nie przeszła. Spodziewam się, że i bez mego napisania wiesz, jak bym cię chciała uściskać i co dla każdego z naszych dać ci do powiedzenia.

#### CLIV

[Dębowa Góra, 1870] 17 marca, czwartek

Już za sam opis imienin Kazimierzy powinnam ci się, moja Wando kochana, dobrym jakim listem wywzajemnić, ale na dobry list strasznie trudno się zapomóc. Każdy dzień przynosi z sobą nową o coś lub o kogoś niespokojność, zostawia po sobie abszmak tylko przykrości lub zmartwienia. Gdybym te wszystkie moje zbiory do twojej kolekcji przyłączyła, dopieroż by się piękne muzeum zebrało! Wolę tedy cicho siedzieć. Kiedy jednak cicho siedzę, czas trochę przydłuższy, zaczynam znów sobie wyobrażać, co ty wyobrażasz sobie — i choć stawiałam w sumieniu aksjomat, że kto nie ma nic dobrego do powiedzenia, milczeć jest obowiązany, idę za przykładem większości, tj. wbrew uznanej zasadzie postępuję i — piszę, moja Wando! Choćby tyle, żeby ci przesiać uścisk serdeczny, co nie grzech przecie.

17 marca, czwartek. Przed kilkoma dniami napisałam początek tego listu — musiałam go przerwać, bo się w domu wielka rumacja zaczęła — pewnie już wiesz o tym, że Pszczonów — opuszczony. Państwo Ludwikostwo przenieśli się do Kruszewa w augustowskie, a raczej tykocińskie. Pani Lewińska tutaj więc na czas jakiś zwiezła swoje uprzywilejowane graciki, starą jedną emerytkę i młodą, a wcale ładną dziewczynkę służącą, która nawiasem mówiąc mnie także weźmie pod swą opiekę, bo Kasia do nowo zamężnej siostry się wybiera. Tak tedy, moja Wando, opuściłam cię, żeby wszelką swobodę wnoszącym i przybywającym zostawić — lecz jak raz wstałam, tak mi znów trudno było drugi raz zasiąść i dalej pisać — aż tu przed godziną, gdy właśnie do drugiego dworu na śniadanie poszłam, list mi od Ciebie, jak surpriza prosto z nieba, spada — zaraz się potrzeba w najspieszniejszej odpowiedzi znalazła. Najpierwej powiem ci, że mi się coś po dawnemu w dołku zagotowało, jak przeczytałam, że Wójcicki o podpisie Gerwinusa zawyrokował<sup>321</sup> — już ja ci ręczę, nie jest to bez kozery, albo chce cię od razu zniechęcić, albo jeśli uprojektował sobie, że cierpliwą i nieśmiałą znajdzie w tobie ofiarę, to chce na korzyść czyjąś twoją bezimienną wyzyskać. Przeszłam z nim zupełnie podobną historię — onego czasu może nie raz słyszałaś ją ode mnie, lecz widać żadnego śladu nie zostawiła ci w pamięci, kiedy<sup>322</sup> nawet Szabrańskiemu powieści moje *in spe* obiecujesz. Wszakże

<sup>321</sup>Wójcicki o podpisie Gerwinusa zawyrokował — dzieło Gerwinusa o Szekspirze, które tłumaczyła Wanda, a którego ogólny wstęp ukazał się w „Bibliotece Warszawskiej”. [przypis redakcyjny]

<sup>322</sup>kiedyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]



to do zbrzydzenia mi autorstwa najwięcej się przyczyniła pewna trójka, w której Wójcicki ze swoją „Biblioteką Warszawską” pierwszy numer, a Jaworski drugi numer trzyma. Ostatniego nieboszczyka już nie wymieniam, bo kiedy pierwszej ode mnie umarł, to musiał się lepiej Panu Bogu w innych względach zasłużyć i nie chcę z nim choćby w najpoufniejszym zwierzeniu się prawować. Wiem, a pomimo tego, że gdybym miała silniejszy pisarski temperament, trzy takie zawiania jeszcze by mię o paraliż nie były przyprawiły, lecz że u mnie żyłka piśmiennicza nadzwyczaj była delikatną i cieniutką, od byle czego się zerwała. Wstręt mi ogarnął do wszelkich redakcyj, do wszelkich wydawnictw, a jak potem naleciało innych rozkładowych pierwiastków, tak już wszystko bezpowrotnie przepadło. Choćby mi dzisiaj możliwym się stało drukowanie bez cenzury, własnym kosztem, wszystkiego, co zechcę tylko, cóż bym dla drugich dać mogła, kiedy nie mam dla najbliższych moich, a najczęściej nie mam dla samej siebie nawet. Jestem pewna, że ty nie zrozumiesz tego wyrażenia — co to znaczy nie mieć dla samej siebie nawet? No, spróbuję wytłumaczyć; dla publiczności ma się wyrób myśli, dla ukochanych jej materiału, dla samych siebie ma się organ myślenia. Czy jesteś dostatecznie objaśniona? — wątpię. Ty, co chorujesz na przerost tego organu, nigdy sprawy zdać sobie nie potrafisz z jego braku — za to jednak, bądź spokojna, za to nigdy do ciebie nie będę miała pretensji, owszem, bardzo szanuję taki gatunek niepojętności — ale złożmy to *ad acta*. Czym innym zgorzę cię daleko racjonalniej, oto przyznam się, że „Biblio[teki] War[szawskiej]” nie czytuję, a nie z urazy do Wójcickiego, broń Boże, tylko po prostu że od dwóch lat nikt jej w kółku moich wiejskich znajomych nie prenumeruje, a też na ten *expens* dotychczas żadnej jeszcze nie poczułam ochoty. Wyrażenie Kraj... doskonale. Kiedy się z nim spotkasz, to pomyśl sobie, że chciałabym go w uniesieniu wdzięczności poczęstować kieliszkiem najwytrawniejszego wina albo jakim ulubionym jego przysmakiem — tyłkoż nie powiadaj mu tego, bo my z panem Aleksandrem, dla różnych przyczyn i zawiślań, „ignorujemy się” (według przyjętego wyrażenia) wzajemnie — chociaż bardzo mi się podobało jego tłumaczenie *Fausta*. Chociaż i teraz wyraził się tak dowcipnie o „Bibliotece”, zawsze wolę nie spotykać go na mojej drodze; jest to jedna z pociech, wynadgradzających oniemiałość Gabrielli. Gdybym pisała, jestem pewna, że bym się skusiła cośkolwiek w „Bluszczu” umieścić; a gdybym umieściła, to bym stanęła pod sądem p. Kraj... i ta myśl, a wewnątrz użyte wizykatorie, na jedno by mi wyszły. Lecz choć w okolicy naszej „Biblioteka” się nie pojawia, mam nadzieję, za twoim lub Julii pośrednictwem dostać przynajmniej z Gerwinusem zeszyty. Polcia za parę dni będzie w Warszawie, to byle na Marszałkowską odesłać, wkrótce do mnie przyplyną. Układu z Wendem bardzo jestem ciekawa. Pierwszy raz w życiu twoje skrupuły nie wywołały mego oburzenia. Nie dziwię się, że ci przykro wziąć się do pracy, dla której nie masz uznania; ale się dziwię, że tak ogólnie w jednym słowie wszystkie bajki potępiłaś. Czy wschodnie z tysiąca nocy są dla dzieci bardzo właściwe? to inna kwestia — znam prosty przekład — nie znam Grimma układu — ale to pewna, że bajkom najszcześniejsze chwile dzieciństwa mego i najpiękniejsze a najniewinniejsze zarazem wizje lat młodocianych zawdzięczam. Ile żywiołu bajkowego fermentowało jeszcze we mnie, gdy pisałam *Pogankę* — ile gdy o napisaniu *Lilii* myślałam, to dziś jeszcze we wspomnieniach rozróżnić mogę. Niech ci moje wyznanie na zachętę posłuży — jeśli prawdą jest, że *Poganka* łaskę w oczach Pani mojej znalazła. Co zaś do ścisłej moralności zasad, na to nie mam żadnego argumentu; o ile sobie przypominam, niewiele dałoby ich się z tego diamentowo-rubinowo-szmaragdowego owocu wycisnąć; ale maleńkie osobiste spostrzeżenie pozwolę sobie przedstawić, jeszcze nigdy w życiu nie widziałam ani dziecka, ani starszej osoby, co by z czytanej powiastki, z widzianej na teatrze sztuki jakie zastosowanie do prowadzenia swego żywca wyciągnęła. Dla starszych może piękna literatura dostarczyć tematu na wiele płytkich czy głębokich przy herbacie dysertacyj; dla dzieci ogranicza się po prostu chwilą przyjemności. Jej wpływ na umysł i serce, to frazes oklepany, bardzo wygodny, posiłkujący deklamatorom, recenzentom itp. gatunkom ludzi; ale moralność! obyczajowość! właśnie by też ona od tyłu bredni, czy tam owej troszki arcydzieł zależała. Książki — według mego spostrzeżenia — pamiętaj, Wando, skromnie się wyrażam, *c'est à prendre ou à laisser*<sup>323</sup> — książki nie podanym słowem, tylko wywołanym wrażeniem, pośrednio na moralność wpływ swój

<sup>323</sup>*c'est à prendre ou à laisser* (fr.) — można to przyjąć lub zostawić (pominąć). [przypis edytorski]

objawiają. Są temperamta, którym najwzsteczniejsze nie zaszkodzą, są inne, którym sielanka Pawła i Wirginii zgubną się okaże. Na to nie ma żadnej miary; lecz pomijając dział różnych paradoksalnych i ortodoksyjnych utworów — żeby się ściśle wschodnimi bajkami ograniczyć — to ci według mego doświadczenia powiem, że one w nikim nigdy nie wywołują czynności logicznych władz umysłu; działanie ich tak stanowczo na ubarwieniu wyobraźni się kończy, że na inne odcienia *wrażen* nic a nic nie zostaje: skarbiec obrazków, nie pojęć — nie upodobań nawet. Ciekawam, czy ci to wszystko, co tu rzuciłam w pobieżnych półsłówkach ulży trochę na sumieniu i z grzechu tak zwanej przez ciebie niekonsekwentności<sup>324</sup> choć o jeden rzemyczek rozwiąże? Pomyśl tylko, że tłumaczysz same abstrakcje! nie zieloną wstążkę np. dyjamentową szpilkę — tylko zieloność, blask, światło, promiennosc itd.

Co do języka polskiego, kiedy się w nim dość samowładną nie czujesz, to ci poradzę kilka rzeczy, które mnie samej onego czasu najskuteczniejszymi się okazały. Francuszczyzna bardzo mi przeszkadzała; mówiłam, co prawda, czysto i poprawnie z natury, ale kiedy się do pisania zabierałam, pierwiej zwykle francuską formę niż polską miałam na pogotowiu. W listach, gdzie mi tylko o jak najspieszniejsze przesłanie bieżącej myśli chodziło, albo całe ustępy, albo przynajmniej wyrażenia tu i ówdzie francuskie umieszczałam. Początkowe ustępy, choć, dzięki Bogu, nie znać tego, sama w sobie z francuskiego pomyslenia na polskie wypisanie tłumaczyłam. Upokarzało mię to bardzo; zadałam więc sobie na jakiś czas czytanie polskich, a do tego starożytnych autorów. Jednym ciągiem, bez przerwy, przewertowałam Reja, Kochanowskiego i Górnickiego; ten ostatni był mi najpomocniejszy. Potem, trochę później, uważnie przeczytałam małą rozprawkę Brodzińskiego (szerokich i długich nie lubię); znalazłam w niej pełno dobrych, przystępnych i najpraktyczniejszych uwag. Wszystko razem nie stawilo mię na wysokości filologicznej, badawczej gramatyki Małeckiego, jednak ludzie więcej ode mnie nie wymagali. Ty, że później przychodzisz, powinnaś i z p. Małeckim się rozprawić; ale zdaje mi się, że lepiej wyjdiesz, jeśli moich sposobów nie pominiiesz. W dodatku jeszcze chciałabym cię przestrzec, żebyś o nowoczesnych autorach ile możności starała się zapomnieć. Im bliższy styl twego usposobienia, tym niebezpieczniejszy, bo mimowolnie się przejmuję; o to chodzi właśnie, żebyś jak najswobodniejszą się stała, żebyś po swojemu odcinała okresy, łączyła lub rozłączała zdania, tworzyła spadki, rytm twojej prozy, gdyż to jedynie nada jej osobistości twojej charakter. Po takim maleńkim przygotowaniu, jeszcze rada ostatnia: zdaj wszystko na los szczęścia, nie myśl wcale o stylu, myśl głównie o przedmiocie, który cię zajmuje; staraj się go przedstawić, jak gdyby ci wiele zależało na pozyskaniu dla niego czyjegoś uznania i niech w świat idzie. Czemu byś do jakiegoś nieznanego, co się *publicum* zowie, tak pisać nie miała, jak do mnie pisujesz? Mnie się twoje listy bardzo podobają; pominąwszy sentyment i na bok odłożywszy różne protestacje, listy jako rzecz piśmienna bardzo mi się podobają.

Kiedy się nie czujesz usposobioną do tłumaczenia Maxwella i Casel Richmond, powiedz Julii, niech to Sikorskiemu do felietonu poradzi, bo rzecz właśnie na czasie i teraz wielce by mogła objaśnić położenie Irlandii, o której rozprawiają w gazetach i parlamencie.

N.B. Koniecznie bym chciała, żebyś choć za najlichszą cenę na początek z Wendem się ułożyła, a to dla pokazania „Bibliotece” i innym redakcyjom, że zaczynasz być od nich niezależną. Już taki jest ludzki obyczaj, że wszyscy tych potrzebują, którzy się zdają ich nie potrzebować. Ile razy miałam co do wydrukowania, to się z tym ofiarowywać musiałam; a jak tylko przestałam pisać, zaraz całą kolekcję wezwań i próśb nader grzecznych uzbierałam do mego archiwum. *Zapytania* i *Białą Różę* „Gazeta” prawie z łaski za protekcją przyjęła; zawsze mi mówiono, że to dla ogółu czytelników niezdatne. Juścić mieli słusność; ale wątpię, żeby teraz ogół się tak zmienił, więc czemu mię zaczepiają? Pamiętaj wystarać mi się „Biblioteki”, a prócz tego wszystkie jak tam jesteście rozumne i literackie kobiety mogłybyście przecież dostać skąd dla mnie dramatów Szujskiego. Wstyd, moje drogie, że same pierwiej nie pomyślałyście o tym, bo przecież wam się on lepiej niż mnie podobał. Obchwaliliście go, że taki piękny, dowcipny i miły, a tylko ja szczerze się tym zajęłam, żeby go w dziełach jego pochwalić. Prosiłam Paulinki, żeby za nimi w Krakowie

<sup>324</sup>niekonsekwentność — dziś popr.: niekonsekwencja. [przypis edytorski]

się obejrzała, ale czy zapomnienie, czy trudność dostawy — koniec końców spotkać się z nimi nie mogę. Sumiennie powiadam, że to wasz obowiązek, a szczególnie Matyldy, byście je choć spod ziemi wydobyły.

Pokłon i uścisk wszystkim trzem admiratorkom.

Jeśli się nie domyślisz, dla kogo jeszcze w twojej ręce i na twoich policzkach uściski składam, to chyba nie warto, że się od kilkunastu lat znamy!

## CLV

*[Dębowa Góra] 3 maja 1870, wtorek*

Na tymczasem, póki mi nie odpiszesz, Wando moja kochana, i póki ja ci podróży mojej nie opowiem — zrobię ci — albo nie, właśnie żadnych wymówek ci nie zrobię — tylko poproszę cię bardzo, żebyś mi doniosła, czy znasz kogo w Warszawie, co by się podjął z białej arkuszonej sylwetki czarną zrobić. Jeśli takiego artystę znajdziesz, to ci kiedyś daruję moją sylwetkę z 22-go roku mego życia. Najniespodzianie odnalazłam ją dzisiaj i zaraz pomyślałam, że jeśli nie ja, to ty jej będziesz rada — ale zgniecionej nie chcę posyłać — dopiero prawdziwie czarną — jak to bywają.

Już późno — Julia ci dopowie ogólnie; co jej o moich odwiedzinach wspomniałam i dlaczego dłużej nie piszę. Tylko mam czas na jeden — no, na dwa uściski — na trzy i dla siostry.

## CLVI

*[Dębowa Góra] 3 czerwca 1870*

Wando moja serdeczna. Donoszę ci najpierwej, że, według doli mojej, nie zastałam koni w Skierniewicach, chociaż były na ten sam pociąg wyprawione, ale młodzieniec furman osądził chyba w domysłach swoich, że się nie stawię na dzień oznaczony i znalazł sobie i wolantowi miłsze jakieś zajęcie. Niezbyt jednak ucierpiałam na tym, bo mi z folwarku dostarczono sposobu wygodnego do Dębogóry powrotu. Przez dwa dni lub raczej przez dwie doby, odespałam czterdzieści godzin. Jeszcze nie musi to być cała zaległość, bo mi ciągle woda na mózgu ciąży. Bądź co bądź, wczoraj, otrząsnąwszy się trochę z tej mgły angielskiej, wzięłam przede wszystkim bajki twoje i Szecherazady do ręki. Tutaj muszę przeprosić, jeśli się jak szara gęś porządziłam. Zaczęłam ołówkiem poprawki znaczyć; ale przyszło mi na myśl, że ty może już przepisywać nie będziesz, więc moja usługa więcej szkody niż pożytku przyniesie. Posyłam ci pierwszy arkusik na próbę; może, co uznasz niezupełnie, wytrzesz gumą elastyką i swoim piśmem zastąpisz; a czego nie uznasz zupełnie, z papieru wywabisz. Nie lękaj się, choć ten specymen bardzo połówkowy wygląda. Znać, że póki się nie rozmachałaś, póty szło ci trochę szorstko, ale jak dalej czytałam, widzę, że są jedynie owe drobne błędy *a*, *i* lub tym podobne, o których poprawę ja się niegdyś w mojej pracy do ciebie zgłaszałam: cudze oczy zawsze prędzej dojrzeć je mogą. Czekam rezolucji — informacji i dobrego słowa.

## CLVII

*5 lipca 1870, Kruszewo*

Wando moja, w tej chwili wracam z Kowaleszczyzny, gdzie Marynia oddała mi cały pakiet książek i list twój tak pośpiesznie pisany. Była to prawdziwa surpriza; nigdy się nie spodziewałam, żebyś już mogła z przesłanej notatki korzystać. Gdyby nie to, że się chcę równym pośpiechem odwdziżyć, a pominąwszy lekkie strudzenie przejażdżki, już dość jest późno i list na jutro gotowy mieć muszę, bo rano wyprawiają posłańca — gdyby nie to, moja Wando, szeroko bym się z podziękowaniem rozpisła. Było trochę aż zgryzoty sumienia w mojej wdzięczności, lecz inną razą wytłumaczę ci dlaczego; dzisiaj uściskam tylko serdecznie i powiem, co się tu ze mną dzieje. Zaczynając od chwili rozstania miałyśmy z siostrą wcale przyjemne sąsiedztwo wagonowe, jakąś uczennicę

panny Teresy, która z wujem swoim na wakacje w Augustowskie także jechała. W Łapach skrzyżowałyśmy się z Marynią, nic o tym nie wiedząc; ale konie czekały na nas punktualnie. Po deszczu i błocie, wolniuteczko, wolniuteczko, zajechałyśmy na koniec do Kruszewa. U państwa Ludwików Lewińskich zastaliśmy pp. Gloger z całym gronem kowaleszczowskich wnucząt i główny korpus dębogórskiej osady. Michaś, którego niegdyś cherubinkiem przezwałś, już wyrósł na asmodeuszka; lecz Zosia mię skokietowała. Jeszcze mi się nie zdarzyło spotkać dziecka, co by tak wyraźnie i zawsze do sensu w trzecim roku (ach! i w późniejszych latach) mówiło! Starszym jej braciom jeszcze się nie przyjrzałam, ciągle po polach hasają, na koniach płasają i z pokoju uciekają. W Kruszewie domek drewniany, obszerny, każdy ma swój osobny pokoik, a ja mieszkam znowu w osobnej oficynie, bliżej tylko niż w Dębowej. Ogród bardzo zielono wygląda, ale że niskim terasem od dworu do niego się zstępuje, więc mię nie zaciekawił, bo i tak widzę cały roztoczony przed sobą, a wilgoci się lękam. Na horyzoncie i z boku ukazują się wiatraki i dzwonnice sąsiedniego miasta Sokoły. Z tych Sokołów bywają tu często na preferans dwaj księża i jeden pan rejent — czy sokoły? Na pana rejenta patrzyłam z przypomnieniem planu owej niedokończonej powieści. Mógłby być takim jak mój, ale nie jest. Wczoraj dano znać, że Marynia z Jadwisią, prędzej niż ich się spodziewają, wróciły. Pani Kornelia zaraz się tam wybrała z dziećmi — a my dzisiaj na przywitanie. Już raz w 63-cim widziałam Kowaleszczyznę, ale nie miałam czasu wspomnieć ci nawet, jakie to w swoim rodzaju piękne wiejskie mieszkanie. We czwartek Marynia po mnie przyjeżdża i zabiera mię z sobą na resztę wakacyjnego czasu. Wtedy dokładniejszych szczegółów ci udzielię. Jest tam córka po niedawno zmarłym bracie pana Romana — Anielcia — kaleka z bezwładnymi od ramion do łokcia rękami — chciałabym, żebyś ją widziała — obrazek, który by się dał w ramy ślicznej powieści oprawić — tylko niepewność co do treści. Nikt o niej nic nie wie — a taka twarz znacząca.

Reszta na później — czy już do Ludzimierza? Spodziewam się mieć list przed twoim wyjazdem — choć może właśnie dlatego że się spodziewam, to nie dostanę. Mnie wszystko najlepsze niespodziewanie zawsze spotyka — mogłabym dodać i tylko niespodziewanie.

N.B. Byłabym arcyważnej zapomniała rzeczy: odebrałam *He know he was right*, tomów 3; *Yorke* — tomów dwa; *Phineas Finn* Trollopa tom tylko drugi — a z tytułu widać, że ma być trzy — paczka była nienaruszona, nierozwijana — mogłam z zawiązania i podpisu poznać — więc chyba pomyłka w księgarni.

Pani Lewińska utrzymuje, że teraz jeszcze ładniej wyglądasz niż onego czasu w Olszowej.

## CLVIII

30 lipca 1870, Kowaleszczyzna

Za to, że się bardzo twemu listowi ucieszyłam, Wando moja kochana, dłużna ci jestem prędką i obszerną odpowiedź, chociaż wątpię bardzo, czy dla ciebie równie zajmującą być może, jak dla mnie zajmującymi są zwykle wszystkie przez ciebie udzielane szczegóły. Ty, kiedy piszesz do mnie, wspominasz zawsze o rzeczach i osobach, które nas wspólnie obchodzą, masz koło siebie moich znajomych, snujesz się wśród wiadomych mi okoliczności, żyjesz dalszym ciągiem jakiejś chwili mego własnego życia, gdy, przeciwnie, po mojej stronie wszystko jest tobie obcym i gdyby nie ja sama, zupełnie obojętnym by było. Nie ma więc równowagi: — ach! tej równowagi, brakuje mi dzisiaj w każdym prawie stosunku. Ci, z którymi jestem, nigdy ze mną nie są zupełnie. Ale trudna sprawa; jeśli nie treść listu, wiem, że przynajmniej widok koperty miłym ci będzie. Sprawozdanie zaczynam od chwili pożegnania. Dostał nam się ciasny, gorący, niewygodny wagon, ale towarzystwo bardzo przyjemne: jakiś staruszek wiozący na wakacje swoją wychowankę czy siostrzenicę z pensji panny Teresy. W Łapach konie już na nas czekały, i wolniuteczko, bo p. Lewińska strasznie się boi, zajechałyśmy do Kruszewa. Prócz państwa Ludwikostwa, była jeszcze pani Gloger z całą gromadką dzieci, kowaleszczyzna ma się rozumieć bez Jadwini, bo tej jeszcze z Poznania nie sprowadzono, i państwo Leonowie z Kaziem i Marychną. Domek choć drewniany, ale tak obszerny, że dla każdej z poważniejszych

figur na osobny pokój wystarczyło; ja tylko miałam w drugim dworze o kilkanaście kroków pomieszczenie. Wszystko i wszędzie ładnie, świeżo urządzone, ogród wprawdzie bez owoców i kwiatów na to pierwsze lato, bogaty jednak w drzewa, cienisty, od wzgórza na pochyłości ku łąkom spadający, zieloności i chłodu pod dostatkiem. W ogóle cała tutejsza okolica ma wdzięki na miarę mego gustu. Juścić wiem i czułam to, że Kościeliska dolina bez porównania piękniejsza, ale w Kościeliskiej dolinie czułam i wiedziałam, że mi połowa jej skarbów przepada dlatego jedynie, bo ich dojrzyć nie umiem. Tutejsze krajobrazy odpowiednie moim zdolnościom, każdy jest mi przystępny, zrozumiały, potrafiłabym ci go wytłumaczyć — może dlatego, że się od dawna zaznajomiłam z tym rodzajem. Pierwsze lata po wyjściu z pensji i znów pierwsze po powrocie z Francji tutaj mi upłynęły. Wrażenie padło na dwa początki epok biograficznych, a zresztą, jak powiadam, nie stać mi na Karpaty. Są ludzie, którzy na wskroś się przejmą piosnecką ludową, a nie użyją Mendelsoņa; którzy ocenią każdy wiersz Brodzińskiego, a nie zachwycą się *Kordianem*. Do takiej klasy ludzi pod względem pejzażów należę. Byle drzew dużo i trochę wody, to już mogę z niewysłowioną błogością zagapiać się po godzinach całych. Zagapienie się jest trochę pono nieparlamentarnym wyrazem, ale najdobitniej malującym skutki wywieranego na mnie przez naturę wpływu. Nie uwierzysz, moja Wando, jak się tego dawniej wstydziłam. Moi najlepsi onego czasu koniecznie mi zapędzali, żebym się starała na chwałę bożą a pożytek ludzki przyjęte wrażenia obrócić. Raz, pamiętam, w liście do Zopot pisany, Jurgens mi mówił, jak to on sobie wyobraża, co ja tam nad brzegiem morskim zbieram sobie do duszy; ach! i Seweryn jeszcze miał nadzieję, że mi Tatry za objawienie staną: tymczasem dla mnie punktem kulminacyjnym rozlubowania się — jest, dajmy na to, hipnotyzm — patrzę, czuję jakąś przyjemność, ale nic nie myślę. Dopiero od lat kilku, jeśli myślę, to zawsze o umarłych wspominam: czy im by się to podobało? co oni by powiedzieli? jak by im było tutaj? Z nimi stałam nad łąką w Kruszewie, z nimi się kilka już razy po kowaleszczyńskim ogrodzie przeszłam. Ale, wracając do sprawozdania... Przez trzy dni gwarno było w Kruszewie; chłopcy na koniach dokazywały, a było ich pięciu w szrankach. Biedny Tadzio przez szyby tylko zazdrośnie wyglądał, bo go znowu ból reumatyczny w karku na jedną stronę przekrzywił; jest to najslabowitszy, a najzdolniejszy i pod względem charakteru najwięcej obiecujący z dziecinnej generacji. Kiedy zdrowy, to umie dokazywać i na koniu wcale nie gorzej od starszych braciszków się trzyma, ale gdy mu siedzieć w domu wypadnie, lepiej i pożyteczniej, a nade wszystko wytrwalej od nich książką zająć się potrafi. Inni wszyscy, jak się od lekcji wyrwą na swobodę, tak już nie spojrzą nawet w tę stronę, gdzie co drukowanego leży, i rozmowy starszych słuchać nie lubią, jeśli (co niezbyt też często się zdarza) ma trochę poważniejszy nastrój. On jeden wyjątkiem — Michaś, którego pewnie przypominasz sobie, zbrzydł bardzo; to jest zmienił się raczej, bo nie brzydki wcale, widać nawet, że będzie bardzo przystojnym, ale taki inny od tego, cośmy w Warszawie widziały, że mógłby mi się za jakieś obce dziecko uchodzić. Czyta gładziej od niektórych dwunastoletnich studentów, pisze w dwóch wąskich liniach, pojętny bardzo, niekoniecznie bystry, ale wszystko, czego się nauczy, poza nauką pamięta. Jeśli go dobrze poprowadzą i nie zniechęcą, to może być kiedyś do lepszych głów zaliczony; tylko martwi mi trochę, że mu z oczu coś niedobrego patrzy. Miał dawniej takie dowcipne oczki, teraz są zanadto przebiegłe i podobno też kłamię czasem, wykręca się, jeśli co zbroi. Dla mnie taki symptomat bardzo jest groźnym, bo wiedziałam go na wielu egzemplarzach w pełnym rozwinięciu. Najmłodsza córka Maryni, trzechletnia Zosia, zupełnie nowa znajomość moja, nadzwyczajnie mi do serca przypadła; nie piękna, ale taka śliczna, że każdy może się na jej powierzchowności oszukać i za ładniejszą, niżli jest, uważać. Szczebiotka, żadnym pytaniem nie zakłopotana, swoim pięcioletnim rozumkiem imponuje doprawdy. Chciałabym ci ją pokazać, bo to trochę w gatunku waszego Kazia, takie zdrowe, czerstwe, rumiane, tylko jaśniejszej barwy i niebieskich oczu. Państwo Leonowie z dziećmi najpierwej wyjechali, potem pani Gloger zabrała małych Rostrowskich i pojechała do Kowaleszczyzny na spotkanie wracającej z Jadwisią matki; potem my wszyscy z Kruszewa, ja na zostanie już, a reszta w odwiedzin. Przy powitaniu gospodyni domu i młodej pensjonareczki, schowała się pani Lilia na surpryzę. Wiedzieliśmy, że ma przyjechać, ale nie wiedzieli, że już przyjechała. Stefcia ma być przez ten miesiąc w Dębowej, matka zaś w Kruszewie. Dla mnie Kornelia z Marynią przygotowały śliczny, cichutki, a znowu w drugim, starym dworze pokoik. Właściwie mówiąc, dwa pokoiki,

tylko że pierwszy jest pusty i na rzeczy przeznaczony, a drugi obfituje w stoliki, półeczki, kanapkę itp. Okno na ogród, przed oknem wielka topola i masy trzech rozchodzących się szpalerów — a w szpalerach jakie lipy! jakie świerki! a na przecięciu jakie stawy — a od stawów jaka perspektywa daleka. Przez ogromną sien, bo to archeologiczny budynek ten dwór stary — w sieni byś mogła czterokonną karetą zawrócić — więc na przestrzał z jednej i drugiej strony widzisz przepyszne aleje — jak oko zasięgnie. W głębi, za stawami, tak zwana „dziczyna”, gęste zagajenie, które już raz zwiedziłam, ale do którego jeszcze co wieczór po kolacji wybrać się zamierzam na sowy — nie z fuzją, broń Boże, tylko co najwięcej z jakim światełkiem, bo to je płoszy i z miejsca porusza tłumnie, a jest ich moc niezliczona, mniejsze, większe i bardzo duże. Nie wiem, czy ci wspominałam kiedy, że mam wielką do tych ptaków sympatię. Szczęściem jednak zwykle ich sąsiadki, nietoperze, wcale tutaj nieobfite, jeszcze żaden do mnie nie wleciał, choć po całych nocach okna miewam otwarte. Jaskółek za to pod dostatkiem, w sieni u belek gniazdko sobie ścielą. Gołębi trochę do zbytku, bo i w tej chwili gruchają mi nad uchem wcale nie harmonijnie. Godzi się jeszcze wspomnieć o wysepce, którą by można bardzo ładnie urządzać, i o wysokim sitowiu, głębizną jakąś tajemniczą zarastającym. Od inspektów nieznaną furtka się otwiera i po kilku stopniach schodzi się do wody ukrytej wśród tego lasu trzciny o szerokich liściach. Na pierwszy rzut oka tak to się dramatycznie przedstawia, że mimowolnie do myśli ci przychodzi, jakie ramy wygodne do popełnienia zbrodni widzisz przed sobą. Marynia aż nie lubi o tym mówić, żeby przypadkiem złemu człowiekowi złej myśli nie nasunąć; ale bo tam jeno trupa rzucić, a po dzień sądny śladu nikt nie znajdzie. Kto wie, miejscowość, z drzew miarkując dokoła, bardzo starożytna, a ludzie przecież rozmaici tu żyli; mogło być wielu między nimi okrutnych, namiętnych, nikczemnych, kto wie, czy już tam na dnie ofiar jakich kości nie kamienieją? N.B. w okolicy są torfiarnie, do p. Romana właśnie należące; byliśmy tam, bo jeszcze żadnej eksploatowanej torfiarni nie zwiedzałam. Ciekawe i zajmujące rzeczy; kiedy się jedzie, to grunt pod kopytami końskimi dudni jak na moście, a kiedy się idzie, to tak miękko jak po materacach stąpasz. Ciągłe się zdaje, że powinnaś zagrzęznąć, i ciągle suchą nogą dalej postępujesz. Przy kopaniu znajdują czasem kły dzików i pewnie inne szczątki zwierząt paleontologicznych, ale nie cenią sobie tych zabytków; już to wielka łaska, że nie zmarnowano kamiennego toporka, który się w jednej z głębszych warstw nawinał. Prawda, że pod względem człowieczych pamiątek, całą okolicę tykocińską bardzo ucywilizował młody synowiec mego szwagra, Zygmunt Gl[ogier]<sup>325</sup>, o którym to mi Szujski z takimi pochwałami wspominał, bo się z sobą zaznajomili. Ugrzązł, jak się zdaje, w koterii pana Wincentego; ale prócz starożytności, niewiele go wszelkie sprawy ich obchodzą. W domu rodziców ma swój skład od dzieciństwa, tj. przynajmniej od ósmego roku życia zbieranych osobliwości. Zrazu były to rupiecie, drobiazgi, potem coraz ważniejsze i ciekawsze przedmioty, na koniec teraz utworzyło się muzeum maleńkie, w którym znawca miałby na kilka dni do oglądania i badania przedmiotów, a nieznawca może raz po raz kilka godzin z przyjemnością spędzić. Wszyscy chłopci już wiedzą o tym, że jeśli orząc lub chodząc po polach, znajdą jakiś ułamek niezwykajny garnka lub żelastwa starego, jaką monetę lub paciorkę, to wszystko trzeba do Jeżewa odnieść. Z obywateli także, kiedy któremu czy pergamin, czy szpargał jaki, czy druk stary pod rękę wpadnie, to już nie ma sumienia na pastwę myszy i szczurów go zostawiać, kiedy mu tak łatwo tanim kosztem ogromną przyjemność sąsiadowi zrobić; więc przywozi i darowyywa, czasem wymienia za coś pożyteczniejszego dla siebie, a zbiorek ciągle narasta. Dodaj do tego prawo chemicznego powinowactwa, na mocy którego zawsze silne upodobania przyciągają do siebie odpowiednie i zadość im czyniące przedmioty, a łatwo wytłumaczysz sobie, jakim sposobem z małymi środkami do wielkich rezultatów pod względem kolekcji przyjść można. Wando! co to za szczęśliwi ludzie są na świecie, ci wszyscy, którzy się z organem kolekcyjności urodzili! *La bosse de la collectivité* — Gall i Spursheim wyróżniali go zupełnie osobno na czaszce człowieka i musi być wrodzoną, nie nabytą, a jaką kosztowną! jaką kosztowną władzą! Pomyśl tylko, nosić w duszy ciągle niezmienną się, nietępiącą, owszem, z czasem i wiekiem do namiętności potęgującą się zamięłowania, cele, pragnienia, i ciągle możliwość lub materiał

<sup>325</sup>Zygmunt Gloger — późniejszy autor *Encyklopedii staropolskiej* i innych prac z tego zakresu. [prypis redakcyjny]

przynajmniej zdolny owe pragnienia nasycić. Zazdrościłam niegdyś księdzu Wyszyńskiemu dni jego życia nad mikroskopem spędzonych, lecz to jeszcze w porównanie nie idzie, jak Zygmusiowi lat jego przeszłych i przyszłych zazdrościć. Ile to uciech, a ile spokoju! W siódmym niebie pobożnym duszom nic przecież lepszego na przynętę nie obiecują, tylko radość niezmienną, wśród niezmiennej spokojności — o tyle wyższą od radości kolekcjonistów, że dłużej trwającą!... No, moja droga! co myślisz, gdybyśmy się obiedwie do zbierania jakiej kolekcji wzięły?... Próbowałam już kilka razy na własną rękę, ale mi się nie udawało. Tymczasem zaczęłam próbować różnych wypracowań i czytań i naukowych gimnastyk z Jadwinią. Prawdę mówiąc, po to głównie tu przyjechałam, ale nie wiem, czy mi się uda, lub raczej wiem już z pewnością, że mi się nie uda. Trochę za późno pod jednym względem, trochę za wcześniej pod drugim. Nie mogę ją zająć „nowością nauki”, bo już się z nią oswoiła aż do znudzenia, prawdziwie po pensjonarsku; a nie mogę też dalszym kierunkiem, wspaniałą panoramą ogólnych widoków zachęcić, bo jeszcze sama w sobie tęsknoty ku nim nie uczuła. Chce jej się tylko biegać, dokazywać i pewnie, gdyby matka na wodzy nie trzymała, to by o lepsze z chłopcami ścigać się mogła. Lubi „pasjami” konie, a po koniach wszystkie inne domowe stworzenia; ma swoje kurki, cielątka, jagniątka, zupełnie by ze dworu folwark zrobić chciała, gdyby jej tylko pozwolono. Do wszystkich łysych wypraw koleżka jedyny! Bardzo się kochają z Anielcią, stryjeczną siostrą, która po śmierci ojca wraz z bratem tutaj na stałe już ma mieszkać. Są to dzieci pierwszej żony nieboszczyka pana Adama. Chłopiec nie zdaje mi się arcy-bystry, lecz dziewczynka starsza, czternastoletnia, nadzwyczaj interesująca brunetka. Choć nie powiem, żeby korzystne było jej towarzystwo dla Jadwisi — pedagogicznie rzecz tę uważając — ale powieściowo — jest materiał na studium. Obiedwie zawsze przed obiadem pracują niby trochę ze mną; otóż, co mi się rzadko zdarza, nic a nic nie mam pretensji do Anielki, żeby ona stąd jakąś korzyść odniosła. Będzie z niej coś, lecz to jedynie, co sama z siebie robi, a robi pod względem charakteru więcej daleko niż pod względem umysłowego wykształcenia.

Miałam zamiar chronologiczniej ci ułożyć historię spędzonego tutaj miesiąca, lecz wciągnęłam się w epizody rozmaite, a co więcej ci powiem, wcale pewna nie jestem, czy bym ci wiernie daty i porządek przedstawiła. Tak prędko teraz dni ubiegłych zapominam, że przy końcu tygodnia już nie pamiętam, co w poniedziałek robiłam. Zdarzeń wybitnych tak mało na życie przypada, a do powszednich tak coraz mniej niteczek mię wiąże! Kiedy ci powiem, że się z Kruszewem niezbyt częste wymieniają wizyty, a do Jeżewa raz się tylko stąd wybrano; że kłopoty majątkowe bardzo ciężkie, pomimo skarbów w ziemi takich, że tylko do Belgii je przenieść, a na zbogacenie milionowe czterdziestu kapitalistów wystarczą; kiedy ci powiem, że Marynia moja, dawniej jasna, swobodna, wesoła, dziś bardzo smutna i zgnębiona, do czego też niemało stan zdrowia jej się przyczynia, bo za parę miesięcy spodziewa się przybycia siódmego gościa w swojej gromadce — a pan Roman<sup>326</sup> interesami zajęty mało w domu siedzi, nawet, że z sąsiedztwa nikogo nie poznałam — że proboszcza nie mam ochoty nawet poznać, bo zagorzały ultramontanin i klątwami grozi wszystkim, którzy o nieomyślności powątpiewać się odważą. Kiedy ci to powiem, wszystko już będziesz o mnie wiedziała, gdyż mam nadzieję, że reszty się domyślisz. Jako sobie przeszłoroczne wakacje wspominam; jako o Julci i jej dwóch paniczach mam raz po raz coś do opowiedzenia; jako chciałabym was uściskać serdecznie w tej chwili — tylko nie mogę was sobie bez Zosi wyobrazić — jako panu Adolfowi pozdrowienie przesyłam — jako mnie ucieszyła wiadomość, że jeszcze jest szparka, przez którą trochę nadziei, dla poleconego pana I. Z., wcisnąć się może — tego wszystkiego domyślisz się, moja Wando. Ale nie domyśliłaś się, jak widzę, że spodziewałam się od ciebie więcej wiadomości o różnych znajomych naszych: o panu Aurelim np. — o Słodyczce<sup>327</sup> — o tym panu, co to czytał Darwina i był Russomanem dobrej wiary — o księdzu proboszczu, którego lepiej cenić się nauczyłam przez porównanie z drugimi — no, choćby o tej żonie nieszczęśliwej, co dla dwóch zagonów dała się staremu mężowi zazdrośnemu wyswatać. Ja tam „trochę” z tymi ludźmi i miejscami na zawsze zostałam — z Dunajcem i Studencikiem ze smerekami i Cyganikiem małym. „Ach! kraina ta wszystka — jak w zwierciadle odbita — od

<sup>326</sup>pan Roman — Rostworowski. [przypis redakcyjny]

<sup>327</sup>Słodyczka — Góral, który bywał we dworze u Tetmajerów. [przypis redakcyjny]

człowieka do listka w mej pamięci rozkwita...”. Proszę cię też, jak mi przysyłasz niemieckie wiersze, to je przetłumacz zaraz choćby prozą, bo jakkolwiek to Hejne i twoją ręką pisany — choć na sercu położyłam, nie mogłam jeszcze odgadnąć, co znaczy *Eitelkeit* itp.

Jeśli się zobaczysz z panią Matyldą na wodzie czy na lądzie, w powietrzu czy podziemiach jakich, to jej powiedz, że list 8-go lipca pisany, 20-go odebrałam dopiero. Gdzie odpisem gonić, nie wiem — lecz gdy się dowiem, podążę. Na różne strony chciałabym to usprawiedliwienie moje telegrafować; bieda, że właśnie tyle telegrafów zerwanych! Nic sobie stąd dobrego nie obiecuję; owszem, co dzień smutne nad głupstwem ucywilizowanych ludzi odbywam medytacje. Pewnieć oni się czegoś potem nauczą; ale co by im szkodziło pierwej nauczyć się właśnie — tańszym kosztem, bez krwi rozlewu — a jeszcze krwi dobrej rasy!

N.B. Jeszcze się nie wyspałam od wyjazdu z Dębowej Góry; ciągle mi się spać chce. Muchy budzą skoro świt — przed muchami w ciągu dnia nawet zdrzemnąć się nie można. Nie wyobrażam sobie, żeby je Pan Bóg w raju stworzył — chyba się później z potopowego mułu wylęgły — nie ma na nie rady — ani trucizny ani szaspotów.

## CLIX

[Dębowa Góra] 21 października 1870, piątek

Później ci powiem wiele innych rzeczy, a teraz, że nie ma czasu do stracenia, więc ci piszę tylko co najpilniejsze, Wando moja kochana, wątpliwości *v* (niegramatycznie ale praktycznie). Szekspira podaj co prędzej; do *Atylli*<sup>328</sup> weź się zaraz dla „Biblioteki”; staraj się tylko porozumieć z góry o umieszczenie: np. zacznij trochę i powiedz, że masz jeszcze niewykończone, że trzeba ci wiedzieć, kiedy by mogli drukować. Ach! rzecz tak na czasie właśnie, śpiesz się.

Ja także się pośpieszę — a jak zimowe przybory „wyladuję”, to przyjdę cię uściskać.

Wiesz też przecież, co mi Julia i Kazia obiecały?...

## CLX

[Dębowa Góra] listopad, poniedziałek z rana, 1870

Polcia nagle znać mi daje, że za godzinę, za pół godziny może, do Warszawy jedzie. Otóż jest okazja, a twoich papierów nie ma jeszcze! Odebrałam je w sobotę wieczorem dopiero, wczoraj ledwie parę arkuszy przeczytałam.

1-o że było błoto — jak więc poszłam na obiad, już mi trudno było do mego pokoiku wrócić;

2-o taka we mnie bakałarska natura, że choć miałam szczerą intencję ogólnie tylko przesłać ci uwagi, jednakże gdy w czytaniu błęd jaki gramatyczny lub syntaksowy mi się nasunął, zaraz musiałam próbować, jak by to lepiej wyrazić się dało i dlatego czekać jeszcze będziesz, ale niedługo czekać na papiery.

W przyszłym tygodniu spodziewam się, że rąk twoich dojdą; tymczasem wyglądam przyobiecanego listu i różnych wiadomości o wszystkich naszych kochanych. Dość już biedy, że człowiek wiedzieć nie może, co się w Wersalu dzieje; gdyby też jeszcze nie wiedział, co w Warszawie na Miodowej ulicy — na Senatorskiej, Zielonym placu, Kazimierzowskiej itp. — to głowę sobie urwać chyba! A wszakże to trzeci tydzień mija od mojego powrotu i nie miałam ani słówka jeszcze. Nic — tylko początek twojej kartki — której koniec zdaje się coś smutnego zapowiadać. Czy się godzi podobne przestanki na wieść komu do medytacji przesyłać — Wando!...

## LCXI

[Dębowa Góra] 3 grudnia 1870, sobota

<sup>328</sup>do „Atylli” weź się zaraz (...) — *O Atylli i jego następcach aż do osiedlenia się Węgrów w Europie*, dzieło Amadeusza Thierry. [przypis redakcyjny]



Mam nadzieję, że wkrótce będzie okazja, która przynajmniej pilniejsze rzeczy zabierze, tj. książki, a raczej zeszyty z gramatyką dla Zosi i *Atyllę* dla ciebie. Za gramatykę jestem bardzo wdzięczna; praca sumienna i porządnie obrobiona; dla mnie szczególnie, nielubiącej się zaciekać w gramatyczne badania przedstawiała wiele nowych fakcików, co znów było rzeczą przyjemną, bo nadzwyczaj lubię nowość wszelką — choćby nowe piasku ziarnko!... Jest tam objaśnienie, według jakiego prawa układał się porządek liter; może to was nie obchodzi, bo w istocie nic a nic to na losy Europy lub choćby nasze osobiste, indywidualne umoralnienie nie wpłynie; ale jednak dało mi odpowiedź na bardzo dawno, pono jeszcze w czasie nauki, stawione sobie zapytanie. Okropnie byłam ciekawa czemu *Z* wysmukłe ma być ostatnie, a spaseł *B* prawie pierwsze. Później gdy mnie samej zdarzyło się elementarz układać, miałam półtora projektu, żeby zmienić kolej abecadła; niby nawet trochę zmieniłam, łącząc razem samogłoski, ale to wszystko bez zasady. Dziś, na zasadzie, przestawiłabym cośkolwiek w świecie przynajmniej; głównie tylko miej zasadę — i rób co chcesz. Swoją drogą, bardzo mi to cieszy, że się już nie będę uczyła czytać według zasady pana Malinowskiego i na słowiańskim abecadle. Prawdę mówiąc, i łacińskie nie było mi arcy-latwym; inne dzieci zwykle nie pamiętają ani kiedy, ani jak się czytać nauczą, ja biedna dziś jeszcze słyszę łające głosy, widzę przed sobą łzami skropione karty i na koniec pamiętam spóźniony dzień tryumfu, gdy nagle, z dnia na dzień, po bąkanym sylabizowaniu, zaczęłam czytać gładko, tak prawie jak później całe życie czytałam. Już od początku widać sądziła mi się najgorsza, najprzeciwiejsza nauce i porządkowi natura. Niczego pracą zdobyć nie mogłam; wszystko musiało przyjść samo z siebie, od razu, bo jak nie, to wcale nie przyszło — i dlatego nie przyszło tyle! tyle! tyle dobrego — pożądanego — szczęśliwego, a co z nieba czasem spadło, to i przepadło bardzo prędko. Dostane nie warte nigdy zdobytego.

Twój *Atylla* zaświadczył mi, że jeśli wcześniej pilnować się nie zaczniesz, to kto wie, czy jak ja na starość nie przyjdiesz, nie rozwiniesz w sobie przeważnie dostającej tylko natury. Masz ogromną skłonność do formy biernej. „*Diable! ma chère, — le style c'est l'homme*” — powiedział... jeśli się nie mylę, Buffon. Koniecznie trzeba się na śmielsze inicjatywy zdobywać. Np.: „Biskup był przez Minesinngerów umieszczony”; rąbnij od razu „minesinngerowie umieścili biskupa” itp. Zawsze mię to, przyznam ci się, wstydzi trochę i kłopotczy, że się z każdej poprawki usprawiedliwić nie mogę; ale jeśli sama się rozpatrzysz, to dojdiesz przyczyny. Albo zbieg wyrazów czy zakończeń takich samych, albo jakieś gramatyczne uchybienie, — bo nie chciałabym znowu, abyś mię posądziła, że się w twoim rękopisie jak szara gęś rządzę. Parę razy zdarzyło mi się wprawdzie małeńkie wtrącić frazesiki, ale to zawsze pod zastrzeżeniem znaku zapytania. Są prócz tego zaznaczone miejsca nie dość jasne, które trzeba będzie dokładniej, jak na patelni, wyłożyć; kiedy<sup>329</sup> ja nie umiałam ich z pamięci sprostować, znajdują się pewnie jeszcze mniej biegli czytelnicy. W końcu zwłaszcza, rzecz o legendach trzeba kategoryczniej przedstawić i lepiej jeszcze scharakteryzowane. Łacińskie czyli franko-włoskie — takie — i co jest do powiedzenia to już razem powiedzieć; germańskie — takie; a węgierskie takie na koniec. jeszcze więcej ładu potrzebuje legenda o śmierci Atylli — o żonach jego — albo to się należało w poprzedzających rubrykach umieścić, albo też zrobić rubrykę nową i dać jej np. jako główne oznaczenie, w jaki sposób tradycja stawiała kobietę przy Atylli — co historia wspomina rzeczywiście — co sobie wyobraźnia ludów potworzyła — i znowu na każdą osobną szufladka. Nie wiem, czy wpadasz w myśl mego wymagania? Zakreśliłam cały ustęp, którego dobrze zrozumieć nie mogłam i dlatego zmianę całego rozkładu projektuję. Już to pamiętaj sobie, że kiedy się treść w sprawozdaniu podaje, nie dość wybrać najważniejsze punkta i z nich tok opowieści ułożyć; jeszcze trzeba jakby palcem oko i myśl czytelnika na nich zatrzymać i powiedzieć mu, że to *jest* ważne; czasem warto by nawet objaśnić *dłaczego* ważne. Tym sposobem tworzy się prawdziwie nauczający i popularyzujący artykuł. Wierz mi, bo ja sama takich wiele potrzebuję, a, ma się rozumieć, nigdy napisać nie umiałam. Nie przypominam sobie, żebym kiedy w życiu streściła jakie bądź cudze dzieło; kilka razy planowałam sobie, że się do tego wezmę, bo rzecz arcy-użyteczna — jednak — no cóż — proste usprawiedliwienie — nie przyszło mi to samo z siebie. Tak jestem w tym względzie do próżniaka podobna, że nie wiem, istotnie, jak mię osądzą...

<sup>329</sup>kiedyć — forma z partykułą -ci, skróconą do -ć, znaczenie: kiedy już, skoro. [przypis edytorski]

potomni? Szczęściem dla nich, nie będą się potrzebowali o sąd kłopotać; jak współcześni, to ważniejsza. Już że współcześni nie osądzą twoim wyrokiem, zaprzysięć się podejmuję! Gdybyś ty wiedziała, Wando, jakiego mi twój artykuł<sup>330</sup> w „Bluszczu” — narobił kłopotu! — gdybym go sama o sobie napisała, to bym nie mogła mieć głupszej miny przy jego czytaniu; nawet z pewnością miałabym rozumniejszą, gdyż by mię własna moja efronteria podtrzymywała, ale tak być chwaloną bez zastrzeżenia, bez jednej chociaż przymóweczki, przez swoją własną — — młodszą siostrzyczkę. To dopiero stowarzyszenie wzajemnej admiracji! Kiedy mię tutaj na przepytki wzięto o autorkę wspaniałej ody, nie wiedziałam, co zrobić z moją figurą — ani zaprzeczyć, ani potwierdzić nie miałam prawa. Paulina zga-dła cię od razu; jedyna ulga, że oprócz niej i pani Lewińskiej nikt więcej w całym domu i ponoś w okolicy „Bluszczu” nie czytuje. Czytują go za to w Kowaleszczyźnie; Marynia koniecznie się ode mnie chciała wywiedzieć, czy to nie pisałam owo „nierozstrzygnięte pytanie”. Mam dolę do anonimów, wszystkie prawie na mnie spędzają; kiedy zdołałam usprawiedliwić się na koniec z tego ostatniego, zaczęła mię wygadywać, że już jeśli nie ja, to pewnie ty musiałas z zapytaniem wystąpić. Czemu wierzyć nie chciała, że Ilnicka? — to mi jakoś trudno wytłumaczyć, bo przecież można poznać od razu. Prawda że w numerze, który mi na dowód swego sądu podała, znalazłam kilka nowych zwrotów, niezwykłych u niej sposobów wyrażenia, ale też są i wszystkie zwykłe. Od tego czasu nie czytuję dalej, chcę mieć całość przed sobą, żeby sprawiedliwiej zawyrokować. Szkoda, że nie miałam czasu przypomnieć sobie tej sprawy, gdyśmy się w Warszawie widziały — ach! widziały tak niedługo!... Jeszcze większa szkoda, żeś mi wtedy o projekcie swoim względem *Białej Róży* nie wspomniała. Przyslijże mi co prędzej, niech zobaczę, jak w dialogu wygląda. Mam półsiódmej, nawet siedem caluteńkich wątpliwości, żeby można co z tego na scenę wykroić.

I-o ani ty, ani ja nie mamy w sobie żywiołu dramatycznego — wszystkim moim nieboszczkom-powieściom właśnie akcji, ożywienia, ruchu i czynu brakuje; tobie może łatwiej byłoby się na zdarzenia zdobyć. Pamiętam pewną *Cesie*<sup>331</sup>, którą mi do czytania przysłałaś, było w niej tyle kanwy, że mię aż zazdrość brała. Lecz na nieszczęście z bawialnego pokoju wyjść nie możesz; ani się domyślasz nawet, jak to się rzeczy dzieją pod gołym niebem, na wsi, w lesie — w piwnicy itp. — nieraz takie anachronizmy popełniasz, że... gdybym nie była recenzentką, tylko dajmy na to panem Tomaszem z pieśni Bezimiennej to bym się w tobie pokochała. No, rób co chcesz, gniewaj się na mnie i na siebie — *taki* nie możesz pojąć, co to się za proces w duszy ludzkiej odbywa, gdy idzie o zbrodnie, o nikczemność, a zwłaszcza o trywialność. Jesteś zawsze jak w ubraniu, tak w myślach swoich wykwiwna; o brudzie i lachmanach znać, że tylko ze słyszenia mówisz — z pewnych danych wnioskujeś. Jeśli widziałas blisko, to z takim wstrętem osobistym, że później zużytkować nie umiesz. I czemu ja to wszystko napisałam, kiedy wiem, że się zmartwisz okropnie? Wandeczko moja, nie gniewaj się na mnie — my obie nie do dramatu — ale, mimo to, przyslij swoją *Białą Różę*, bo cię posądzę, żeś się obraziła i nie powiem ci, dlaczego znowu ja na tę władzę dramatyzowania chromięję — a jest studium równie ciekawe. Studia były ongi jedynym moim talentem. Jeśli *Atylla* nie ma być zaraz drukowany, to mi donieś; chciałabym ci kilka uwag o takim rodzaju pracy nasunąć jeszcze; ale jeśli masz już dla niego miejsce gotowe, to się już na nic uwagi nie zdadzą. Miałam dzisiaj list od pani Markiewicz — pierwsza rocznica. Wszak byłaś z takimi, co o niej pamiętali — a co więcej znaczy, byłaś ze smutną Zosią, która swoją stratę ponosi.

CLXII

[*Dębowa Góra*] 16 grudnia, niedziela z rana, 1870

Od jakiego to czasu, moja Wando, przez panią Matyldę mam się dowiadywać tego, co ty mi chcesz powiedzieć? Gdybym pierwiej o tym pełnomocnictwie wiedziała, to bym niezawodnie zmusiła do wypłacenia mi całych owych trzech arkusików spalonych aż po ostatnią literkę; ale mię nie przestrzegłaś, ja nie wiedziałam, z Matyldą mówiłyśmy głów-

<sup>330</sup>twój artykuł — *Listy o pismach Gabrielli*, pisane, jak później w „Tygodniku Ilustrowanym”, pod pseudonimem „Stefan”. [przypis redakcyjny]

<sup>331</sup>*Cesia* — niewydana powieść Wandy. [przypis redakcyjny]

nie o Matyldzie i tak wszystko, co było na ćwiartkach już dla mnie spisane, przypadło. Ej Wando, nie dziwacz! Ty wiesz najlepiej, dlaczego chciałabym suwać się jak cień za tobą i co godzina jak zegar ratuszowy powtarzać: — Wando, nie dziwacz!... Nie o same zniszczone listy mi chodzi, chociaż i listów bardzo żałuję; ale ci goście, którzy do Warszawy ściągają... Chciałabym ci przepisać receptę — czy byś ją zażyła?... Przede wszystkim:

Trzeźwości...

Prostoty...

Sumiennego zbadania siebie i drugich.

To co winnaś ideałowi dobrego.

To co się należy konieczności społecznej.

Odmierzyć jak najakuratniej możliwość z najlepszością — skłonności z przedsięwzięciami.

Przetłumaczyć wszystko na polskie zdania, jasne, dobitne i zwięzłe —

Użyć od razu.

Bardzo bym chciała, żeby pan Andrzej po świętach przyjechał, bo wtenczas może bym go poznała. Jakoś coraz więcej na to się zanosi, że między Boż[ym] Nar[odzeniem] a 3. Królami<sup>332</sup> choć na dwa dni do Warszawy wpadnę. Ma przyjechać panna Zbiegniewska — i dla niej, i dla ludzi byłoby rzeczą użyteczną, gdyby się więcej do moich najmojejszych zbliżyła. Na Wielkanoc może łatwiej mi z domu wyjechać, ale wybór czasu od niej jako obowiązkowej pracującej zależał.

Atylli nie bądź Atyllą. Przyślij mi go jeszcze wraz z panem Thierry — to się drobne niedokładności usuną i sama zobaczysz, jaki *na czasie* będzie z niego artykuł. Pomyśleć sobie, że ze wszystkich okropności, które się we Francji dziś dzieją, będzie także kiedyś napisany przez kogo artykuł... Donieśże mi, czy się spodziewasz Julci z chłopcami na święta, czy nie; bo jeśli nie, to właśnie przy opłatku, chcę za pamięć jej podziękować, a zwłaszcza też panu Włodzimierzowi odpisać — wołałabym jednak ustnie *odpowiedzieć*.

---

<sup>332</sup>między Bożym Narodzeniem a Trzema Królami — między 25 grudnia a 6 stycznia. [przypis edytorski]

# ROK 1871–1872

## CLXIII

18 lutego 1871, Dębowa Góra

[Odpis Wandy Żeleńskiej]

Kiedy się tak na wsi szeroko śniegami zasłanej, przy kilkunastostopniowym mrozie, gorzkich wspomnieniach, smutnych na przyszłość kombinacjach, a jednostajnym, fabrycznym godzin rozkładzie trzy tygodnie posiedzi i prócz świstu wiatru, trzasku pękających gontów lub milczącego sprawozdania gazety o wściekłościach niemieckiego zaboru i szamotaniach się francuskiej tortury — żadnego echa ze świata nie usłyszy, kiedy dzień po dzień rozmowa się ogranicza na słowach wymienionych z Antosią przy ubieraniu lub rozbieraniu albo na wykładzie syntaksy wcale nie zapalonym do filologii chłopcom, — i to wszystko przez calusieńkie trzy tygodnie — to możesz sobie wyobrazić, jakimi nadziejami wita się zjawiającą na koniec kopertę z Warszawy, a jakie wdzięczne dla rozpoznanej ręki uczucie się doznaje! Wdzięczne uczucie twój list spotkało właśnie.

Mam dla ciebie projekt do roboty, będzie to trochę dla mnie robota. Ciągle miałam na myśli, jak by twego Attyłę od zmarnowania ocalić — przyszedł mi taki koncept. Wziąć pierwszą część jego, tylko niektóre ustępy szczegółowiej podać lub żywcem przetłumaczyć. Później tak samo wydatniejsze ustępy Augustyna Thierry *La conquête de l'Angleterre* obrobić. Następnie dodać opis zdobycia Meksyku przez Korteza, Peru przez Pisarra — Rzymu przez Karola V albo Konstantynopolu przez Turków, a Grenady przez Hiszpanów, i kilka innych jeszcze zdobyczych obrazków z czasów Walentyna, Ludwika XIV, Fryderyka II, Rzeczypospolitej Francuskiej — Napoleona. Wreszcie zakończyć wojną dzisiejszą, zestawić z tym, co wiemy o charakterze wojen przedchrześcijańskich i wyprowadzić wnioski. Tylko nie wiem, czy byś miała odwagę wziąć ten wniosek na swoją odpowiedzialność; wniosek, że w treści swojej, natura ludzka jeszcze się wcale pod wpływem chrześcijaństwa nie zmieniła, a ponieważ są symptomata, że się nawet psuć zaczyna, warto obmyślić środki higieniczne, których przeważnie głębsze rozpoznanie praw antropologii dostarczyć może. Tytuł, jakbyśmy tam uradziły, „Historia zdobyczy, w najogólniejszych zarysach” albo po prostu „Wojna i człowiek”. Cóż myślisz? Czy byś się podjęła wykonywać dla mnie różne potrzebne do tego roboty? Jeszcze zresztą nie zastanawiałam się nad porządnym ich rozłożeniem, bo nie jestem pewną twego współdziałania, lecz jak mi przysiesz odpowiedź przyzwalającą, to się do konsekwentniejszego planu zabiorę.

Czytam teraz Milla o rządzie reprezentacyjnym i choć mi się to rzadko zdarza, robię nawet niektóre wypisy, bo ma obfitość takich zwrotów i spostrzeżeń, co to jakby na cytację dla drugich w jego głowie się urodziły. Sama widzisz, moja Wando, że istnie na wzór Robinsona Cruoe, pustą moją wyspę różnymi sposobami przyozdabiam, a próżnię umysłową to czytaniem, to projektami jak powietrze w zamkniętej piwnicy odświeżam. Mimo to wszystko, nie mogę się opędzić tej myśli, że prawdziwy nie fikcyjny Robinson Selkirk, nie Cruoe, zdziczał i wpadł w idiotyzm po kilku latach zupełnej samotności. Ja mam wprawdzie samotność przerywaną, ale, ale takie chwile na mnie padają, że mi jest trudno do ludzi się odezwać, a o napisaniu listu całe tygodnie rozmyślam niekiedy i wyraźnie przypomnieć sobie nie mogę, co to ja tej lub owej osobie miałabym do powiedzenia! chociaż wiem, że mnie jak najbliżej obchodzi — nic dla niej nie znajduję prócz rejestru zapytań. Otóż trzeba, Wando moja, żebyś się ty nigdy do takiego stanu nie doprowadziła. Dziś może ci się niepodobieństwem zdawać podobne usposobienie — lecz to zdradliwie przychodzi, niepostrzeżenie, trzeba zawczasu bronić się jeszcze przed napadem. Gdybym to ja była wiedziała niegdyś — może bym się była ustrzegła.

## CLXIV

[1872] Początku brak

...zachwycającą byłaby w tej roli, wątpię tylko, czy publiczność dałaby się zachwy-  
cić. Daleko nam jeszcze do takiego wykształcenia tłumów; nie dowierzałabym, choćby  
z takich pięknych pań się składały jak pani Zamojska, co ją w portrecie Matejko dys-  
tynkją udarował. Widziałam ją raz w teatrze, ten śliczny oryginał, przypatrywałam się  
pilnie przez ciąg wszystkich według zwyczaju zbyt długich antraktów. Podobała mi się,  
nie przeczę; mam gust nadzwyczaj eklektyczny, ale właśnie „dystynkcji” dośledzić nie  
mogłam. Loretka odurzająca, Zamojska — nic. Najpierw włosy ma ciemniejsze, a na  
jasno blond je farbuję, znać blansz i róż na twarzy — wreszcie kok ogromny. Nie bierz  
tego za wymówkę dawnych grzechów, lecz niepodobna mi kobiety dystygowanej z ko-  
kiem sobie wyobrazić. Powinna mieć albo dosyć swoich własnych włosów, albo dosyć  
powagi i wdzięku, by sobie takiej mody narzucić nie dała. Wszystkie podobne sztuczki  
trącą loretką lub gaską; jestem prawie pewna, że ręce muszą być podobne, gdyż są w lo-  
gicznym związku z innymi spostrzeżeniami; co jednak nie przeszkadza piękności pełnej  
blasku oka, cudną linią odcinającemu się profilowi, królewskim szyi poruszeniom —  
ani temu nawet, że na ratunek tonącej panny Megden w wodę się rzuciła i sama ledwo  
co nie utonąła. Loretki bywają często odważne, pierworzutnie szlachetne i dzielniejsze  
od wielu dam dystygowanych — dlatego mamy do nich wielką słabość; chciałabym  
jedynie, życzyła im dla ich własnego szczęścia, żeby loretkami pozostały, nie wkraczając  
w wielkich pań przywileje. Cały ten ustęp jednak czytaj zupełnie *in abstracto* — studium  
na wnioskach fizjognomicznych oparte; do sądenia pani Z. nie mam żadnego prawa, bo  
nie mam żadnego faktu, żadnej zasady prócz różu, blanszu i koka. Co mię tam zresztą  
wszystkie portretowe i oryginalne damy obchodzą, kiedyś mię tak zmartwiła różnymi  
o narzeczonej Stasia szczegółami. Od tego czasu jak mi jej fotografii na pierwsze zapo-  
znanie pożyczyl, ani słówka już o nim nie słyszałam — jednocześnie wprawdzie przyszedł  
list pani Markiewicz z tą samą nowiną, ale ja Stasiowi natychmiast odpisałam, a pani  
Mark... jeszcze nie, więc choćbym przez nią mogła jaką wiadomość odebrać, nie śpieszy-  
łam się jakoś, w spokoju ostatniego rozstrzygnięcia tej powieści czekając. Ale teraz muszę  
się o dalszy ciąg upomnieć. Staś należy do tej wyborowej warstwy męskiego rodzaju, któ-  
rej koniecznie życia rodzinnego trzeba. Czy będzie wzorowym mężem, to sobie dawniej  
od ciebie na znaku zapytania powiesiłam; ale że byłby z niego ojciec przykładowy, tego  
jestem pewna — tak zaś krajowo, społecznie, religijnie czuję potrzebę dobrych ojców dla  
przyszłych pokoleń, że nigdy dla żadnej panny (nie wyłączając siebie) zamażpójścia tak  
nie pragnęłam jak dla niego ożenienia. Byłam gotowa z wielu wymagań na jego rachunek  
zrobić już ustępstwo, byle się ożenił... A może to złe wpływy tylko — może przy nim  
i dla niego będzie inaczej — *les femmes sont plus perfectibles — helas! mais les hommes sont  
plus facilement corruptibles*. — No — jeszcze rzecz nieskończona. Muszę, muszę zaraz do  
Mariampola napisać — domyślasz się, że nie z denuncjacją — ale z mnóstwem zapytań.  
Ściskam serdecznie i jeszcze serdeczniej i najserdeczniej moją Wandę — i z uściskiem  
rękę podaję jej Władysławowi<sup>333</sup>.

N.B. Nowina jedyna. Wczoraj przyjechała tu panna Żeleszkiewicz<sup>334</sup>, która ma być  
przy Marychnie w miejsce panny Fanny, wyjeżdżającej do Szwajcarii. Jest to dobra zna-  
joma Jadwigi Sikorskiej, bardzo mało mówiąca; trudno będzie się z nią zapoznać. Stu-  
diuję tylko rysy jej twarzy — należy do serii — gdybym powiedziała pani Eleonory  
Z[iemieckiej], to może nie zrozumiałabyś mnie, bo tylko w późniejszym wieku znałaś  
panią Eleonorę, zresztą przyszedłby ci na myśl wysoka inteligencja lub sybilińska piękność  
— dlatego wolę to serią Paulinki Leszczyńskiej nazwać. Już ze trzy razy wydała mi się  
dość brzydka i ze dwa razy bardzo piękną — nie wiem, co się na wierzchu ostoi.

CLXV

20 czerwca 1872, Dębowa Góra

[Odpis Wandy Żeleńskiej]

<sup>333</sup>z uściskiem rękę podaję jej Władysławowi — w kwietniu r. 1872 Wanda wyszła za mąż za Władysława Żeleń-  
skiego (patrz: *Przedmowa*). [przypis redakcyjny]

<sup>334</sup>panna Żeleszkiewicz — później miała pensjonat żeński w Krakowie, dziś pensjonat im. Heleny Kaplińskiej,  
córki Edwarda. [przypis redakcyjny]

Ostatni twój list odebrałam szczęśliwie, Wando moja kochana, ale jakkolwiek po zwyczaju bardzo się nim ucieszyłam, nie myśl jednak, że on przeważnie na sumienie moje wpłynął i do pióra mnie dziś zapędził. Od dawna już w sercu i w głowie mojej postanowiłam, że kiedy nie mogę osobiście, to choć piśmiennie się stawię na dzień pamiętny, dzień uroczysty, dzień czarów, wróżb, tajemniczych obrzędów i imienin twoich. Sobótki i wianki już cię nie obchodzą, kwiatu paproci szukać już nie potrzebujesz, ale mam nadzieję, że najserdeczniejszy uścisk mój, a przynajmniej pod osobistym zobowiązaniem wystawiony na niego weksel, zda ci się przed podróżą. No, zresztą, choćby tobie się nie zdał, to zawsze mnie się przyda bardzo, gdy z tym uściskiem coś ode mnie i jakoby ze mnie, w podróż<sup>335</sup>, w dalekie strony ze sobą zabierzesz. Sama właśnie od tego roku zaczynam się z miejsca nie ruszać; sparaliżowanie wszystkich chęci i projektów coraz konsekwentniej się rozwija. Zostają mi tylko oczy zdrowe, żebym nimi z tęsknotą a pociechą patrzeć mogła za ukochanymi, co się na wszystkie strony oddalają. Tylko dwie bardzo chore zostaną mi w Warszawie. U nas tutaj na parę tygodni puszcza chłopców na trawę, lecz potem znów do żłobu (rozmaitego ziarna użytecznych, niepotrzebnych i szkodliwych wiadomości) przywiążą, bo to po wakacjach mają zdawać swój pierwszy egzamin i pierwszy krok stawić na drabinie publicznej hierarchii. Pomyśl tylko, jak trudne warunki na przyszłość się gromadzą, jak wielkich ułatwień i przygotowań potrzebują ci, co w niej żyć będą. Jeśli nam było trudno bez różnych zapasów torować sobie drogę wśród zdarzeń i coraz egoistyczniejszych tłumów, dla następujących po nas będzie to już prawdziwym niepodobieństwem. Talent mógł się dotychczas z lekkim przydatkiem samodzielności rozwijać, lecz i talent, i samodzielność bez porządnej nauki nadal nie wystarczy. „Trzeba się dobrze uczyć, bo minął wiek złoty”. Krasicki z intuicji napisał, my to w zastosowaniu dowodnie widzimy. Miłość sama, chęci najlepsze, nie zastąpią dziś fachowej, rozumnej pedagogiki!

Śmierć Moniuszki ciągle wszystkich zajmuje, nawet dość apatyczne dla zadowolonych stosunków usposobienia, głębiej się nią wzruszyły. Paulinka, kiedy pierwsze doniesienie w „Kurierze” przeczytała, wbiegła do mnie z tak zmienioną twarzą, że zrazu myślałam, iż kto z rodziny umarł. Ludwik także, niekoniecznie muzykalny, a jak tu był, przyznał się, że to na nim wrażenie jakiejś osobistej straty zrobiło; co do mnie — ja — byłam zazdrosną. Niepodobna mi szlachetniejszego wziąć określnika. — Jeszcze się do tego nikomu nie przyznałam, ale tobie poufnie wyznam tę słabość, osądz, niesłuszności? czy uzasadnioną? Przypomniałam sobie, kiedy w 54 r. doszła wiadomość o śmierci także narodowej, także ogólnie znanej i cenionej znakomitości — o śmierci Mickiewicza. Wtedy koło mnie opowiadano jako szczególność memu niiby usposobieniu właściwą tylko, że jak nad ubytkiem własnego szczęścia zabolalam. Pierwej jeszcze Słowacki znikł bezpowrotnie, a ledwo kto wspominał, mało kto zasłyszał o jego zgonie. Więc odpuść moją winę, że mimowolnie wsteczną zazdrością za tymi dwoma moimi dobroczyńcami, westchnęłam. Chciałabym się pocieszyć tym komentarzem, że to nie ówczesnej obojętności, lecz terażniejszego ożywienia w kraju dowodzi; nie mniejszej jętności w ideałach, a większej wrażliwości w zmysłach, lecz po prostu ogólniejszego zwyczaju łączenia się w jawnym wypowiedzeniu wspólnych pociech i smutków.

O Nieba! gotowaś pani moja rozgniewać się na mnie, że poetom ideę, a muzykom zmysłową jedynie wrażliwość przypisuję! Więc objaśniający dodatek: nie stawiałam, nie układałam żadnej paraleli między poetami a muzykami, jak pierwsi muszą mieć zmysły delikatniej wrażliwe, żeby piękno poczuli i przyswoili sobie, tak drudzy muszą mieć ideę w sobie, żeby pięknie i głębokie rozbudzili wrażenie. Porównywałam więc nie mistrzów słowa z mistrzami dźwięków, tylko słuchaczy z czytelnikami, a smutny dla mnie i dla ciebie, dla twego męża i wszystkich naszych wspólnie ukochanych, i dla wszystkiego wspólnie nam drogiego, smutny, mówię, byłby wypadek, gdyby w naszym biednym społeczeństwie, słuchacze nad czytelnikami górę wzięli, czy to liczbą swoją, czy powagą i wpływami. No jakże? Przyjmuje pani to usprawiedliwienie? Znakiem przyjęcia niech będzie list jeszcze jeden przed wyjazdem napisany. Stanowczo oznacz dzień i godzinę pociągu. Nie stawiam sobie przedsięwzięciem a tobie obietnicą, że się w Skierniewicach pożegnamy, lecz co by ci to szkodziło, gdybyśmy się tą nadzieją pobawiły trochę? Wando

Śmierć, Ojczyzna, Patriotą,  
Artysta, Żaloba

<sup>335</sup> *podróż w dalekie strony* — do Pragi, do „Saskiej Szwajcarii” i w rodzinne strony męża. [przypis redakcyjny]

serdeczna moja, chcę, żebyś ten list prędko odebrała, i muszę go też prędeż wyprawić. Twój był trzy dni w drodze. Niech dobra gwiazda mojemu sprzyja, a ciebie po odbytych wędrówkach szczęśliwie na powrót sprowadzi. Kiedy?

CLXVI

[Odpis W. Żeleńskiej]

14 sierpnia 1872, Dębowa Góra

Ptaszyno moja wędrowna, gdzie ja cię miałam szukać po świecie? Jeden list zaczęty w Dreźnie skończony w Cichawie odbieram. Wczoraj surpryza — poznaję twoją rękę na kopercie. Nowy Targ na markach — otwieram data z 8-go już cić samej sobie nie wierzę — choć autentycznie czytam skreślone: lipca. Masz za sobą wszystkie okoliczności usprawiedliwiające i objaśniające, bodaj nawet czy nie upiększające tego rodzaju pomyłki. Przypuśćmy np., że istotnie zdaje ci się, że to lipiec jeszcze, że czas się dla ciebie zatrzymał, że nie ucieka jak innym biednym śmiertelnikom. Śliczne to rzeczy do uszanowania, złudzenia chronologiczne — ja wszelako nie daję się pozorami omamić i z wszelką nieomylnością wnioskuję, że data jest prostą kaligraficzną niedokładnością, a znaczy dzień 8 sierpnia.

Ciekawa jestem, kto też z moich najpierwej do Warszawy ściągnie? prawie wszyscy poszli w rozproszenie. Co do bliższych znajomych, mam niedokładne wiadomości, możesz sobie wyobrazić, jak to z dalszymi być musi. Tak mało ruchu w moim życiu, że nawet nasz niewielki ogród raz jedynie w ciągu tego lata z końca do końca przeszłam. Zupełnie mi wystarcza do codziennego spaceru aleja między starym a nowym dworem. Bawi tutaj od dwóch tygodni, jedna z uczennic konserwatorium Kl. P.; opowiadała mi, jak Moniuszko zachwycony był *Symphonią* p. Żeleńskiego, uznawał ją za nową w muzyce polskiej epokę, nie mógł się dość nacieszyć bogactwem myśli i głęboką znajomością naukowej techniki. A ja się radowałam, że i między artystami bywają jednak ludzie niezazdrośni. Bo to podobno ma być nieodłączny od talentu symptomat; już się na niego zrezygnowałam jak na konieczność, a to widać niekoniecznie konieczność. Tym smutniej przyznać się muszę, że ja nie artystka przez chwilę pozazdrościłam ci jednak moja Wando, no, przynajmniej nie tego, co na swoją osobistość użyć mogłaś, nie żywych wrażeń przed *Madonną* Rafaela, nie serdecznych z życzliwymi przyjaciółmi powitań, nie tych długich, a wyobrażam sobie, jak bogatych wspomnieniami z panią Żel[eńską<sup>336</sup>] gawędek, nie Ludzimierza — nie kosodrzewiny tatrzańskie, nawet nie samego pana Goszczyńskiego<sup>337</sup>, ale tego, co on o moim biednym Erazmie ci mówił. Ze wszystkiego dobrego mogłaś więcej, lepiej, należniej ode mnie korzystać, wszystko bardzo sprawiedliwie tobie raczej niż mnie się dostało, ale to jedno byłabym mogła korzystniej dla siebie zagarnąć. Przynajmniej gdy się zobaczymy, wróci mi choć cząsteczka mała — lecz kiedy się zobaczymy?

CLXVII

[Odpis W. Żeleńskiej]

2 października 1872, Dębowa Góra

Przebac mi, Wando, trochę przedłużone milczenie moje. Dopiero wczoraj, gdy się bardzo listowi twojemu ucieszyłam, spostrzegłam, że na ludzką miarę biorąc, nie zasługuję takiej radości, chociaż według nadludzkiej, idealnej miary, wartą jej, bo zawsze potrzebującą jestem. Kwestia to socjalna, jak widzisz, zadanie przyszłych wieków, a może przyszłych ras człowieczych, żeby szczęścia i dobrego nie tylko dla zasłużonych, ale i dla potrzebujących starczyło. Wdzięczną ci będę, jeśli ją tak praktycznie jak tym razem na korzyść moją rozwiązesz. Nie każdemu sposobność do zasługi dana; brak okoliczności, ubóstwo kapitału częstokroć na przeszkodzie staje, a przecież potrzeba sama w sobie

<sup>336</sup>pani Żeleńska — Kamilla z Russockich Żeleńska, matka Władysława. [przypis redakcyjny]

<sup>337</sup>pan Goszczyński — Seweryn Goszczyński był w owym czasie gościem Tetmajerów w Ludzimierzu. [przypis redakcyjny]

prawem jest także. Kto potrzebuje światła, piękna, rozumu, ukochania, wrażeń szlachetnych i zdarzeń podniosłych, może sam być ciemnym, brzydkim, głupim, niedołągą pod wszelkimi względami, niemniej przeto lepszego jest gatunku od mnóstwa innych osobników, którym los, przypadek, ślepa fortuna najcenniejsze perły w brudne ręce sypie, najczystszy zrodziny mądrości martwy mózg oblewa, w oceanach miłości kąpie twarde i pospolite serca kamyczek, po języku bez nerwów i smaku, leje w gardło ambrozię przedziwną. Gdyby tylko nieumiejącym używać odjęto, bodaj czy by się dość nie na samych zasłużonych, ale i na łaknących nie zostało. Z tego wynika moja Wando kochana, że jeśli ci wypadnie pisać kiedy do kogo, co by list twój obojętnie, konwencjonalnie miał czytać — lepiej do mnie napisz. Jakkolwiek mogę ci się chłonąć bez zwrotu przepaścią wydawać, nie zrażaj się, od czego *generosia*<sup>338</sup>! Co do mnie, za najwłaściwszą indywidualności mojej *generosię* to uznałam, że nie pisuję, kiedy nic ważnego, ani nowego do powiedzenia nie mam. Raz po raz o tym zapominam i raz po raz dowodnie się przekonuję, jakim archeologicznym jestem zabytkiem — ciągle żyję w pierwszym pojutrze po bitwie pod Solferino, a to już i Sadowa minęła, i oblężenie Paryża, i zajęcie Rzymu, i tyle miłości ostygło, i tyle przyjaźni zadreptało... bo rzeki do morza płyną — cóż ja na to poradzę?

Co do *Listów* Stefana<sup>339</sup> — pani L. koniecznie chciała przyznanie prawdy wymusić na mnie, bo jej się Listy nadzwyczajnie podobają, dotychczas byłam niewzruszona i tajemnicy nie zdradziłam, że jednak ty sama już mniej dbasz o nią, przy zdarzonej sposobności pod sekretem jej powiem, uniknę prawdopodobnie małego niebezpieczeństwa. *Stefan* jej tak głowę zawrócił, że koniecznie jej się zachciało *Pisma* Gabrielli odczytać, znała je dawniej i nigdy nie podejrzewała o tak wielkie zalety; jak się dowie, że to sąd „uprzedzonego przyjaźnią serca”, może swój zamiar na czas nieograniczony odłożyć. Mów ty sobie co chcesz, Wando moja, pisz nawet co chcesz, ja swoją drogą powtarzać nie przestanę, że ci brak zupełnie krytycznego talentu. *Książkę Pamiętek* zwłaszcza przeceniłaś na całą sumę francuskiej kontrybucji<sup>340</sup>. Chciałabym sobie przypomnieć, co mi się o niej mówić zdarzyło, w trakcie jej drukowania właśnie. Jakiś podróżny w wagonie zaczął o tym temacie dyskuszę, a mnie udało się oczy mu otworzyć na wszystkie usterki i niedostatki. Żadnego zarzutu nie mógł odeprzeć; wiem, że coś było o braku wydarzeń, o tyradach, o tym, że wszyscy z jednego tonu i tym samym stylem mówią, o ubóstwie powieściowego żywiołu, to pamiętam jedynie, że zwycięsko wyszłam z dowodzenia, co mi się rzadko w życiu zdarzało, i pono też dlatego głębiej uwydatniło właśnie.

<sup>338</sup>*generosia* — wspaniałomyślność, hojność. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>„Listy” Stefana — Wanda Żeleńska zamieściła w r. 1872 pod pseudonimem „Stefana” entuzjastyczną pracę o Narcyzie Żmichowskiej pt. *Listy o pismach Gabrielli* („Tygodnik Ilustrowany”). [przypis redakcyjny]

<sup>340</sup>*przeceniłaś na całą sumę francuskiej kontrybucji* — Francja zapłaciła po przegranej wojnie 5 miliardów kontrybucji Niemcom. [przypis redakcyjny]



# ROK 1873–1876

## CLXVIII

[Odpis W. Żeleńskiej] 10 lutego 1873, Dębowa Góra

Od dwóch tygodni już wyjechałam z Warszawy, ani słówko od nikogo mnie nie doszło. Wyobrażam sobie, że były pożary, epidemie i śmierci, choroby i to wszystko do tłumaczenia wcale mi nie pomaga<sup>341</sup>. Ty szczególniej Wando, serdeczny mój niepokoju terażniejszy, powinnaś była choć kopertę podpisać do mnie. — Lub jeśli podpisać nie możesz, to choć komu zalecić. Nie mówiąc już, że w ostateczności i na pana Władysława trochę rachuję, żeby mnie bez wieści nie zostawił. Perswaduję więc sobie, że nie piszesz, bo masz co lepszego do roboty, jest to trochę gorzkokwaśna pociecha, ale zawsze na słodkiej podstawie zgotowana. Jakkolwiek najracjonalniejsza w świecie kobieta i radykalnie z mistycyzmu wyleczona, niemniej przecież kiedyś mi się którejs nocy przyśniłaś, zaraz nazajutrz kazałam sobie kopert sprowadzić, by pisać do ciebie; że jednak koperty gdzieś zamarudzone, a ta okazja się trafia, z niej więc korzystam dla udzielenia ci tej arcyciekawej i niezwyklej nowiny, że jestem za wami stęskniona, a mianowicie o ciebie niespokojna.

Jak mi niepokój z serca spadnie, to ci może co więcej powiem.

Teraz trzeba się spieszyć do poprawek, idą mi trochę wolniej niż pierwsze podrzucenie, zawsze jednak mam nadzieję do maja wypieszyć — etc. etc.

## CLXIX

[Odpis W. Żeleńskiej] 26 lutego 1873, Dębowa Góra

Wczoraj wieczorem dopiero otrzymałam szczęśliwą nowinę. Twój syn<sup>342</sup> Wando, bez mojej wiadomości już od piątku był na świecie, a ja tu wśród zjazdu rodzinnej dzieciarni nie cieszyłam się, owszem często nawet niespokojną myślą zabiegałam na Solną ulicę i tworzyłam różne przypuszczenia. No, mniejsza o to; dziś już mi bardzo wesoło. Ty jesteś zdrowa, chłopiec będzie rozumny i poczciwy. Już tylko o tym myślę, jak go do Cichawej<sup>343</sup> zawieziesz i jak mu się rodzona jego babka ucieszy — siebie od dziś dnia przybraną babką mianuję, a gdyby mnie tak kiedy nie nazwał, miałabym do ciebie pretensję, gorzej niż pretensję, żal. Bo ja koniecznie chcę mieć do niego autentyczne i tytułowe prawo, chcę się nawet mieszać do jego wychowania, sprzeczać z tobą, jeśli mi cokolwiek nie po myśli zdawać się będzie — mieć go trochę na własność, na dalszy ciąg mojej przyszłości. Ty przecież byłaś taka moja, więcej niż się domyślić mogłaś. Ale co pan Władysław<sup>344</sup> powie na te różne projekta? Powinnaś mu najlepiej i najdowodniej wytłumaczyć, że zawsze to, co biorę, innym z procentem oddaję. Pocałuj tymczasem w główkę swoje małeństwo i powiedz mu głośno, że jest na świecie babcia Narcyzka, która koniecznie chce go bardzo kochać, widzieć poczciwym, użytecznym — ha, i zwyczajnie jak babcia, szczęśliwym, pięknym, kochającym człowiekiem. Zresztą pozwalam, niech już tak nadzwyczajnie pięknym nie będzie, niech nawet będzie brzydkim — mężczyźnie to do twarzy, ale szczęśliwym — szczęściem, którego myśmy nie zaznali, od tego nie odstępuję.

Nie pytaj mnie teraz, kiedy do Warszawy przyjadę. Mój w tym interes najważniejszy, a jeśli nie mogę, każde pytanie zasmuca; wszak wierzysz, że z całej duszy pragnę uściskać was oboje, ciebie i twego syna, a panu Władysławowi ojcowskiej powinszować godności. Infant, według jego zdania, jeszcze muzycznego nie objawia talentu; zapewne my byśmy tego nie zatwierdziły wyroku — bo to trzeba się znać — jeśli tego, głośno krzyczy, talent nieomylny. Spytaj się pani Żeleńskiej, czy tak z jego ojcem Władysławem nie było? Bądźcie mi wszyscy zdrowi i tak z serca się wrywa... Bóg z wami!

<sup>341</sup>to wszystko do tłumaczenia wcale mi nie pomaga — mowa o zbiorowym wydaniu przekładu *Dziejów Anglii*, którego Żmichowska wykonała część. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>twój syn — Stanisław Gabriel, którego Narcyza była chrzestną matką. [przypis redakcyjny]

<sup>343</sup>Cichawa — w Krakowskim, wieś Kazimierza Żeleńskiego, brata Władysława. [przypis redakcyjny]

<sup>344</sup>pan Władysław — Żeleński, mąż Wandy. [przypis redakcyjny]

N.

CLXX

[Odpis W. Żeleńskiej] [Dębowa Góra] 28 marca 1871

Niechaj ci się nie zdaje, moja Wando kochana, że przez cały ten czas żyłam bez żadnej wieści o szanownej trójce państwa moich łaskawych. Jeszcze są na świecie poczciwe dusze, co dają bez zwrotu: socjalistki ze szkoły Ludwika Blanca, nie St. Simona, à *chacun selon ses besoins*<sup>345</sup>, nie à *chacun selon ses oeuvres*<sup>346</sup>. Według ostatniego podziału, bardzo źle wyszłabym w tym czasie. Zwłaszcza, że w miarę jak *mes oeuvres*<sup>347</sup> maleją, potrzeby rosną, a na Solnej ulicy nowe mi nawet przybywają. Prawie po dawnemu się ucieszyłam, gdy list twój dyktowany odebrałam. I tobie, i sekretarce tak byłam rada w moim ustronnym pokoiku, że byłabym wam słońce i gwiazdy na poczęstunek zastawiła. Nie bardzo się zakłopotalam, że twoje małżeństwo po nocach głośniejsze żyje niż we dnie, byle swoje w ciągu doby odespało; a że nie w nocy odsypia — to już dziedziczna skłonność. Przecież ty sama nigdy w nocy nie sypiałaś, tylko podobno trochę nad ranem. Więc moja nocna ptaszyno, słowiczku mój majowy (wypisuję nazwę, żebyś o innej nocnej ptaszynie nie pomyślała, z którą, choć jest godłem mądrości, jednakże...) słowiczku mój tedy, i twój synek nie mógł tak od pierwszego impulsu do racjonalnego usypiania się włożyć, ale że i w tej cności zaczyna się kształcić, to jeszcze pierwsi, nim mi doniosłaś, wiedziałam. Bodajby wam się zdrowo na pociechę chował. Och zdrowo! zdrowo! przede wszystkim. Wszystko się później znajdzie, jeżeli mu potrafisz jędrne, żadnym zewnętrznym warunkiem nieuszkodzone zdrowie zabezpieczyć; od tego, co sam już w organizmie przyniósł, wiem, że go uchronić nie możesz, lecz naddatkowe przyczyny usuwać, to się przyniesione organiczne zneutralizują.

W jedynie wolnych przy cygarze chwilach czytuję Darwina *O człowieku*. Z początku powódź hipotez mnie trochę zatopiła — ale już na pole spostrzeżeń wypłynęłam i znowu z wielkim uszanowaniem, znowu z wielką niecierpliwością oczekuję drugiego tomu i hipotezy ostatniej.

Czym ty zaczęłaś, tym ja kończę, że ten zacny Macaulay wiele mi wprawdzie dobrze zrobił, bo prócz przyjemności i korzyści z przeczytania niegdyś, mam w nim teraz wyborny na „niemyślenie” środek, lecz gdyby nie on, pojechałabym do Warszawy, gdzie do wszystkich zawsze pożądanym skarbow moich, miałabym jeszcze dla siebie do osobistego użycia i na własny zapas dobrych wrażeń i długich przypomnień, i kombinacyj, twego syna, *Kopernika* Matejki i muzykę *Podarunku*<sup>348</sup>. Tym się do cierpliwości zachęcam, że bądź co bądź, twój syn mnie nie minie, a z muzyką pewnie się spotkam. Żegnam was, najpierw we trójkę, w waszych własnych pokojach, a potem za domem, u drzwi wszystkich naszych do wspólki kochanych.

CLXXI

[Odpis W. Żeleńskiej] [Dębowa Góra] 22 kwietnia 1873

Więc jako życzyś sobie, niech się stanie, Wando moja kochana. Trudności wszelkie muszą ustąpić i dnia 8 maja, rannym pociągiem do Warszawy przybędę; ale mnie nie łaj, moja pani, że tegoż samego dnia wrócić będę musiała. Naszego synka uściskaj tymczasem i przeproś go, że wyłącznie jemu poświęconych odwiedzin dłużej przeciągnąć nie mogę.

<sup>345</sup>à *chacun selon ses besoins* (fr.) — każdemu według (jego) potrzeb. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>à *chacun selon ses oeuvres* (fr.) — każdemu według (jego) zasług (dosł. „dzieł”). [przypis edytorski]

<sup>347</sup>*mes oeuvres* (fr.) — moje dzieła. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>muzyka „Podarunku” — muzyka Żeleńskiego do wiersza Żmichowskiej pod tym tytułem. [przypis redakcyjny]

Przed sędzią trybunału nie upominałabym się o częstsze listy, bo wziąłby mnie na indagację, czy ja sama dość często pisuję, ale przed sądem historyka i psychologa, jestem pewną, że sprawę bym wygrała.

Do widzenia, do widzenia — a czy wiesz, że w stosunku kumostwa nie tylko z p. Grabowskim, lecz z wami także stanę. Rodzice dziecięcia zawsze się kumami nazywają z tymi, co dzieci do chrztu podają. Przynajmniej tak po wsiach bywa. Obojgu więc przyszłym kumom uszanowanie moje i afekt życzliwy.

A pan Kw[ietniewski<sup>349</sup>] jak przyjął swego młodszego? Matka tylko każde nowo przybyłe dziecię zupełnie równą dozą uczucia, od pierwszego uścisku obdarzyć potrafi, ale ojcowie — ilu ich widziałam przynajmniej — albo od razu wyczerpują, albo stopniowo dopiero kształcą swoje ojcowskie instynkta. Są, którzy ich wcale nie mają — lecz ta kategoria niech na boku zostanie. Mogłabym różnych spostrzeżeń dostarczyć na materiał do studium o ojcostwie, lecz to bieda, że nikt u mnie zapożyczyć się nie chce.

Żegnam już, żegnam — ot, wracam z za proga, jeszcze uściśnąć serdecznie zapomniałam — jeszcze mam ci powiedzieć...

Czas woła (jak odprowadzający mąż), a śpieszże się — nie marudź, czekają na ciebie.

CLXXII

[Odpis W. Żeleńskiej] [Dębowa Góra] 20 czerwca 1873

Czy wiedziałaś, czy nie wiedziałaś o tym, moja Wando, ja przecież zawsze wybierałam się na twoje imieniny, po kwiatek paproci dla ciebie; trudność dostania się do lasu, zwykle rozbijała projekta; raz tylko udała mi się wycieczka, ale wśród niemiłych okoliczności. Teraz już się o takie rzeczy kłopotać nie potrzebuję. Sama sobie kwiat paproci znalazłaś, więc tylko nie wytrząśnij go z bucika jako ów chłop w bajce. On wprawdzie o swoim skarbie nie wiedział — a ty wiesz — to i bezpieczniejsza jesteś. Nic mi nie wspomniałaś o dalszych na lato projektach, czy wyjedziecie zagranicę oboje, czy sam tylko pan Władysław, a wiele mi na tej wiadomości zależy. Najpierwej dla mego syna po duchu i oleju świętym — wolałabym, żeby przed skończonym rokiem życia mózgu sobie nie zagłuszał całodziennym sztukiem, szumem, hałasem lokomotywy — a potem i dla siebie rada bym zastać kogoś, gdy do Warszawy przyjadę. Może to prędzej niż myślałam nastąpi, bo mi strasznie o moją Kazię niespokojno w sercu — ale cóż, kiedy ona tak rozstrojona, zmęczona, że podobno żadnej „niecodziennej” twarzy widzieć nie lubi — a może właśnie dlatego i między nami więcej byłoby do zamienienia wrażeń, to się i więcej lęka wyczerpnienia.

Ach! moja Wando, powiadam ci, że przy dzisiejszych (list na intencję, byś go w same swoje imieniny przeczytała) więc przy dzisiejszych Twoich imieninach, nie mam lepszego dla ciebie życzenia tylko to, byś jaki sposób wynalazła i żyła póki tylko będziesz użyteczna komu, póki ktokolwiek kochać cię będzie, a jednak nie żyła nigdy, ani dzień jeden za długo.

Kochana moja, całuję, pieszczę serdecznie. Z kochaną moją dzielę się pamięcią lat wspólnej przeszłości — przyjaźnią wspólnych przyjaciół — tęsknotą za wspólnym szczęściem.

CLXXIII

[Odpis W. Żeleńskiej] 23 października 1873, Dębowa Góra

Oj, ty niedobra! między liniami w listach twoich czytam, że mi okropnie wymyślasz za zbyt przedłużone milczenie, gdyby ze dwa miesiące jeszcze, to byś chyba sama do mnie pisać przestała. A czy zasłużyłam na to? Właśnie gdy przyłożyłam ręki do pracy ogólnej i dla dobra ogółu, żeby ogół znał ogólnie Macaulaya, pracuję. Kilka razy przecież już miałaś sposobność przekonać się, że nie pracuję bardzo szybko — czasem całe rano mi

<sup>349</sup>pan Kwietniewski — Kazimierz Kwietniewski. [przypis redakcyjny]

zejdzie nad dobieraniem wyrazów do jasnej a subtelnej jakiej myśli oryginału. Tymczasem tomy wychodzą, a krzykną na mnie: gdzie ósmy? Czyż nie wstydziłabyś się Wando moja, gdybym musiała odpowiedzieć wtedy: „przepraszam, jeszcze nieskończony”. Dzięki stałości mego charakteru, nie dam tak upokarzającej odpowiedzi. Mam prawo już dziś powiedzieć: ósmy gotowy, tylko zaczekajcie Państwo, niech go trochę jeszcze poprawię. Poprawa może trwać dość długo, zawsze jednak honorowiej wygląda od niewykończenia, ale że pierwszy podkład już dany, złożyłam arkusze *ad acta*, czekam, żeby mi wszystko w pamięci się zatarło, a na to zbyt wiele czasu nigdy nie potrzebuję; dopiero potem zacznę odczytywać i krytykować. Gdyby ci danym było czasem słyszeć, jakie monologi wtedy sama sobie prawię, to byś mi przebaczyła wszelką dawniejszych sądów surowość. Cóż chcesz, taka moja natura, że ani z siebie, ani z moich najbliższych nigdy zupełnie zadowolona być nie mogę. Czy też nie przywiozłaś co do czytania z Cichawy? wspominałaś, że jeśli będzie rzeczą podobną, coś bardzo zajmującego weźmiesz stamtąd dla mnie. Ach! kobieto — gdybyś wiedziała, jak potrzebuję coś zajmującego przeczytać! ale ty wiedzieć nie możesz — dzięki Bogu.

Tak bym się chciała cieszyć na wspomnienie św. Jana, a nie mogę, za późno<sup>350</sup> przyjdzie. — No, zaczęłam o złą bardzo strunę, trzeba co prędzej myśłą inny akord nacisnąć i wyobrazić sobie, jak kiedy przyjdiesz do mnie, trzymając Stasia za rękę, a Staś będzie mnie bardzo kochał, nie z zasługi, tylko tak jak się to dzieciom i ludziom czasem zdarza, z sympatii, z wrodzonego pociągu. Co myślisz o tym Wando, czy tak będzie?

Ja sobie jeszcze niczego dobrać nie mogę, a co byś też ty dla mnie wymyśliła? Jedno tylko podjęłabym się z przyjemnością wykonać — ale — no! ma się rozumieć nie libretto do *Wallenroda*<sup>351</sup>. Czy tobie Wando rzeczywiście zdaje się, że po pięćdziesięciu latach życia, można jeszcze z Wallenrodem się potykać. Zaczekaj moja pani — przekonasz się — choć w najkorzystniejszych warunkach, trudno to bardzo. Nawet nasza niegdyś czarująca pani Sand, bodaj czy po pięćdziesięciu latach napisała co lepszego nad mierność, a po sześćdziesięciu ileż gorszego od zupełnej mierności. Co to za szczęście, że ja się skusić nie dałam na przedłużenie autorstwa mojego — gdyby mi przyszło pleść takie duby smalone jak ona w „Revue” od dawna plecie... może ją to ratuje, że sama nie poznaje się na tym, lecz mnie by nie uratowało. W kilka tygodni już mi jest obcą moja własna praca i mam sąd na nią pewnie nie łagodniejszy od wszystkich warszawskich recenzentów.

## CLXXIV

[Odpis W. Żeleńskiej] 12 listopada 1873, Dębowa Góra

Dotychczas zapewne już Edward opowiedział ci wszystkie szczegóły odwiedzin swoich, a nawet i to, że się ucieszyłam tym, że nie przyjechałaś. No widzisz, do czego to człowiek na starość przychodzi! Rzecz wprawdzie pięknie, bo roztropnością się nazywa, lecz dawniej nie miałam tak zgodnej i szczerzej roztropności. Była zawsze na dnie serca radość, gdy co było po myśli i życzeniu, a teraz, częstokroć w łagodniejszych nawet warunkach, kiedy nie jest pod wątpliwością kaszel, jest zawsze na dnie strach. Żebyś wiedziała, jak ja tu sobie nawymyślałam za to, że pozwoliłam kiedykolwiek imieniny moje w końcu października obchodzić! Bogiem a prawdą, nie bardzo ja temu 29 październikowi winną jestem, ludzie mnie wciągnęli powoli. Zdaje mi się, że sama nie wiedziałam jeszcze, czy zapomniałam już, na który dzień przypada mojego patrona, i blisko trzydzieści lat przeżyłam w tym stanie niewiadomości, gdy raz, pół żartem, pół sentymentem, trzy osoby uradziły sobie fest na surpyzę mi przygotować. Wiązkarkiem głównym, jak się później dowiedziałam — miał być bilet na loterię. Istotnie „surpyza” miała za sobą wszelkie warunki szczęśliwego powodzenia, a nade wszystko ten, że się jej zupełnie, a zupełnie nie spodziewałam. Szanowny biskup Narcyz ani razu do głowy mi nie przyszedł, wynalazły

<sup>350</sup>Tak bym się chciała cieszyć na wspomnienie św. Jana — mowa o projekcie przeniesienia się do Warszawy. [przypis redakcyjny]

<sup>351</sup>libretto do *Wallenroda* — opera, o której myślał już Żeleński, a którą napisał w kilka lat później. [przypis redakcyjny]

go przypadkiem Kazia, Fochna<sup>352</sup> i Kryspina; ach! ja niegodziwa! wynalazł do spółki z nimi Jaś Tchórzewski. Już wszystko było gotowe, za pięć dni miałam się zdziwić! aż tu przed pięcioma dniami „krach”. Fochna z Jasiem, przynoszą mi 24-go z rana jakieś sprawunki. We drzwiach czerwony kołnier<sup>353</sup> ich wita. Projekt rozbił się, jak szklanka o kamień, opowiedziano mi go tylko przed wyjazdem. I tak pierwsze moje imieniny spędziłam w kozie, a bilet nic nie wygrał. Powinno to być od dalszych solenizacji odstąpić — ale, przeciwnie, jakoś w zwyczaj weszło, bo się data głębiej w pamięci wryła — i mam zawsze w ten dzień jakąś chwilę, jeśli nie radosną, to dobrą; ale też od 61 roku, mam obok chwili dobrej, jakąś złą niespokojność. Ty może sobie nie przypominasz, że w owym roku brakowało mi najbliższego z moich najbliższych; pierwszy to był początek choroby, która jego ostatnią chorobą być miała. Czy nie spostrzegasz Wando, że mój list zaczyna niby pleśnią starości zachodzić? Jak we wspomnieniach utonę, tak bym gotowa do terażniejszości nie powrócić, a jeszcze warto przecież, choćby dlatego, żeby Wam wszystkim moim kochanym być wdzięczną za to, żeście mi zostali.

Czy przyjdą do skutku Skierniewice z tymi panami? I pan Kw[ietniewski] także! Nie uwierzę, aż na własne oczy zobaczę. Powiem ci tylko, że kiedy dzisiaj rano po obudzeniu do pisania tych listów (zamiast Macaulay’a) się przybierałam, byłam sama w sobie pewna, że ich dwa napiszę, to jest do ciebie i do Mani. Ale teraz dzień już bardzo pobielał, świecę już zgasila i wątpię, czy mój zamiar do skutku doprowadzę. Marynia gotowa myśleć, że ja się nie tak ucieszyłam jej listem, jak przynajmniej warta jeszcze jestem ucieszyć się czymkolwiek. Uporządkuj to w jej serduszku, moja Wando, i uściskaj na tymczasem z obu synami. Musi jeszcze mieć trzeciego, żeby ją przeciwstawić św. Zofii z trzema córkami; nawet według słabości starych panien do swatania, zaraz bym zaczęła przyszłe między dwoma rodzinami związki układać, jeden zaślubiłby wiarę, a wiara to jest zaciętość w zamiarze, siła w czynie, lokomotywa przy towarowym pociągu. Miłość — o tę, bodaj czy by nie przyszło między braćmi do rywalizacji. Tylko ta głupia nadzieja! Ej, nie chcę się już w ten interes mieszać — nikomu nie śmiałybym dzisiaj swatać pięknej nadziei, a brzydkiej, drobniutkiej, koślawej nie warto! Zresztą wszystkie one zawiodą. Czy wybrałaś sama jaką z nich na synową? A może samą panią matkę Sophie?

Ach te *Listy Krasieńskiego*<sup>354</sup>! Ach ten kuzyn! Zdaje mi się, to by mi elektryczną kąpiel zastąpiło. Wprawdzie nigdy nie używałam elektrycznej kąpeli — wyobrażam sobie tylko, że musi być strasznie przyjemna.

Bądź mi zdrowa, moja Wando, raz jeszcze — i bądź ze mną do skończenia mego świata. Pozdrowienie jak wiesz jakie i komu.

CLXXV

[Odpis W. Żeleńskiej] 6 grudnia 1873, Dębowa Góra

Abo ja wiem, kiedy przyjadę? Abo ja mogę sobie wielkie przyjemności w życiu sprawić? kiedy jestem taka niedołączna, że nigdy z robotą wyśpieszyć się nie mogę. Póki było daleko, to mi się zdawało, że na piętnasty pewnie przyjadę do Warszawy i że razem słuchać będziemy — pana Żeleńskiego. Tymczasem, bardzo się na to zanosi, że ja „nieposłuszną” będę. Jak mi czasem tęskno, to sobie przedstawiam, że od św. Jana wszystkie rozłączenia i nieobecności tak sobie wynagrodzę, że aż się drugim tęskno za tym, co było, zrobi.

Pytasz mnie o „Biblioteczkę dla dzieci”, na złą chwilę trafiłaś, bo jestem właśnie pod naciskiem różnych wydawnictw. Kto czytuje, moja Wando? Wszyscy, których znamy, a znamy przecież niepoślednich ludzi, więcej piszą sami, niż czytają — a gdy nie piszą, to mają jakie inne zatrudnienia, a gdy nie mają zatrudnienia, to się bawią, a gdy się nie bawią, to się lotrują. Kto czyta? Cenzor chyba i ja trochę. W ogóle ten ruch książkowy

Książka, Obyczaje

<sup>352</sup>*Fochna* — Faustyna Morzycka, jedna z „entuzjastek”, przyjaciółka Narcyzy z lat młodości. [przypis redakcyjny]

<sup>353</sup>*czerwony kołnier* ich wita — mowa o aresztowaniu Narcyzy w r. 1849. [przypis redakcyjny]

<sup>354</sup>*Listy Krasieńskiego* — *Listy [Zygmunta] Krasieńskiego do Jaroszyńskiego*, wydane drukiem i wycofane z obiegu przez rodzinę poety. Niektóre listy przesłała jej Wanda w odpisie, całość obiecał Wandzie jakiś kuzyn, który widocznie spóźnił się z dotrzymaniem obietnicy. [przypis redakcyjny]

jest sztuczny, muszą go wyraźnie jakimiś sobie właściwymi sztukami księgarze wydawcy utrzymywać. Dlatego choć cenię i pragnę, żeby mogły być wydania niezawisłe od księgarzy, zdaje mi się rzeczą prawie niepodobną, aby się powiodły. Prospekt nic nie znaczy, bo mu nawet tyle co zagranicą nie wierzą; — użyteczność nic nie znaczy, bo ta się dopiero skutkami zaświadcza, a potrzebą jeszcze w rozumach publiczności nie leży; imię nic nie znaczy, bo choćby najpopularniejsze wystąpiło, to je zaraz w kategorii potrzebujących i kwestujących zapiszą; a potem prenumerata idzie z sentymentu, ach! jak chudziuteckiego sentymentu. Z ludźmi kupującymi i płacącymi dwie indywidualności tylko dają sobie radę, pachciarz z obywatelem, księgarz z literatem amatorem. Dlatego nie zdaje mi się, żeby spod narzuconej opieki księgarzy wyzwolić się można. Chyba że masz inną statystykę naszych czytelniczych zwyczajów i usposobień?

## CLXXVI

9 stycznia 1874, Dębowa Góra

W tej chwili tom skończyłam — bez umaczania pióra na nowo przenoszę je z tą pół dobrą wiadomością na przeznaczoną dla ciebie, moja Wando, karteczkę. Zobaczmy się więc niezadługo — gdyby mi katar straszliwie nie dokuczał, to już byłybyśmy się dzisiaj lub jutro widziały; ale... na tym to Bożym świecie — tłumaczenie z kataru się plecie — a kto się chce o końcu tych rzeczy dowiedzieć — musi w domu siedzieć. Jestem dosyć apatyczna z rodu i losowego wyrobienia, gdy mi jednak przyjdzie na kilka dni do Warszawy zawitać i tak być niedołączną, tak w domu siedzieć, tak prędko spać chodzić lub przynajmniej czuć potrzebę chodzenia jak tutaj na wsi, to mię rozpacz ogarnia, której to rozpacz wy się nie domyślcie częstokroć, poczciwe moje kochane, gdy mi mówicie, czemu nie przyszłam lub czemu dłużej nie zostałam, a mnie roztwiera się bezdenna przepaść owych *Czemu* pełna. Czemu młodość tak marnie zginęła — siły tak zasobne wyczerpnęły się w końcu? Czemu je miałam, gdy mi się na nic przydać nie mogły? Czemu nie mam teraz, gdy na tyle dobrego może — a lubego niezawodnie użyć bym ich mogła?

Lecz nie o takich rzeczach po raz pierwszy mówić ci chciałam, Wando. Miałam tylko uściskać serdecznie ze Stasiem twoim. Pozdrowić z twoim panem Władysławem i dobre życzenia wymienić na rachunek wszystkich siostr i szwagrów twoich.

Kumowi, duchowemu współrodzicowi Stacha — noworoczne powinszowania.

Ach, jak się trzeba spieszyć.

## CLXXVII

Nie trzymaj mnie Wando na diecie domysłów, bo to arcyniezdrowa potrawa i okrutnie nie mi się przejadła. Wszystkich moich najtkliwszych ciągle tylko domyślać się muszę. Jakaś planeta chyba z niedopowiedzianymi słowami przeciągnęła nad całym Wisły dorzeczem, już mi się tyle bardzo kosztownych niteczek o niedopowiedziane słowa splątało lub rozerwało zupełnie, że aż mnie strach bierze — lecz o tym potem. Dziś tylko z najprostszym zapytaniem się zgłaszam — czy miałaś jaką wiadomość z Krakowa, bo jestem o Fruzię<sup>355</sup> i jej maleńką niespokojna, a że z kłótnią do Marcelego pisać się przybieram, więc mi o to chodzi, bym jak Piłat w *Credo* w jakie zmartwienie ze słowem wyrzutu nie wpadła. Uściskaj wszystkie siostry po kolei starszeństwa. Jak wam błogo być musi znów tak w komplecie się ugomadzać i gawędzić, choćby o smutnych rzeczach... to *taki* zawsze lżej.

Wczoraj byli tu państwo Chmielowscy i wspominaliśmy pana Grabowskiego, w zgodnym tonie. Jeśli będziesz kiedy układała rejestr wielkich przyjemności, możliwych i dostępnych nawet nie bardzo szczęśliwym ludziom, to napisz sobie. Wśród mało znajomych spotkać osobę, która życzliwie mówi o bliskich i dobrych znajomych naszych.

Istotnie gdyby ludzie sumienniejsi się z tym obliczyli, to by może mniej im czasu na potwarze, plotki i obmowy zostało.

<sup>355</sup>Fruzia — Dobrowolska, żona Marcelego. [przypis redakcyjny]

## CLXXVIII

A przecież mam nadzieję, że ten placek razem spożyjemy — dzień się oznaczy przez Julię lub Maniusię, więc zawsze do widzenia wszystkim czterem siostróm.

*Narcyssa*

## CLXXIX

*24 marca 1874, Dębowa Góra*

W pierwszej chwili po odebraniu twego listu, Wando, chciałam się z tobą wyklócić, ale czasu jeszcze nie miałam. Potem, kiedy czas wolniejszy przyszedł, przyszły i smutki<sup>356</sup> takie, że mi się do najdroższych moich zagadać nie chciało, a teraz kiedy smutki jeszcze w przeszłość nie zapadły nawet, ja znów się do dalekiej, jak na mnie, drogi szykuję — bo aż w Augustowskie jadę — lecz jadę na Warszawę — przyjeżdżam po południu w piątek — gwałtownie spieszę z niektórymi sprawunkami — wieczorem siedzę u Julii — nocą śpię nad nią na górcie — w sobotę — to już od dalszych informacji zależy, czy koło południa, czy przed północą jadę. Mam nadzieję, że przyjdiesz się o tym dowiedzieć — znajdziesz jakąś chwilkę przecież. Więc zamiast sprzeczeki — uścisk na tymczasem.

*N.*

## CLXXX

*6 maja 1874, Dębowa Góra*

Ani byś się domyśliła, Wando moja, skąd mię niedawno list twój doszedł? oto z Cichawy — i dowiedziałam się, że tam do ciebie przez Gdów adresować trzeba, a ja pamiętam, że w lecie przez Bochnię pisałam. Na drugi raz przyda mi się ta wiadomość. Dzięki Bogu, że między nami tak długie spóźnienie listu żadną w osobistych stosunkach nie groziło katastrofą, ale obok twój przez cały ten czas spoczywał list drugi: list narzeczonego do narzeczonej! no — i za to dzięki Bogu, że niedawno zerwali między sobą i poodsyłali sobie pierścionki z innego powodu, ale gdyby też właśnie to niedoszło w porę pismo coś ważnego zawierало, gdyby na całą przyszłość dwojga zakochanych mógł wpłynąć niedbały posłaniec... nasz poczciwy, lecz trochę słabej głowy Wojciech, który wszystkie jednorazowie z poczty odebrane papiery pod poduszkę na koźle wsunął, zapomniał i dopiero teraz niedawno przypadkiem je odnalazł. Trzeba przyznać, że mogła stąd najgłupsza w świecie kombinacja się wytworzyć, a jednak wytwarzają się podobne — jak gdyby nie dość było wprost ludzkich nonsensów, raz po raz jeszcze chochliki jakieś psoty różne płatają. Gdyby choć w równej mierze na złą i na dobrą stronę — ale nie. Już to przecież sam ksiądz proboszcz na ambonie mówił, że jeśli komu chleb nasmarowany z ręki się wysunie, to zawsze masłem na piasek upadnie. Ja się teraz nie mogę uskarżać, by mi takie nieprawidłowe wypadki życiem wicherzyły; owszem, bardzo prawidłowo, bardzo konsekwentnie wszystko mi się nie wiedzie, bo coraz jestem niedołęźniejsza. Chociaż mi przegląd dzieł pani Hofman najwięcej wolnego czasu zajmuje, znalazłabym niejedną jeszcze na dzień godzinę, żeby coś do twojej przyszłej biblioteczki wygotować; ale wszystkie nogi stołowe (zwłaszcza te sprzed kilkunastu laty) więcej miały ode mnie konceptu. Nic a nic wymyślić nie mogę! Jak mi kto jarzmo na kark zarzuci i ciągnąć stąd dotąd każe, to ciągnę jeszcze, trochę wolno, trochę krzywo, ale ciągnę do końca; niech mi każe z własnej woli co zrobić — ani rusz — wołowa moja natura wszelką zdolność inicjatywy zatraciła w sobie. Nie mówię ci tego przecież na upozorowanie odmownej wymówki. Mogłabym się bardzo prawnie, dowodnie z poręczeniem świadków i z plikami dokumentów usprawiedliwić

<sup>356</sup>przyszły i smutki — ruina grożąca dwóm siostrzenicom Narcyzy, córkom Kornelii Glogerowej. [przypis redakcyjny]

brakiem czasu, koniecznością wypieszenia z pierwszej przyjętymi zobowiązaniami; lecz ja właśnie szczerze ci się przyznaję, że gdybym tylko wiedziała, o czym pisać, to bym codziennie na twoje usługi ze trzy godziny oddać mogła. W tym bieda największa, że o czym pisać? nie wiem. Najlepiej zrobisz, jeśli sama wyszukasz odpowiedniego przedmiotu, ma się rozumieć, nie tak, jak w piosnce ów chłop dla malarza: „Wszystko o wszystkim” — to dobre na gawędkę przejażdżkową między Miodową a Nowym Światem; mojej biednej głowie koniecznie czegoś stałej oznaczonego potrzeba. Namysłże się, co by to być mogło. Gdyby np. „Wstęp przygotowawczy do nauki literatury w wypisach”. Przekonałam się, że to jest metoda najlepsza: zaciekawia tych, którzy dalej uczyć się chcą i mogą — a wystarcza (w stopniu chustki do nosa) dla tych, którzy nie mają ochoty lub czasu i sposobności dalej się kształcić. W każdym razie, gdybyś mi tego nie powierzyła, gdybym ja sama zamarudziła z robotą, rozchorowała się, wpadła w zupełniejsze zdziecinienie zgrzybiałości lub wreszcie na zawsze już z wszelkiej literackiej i ziemskiej służby wystąpiła, to pamiętaj na własny użytek nie tylko dla publiczności, ale i dla twego Staśka przed pójściem do szkół wyzyskać moją, jak ją zowię, metodę. Pierwsza miłość od siebie, więc też pierwsze początki od literatury polskiej. Przy paciorku, w piątym, szóstym roku, już można *Boga rodzica* nauczyć (dziecko zupełnie tyleż z tego, co z *Wierzę w Boga* i *Zdrowaś Maria* zrozumie), ucho przywyknie do starych wyrażen, pamięć zwroty zachowa. A gdyby też, dla przekupienia pobożnych duszyczek, osobny pierwszy oddział z samych pobożności złożyć, w porządku literackim jednak? Każą nieraz dzieciom jak papugom odmawiać *Pod Twoją obronę*, niech by się nauczyły drobniautkiej natomiast modlitewki z książeczki Nawojki, jak ją Maciejowski nazywa, czyli św. Jadwigi, jak inni mieć chcieli — a potem Kochanowskiego psalm tak upowszechniony — coś autentycznego (w chronologii) z wojen szwedzkich, z konfederacji barskiej — Karpiński — Mickiewicz — no, już sama wiesz, co by z tego zrobić się dało. Nastąpiłaby potem literatura światowa od pierwszej ludowej piosenki do ostatniego wzniosłego, choćby ze Słowackiego, Krasińskiego ustępu. Ma się rozumieć, okres zamknąć datą stałe oznaczoną, żeby się współcześni o nieobecność swoją nie obrazili — wziąć np. datę śmierci Mickiewicza — prawda, że Krasiński żył dłużej, ale już w tym czasie umarł także na geniuszu swoim. Proza szłaby w tym samym porządku i do teje epoki; to byłby tomik jeden. Drugi zająłby literatury starożytnej okazy, zacząwszy od Indian i Chińczyków, a można by załączyć w odrębnym dziale okazy literatury pozaeuropejskich, tomik trzeci na europejskie poświęcić. Cała rzecz w tym, żeby wybór zrobić rzeczy najwybitniejszych i tomy składać niewielkie, prawdziwe „biblioteczkowe”. Wiem, że już wpadasz w myśl moją — a nawet spostrzegłaś od razu popełnioną przeze mnie omyłkę i widzisz, jak to niekonsekwentnie, kiedy od swoich zaczynam, potem w tomie drugim do starożytnych i aż za granicę Uralu przechodzę. Masz wielką słusność — nie będę się o to spierała, chociaż nad porządkiem logicznym zapanowała w myśli prędsza potrzeba uczących się; to pewna, że pierwszej potrzebują słyszeć o Homerze niż o Dantem. Ale mniejsza o to — układaj jak chcesz. Tymczasem mogę ci powiedzieć, że myśl twojej biblioteczki dawno już kielkowała. W umyśle pani Hofman inaczej to wyglądało trochę: np. *Biblioteczka* miała być jedynie dla kobiet przeznaczona — wybrana z materiałów już nagromadzonych itd. — nie mniej przeto dopomina się, aby zewzwać do jej złożenia wszystkich ludzi mających w kraju naukową powagę. Ty zaś żądasz, aby ci ludzie sami z własnych prac ją ułożyli, (*c'est à dire*) wzywasz czasem i ludzi bez naukowej powagi, jak to wiem z przykładu pewnej biedaczki — ale kobietom niekonsekwencje powszednim chlebem serca. Niech ci te grzechy redaktorskie odpuszczone będą! W ogłoszeniu, czyli w zapowiedzi swego wydawnictwa, mogłabyś się jednak na odwieczność poczucia niedostatku podobnego zbioru powołać; wykazać nawet różnicę, jak rośnie w rozmiarach. Dawniej szło tylko o kobiety — dziś o całe pokolenie — dziś kwestia podrzędna, towarzyska niejako — stała się kwestią ogólnie-pedagogiczną, społeczną itd. itd.

Już mi napisałaś moja Wando, że mąż twój idzie trzymać do chrztu najmłodszą pannę Kaplińską, a nie napisałaś, czy już ją z pewnością Leonią nazwano. Proszę pani mojej jak zawsze, tak i teraz o wiele szczegółów — dla lepszej pamięci masz rejestr:

Przyszłe mieszkanie —

Zdrowie Staśka, rodziców jego — dziadka — ciotek —

Biblioteczka —



Projekta letnie —  
Czarny marmur?  
Żółta herbata?

Zobaczymy się pewnie dnia 22 maja. Przyjeżdżam, ale na kilka godzin tylko, żeby solenizantce powinszować. Staraj się koniecznie, żebyśmy się nie zmineły.

A co, czy mam dołączyć? właśnie w tydzień po moim wyjeździe było grane *Trio* — a Julia mi donosi, że wszyscy unoszą się od nim — może to sobie kiedy w ciągu roku wynagrodzę.

Czy wasz Staś biskup czy Kostka? jeśli kościelny dygnitarz, proszę złożyć mu życzenia moje w tę drugą imienin jego rocznicę.

Gdyby był z Kostków, to by o jedne imieniny mniej w życiu swoim obchodził<sup>357</sup>.

CLXXXI

25 czerwca 1874, Dębowa Góra

Cóż powiesz na to, Wando moja kochana, jak ci się przyznam, że ten list, który, ma się rozumieć, od wspomnienia twoich imienin zacząć chciałam, po pensjonarsku drugi raz przepisuję, a raczej przerabiam, a jeszcze właściwiej mówiąc, zupełnie inaczej piszę. Wpadłam na ulubioną zwrotkę paprociowego kwiatu i takie mi się dawne dzieje roić zaczęły, takie snuć mistycyzmy, że się aż zawstydyłam. Posądziłabyś mię chyba o chorobliwe rozmiękczenie mózgu, a zresztą — szanowna pani — co tobie dzisiaj o kwiatkach paproci bając, kiedy na zawołanie masz je tuż przy sobie — rozkwitłe — to pan Żeleński — rozkwitające — to Stasiak. Wszakże ci z nimi dobrze, no więc i mnie dobrze — żadnych tedy życzeń nie składam. Są pewne wymagania względem przyszłości, jest takie lub owakie, tego lub owego oczekiwanie, są starania, zabiegi, w których ci niespokojnością lub najwyższym współczuciem towarzyszę, ale życzeń, po co to licho zaczepiać, kiedy, o ile szczęśliwą jesteś — a szczęśliwą tak pocziwie, o tyle moje życzenia spełniłaś. Ostatni raz już pono muszę ci to wszystko piśmiennie tłumaczyć. Na przyszły rok przecież osobiście się stawię; że zaś teraz o jeden dzień się spóźniłam, to dla zrównoważenia w wigilię się wybiorę. Przemyślałam, czy by to całej uroczystości winszowania nie dało się na dzień twoich urodzin odłożyć, ale zapewne tak wcześnie jeszcze nie wrócicie państwo ze swoich letnich wycieczek. Szkoda — trzeba się będzie imieninami ograniczyć — a to dzień smutnej rocznicy! Smutne rocznice niezadługo cały rok mi wypełnią; no, nie ma sensu gadać o takich rzeczach przy obchodzie świętej — bodaj czy nie słowiańskiej tylko Wandy. Rozstrzygnij sama, jaką masz patronkę. Lepiej ci powiem oto, że się bardzo spotkaniu z Helenką<sup>358</sup> ucieszyłam, choć to była jedna z owych smutnych radości, co ku schyłkowi życia się przesuwają niby złote i rubinowe chmurki po zachodzie słońca. We mnie słońce już dawno zaszło, więc chmurka bez śladu przepłynie i daleko zginie — a mnie jednak żal! Roję sobie, że dawniej byłoby to inaczej. Znalazłoby się jakie słowo, co by zasnuło między nami niełatwe do stargania stosunki; przyszłoby nawet jakie zdarzenie może, co to czasem w jednym ogniu stopi lub w jednej fali zanurzy dwoje ludzi i taką z nich upodobnioną kombinację wytworzy, że już potem nie mogą rozpaść się na dwie strony świata, jako obce sobie, niepamiętające się dusze — a dzisiaj piękne i dobre przechodzi koło mnie i znika. Nie mam prawa narzekać, bo wszystko to jest według praw i porządku natury — ale że tobie, Wando, tobie, najaktualniej obecna chwila i siła, nie udało się w jakąś nierozzerwalność z nami wprząść tej bogatej osobistości, to mię dziwi — gorszy i smuci. Przecież nie godzi się tak zachwycić się kim — rękę mu bardzo czule przy pożegnaniu

<sup>357</sup> *Czy wasz Staś biskup czy Kostka? (...)* — chodzi o patrona najstarszego syna Wandy i Władysława Żeleńskich; *biskup* to św. Stanisław ze Szczepanowa (1030–1079), biskup krakowski, męczennik, skazany przez króla Bolesława Szczodrego na śmierć przez poćwiartowanie, święty kościoła katolickiego, którego wspomnienie w polskim kościele wyznaczone jest na dzień 8 maja (ogólnie w kościele katolickim 11 kwietnia, w rocznicę śmierci męczeńskiej); *Kostka* to św. Stanisław Kostka (1550–1568), jezuita, święty katolicki, którego kult jest ściśle związany z polityką jezuitów w Polsce w XVI i XVII, wspomnienie tego świętego wyznaczone w polskim kościele na 18 września (ogólnie w kościele katolickim 13 listopada). [przypis edytorski]

<sup>358</sup> *Helenka* — wdowa po Leonie Kaplińskim, która po śmierci męża wstąpiła do klasztoru. [przypis redakcyjny]

uściskać i na tym poprzestać. Z dobrego wrażenia koniecznie jeszcze lepsze w życiu wypadki i pomoc mieć trzeba, chyba tylko pani Modrzejowskiej wolno nam wdzięcznością za samo wrażenie płacić, ale Helence — nie — od niej, u niej koniecznie powinni się zachwyceni i kochający domagać z jej strony odwzajemnienia — przysług, braterstwa. Ach! jakie to stare! z mody wyszłe, a przecież niczym niezastąpione wyrażenie „braterstwo”. Łatwiej się w kim zakochać, łatwiej dać mu uznanie, poklask, uwielbienie — niż braterstwo. Może mi starość wzrok przyćmiła, ale coraz mniej go wkoło siebie widzę. Są ludzie, którzy wierniej i dokładniej wzajemnych między sobą obowiązków dopełniają; ale ludzi z braterstwem prawdziwym, z tym poczuciem równości wbrew wszelkim nierównościom, a wspólności przy zachowaniu praw właścicielstwa, takich ludzi coraz mniej. Czy to brak łącznej pracy, czy jednoczesnych niebezpieczeństw i kłopotów — nie wiem, nie umiem sobie wytłumaczyć; ale brak i zmianę czuję. Dla ciebie, o dwa dziesiątki późniejszej w stuleciu, może różnica nie jest tak wybitną; jednak przyznaj sama, czy jej także nie spostrzegasz?

A teraz, moja Wando kochana, co do twojej przedmowy<sup>359</sup>, to jej nic nie mam do zarzucenia, chyba tylko lekką chropawość stylu, co zresztą jest może przywidzeniem tylko z mojej strony, bo owo całoroczne tłumaczenie moje tak mię rozdziwaczyło w dobieraniu wyrazów, że zupełnie *zglupiałam* na kwestii stylu i aż mi pisać trudno. Teraz jeszcze zbieraniem notatek się zajmuję, więc niby to jak z masłem iść powinno, a idzie strasznie po grudzie. Kiedy już wprost z głowy pisać wypadnie, to aż mi się zimno robi, gdy pomyślę, że i wówczas tak mię będą prześladowały te zwroty językowe, te kwestie gramatyczne, te powtarzające się nie w porę jednobrzmiennie sylaby. Chyba z tego piasku nie wypłynę — zasypie mię i *adieu* Narcysko! To pewna, że kiedy pierwszy raz twój list odczytałam, szłam tylko za myślą twoją i wszystko znalazłam wyborne, lecz gdy z wielkiej gorliwości, dla sumienniejszego sądu, odczytywać go zaczęłam — różne mię zahaczały drobnostki np.: „nie wszystkie dzieci są tak szczęśliwe, *by mieć*” ... spójnik tu łączy dwa nie dość symetrycznie ułożone zdania — „by miały książki *pouczające* koło siebie, a i starannie *uczone* (zaopatrzone?) wszystkie...” jedno przy drugim za bliskie — „Dla ułatwienia im z tej i z owej książki...” dla ułatwienia czego? wyraźnie mi tu brakuje czego (dla ułatwienia im tego, z różnych książek nabieramy godnych waszej wiecznej pamięci szczegółów itp.). Dalej jeszcze, gdzie mówisz o upadku Rzymu, zdaje mi się, że ten sposób mówienia o „składowych częściach społeczeństwa” jest za rozumny dla dzieci; trzeba łatwiejsze znaleźć określenie, może po prostu napisać: „lecz w zepsuciu pojedynczych ludzi składających rzymską społeczność”. Dalej znów idzie: *W braku miłości* itd. — a bliźniuteczko drugi period tak samo się zaczyna; *W ich mocy* więc było Rzym w dawnej... Od nich to zależało utrzymanie dawnej świetności Rzymu itd...

Jeszcze jedną prócz tego śmieszną ci zrobię uwagę o samym zakończeniu. Zbyt często spotyka się w nim *prze* i *przy*: *przełożoną* *przeze* mnie książeczkę i bodajby *przykłady* wielkich cnót, jakie *przedstawia* — gdyby też tak zmienić: „czytajcie w wolnych od nauki chwilach tę małą książeczkę, którą (gdyby też wtrącić: z życzliwą dla was myślą) przetłumaczyłam. Bodajby podane w niej wzory zdołały was itd...”

Osądź zresztą sama, czy moje poprawki co warte, czy też nic niewarte wcale, bo ci za nie ręczyć nie mogę. Strasznie mi głowa w tych czasach nie domaga i nieraz myślę, że jak Słowacki zaczął kiedyś pisać dramat o *Złotej czaszce*, tak ja bym wybornego tematu na komedię o *Ołowianej czaszce* dostarczyła. A tu przede mną taka straszna robota leży! Kiedy pomyślę, że wy się za mnie wstydzicie będziecie może, to mi się jeszcze gorzej w mózgu miesza. Prawdziwie każdemu wolno zastosować do mnie stare przysłowie o babie, co nie miała kłopotu i... podjęła się układać wydawnictwo dzieł pani Hofman! No widzisz, moja droga, kazałaś mi szczerze zdanie moje o wstępie do *Złotych czynów* napisać; napisałam jak najszczerzej; teraz ty, „nie obwijając w bawełnę”, powiedz mi równie szczerze i otwarcie, czy ja na zawsze już *zglupiałam*? czy tak aż do śmierci ze mną będzie?

CLXXXII

16 września 1874, Dębowa Góra

<sup>359</sup>co do twojej przedmowy — Przedmowa do przełożonych przez Wandę *Złotych Czynów*. [przypis redakcyjny]

Pozdrawiam państwa Żeleńskich na ich nowym, bodaj wygodnym, suchym i ciepłym mieszkaniu.

Listy twoje dwa z drogi odebrałam, a teraz trzeci z Warszawy był mi istną niespodzianką. Ani myślałam nawet, że tak prędko wrócisz; owszem, ciągle jeszcze projektowałam sobie, że do Cichawy odpowiesz wyprawę z Hożej ulicy, a tu się pokazuje, iż ty właśnie witać mię będziesz, nie ja ciebie. Przyjazd mój obecnie zahacza się tylko na sprowadzeniu przyszłej życia mego towarzyski, *vulgo* służącej, gdyż łatwiej byłoby mi chyba później niż teraz, na wstępie bez niej się obejść. Że to ma jednak w ciągu tygodnia nastąpić, zamawiam sobie łaskawe uściśnienia, choć dnia jeszcze oznaczyć nie mogę. Poproszę Paulinki, obecnie w Warszawie przebywającej, żeby ci o tym znać dała.

Co do Julci, zupełnie twoje zdanie podzielałam. Daleko więcej w tym sensu, żeby ona tutaj do wszystkich przyjechała niż ty jedna tam do niej. A Helenka — napisałaś mi o niej jedno słowo, które bym chciała z myśli spędzić.

Mam nadzieję, że twój syn już mi powie jaką orację na przywitanie.

## CLXXXIII

Warszawa 1875

Czy to to warto w Warszawie<sup>360</sup> mieszkać, kiedy aż listy pisać trzeba, żeby się o zdrowiu naszych ukochanych dowiadywać. Wiem, że pani Kaplińska była u was, ale mię zastraszyła, że mizerniej niż po pierwszej słabości wyglądasz, że miałaś jakieś przejścia ze służącymi. Jestem niespokojna, a tak mi się dała przedświąteczna wycieczka we znaki, że nie mam odwagi za dom się wychylić i ani wiem, kiedy pójde ci powinszować syna olbrzyma<sup>361</sup> i Nowego Roku. Jeśli nie czujesz, że mi z tym niedołęstwem i rozłączeniem bardzo smutno, to się wyprysięgnę, bym ci kiedykolwiek na Miodogórze lekcje dawała i w Olszowej amerykańką powoziła.

Spodziewam się, że pani moja z łóżka jeszcze nie wstała, piśmiennej więc odpowiedzi nie oczekuję. Ale ustnego zawiadomienia, że zdrowsza jesteś niż w czasie odwiedzin ciotki Kaplińskiej spodziewam się i chcę koniecznie. Zapewne pan Władysław jeszcze się w drogę nie wybrał, to mu z pozdrowieniem złoży ode mnie i noworoczne życzenia — ty najlepiej odgadnąć możesz jakie — co do mnie, to mam tylko — juścić nie na ten rok, ale na przyszły — jedno bardzo wyraźne: córeczkę. Tak bym cię chciała widzieć z córeczką przy boku. Nie ubliża to wcale dwom przyszłym męskim lat twoich sędziwych podporom, zwłaszcza że się tak silnymi zapowiadają. W wigilię wigilii miałam najniespodziewaniej wiadomość od Lasi<sup>362</sup> przez pana Kudelskiego *en personne*<sup>363</sup>. Dzieci zdrowe, lecz ona znów na siłach podupadła. Przyjechała też Iza Zbiegniewska i nieraz już wspominałyśmy cię w naszych gawędkach. Pocziwa, jak może, to przychodzi; szczęściem, że mieszka na początku tejże Hożej ulicy.

Jak Mania przyjdzie do ciebie, to ją przy powitaniu i pożegnaniu nie od siebie, ale na mój rachunek ucałuj — pamiętaj, Wando!

N.

## CLXXXIV

[Warszawa] 11 sierpnia 1875

Twój list, moja droga Wando, nie zastał mię już w Dębowej, a w Warszawie odebrałam go podczas przygotowań do wyjazdu Julii. Z tego wszystkiego wynikło, że zaraz

<sup>360</sup>*Czy to to warto w Warszawie* — niedługo przed śmiercią urzeczywistniła Narcyza swój ulubiony zamiar przeniesienia się do Warszawy, gdzie też umarła w grudniu r. 1876. [przypis redakcyjny]

<sup>361</sup>*ci powinszować syna olbrzyma* — Tadeusza [Żeleńskiego, ur. 21 grudnia 1874 r.; red. WL]. [przypis redakcyjny]

<sup>362</sup>*wiadomość od Lasi przez pana Kudelskiego* — Lasia Baranowska wyszła za mąż za Kudelskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>363</sup>*en personne* (fr.) — osobiście. [przypis edytorski]

na niego odpisać nie mogłam; sama zaś wiesz najlepiej, że kiedy zaraz odpisać nie mogę, pod pierwszym wrażeniem wdzięcznej radości, to już mi potem zwleka się, zwleka w nieskończoność: perswaduję sobie, że na prędszym czy późniejszym odebraniu mego listu nic nikomu nie zależy; ani zdrowie, ani pomyślność, ani majątek niczyj na tym nie ucierpią; obliczam się z sumieniem, czy mam co ważnego, ciekawego chociaż do powiedzenia. Zawsze mi wypada uznać, że ważnych nowin od dawna wkoło siebie nie słyszę, a co jest w moim życiu najciekawszego, to już wszyscy moi najbliżsi wiedzą o tym od dawna; mieszkam zawsze w tym samym miejscu, wyglądam tak samo, nic nie robię, bo hałas przeszkadza albo mózg wodnieje, trwam bez ruchu i zmiany jak katedra świętojańska. Gdy wrócisz, zastaniesz nas obie równie zębem czasu niespożyte, pełne grobów na wiek wieków wewnątrz zamurowanych; tylko zewnątrz katedrę trochę więcej żyjących odwiedza, zresztą mało różnicy, a wiele podobieństwa. Po wszelkich tego rodzaju uwagach i spostrzeżeniach, przychodzi jednak chwila, w której najpodlejsze egoistyczne pobudki napędzają mię do listu i po prostu ze strachu za pióro chwytam. Bardzo to pięknie i słusznie, że się nikomu potrzebną nie czujesz, moja Narcysko, ale tobie jeszcze niektórzy ludzie są bardzo potrzebni; jak dasz im się zapomnieć, to cię zapomną bardzo łatwo; żadna fala morska, żadne zdarzenie i żadna okoliczność na brzeg ich życia twojej rozbitej łodzi nie wyrzuci. Musisz im się koniecznie sygnałami przypominać: więc pisz tedy — i piszę; ale nowy kłopot: gdzie list zaadresować? Moja Wanda turystka przesuwa się koleją z północy na południe — z południa ku wschodowi — gdzie jej dziś szukać? Długie rozmyśły nad tym zagadnieniem były także spóźnienia powodem. Ostatecznie wyrozumowałam sobie, że jak list wyślę do Bochni, to zawsze prędzej czy później cię dojdzie. Jest mi to bardzo nie na rękę, bo skoro już się rozmacham, chciałabym, żeby z szybkością tęschnej myśli i niespokojnego życzenia słowa moje przed oczyma korespondentów się telegrafowały; lecz trudna sprawa. Kto troszeczkę zgrzeszy, bardzo ciężko pokutować musi; taka dola przynajmniej niektórych... Są liczne wyjątki, lecz do nich nie należą!

A teraz, pani moja droga spodziewa się, że jej przecież cośkolwiek o Warszawie doniosę; zawód będziesz miała ogromny. Wiem codziennie, kiedy deszcz pada, kiedy słońce świeci, a nade wszystko kiedy wiatr wieje, bo wtedy okna skrzypią, czasem się rozbijają, a zawsze pełno piasku przez nie leci i pokoiki moje w Saharę lub co najmniej w pograniczne od Śląska okolice zmienia. Prócz tego nazajutrz zwykle dowiaduję się publicznych nowin z „Kuriera”, a domowych, bodaj czy nie przez Karolinę najwięcej, choć to jest dość milcząca i małowówna osoba. Sama przez się jednak sprawdziłam, że Lutka Kaplińska ze wszystkimi dziećmi wróciła, później pani starsza przyjechała; Edward na restauracyjnych obiadach przerażająco zmizerniał, ale zapracowany po uszy: nie sądzi, by mógł na odpoczynek gdziekolwiek wyjechać. Z Soczewki najpierwej do wuja Edwarda przyszła nowina, że się państwu Stanisławostwu Mark[iewicz] córka urodziła, a przed jej urodzeniem Staś na swoją nerwralgię tak mocno był chory, że dziesięć dni z łóżka nie wstawał. Marynia Plewińska<sup>364</sup> pojechała tam i pewnie wielką w obu zdarzeniach była pomocą. Z jej mężem i panem Bronisławem spędziliśmy razem wieczór niedzielny na górze. Oba słomiani wdowcy okropnie smutno wyglądali, co być powinno żonom pocieszającym i zaszczytnym świadectwem. Jak widzę, wszelako przesunęłam się w rubrykę szczegółów, które ci są zapewne dokładniej z listów sióstr twoich wiadome; wracam do szczupłego zapasu takich, co ja znowu lepiej podać ci mogę. Oto państwo Baranowscy z Maniusią wyjechali do wód — nie, nie do wód. Właśnie tam, gdzie mieszkają, żadnych wód nie ma, prócz górskich źródeł kryształowych, ale jest cisza, kraj równy szwajcarskiemu pięknnością widoków i powietrze jak w niebie — juścić na górach, to w niebie. (Gdyby mi też Pan Bóg podarował kilka tygodni górskiego powietrza, z mieszkaniem bez much, komarów i innych owadów, z oknami nieskrzypiącymi, z doskonałą cichością, a bez żadnej konieczności pisania, niechby nawet ani śladu ustensyliów biurowych nie było... tylko co dzień na śniadanie — ha może lepiej na dobranoc — list od kogo z ukochanych! — trzeba już zamknąć parentezę — wpadłam na bardzo niebezpieczny przedmiot). Dzień pani Hoffmanowej zaczął się drukować tom... trzeci; nie wątpię, że ostatni wyjdzie jeszcze za mego życia, tym bardziej iż mój organizm na lat pięćdziesiąt cztery *vel* do roku pańskiego 1929 jest zaasekurowany. Wolałabym jednak, żeby się tak

<sup>364</sup>Marynia Plewińska — Markiewiczówna, siostra Stanisława i Seweryna. [przypis redakcyjny]

nie śpieszono z wydawnictwem, bo po mojej śmierci będzie miało daleko więcej powodzenia. Ile razy czytam nekrologiczną biografię którego z autorów naszych, tyle razy wzruszona jestem przecuciem czekających mię pochwał — od obcych. Od przyjaciółek miałam ich aż zanadto. Nic mię to nie zadziwiło nawet, że się z pochlebnym dla mnie słowem w Galicji spotkałaś; czyż mieli ci prawić grzeczności o twoich oczach, o twojej warszawskiej tualecie, o twoim własnym rozumie? Trochę, to wolno; lecz bez porównania przyzwoiciej z upodobaniem wspominać to, co u ciebie w łaskach, a co pan Żeleński dźwiękami swymi podniósł i ozdobił<sup>365</sup>. Ręczę ci, że gdybym się była z Mickiewiczem spotkała, to bym mu o Garczyńskim mówiła; gdyby z Wójcickim — przypuściwszy, że nic nie zasłyszałam o jego sprawkach — to bym egzaltowała się nad Magnuszewskim; jeśli zaś tobie w oczy śmiem powiedzieć, że całe cztery tomiki, z pięćdziesięcioletniego życia Gabrielli wyciśnięte, są *riducula mus*, to dlatego jedynie, bo jestem strasznie zarozumiałą Narcyzą. Zrobiłam nowy układ o wydawnictwo keepsakowego zbioru poezyj dla kobiet. Jeśli ci wpadł w rękę ładny jaki, niedrukowany nigdzie wierszyk, to go dla mnie przepisz, a jeśli by ci nie wpadł, to go umyślnie w albumach swoich znajomych poszukaj. Najwięcej właśnie o podobne się staram; przyrzeczono mi trochę z Inflant, trochę z Białorusi i Wołynia dostarczyć, niechże bogata w poetów Galicja wsparcia także dostarczy. Niepodobna, żeby tam cała miejscowa poezja drukowaną była; pewnie snuje się jej wiele, jak wszędzie u nas, z serc bogatych, z myśli szlacheckich, z głów uzdolnionych, a przyczepia się do pamięci znajomych, nieraz może i nieznajomych, niby w powietrzu ulatująca przedza Matki Boskiej. Jak przyjedziesz, wytłumaczę się z tej prośby i plan cały rojonego albumu przedstawię. Tylkoż przyjeżdżaj prędzej, bo się już niecierpliwię. Mam do ciebie mnóstwo innych jeszcze interesów; zawczasu chłodne doświadczenie przestrzega mię, że nic z tego nie będzie, lecz nałogowa sangwinistyczność bierze górę i kiedy ani ciebie, ani Julii nie mam w sąsiedztwie, to mi się zdaje, że niczego robić nie mogę. Jedna z was jest mi raz po raz tak nieodzownie potrzebną, że ani rusz. Ba! dlatego to i pisuję do was; gdybym się oglądała na okoliczność, w której wy mnie zapotrzebować będziecie mogły, to pewnie sto razy bym pomyślała, lecz ani razu nie nagryzmoliła tym niegodziwym piórem, że z duszy serca chciałabym ucałować twoje oczy, główki twoich chłopaków i ścisnąć pocziwą rękę twego pana Władysława.

Na gorze poradzono, żeby list do Zakopanego wyprawić. Niechże mu losy w tę stronę sprzyjają.

CLXXXV

Moja droga Wandeczko, powiedz mi, jakie są na dzień dzisiejszy twoje zamiary? Czy gdzie wyjedziesz, czy do ciebie siła ludzi przyjdzie? We czwartek bardzo gładko mi się udało z powinszowaniem na trzecie piętro do Paulinki się dostać. Tym lepszą miałam nadzieję, że dziś na drugie się dostanę; aż tu nieszczęśliwie, przed samym domem, z powrotem, dorożkarz konie luzem puścił na chwilkę, chwileczkę małeńką, lecz ta chwileczka małeńka starczyła, by mną na stopniu, a nadziejami moimi zachwiać w przyszłości. Nie chcę przecież dać za wygraną. Spróbuję piechotą się wybrać. Jeśli tu po bruku nogi mi służyć zechcą, tym łatwiej trotuarami na Żurawią się przesunę. A jeśli nie przesunę? No, to znajdziecie przecież chwilkę czasu dziś, jutro lub pojutrze i przyjdziecie oboje „na czekoladę” i na dobre życzenia. Może zresztą na ulicy czekolady nie będzie, choć się niebo chmurzy, mnie zaś jest ciągle na myśli to, że 28 czerwca niedaleko, więc Władysław król w niebie i Władysław mistrz tonów na ziemi święta swoje obchodzić będą. Za co król? i właściwie jaki król? wstyd mi, że nie wiem. Chyba coś od węgierskiej korony. Ale wiem, że Władysław mistrz, niezawodnie z królestwa Halicji i Włodzimirii za to mistrz i wielki mistrz (dla mnie), bo napisał muzykę do piosenek Gabrielli.

Bądź co bądź, Wando, przyslij mi rozkład godzin dnia dzisiejszego w życiu twoim, a ja tymczasem uścisk ci przesyłam.

N. Żmichowska

<sup>365</sup>to, co u ciebie w łaskach, a co pan Żeleński dźwiękami swymi podniósł i ozdobił — muzyka skomponowana do wielu utworów Gabrielli. [przypis redakcyjny]

24 czerwca 1876, dzień sobótek, wianków i kwitnącej paproci.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/narcyssa-i-wanda>

Tekst opracowany na podstawie: *Narcyssa i Wanda*, wydał i wstępem opatrzył Boy-Żeleński, Dom Książki Polskiej Spółka Akcyjna, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Tadeusz Boy-Żeleński.

ISBN 978-83-288-1061-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.